


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

**CYKL
POWIEŚCI
HISTORYCZNYCH
OBEJMUJĄCYCH DZIEJE POLSKI**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

INFANTKA¹

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

ANNA JAGIELLONKA

¹ Tytuł: I n f a n t k a (z łac.) — księżniczka krwi królewskiej. Pierwszym krajem, w którym infantami nazywano synów królewskich, a infantkami córki, była Hiszpania. W Polsce przedrozbiorowej po raz pierwszy i jedyny stosowano ten tytuł do Anny Jagiellonki po śmierci Zygmunta Augusta.

Kochanemu
TEOFIŁOWI LENARTOWICZOWI

przyjacielską pamiątkę tę

przesyła

J. I. Kraszewski

D r e z n o
24 marca 1884

TOM PIERWSZY

KSIĘGA PIERWSZA

NADZIEJE

Na niebiosach i w kalendarzu była wiosna, ale na zamku warszawskim smutek tak ponury i przygniatający oblekał twarze, zdawał się nawet na szarych murach jego odbijać, jak gdyby świat późną jesienią obumierał. Ta sprzeczność pomiędzy obrazem natury a obliczem ludzi wyraziściej jeszcze dawała czuć troskę, która ich uciskała. Na kogo spojrzeć było, co się o uszy obijało, tchnęło goryczą jakąś i zwątpieniem, wszystko i wszyscy. Wyjątek jedyny stanowili może parobcy i czeladź, która z rozprężenia korzystała, aby broić bezkarnie.

Był wieczór, dzwony odzywały się leniwo, posepnie, opieszale i żałośliwie na pacierz wołając, który dzień miał zakończyć. Około zamku snuły się postacie zadumane, powolnymi krokami mierzące podwórze, patrzące przed siebie osłupiałymi oczyma. Nikt nie śmiał rażniej podnieść głosu, szeptało, jakby się obawiano dźwięku własnej mowy. Od miasta też, już o tej porze zabierającego się do spoczynku, dochodziły tylko szmery głuche, których znaczenia rozeznaczyć było trudno.

W powietrzu powiew wiosenny niekiedy przynosił woń od lasów rozwijających się, od wezbranych wód Wisły, od łąk pierwszymi okrytych kwiatami. Niebo z wolna zrzucało z siebie jaskrawe blaski wieczora i przywdziewało płową szatę nocną, na której gdzieś już blade starsze gwiazdy, wybiegłe naprzód jak na zwiady, przyświecały.

W dolnych krużgankach wewnętrznych zamku mało było widać ludzi. Niekiedy przesuwali się dworzanie w barwie królewskiej, starszy komornik² lub nędznie odziany stróż z wiadrem wody, z wiązką drzewa do kuchni.

U słupa jednego na ławie spoczywał niemłody mężczyzna, zmęczony, pot ocierając z czoła, z twarzą pooraną i ciemną, a jak noc smutną. Z sukni trudno się było domyślać, kim był, odzież bowiem miał skromną, szarą i nie wyglądał na pana, ale obliczem, na które padał odblask wieczora, mógł stać choćby pomiędzy senatorami, tak było poważne i wyszlachetnione. Twarz jego nosiła na sobie znamiona stoczonych bojów ciężkich, po których pozostaje znużenie, ale nie zgryzota. W smutku widać było pokój sumienia, który daje żywot poczciwy. Spoczywał, ale nawet w tej chwili myśl jego pracować musiała. Najmniejszy szmer oczy zwracał i uwagę. Stał na czatach. Kilka razy poruszył się, jakby chciał powstać, i pozostał na miejscu. Mimo woli, bezwiednie, w takt myśli, które po głowie jego przebiegały, stary ręce podnosił, ramiona dźwigał, głową potrząsał i siedział potem kamiennie nieruchomy. Ważył w

² k o m o r n i k — pokojowiec

sobie coś i rozważał, a tak był przejęty troską swą, iż nie postrzegł i nie usłyszał, gdy wolnym krokiem idący krążankiem mężczyzna, prawie tego samego wieku, ale rzeźwiejszy i żywszy, zbliżył się ku ławie i ku niemu. Dopiero gdy mu światło z zachodu sobą zasłonił przychodzący, podniósł z wolna głowę. Pozdrowili się milczący ruchem rąk i głowy, jakby im obu na słowo się zdobyć było trudno.

Przybywający, na którego padło światło od podwórza, wyglądał bardzo rycersko. Choć nie miał na sobie ani zbroi, ani żadnej oznaki wojaka, można było poprzysiąc, iż w służbie żołnierskiej spędził życie. Twarz na podziw była, mimo wieku, piękna i szlachetnych rysów, czysto polskich; siwiejący wąs spuścisty okrywał mu wargi i niemal na piersi spadał. Strój miał starodawnego kroju, niewytworny, co w owym czasie nie było pospolitym, bo się wszyscy radzi cudacko przebierali.

— A co, oboźny³ mój — odezwał się stłumionym głosem przybywający — a co? Nie masz tam jakiej pocieszającej nowiny, którą byś mnie odżywił?

Oboźny króla Augusta, Karwicki⁴, ręce na kolanach leżące załamał, podniósł głowę i westchnął ciężko.

— A! Rotmistrzu mój, panie miły — rzekł ponurym głosem grobowym — pod te czasy nieszczęśliwe skąd co dobrego wziąć? Zdaje się, iż Opatrzność w niezgłębionych swych wyrokach nad naszymi głowami i nad tym nieszczęśliwym królestwem skupiła wszystkie klęski, jakie tylko ludzi trapić mogą.

Rotmistrz Bieliński⁵ na westchnienie odpowiedział westchnieniem.

— Pomnijcie na to — odparł spokojnie — iż ona Opatrzność krzyże zsyła tym, których Bóg miłuje, i że one są próbą cnoty. Narzekać nadaremna rzecz i niemęska. Jak na wojnie, panie oboźny, na czatach stać z różańcem i szablą, to jest z wiarą w Boga i w siły własne.

Karwicki oboźny podniósł oczy niebieskie, zbladłe wiekiem i dziś szare, usta mu się skrzywiły i z piersi znowu wydobyło mimo woli westchnienie.

— Nie dziwuj się, że człowiek stęknie, rotmistrzu — rzekł. — Brzemień okrutne, pod czas głowę stracić można.

Bieliński zamilkł, snadź i on czuł to brzemień.

— Cóż z królem, panem naszym miłościwym — zapytał po chwili — co mówią lekarze?

— Pan Stanisław Fogelweder⁶ i Niemiec Ruppert⁷ jedno pono prawią odpowiedział oboźny, obok którego zajął miejsce na ławie rotmistrz Bieliński. — Z królem źle jest, bardzo źle, a leki i lekarze co pomogą, gdy kto życia nie szanuje?

— Zaprawdę — przerwał, rękę podnosząc, Bieliński — i ja tak trzymam. Ciału żaden lekarz nie poradzi, gdy dusza choruje i rada by uciec z niego. Wszak ci to męczennik!

— A tak! — potwierdził gorąco Karwicki. — Któż to lepiej wie nad nas, cośmy w służbie jego od dawna i smutną tę historię znamy. Ci, co z daleka patrzą, mogą obwiniać, sarkać, zadawać mu, że własną winą w to wpadł, ale my wiemy, iż się stał ofiarą losu jakiegoś, który go chyba od kolebki ściągał. Lepszego i szlachetniejszego człowieka, większego serca monarchy na świecie chyba nie znaleźć, a oto jak ginie marnie, pamięci nawet po sobie nie zostawując, na jaką zasłużył. O Boże!

Słuchając z głową ku mówiącemu zwróconą, rotmistrz słowo każde chwycił bacznie.

³ o b o ź n y — urzędnik w dawnej Polsce

⁴ S t a n i s ł a w K a r w i c k i — oboźny koronny za Zygmunta Augusta po śmierci brata swego Jana, również oboźnego koronnego

⁵ B i e l i Ń s k i — postać autentyczna

⁶ S t a n i s ł a w F o g e l w e d e r (Fogelfeder) ks. — (1525—1603) ze spolszczonej rodziny Niemców szwajcarskich; był lekarzem nadwornym Zygmunta Augusta, pracował też w kancelarii królewskiej, a nawet załatwiał poufne sprawy dyplomatyczne

⁷ R u p p e r t jak Fogelweder jest postacią historyczną

— Nie nam go sądzić — rzekł — biedny pan! Biedny pan!
Karwicki z wielką żywością zwrócił się do rotmistrza.
— Wy go lepiej znacie — rzekł — ale drudzy? Sądzą go z tego, co teraz czyni, gdy już sobą prawie nie władnie, a nie patrzą na to, co go do tego stanu przywiodło.
— Jestże już tak źle ze zdrowiem? He? — zapytał Bieliński.
— Gorzej nie może być — odparł oboźny — ręce i nogi chiragra⁸ i pedogra⁹ trapią, wewnątrz boleści cierpi, a najgorzej z umysłem. Troski go jedzą, sam już nie wie, co czyni.
— A! Bracie miły, wiele on ich sobie sam przysporzył — rzekł, zniżając głos, Bieliński — ale, prawda, i ludzie mu ich przynieśli wiele.
Zawahawszy się nieco, rotmistrz dodał:
— Aleby wam z Warszawy potrzeba już precz, póki czas. Morowe powietrze dokoła ją opasuje. W Okuniewie¹⁰ ludzie padają jak muchy, a pono i tu, po przedmieściach i w samym mieście śmierci przypadków było wiele, które mór już, już wciskający się zwiastują. Nie odkurzą go żadnym dymem.
— Tać wybieramy się stąd, acz nie wiem dokąd — rzekł Karwicki oboźny. — Z chorym panem jechać troska też będzie niemała. Siedzieć, choćby w najwygodniejszej kolebce, nie będzie mógł; nieść się nie da, chyba go z łóżem na wóz postawimy, a po naszych drogach taki wóz nie wszędzie przejdzie bez szwanku.
Oba zamilkli potem, patrząc przed siebie niemi.
— Zamęczyli go — rzekł Bieliński po długim przestanku. — Bona¹¹ go naprzód pod fartuchem trzymała za długo. Gdyby naówczas, jak go na wojnę wyprawiano, nie zawróciła z drogi, byłby się do zdrowego życia obozowego nałamał, młodym i rzeźwym byłby dziś jak ja, co się starym nie czuję. Jak kwiatusek w cieniu rósł i wyciekł też blady, biedny i wątpliwy. Dali mu pierwszą żonę¹², to ją zazdrość Bony rychło zabiła; ożenił się z drugą¹³, która go wiele kosztowała zgryzoty, i tę mu matka odebrała. Ożenił się z trzecią¹⁴, i z tą żyć nie mógł dla okropnej choroby jej, a rozdzielić mu się nie dali. Zszedł więc na lada jakie miłośnice... i tak ostatni z tej wielkiej krwi królów bez potomka, nędznie schodzi, nie wiedząc nawet, komu kraj puści, który tak kochał. Jedna królewna Anna została nam doma, a i tej bodaj niedaleko do pięćdziesiątki!
— Cicho! — przerwał oboźny. — Nam sługom królewskim imienia jej nawet wyrzec nie wolno. Żli ludzie tak umieli zasiać niezgodę między rodzeństwem, iż król jej na oczy nie dopuszcza, żal ma wielki. A ta nieszczęśliwa oczy sobie wypłakuje.

⁸ c h i r a g r a (z grec.) — artretyzm rąk

⁹ p e d o g r a (z grec.) — (prawidłowa forma: podagra) artretyzm nóg

¹⁰ O k u n i e w — miasteczko w powiecie warszawskim

¹¹ B o n a — (1494—1557), Włoszka, z rodu książąt mediolańskich Sforzów, była żoną Zygmunta I Starego, matką Zygmunta II Augusta

¹² Pierwszą żoną króla Zygmunta Augusta była Elżbieta, córka cesarza Ferdynanda I. Urodziła się w r. 1526, wyszła za Zygmunta Augusta w r. 1543, zmarła niebawem w r. 1545. Za życia jej Bona ustawicznie przeciw niej intrygowała.

¹³ Drugą żoną Zygmunta Augusta była Barbara z Radziwiłłów (ur. w r. 1520). Po śmierci pierwszego męża, Gasztołda, wyszła za mąż za Zygmunta Augusta w r. 1547; koronacja odbyła się dopiero w r. 1550. Zmarła w r. 1551. Posądzano dość powszechnie (choć niesłusznie) Bonę o otrucie synowej, przeciw której stale wrogo występowała.

¹⁴ Trzecią żoną Zygmunta Augusta była Katarzyna, siostra jego pierwszej żony. Król poślubił ją w r. 1553, ale wkrótce poczuł do niej nieprzewidywany wstręt skutkiem choroby, na którą cierpiała. Starania królewskie o rozwód udaremnił nuncjusz papieski Commendoni. Ostatecznie król odesłał Katarzynę do Austrii, gdzie zmarła w r. 1572 w Linzu.

— Teraz przecie na nią i królestwo, i Litwa przyjdzie po śmierci króla, Boże uchowaj! — odezwał się rotmistrz. — Ostatniac ona tu doma z tego rodu.

Obożny ramionami wstrząsnął.

— Tak by ono było, gdyby korona dziedziczną się zwała — odparł — ale tu już zawczasu przebąkują, że sobie króla wybierać będą, jakiego zechcą.

— A! Nie może być! Sroga by była niesprawiedliwość i niewdzięczność — krzyknął, głos podnosząc i zaraz go zniżając, Bieliński.

— Rozsłuchajcież się — odparł spokojnie obożny.

I milczeli znowu.

— Na królestwo to — dodał Karwicki po cichu, oglądając się dokoła, jakby się podsłuchania obawiał — na królestwo to zawczasu już poluje wielu. Jeszcze król nie zamknął powiek, a posłów potajemnych i szpiegów po senatorach, po szlachcie, po duchowieństwie włóczą się ćmy. Jeden Bóg wie, na czym się skończą te frymarki.

— Po mojemu, po żołniersku — odparł Bieliński — rzecz bardzo prosta i jasna. Królowa ma pierwsze prawo do tronu; kto wybrany zostanie, ożeni się z nią. Nie takli było z królową Jadwigą¹⁵?

Karwicki potrząsł głową.

— Prostsze to i pocziwsze serca owych czasów były — rzekł — dzisiaj ludzie bardzo zmądrzeli, na dobre i na złe rozumu zażywając. Kto tu odgadnie, co się stanie.

I podumawszy trochę, dołożył, obracając się ku rotmistrzowi:

— Powiadają, że króla Francji brat¹⁶ o koronę się stara, ofiarując zaślubić królową Annę, a u nas tu i głośno, i po cichu zaprzędanych niemało jest, którzy cesarskiego brata czy synowca popierają. Litwa cara moskiewskiego¹⁷ wziąć gotowa, aby od niego spokój miała. Są i tacy, co za pruskim książątkiem¹⁸ głosują.

— Zawczasu! Zawczasu! — z oburzeniem przerwał rotmistrz. — Czy się to godzi! Alboż to Bóg nie wszechmogący i nie może panu zdrowia przywrócić, żywota przedłużyć, a nawet syna dać w późnym wieku, jak Jagielle? Niedźwiedź w lesie, a ten na targ skórę niesie. O ludziska, ludziska!

— Wszystkiemu winni — dorzucił Karwicki — ci, co mu rozwodu dopuścić nie chcieli. Kardynał Commendoni¹⁹ najwięcej, bo się upierał dla czci cesarskiego domu nie rozłączać ich gdy Kościół w takich wypadkach choroby ciężkiej i wstrętliwej, niemożliwego pożycia, niejeden raz małżeństwa rozwiązywał i żenić się pozwalał.

Bieliński, krzywiąc się, nachylił do ucha obożnemu.

— A lepiej by było, gdyby wzięwszy rozwód, uparł się żenić z Zajączkowską²⁰?

¹⁵ k r ó l o w a J a d w i g a — (1373—1399) córka króla Ludwika Węgierskiego została po tegoż śmierci królową polską w r. 1384;

w r. 1386 wyszła za mąż za Władysława Jagiełłę, w. księcia litewskiego

¹⁶ k r ó l a F r a n c j i b r a t — występujący później w powieści Henryk Walezy (1551—1589), brat króla francuskiego Karola IX, został obrany królem polskim w r. 1573

¹⁷ c a r m o s k i e w s k i — mowa o Iwanie Groźnym (1530—1584)

¹⁸ p r u s k i e k s i ą ż ą t k o — mowa o Albercie Fryderyku (1553—1618); był on synem i następcą Alberta Starszego (pierwszego księcia pruskiego, ostatniego w. mistrza krzyżackiego); jakiś czas był obląkany

¹⁹ J a n F r a n c i s z e k C o m m e n d o n i (Commendone) — (1524—1584) kardynał i nuncjusz papieski w Polsce; istotnie udaremnił rozwód króla (zob. przypis 14); działalnością swoją w Polsce przyczynił się znacznie do powstrzymania rozwoju reformacji; starał się wprowadzić na tron polski arcyksięcia austriackiego jako następcę Zygmunta Augusta

²⁰ Hanna Zajączkowska — kochanka Zygmunta Augusta, który zabrał ją z dworu swej siostry Anny

Szeptał po cichu i szukał oczyma wejrzenia towarzysza, który wzrok wlepił w ziemię i głowę zwiesił na piersi smutnie.

— Była chwila, że się koniecznie napierał tej Hanny — dodał — a kto wie, czy i teraz jeszcze o niej nie myśli. Mówią, że ją po książęcemu wyposażoną trzyma w Witowie²¹. Za samo łóżko dla niej cztery tysiące dukatów zapłacono²². Panie Boże, odpuść! Gdyby z grobów wstali ci, którym Radziwiłłówniej dla króla było za mało, cóż by powiedzieli na Hanusię Zajączkowską?

Po krótkim milczeniu Karwicki się odezwał.

— Wszystkiemu temu bałamuctwu winni źli doradcy, nie on. Chcieli mu życie osłodzić babami, a nimi je zatruli. Niech Bóg przebaczy krajczemu²³ i podczaszemu²⁴, i innym pomocnikom, którzy mu miłośnicze wynajdywali, stręczyli i przywodzili. Zaczęło się od tej mieszcanki Basi Gizanki²⁵, która dziś kareta jeździ o czterech woźnikach²⁶; poszła za tym Zuzia Orłowska²⁷, aż napatrzili Hannę Zajączkowską między fraucymerem²⁸ królowej Anny, która teraz pokutuje za nią i łzy wylewa.

— Zniechęcał tak na koniec, że już własnej woli nie ma — westchnął rotmistrz — lada pacholę, jak ten Książnik²⁹, czyni z nim, co chce.

— Cierpieniem, troską, postrachem zgonu bezpotomnego tak się znużył, iż dziś dla świętego spokoju wszystko gotów poświęcić — począł Karwicki. — Niepoczcwi ludzie, gotowi zawsze ze wszystkiego korzystać, im gorzej go widzą, tym więcej naciskają, uprzykrzają się i łupią. Dotąd pono testamentu nie ma, a dla samych sióstr uczynić go powinien, aby im nie wydarło, co należy.

— Serce się kraje, myśląc o tym — dodał oboźny. — Ja, gdy rozważać zaczęłam wszystko, a odgadywać przyszłość, uciekam się do modlitwy, taki strach mnie ogarnia.

Bieliński rękę jego ujął.

— Sądziecie, że ze mną lepiej? — zawołał. — Nie ma pono w tym królestwie naszym jednego poczcziwego człowieka, który by jak my nie bolał. Jak w ulu, gdy matki zabraknie, co pocznie rój? Tak i z nami. Zabraknie nam króla i królewskiej rodziny, choć dziś boli na nią patrzeć, co się naówczas stanie z państwem naszym? Z jednej strony czyha na nie car moskiewski, z drugiej cesarz niemiecki, który już Węgrów i Czechów wziął, a na Polskę zęby ostrzy. Nie liczę Turka i Tatarów. Jak my się obronim bez wodza i głowy? Co naówczas się

²¹ W i t ó w — miejscowość koło Piotrkowa

²² Tak twierdził Mikołaj Mniszech (zob. przypis 24), gdy starał się uniewinnić przed Deputacją, która po zgonie Zygmunta Augusta badała sprawę rozgrabienia majątku królewskiego

²³ k r a j c z y — mowa o Jerzym Mniszchu (zm. w r. 1613), krajczym koronnym (za Zygmunta III został wojewodą sandomierskim), ojcu słynnej Maryny, która jako żona Dymitra Samozwańca zasiadła przejściowo na tronie carów moskiewskich; tytuł krajczego miał w Polsce urzędnik dworski, który w czasie uczt miał obowiązek krajania potraw u stołu królewskiego; z czasem urząd ten stał się tytularnym (zob. przypis 24)

²⁴ p o d c z a s z y — mowa o Mikołaju Mniszchu (zm. w r. 1697), staroście łukowskim, lwowskim itd., który podobnie jak jego brat Jerzy (zob. przypis 23) był w wielkich łaskach u króla Zygmunta Augusta; Mikołaj Mniszech był pierwszym komornikiem królewskim, ale nie posiadał tytułu podczaszego

²⁵ B a r b a r a G i z a n k a — kochanka króla Zygmunta Augusta; po urodzeniu mu córki król obdarzył Gizankę szlachectwem; po śmierci Zygmunta Augusta wyszła za mąż za kniazia Michała Juriewicza Woronieckiego

²⁶ w o ź n i k i — konie zaprzęgowe

²⁷ Z u z a n n a O r ł o w s k a — była przez 7 lat kochanką królewską

²⁸ f r a u c y m e r (z niem.) — damy dworskie

²⁹ K n i a ż n i k — pokojowiec króla Zygmunta Augusta, postać autentyczna

stanie z naszymi od wieków zdobytymi prawami i swobodami? Azali je poszanują obcy? Im potężniejszego wybierzemy dla bezpieczeństwa od nieprzyjaciół, tym dla nas on groźniejszy, bo mu nasze swobody będą solą w oku.

— Toteż wielu już dziś sądzi, że francuskiego królewicza, o którym gadki chodzą, że i on o koronę się stara, wziąć byłoby najbezpieczniej — odparł Karwicki. — Tylko znowu ci, co lepiej są poinformowani, prawią, że młokos jest i papinek³⁰, a nasza królowa, z którą by się żenić musiał, matką by mu być mogła.

Bieliński głową potrząsał.

— Statystą³¹ nie jestem — odezwał się — a na łaskę Bożą i natchnienie Ducha św. wiele liczę.

— Gdybyśmy na nie zasłużyli — dokończył oboźny.

— Bieda! — przerwał Bieliński.

— Ano, bieda! — powtórzył za nim Karwicki.

Ściemniało tymczasem trochę na dworze, a pod krużgankami noc prawie była. Na zamku mało gdzie ukazywały się światelka, ruch ustawał, cisza rozpościerała się głęboka dokoła. Z dała, jakby głosy nadziei, znad krzaków ogrodu nad Wisłą, od rzeki dały się słyszeć słowicze śpiewy, którym siedzący oba, milcząc, długo się przysłuchiwali.

Rotmistrz Bieliński wstał.

— Czas na spoczynek — odezwał się. — Przyszedłem tylko na zamek dowiedzieć się, czy król mnie nie potrzebował, bo mi kazał być pogotowiu.

— Cały ten dzień okrutnie cierpiał — odezwał się Karwicki. — Doktorowie o podróży radzili i nie uradzili nic.

— Ale z Warszawy musi precz jechać — przerwał rotmistrz — bo czasu moru miasto, to jak czasu pożaru śpichrz ze smołą. Zagnieździ się śmierć na długo. Musimy króla salwować³².

— Pewnie! Ale dokądże z nim? — zapytał oboźny.

Bieliński dumął, odpowiedzieć nie umiejac.

Stali tak jeszcze w cieniu, gdy od wrót, które na drugi podwórzec zamkowy mniejszy wiodły, szmer się jakiś dał słyszeć. Oboźny spojrzał i nie odzywając się, palcem tknął rotmistrza, ukazując mu na tę część krużganków, która kurytarzami wiodła do mieszkania chorego króla. Wieczornej zorzy odbłask we mrokach rozeznac dozwalał postaci, które furtą otwartą po cichu na zamek się wśliznęły. Trzy ich było.

Przodem szedł wysokiego wzrostu mężczyzna, płaszczem włoskim na ramię zarzuconym osłonięty, w kapeluszu z pióropuszem. Tuż za nim, rańtuchem³³ z głową okryta cała, posuwała się niewielka figurka, która niewiastą być musiała, sądząc z chodu i ruchów; za nimi postępował chłopak, wysmukły wyrostek. Szli cicho, na palcach, ostrożnie, oglądając się, przesunęli przez podwórze, dostali się do krużganków i we drzwiach wiodących ku izbie króla znikli.

Rotmistrz przypatrywał się ciekawie, zdając się objaśnienia oczekiwać od oboźnego, który milczał póty, aż się przychodzący nie oddalili w głąb kurytarzy.

— Król leży chory — rzekł — a to mu albo jakąś czarownicę, albo jednego z tych „sokółów”³⁴ poprowadzili, o których on sam teraz powiada po cichu, że one go zgubiły.

— Dziwna a najdziwniejsza rzecz — dodał wzdychając Karwicki — on sam jasno widzi, że się gubi, wie, że mu te kobiety żywot skracają, a oprzeć się pokusie nie może. Fogelweder i Ruppert przypisują mu leki apteczne; wieczorem starą babę, czarownicę, znachorkę sprowa-

³⁰ p a p i n e k — niewieściuch, pieszczoch

³¹ s t a t y s t a (z włos.) — polityk

³² s a l w o w a ć (z łac.) — ratować

³³ r a Ń t u c h (z niem.) — długa chusta kobieca

³⁴ „s o k o ł y” — tak król Zygmunt August nazywał swe kochanki

dzą, ta go okurza, omywa, zamawia, męczy, może truje³⁵! Ledwie się zbył więdźmy, biegnie Basia Giżanka, o córeczce powiadając, aby mu, póki czas, coś wydarła, choć dosyć już ma, aby sobie męża kupiła.

Ręce załamał oboźny rozpaczliwie.

— Koniec świata!

— Na Boga — podchwycił rotmistrz — od czegoż są panowie senatorowie, rada królewska! Winni go oni wziąć w opiekę. Cóż ksiądz podkanclerzy³⁶?

Zzymnął się, posłyszawszy o nim, oboźny.

— Ksiądz podkanclerzy! O sobie myśli, nie o panu — zamruczał. — Umiał on opanować umysł królewski, ale tylko tym, że namiętnościom schlebia i przez szpary patrzy na nie.

— Dreszcze po mnie przechodzą — zawołał Bieliński — gdy was słucham. Myślałem, idąc tu, że pociechę jaką wyniosę, a wyście mi jakby całunem świat cały oblekli.

— Co pomoże zabawiać się nadziejami próżnymi, gdy nad głową wisi miecz — odparł Karwicki.

— No, ale na dziś chyba dość tego — przerwał, obejmując przyjaciela, rotmistrz. — Ufajmy w Bogu! Mnie się wierzyć nie chce, aby nas miał pokarać tak srodze i wydać na łup nieprzyjaciołom.

— Nieprzyjaciołom — podchwycił oboźny — rotmistrzu miły! Nieprzyjaciołom byśmy się obronili, ale my sami sobie jesteśmy najgorszym wrogiem.

Bieliński, uszy zatykając, słuchać już nie chciał.

— Dość! Dość! Czołem, panie oboźny!

— Czołem, mój stary!

Uścisnęli się milczący.

Karwicki, jakby mu przyjaciela trudno opuścić było, powoli towarzyszył aż do bramy, lecz milczał już, idąc z głową spuszczoną.

Rotmistrz Bieliński, otwarszy furkę, rękę jego ścisnął i poszedł żywo ku miastu. Chwilę postawszy, Karwicki nazad do zamku powrócił, lecz nie siadając już na ławie, w głąb podworca, ku wewnętrznej bramie się skierował i miał wniknąć na wschody, około niej zewnętrzny muru przyczepione, gdy furta się otworzyła, a w niej ukazała się postać kobieca, której z dala zbrojny towarzyszył mężczyzna. Spostrzegłszy Karwickiego, kobieta chciała się cofnąć żywo, ale poznawszy go rychło, wróciła śpiesznie i syknawszy z cicha, śmiało się do niego zbliżyła. Twarzy kobiety, osłoniętej od stóp do głów płachtą ciemną, nie można było rozpoznać, ale pod tą osłoną niedbale zarzuconą czuć się zdawała zręczna i gibka postać, a głos srebrny, młody zadźwięczał.

— Oboźny!

— Dosia! — odezwał się Karwicki.

— A któż by był, jeśli nie ja? — odparła żywo przybywająca. — Gdyby nie pocziwy, stary Zegota, nie ważyłabym się z jednego podwórza zamkowego na drugie sama po nocy, bo i na królewskim zamku bezpieczeństwa nie ma, ale Zegota mnie wziął w opiekę, a królowna...

— Z czymże przychodzisz od królownej? — zapytał, zbliżając się, Karwicki.

³⁵ Po śmierci króla Zygmunta Augusta krążyły pogłoski, że go otruto.

³⁶ k s i ą d z p o d k a n c l e r z y — mowa o Franciszku Krasińskim (1925—1577), podkanclerzem koronnym (od r. 1569) i biskupie krakowskim (od r. 1572). Krasiński, kierując jako podkanclerzy kancelarią królewską, wywierał wielki wpływ na sprawy państwowe, w szczególności rozwinął żywą działalność przy dojściu do skutku unii lubelskiej w r. 1569. Był wolnomyślnym. Jako jedyny z biskupów polskich podpisał w r. 1573 akt o wolności sumienia, sporządzony w czasie konfederacji warszawskiej

— Z czym ja przychodzę? — odparła kobieta z odcieniem szyderstwa — zapytaj raczej po co, bo od nas nie ma co przynieść, chyba łzy. Królowna niespokojna, biedaczka, nie wspomnieliście królowi o niej?

— Nie było przystępu do niego! — odparł smutnie Karwicki.

Kobieta rozpaczliwie się poruszyła.

— A! Mój Boże, mój Boże! — poczęła narzekać. — Król o niej zapomniał, a u nas na wszystkim zbywa, panie obożny. Na wieczerzę trzeba było wyprosić u kupców bez pieniędzy, bo zapłacić nie ma czym. Królowna by ochotnie ostatek sreber zastawiła, ale tu na nas tyle oczów patrzy, dla czci królewskiego domu nie godzi się, więc woli głodem przymrzeć. Nikt nad nami litości nie ma. Co zawiniła ta biedna królowna nasza, iż jej król bratem a ojcem, i opiekunem, jak powinien, być nie chce, że się nieprzyjacielem stał?

— A! Nie mówcie tego — przerwał nagle Karwicki. — Nie godzi się. Serca on dla siostry nie stracił, źli tylko ludzie sprawili, iż żal do niej ma.

— Królowna winna żal mieć do niego daleko większy, bo jej się krzywda działa i dzieje — zawołała posłanka. — Dokoła głoszą, że król dla morowego powietrza wyjeżdża z Warszawy, cóż natenczas się stanie z nami? Nas też niepodobna dać na łup zarazie; a o czymże my podróż odbywać będziemy i dokąd się schronimy?

— Cierpliwości! Czekajcież! — zawołał Karwicki. — Ani dziś, ani jutro król nie wyjedzie. Nim to nastąpi, klnę się najuroczyściej, my go skłonimy do widzenia się i przejeżdżania z królowną.

— I do opatrzenia jej potrzeb — dodała żywo kobieta. — Na nas już i moru nie potrzeba, pozdychamy niebawem z głodu.

Obożny niby się uśmiechnął.

— Cóż? Myślicie, że ja po kobiecemu z muchy robię wielbłąda? — odparła przybyła. — Zapytajcież drugich, jak u nas jest. Gorzej by nie mogło być, gdyby królowna córką prostego ziemianina była, a toć przecie królewskie dziecię, siostra króla i królowych. Boże mój!

Zafrasowany, zgębiony milczał Karwicki.

— A! Dosiu moja — rzekł — ja to wszystko wiem. Z duszy bym rad dopomóc, nie ja jeden, Żaliński także, Fogelweder, ale do króla przystąpić trudno i sam na sam się z nim rozmówić. Przy trutniach się z tym odezwać, znaczyłoby popsuć sprawę.

Kobieta łamała ręce.

— A! Czekamy już długo na zmiłowanie! — westchnęła.

Obożny tarł czoło niecierpliwie.

— Gdybyście wiedzieli, jak mi do was trudno było iść, z jakim ja tu biegłam strachem — mówiła dalej — ano, musiałam, bo nikt inny nie mógł, nie chciał. Królowna by też może nie-rada lada komu się zwierzyć z nędzą swoją. Pokrywa ją, jak może, aby się ludzie z niej nie naigrawali. Mnie na odwadze nie zbywa, choć z rozpacz, gdy na królownę, panią moją, do-brodziejkę patrzę, poszłabym już choć i bez Zegoty!

— No, no! — odparł Karwicki. — Sama się tak nie wrywaj! W mieście, koło zamku i na zamku ludzi różnych, włóczęgów dosyć, pod noc biedy napytać łatwo.

Obejrzał się po niebie.

— Wracaj no, wracaj — rzekł.

— Z czym? — zapytała kobieta.

— Z tym, że jutro albo ja, albo Żaliński powiemy królowi, przypomnimy królownę i skło-nimy go do zgody.

— Do zgody; — powtórzyła cicho oczekująca. — Do zgody! Boże miłosierny! Mógłże kto przewidzieć, że między bratem a siostrą powstać może niezgoda i o co?

— No, dobrej nocy i szczęśliwej drogi — zamknął jej usta obożny.

— Do jutra — zakończyła uparta dziewczyna, nie ruszając się z miejsca — do jutra, bo ja przyjdę jutro i dopóty chodzić będę, aż coś wykołaczę.

— Do jutra! — powtórzył obożny, który do furty się zbliżył, otworzył ją i wypuściwszy kobietę, prędko za nią zasunął.

Spojrzał w górę po oknach zamkowych. W tę stronę wychodziły komnaty królewskie. W dwóch oknach, zasłonami półprzezroczystymi zapuszczonych, czerwonawe światło przebijało się przez nie słabo. Czasami cienie jakieś po nich się przesunęły. W tych izbach spoczywał na łożu tęsknicy i boleści ostatni męski rodu Jagiellońskiego potomek — Zygmunt August. U wezglowia jego nie miłość i przywiązanie, nie wierne serca i ludzie oddani mu czuwali, ale chciwe dłonie, wystygłe piersi, nienasycone żądze.

Szybkim krokiem od wrót zamkowych oddaliła się posłanka na drugie, ciche podwórze, które budowle starsze i mniej foremne otaczały, ciągnęły się tu mury głównej budowy, połączone z nią, a pomiędzy nimi przejścia, wschodki, galeryjki, sklepienia świadczyły, że wieki kłębiły to gniazdo, a każde pokolenie uścielało je wedle potrzeby.

Ciemnymi zaułki szła śmiało posłanka, a stary Zegota, kord trzymając w ręku pogotowiu, towarzyszył jej aż do oddzielnego dziedzińcyka, który budowę jedną opasywał. W murze były i tu wrota. Zbrojny stróż zapukał do nich, wpuszczył dziewczę i nie mówiąc słowa, sam poszedł dalej. Naprzeciw powracającej Dosi, z kagankiem w ręku wyszła niemłoda kobieta, przygarbiona nieco, odziana ubogo, z twarzą jakąś wypłakaną i smutną.

— Królowna? — zapytała Dosią.

— Układliśmy ją do snu — szepnęła stara. — Znowu to oko rwało i głowa ją bolała strasznie. Żalińska materacyk położyła z rumianku, obwiązaliśmy chustynką szafranową³⁷. Bóg wie, ulży jej może! No a król?

Dosią poruszeniem głowy dwuznacznym odpowiedziała, jakby o nim niewiele co mówić było.

Zatrzymały się tak obie w podwórku, którego mur jeden wychodził w stronę Wisły i ogrodu, a ponad nim zielone drzew i krzewów gałęzie widać było. W budynku, przed którym stały, nie świeciło się nigdzie, stał czarny ze swymi murami, gdzieniegdzie z tynku pozdzieranymi.

— W izbach u nas, jeżeli nie zimno, to za duszno — odezwała się przybywająca Dosią — a tu powietrze wiosenne takie miłe, nie chciałoby się do komory, bo i sen powiek się nie ima.

Stara kobieta, która kaganek osłaniając ręką, na swą towarzyszkę patrzyła ciekawie, szepnęła cicho:

— Kto go tam wie, gdzie teraz bezpieczniej? Powietrze wiosenne zawsze zimnicę daje, ano i mór idzie, człowiek boi się nawet oddychać. Lada wiatr przynieść może lichu.

— A! Wstydzę się, Madejowa! — żywo przerwała jej Dosią. — Powietrze, powietrze! Jakby to czasu moru Pana Boga nie było, bez którego woli człowiekowi włos nie spadnie z głowy. Ja się moru nie boję, a każe Bóg życie dać, wola Jego!

Stara zaczerwienionymi oczyma ciekawie, z poszanowaniem spojrzała na dziewczynę.

— A! Wy bo się niczego nie boicie, nikogo nie lękacie — szepnęła. — Ale niemal wszyscy młodzi tak śmiałkują, dopóki ich życie trwogi nie nauczy. Nie igraj i ty, abyś się nie dograła.

W tej chwili blask kaganka padł na twarzyczkę śmiałej dziewczyny i całą ją czarodziejsko oświecił. Czy światło to uczyniło ją tak piękną? Stała, słuchając i patrząc na starą z takim

³⁷ s z a f r a n o w a — napojona szafranem; szafranu używa się też w lecznictwie

wyrazem męstwa i ufności w Bogu i sobie, a tak jej z tym było heroicznie³⁸ pięknie, iż zdawała się jakąś nadziemską, przez malarza wymarzoną istotą, zjawiskiem, które chwilę błysnąwszy, zniknąć i w mrokach rozpląnąć się miało. Ta nadzwyczajna piękność Dosi musiała się nawet starej babusi wydać zachwycającą, gdyż mimo woli wykrzyknęła:

— A! Jaka ty jesteś piękna!

Dosłyszała Dosia tych słów cichych, zwiesiła główkę smutnie, brwi się jej ściągnęły i rzekła tęskno:

— Pan Bóg mnie tą pięknością pokarał, na co się ona zdała?

Stara, przypomniawszy sobie kaganek, który trzymała w rękach, dmuchnęła nań i zgasiła. Ciemność otoczyła je.

— A Żalińska? — zapytało dziewczę.

— Siedzi przy królewnie, pilnując, czy się nie przebudzi, a nie zapotrzebuje czego.

— Gdzież reszta dworu?

— Rozeszli się, gdzie który chciał albo musiał — mówiła stara. — Niektórzy już i chrapać muszą.

— Idźże i ty zasnąć, moja Maciejowa — dokończyła Dosia. — Mnie się chce się jeszcze trochę tu na ławie, u drzwi i spocząć na świeżym powietrzu, w komorach mi jakoś duszno. Sen nie bierze.

Posłuszna Maciejowa, milcząc, z kagankiem wsunęła się po cichu we drzwi, a Dosia, z głowy na ramiona opuściwszy rątnuch, zbliżyła się ku ścianie, znalazła ławę i siadła na niej, ręce na kolanach załamawszy.

Cicha noc majowa, która nawet o północy nigdy zbyt czarną nie jest, miasto i zamek usypiała. Z każdą chwilą milczenie stawało się uroczystsze, szmery dolatujące z dala rzadsze i słabsze.

Dosia z oczyma wlepionymi w niebo dobytek różaniec i miała się zacząć modlić, gdy blisko niej, zza węgła kroki słyszeć się dały. Z niechęcią i obawą zwróciła wzrok w tę stronę, lękała się, aby natręt jaki nie spłoszył jej z tego kąta, w którym spocząć sobie obiecywała. Chód był powolny, stąpanie dawało poznać mężczyznę. Wkrótce też zza węgła wyszedł słuszny, silnie i foremnie zbudowany, zręcznie się poruszający człowiek, otulony narzuconą na ramiona opończą, z głową nakrytą małą, od niechcenia włożoną magierką³⁹. Krokiem powolnym posuwał się naprzód zadumany. Chociaż twarzy rozpoznać nie było można, Dosia zobaczywszy go, zerwała się uciekać, gdy nadchodzący obejrzał się, poznał ją i uchylając czapeczki, rzekł cicho:

— Niechaj panienka nie ucieka, ja pójde precz.

Głos był łagodny i sympatyczny, Dosia przysiadła na ławeczce, mruczając:

— Będę przecież musiała iść, bo mi po nocach w rozmowy wdawać się nie przystało.

— Ale ja dla porządku obejść muszę dokoła, aby się ludzie nie rozpuszczali — rzekł, zatrzymując się mężczyzna.

Dziewczę nie odpowiedziało i słyhać tylko było paciorki różańca, uderzające o siebie w jej rękach.

Mężczyzna stał, odejść mu się jakoś nie chciało.

— Ani we dnie, ani wieczorem, nigdy mi panna Dorota rozmówić się z sobą nie pozwala! — westchnął. — A tak bym tego pragnął.

— Przynajmniej nie dziś i nie tu pora do rozmowy — niecierpliwie i prawie gniewnie odparło dziewczę. — Idź pan swoją drogą, a nie, to ja będę musiała.

— Idę już, idę — zawołał mężczyzna — ale na rany Chrystusowe, kiedy ja będę miał to szczęście...

³⁸ h e r o i c z n i e (z grec.) — bohatersko

³⁹ m a g i e r k a (z węg.) — czapka węgierska

Nie dała mu dokończyć dziewczyna.

A! Szczęście! Co za szczęście! Nigdy! nigdy! — zawołała nadąsana, zerwała się z ławki, wpadła we drzwi i zatrzęsła je za sobą.

Mężczyzna machinalnie poprawił czapeczkę na głowie, ujął się za wąs i pokręcił go, przebaknął coś i szedł dalej powoli obejrzeć podwórze i otaczające go stajnie i szopy. Z wolna tak, bacznie przesuwając się, nasłuchując, pomiędzy budowlami, popróbował gdzieś drzwiami i wrót, zaglądnął do komórek półotwartych, z których go dochodziło chrapanie, i okrążywszy budynek, drugą stroną od tyłu wszedł do głównego korpusu⁴⁰, przez sień ciemną zdążając do komory, w której się świeciło.

Choć ciepło już było na dworze, tu na kominie palił się jeszcze ogień dogasający, nie dla ogrzania izby, ale dla oczyszczenia wilgotnego powietrza i dla światła naniecony. Izba była dosyć przestronna, sklepiona, czysta, wybielona świeżo, z podłogą posypaną tatarakiem i jedlinką, których woń czuć się w niej dawała. Dwa tarczany⁴¹ stały u dwóch jej ścian przeciwnych, a stół prosty pomiędzy nimi w pośrodku. Po kątach jakby w gospodzie podróżnej tłumoki i skrzynki widać było, uprząże, siodła i wojski na kupę zrzucone. Na stole leżał kaganek, a blask dogorywającego ognia chwilami oświecał komorę, podobną do jakiejś izby klasztornej. Na jednym z tarczanów, opończą okryty, zwinięty w kłębek leżał człowiek, który posłyszawszy drzwi skrzyknięcie, podniósł głowę na pół łysą, z wąsami ogromnymi, z policzkami obwisłymi i znużonymi, zapadłymi oczyma. Zobaczywszy wchodzącego już się, na drugi bok obróciwszy, spać chciał kłaść, gdy usłyszał z piersi jego dobywające się westchnienie ciężkie. Ziewnął, podniósł się, wyciągnął, oczy przetarł, splunął i usiadł na łóżku.

— Waść, mości Talwoszu, wzdychasz tylko a wzdychasz, piersi sobie mordujesz, do czego się to zdało?

— Myślisz, mój miły Bobolo⁴², że ja to z dobrej woli czynię? — odparł przychodzący, który rzuciwszy opończę i czapeczkę na swój tarczan, zbliżył się do ognia, aby go poprawić, i pokazał się młodym i przystojnym, męznego wyrazu twarzy człowiekiem.

— Gdzieżeś znów, u licha, po nocy wędrował? — zapytał Bobola, ziewając. — Masz jakiego języka? Dopytałeś co?

— Tyle tylko, że najrzał Dosię, która mnie połajawszy, uciekła — rzekł młody Talwosz. — Obszedłem szopy i stajnie, bo dziś nikomu wierzyć nie można, wszystko się rozprzega.

To mówiąc, gdy raz jeszcze westchnął, Bobola splunął gniewnie.

— Panna Dorota ci w głowę zajechała! — odezwał się. — Rozumu nie masz! Albo to pora o amorach myśleć, gdy taka bieda dokoła i na śmierć się raczej sposobić potrzeba, bo nas tu dalej, dalej powietrze wszystkich podusi w tych murach.

— Niechaj by już, niechaj! — machając ręką rozpaczliwie, odparł Talwosz — mnie, dali-pan, życie zbrzydło.

— Dla jednej podwiki⁴³! — zawołał z oburzeniem stary Bobola. — Ale, wstydziłbyś się. Przecież panu Talwoszu, nie lada szlachcicowi, dobrego rodu, o innej przyszłości i krescy-

⁴⁰ k o r p u s (z łac.) — tu w znaczeniu: środkowa część gmachu

⁴¹ . t a r c z a n y — tapczany

⁴² B o b o l a — o tym nazwisku był na dworze Zygmunta Augusta ulubiony tegoż dworzanin, imieniem Andrzej (1645—1617). Był on następnie sekretarzem króla Stefana Batorego, do wielkiego znaczenia doszedł za Zygmunta III. Kraszewski nie wymienił w powieści imienia wprowadzonego przez siebie Boboli, zaznaczył tylko, że był on koniuszym (którym nie był rzeczywisty Andrzej Bobola). Ponadto u Kraszewskiego Bobola jest w roku 1572 starym już człowiekiem

⁴³ p o d w i k a — kobieta

tywie⁴⁴ myśleć by się godziło, a nie świat sobie zawiązywać jedną taką dzierlatką, u której tylko tyle, że liczko krasne.

— Jak Bóg miły ci, Bobolo — przerwał młody — zaklinam, nicze mi przeciw niej nie mów! Klnę się gardłem, drugiej takiej chyba nie ma na świecie!

Siedzący na łóżku, przygarbiony, rozespany Bobola, który obie ręce trzymał oparte o krawędź tarczana, podniósł z wolna, oczy na towarzysza. Patrzył, patrzył i minę zrobił wyrażającą politowanie, jakby chciał mówić: „Żal mi cię, biedaku! Do tego to już przyszło?”

— Słuchaj, Talwosz — odezwał się głośno. — Dotąd sądziłem, żeś ty się tak mimochodem zadurzył w niej, jak to się co dzień młodym zdarza, a jutro, gdy cię królowna na Litwę odprawi, wywietrzeje to z głowy, ale ty naprawdę szalejesz.

— A, naprawdę, naprawdę! — potwierdził Talwosz, który siadł u ognia na niskiej ławeczce. — Mów sobie, co chcesz, mój koniuszy, łaj mnie, kiedy wola, Dosi drugiej, równej jej nie było i nie będzie.

— Urodą, rozumem, dowcipem, nie ma co mówić — zawołał Bobola — przechodzi inne, co prawda, prawda. Ale ja w dziewczynie tej śmiałości, tego zuchwalstwa, tego rwania się naprzód nie lubię. Na Kozaka patrzy.

Talwosz głową potrząsał.

— Rycerskiego ducha niewiasta! — zawołał z uniesieniem.

— Dziewczynie młodej ten duch nie przysłał — odparł Bobola surowo.

— Teraźniejszego czasu i kobietom serce urasta, tak nas bieda przygniotła, a my zniedołężnieli — począł Talwosz. — Ale posłuchaj, Bobolo, dobrze, że się o tym zgadało. Tyś się już przespał, a mnie się wcale spać nie chce. Obiecywałeś mi tyle razy o tej Dosi relację. Ja nie od tak dawna na dwór przybywszy, tyle tylko wiem, że ją królowna wychowała, że ją lubi, a ona za swą panią życie dać gotowa. Ale skądże ona!? Co ona?

Bobola, nie ruszając się z łóżka, poprawił się tylko i usiadł wygodniej.

— Prawdą a Bogiem — począł — ja przeciw niej nie mam nic, ale mi żal ciebie, bo ty naprawdę myślisz o niej, a ona, choćby jak piękną i pocziwą była, za żonkę nikomu się nie zda. U nas żona, prawda, męstwo musi mieć i rozum, gospodarną być, ale my się ciągle po świecie włóczymy, ona za nas i za siebie gniazda powinna strzec i spokojnego ducha w sobie piastować. Na naszych żonach wszystko, ale w domu. Tej domu będzie mało. Szlachcic u siebie na wsi gościem. Jak nie na pospolite ruszenie, to na komisje, na deputacje, na zjazdy, na urzędy iść musi. Póki korda dobyć ma siłę, z konia nie zsiada. Więc jejmość koło domu, koło roli, koło interesów i do sadu, i do robotnika musi iść, i za męża, i za siebie, i do tańca, i do różańca.

Talwosz nie przeczył i nie odpowiadał.

— Myślisz, że taka twoja Dosia na wsi we dworze wytrzyma? — dodał Bobola.

— Ona? — wyrwało się Talwoszowi. — Ona z siebie uczyni, co zechce! Ale daj pokój, nie o tym mowa. Obiecaliście mi o niej coś więcej powiedzieć, niż ja wiem, bądźcież łaskawi.

Bobola głowę pocierał.

— Gdyby cię to mogło wyleczyć z tej nedorzeczej miłości — westchnął. — Co ja wiem, czemuż bym ci powiedzieć nie miał? Nikt mnie o tajemnicę nie prosił. Znacie naszą królową Annę? Serce ma złote, a szczęścia do ludzi ani za grosz. Piękna była i jest jeszcze nieszpętną, a oto jej już pięćdziesiąty podobno roczek dochodzi, nikt się prawie o nią nie starał. Inne, młodsze przed nią powychodziły⁴⁵. O tę się nikt ani dowiedział. Król nasz August losem się jej nie zajął, ona o siebie nie troszczyła się.

⁴⁴ k r e s c y t y w a (z łac.) — kariera, poprawa bytu

⁴⁵ Córka króla Zygmunta I Starego i Barbary Zapolskiej: Jadwiga (1513—1573) wyszła za mąż w r. 1535 za Joachima, elektora brandenburskiego. Z drugiego małżeństwa Zygmunta I z Boną były następujące córki: Izabela (1519—1599), Zofia (data urodzenia nie znana, naj-

— Katarzyny, królowej szwedzkiej, losu nie ma pono co zazdrościć — przerwał Talwosz — ta się mało nie na śmierć zamęczyła, nim doszła przez więzienie ciężkie do królestwa. A mało co, że ją carowi moskiewskiemu nie wydał ten szalony Eryk.

— Ale wszelako dziś króluje — odparł Bobola. — Zofia wyszła też niegorzej za Brunświckiego, o innych nie mówię, ta została na koszu. Co by ją brat, sierotę, miał kochać więcej, dziś przyszło do tego, że o tę Zajączkowską się pogniewawszy, gadać do niej nie chce.

— Ale cóż to wszystko ma do Dosi? — zapytał Talwosz.

— No, poczekaj, to jest *exordium*⁴⁶ — mówił spokojnie Bobola. — U naszej królowej ni- by to dla usługi, a w rzeczy przez litość pobranych, zawsze sierot i wychowanic bywało do- syć, co je utrzymywała, uczyć kazała i wyposażała. Wszak i ta Zajączkowska... ale dać jej pokój. Otóż byliśmy, pomnę, w Krakowie, lat temu, nie pamiętam ile, będzie około dziewię- ciu może, gdy raz, przyszedłszy z miasta, stara Zakrzewska, która naówczas ochmistrzynią była przy fraucymerze, powiada królowie: „Tom ci na mieście cudne dziecko, dziewczyninę widziała, choć malować. Gdyby aniołek piękna, ale odarta, w łachmanach, żal się Boże, jak zbiedzona. Szlachcic ją tu przywiózł, przez miłosierdzie wzięwszy z odbitych Tatarom jeń- ców. Nikt się do niej nie chciał przyznać. Rad by ją, słyszę, komu oddać, ale nikt się nie zgła- sza”. Spojrzała na królową, która natychmiast odpowiedziała:

„Kaźcie tego szlachcica z dzieckiem za zamek przywołać”.

Zakrzewska, litościwego też serca kobieta, pchnęła zaraz pacholika na miasto. W godzinę może przyszli królowie oznajmić, że szlachcic z dzieckiem w antykamerze⁴⁷ stoi. Wybiegli- śmy wszyscy patrzeć, bo nas opowiadanie zaciekało.

Dziecko wychudzone, sińcami okryte nędzne było bardzo, mogła mieć około lat dziesiątka. Ale mimo nędzy i brudu twarzyczkę miała tak piękną, że się płakać chciało nad tym, co to stworzenie śliczne wycierpieć musiało. Szlachcic, który ją porzuconą, na pół nagą wziął, nie miał nawet czym okryć, więc zgrzebnymi łachmanami była odziana i w starą, obciętą opończę otulona, której po pas starczyło jej za pięty.

Zapytała królowa, skąd ją wziął.

Począł opowiadać, że niedawno Tatarom jeńców nad Tykiczem⁴⁸ odbito, a między nimi i ta sierotka się znajdowała. Domyślano się z tego, co dziecko samo o sobie opowiadało, i z innych poszlaków, że było córką niejakiego Sochy—Zagłoby, których tam dwu braci, z Ma- zowsza wywędrowawszy, na kresach się osiedliło. Temu Sosze—Zagłobie jednemu Tataro- wie dwór spalili, żonę zabili, jego zamęczyli w niewoli, a o dziecku sądzono, że je ten sam los spotkał. Gdy dobrze później jeńców odbito w stepie, znalazła się w rękach tatarskich dziew- czynina. Pamiętała o sobie, że ją Dosią zwano, że we wsi Mchowie⁴⁹ rodzice mieszkali, i miała drewniany krzyżyk jakiś na sznureczku u szyi.

Obok Mchowa, w drugiej osadzie, brat tego Sochy—Zagłoby ocalał był, w czas zbiegłszy, ale gdy mu synowicę przyprowadzono, wcale się do niej przyznać nie chciał ani ją znać, cho- ciał po bracie Mchów zagarnąć. Krzyżyk drewniany, który miała na szyi, służył mu właśnie

młodsza z córek, zm. w r. 1575), Anna (ur. w r. 1523) — bohaterka powieści Kraszewskiego, Katarzyna (1526—1583). Izabela wyszła za mąż w r. 1538 za Jana Zapołtę, księcia siedmio- grodzkiego. Zofia poślubiła w r. 1556 księcia Henryka brunswickiego. Katarzyna wyszła za mąż w r. 1562 za Jana Wazę, brata króla szwedzkiego Eryka. Eryk, podejrzewając Jana Wazę, księcia finlandzkiego, oraz jego żonę Katarzynę o zdradę, uwięził oboje. Uwolnienie ich na- stąpiło w r. 1567, gdy jawny obłęd Eryka dał powód do usunięcia go z tronu. Królem szwedzkim został po nim Jan Waza. Katarzyna została ukoronowana w r. 1569 w Upsali.

⁴⁶ *e x o r d i u m* (łac.) — początek

⁴⁷ *a n t y k a m e r a* (nowołac.) — przedpokój

⁴⁸ *T y k i c z* — rzeka w okręgu kijowskim; Tatarzy mieli przeprawy przez brody na tej rzece

⁴⁹ *M c h ó w* — miejscowości takiej na kresach nie podaje *Słownik geograficzny*

do dowodzenia, że musiała być chłopką, kiedy kijowskiej roboty krucyfiks na piersiach nosiła. Szlachcic, który się od stryja tego nagrody spodziewał, oberwał łajanie i nie wiedząc, co począć z sierotą, przywiózł ją naprzód do Lwowa, potem do Krakowa, rad się zbyć, bo nieżonaty był, nie miał domu ani łomu i sam służby szukał.

Królewna ani się namyślała, kazała mu kilka czerwonych złotych dać, a Zakrzewskiej dziecko wziąć. Obmyto je, uczesano, nakarmiono, a Anna królewna bardzo pokochała wychowanicę. Gdy biedactwo odżyło, wypytywano je o przeszłość, o niewolę, ale było tak przemęczone, schorowane, przybite obchodzeniem się okrutnym, że mało co zachowało. Mówiła tylko, że imię swe Dosi pamiętała i że rodzice jej na wsi jakiejś, którą po swojemu opisywała, mieszkali. Z bałamutnych tych dziecka wspomnień mało co było można wyciągnąć, nawet to rzecz bardzo niepewna, czy w istocie tego Sochy—Zagłoby córką była, ale ją tu przyjęto i nazwano Dorotą Zagłobianką.

Gdy to biedactwo potem odżyło, dopieroż niemal cudownie rosnąć, pięknieć i rozwijać się jęło tak, że królewna się nią nacieszyć nie mogła. Poszły stąd pieszczoty wielkie i niepotrzebne dogadzanie. Zachciało się dziewczynie uczyć, królewna sama nauczyła ją po włosku, Francuz, który pod czas był przy ogrodzie, po francusku, a żartem i na podziw ks. Niedźwiecki zaczął po łacinie. Na co się to wszystko zdało? Chyba, żeby się jej w głowie przewróciło. Umiejąc języków tyle, zażądała niemieckiego; królewna jej się o Niemkę postarała. Szczęście jeszcze, że po turecku i po tatarsku nie zechciała się uczyć, boby jej i tego nie odmówiono. A z tatarskiego języka dotąd, słyszę, pamięta coś niecoś. Pisze tak pięknie, że mogłaby w kancelarii służyć. Jakże potem nie miała zdumnieć i nabrać pychy, gdy się jej wszyscy dziwić zaczęli, a rozum jej wychwalać i piękność przy tym? Tatarowie też, kumysem⁵⁰ pojąc, włali w nią krew taką dziką, że jej pohamować trudno.

Otóż ją macie, jaką dzisiaj jest. Zagłobianka, szlachcianka! Ale stryj jej znać nie chciał, pewno nie bez powodu. Kto wie, co za jedna? Tyle tylko pewne, że Dosi...

— No i to — dodał Talwosz — że drugiej takiej Zagłobianki czy Dosi nie ma na świecie. Wyrzucacie jej, że się górą nosi, co za dziw! Niechże druga temu co ona sprostą? Złego przecie nic jej zadać nie możecie?

— Dla siebie najgorsza — mówił dalej spokojnie Bobola. — O swoją przyszłość cale nie dba. Za królową życie gotowa dać, ale się rwie nie do swoich rzeczy, nawet pani nasza pohamować jej nie może.

— Za to jej naganić nie można — odparł Talwosz — iż się przywiązała i chce wdzięczność okazać. Tu wszyscy głowy potracili, królewna płacze tylko i narzeka, ta jedna ani odwagi nie traci, ni na chwilę nie odpoczywa.

— A do czego się to zdało? — spytał Bobola. — Lata, biega, wciska się, ale cóż zrobić może? Nastęrcza się na posła, gotowa w największy ogień, a nie robi nic, tylko się jej ludzie dziwią i pod czas wyśmiewają.

— Mój Bobolo miły — począł Talwosz po chwilce namysłu. — Coś mi miał serce odjąć dla niej, toś chyba przysporzył. Dokaże ona co czy nic, nie w tym rzecz; podziwiać trzeba i męstwo, i rozum, i wdzięczność dla królowej.

— I szaleństwo — dorzucił Bobola. — Zważże sam. Dziewczyna piękna jak anioł, oczy rwie, wie o tym i pięknością się tą posługuje, naraża. Wyjdzieli cało? A ludzie zawsze paplać będą.

— Znajdzie się za nią ująć komu — zamruczał Talwosz.

— Tak jak i dziś wieczór — mówił dalej Bobola — sama jedna do oboźnego na zamek, do króla, gdzie lud rozpuszczony. Gdzie to kto słyszał? Ale ona się nie złęknie nikogo. Biskup, senator, żołnierstwo, ciżba, hałastra, ani się zawaha, ani drgnie.

⁵⁰ k u m y s (wyraz pochodzenia tatarsko—mongolskiego) — napój z mleka kłaczy (rzadziej krowy), poddany fermentacji, zawierający alkohol

— A wszystko to robi dla królowej — przerwał Talwosz — bo ona sama nikogo nie potrzebuje i zbliżyć się nawet nie da do siebie. Powiedźże, Bobolo, nie piękna to wdzięczność?

— Bodaj piękna, ale nierozumna i bez pożytku — mówił Bobola i rozśmiał się. — Co chcesz? Gotówem ją nazwać heroiną⁵¹, ale właśnie przez to na żonę nie stworzona, a ty się bez miary rozmiławujesz i głowę tracisz.

Zamilkł Talwosz, ale wcale nie okazywał, żeby był przekonany.

— Teraz — odezwał się po namyśle — pozwól mnie słowo rzec. Czy ja się kocham w niej, czy nie, to moja rzecz, ale ten sam mam sentyment dla królowej, co ona. Albo się to serce nie rozdziera, patrząc na tę nieszczęśliwą panią? Takiego rodu dziecię, królów córka, wnuczka, prawnuczka, królów siostra i królowych, dziś sierota, opuszczona, sama jedna, biedna tak, że dla kawałka chleba srebra musi potajemnie zastawiać. Albo to nie okropna pomyśleć o jej losie! Gdy na którego z nas biedaków, pospolitych ludzi, padnie takie nieszczęście, toć jeszcze! Ale pomazańców bożych dziecko! W takim osieroceniu, pod taką dołą ciężką! Nie powinniśmyż wszyscy się ująć za nią, a choćby ginąć dla niej!

— Tęgiś — przerwał Bobola. — My, my! A cóż my możemy, choćbyśmy i poginęli?

— E, e! — wyrwało się Talwoszowi. — My, my! Toć przecie szlachta jesteśmy, a w królestwie tym coś znaczymy. Ani ty, ani ja nic nie zrobimy, ale trzeba budzić i nawoływać. Pannowie senatorowie klucze trzymają, my pięści mamy.

— O ho, ho! — zakrzyknął Bobola. — Daleko idziesz! Pleć tylko tak, pleć, i królowie się przysłużysz, i sobie.

— Nie może być, ażeby sprawiedliwości nie było na świecie! — wołał Talwosz rozgądkowany.

— Czekajmyż na nią!

— A tymczasem królowa Anna, bez opatrzenia, głodem niechaj mrze i ze wstydu, że ją poniewierają! — wykrzyknął Talwosz. — Cóż tu się dziwować, że dziewczyna głowę traci, patrząc na to! Mnie się też wnętrzości burzą.

Porwał się Talwosz i żywo po izbie biegać począł.

— Trzeba radzić! Nic nie pomoże. Bobola się ironicznie uśmiechał.

— Gdyby cię ksiądz podkanclerzy Krasiński do rady wezwał — rzekł — nieźle by było, ano, wątpię, żeby mu to na myśl przyszło.

Talwosz stał zadumany ponuro.

— Patrzajże — odezwał się, jakby żarciku Boboli nie dosłyszał — lada dzień stąd chorego króla wywiozą do Tykocina⁵² lub Knyszyna⁵³ Bóg wie, dokąd; cóż się naówczas z królową stanie? W Warszawie pozostać, gdy tu powietrze albo już przyszło, albo jutro nadejdzie, niepodobieństwo, bo to wyrok śmierci na nią. Dokądże wyjedziemy i o czym?

— Nie wiem — odparł Bobola — ale mi się widzi, że ani ty, ani ja, ani piękna Dosia Zagłobianka, choćby latała do pana Karwickiego, do Żalińskiego, do podczaszego nawet, nie uczynimy nic. Na to trzeba większej siły. Więc po co się rwać?

Talwosz zwątpiwszy, ażeby towarzysza przekonał, tchnął piersią całą i rzucił się z impetem wielkim na swój tarczan.

Bobola z wolna wstał, poszedł do dzbana wody sobie nalać, napił się, wasy otarł i nic nie mówiąc, legł także na posłanie.

W komnacie ogień, jakby czekał na to, przygasł zupełnie i karmazynowe tylko węgle spod popiołu jak rubiny świeciły.

⁵¹ h e r o i n a (z grec.) — bohaterka

⁵² T y k o c i n — miasto na Mazowszu, nad Narwią; zawdzięcza swój rozwój szczególnej opiece Zygmunta Augusta, który tu często przebywał

⁵³ K n y s z y n — miasteczko w pobliżu Białegostoku; był ulubionym miejscem pobytu Zygmunta Augusta, który zmarł tu 7 lipca 1572 r.

Gdy z rana wstawszy, Talwosz się ubrał i wyszedł się około dworu rozpatrzyć, ranniejszą jeszcze od siebie Dosię Zagłobiankę znalazł już stojącą w progu, na rozmowie z ochmistrzynią i starą sługą królowej Żalińską. Szeptaly obie, tak smutne mając twarze, iż Talwoszowi na myśl przyszło spytać, czy się co złego nie stało. Dosia Zagłobianka, cała czarno ubrana, ale w smutnej tej odzieży tak cudnie piękna, iżby ją nikt za sługę nie wziął, ale za wysokiego rodu panią, z pańską też dumą nosiła strój ten skromny i ubogi.

Po dniu dopiero ta piękność, o której sobie wczoraj rozpowiadali Bobola z Talwoszem, w całej swej świetności się okazywała. Czarnowłosa, czarnooka, biała, ale z odcieniem jakimś płci brunatnym, świeża, rysy miała nadzwyczajnej czystości i wielkiego wdzięku, chociaż coś w nich niemal męskiego, zuchwałego, dziwnego w tak młodym dziewczęciu uderzało. Dumna była i wyzywająca, jakby nieustannie bronić się była zmuszoną. Twarzyczka zawsze piękna, pod naciskiem myśli i uczuć mieniała się co chwila i była w ciągłym ruchu, to się rozpogadzając, to zachmurzając na przemiany. Kibić, włos bujny, rączka i nóżka, wszystko odpowiadało obliczu. Zdawała się jakąś przebraną księżniczką, tak wybitnie arystokratyczną miała powierzchowność, chociaż się nie starała o nią.

Talwosz, na którym czyniła wrażenie istoty jakiejś wybranej, stawał się przy niej pokornym i nieśmiałym, choć mu zwykle na energii nie zbywało.

Żalińska, ochmistrzyni, z dawna przy królownie Annie w usługach będąca, była jedną z tych, długą powolnością zepsutych sług, które przewodzą i dziwaczą, więcej o sobie niż o pani myślą, mało się na co zdają, a wiele kosztują. Anna królowna ulegała jej przez wdzięczność i z nałogu, obawiała się nawet, dawała na siebie gderać i wyrzekać i wszystko od niej przyjmowała. Ona, mąż, syn więcej na dworze przewodzili, niż należało, a wiernością swą i przywiązaniem oczy nieustannie wykałali.

Rozmawiały z Zagłobianką po cichu, nachylone ku sobie, zajęte czymś mocno i strwożone; Żalińska jak zawsze skarżyła się na królownę, broniła jej Dosia, gdy Talwosz przybliżył się do nich z zapytaniem.

— Nie ma tam co nowego, na co by radzić potrzeba? Nie mogę ja służyć czym?

Żalińska skrzywiła się, patrząc na niego z ukosa.

— Nowego nie ma nic — rzekła kwaśno — i stara bieda dosyć dokucza. Wszyscy głowy tracimy, a królowna nad sobą i nad nami litości nie ma, dziwaczy i płacze, a płacze. Dzień łzami poczyła, wieczorem skończywszy go płaczem.

— Wracam z zamku, od oboźnego — dodała Dosia, nie patrząc na Talwosza. — Król i dziś ma się coraz gorzej, ani doktorowie, ani czarownice nic nie mogą, a o widzeniu się z siostrą słuchać nie chce.

— Na rany Chrystusowe — przerwała Żalińska gwałtownie, ręce załamując — nie może to być! Widzieć się musi, pojednać się, obmyśleć coś dla niej! Nie ma się znowu czego tak trwożyć, jak królowna, a wy jej strachu dodajecie, gdy ją trzeba zgromić i uspokajać.

Nie dokończywszy, nasrożyła się ochmistrzyni.

— Nie do nas należy gromić! — odezwał się Talwosz. — Ale jeśli trzeba co czynić, powiedzcie mi, dokąd mam iść, będę kołatał, dobiję się bodaj do samego króla.

Dosia spojrzała na niego teraz dopiero.

— Czekajmy, co królowna każe — odezwała się.

Wszystko troje zamilkli, a Żalińska burczała coś sama sobie, gdy wtem do jednego z okien z wewnątrz pukać zaczęto i Talwosz dojrzał za szybami białą rękę, która mu dawała znaki.

— Zdaje się, że królowna mnie woła — odezwał się.

Żalińska i Dosia usunęły się, a Talwosz spiesznym krokiem wszedł do sieni i skierował się w lewo do antykamery, od której drzwi do dalszych izb stały otworem. W pierwszej z nich

czekała na niego królowna Anna. Tu ona zwykle przyjmowała niewielu ją odwiedzających, a nic nie dozwalało domyśleć się mieszkania córki i siostry królów, tak komnata skromną była i ubogą. Przystałaby ledwie zamożniejszemu mieszczaninowi.

Obicia na ścianach nie było żadnego, sklepienie przyciemniałe i niskie dawało jej cechę klasztorną i ponurą, okna, z błonami w ołowniu dawno nie oczyszczanymi, skąpo przepuszczały światła. Stół w pośrodku stojący okrywał kobierczyk wytarty i spłowiały. Kilka krzeseł ciężkich, ławy pod ścianami okryte lichy, a za całą ozdobę w głębi rodzaj ołtarzyka, na którym stał krucyfiks i dwa dzbanuszki z kwiatami — to było wszystko.

Anna Jagiellonka w czarnej fałdzistej sukni, jakby zakonną przypominającej, z łańcuchem na szyi, przy którym był krzyżyk złoty, z głową odkrytą, na której koronkowa, przejrzysta zarzucona była zasłonka, związana pod brodą, chusteczkę białą trzymając w ręku, czekała w pośrodku izby na Talwosza. Pomimo oczu łzami zmęczonych i bladej twarzy miała jeszcze resztkę młodości, i lat, których doszła, domyślać się nie było można. Wyraz wielkiej, tłumionej boleści czynił ją sympatyczniejszą jeszcze. W obliczu tym zmęczonym życiem, nadziejami i rozpaczą, pragnieniami i upokorzeniami, ofiarami i niewdzięcznością, tyle się łączyło z sobą znamion różnych przeszłości i terażniejszości, iż trudno było właściwy jej charakter odgadnąć. Energia i zwątpienie, słabość i siła jakby prądami gorączki i zimna przepływały po licu.

Niecierpliwe drżenie dostrzegł Talwosz, zbliżając się ku niej z uszanowaniem. Zaledwie dała mu się pokłonić.

— A, Talwoszu mój! — odezwała się głosem poruszonym, w którym łkanie tłumione czuć było. — Talwoszu mój! Radź i ratuj, nie mam nikogo. Co tu począć, król coraz gorzej.

— Miłościwa Pani — przerwał Talwosz żywo, nie chcąc się jej dać rozżalać — pewny jestem, że tam, u króla JMości, co panna Dorota przez obożnego uczynić mogła, to zrobiła jak najlepiej. Wiem, że obiecali dopilnować, aby o W. K. Mości nie zapomnieli. Nie może to być, lada chwila odbierzemy wiadomość.

— Ale nim to nastąpi — rzekła królowna, głos zniżając — mój Talwoszu, na utrzymanie mego szczupłego dworu, choć jak oszczędne, nie mam nic. Nikt o moich potrzebach nie myśli. Ja dla siebie nie wymagam wiele, gotowam suszyć o chlebie i wodzie, Bóg widzi, ale mi wstyd ludzi... dla tej dostojności córki królewskiej, siostry królewskiej, którą dźwigać muszę.

Zbliżyła się parę kroków do Talwosza i obejrzała dokoła.

— Przed wami ja się ukrywać nie potrzebuję — dodała — tyś wiernym naszym sługą.

— I żywot gotówem dać, aby tego dowieść! — gorąco zawołał Talwosz.

— Na wiarę u ludzi brać nie mogę a u mnie już w całym domu talara jednego nie ma — poczęła Jagiellonka. — Pożyczać nie widzę u kogo, prosić się nie nauczyłam, trzeba potajemnie część srebra zastawić, ale nikt, na świecie nikt wiedzieć nie ma, że ono moim jest.

Gdy to mówiła, głos jej drżał i oczy napępniały się łzami. Talwosz stał strapiony, z oczyma wlepionymi w podłogę

— Chodź za mną — odezwała się królowna. Posłuszny Litwin powlókł się smutnie za królowną, która pośpiesznym krokiem skierowała się ku drzwiom w głąb wiodącym i prowadząc go za sobą, doszła do małych drzwiczek zamkniętych, wgłębionych w murze sypialni. Otworzyła je kluczem dobytym z kieszeni i po dwu wschodkach wprowadziła Talwosza do bardzo szczupłej komórki o jednym zakratowanym w górze okienku. Izdebka pusta była i na podłodze jej ceglanej tylko, na rozesłanym sukna kawałku, widać było rozsypane w nieładzie srebrne misy kubki dzbanki, nalewki⁵⁴ i puchary. Jak gdyby je niespokojna ręka jakaś niedawno przebierała, stały porozdzielane na kupki powywracane, rozproszone. Niewiele tego już było.

Królowna, wszedłszy na próg, stanęła, ręce załamawszy, zamyślona.

⁵⁴ N a l e w k i — małe garnuszki

— To resztki — odezwała się do Talwosza — a po większej części pamiątki z lepszych czasów, przypominające różne lata życia. Na niektórych z nich znaki i herby okazują pochodzenie, tych tknąć nie można. Inne...

I nie kończąc, zakryła sobie oczy. Talwosz, chcąc królownie oszczędzić bólu, schylił się ku tym naczyniom.

— Wybierz, mój Talwoszu, z tych, co są na prawo — odezwała się Anna — weź jak najmniej, a przynieś jak najwięcej, ale nie sprzedawać nic. Pozbywać się nie mogę. Daj w pewne ręce, aby to nie przepadło, wykupię jak tylko będę mogła, ale dziś, nim siostra moja Brunświcka coś nadesłać raczy, nim się od Czarnkowskiego⁵⁵ doczekam nim się król ulituje, ludzi głodem morzyć nie mogę a i odorawić ich wszystkich nie godzi mi się.

Talwosz, przyklękawszy na podłodze, to przebierał rękami misy i dzbany, to się cofał, żał mu było dotknąć tych pamiątek, a i założenie⁵⁶ ich bezpieczne nie sądził łatwym.

Królowna, sparszy się o drzwi, nie patrzyła już na niego. Po chwili tylko szepnęła:

— Spiesz się, pokaż mi, co wybierzesz. Kawalek sukna znajdziesz tu w kątku. Zawień, aby nikt nie widział. A! Wstyd mi wielki.

— Miłościwa Pani — odezwał się nareszcie Talwosz — tym by się wstydzić trzeba, co was do tego przywiedli. Pójdę zaraz na miasto, Żydów się boję, znajdę może pocziwego mieszczanina.

— Umów się, proszę, aby to nie przepadło — dodała królowna głosem drżącym.

Żał chwycił ją za serce, gdy ujrzał Talwosza kilka mis i kubków zawijającego, i wybuchnęła:

— A! Zajączkowskiej, którą wzięła prawie bez koszuli, nie zbywa dziś na niczym w Witowie.

Płacz mówić jej nie dał. Talwosz, pośpiesznie zawinawszy srebra, stał już gotowy do wyjścia.

— Referendarz Czarnkowski pewnie przybędzie — rzekł, chcąc dodać odwagi strapionej — niech Wasza Miłość nie lęka się o przyszłość, o srebrach żywa dusza wiedzieć nie będzie. Lada chwila z królem też pewnie się widzieć będzie można, a on opatrzyć musi.

— Daj to, Boże, bo się siły wyczerpują — szepnęła, oczy ocierając, królowna. — Idź. mój Talwoszu, spraw się, jak należy, a nie opuszczajcie wy mnie, których już tylko garstka pozostała wiernych.

Królowna zamykała drzwi komory. Litwin stał przed nią z węzełkiem pod pachą.

— Słówek mi pozwólcie rzec, Miłość Wasza — odezwał się po namyśle. — Co tu pomoże łąć, gdy należy o swe prawa się upominać śmiało. Wasza Miłość zbyt powolności i dobroci uzuchwalałaś niegodziwych ludzi, a i królowi JMości jako siostra mogłaś rzec śmielej słowa prawdy.

— Przystępu nie mam za tymi złymi, którzy go opanowali — rzekła Anna.

— Nie prosić więc teraz o to, ale się domagać trzeba — odparł Talwosz. — Jam mały człek, ale mi na odwadze nie zbędzie, gdy tylko rozkazy otrzymam. Pójdę przebojem choć do króla JMości.

— Gdyby zdrowszym był — przerwała cicho królowna.

— Właśnie dlatego, iż chory niebezpiecznie, zwlekać nie można — dodał Talwosz.

Anna chciała się tłumaczyć ze swej powolności.

⁵⁵ S t a n i s ł a w S ę d z i w ó j C z a r n k o w s k i (1526—1602) był najpierw sekretarzem króla Zygmunta Starego, za Zygmunta Augusta został (w r. 1567) referendarzem wielkim koronnym. — Referendarzami zwano w dawnej Polsce wyższych urzędników koronnych i litewskich, których służba polegała na przyjmowaniu zażaleń prywatnych w celu przedłożenia ich za pośrednictwem kanclerza królowi

⁵⁶ z a ł o ż e n i e — zastawienie

— Dosi obiecano, iż mi posłuchanie wyrobią — rzekła — czekać już trzeba cierpliwie.

— Lecz jeśli zawiodą i nie doczekamy się — rzekł Litwin, burząc się — niech Miłość Wasza ręce rozwiąże, ja pójdę i nie może być, żebym posłuchania nie wyrobił. Posłyszają ode mnie faworyci i zauszniccy, czego od nikogo nie słyszeli.

Złękła się Anna i składając ręce, zawołała szybko:

— Tylko mi się bez zezwolenia nie wrywaj, nie chcę nic gwałtem zdobywać!

Gdy to mówili, Talwosz już stał w progu pierwszej izby.

— Idź, śpiesz — dokończyła królowa — zrób to, com ci zleciła, ale więcej nic. Bóg łaskaw ulituje się nade mną.

Tak odprawiony Litwin, znalazłszy się sam z węzełkiem pod ręką w posłuchalnej komnacie, zwolnił kroku, obejrzał się. Musiał teraz obmyśleć środek jakiś wymknięcia się stąd nie postrzeżonym.

W antykameryze nie było nikogo, a małe drzwi wiodły z niej na korytarz, gdzie się nie spodziewał spotkać z żadnym ze dworu sługą, bo ich tu niewiele pozostało. Wymknął się więc, uchodząc niemal jak złodziej, i szczęśliwie dobiegł do swojej izby, w której towarzysza Boboli nie zastał. Było mu to właśnie na rękę. Zaryglowawszy drzwi mógł swobodnie zabrane srebro zwinąć i ułożyć tak, aby jak najmniej miejsca zabrało, okrył je wojsłokiem i obwiązał rzemieniem od uprząży. Węzeł mógł się wydawać częścią jakąś stajennego przyboru. Tak się dopiero przygotował, drzwi otworzył i chłopaka od stajen zawołał, sam się ubrawszy jak do miasta.

Nim przestąpił próg, pocciwy Talwosz przeżegnał się krzyżem świętym. Znał on siebie, gorączka był i przy najlepszym sercu do spraw, które przebiegłości i cierpliwości wymagały, nie zdał się bardzo, ale ufał w pomoc Bożą. Poszanowanie i miłość dla nieszczęśliwej królowej, a może i rozkochanie w Dosi, u której łaskę mógł sobie zaskarbić najłatwiej, służąc jej pani, dodawały mu odwagi. Rażno więc wyruszył przez podwórcę na miasto, stajennego z węzeł na ramieniu prowadząc za sobą. W podwórcach teraz ruch już był wielki i ludzi się plątało mnóstwo; przejść nie postrzeżonemu trudno było, lecz nikt nie spytał Talwosza, co za nim niesiono, a znano go też z opryskliwości i zaczepiać nikt nie miał ochoty.

Tak szczęśliwie do głównych już wrót od strony Krakowskiej Bramy się dostał, gdy Pudłowski⁵⁷, jeden z królewskich dworzan, go pozdrowił.

— Z czymżeście się to w miasto tak rano wybrali? — spytał, ciekawymi oczyma mierząc pacholę.

— Zechcieliście, rupiecie potrzeba do podróży połątać — odparł Talwosz.

Pudłowski głową tylko pokręcił i ciekawą ręką chciał węzełek obmacać, gdy Litwin tak mu nad uchem zaręczał:

Wara! — że musiał się cofnąć.

— Dajcie pokój moim rupociom — krzyczał — ja pewnie z zamku nie wyniosę, co do mnie nie należy. Pilnujcie lepiej swoich towarzyszków!

Zamruczał coś, śmiejąc się kwaśno, Pudłowski — i na tym się skończyło.

Talwosz wyszedł z chłopcem na miasto, ale gdzie tu się było obrócić? Obcy w Warszawie, poczuł, że bez rady czyjejs nie potrafi nic. Posadzić go też łatwo było, a na samą tę myśl krew mu twarz oblewała. Stał trochę w ulicy, nie wiedząc spełna, dokąd się obróci. Z gorącej chęci usłużenia królowi podjął się tego, co mu teraz bardzo trudnym wydawało się do speł-

⁵⁷ Na dworze Zygmunta Augusta był w latach 1562 lub 1563—1571 sekretarzem Melchior (Malcher) Pudłowski (rok urodzenia nie znany, zmarł prawdopodobnie w r. 1588). Pudłowski był poetą polsko—łacińskim mniejszego znaczenia. Kraszewski nie wymienił w powieści imienia dworzanina Pudłowskiego, więc jest rzeczą wątpliwą, czy miał na myśli wspomnianego Melchiora Pudłowskiego.⁵⁷

nienia. Rozmyślał jeszcze, gdy poczuł, że mu ktoś rękę na ramieniu położył i pozdrowił go łagodnym głosem po chrześcijańsku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Przed nim stał, od kościoła Panny Marii idący, w wytartej sutannie księżyna, słuszny, blade, z twarzą niepiękną, której rysy nieforemne były i grube, ale nadzwyczaj łagodne i pełne jakiegoś miłosierdzia. Był to ubożuchny wikariusz Stępek, którego Talwosz znał i cały dwór królewnej, bo często do gawiedzi i służby zaglądał, za obowiązek mając szczególnie biednych i mało oświeconych pocieszać, uczyć i nawracać. Było to jego powołanie. Sam, syn ubogiego włościanina, sierota, z trudnością wielką dobił się tego, iż mógł kapłanem zostać i poświęcić się też temu ludowi, którego czuł się bratem. Niestary jeszcze, zahartowany życiem, ksiądz Stępek żył jedynie powołaniem swoim i spełnianiem obowiązków wziętych na siebie dobrowolnie. W kościele wszyscy, od proboszcza począwszy do zakrystiana, na niego wszelkie ciężary zrzucali. On ubogich grzebał bezpłatnie, on szedł do biednych umierających w słotę, po nocy, on siadywał przy trumnach, śpiewał i modlił się, gdy inni nie chcieli. Dla siebie nie potrzebując tak jak nic, w sutannie wytartej chodząc, poszcząc niemal ciągle, zawsze wesół i spokojny, ks. Stępek budził w jednych litość niemal szyderską, w drugich poszanowanie.

Widywano go tam, gdzie rzadko się duchowni spotykać zwykli, po rynkach, po szynkach, wśród ciżby, niosącego słowo Boże, rozbrajającego zwaśnionych, jednającego pokłóconych, nawracającego obłąkanych. Łagodny zawsze, miewał czasem ks. Stępek wybuchy pobożnego gniewu tak straszne, iż się go obawiano. Lud bowiem miał go niemal za świętego człowieka, który o sobie zapominając, z prawdziwą apostołską gorliwością służył braciom, o których inni nie dbali.

Zdawało się Talwoszowi, iż mu chyba Opatrzność zesłała w tej chwili tak świętego człowieka, i pochwycił rękę jego, całując ją radośnie.

— A dokąd to? — zapytał wikary.

— Żebyśmy wiedział! — odparł Litwin, odprowadzając nieco księdza na stronę. — Wy może, ojczy kochany, powiecie mi, dokąd iść. Wam się ja zwierzyć mogę. Królowna mnie posyła! Nie mamy ani grosza w domu. Biedna pani srebra mi potajemnie zastawić kazała w miejscu bezpiecznym. Sam nie wiem, dokąd udać się z nimi. Ksiądz Stępek podniósł ogromne swe ręce do góry.

— Królowna potrzebuje srebra zastawiać, aby chleba kupić?! Królowna! — zawołał przejęty i przestraszony. — Możeż to być?! O dopuszcie Boży! Za grzechy ojców niewinna ofiara! A dworki chodzą w łańcuchach i jeżdżą w kolebkach wyzłacanych, a wszetecznicy pieniędzmi sypią, siejąc grzech i zgorszenie.

Podniósł oczy, które mu łzami zaszły, ku niebu.

— Ojczy mój — przerwał Talwosz — na miłość Bożą, nie mam chwili do stracenia, radź, jeśli możesz, lub dozwól mi iść, bo na mnie czekają z powrotem.

Zamyślił się duchowny, wodząc oczyma dokoła. Wtem właśnie z bramy zamkowej ujrzeni wyjeżdżającego na koniu, w towarzystwie kilku zbrojnych dworzan, mężczyznę lat średnich, w polskim stroju, dość wytwornym, który chmurnym wejrzeniem, pokręcając wąsa, rozglądał się dokoła. Twarz jego poważna była, miłego wyrazu, ale smutek ją okrywał. Temu się dziwić nie było można, bo nikt naówczas z zamku od króla wesołym nie wyjeżdżał, ani ci, co go widzieli schorzałym i na duchu upadłym, ani tacy, co się do niego docisnąć nie mogli.

Ksiądz Stępek, zobaczywszy jadącego, dał znak Talwoszowi.

— Zatrzymaj się małą chwilę, ja dwa słowa tylko powiem panu staroście.

Posłuszny Litwin, który poznał w jadącym starostę warszawskiego Zygmunta Wolskiego, choć nie rozumiał, dlaczego wikary mu czekać kazał, zatrzymał się, a ks. Stępek poszedł żywo ku przyjeżdżającemu. Wolski stanął i począł z wikarym rozmawiać, który wkrótce znak

dał Talwoszowi, aby się przybliżył. Zaledwie miał czas pozdrowić go Litwin, gdy starosta, pochyliwszy się ku niemu, szepnął:

— Przychodź zaraz do mnie, na starościński dwór, wiesz, ułatwimy, co potrzeba. Dzięki Bogu, że się to tak złożyło. Trzeba było wprost przyjść do mnie.

To mówiąc Wolski skłonił się księdzu, głową skinął Talwoszowi i konie puściwszy, pojechał dalej ze swoim orszakiem.

Stępek tymczasem Talwoszowi szeptał na ucho:

— Ani słowa więcej nikomu, idź do starosty.

— Ale na Boga! — przerwał Talwosz. — Tym sposobem się tajemnica wyda, o której nikt wiedzieć nie powinien.

— Starosta jej nie zdradzi, ja go znam — zawołał ks. Stępek. — Mów z nim szczerze, szanuje on królową i rodzinę całą, jemu zaufać możesz. Idź, a śpiesz.

Litwin, od niedawna przy królowie będący, chociaż w krótkim czasie energią swą jej zaufanie pozyskał, nie znał z bliska starosty, ale wiedział o nim, że był prawym człowiekiem i że królowa Anna ceniła go wielce; słyszał, że z tymi, co króla otaczali i obdzierali, nie miał żadnych stosunków, posłuchał więc ochotnie rady ks. Stępki i pośpieszył na dwór pana starosty. Ten stał jeszcze w ganku i dawał ludziom rozkazy, gdy Talwosz się przystawił, chłopca z węzełkiem prowadząc za sobą. Weszli razem do izby wielkiej, w której Wolski zwykł był gości przyjmować. Zwrócił się starosta żywo, szablę odpasując, do Talwosza.

— Na rany Pańskie, tak że już u was źle, że srebra trzeba zastawiać, aby dwór nie marł z głodu! — zawołał Wolski.

— Nie mogę zaprzeczyć — odparł Litwin — ale to jest i powinno zostać tajemnicą. Zwierzyłem się z tego ks. wikaremu, chociaż prawa nie miałem, niech pan starosta ma miłosierdzie nad sługą swoim.

— Ja nie zdradzę — żywo począł Wolski — bądź spokojny. Więc tak źle, tak źle jest?

— Źle tak, iż gorzej być chyba nie może — przerwał Talwosz. — Litość bierze patrzeć na królową. Z zamku tysiącami czerwonych złotych⁵⁸ wywożą, klejnoty zabierają,

a z królową Najjaśniejszy Pan mówić nie chce; potrzeb jej nie opatruje nikt, ona od rana do nocy płacze i z rozpacz srebrowych klejnotów zastawia. Stukamy i kołaczemy, dopraszając się rozmowy, posłuchania — i tego się nie można doczekać.

Wolski wężem kręcił namarszczony.

— Zgroza! — zawołał. — Ale Bóg łaskaw, wszystko się to zmienić musi. Przeszedł się po izbie dumając i zawrócił do Talwosza.

— Srebra sobie weź nazad — rzekł — ile na nie mogłeś dostać?

— Sam nie wiem — odparł Litwin. — Sreber w żadnym razie zabrać nie mogę, boby się wydało, że tajemnicę zdradziłem, a królowa by mi nie przebaczyła. Idzie jej o cześć królewskiego domu. Nikt wiedzieć nie powinien, że jest do tego przywieziona.

— Pokaż te srebra — rzekł starosta.

Talwosz otworzył drzwi, skinął na chłopca i kazał mu podać węzełek, który sam na stole rozwiązał.

Wolski niemal ze łzami w oczach po jednym brał przyniesione puchary i półmiski, zakrył je szybko suknem i odezwał się do Talwosza.

— U Żydów wątpię, abyście na nie więcej nad paręset złotych dostali; tyleż i ja dam, i niech srebra w skarbcu leżą, jeżeli ich nazad zabrać nie możecie, ależ my wszyscy śmiertelni... napiszesz ty mi kwit, a ja waszmości.

Skłonił się Litwin.

— Panie starosto, na rany Chrystusowe, niech nikt nie wie! — dodał cicho.

⁵⁸ c z e r w o n y z ł o t y — dukat (moneta złota)

— Ja dlatego to czynię, aby nie wiedział nikt — odezwał się Wolski — bo mi nie tylko królewnej żal, ale i mnie też cześć krwi jej droga.

To mówiąc Wolski wyszedł na przeciwek, zabawił krótko i przyniósł worek z sobą, a Talwosowi wskazał miejsce u stołu dla napisania rewersu. W kilka minut wszystko było gotowe, Talwosz odetchnął; z poszanowaniem pożegnał starostę i wyniósł się pośpiesznie nazad na zamek, rad, że mu się szczęśliwie udało spełnić zlecenie.

Chłopaka odprawivszy przodem, sam z workiem za pazuchą już był na drugim podwórzu, niczyjej, szczęściem, nie zwróciwszy uwagi na siebie i miał zaraz opowiedzieć się do królewnej, gdy Zagłobianka zaszła mu drogę. Zmierzyła go oczyma bystrzymi, z których mógł wy czytać, że wiedziała, z czym chodził, a chciała się dowiedzieć, jak powracał.

— Dzięki Bogu — szepnął, kłaniając się jej, Talwosz — wszystko dobrze mi się powiodło. To mówiąc, ręką uderzył po worku, który miał za suknią.

Dziewczę, nie mówiąc słowa, wzrokiem mu tylko podziękowało.

— Jest kto u królewnej? — zapytał Talwosz.

Dosia ramionami poruszyła.

— Nie ma nikogo — rzekła — wiedzą ludzie, że się tu niczym pożywić nie można, rzadko też kto zajrzy. Idź waćpan.

Wejrzenie dziewczęcia zdawało się Litwinowi płacić za wszystko, tak mu się twarz wyjaśniła. Nie miał nawet czasu namyśleć się, jak skłamać przed królewnią, gdy go zapyta, co ze srebrem zrobił, i wbiegł do posłuchalnej izby. Anny tu nie było, chodziła po drugiej komnacie, z Żalińską coś radząc po cichu, a zobaczywszy Talwosza, z uśmiechem pośpieszyła na przeciw niemu do progu.

— Uwinąłeś się waszmość! — rzekła, mierzając go oczyma, aby wiedzieć, czy przyniósł co z sobą.

Talwosz dobyty worek położył na stole, kłaniając się, i cicho szepnął, ile przyniósł.

Zdziwiła się trochę królewna.

— Tak wiele? — spytała, nieco wahając się i badając go oczyma.

— Poszło na wagę — skłamał Talwosz — i tyle wypadło.

— A pewne są srebra?

— Ja gardłem za nie, stoję — odezwał się Litwin.

Królewna Anna, której pilno, było bardzo, drżącymi rękami podała Żalińskiej worek, skinięciem dziękując Talwoszowi.

— Bóg niech ci zapłaci — rzekła — bo ja nie wiem, czy kiedy wdzięczność moją waszmości okazać potrafię.

Litwin skłonił się aż do ziemi. Obawiał się, aby go królewna nie rozpytywała więcej, i natychmiast cofnął się do progu, jakby podziękowań unikał. Teraz dopiero odetchnął swobodniej, gdy do swej izby powróciwszy, usiąść mógł, czoło otrzeć i podumawszy przyjść do tego przekonania, że się z polecenia szczęśliwie wywiązał. Nadchodzący Bobola zastał go siedzącego nad stołem z daleko jaśniejszym czołem niż wczora.

Tuż prawie za Krakowską Bramą stała ogromna gospoda dla podróżnych, znana dobrze w owych czasach, bo była niemal jedyną w mieście, do której, czasu pobytu dworu, podróżni z daleka, mianowicie Niemcy zajeżdżali. Wywieszony na drągu z jednej strony znak wyobrażał bardzo nieforemnie z drzewa wyrzezanego i biało pomalowanego konia z grzywą i ogonem karmazynowym. Słoty i pyły wprowadzie białego konia szarym i pstrym uczyniły, a czerwoną niegdyś grzywę i chwost wyblakowały, ale niemniej zwała się gospoda: Pod Białym Koniem. Obok rumaka tego, który w powietrzu dwiema nogami przebierał, na mniejszym drążku była ogromna wiecha⁵⁹, mająca z obowiązku być zieloną, lecz także żółtą i na pół opadła.

⁵⁹ w i e c h a — wiązka chrustu lub słomy, wywieszona przed domem na oznaczenie karczmy lub gospody

Domostwo wielkich rozmiarów, z szopami, stajniami, chlewami i szpichrzami, opasane parkanem dokoła — na oko nie wyglądało wytwornie ani nawet czysto, ściany miało szare i pobryzgane, okiennice nieszczelne, dach połatany, ale wiadomo było wszystkim, że lepszej gospody i usłuzniejszego gospodarza nad Barwinka nie było w Warszawie. Barwinek miał szczególnie przywilej przyjmowania u siebie podróżujących Niemców, z którymi w ich języku macierzystym mógł się rozmówić, czym był dumny. On sam utrzymywał, że z biedy coś niecoś i łaciny miał w zapasie na nieprzewidziany wypadek. Oprócz tego gospodarz w osobie swej łączył jeszcze — z powołania — rzeźnika i mówiono, że zawód swój począł od zabijania, nim się wziął do karmienia. Postać Barwinka, który fartucha i noża zza pasa nigdy we dnie nie zrzucał, odpowiadała w zupełności tradycjom cechu, do którego się liczył. Ogromnego wzrostu, ramion i szyi silnych jak u żubra, twarzy okrągłej i rumianej, połyskujących policzków, Barwinek był niezmordowanym w pełnieniu swych dwoistych obowiązków. Przez cały dzień na nogach, gęby też nie żałując, chodził, biegał, krzyczał i nieraz pięści względem czeladzi zażywał. Z gospody swej, choć wiele może zostawiała do życzenia, bardzo był dumnym. Na dole mieściła się olbrzymia izba wspólna dla ogółu podróżnych, która zarazem i kuchnię zastępowała, gdyż w głębi jej na ogromnym kominie, w oczach gości przysposabiały się potrawy, które im Barwinek podawał. Przy kilku stołach jedzono tu i zapijano od świtu do późnej nocy. Kilka zabrukanych kobiet ledwie usłudze starczyć mogło. Naprzeciw znajdowała się rzeźnia, z okiennicą wywieszoną na ulicę, na której i przy niej mięswo świeże wywieszano. Przez szerokie wrota w pośrodku wchodziło się do stajen i do dalszych izb i komór na tyłach. Wschody stare i wychętane prowadziły stąd na strychy i na górę, gdzie izb kilka było dla podróżnych, co lepiej zapłacić mogli i na szczególne względy zasługiwali.

Bywały czasy, iż w gospodzie Pod Białym Koniem panowała cisza i Barwinek na ławie mógł się zdrzemnąć przy kufelku piwa, ale gdy dwór zawitał do Warszawy, trudno się tu było docisnąć. Niemcy, którzy z cesarstwa często przybywali od księżnej Zofii z Brunświku, od książąt pruskich, wszyscy tu się mieścili, a choć kto dostojniejszy na zamku miał kwatere, konie i poczet pod Białym Koniem zostawiał. Z Mazowsza też i innych ziem, kto przybywając do Warszawy, u mieszczanina znajomego albo w klasztorze nie miał gospody, musiał się wpraszać do Barwinka.

W niemłą też dumę wbijało to gospodarza, iż świat i ludzi znał, a lepiej był oświadczony ze wszystkim, co się gdzie działo, od innych. Nieraz panowie radni, burmistrz i mieszczenie, chcąc się czegoś dowiedzieć, do Barwinka ciągnęli, a o kim on nie dał dobrego świadectwa, temu nie ufano.

Skarżyli się cudzoziemcy szczególnie na niego, iż przy obrachunkach litości nie miał nad nimi i słono sobie płacić kazał, ale Barwinek powiadał, że darmo pracować nie mógł i za te pieniądze spokój swój sprzedawał. Mało z kim i z jakiegokolwiek narodowości człowiekiem, choćby najopryskliwszym, najbutniejszym, nie dał sobie rady Barwinek. Wiele zimnej krwi w początku, a potem żelaznego uporu w tym mu posługiwało. Ludzi z aspektu⁶⁰, z przyborów, ze stroju, z miny, a jak powiadał, nawet z ucierania nosa nauczył się poznawać tak, iż mu niewiele czasu było potrzeba, aby wiedzieć, jak ma postępować z nimi. Milczący w pierwszych godzinach, gdy swojego podróżnego raz spenetrował, grał na nim jak na znajomym instrumencie. Z każdym niemal postępował inaczej, a mało kogo potem nie wyśmiał. Nie pochlebiał i nie płaszczył się nikomu, a dumnym kłaniał się nisko, ale im potem za to płacić sobie kazał.

— Kiedyś wielki pan, dobadźże mieszka! — powiadał. W tej porze, gdy się nasze opowiadanie poczyna, Barwinek jak rzadko chodził posepny i niekontent z siebie. Chłopcy mogli to poznać po własnych plecach, podróżni po usposobieniu milczącym. Dziewki, posługujące w wielkiej izbie, uchodziły na sam widok jego, tak biegał zły i kwaśny i niczym mu dogodzić

⁶⁰ a s p e k t (z łac.) — wygląd

nie było można. Przyczyną tego było upokorzenie. Rzadko się kiedy trafiło Barwinkowi, aby kogoś do dwóch dni nie poznał, nie wiedział, jak się z nim obchodzić i z kim miał do czynienia. Tymczasem już cztery doby mijało od czasu, gdy do niego zajechał podróżny, a Barwinek dotąd nawet narodowości jego zbadać nie mógł. Na oko wydawał mu się Niemcem, służbę miał niemiecką, konie i wóz na sposób niemiecki przybrane. Sam się nosił jak Niemcy i uzbrojenie miał jak oni, a okazało się, że po polsku rozumiał i mówił nawet polszczyzną trochę zepsutą, w której czuć było, że ją niegdyś dobrze umiał. Z Barwinkiem wołał mówić po niemiecku, ale gdy gospodarz się łątał polszczyzną, nie miał najmniejszej w zrozumieniu trudności. Nazwisko też nie mówiło wiele, słudzy zwali go Ritter von Nemetsch; on sam nazywał się gospodarzowi Niemczkowskim, ale mógł być zarówno Czechem i Polakiem, a Barwinek go nawet za Czecha z początku wziął. Z pytań, które zadawał gospodarz, wnosił, że niegdyś w Polsce bywał i znał ją dobrze, ale nie dzisiejszego czasu. Z czym i po co tu przybył, nie mógł też Barwinek odgadnąć ani z niego wyciągnąć. Człowiek był dobrze niemłody, posiwiał, twarzy opalonej i pofałdowanej, marsowego oblicza, rycerskiej postawy i obyczaju. I on, i służba żołniersko wyglądali, a karność między czeladzią była wielka. Około tego Niemczkowskiego wyglądało dostatnio wcale i sobie ani ludziom nie skąpił, ale co on tu robił, dlaczego przesiadywał, w tym sęk był dla Barwinka. Pocieszał się tym tylko, że prędzej czy później dojdzie tej tajemnicy musi.

Z rana podróżny wychodził zwykle na miasto, a choć go śledził gospodarz, wysuwając się za nim, nie mógł dojdź, gdzie przez cały dzień przebywał. W rozmowy się nierad wdawał i za język pociągnąć nie dopuszczał. Wiedział Barwinek, że i na zamku bywał ów Niemczkowski, ale u kogo, dojdź nie potrafił. Najbardziej zagadkową była mowa jego, w której czasami najdoskonalsza brzmiała polszczyzna, to znów słów i wyrażeń brakło nagle, tak że się niemieckimi posługiwać musiał. Żeby się tak Polak dał przerobić na Niemca, to się Barwinkowi w głowie pomieścić nie mogło.

Znał on takich wielu, co w służbie u cesarza, u króla rzymskiego⁶¹, u księżnej brunświckiej bywali, ba nawet w Szwecji przez długie lata z królową Katarzyną przeżyli, a języka przecie własnego nie zapomnieli i stąpiwszy na rodzinną ziemię, zaraz łatwość mówienia nim odzyskiwali. Niemczkowski zaś już dziś lepiej po niemiecku i łatwiej się wyrażał niż po polsku, więc, zdaniem Barwinka, Polakiem być nie mógł.

Piątego dnia pobytu owego zagadkowego podróżnego w gospodzie Pod Białym Koniem zdziwił się niepomąłu gospodarz, gdy z rana ujrzał znanego sobie z widzenia rotmistrza Bielińskiego, przychodzącego i zapytującego wprost o Niemczkowskiego. Trafił z tym zapytaniem na samego Barwinka, który, nisko się pokłoniwszy, skorzystał ze zręczności i spytał:

— My tu mamy tylko Rittera von Nemetsch. Miałżeby to być Polak Niemczkowski? Bieliński się rozśmiał głośno.

— A juści, nie kto inny jest, tylko szlachcic polski Niemczkowski.

— No proszę! — odparł Barwinek. — A języka rodzzonego tak zapomniał!

— Ba! — zawołał Bieliński. — Co za dziw, gdy może przez te lat dwadzieścia i kilka, jak Niemcom i cesarzowi służył, nie wiem, czy go raz w rok przy świętej spowiedzi używał!

Zapisał to sobie Barwinek w pamięci i z tym większą ciekawością przypatrywał się gościowi swemu.

Rotmistrz tego dnia poszedł szukać dawnego znajomego aż do izby na strychu i tam się między nimi zawiązała następująca rozmowa. Niemczkowski z początku mówił ciężko i połamaną polszczyzną, dopiero gdy się z Bielińskim rozgadał, popłynęła mu coraz łatwiej. Uścisnęli się w progu.

⁶¹ k r ó l r z y m s k i — od XV w. tytuł następcy tronu obranego za życia cesarza rzymskiego narodu niemieckiego

— Toś mi dopiero gość — rzekł Bieliński. — Gdyśmy cię z oczów stracili, a potem głucho było, jakbyś w wodę wpadł, naprawdę wszyscyśmy cię opłakiwali. Wszak to temu...

— Dwadzieścia siedem lat — przerwał Niemczkowski. — Młoda królowa Elżbieta⁶² naówczas, uproszona przez śp. hetmana Tarnowskiego⁶³, dała mi listy polecające do cesarza na wojnę francuską⁶⁴. Chciałem się rzemiosłu rycerskiemu u obcych przypatrzeć i ani mi się śniło tam zagnieździć. Cesarz Karol V⁶⁵ przyjął mnie, jak nie można lepiej, i dał w wojsku pomieszczenie. Prawda, że w początkach ciężko było i z mową, i z obyczajem się oswoić, a do nich nałamać, ale młody był i chciwy uczyć się, a wojsko całe, bodaj nawet te lancknechty⁶⁶ ich, tak się od naszego różniło, iż mi się korzystać pragnęło, aby co do domu przywieźć. Więc jałem się do ich oręża, do sukni, do zbroiczki, i na podziw mi się poszczęściło. Ludzie też mnie polubili z tego, że zapamiętały był a dziarski. Cóż powiecie? Od roku do roku, jakem się z nimi zżył, a w domu z rodziny nikogo nie było, zasiedziałem się aż po te czasy.

Niemczkowski nagle oczy spuścił i zawahał się, jakby mu się do czegoś przyznać było niełatwo.

— Trochę w tym i babska chytrość była winna — dodał — polubiłem w Wiedniu dziewczynę i musiałem się żenić.

Bieliński parsknął.

— Domyślałem się — rzekł — inaczej byś tam nie wytrwał tak długo.

— A, piękna bo była, piękna, krew z mlekiem! Wesoła i rozumna — mówił Niemczkowski — opętała mnie. Panie, świeć nad jej duszą, bo już nie żyje. Dopiero po śmierci żony tęskno mi się do kraju zrobiło, choć w nim tak jak nikogo już nie mam. Pamiętacie, rotmistrzu, młodymi byliśmy oba... dwadzieścia siedem lat... król Zygmunt⁶⁷ panował jeszcze, królowa Elżbieta żyła. Jak się tu u was w Polsce wszystko zmieniło! Nic nie rozumiem, nikogo nie znam. Naówczas, gdym jechał na dwór Karola V, nasz Zygmunt Stary chorzał i rychłą mu śmierć przepowiadano, a teraz, słyszę, August też bez nadziei życia... i... bez potomka!

Szlachcic zniemczały powiódł oczyma po zamyślonym rotmistrzu, jakby chciał odgadnąć, co odpowie, i urwał czekając; ale Bielińskiemu smutek nie dał rychło przyjść do słowa. Milczeli tak dobrą chwilę. Rotmistrz podniósł głowę.

— Słuchaj no, Niemczkowski — rzekł — nie kryj się przede mną. Dwadzieścia siedem lat nie byłeś u nas i niepilno ci było, teraz nagle ochota przyszła. Przyznaj się otwarcie, wysłano cię na zwiady? Cesarz⁶⁸ ma wielki apetyt na Polskę?

Niemczkowski rzucił się tak gwałtownie, usłyszawszy to pytanie, jakby w niego piorun uderzył; stanął przerażony niemal.

— W imię Ojca i Syna! Któż to powiedział? — krzyknął.

⁶² k r ó l o w a E l ż b i e t a — (zob. przypis 12)

⁶³ J a n T a r n o w s k i — (1488 — 1561) kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, znakomity wojownik, odznaczył się m. in. w biwie pod Obertynem

⁶⁴ w o j n a f r a n c u s k a — mowa o wojnie między cesarzem Karolem V a Franciszkiem I, królem francuskim; jednym z powodów wojny, która toczyła się w latach 1521—1544, były roszczenia cesarza do Burgundii; wojna zakończyła się pokojem w Crépy en Laonnois

⁶⁵ C e s a r z K a r o l V — (1500—1558) był cesarzem rzymskim narodu niemieckiego oraz królem hiszpańskim (jako Karol I); zrzekł się tronu w r. 1556, wstępując do klasztoru

⁶⁶ l a n c k n e c h t y (z niem.) — zaciężna piechota niemiecka, stworzona przez cesarza Maksymiliana I (1459—1519); główne jej znaczenie przypada na drugą połowę XV w. i na w. XVI; lancknechci utrwalili znaczenie piechoty z niekorzyścią dla jazdy

⁶⁷ k r ó l Z y g m u n t — mowa o ojcu Zygmunta II Augusta, Zyguncie I Starym, który panował w latach 1506—1548

⁶⁸ c e s a r z — mowa o cesarzu Maksymilianie II, który panował w latach 1564—1576

Bieliński śmiał się.

— Nikt nie mówił, ale ja cię o to posądzam — rzekł. — Kręci się tu różnych ludzi siła, i od Szweda, i od cesarza, i od Francuzów, a w Litwie od cara. Cesarz ma dużo swoich u nas, naturalna by rzecz była, gdyby i z ciebie chciał skorzystać.

Pan Zygmunt — tak było imię Niemeczkowskiemu — nie odpowiadając, węża zagryzał; w twarzy widać było jakieś wahanie i obawę.

— Gdzieżby znowu mieli takiego małego jak ja człowieka posyłać — odezwał się — nie na wiele by się im przydało. Ale ja tyle lat cesarzom służył, napatrzył się ich potęgi, że sam z siebie, gdybym mógł, gotów bym im pomagać, po dobrej woli. Więc jak tu rzeczy stoją, rotmistrzu?

Bieliński, śmiejąc się, poklepał go po ramieniu.

— No, no! — rzekł. — Więcej wiedzieć ja nie chcę. Co do cesarskich zalotów o naszą koronę, niewiele wiem i znam tych rzeczy. Jest tu moźnych panów dosyć, co z cesarzem trzymają; prawda, będą tacy, co go za pieniądze zechcą popierać, ale szlachta się boi. Na Węgrzech i w Czechach Niemcy dobrze swobód i przywilejów ukrócili, a my o swoje dbamy. Gdyby nawet kogo z rodziny wybierać chciano, naprzód by się musiał z naszą królową ożenić, a po wtóre dobrze by go obwarowano, aby nam *absolutum dominium*⁶⁹ nie wprowadzał. Szlachta nie lubi Niemca...

Niemeczkowski słuchał z zajęciem.

— Ale dla obrony od Turka i Moskala — rzekł — potęga cesarza bardzo by się nam przydała.

— Dotąd myśmy się bez niej obchodzili — odparł Bieliński.

— Któż się więcej do korony swatał? — począł po chwilce Niemeczkowski.

— O Francuzie mówią — rzekł Bieliński — a ten siłę ma bodaj nie mniejszą jak cesarz, a groźnym nie jest. Pruski książę pokrewny także by rad być wybranym. Litwa chciałaby cara, ale się pono rozmyśli... Są tacy, co o małym synku króla szwedzkiego, z naszej królowy narodzonym⁷⁰, bąkają. Kto może zgadnąć przyszłość, wszak ci król żyje.

— Ale mu życia nie obiecują? — zapytał Niemeczkowski.

— Bardzo źle jest — począł rotmistrz. — Nieszczęśliwy pan przez baby popadł i w chorobę, i w taki stan, że mu się życia nie chce. Dziś lub jutro testament ma pisać kazać i pieczętować.

Bieliński sparł się na rękę i łzę otarł.

— W testamencie by mógł wyrazić życzenie co do następcy? — wtrącił Niemeczkowski.

— Nie wiem, czyby się to na co zdało — ciągnął dalej Bieliński — a mniej niż komu cesarzowi, bo z powodu królowej⁷¹ żal do niego ma. Powtarza to, iż umiera bezpotomnym przez niego, gdy mu się w czas rozwieść z żoną nie dano.

Niemeczkowski słuchał pilno, nie odpowiedział nic i rozmowa zdała się wyczerpaną, gdy stanąwszy znowu przed Bielińskim, spytał:

— Nie słyszeliście tu co o Gastaldim⁷²? Ruszył ramionami rotmistrz.

⁶⁹ a b s o l u t u m d o m i n i u m (łac.) — absolutne (nieograniczone) panowanie, bez jakiegokolwiek kontroli ze strony społeczeństwa

⁷⁰ . Mowa o późniejszym królu polskim, Zygmuncie III Wazie, synu Katarzyny Jagiellonki (zob. przypis 45).

⁷¹ W pierwodruku mylnie: „królowej”, co poprawia się, gdyż mowa tu o ostatniej żonie Zygmunta Augusta, córce cesarza (zob. przypis 14).

⁷² A l f o n s G a s t a l d i d i C a s a n o — margrabia neapolitański, powinowaty królowej Bony, na której dworze wychował się; był następnie dworzaninem cesarza Maksymiliana II. Wszystkie szczegóły w dalszym ciągu powieści o roli Gastaldiego w związku z planowanym małżeństwem Anny Jagiellonki z cesarzewiczem Ernestem są historyczne

— Jakim? Tym, co się na naszym dworze wychowywał?
— Myślę, że ten właśnie jest, bo ich dwu nie znam — odezwał się pan Zygmunt. — Nie ma go tu?

— Nic nie wiem o nim.

Znowu czas jakiś rozmowa nie szła. Niemeczkowski przysiadł na tarczanie.

— Cale ja tu — odezwał się — inaczej u was znajduję, niż się spodziewałem. Mówiono w Wiedniu, że cesarz potężne ma stronnictwo w Polsce i prawie zapewniony wybór. Tu zaś kogo zapytam, komu o tym napomknę, słuchać o nim nie chce. Myślałem, że się wam na co przydam, bom się zżył z wielu dworskimi, panami i rycerstwem.

— Ale wszystko to za wczesne — przerwał Bieliński. — Król żyje, Bóg dać może, iż się podźwignie.

W ten sposób przerywana rozmowa trwała jeszcze czas jakiś, gdy rotmistrz zapytał Niemeczkowskiego, czy długo myślał tu bawić i jaki był właściwie cel podróży, ażali tu osiąść nie myślał.

— Sam nie wiem — odezwał się Niemeczkowski — rodzinę mam daleką, która mnie nie zna, a ja jej też. Chciałem się w kraju rozpatrzeć na wypadek, gdyby cesarz miał jaką nadzieję.

— I wybrałeś się w złą godzinę — dodał Bieliński — gdy powietrze już do Warszawy zagłada, a po kraju się szerzy. Lada chwilę my z królem stąd wyruszamy.

— Dokąd?

— Nie wiem, ku Litwie pewnie — mówił Bieliński.

— A królowa? — badał Niemeczkowski.

— Ją także wyprawia, ale pewnie nie tam, gdzie król będzie — rzekł rotmistrz. — Ci, co przy naszym panu są, nieradzi, aby na ich czynności z bliska patrzano.

Mówiąc to wstał stary Bieliński.

— Do licha mi tu u ciebie, w tej izbie pod strychem duszno, albo ty ze mną chodź stąd, lub ja sam na zamek muszę.

— Weźmiecie mnie z sobą? — spytał, wahając się, gość.

— Dlaczegoż by nie? — uśmiechnął się Bieliński. — Najlepszy to będzie sposób przekonania się, jak tu na cesarskich patrzą, gdy ciebie ze stroju i z mowy za jednego z nich wezmą.

Zawahał się, posłyszawszy to, pan Zygmunt.

— Jeżeli tak — odparł — wolę w gospodzie pozostać.

— Ja mam izbę na zamku — dodał Bieliński — pójdziesz do mnie. Przyjechałeś się rozpatrzeć, a w gospodzie tylko czeladź spotkasz, u mnie zawsze się kto znajdzie. Choćby ci co nie w smak było, lepiej, ażebyś się nie łudził.

Wyszli tedy na zamek oba.

Stojący w progu Barwinek pozdrowił ich przechodzących i powiódł za nimi oczyma. Od czasu, jak rotmistrza widział na rozmowie poufalej z gościem swoim, znacznie był uspokojony i miał go już za Polaka. Zaczęto Bielińskiego znano jako prawego rycerza, który w żadne potajemne konszachty się nie wdawał.

Nie miał też czasu bardzo się zajmować Niemeczkowskim, gdyż od wczoraj inna i jeszcze osobliwsza figura zjawiała się pod Białym Koniem. Ta większą była może dla Barwinka zagadką niż w pierwszych dniach ów domniemany Niemiec. Nad wieczór wcale piękna zatonęła się przed gospodą kolebka, czterema gniadymi woźnikami w błyszczącej uprzęży ciągniona, ze służbą w barwie, z pachółkami i wozem za nią. Panowie i panie, które naówczas same tylko kolebkami jeździły, do gospody nigdy prawie nie zwracali się. Moźniejsi mieli albo własne dwory, lub znajomych w mieście. Wyszedł Barwinek, czapki już zawczasu uchylając i spodziewając się zobaczyć wychylającą z powozu kobietę, gdy dwóch pachółków, zbliżywszy się do stopni, wydobyli z wnętrza kolebki coś, jakby małego wyrostka, dziecko... i

postawili go na ziemi. Figurka ta Barwinkowi zaledwie do kolan sięgała, ale nie było to dziecko, gdyż schyliwszy się, dostrzegł ze zdumieniem gospodarz maleńkiego, niemłodego człowieczka, karła, ubranego z cudzoziemska, z miną butną, przy mieczyku.

Karły po dworach naówczas nie były osobliwością, miała ich Bona kilkoro, z których dwoje darowała cesarzowi Karolowi; Dosieczkę⁷³ karlicę zabrała z sobą do Szwecji Katarzyna i ta w więzieniu z nią siedziała, Jagnieszkę wzięła księżna brunświcka, ale karła, który by sam sobie panem był, kolebką jeździł, sługi miał, barwę i pańsko występował, Barwinek jako żyw nie widział i nigdy o podobnym nie słyszał. Nie wiedział, jak miał się znaleźć, uczcić go, czy sobie równym poczytać. Jeszcze rozmyślał, gdy karzeł coś żywo zaszwargotał do sługi, a ten zbliżył się do Barwinka i oświadczył mu, że pan jego, podkomorzy królewski (jakiego króla nie mówił), dowiadywał się, gdzieby wygodną i piękną gospodę mógł znaleźć, za którą, jak należy, zapłaci.

— Ale — dodał sługa — lada czym pan nasz nie da się zaspokoić, nawykł do królewskich pokojów, trzeba mu czystych i pięknych izb parę.

Barwinek byłby go chętnie u siebie pomieścił dla zarobku, lecz miejsca nie było; tarł więc głowę i rozmyślał, a tymczasem, zobaczywszy tak ustrojonego karła, gromada się ludzi jak na dziwowisko koło niego i u wrót zebrała, co małego pana mocno niecierpliwiło. Strasznie był żywego temperamentu, począł wołać na sługi, niecierpliwie się kręcąc, i nim Barwinek się namyślił zaprowadzić go w sąsiedztwo do mieszczanina Sówki, który mógł pięknych parę izb odstąpić, karzeł porwał się nazad do swej kolebki i już precz chciał jechać, rozkazując do dworu starosty, choć pora była spóźniona. Barwinek ledwie miał czas przypaść i zaofiarował się do Sówki zaprowadzić, a że tam szopy i stajni nie było, dwór i konie małego owego podkomorzego miały pod Białego Konia powrócić.

Od ludzi później dowiedział się gospodarz, iż karzeł zwał się Krassowskim⁷⁴, że był szlachcicem polskim z Podlasia, możnym człowiekiem i że przez długi czas na dworze królowej francuskiej bawił, a niedawno do Polski powrócił. Tegoż dnia rano widziano go z kolebką jadącego do pana Wolskiego, starosty, który nie tylko przyjął gościa, ale go od Sówki do siebie na dworzec zabrał z ludźmi i końmi.

Około południa potem nadjechał posłaniec ze Szwecji z listami i ten pod Białym Koniem stanął, a pod wieczór od księcia pruskiego dwóch przybyło. Słowem, nie miał Barwinek spoczynku i wnosił z tego ruchu, jaki się tu objawiał, iż z królem źle być musiało, kiedy się tak dowiadywano pilno ze wszech stron.

Na zamku dzień ten nie zmienił położenia. Ci, co bliższy mieli przystęp do króla, powiadali, że polepszenia na zdrowiu nie rokowali doktorowie, a na wyjazd nalegali. Zamęt panował wielki wśród służby usiłującej z chwil ostatnich życia pańskiego korzystać. Wynoszono skrzynki i worki, przyprowadzano Żydów i lichwiarzy, włóczyły się kobiety różne, ulubieńcy króla postępowali sobie tak śmiało i zuchwale, jak gdyby bezkarności byli pewni.

Wieść chodziła dnia tego, że król długo z ks. Krasińskim podkanclerzym siedział zamknięty i testament, już ułożony, na kilka rąk spisywać kazał. W stajniach wszystko przysposabiano do podróży. Zygmunt August z łóżka prawie nie powstawał.

⁷³ D o s i e c z k a — karlica, postać historyczna; wymieniona zaraz niżej druga karlica, Jagnieszka, była sekretarką Zofii Jagiellonki

⁷⁴ J a n K r a s s o w s k i — postać historyczna; pochodził ze szlachty, wychował się we Francji, gdzie dostał się na dwór królewski, którego był ulubieńcem; Krassowski gorliwie popierał myśl obrania królem Polski Henryka Walezego; umarł we Francji

Dzień wyjazdu jeszcze nie był postanowiony. Krajczy i podczaszy, którzy oba liczyli się do przyjaciół Giżanki, zwłoczyli z podróżą, chcąc się jej tu doczekać, aby jeszcze dla siebie i dla córki swej u króla coś wyłudzić mogła. Z mnogich ulubienic Zygmunta Augusta Barbara Giżanka najgłośniejszą była, a w tym roku powiwszy córeczkę, którą za królewskie dziecko miano, korzystała z tego, aby dla siebie obficie wyjednać wyposażenie. Piękna bardzo, córeczka ta mieszczanina i burmistrza warszawskiego, żyła z matką w klasztorze, gdy ją krajczy i podczaszy napatrzili i z pomocą Żyda Egidego⁷⁵, który im w podobnych sprawach służył, uwiedli dla króla. Podczaszy miał być pierwszym, co się tam wkraść potrafił pod nazwiskiem siostry Opackiej. Sprowadzona na zamek, w którym na jednym dziedzińcu z królowną Anną mieszkała, boleśnie dała się czuć jej, gdyż z okien królownej widać było po całych dniach wyglądającą i przyjmującą mnogich gości kochankę, a potem nieraz i kwilenie jej dziecka dochodziło do uszu upokorzonej pani. Dwór królownej Anny oburzony i ona sama dziecięciami tego inaczej jak „szczeniędem” nie nazywali.

Łaski u króla wielkie mnogich jej zjednały przyjaciół, na których czele stali krajczy i podczaszy. Pierwszy z nich obdarzył ją zaraz karetą i końmi, którymi po mieście się pyszniła, gdy u królownej grosza na kuchnię dla dworu nie było. Hieronim Sieniawski, kasztelan kamieniecki, Łaski, wojewoda mazowiecki, wielu innych skarbiło sobie Giżankę, przez nią u króla wyrabiając przywileje i dary.

Boleńszym może jeszcze nad sąsiedztwo Giżanki na zamku było porwanie z własnego królowej fraucymeru pięknej Anny Zajączkowskiej, z którą król chciał się żenić. Zażyto fortelu, oszukano królownę, udając, jakoby Zajączkowska za mąż wychodzić miała, i w ten sposób wzięto ją do króla, a potem umieszczono tymczasowo w Witowie, niedaleko Piotrkowa, gdzie po książęcemu ją utrzymywano. Po kilka tysięcy czerwonych złotych posyłał na raz król Zajączkowskiej, a samo jej wystawne łóżce cztery tysiące kosztować miało.

Krwawymi łzami srom ten domu swego opłakiwała Anna, a że oburzenia swego powściągnąć nie umiała, że o tym, co mówiła, donoszono Augustowi i usiłowano ich poróżnić, przyszło do tego, iż się od dawna brat z siostrą nie widywali i król o wszystkich jej potrzebach zdawał się zapominać. Anna miała wprowadzić przyjaciół i na królewskim dworze, ale mniej śmiałych niż ci, którzy z ostatnich godzin dla siebie starali się korzystać.

Testament, który właśnie dnia tego spisywano, dowiódł najlepiej, że serce Zygmunta Augusta nie odwróciło się od siostry. Wstyd raczej niż gniew był powodem zerwania stosunków. Obawiał się król wymówek słusznych, łez samych, które by go dotknęły boleśnie. Nie dawało też pokoju choremu, odosobniano go umyślnie, zajmowano coraz nowymi lekami bab i sprowadzanych czarownic, tak że osłabły, zmęczony, nie był panem siebie. Obożny Karwicki jednym z tych był, którzy najuroczyściej sobie przyrzekli nie dopuścić wyjazdu króla, dopóki by się z siostrą nie widział i nie pojednał.

Gdy tak w jednej zamku połąci około chorego kręci się rój ludzi chciwych, w drugiej około królowej Anny zbierają się wierni jej i rodzinie, gotowi bronić opuszczonej. Do tych należał, jakżeśmy widzieli, i starosta warszawski, który będąc na zamku, a do króla nie mogąc się dociśnąć, kazał się do królowej prowadzić. Przyjmowała go zawsze mile, gdyż szacowała w nim człowieka, który nikczemnym służalstwem się nie plamił, a u króla łaskę miał zasłużoną pracą, jaką podejmował około mostu na Wiśle, bo Zygmunt August, pragnąc to dzieło widzieć dokonanym, powierzył jemu i po nim się go spodziewał. Ogromny ten most, budowa na swe czasy trudna i kosztowna, już w połowie była ukończoną. Jeździł, gdy zdrowszym się czuł, król oglądać ją, przypatrywała się królowna, chlubił nią Wolski. Zobaczywszy go u siebie Anna, która jak zawsze, tak i tego dnia z zapłakanymi wyszła przeciwko niemu oczami, sądziła, iż przybywał dziełem się swym pochlubić.

⁷⁵ E g i d (E g y d z y) — postać historyczna. Mowa o nim w *Posłowniu*, gdzie wspomniano też o przebraniu się Mikołaja Mniszcha za siostrę Opacką, o czym zaraz niżej w powieści

— Dawno was nie widziałam, panie starosto — odezwała się smutnie — ano wiosna, zima pono nie uszkodziła robót waszych, które pewnie daleko postąpić musiały.

— Nie spoczywamy — odpowiedział starosta wesoło, gdyż zawsze oblicze pogodne zwykł był okazywać — lękam się tylko teraz, aby nam postrach powietrza nie rozpędził ludzi.

Westchnęła królowna. Wolski, coś jeszcze o moście powiedziawszy, nagle zmienił przedmiot rozmowy.

— Gościa mam ciekawego u siebie — rzekł — którego bym i Waszej Miłości rad okazać, ale bez zezwolenia nie śmiałem.

— Któż to taki? — obojętnie zapytała Anna.

— Szlachcic polski, Krassowski, ale długim pobylem we Francji, na dworze królowej matki⁷⁶, której ulubionym był i jest, na poły już Francuz. Zowie się on Krassowski. Pan Bóg go dotknął kalectwem, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę, gdyż nie wiem, czy nad łokieć ma wzrostu, ale łokietek ten rozumem, dowcipem, nauką, a nawet postacią i twarzą niejednego olbrzyma przechodzi. Potrzeba go widzieć, aby temu uwierzyć. Tak mu owa karłowatość, co miała być upośledzeniem, stała się narzędziem fortuny. Długie lata na dworze francuskim przebywając, zebrał sobie i mienia dosyć, i wziętość uzyskał. Zateśniło mu się jednak do Polski i teraz tu przebywa. Najciekawsza to, co o dworze francuskim, królowej matce, królu i jego rodzinie opowiada. Posłuchać warto.

— Starosto mój! — westchnęła Anna. — Dziś u nas tak smutno, iż najpiękniejszą bajeczką o królach zabawić nas trudno!

Wolski nie zraził się tą odprawą.

— A ja bym — rzekł — pomimo to pokornie dla niego o posłuchanie upraszał. Gdyby król zdrowszym był, przyjąłby go pewnie, w zastępstwie choć Miłość Wasza zechcesz mu tę łaskę wyrządzić.

Obojętnie dosyć, nie podnosząc oczów, odezwała się królowna:

— Jeżeli to koniecznie potrzebne, a wam miłym być ma?

Starosta się do kolan pokłonił.

— Chciałbym mu to wyjednać, bo do mnie miał z Krakowa polecające listy — rzekł. — Człowiek zresztą ciekawy, bo jak mały, tak w nim rozumu wiele i warto widzieć tę osobliwość, gdyż się podobna nierychło zjawi. Karłów myśmy wszyscy znali i widzieli wielu, pospolicie złośliwych i dziecinnych, ten zaś wcale różny i wstydu narodowi polskiemu u Francuzów nie uczynił.

Zapytał starosta, kiedy by mógł Krassowskiego z sobą przywieść, a królowna zafrasowała się nieco.

— Kiedy chcecie — rzekła — tylko nie wówczas, gdy mi u brata, u króla JMości posłuchanie wyjednávają, bo się go dziś, jutro spodziewam.

— Dziś wątpię — rzekł starosta — z ks. podkanclerzym zajęty i wiem, że się nieprędko to skończy. Gdybyś więc Miłość Wasza dozwoliła, nad wieczór bym go tu mógł przywieść.

Królowna nie zdawała się ani ciekawą, ani żadną poznania tego stworzenia tak oryginalnego, które jej starosta zalecał, lecz nie chciała się sprzeciwiać Wolskiemu.

— Dobrze więc — odparła zimno — a mówi on po polsku czy po włosku?

— Zna oba te języki i francuski naturalnie, bo do tego przywykł długim we Francji pobylem.

Wolski, krótko tak zabawiwszy, odjechał, a królowna Anna zakłopotała się zaraz tym, że karzeł, który do przepychu na dworze paryskim był nawykły, miał u niej znaleźć takie ubo-

⁷⁶ k r ó l o w a m a t k a — Katarzyna de Medici (1519 —1589), matka kolejnych królów francuskich: Franciszka II, Karola IX i Henryka III (również króla polskiego), miała silny, a nadzwyczaj ujemny wpływ na sprawy publiczne, zwłaszcza za czasów panowania Karola IX; ona ponosi główną odpowiedzialność za rzeź w nocy św. Bartłomieja (por. przypis 19 t. II)

stwo i prostotę. Kazała Dosi postarać się, aby posłuchalna komnata trochę świetniej wyglądała. Ale skądże tu było wziąć do niej sprzętów i przyozdobień? Zagłobianka z innych izb powynosiła, co mogła, postarała się o kwiatki i odświeżyła nieco smutną i ciemną komnatę.

Jak starosta zapowiedział, przed wieczorem zajechał z kolebką pod małe zamkowe podwórze, gdzie kilka osób ze służby się znajdowało i zdumiało się, widząc przechodzącego Krassowskiego. W istocie była to figurka tak osobliwa, że się jej cały boży świat zdumiewał i wydziwić nie mógł. Karzeł był bardzo wytwornie, wedle mody francuskiej ubrany, a że zręczny był i pełen życia, choć niemłody, obracał się rześko, nastawiał bardzo śmiało i butnie, miło było na niego popatrzeć. Począwszy od włosów, utrefionych kunsztownie, wszystko, co miał na sobie, niezmiernie starannie było dobrane, kosztowne a piękne. Łańcuch, mieczyk były dla niego robione umyślnie. Twarzyczka, acz podstarzała i pomarszczona, miała wiele życia, oczy ognia, ruchy wdzięku. Nawykły do wielkiego dworu, do towarzystwa królów i książąt, obracał się żwawo, śmiało, bynajmniej nie zmięszany i pewien siebie.

Królowna, przystroiwszy się trochę staranniej, choć ubierać się nie bardzo lubiła, wyszła na spotkanie starosty, który jej Krassowskiego przedstawił.

Karzeł, z kapelusikiem w rękę, przybrawszy postawę dworaka, pokłonił się królownie i nader śmiało wypalił swój komplement po włosku. Głos jego, nie tak piskliwy, jak zwykle karłów bywa, brzmiał przyjemnie i Krassowski w ogóle miłe na Annie uczynił wrażenie. Spytała go, jak długo w kraju nie był. Naówczas karzeł począł opowiadać, jak się przed dwudziestu niemal latami dostał do Francji przypadkiem, jak dla swej ułomności był przedstawiony na dworze królewskim, polubiono go tam i zniewolono pozostać.

— Chociaż mi tam bardzo dobrze było i cieszyłem się łaskami całej rodziny królewskiej — mówił dalej — nieraz mi za krajem było tęskno i nigdy o nim zapomnieć nie mogłem. Królowa matka, w której usługach miałem honor zostawać, nie chciała mnie odpuścić, musiałem nawet przyrzec, iż powrócę, odwiedzwszy moją rodzinę, i tak się tu teraz dostałem.

— W smutną dosyć godzinę — odparła królowna Anna. — Dwór nasz z powodu słabości króla okryty smutkiem, rozerwany, a oto i powietrze nam zwiastują. Prędko waszmość pewnie, przekonawszy się, co u nas się dzieje i jak tu życie ciężkie, powrócisz do weselszej Francji.

Krassowski odparł, że mu tu jednak miło było między swymi i że tyle doświadczył już dobrego, będąc przyjętym łaskawie przez panów Zborowskich i innych znaczniejszych, że nie-rad Polskę opuści, a pewno nieprędko. Zatem zręcznie zwrócił rozmowę karzeł na rodzinę królewską, we Francji panującą, na jej potęgę, bogactwa, wielkie przymioty, przywiązanie do Kościoła i wierność Stolicy Apostolskiej. Opowiadał, jak królowa matka miała wiele zgryzot po równi z synem swym panującym Karolem⁷⁷ usiłując się opierać zamachom hugonotów,⁷⁸ którzy herezję szczepili i jednolite dotąd a zgodne królestwo rozerwać usiłowali na dwa obozy.

— Coś podobnego i u nas widzę — dodał Krassowski — gdyż i my swych hugonotów mamy, również możnych jak francuscy; daj, Boże, tylko, aby się znaleźli tak czynni obrońcy Kościoła, jak królowa matka we Francji, która pewnie hugonotom przewagi wziąć nie dopuści.

Ponieważ królowna dosyć ciekawie się przysłuchiwała, rzuciła kilka pytań i zdawała się żywo zajmować opowiadaniem o francuskim dworze, Krassowski o jego zabawach, grzech-

⁷⁷ K a r o l — mowa o królu francuskim Karolu IX (1550—1574), drugim synu Henryka II i Katarzyny de Medici; Karol IX panował w latach 1560—1574; w rzeczywistości przeważnie rządy sprawowała matka jego, która trzymała króla z dala od spraw publicznych; por. przypis

⁷⁵

⁷⁸ h u g o n o c i (albo h u g e n o c i) — nazwa innowierców (przeważnie wyznawców nauki Kalwina) we Francji XVI i XVII w.

ności, wykształceniu, wielkiej wytworności i elegancji obyczaju szeroko się rozwodzić zaczęła.

— Król sam — dodał — mało dotąd się rządami kraju zajmował, więcej zabawom i polowaniu oddając, za to królowa matka bardzo jest czynna. Szczególną ona ma miłość dla drugiego syna swego, młodego księcia andegaweńskiego⁷⁹ Henryka, który jest nieochybnie jednym z najmiłszych i najpiękniejszych książąt swojego czasu w Europie. Jest też ulubieńcem matki, która właśnie szuka dla niego pomieszczenia poza krajem, gdyż się obawia, aby król o niego zazdrosnym nie był i stronnictwo Karola co przeciwko niemu nie knuło. Chciano dla niego utworzyć królestwo nowe z ziem poganom podległych, ale trudno, aby to przyszło do skutku.

— Jam sobie myślał — dodał śmiało Krassowski — że gdyby kiedy nasze królestwo przez bezdzietność pana osieroconym zostało, nie mogłoby lepszego uczynić wyboru, jak prowadząc na tron Henryka.

Słyszając to, zarumieniła się mocno królowna, a karzeł dodał żywo:

— Książę andegaweński nieżonaty jest i lepszego dla dziedziczki tronu męża życzyć by ani marzyć nie można.

Wystąpienie to trochę zuchwałe nie podobało się królownie, gdyż udała, jakby go nie słyszała lub nie rozumiała, ale karzeł się tym nie zraził bynajmniej.

— Należy mi przebaczyć — rzekł, kłaniając się — iż do obu rodzin królewskich będąc przywiązany, snuję sobie takie plany i taką bym rad przyszłość im zapewnić. Dla Polski nie byłoby sprzymierzeńca potężniejszego a pewniejszego nad Francję, i bezpieczniejszego daleko niż cesarz Maksymilian, który tu ma swych przyjaciół, ale też boi się go tu wielu, bo tego losu się spodziewają, jaki Czechy i Węgry spotkał.

Królowna Anna zaczęła słuchać z uwagą.

— Widać — rzekła — żeś waszmość korzystał z krótkiego czasu, jaki w Polsce przebyłeś, i już rozszluchałeś się po troszę, co się u nas dzieje. Smutne to przewidywania są, o których mnie szczególniej nie przystało sądzić.

Krassowski powrócił do rodziny królewskiej Francji.

— Książę andegaweński — rzekł — jako bardzo gorliwy katolik prędko by u nas sobie serca pozyskał. Osobiście też pełen jest przymiotów, które go czynią miłym. Młody, wesół, dowcipny, lubiący się bawić, umiejący sobie zawsze wynaleźć rozrywkę, z powierzchowności nawet wszystkim się podoba.

To mówiąc, Krassowski z płaszczyka i sukni, zapiętej na piersiach dobywać coś zaczął.

— Przy rozstaniu królowa JMość, która zawsze tak łaskawą dla mnie była — dodał — najdroższym mnie podarunkiem i pamiątką zaszczyciła. Noszę ją zawsze przy sobie. Są to wizerunki królowej JMci, która dotąd jeszcze majestatem i pięknnością góruje nad młodszymi nawet, króla JMci Karola IX i brata jego, młodego księcia andegaweńskiego.

To mówiąc, Krassowski dobył nareszcie w aksamit szkarłatny oprawny rodzaj pugilaresu i przyklękając zrećźnie, podał go królownie.

Zawahała się zrazu Anna, czy ma rzucić okiem na te wizerunki, lecz po chwili namysłu wzięła z rąk Krassowskiego pugilares i przypatrywać się zaczęła z kolei wizerunkom. Karzeł tymczasem starał się szczególną jej uwagę zwrócić na ostatnią z tych miniatur, wyobrażającą bardzo pochlebnie upięknionego księcia andegaweńskiego.

Starosta Wolski, który stał blisko, mógł dostrzec, jak blade lice królowej zarumieniło się i twarz jej wyraziła pewne pomieszanie.

⁷⁹ A n d e g a w e n i a albo A n j o u — dawna prowincja północno—zachodniej Francji; król Ludwik XI wcielił księstwo Anjou do Francji (w r. 1480), od tego czasu tytuł księcia andegaweńskiego (Anjou) nadawano członkom domu królewskiego, np. wspomnianemu w powieści Henrykowi, późniejszemu królowi polskiemu

Krassowski wciąż tymczasem opowiadał: o dostatkach, wspaniałości, o zabawach na dworze, maszkarach⁸⁰, tańcach, turniejach i o wielkiej wytworności, z jaką się tu wszystko odbywało.

— Niczym są przy tym — mówił — słynące z wykwintności i przepychu dwory książąt włoskich, z których żaden dostatkami i potęgą królowi Francji dorównać nie może. Z całej Europy, z Włoch też, co jest najprzedniejszych kunsztmistrzów, malarzy, rzeźbiarzy, tu się zbiega na usługi potężnego monarchy. Nie ma życia, jak tam. Książę Henryk, który od kolebki do niego przywykł, gdziekolwiek się obróci, pewnie z sobą poniesie to, co mu jak powietrze jest potrzebnym. Szczęśliwa pani, która serce jego i rękę pozyskać potrafi.

Naleganie ciągle na przymioty księcia Henryka tak jakoś było znaczące, że królowna nie mogła go nie zrozumieć, rumieniła się, milczała, ale każde słowo Krassowskiego głęboko się w jej pamięć wrażało.

Czas na tych jego opowiadaniach, dowcipem i wesołością ożywionych, upływał tak prędko, iż ani się spostrzegła królowna, jak wieczór nadszedł. Starosta dał znak Krassowskiemu, iż czas było pożegnać królownę. Karzeł zostawił w jej rękach swój pugilares z wizerunkami i nie upominał się o zwrot jego, a królowna położyła go przy sobie na stoliku; lecz Krassowski nie sięgnął po tę swą własność i już żegnał się, gdy mu ją królowna przypomniwała.

— Jeżeli Miłość Wasza pozwoli — odezwał się — mogę wizerunki te dla lepszego ich widzenia zostawić tu, dopóki się je zatrzymać podoba. Może je kto więcej widzieć zechce, a rad bym bardzo, aby one sobie tu serca pozyskały dla drogiej mi dobroczyńców moich rodziny.

Nim Anna miała czas zaprotestować, karzeł się uwinął prędko, pokłonił się i wyszedł z Wolskim, pugilares zostawiwszy na stole.

Zaledwie byli za progiem, gdy królowna drżącą ręką chwyciła książeczkę z miniaturami i wizerunkowi księcia Henryka chciwie przypatrywać się zaczęła. Twarz jej mieniła się, drżała; widać było, że jakieś marzenie, nadzieja jakaś nią owładła. Stała zadumana, wpatrzona w te niemal niewieście pieszczone rysy młodego księcia, którym malarz nadał wyraz i wdzięk, a urok młodości, jakiego może w naturze nie miała.

W Henryku nawet najmniej wprawne oko mogło wyczytać szyderstwo i zimną jakąś, okrutną ironię człowieka, który siebie tylko kochać umie; na obrazku wcale inaczej się on stawił: łagodnym, uprzejmym, miłym. Królowna uczuła się dziwnie pociągniętą ku temu nieznanemu, który mógł być jej przeznaczonym, jej, co tak długo czekała na kogoś, na tego opatrnościowo dla niej wskazanego męża i pana. Biedne jej serce od tak bardzo dawna pragnęło kochać kogoś, dla kogoś się poświęcić, przywiązać się do jakiejś istoty, która by jej choć odrobiną miłości za całe serce wypłaciła. Ileż to razy zazdrościła losu siostrze Katarzynie, dzielącej więzienie Jana, cierpiącej z nim, odpowiadającej tym, co ją rozdzielić chcieli od męża: Bóg nas złączył, wierną mu będę do śmierci.

Temu sercu biednej królownej przez cały ciąg życia tylko najboleśniej zadawano ciosy. Ojciec dla niej był obojętny, matka kochała przede wszystkim Izabelę, brat był zimnym. Poświęciła się dla Katarzyny, której praw swego starszeństwa odstąpiła, nie zdobywszy tym jej serca. Zofii Brunświckiej służyła, korzyła się przed nią, padała przed nią, rzadko otrzymując dowód pamięci i przywiązania. Wszystkie projekta wydania jej za mąż pęły z kolei na niczym, została coraz bardziej samą, samą, a teraz brat się jej wyrzekał, znać nie chciał i śmierć jego mogła lada chwila, bez opieki, bez przyjaciół, rzucić na łup rozterek domowych o wybór pana. Panowie polscy i litewscy mieli o niej pamiętać, czy nie? Pomiedzy nimi liczyła przyjaciół niewielu, niechętnych i obojętnych tysiące.

Nadzieja, jakkolwiek słaba, ułudna jakiegoś szczęścia, odzycia, odmłodzenia poruszyła jej sercem. Henryk się jej podobał, coś zdawało się mówić, że on był tym przeznaczonym! W

⁸⁰ m a s z k a r y — maski; chodzi o zabawy maskowe

blógiem razem i tęsknym marzeniu Anna spędziła chwilę długą. Siadła zadumana, a lękając się, aby jej wizerunków nie odebrano, aby się nie wyśmiewano może z zajęcia nimi, schowała je skrzętnie. Żalińska, która wiecznie i zawsze teraz wymówkami ją karmiła, nagoniała, gniewała się, dąsała — i to marzenie pewnie znalazłaby grzesznym i niewłaściwym. Z tym marzeniem o Henryku, milcząca, poczęła się wreszcie modlić, aby natrętne myśli odpędzić.

Talwosz, dla miłości królowej Anny, a trochę i dla pięknych oczów Dosi Zagłobianki nabicawszy się z rana ze srebrem i szczęśliwiej, niż się spodziewał, dostawszy grosza, spoczywał już na laurach dnia tego i wesoło rozmawiał z Bobolą, który posępny siedział na swoim tarczanie, biadając, gdy do drzwi zapukano i w tejże chwili uchylono je; główka wyrostka, dziewczyny z krótko ostrzyżonymi włosami, ukazała się w nich, oczyma poszukała Talwosza i zawołała:

— Pana Talwosza proszą!

Nie pytając kto i sądząc, że albo Żalińska go potrzebuje, lub królowa wołać każe, porwał Litwin za czapkę i pobiegł. Dziewczyna poprzedała go, wyskakując przez korytarz aż do antykamery, w której z założonymi rękami na piersiach, z podniesioną dumnie głową stała oczekująca na niego Zagłobianka. Niespodziewane szczęście dla rozkochanego Talwosza. Dziewczę, które przyprowadziło go tutaj, wskazało palcem Dosię. Talwosz się uklonił, serce mu biło.

Zadumana Dosią zdawała się namyślać, co mu ma powiedzieć.

— Nie potrzebuję was pytać — rzekła — czyście tak przywiązani do królowej, jako ja? Choć niedawno jesteście na jej dworze, ale mam was za wiernego sługę naszej pani.

— I możecie za to poręczyć — przerwał Talwosz, rękę kładnąc na piersiach.

Zagłobianka powiodła białą rączką po czole.

— A! — rzekła smutnie. — Gdyby ona tyłu miała przyjaciół, co. ma wrogów! Na nią się wszyscy spikają i sprzysięgają. Opuścił ją król i zaniedbał, a drudzy, gdy on oczy zamknie, wszystko będą czynili w interesie jakichś tam przyszłych panów, którym się chcą zaprzedać, a o królowie, choć się jej to państwo należy i korona, ani pomyślą!

Westchnęła Dosią i nagle, znizywszy głos, poczęła żywiej:

— Cesarz Maksymilian ma już tu więcej przyjaciół niż ona. Wszyscy za nim i z nim. Królowa wie na pewno, że kardynał Commendoni tylko o cesarskich interesach myśli, a o jej los wcale nie dba. Jak i skąd my to wiemy, z tego ja nie potrzebuję wam się spowiadać, ale to pewno, że kardynał, który co dzień wyjeżdża do lasu Bielańskiego dla świeżego powietrza, dzisiaj się tam ma spotkać z kimś... pono z Litwy. Będą tam jakieś narady.

Spojrzała na Talwosza, nie śmiejąc dokończyć. Litwin się zarumienił.

— Niemiała to rzecz — odezwał się — podsłuchiwać i szpiegować, i jeśli komu, to mnie ona nie przystała, ale gdy idzie o królową...

— O ocalenie jej może — przerwała Dosią gorąco — bo niebezpieczeństwo dosyć czasem znać, aby go uniknąć. Gdybyś waszmość choć o tym się dowiedział, kto tam kardynała oczekuje, z kim i... o czym będzie narada.

Wejrzenie dziewczęcia, które doskonale wiedziało, że nim, co zechce, wymoże na Talwoszu, stało się tak nalegającym, iż Litwin gotowym się uczuł na wszystko.

— Już kiedy kardynał — dodała Zagłobianka — takich sposobów używa, iż za miastem w lesie zwołuje schadzki, niemałej wagi sprawa być musi i osoby do niej wezwane.

— Ja naszych Litwinów wszystkich znam i Chodkiewiczów, i Radziwiłłów, i ile ich tam jest — rzekł Talwosz. Dosią przerwała mu.

— Ponieważ Commendoni już wprzód się znośił z Polakami, z wojewodą Firlejem⁸¹, z Zebrzydowskimi nawet, a teraz Litwinów sprowadza, oczywista rzecz, że idzie o ważne sprawy, o spadek po królu, którego już uważają, jakby dni jego policzone były.

⁸¹ J a n F i r l e j — sekretarz króla Zygmunta. I; następnie, otrzymując coraz wyższe godno-

Talwosz zamyślony stał, wąsa mordując i wargi zakąsywając.

— Kardynał, Włoch przebiegły, jak tu żaden — rzekł — dosyć przypomnieć, że króla zmógł, gdy mu o rozwód chodziło; miarkujcież, miłość wasza, jeżeli on do lasku jedzie dla skrytości, postawi pewnie strażę i zbliżyć się do nich nie będzie podobna.

Dosia rzuciła ramionami.

— Na to waszmość masz rozum i przebiegłość — odezwała się rzeško. — Zapewne, że tak, jak stoisz, nie zbliżysz się, ale...

Talwosz się rozśmiał.

— A prawda! — zawołał. — Juści się za chłopą albo za babę po grzyby idącą mogę przebrać.

— Dosyć by za żebraka — wtrąciła Zagłobianka żywo.

— Nie wiecie, o której godzinie ta schadzka w lasku ma się odbyć? — zapytał Talwosz.

— Przed wieczorem, czasu dużo do stracenia nie ma, a choćbyś waszmość się jaką godzinę przechadzał oczekując, nie tak to sroga męka.

Litwin nic jeszcze stanowczego nie odpowiadał, poczęła się niecierpliwić Zagłobianka.

— Pójdziesz, czy nie? — spytała.

— Muszę — rzekł posłuszny Litwin — ale jak ja to potrafię, co mi rozkazujecie... jeden Bóg wie.

— Ja wam nie rozkazuję — przerwała Dosia — nie dla mnie to uczynicie, ale dla królowej.

Talwosz wejrzeniem zdawał się jej mówić, że przynajmniej równie dla niej, jak dla Anny podejmował się bardzo niebezpiecznego i nieprzyjemnego szpiegostwa.

Nie upłynęła godzina potem, gdy odarty żebrak, z osmoloną twarzą, w sukmanie dziurawej, w łapciach, o kiju, z zamku się przez ogród spuścił ku Wiśle, odwiązał u brzegu przytwierdzone czółenko małe, siadł do niego nie postrzeżony i potężnie wiosłem robiąc, posunął się, obejrzawszy dokoła, z biegiem rzeki, ku Bielanom.

Trudno w nim było poznać młodego i przystojnego chłopaka, który się stroić lubił i dbał o to, ażeby nie gorzej od innych wyglądał. Ale czegoż miłość nie robi i pocziwe serce.

Talwosz wiele dla Dosi czynił, to pewna, niemniej jednak pragnął usłużyć królowej, którą dwór jej i ci, co ją teraz w położeniu tym sierocym widzieli, kochali mocniej niż kiedy dlatego, że ją prześladowano.

Talwosz nie darmo nad brzegami Niemna się wychował, z maleńką łódką umiał sobie doskonale radzić, kierował nią zręcznie i bardzo krótkiego potrzebował czasu, aby się dostać do lasku, który zarosłym brzegiem schodził aż do rzeki.

Ukrywszy łódkę w trzcinach i sitowiu, wyskoczył z niej i przygarbiony, o kiju, rozglądając się pomiędzy sosnami, począł wspinać się na górę, usiłując odgadnąć, gdzie kardynał i tajemniczy owi Litwini zejść się mieli. Znał on trochę lasek ów, bo do niego na przechadzki z miasta chadzano. Nie spostrzegł w nim zrazu nikogo, pusto było. Dopiero dalej nieco idąc, na maleńkiej polance konie, które masztalerz wodził, widzieć się dały. Z siodeł i przykryć, choć skromnych, poznał, że nie lada kto z tych wierzchowców zsiąść musiał. Ale oprócz pacholka przy koniach nikogo nie było. Ostrożnie od drzewa do drzewa przesuwając się tak, aby go pnie i zarośla zasłaniały, wdarł się Talwosz w głąb lasu, ciągle na wszystkie strony oczyma rzucając i nastawiając ucha. Długo nic słyhać nie było. Dalej idąc, zdało mu się, że cichą posłyszał rozmowę. Szedł więc w tę stronę, z której ona go dochodziła. Wkrótce mignęły mu dwie postacie. Pełznąć prawie po ziemi, Litwin teraz usiłował się jak najbardziej ku nim przybliżyć.

Kilkanaście kroków zrobiwszy, mógł już twarzy dostrzec i zdziwił się nadzwyczajnie, gdy mu się zdało, że w nich poznał Jana Chodkiewicza⁸² i Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła⁸³. Nie osobom się zdumiał, ale temu, że one się zbliżyć do siebie i spokojnie z sobą mogły rozmawiać. Wiadomo mu bowiem było, że Chodkiewiczze naówczas z Radziwiłłami o lepszą idąc, kto na Litwie zawładnie, na noże byli z sobą. Nikt nie słyszał i nie przypuszczał pojednania. Cudem się to wydało Talwoszowi, gdy ich postrzegł spokojnie stojących obok siebie i zamieniających z sobą co chwila po słów kilka.

Serdeczności wielkiej widać po nich nie było. Chodkiewicz stał, w bok się wzięwszy, z tą dumą ogromną, która go nigdy nie opuszczała, nawet obok tronu. Radziwiłł nieco opodał, z twarzą obojętną, z udanym może chłodem, spoglądał na niego bacznie, nie dając sobie imponować tym wyrazem buty. Radziwiłł był jakby ten, który już swojego stanowiska zdobytego czuł się pewnym. Chodkiewicz zdawał się dopiero chcieć je zdobyć i zapewnić sobie. Mówili mało.

Talwosz idąc w kierunku ich oczów, bo oba w jedną stronę wzrok zwracali, domyślił się, że stamtąd pewnie kardynała oczekiwać musieli. Upłynęła dobra chwila. Talwosz począł się pilno rozglądać, chcąc domysleć, gdzie rozmowa miejsce mieć może, aby się zbliżyć ku niemu i choćby na ziemi w krzakach przylegnąć.

W lesie dosyć zarosłym podówczas, pełnym gałęzi połamanych, suszy i łomu, przechadzać się nie było podobna, aniby wypadało szukać w nim kątów jakichś; należało przypuszczać, że kardynał nadjedzie drogą z Warszawy i że na tym gościńcu z oczekującymi na niego zatrzyma się dla rozmowy. Z dala słyszał już było turkot powozu i Litwin podniósł głowę, usiłując go dostrzec, lecz wkrótce umilkło wszystko. Radziwiłł i Chodkiewicz, spojrzawszy na siebie, posunęli się kilkanaście kroków naprzód jakby na spotkanie, a zza drzew w głębi wystąpiły dwie postacie idące pieszo.

Talwosz niejedną raz widywał kardynała, ale zawsze w jego szatach urzędowych w szkarłatach. Teraz miał on na sobie tylko ciemne fiolety na spodzie, a wierzchem suknię długą i płaszczyk czarny. Na głowie takiż kapelusz z szerokimi skrzydłami. Tuż za nim, tak samo ubrany, szedł drugi duchowny tylko — nikogo więcej. Służba i powóz zostały zapewne gdzieś u skraju lasu. Kardynał szedł coraz żywiej, oglądając się pilno dokoła. Była to też sama, znana Talwoszowi twarz Włocha, w której niezmierną przebiegłość, niesłychaną zrzeczność okrywał wyraz takiej łagodności i dobroci, takiej słodyczy i naiwności prawie dziecięcej, iż nikt się go obawiać, nikt o chytrość posądzić go nie mógł.

A był to swojego czasu najzręczniejszy z negocjatorów⁸⁴, na j rozumniejszy z dyplomatów, mąż niepoścignionej umiejętności pozyskiwania ludzi, przekonywania ich, zdobywania. Dość jest na dowód przytoczyć, że potrafił ludzi już od Kościoła odpadłych, straconych dla niego, skłonić do wyboru zgodnego z katolikami, że umiał sprząć zawziętych wrogów, jakimi byli: marszałek Firlej i wojewoda Zebrzydowski⁸⁵. Radziwiłł i Chodkiewicz. Gorliwy katolik, gdy tego interes Kościoła wymagał, umiał Commendonowi sprawę religii wrzekomo odłożyć na stronę, nie tykać ją, uczynić podrzędną; wyrzekał się propagandy, nawracania, zamykał oczy

⁸² J a n C h o d k i e w i c z — był od r. 1564 wielkorządcą Inflant, kasztelanem wileńskim, starostą żmudzkim, marszałkiem w. litewskim itd. W młodości przyjął naukę Kalwina, lecz w r. 1572 powrócił do katolicyzmu. Zmarł w r. 1579. (Nie należy go utożsamiać z Janem Karolem Chodkiewiczem, zwycięzcą spod Kirchholmu).

⁸³ M i k o ł a j K r z y s z t o f R a d z i w i ł ł — zwany „Sierotką” (1549—1816). Wychowany był w kalwinizmie, ale pod wpływem osobistego zetknięcia się z Commendonim i Skargą przeszedł w r. 1567 na katolicyzm. Już w 18 roku życia został marszałkiem nadwornym litewskim, w r. 1590 wojewodą trockim, w r. 1604 wileńskim

⁸⁴ n e g o c j a t o r (łac.) — człowiek prowadzący układy

⁸⁵ K a s p e r Z e b r z y d o w s k i — wojewoda kaliski (zm. w r. 1584)

na żądania wbrew jego przekonaniom przeciwnie. Zyskiwał sobie naprzód słodyczą i łagodnością ludzi, potem dopiero do sumienia ich kołatać próbował. Na przemiany tolerujący i nieubłagany, od nikogo nie stronił, nikim nie gardził — i dokazywał też cudów, o ile mogły być dokonane. Przeszkodzenie rozwodowi króla, utrzymanie go wiernym Kościołowi, gdy o niewiele szło, by od Rzymu odpadła Polska i sprzeniewierzyła się jemu, już za prawdziwy cud zręczności i taktu Commendoniego uważać można.

Chodkiewicz i Radziwiłł powitali go z wielkimi oznakami uszanowania. Commendoni szedł ku nim z twarzą rozpromienioną, uśmiechający się, słodki, z wyrazem ojcowskiej dla obu czułości. Nie było więcej nikogo, nad ich czterech tylko. Jakim sposobem Talwosz zdołał podpełznąć ku nim nie postrzeżony, on sam by może tego zuchwalstwa, które mu się szczęśliwie powiodło, wytłumaczyć nie umiał. Na wypadek, gdyby go towarzysz kardynała, który pilno się rozglądał dokoła, był postrzegł, miał gotowe tłumaczenie: chciał udać uśpionego w zaroślach. Szczęściem nie domyślano się nawet, aby w lesie pustym zupełnie mogła się żywa dusza znajdować.

— Cieszy mnie niewymownie — począł po przywitaniu Commendoni — iż uprzedzając wypadki, naradzić się możemy, zapobiegając klęskom, jakie by na to piękne państwo, będące przedmurzem chrześcijaństwa, spaść mogły, gdyby je zdać przyszło na niepewne losy chwili rozstrojenia w umysłach i twogi. Król żyć nie będzie. Zwiążmy się uroczystą przysięgą, iż to, co tu między sobą ułożymy, pozostanie tajemnicą.

Chodkiewicz i Radziwiłł zamruczeli coś niewyraźnie, skłaniając głowy, kardynał rękę na piersiach położył i mówił dalej.

— W tej chwili, stanowiącej o przyszłości, od Litwy zależy los państwa całego. Nie ulega wątpliwości, iż Polacy muszą wybrać tego królem, kogo wy obierzecie wielkim księciem. Tak zawsze bywało, tak będzie i teraz.

— Unia jest wprawdzie zawartą — odparł posepnie Chodkiewicz — ale Litwa nie jest nią zaspokojoną. Oderwano nam należne ziemie. W przymierzu z Polską chcemy trwać, ale jej podlegać i przez nią pochłonięci być nie powinniśmy.

— Jeżeliście odrębność waszą potrafili dotąd ocalić — przerwał kardynał — tym bardziej ją ugruntujecie na przyszłość, jeżeli mnie posłuchacie. Zaręczę ją wam jeden z synów cesarskich, jeśli go wybieriecie.

Ani Chodkiewicz, ani Radziwiłł nie zaprotestowali przeciwko temu, spojrzeli po sobie tylko, badając się wzajemnie, i milczeli.

— Aby poprzeć elekcję tę, siłę też zbrojną przygotować trzeba i nie zawadziłoby mieć ze dwadzieścia tysięcy jezdnych.

— To się zbierze łatwo! — zamruczał Radziwiłł.

— Ernest⁸⁶ lub inny z synów cesarskich — dodał kardynał — może pozostałą zaślubić królowną, aby swe prawa umocnił tym związkiem.

Chodkiewicz się namarszczył.

— Królowna żadnych praw już nie ma — odparł butnie. — Wszakże się dziedzictwa swego nad nami zrzekł król, gdy unię czynił, zatem i spadku po sobie nikomu nie może przekazać. Swobodni jesteśmy pana sobie wybrać, jako chcemy.

Kardynał spojrział na niego.

— Sądzę — rzekł łagodnie — iż przywiązanie do dawnych panów, jeżeli nie u wszystkich, znajdzie się jeszcze u wielu na Litwie. Uczucie to uszanować by należało i nie wyłączać go z rachuby.

Radziwiłł zasepiony nie ujął się za prawa królownej, myśl jego zdawała się gdzie indziej wędrować.

⁸⁶ E r n e s t — arcyksiążę austriacki (1553—1595), Syn cesarza Maksymiliana II, trzykrotnie zabiegał bezskutecznie o koronę polską

— Cesarz — odezwał się — pewnie dla nas najlepszym panem będzie i obrońcą, ale w Polsce ma on wielu nieprzyjaciół.

Commendoni uśmiechnął się.

— Ci się nawróca — rzekł — nie obawiajcie się. Korzyści z wyboru członka cesarskiego domu są tak wielkie dla kraju, dla Kościoła, dla całego świata, że je w końcu wszyscy uznać muszą.

— A jeśli Polacy się oprą temu wyborowi — przerwał Chodkiewicz — tym lepiej, zerwiemy unię. Nie przyniosła ona nam korzyści żadnych, a straciliśmy na niej wiele.

— Nie mówcie tego, niech Bóg uchowa — począł łagodnie Commendoni. — Osłabłyby oba państwa, a że jak mówicie sami, sporne są granice i posiadanie ziem niektórych, cóż gdyby do wojny pomiędzy nimi przyjść miało? Korzystaliby z tego nieprzyjaciele Krzyża św., Turcy i czyhający na posiadłości wasze carowie moskiewscy. Litwa, choćby coś poświęciła nawet dla unii, nie tyle waży utrzymując ją, ileby mogła stracić zrywając.

Chodkiewicz nie nalegał, ale się nie zdawał być przekonany, zamruczał tylko:

— Cesarz nam nasze odrębności, jakieśmy ocalili dotąd, poręczyć musi.

— I poręczy, i utrzyma! — zawołał kardynał. — Właśnie dlatego wy pierwsi go wybieracie, wam winien będzie tron i sprawom waszym da pierwszeństwo.

— Musi nam przywrócić oderwane ziemie — dodał uparty Chodkiewicz.

— To sobie przy wyborze zawarujecie — wtrącił Commendoni. — A starostwa i urzędy — ciągnął dalej Litwin — tylko urodzonym Litwinom rozdawać ma.

— Mogę was zapewnić, iż wszystkie te warunki przyjęte zostaną — począł prędko Commendoni, chwytając za rękę Chodkiewicza. — My tu nie o nich mówić mamy, ale się zgodzić na wybór potrzebujemy. Macież co do zarzucenia przeciwko niemu? — dodał, zwracając się do Radziwiłła.

Milcząc głowę skłonił tylko powołany. Chodkiewicz nie uspokojony nalegał znowu na odrębność Litwy i wyswobodzenie się od unii, na zwrot ziem i powiatów oderwanych. Commendoni zwrócił rozmowę na więcej osobiste stosunki, zaręczając za cesarza, iż tym, którzy mu drogę pierwsi do tronu utorują, potrafi zawdzięczyć ich miłość i zaufanie i że najwyższe czekają ich dostojęstwa. Ani Chodkiewicz, ani Radziwiłł nie zdawali się do tego przywiązywać wagi, a przynajmniej okazać jeden wobec drugiego, iż mogli osobiste widoki mieć na myśli.

— Litwa więc niech przoduje — dodał kardynał. — W Polsce mogą być zdania i głosy rozbite, wy za sobą rozprzężonych pociągniecie.

— Ernest, syn cesarski, jeżeli na niego padnie wybór — odezwał się nareszcie Radziwiłł — powinien być pogotowiu osobą swą, abyśmy go podnieśli na księstwo i ukoronowali. Zawczasu zbliżyć się musi ku granicom.

— Sądzę i ja, że nic nie zagraża mu, gdy się narodowi litewskiemu powierzy — dodał kardynał — ani wahać się może.

Chodkiewicz potwierdził to. Nie było już sporu. Ani kardynał, ani żaden z przybyłych nie wspomniał o królownie Annie, tak jak gdyby wcale praw jej nie uznawali.

— Mam więc słowo wasze i mogę na nie rachować? — spytał, wpatrując się po kolei w obu, Commendoni.

Radziwiłł spojrzał na Chodkiewicza, który już nie stawiał oporu.

— Uczynimy, co w mocy naszej — rzekł Radziwiłł.

— A w mocy was dwu, miłośni panowie — ciągnął dalej Commendoni — jest wszystko. Jeżeli zechcecie w tej sprawie być zgodni, kraj pójdzie za wami, oprzeć się nikt nie może. Dawnych sporów i nieporozumień zapomnieć należy.

Zapanowało milczenie.

— Nalegam na pośpiech — odezwał się raz jeszcze kardynał. — Potrzeba, ażeby Litwa Polskę wyprzedziła i dała jej dobry przykład, od tego wszystko zależy. Pierwsza ona, okrzyknąwszy Ernesta, pozyska większe prawa do jego serca i wdzięczności. Młody jest i przez matkę świątobliwą wychowany, więc Kościołowi będzie podporą i wam opieką przeciw tym, co by rozdziwić chcieli pod pozorem wiary, gdy ona najlepszą i jedyną trwałą jest spójnią narodu.

— Cesarz zapewne kogoś nam przyszele od siebie — wtrącił Chodkiewicz — abyśmy się porozumieć lepiej mogli.

— Tak sędzę i skłonię go do tego — odparł Commendoni. — Bogu więc niech będą dzięki, jeżeli król ocalonym być nie może, a zgon jego was osieroci, nie zostaniecie nie przygotowani.

I z kolei Radziwiłła naprzód, potem Chodkiewicza ucałował obejmując kardynał, obiecując im błogosławieństwo i modlitwy Ojca świętego.

— Ufam — rzekł — znanej mi wierności domu cesarskiego dla Stolicy Apostolskiej; jednakże, jeśli nie dla dnia dzisiejszego, to dla przyszłości radziłbym wam, abyście od króla przyszłego wymogli przywrócenie tego wydartego kapitułom, a słusznie im należnego prawa, iżby spomiędzy siebie biskupów wybierały. Monarchowie najświętobliwsi rządzą się, mianując ich od siebie, więcej tym, co im dogodnie, niż co interesom Kościoła odpowiada. Bezpieczniej zawsze, gdy Kościół od państwa niezawisłym pozostanie, bo może po stronie praw narodu w razie, gdyby zagrożone były, zająć przeważne stanowisko.

Mówiąc to Commendoni spojrział na obu z kolei. Radziwiłł się zgadzał i przyzwalał. Chodkiewicz pozostał obojętnym. Jedna tylko niezawisłość Litwy i odrębność jej od Polski najmocniej go obchodziła.

Talwosz usłyszał raz tylko wymienione imię królowej, lecz w tej chwili kardynał razem z przeprowadzającymi go ku powozowi swemu z wolna iść zaczął, a las w tym miejscu przeczczony nie dozwalał pełznąć dalej nie postrzeżonemu.

Musiał więc pozostać W krzakach i widział tylko, jak się na pół drogi pożegnali z kardynałem Litwini i jak on prędkim krokiem na powrót do karety swej podążył. Chodkiewicz i Radziwiłł, mało co mówiąc do siebie, z wolna iść do swych koni poczęli.

Chociaż rozmowę niecałą może podchwycił Litwin i nie mógł zapamiętać jej szczegółów, smutnie go to w niej uderzyło, iż Chodkiewicz wszelkich praw królowi zaprzeczał, a Radziwiłł się też nie ujmował za nią. Kardynał zaś o warunku zaślubienia jej przez przyszłego króla nie wspomniał prawie potem i nie nalegał wcale. Niepłonne więc były obawy, iż się tu coś knuło, co biednej Annie zagrażało.

Niedługo czekając teraz na odejście Chodkiewicza. i Radziwiłła, Talwosz, który się już nie lękał być postrzeżonym jako żebrak, wstał z ziemi i na powrót poszedł ku łódce, którą zostawił u brzegu. Powiodło mu się szczęśliwie, ale to, co posłyszał, wcale pociesającym nie było. Utkwiło w nim boleśnie, co z taką mocą przekonania wygłosił Chodkiewicz, iż królowa wcale żadnych praw nie ma i do żadnego spadku przypuszczoną nie będzie. Zdało mu się to zuchwałym, niemożliwym, chociaż Chodkiewicz pewnie mówił to nie z siebie, ale wiedząc o usposobieniu części znacznej kraju. Nie potakiwał mu Radziwiłł, lecz się też nie sprzeciwił i za królową nie ujął.

Zaczynało zmierzchać, gdy zsunąwszy się z brzegu, Talwosz dopadł łódki swej szczęśliwie, znalazł ją na miejscu i siadł, aby nią powrócić do zamku. Ciężej mu teraz przychodziło przeciwko dość silnemu prądowi rzeki wiosłować i dla pośpiechu trzymać się musiał brzegów, a wiosła do popychania używać. Dobrze się tym umęczył i kawał czasu upłynęło, nim wręście dzwony, na pacierze wieczorne odzywające się, posłyszał i przybił w miejscu, skąd nie postrzeżony mógł się dostać do zamku.

Bobola, towarzysz jego, właśnie był z miasta powrócił i próbował ogień rozpaścić dla odświeżenia powietrza, gdy Talwosz w tych łachmanach, w których się stąd wykradł, wpadł do izby.

— A toż co się z tobą stało! — okrzyknął zdziwiony koniuszy.

— Ani pytaj, ani mów o tym — odparł Talwosz. — Masz wiedzieć, że się musiał przebrać, ale po co i na co, tego ci powiedzieć nie mogę. Bobola poruszył głowę.

— Doigrasz ty się — rzekł krótko.

W jednej chwili Litwin żwawo łachmanów się pozbył, twarz i ręce obmył, suknię codzienną wdział i biegł, bo mu pilno było zdać sprawę z wycieczki przed Dosią. Ta oczekiwała na niego, niespokojna chodząc po podwórku. Zobaczywszy go, choć zawsze starała mu się obojętną pokazać, tym razem pośpieszyła na spotkanie. Talwosz w krótkich i prostych słowach wszystko jej opowiedział. Rozumne dziewczę słuchało chciwie.

— Nie ma co z tym do królowej śpieszyć — rzekła — dobrze wiedzieć, co kardynał knuje, chociaż to rzecz nienowa. Na teraz i rady nie ma. Pan Bóg wam za pocziwe serce zapłaci — dodała. — Nowina za nowinę, ja też powiem wam, że oboźny Karwicki wymógł na królu dziś, iż jutro siostrę przyjmie. Królowa i rada temu, i płacze. Pojutrze, jeżeli się królowi nie pogorszy, wywieźć go stąd mają, może jutro nawet.

— A my? — zapytał Talwosz.

— Zdaje się, że pozostaniemy na zamku, nikt o nas nie myśli, królowa się powietrza nie obawia, a choć ono w pobliżu już jest, w mieście go nie ma dotąd. Łacniej nam tu i żyć, i ludzi znaleźć, i radę sobie dać, choćbyśmy tylko starostę Wolskiego mieli. Za królem jechać nam nie dadzą, bo teraz więcej niż kiedy nie chcą dopuścić, aby kto wglądał, jak umierającego odzierać będą.

Talwosz słuchał, nie przerywając, a korzystał z tej chwili, aby oczyma jeść piękną Dosię, która zwykle mu na siebie patrzeć nie bardzo pozwalała.

Westchnął boleśnie.

— Królowę Wolski dziś trochę rozerwał — dodała Zagłobianka — bo jej przywiózł karła, szlachcica polskiego, który długi czas przebył na francuskim dworze i o nim wiele opowiadał. Zajął tym naszą panią. Bogu dzięki, i dawnom jej nie widziała tak ożywioną, tak zaciekawioną, i zajętą, jak dziś powieścią karła tego. Żalińska i to jej ma za złe, a nieustannie ją fuka i gderze. Nie dokończyła.

— Gdyby tak mnie spytano — zamruczał Talwosz — ja bym dawno tę jędzę i sekutnicę wyprawił stąd na cztery wiatry.

— Tsy! — odparła oglądając się Zagłobianka — królowa ją znosi i kocha nawet, choć ona srodze jej dokucza. Musimy i my znosić.

— Ale ona wszystkim już kością w gardle. Uśmiechnęło się dziewczę i głową skinąwszy Talwoszowi, natychmiast do królowej powróciło.

Litwin siadł na ławce przy drzwiach i rozważał, co czynić. Czy o królowie myślał, czy o Dosi, trudno było poznać — brwi mu się ściągały, ręce wyprężały i opadały, dumał tak, nawet o wieczery zapomniawszy, gdy wyrostek od pana Konieckiego⁸⁷, ochmistrza królowej, a raczej miejsce jego zastępującego, bo Anna dawno go już nie miała, przybiegł przypomnieć, że misy na stole były, a z jedzeniem nie czekano na nikogo. Talwosz powłókł się za nim.

Krajczy i podczaszy, na próżno zabiegając, aby królowej do brata nie przypuścić, gdy się to niemożliwym okazało, ściągnęli spotkanie się rodzeństwa do ostatniego dnia przed wyjaz-

⁸⁷ J a n K o n i e c k i — według Orzelskiego „marszałek i ochmistrz nadworny infantki”. Por. o nim w *Posłowie*.

dem Augusta z Warszawy i postarali się o to, aby jak najkrócej trwało. Gdy obożny Karwicki przypomniał ten obowiązek królowi i nastał na przyjęcie Anny, król nazначzył dzień, zgodził się bez trudności i nie okazał już najmniejszego żalu i niechęci. Czuł w tych ostatnich życia swego godzinach, że wina nieporozumienia nie ciążyła na królowie, ale na nim samym. Spowodowało je słuszne oburzenie Anny, gdy podstępem z jej dworu wykradziono Hannę Zajączkowską dla Augusta. Krajczy i podczaszy starali się gniew siostry odmalować w takich barwach, że króla do najwyższego rozjątrzyli stopnia. Zapobiegali potem, korzystając z tego, aby pojednania nie dopuścić, nosili plotki, oczerniali Annę i gdyby nie starania Karwickiego i Żalińskich, może by do zgody nigdy nie przyszło.

Zapowiedziane przybycie królowej, której ochmistrz jej tymczasowy Koniecki miał towarzyszyć i Żalińska, wyгнаło obu oblubieńców królewskich, nie śmiejących się na oczy pokazać Annie. Musieli się skryć, równie jak czynniejsi ich pomocnicy. Godzina ranna była na to posłuchanie naznaczona; zapowiedziano zawczasu, że króla chorego długo nie mogła siostra zatrzymywać i żadnymi go skargami i żalami trapić. Doktor Fogelweder sam jeden miał być świadkiem spotkania, bo Karwicki chciał u drzwi pozostać, których niepocziwy, rozpustny łotrzyk Książnik pilnował. Z łóża wstać król ani mógł, ani myślał; okryto go jedwabnym płaszczkiem i pozostał leżący z nogami przykrytymi. Zaprawdę była to dla obojga uroczysta godzina; wiedziała królowa Anna, że brata pewnie już nie ujrzy żywym, że go miała pożegnać na wieki. I on też żyć się nie spodziewał, a czuł się względem siostry winnym. Jedno to, że był sam wielce nieszczęśliwym, powinno mu było wyjednać przebaczenie.

Od czasu, jak się z Anną nie widzieli, zmiana w twarzy Augusta była niezmiernie wielka, straszna i znacząca. Wychudzenie, żółtość, wzrok zaostrozony chwilami i nagle ospały i znużony, mowa niezrozumiała, głos stłumiony, oddech głośny i ciężki, czyniły go na wejrzenie przerażająco znędzniałym i jakby dogorywającym. Chwilami opanowywała go jakby gorączka i rozdrażnienie, częściej jednak wpadał w rodzaj ospałej apatii, w odrętwienie zobojętnienia na wszystko.

Gdy godzina, w której królowa nadejść miała, zbliżyła się, łatwo ją poznać mógł król, bo ci, co zwykle łóża jego nie odstępowali, znikli nagle, pozostał Fogelweder; w komnacie było pusto, w pokojach sąsiednich cicho. Szelest szat i chód powolny zwróciły wejrzenie chorego na drzwi, podźwignął się trochę niespokojny. Szepty dały się słyszeć w progu, drzwi otwarto powoli, Karwicki wpuszczał czarno ubraną, chwiejącą postępującą krokiem, zmieszaną, bladą królową Annę. Za nią szła Żalińska⁸⁸, która się zatrzymała u progu. Wzruszenie przybyłej było tak wielkie, iż łzami wybuchnąć musiało, ale cichymi; przycisnęła do ust chusteczkę, skłoniła głowę i nieśmiało, nie mówiąc słowa, pokornie podstaąpiła do królewskiego łóża. Widok brata, na którego licu już, śmierć wycisnęła swe piętno, rozbroił zażaloną i zboliałą. Czymże były jej osobiste cierpienia wobec tego umierającego, a zrozpaczonego, ostatniego z rodu, który schodził sam, bez rodziny, wyniszczony rozpaczą, znękany życiem, bez żadnej, bez najmniejszej pociechy.

August dobył spod przykrycia bladą rękę drżącą i wyciągnął ku siostrze, która chwyciła ją i pocałowała z uczuciem. Dopiero teraz wejrzenia ich się spotkały. Król spoglądał na siostrę bez gniewu, łagodnie, spokojnie, jak gdyby wszystko przeszłe w niepamięć poszło. Szeptął, lecz nie słyszeć nie mogła. Anna chciała coś powiedzieć, ale słów jej zabrakło, tchu nie miała. Po przestanku dopiero, widząc go tak cierpiącym, a w nim razem króla, ojca i brata, głowę rodziny czcząc, odezwała się pokornie:

— Jeżeli w czym pobiłdziła, a była przyczyną W. K. Mości żalu jakiegoś, raczcie mi to przebaczyć. Złej woli nie miałam i źli ludzie chyba przypisać mi ją mogli.

⁸⁸ W pierwodruku mylnie: „Zajączkowska”; z treści utworu wynika ponad wszelką wątpliwość, że z Anną przybyła Żalińska

Król, obawiając się zapewne, aby rozmowa dłuższa w tym przedmiocie do wzajemnych wyrzutów nie była powodem, przerwał żywo.

— Wzajem sobie przebaczyć należy. Przekonasz się z testamentu, który ci oddaję, żem o tobie pamiętał i nie dozwolił, aby cię rodzeństwo pokrzywdziło. Zdrowa mi bywaj...

Głos słabnął, rękę wyciągnął znowu. Rozpłakała się Anna. Wtem August znak dał Fogelwederowi, który się domyślił, o co chodziło, i podał leżący na stole testament dla oddania go królownie. Jakby spełniwszy ten obowiązek, pilno mu było rozstać się z Anną, raz jeszcze pożegnał ją król, ucałował rękę jego i zachodząc się z płaczem, z zakrytymi oczyma wyszła podtrzymywana przez Żalińską, która zaraz za próg wyszedłszy, strofować po swojemu i fukać zaczęła. Ale biedna królowna nie słyszała nic i nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Wyjazd królewski zapowiadany był na dzień następny; tymczasem po pożegnaniu przestraszeni panowie krajczy i podczaszy, lękając się zbliżenia większego i wnosząc, że serce brata dla siostry obudziło się, natychmiast po oddaleniu się Anny wbiegli dowodząc, że i z dnia pogodnego, i z polepszenia małego na zdrowiu króla należało korzystać. Mieli za sobą doktora Rupperta i całą swą służalców gromadę. Ani obożny Karwicki, ani się nikt im nie mógł oprzeć, król słuchał ich, powodując się biernie, nie sprzeciwiając się w niczym.

Umyślnie już od dni kilku przygotowany wóz ogromny zatoczono pod same drzwi zamkowe. Gawiedź mogła się zbiec oglądać wcale niezwykłą i niewidzianą kolebkę, która dla króla zbudowaną została. Rozmiary jej, olbrzymie koła, grube osie, nakrycie na słupkach zawieszane, opona szkarłatna, stopnie dla pacholąt, które stojąc na nich, króla strzec i na zawołanie mu być miały, ośmiokonny cug koni grubych i silnych, przygotowanych do ciągnięcia tej arki, wszystko to w istocie tłum ciekawych sprowadziło. Ponieważ krajczy i podczaszy władali tu wszystkim, na znak przez nich dany czarodziejsko zaraz nappełniły się podwórca ludem konnym, służbą, czeladzią, wozami.

Pilno im było wywieźć Zygmunta Augusta, ażeby go od siostry odłączyć i wpływowi jej zapobiec. Pomimo łagodności jej, bezbronności, upokorzenia, potwarcze głosy czyniły Annę straszną, przepowiadały w niej drugą Bonę. Sam ks. Kasiński nawet, potakując królowi i Mniszchom, wszystkich od królowej odstręczał, ostrzegał, aby się do niej nie zbliżano.

Anna szła płacząc do swoich pokojów na zamku, nic nie wiedząc o nagłym wyjeździe postanowieniu; pochlebiała sobie nawet może, iż pierwsze lody przełamawszy, brata pozyskać potrafi. Otaczający ją szczupły dwór winszował, cieszył się, prorokował zgodę i ani się domyślano, że w tej chwili już Mniszchowie wóz kazali zatoczyć, czeladzi na koń siadać, a króla skłonili do wyjazdu nagłego.

Przyśpieszono tak wszelkie do niego przygotowania, iż w niespełna kilka godzin służba na ramionach już niosła schorzałego pana do zaprzężonego wozu, przy którego koniach stali pacholtkowie, każdy swojego za uzdę trzymając. Z trudem niemałym przyszło łoże na wozie tak ustawić, aby za każdym poruszeniem jego nie drgało i nie przechylało się.

Świeże powietrze, którym August odwykły był oddychać, drażniło mu piersi, sam ten wyjazd z takimi przybory czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział, że tu już nie powróci. Błady, oczyma błędnymi rzucał dokoła, jakby ratunku szukając, i Fogelweder na krok go nie mógł odstąpić. Krajczy, podczaszy, najulubieńsze sługi, Książnik, Konarski skarbnik, chirurg Łukasz, Maciej Żaliński⁸⁹, dozorca łoża, otaczali wóz, czepiając się dokoła.

Podwórze przedstawiało widok niezwykły, a smutny, pośpiech sprowadzał nieład, ludzie się rozbijali, pędzili, wołali, odpychano cisnące się tłumy, zasłanianie leżącego króla, a Mniszchowie naglili, aby co prędzej ruszać z miejsca. Woźnice, pacholtkowie, paziowie ustawiali się niespokojni.

⁸⁹ Wszystkie wymienione w tym miejscu osoby są autentyczne

Na dany znak wszystkie osiem koni ruszyło z miejsca i ciężki wóz zaskrzypiał, lecz jakby na omen⁹⁰ nieszczęsny jeden z woźników na kolana padł i dźwignąć go nie było można. Wóz z łożem stanął. Koniuszowie biegali, klnąc na służbę, król dopytywał się niespokojnie, co się stało. Ćwierć godziny potrzeba było, nim znowu koniom znak dano i powolnie, jak z marami żalobnymi, ruszył na ostatek zaprząg ku bramie. Słudzy tak szczelnie zewsząd poopinali firanki i trzymali je przy drążkach, iż nikt ani posłania, ni leżącego na nim króla dostrzec nie mógł. Daleko pewnie dnia tego nie myśleli Mniszchowie wywieźć króla, szło im tylko o to, aby Warszawę opuścić. Tłumaczyli się troskliwością o pana z powodu zbliżającego się powietrza, gdy w istocie szło im o skutki pojednania z siostrą, której zbyt się dali we znaki, aby się jej zemsty nie obawiali.

Królowna cieszyła się jeszcze tą oznaką dobrego serca, jaką jej dał brat, jeszcze rozmawiała o nim, bolejąc nad zdrowiem, a obiecywała sobie, iż nazajutrz przypuszczona zdoła odzyskać odebrane zaufanie, gdy Talwosz wpadł do komnaty.

— Króla wywożą! — zawołał. Zerwali się wszyscy.

— Nie może to być — odparła królowna — miał jechać jutro dopiero. Wozu może próbują.

— Tak jest, jak mówię! — potwierdził żywo Litwin. — Patrzałem na to, jak łóżko z nim zniesiono i na wóz wkładano.

Oślupiała królowna, ręce łamiąc. Jak stała, z Żalińską razem wybiegła ku wrotom, z drugiego podwórza wychodzącym na pierwsze, stąd widać było wszystko, co się na nim działo. Panował tu nieład i zamieszanie, służba królewska wyciągała, wozu już widać nie było. Przechodzący dworzanin spytany potwierdził, iż króla właśnie już wywieziono. Jakkolwiek pośpiech ten był niespodziewany, wyjazd nagły, Żalińska na swój sposób to tłumaczyła, nic nie widząc nadzwyczajnego, nic tak bardzo dla Anny niepomyślnego. Na wpół zdrętwiała powróciła królowna do izb swoich, rozmyślając, co teraz pocnie.

Chociaż król pogodził się i oddał jej testament, choć gniew ustał i poróżnienie, położenie się w niczym nie zmieniło. Nie wiadomo było, czy August pomyślał o tym, aby siostrze przyzwoite stanowi jej opatrzyć utrzymanie. Brakło pieniędzy, rozkazów, opieki nad nią. Pano wie, którzy pomocni w tym jej być mogli, razem z królem wyruszyli z Warszawy; wszystko, co żyło, miało się dla zbliżającego powietrza i dla opustoszenia zamku rozproszyć.

Anna zostawała tu zupełną sierotą na łasce warszawskiego starosty, który niewiele mógł i miał prawo uczynić dla niej. Rozpłakała się więc znowu, a niezdolna Żalińska, gdy ona wybuchnęła łzami, razem buchła wyrzutami i narzekaniem, że Annie nigdy niczego dosyć nie było, że sobie tworzyła troski, aby je móc opłakiwać. Anna była tak do tych strofowań nawykłą, że mało one na niej czyniły wrażenia, co jeszcze bardziej jąrzyło i niecierpliwiło Żalińską. W takich razach jedna Dosia Zagłobianka poradzić coś mogła, wprowadzając królownę do jej sypialni, a starając się Żalińską oddalić. Pośredniczyła ona, łagodziła, jednała, a gdy inaczej nie umiała, gniewy i fukania ochmistrzyni odciągała albo na siebie, lub na kogoś, co je obojętniej mógł znosić.

Wyjazd nagły króla natychmiast po widzeniu się z siostrą, którego znaczenie rozumieli dworscy i przyjaciele Anny, wywołał powszechne oburzenie.

Jeżeli powietrze, od Okuniewa idące, spodziewane lada dzień, wybuchnąć tu miało, potrzeba było i królownie uciekać. Dokąd? O czym? O to nikt się nie troszczył. Talwosz pobiegł na zwiady, czy nie było jakich rozporządzeń lub rozkazów, tyczących się królownej. Nikt o tym nie wiedział, nigdzie się nią nie zajmowano. Mniszchowie i ks. biskup Krasieński nie zapobiegli wprowadzić testamentowi na korzyść Anny, ale potrafili tymczasem uczynić ją sierotą, bezbronną i na łasce narodu, który w tej chwili więcej myślał o własnym, zagrażającym mu osieroceniu niż o losie królownej.

⁹⁰ o m e n (łac.) — wróżba

W mieście, po którym się rozeszła błyskawicą wieść o wywiezieniu chorego króla, uczyniła ona wrażenie przerażające. Mówiono sobie, że ta ucieczka zwiastowała mór nadchodzący, więc kto mógł, chciał także się wynosić. Z gospody Pod Białym Koniem widziano ogromny wóz, wyciągający Krakowską Bramą. Barwinek załamał ręce, bo dla niego to zwiastowało też wprędce pustki. Niemcezkowski stał właśnie we wrotach, gdy z zamku ruszać poczęto; domyślił się, co to znaczyło, i zapowiedział, że on też rusza stąd. Starosta Wolski, który dopiero nazajutrz spodziewał się wyjazdu, gdy się o nim dowiedział, siadł na koń, aby króla dognać i pożegnać, ale Fogelweder go nie dopuścił utrzymując, że kołysanie wozu chorego uspiło. Zwrócił się więc na zamek, aby się o królownie dowiedzieć, i przybył w sam czas, aby ją pocieszyć. Uradowała się, gdy jej oznajmiono o nim, i wyszła natychmiast zapłakana.

— Panie starosto — zawołała — godzin temu para zaledwie, gdym miała to szczęście zbliżyć się do króla. Dla łez i wzruszenia parę tylko słów mogliśmy przemówić do siebie, spodziewałam się widzieć go jutro... porwano i uwięziono!

— A Miłość Wasza co myślisz czynić? — spytał Wolski.

— Ja? Czekałam woli i rozkazów króla — odparła Anna. — Nie wiem, co pocznę, nie mogę się dowiedzieć, czy wydał jakie rozporządzenia. Przy pomocy Bożej powietrza się nie lękam, siedzieć będę, dopóki od brata nie otrzymam wiadomości, co chce, abym z sobą postanowiła.

— Ja także — odezwał się starosta — goniłem próżno za wozem pańskim, chcąc się mu pokłonić. Nie dopuszczono mnie pod pozorem, iż usnął w drodze.

— Jam teraz na opiece waszej — dodała smutnie Anna. — Dzięki choć za to Bogu, iż odejechał, nie mając żalu do mnie, żem mogła przebłagać go za nie moją winę. Dziś z rana dał mi krótkie posłuchanie. Dłuższym by ono stało się może, ale czyhano na niego, aby mu się poczciwe, braterskie otworzyć nie mogło serce.

Królowna zapłakała.

— Miłościwa Pani — odezwał się Wolski — łzy tu nie pomogą, męstwa potrzeba i wielkiego serca, bo, nie daj Bóg, przyjdzie chwila, gdy na Waszej Miłości męstwie losy narodu spoczywać będą. Cud stać się może i zdrowie powróci, lecz tak, jak dziś jest król, nie obiecują mu dni długich doktorowie. W przewidywaniu nieszczęścia tego w całym kraju niepokój się szerzy i trwoga. Król żyw, a już biegają obcych panów posły i szpiegi, jednając im przyjaćciół. Cesarz Maksymilian zdaje się ze wszystkich na j czynniejszem dotąd, a że ma po sobie kardynała, który stanie za wielu, bodaj abyśmy w rakuską⁹¹ niewolę nie popadli.

Królowna słuchała ciekawie, łzy ocierając.

— Wasza to rzecz — odezwała się — zapobiec wcześniej, aby się wam krzywda nie stała.

— A razem i Miłości Waszej — dorzucił Wolski. — Ja do cesarskich nie należę, a wołałbym, abyśmy francuskiego księcia, którego karzeł zaleca, dostać mogli.

Zarumieniła się królowna Anna, ale Wolski nie mógł dostrzec zmiany na jej twarzy, bo łzy jeszcze ciągle ocierała.

— Krassowski tak samo, jak tu — dodał Wolski — w Krakowie panom Zborowskim opowiadał o księciu andegaweńskim i zaręcza, że bardzo wzięli do serca jego kandydaturę do korony.

— Wszystko to za wczesne — szepnęła Anna.

— Miłościwy pan nasz, gdyby mu nawet Bóg życia przedłużyć raczył — podchwycił Wolski — zawsze by sam nawet, bezdzielnym będąc, powinien myśleć o wyborze następcy, przy czym i Waszej Miłości los przyszły mógł i powinien być zabezpieczyć.

— A, mój starosto — tęskno i smutnie odezwała się królowna — mój los dla wszystkich ostatnią będzie rzeczą, o której pomyślą. Jam na sieroctwo bez opieki skazana.

⁹¹ r a k u s k ą —austriacką (Rakuzy albo Rakusy — staropolska nazwa Austrii)

— Nie — sprzeciwił się Wolski — jeżeli Miłość Wasza zechcesz tylko dla samego dostojstwa krwi swej o prawa swe się upominać i zamiast łez okazać energię i wytrwanie. Ja mam lepsze przecucia. Po tych dniach smutnych Bóg i nam, i Miłości Waszej nagrodzi jaśniejszymi.

Nie śmiała królowna wspomnieć staroście o pozostawionych u niej wizerunkach królewskiej rodziny ani o Krassowskim, którego sobie jeszcze widzieć życzyła, lecz sam Wolski napomknął zaraz, jak miłe miał towarzystwo karła, który przebywał w domu jego, zapytując królownę, czyby mu dozwoliła raz jeszcze pokłonić się sobie.

Półslówkiem zgodziła się Anna na to zapytując, co dalej z sobą myśli ów gość poczynąć, zostanieli w Polsce czy nazad do Francji się wybiera.

— Nie wiem — rzekł starosta — ale mi się zdaje, że odwiedziwszy na Podlasiu rodzinę, wróci naprzód do panów Zborowskich, którzy go sobie bardzo upodobali, a ci pono tak biorą do serca Henryka na przekorę tym, którzy się już dziś z cesarzem noszą, iż gotowi Krassowskiego użyć za narzędzie.

Nowy rumieniec okrył twarz Anny, która nic nie odpowiedziała.

Wolski wkrótce ją pożegnał, ale zaraz nazajutrz z południa zjawiał się tu znowu, Krassowskiego przywożąc z sobą. Karzeł, jakby chciał okazać, iż francuskiego dworu przejął obyczaje, ustroił się jeszcze staranniej niż pierwszym razem i było mu dziwnie do twarzy w tych sukniach tak szytych, przyozdobionych, wykwinnych, jakby najwybredniejszej niewieście przeznaczone były. Od sukni i płaszczyka począwszy, aż do kapelusza i łańcucha, wszystko znowu było inne, nowe i dobrane, aby piękną stanowiło całość. Śmielszy teraz, wesół, Krassowski opowiadał o zabawach wykwinnych dworu, o pałacach i rezydencjach królewskich, o przepychu królowej, o jej rozumie wielkim i nadzwyczajnej przebiegłości. Mało co o królu Karolu mówiąc, przeszedł zaraz do księcia andegaweńskiego, wielkiego ulubieńca matki, który rozum i talenta jej miał odziedziczyć, a być bardzo mogło, że i tron francuski później mógł spaść na niego.

Królowna słuchała z zajęciem, chociaż ani pytać, ani okazywać nie śmiała, że to ją żywo obchodziło. Bolało ją wielce, że słuchając o przepychu, o wykwinności dworu, do którego karzeł był przywykłym, sama tak ubogo i skromnie, sieroco go przyjmowała. Rzuciła więc o tym słówko, jako ona i brat w podróży byli, a z powodu słabości króla wszystko się rozpręgało.

Krassowski, któremu na ośniewie do opowiadań o dworze, o najgłośniejszych osobach, otaczających króla młodego i królowę matkę, nie zbywało, gwarząc o różnych przygodach, o zabawach i zajęciach, kilka godzin zajmował królownę, a musiał ją w istocie zainteresować, gdy żegnającemu się zapomniiała oddać pozostawionych wizerunków. Przypomniwała je sobie za późno, gdy już starosta z Krassowskim do kolebki wsiedli, a posyłać je za nimi wstydziła się. Tak więc zostały przy niej jeszcze i biedna królowna uradowała się w duszy, że mogła lepiej się przypatrzeć tej nadziei swej, której wstydziła się, ale wyrzec nie chciała.

Wszystko się tak jakoś składało, jak gdyby Opatrzność, ulitowawszy się nad nią, miała za długie dni łez i tęsknoty, za opuszczenie i sieroctwo niespodzianie świetnym nagrodzić losem. Serce jej biło na tę myśl, że i ona mogła mieć rodzinę, męża, dziecię... własną wolę i moc dobrze czynienia ludziom, gdy teraz skępowana nawet litościwą być nie miała z czego. To imię Henryka powtarzało się jej ciągle, obraz młodzieńczego narzeczonego przesunął się przed jej oczyma. Wprawdzie Ernest rakuski był także młodym, był synem cesarskim, ale jakiś wstręt i obawę czuła dla tego domu, z którym połączenie nigdy szczęścia Polsce nie przyniosło. Augustowi jedna z arcyksiężniczek żalobę z sobą dała, druga męczarnię długą i rozpaczliwe lata walki. Oczy królownej zwracały się ku Francji i nadzieja wstępowała w serce.

Nigdy może żadna niewieścia gałązka wielkiego panującego domu nie znalazła się w takim, położeniu, w jakim królownę Annę co chwila spodziewany zgon brata miał postawić. Z liczного rodzeństwa wszystko, co żyło, rozproszone było i rozbite.

August konał zobojętniały już na wszystko w świecie, schodząc bezpotomnie ostatnim z rodu. Królowa szwedzka, przecierpiawszy wiele i strasznie, całkiem teraz była oddaną rodzinie swej i krajowi, nad którym mąż jej panował. Pomiedzy nią a Anną trwały stosunki, biegały listy, ale dowodów miłości wielkiej nie dawała Katarzyna, więcej żądając od Anny, niż przynosząc jej, troszcząc się głównie o spadek po matce i po bracie. Sprawy tego spadku stanowiły najsilniejszy węzeł, który królowę Katarzynę łączył z Polską i z siostrą. Czułości serca, współczucia nie było w listach. Anna próżno swoimi pokornymi, posłusznymi starała się w siostrze obudzić uczucie, którym jej serce było przejęte. Jan III, mąż Katarzyny, wiedząc o tym, że Augusta lekarze na śmierć skazywali, sam już myślał o tronie polskim, o połączeniu dwu państw. Miał młodziuchnego syna Zygmunta, któremu też, jeżeli nie sobie, rad był koronę zapewnić. A Anna? — Anna już naówczas gotową była dla szwagra i siostrzeńca, którego jak własne dziecko kochała, wyrzec się marzeń swoich i praw swoich. O tym dziecku siostry, przyswajając je za własne, pisała, dowiadywała się, chciała mu być matką. Serce jej domagało się kogoś, aby kochać i poświęcić się mogło.

Z księżną brunświcką, drugą siostrą, stosunki były ściślejsze jeszcze, serdeczniejsze ze strony Anny i nacechowane taką pokorą, poddaniem się, posłuszeństwem, ofiarnością, jak gdyby Zofia odpłacała to uczucie. Tymczasem brunświcka księżna obchodziła się w listach swych do Anny pisywanych dosyć szorstko z nią, nadużywała powagi, wymagała, rozkazywała, rzadko słowem uprzejmym wywzajemniała się Annie, która padała przed nią. Więcej mogąca, mająca, swobodniejsza księżna brunświcka rzadko w czymś pomagała Annie, najczęściej od niej wymagała ofiar, przysług, poświęceń i krzywiła się, gdy jej rozkazom natychmiast nie czyniła zadość. Ze strony królowej szły dary za darami, wszelkiego rodzaju posługi, a od księżnej z trudnością w najcięższych godzinach mogła małą jakąś wyprosić pożyczkę. Zofia obchodziła się z nią jak mentorka⁹², nauczycielka, przybierając tony protektorskie. Lecz z dwu ich, królowej szwedzkiej i księżnej brunświckiej, jeszcze ostatnia dla Anny była serdeczniejszą, więcej siostrą.

Widzieliśmy, jaki smutny skutek sprowadziły intrygi dworskie, dzieląc Zygmunta Augusta od siostry. Ona mu nie mogła przebaczyć tego, że na jednym dziedzińcu, pod jednym dachem musiała mieszkać z Giżanką i jej „szczeniciem”, z bezwstydną Orłowską, czarownicą, z innymi babami, ze spod jej opieki porwano Zajączkowską, swatając królowi za małżonkę.

Mniszchowcie malowali niechęć Anny i żal do brata w takich barwach, że serce jego odwrócili od niej. Dopiero w chwili pisania testamentu, chociaż biskup Krasieński, pochlebając Augustowi, także był przeciw Annie, sumienie tknęło króla i nie ukrzywdził jej, ale jak należało, uczynił, znaczniejszej części swojego spadku dziedziczką. Najlepszy to był dowód, że schorowany król ulegał zausznikom, ale czuł swe obowiązki i na łożu śmiertelnym chciał krzywdę wyrządzoną nagrodzić.

Pomiedzy znakomitszymi panami, którzy w chwili tej przy królu i w królestwie główniejsze zajmowali stanowiska, królowna nie miała prawie nikogo, na którego by rachować mogła. W Małej Polsce wcale się nie zajmowano i nie myślano o niej, a na Litwie zawczasu zaprzeczano wszelkich praw nie tylko do dziedzictwa kraju, ale nawet do spadku po panującym.

⁹² m e n t o r k a — wychowawczyni, doradczyni. Wyraz pochodzi od Mentora, przyjaciela Odyseusza, bohatera *Odysei* Homera. Mentor wychowywał syna Odyseusza, Telemaka.

Ks. podkanclerzy Krasiński, niby wtórując królowi, a w rzeczy pobłażając Mniszchom⁹³, głośno mówił, że kto chciał mieć łaskę u pana, nie powinien być ani bywać u królowej, ani z nią stosunków zachować.

Z możniejszych i znaczniejszych jako przyjaciel, opiekun, jako wierny sługa Jagiellonów, zatem i Anny, a szczególnie księżnej brunświckiej, występował Sędziwoj Czarnkowski, referendarz, postać charakterystyczna swojego czasu, dwuznaczna, dwulicowa, wcale inna w istocie, niż się na oko ukazywała. Przywiązanie jego do Jagiellonów i Jagiellonek było pokrywką oddania się zupełnego, zaprzędania cesarzowi Maksymilianowi, którego sprawę Czarnkowski nader zręcznie popierał, ale czynił to tak potajemnie, tak umiejętnie, aby popularności nie postradał i nie naraził się nikomu. Dla Czarnkowskiego losy własnego kraju, a tym mniej Anny, nie były rzeczą pierwszą i główną — interes cesarza brał górę. Udawał wyłanego dla Anny dlatego tylko, aby pomagając jej, miał na nią oko i nie dał nic uczynić przeciwko interesom Maksymiliana. Czego nie mógł sam dokazać, to starał się przez księżnę brunświcką, z którą był w ścisłych stosunkach, wymóc na Annie. Przy królu Czarnkowski do ostatniej godziny tak umiał chodzić, iż ani Mniszchowie, ani Krasiński się go nie obawiali i nie znajdowali niebezpiecznym. Służył, przewoził pieniądze, nie sprzeciwiał się, a nawet Anny nie bronił, aby się nie dać w podejrzenie. Zręczny, chytry, przebiegły, myślący tylko o sobie, Czarnkowski spodziewał się z obraniem rakuskiego księcia wypłynąć na wierzch i dojść najwyższych dostojeństw. Nikt nie mógł się domyśleć jego podziemnych chodów, zabiegów, rachub i sieci intryg, jaką opłatywał królowę. Anna jego zaręczeniom i przysięgom, gorącym zapewnieniom miłości dla rodziny wierzyła najmocniej, nie posądzając go nawet o to, co knował, gdy referendarz i ja, i jej los gotów był bez skrupułu poświęcić cesarzowi.

Z możliwych panów i urzędników wyższych nie miała królowa nikogo więcej. Najlepszego serca, ale zboląła, smutna, wyrzekająca, często zamknięta w sobie, nie wiedząc czym wyrobiła sobie zawczasu opinię kobiety, która, zdaniem wielu, „mogła być drugą Boną”. Nieprzyjaciele jej posługiwali się tym wyrażeniem groźnym, zapowiadając w niej chytrą intrygantkę, która wszelkimi środkami mogła się dobijać władzy. Potwarz ta nie miała najmniejszej podstawy, ale raz rzucone słowo, gdy z ust do ust pójdzie między ludzi, ma siłę dziwną. Najłagodniejsza z Jagiellonek, która dotąd energii i charakteru nie miała zręczności okazać, uchodzić zaczęła za „drugą Bonę”. Tego dosyć było, aby od niej odstręczyć. Losem zresztą sieroty nie zajmował się nikt. Można było przewidzieć, że ją mogli ludzie użyć za narzędzie w swych rachubach, ale dla niej samej nikt nic czynić nie myślał. Przywiązanie do dynastii nie było tak silnym, aby dla niego najmniejszą chciano czynić ofiarę.

Tak Anna była ostatecznie skazaną na niewielkiego znaczenia sługi swoje, kilku życzliwych, którzy żadnego wpływu nie mieli. Poczciwy obożny Karwicky sprzyjał jej przez dobre serce i litość, rotmistrz Bieliński jako wierny sługa rodziny, z rycerską gotowością stawiania w obronie uściśnionej. Jeden i drugi przecież niewiele mogli, wpływ ich był tak jak żaden. Karwicky wyrobił ostatnie posłuchanie, Bieliński miał później stać na straży spadku po królu dla zachowania go królowie. Do tych dwu doliczyć trzeba równie jak oni wiernego królewskiej rodzinie Ryłskiego⁹⁴, którym się posługiwała to szwedzka królowa, to księżna brunświcka, to Anna. Wylany dla nich, jeździł z listami, z powierzonymi przesyłkami, z ustnymi poleceniami; niezmordowany, gorliwy, ale to jedno tylko mógł uczynić, nic więcej. Człowiek był mały i nieznaczny.

Od śmierci ostatniego ochmistrza królowa Anna nie miała wyznaczonego po nim następcy. Pełnił te obowiązki niejaki Jan Koniecki. Był to dobry człowiek, życzliwy dla swej pani, wierny, uczciwy, ale ciasnej głowy, nie widzący daleko, dający sobie z kolei wmówić, co się komu podobało. Tłusciuchny, zażywny, powolny, nadający sobie powagi, której utrzymać nie

⁹³ W pierwodruku oczywisty błąd: „mnichom”, co poprawia się.

⁹⁴ W a w r z y n i e c R y ł s k i — postać autentyczna

umiał, Koniecki popełniał omyłki nieustanne przez dobroduszość i głupotę. Ludzie sobie z niego żartowali ale on zawsze był rad z tego, co czynił, i nigdy się nie dał przekonać, ażeby mógł się omylić.

Talwosz, Litwin, żywy, czynny, roztropny, syn zamożnego ziemianina, dostał się niedawno na dwór królowej zbiegiem dziwnych okoliczności, przy królu miejsca nie znalazłszy. Nie byłby może pozostał tu, bo służba królowej żadnej przyszłości mu nie obiecywała, ale, na nieszczęście, piękne oczy Dosi go przykuły. Stał się jednym z najgorliwszych, najzapaleńszych pomocników osieroconej pani. Różnił się on tym od innych, że gdy wszyscy niemal Annę starali się utrzymać w bezczynności, wyczekiwaniu spokojnym, wyrzeczeniu się wszelkich starań na swoją rękę — Talwosz dowodził, że królowa powinna była wystąpić czynnie w obronie swych praw i nie zapominać, że była Jagiellonką, której Polska i Litwa przecież coś dłużną była. Z tego powodu Talwosz i z Konieckim, iż innymi ciągle musiał się ujadać. Znajdowano go niebezpiecznym, chciano się pozbyć, ale i on trzymał się twardo, i Anna powoli zaczynała się ośmielać, słuchać go, nabierać energii, jakiej nigdy nie miała.

Okoliczności też wyrobić jej nie mogły nigdy. Zahukana, zapomniana, słuchać musiała zawsze Bony, która dla niej, jak i dla reszty sióstr, nie miała serca, słuchać potem sióstr, poddawać się woli brata. Zaledwie parę razy dozwolono jej objawić własne przekonanie, gdy szło o małżeństwa sióstr, a Anna dla nich uczyniła z siebie ofiarę. Energia, jaką ją obdarzyła natura, spoczywała jakby uśpiona, służyła tylko do oporu przeciwnościom, upokorzeniom, sporniewieraniu, które znosiła z powagą i dumą. Teraz po raz pierwszy bliski i przewidywany zgon brata powoływał ją do czynu, do wystąpienia, do objawienia siły. Talwosz usiłował ją w niej obudzić. Nie mogło po długich latach bezczynności przyjść to łatwo, królowa zresztą otoczona była ludźmi, przeciw którym działać musiała z ostrożnością.

Z męskiego otoczenia, dodawszy doktora Czczera⁹⁵, milczącego medyka, który zioła zbierał, w politykę się nie wdawał i zabawić mógł królową, ale pomóc jej by nie potrafił, księdza Jana Borakowskiego⁹⁶, sekretarza króla, ograniczającego się duchowną posługą, nie było przy królowie bliżej nikogo prawie.

Z kobiet miała przy sobie dawną swą ochmistrzynię Żalińską, która teraz stanowiła ciężar i nie zdała się wcale do posług, bo dla swoich widoków gotową była poświęcić królową. Ufna w tę przewagę, jaką jej dawały długie lata służby, Żalińska, która miała dwudziestokilkoltnego syna, pana Matiasza, na dworze Zygmunta wychowanego na zepsute a zarożumiałe chłopię, ułożyła sobie plan zawczasu wyrobienia mu stanowiska przy królowie takiego, aby nią, jej majątkiem i sprawami zawładnął. W tym celu trzymała go przy sobie, narzucała nieustannie królowie, a gdy ta dosyć zimno przyjmowała niemiłe sobie usługi, gniewała się, burczała i nie ustępowała. Patrzano już na to krzywo, że Żalińska, mieszkająca obok swej pani, w komorze przy sobie trzymała syna na uwięzi i nocować mu tu nawet kazała. Gdziekolwiek potrzeba było pośrednictwa, poufnego rozmówienia się, Żalińska syna narzucała królowie. Kazała mu pisać listy, utrzymywać rejestra, wciskała go, gdzie tylko mogła. Królowa znosiła cierpliwie, lecz widać było, że jej to ciążyło.

Zuchwały, naprzykrzony, rozpuszczony Matiaszek był tu, oprócz matki, wszystkim dokuczką⁹⁷ wielką. Żalińska, nie mogąc królowej zmusić do poddania się, ciągle teraz ją strofowała i w sposób najnieprzyzwoitszy burczała. Wyrzucała jej, że udaje choroby, że się skarży nadaremnie, że jest wszystkim ciężarem, że jej w niczym dogodzić nie można. Starą piastunkę, nudną i naprzykrzoną, z anielską cierpliwością znosiła królowa.

Prawdziwą przyjaciółką od serca, dla której tajemnic nie miała Anna, była Zofia ze Śmigła Łaska, krajczyna koronna, z dawna z królowymi Zofią, Katarzyną i z nią związana wspo-

⁹⁵ C z c z e r — postać autentyczna

⁹⁶ J a n B o r a k o w s k i — proboszcz łączycki

⁹⁷ d o k u k a — mało używany wyraz, to samo co dokucznik

mnieniami dzieciństwa. Krajczyna równie kochała księżnę brunświcką i Annę, ale teraz nie mogła być z nią i listami tylko się z sobą znosiły. Obiecywała jednak przybycie. Była to niewiasta czynna, żywa, lubiąca zajęcie, szlachetnego charakteru, a nade wszystko nienawidząca spoczynku. Potrzebowała ciągle coś pisać, o coś się starać, coś wiedzieć, czego nikt się nie domyślał. Gotową była narazić się, pracować, jeździć, byle nie nudzić się spoczynkiem i bezczynnością. Krajczyna była w sercu Anny jedyną, a choć obok niej stały pani Elżbieta Świdnicka i Elżbieta z Gulczewa Brudzevska, wdowa po łęczyckim wojewodzie, i Zofia Łaska, córka wojewody sieradzkiego, żadna z nich mierzyć się nie mogła z krajczyną. Brudzevska niemłoda, trochę już wiekiem ociężała, nie mogła tak czynnie służyć królownie, jakby chciała, Świdnicka nie była wolną, dla rodziny; Zosia Łaska za młodą, aby coś oprócz wesela, uśmiechu i słowa pociechy przynieść tu mogła. I te wszystkie przyjaciółki rozproszone nierychło się obiecywały przybyć, aby samotność Anny ożywić i podzielić jej losy. Za całą więc pociechę, jako jedyną powiernicę, miała Dosię Zagłobiankę, którą wychowała, do której się przywiązała jak do dziecka.

Była to istota wyjątkowa, rozumna, odważna, gotowa na wszystko dla Anny, ale mimo niezmiernej energii i przebiegłości niewiele ona mogła; chyba w domu i gdy szło o obronę od Żalińskiej. Zamiast Matiasza Żalińskiego jej Anna używała do listów, gdy ich nie mogła pisać sama, nią się posługiwała chcąc zachować w czymś tajemnicę. Dosia umiała ją pocieszać, dodawać odwagi, zapobiegać nieustannym napaściom ochmistrzyni, pozbywać się jej syna itp.

Matiasz, chłop jak od siekiery wyciosany, dworak zepsuciem, ale nie umysłem, bo był tępy, choć wiele trzymał o sobie, nie mógł co dzień widywać i ocierać się nieustannie o Zagłobiankę, nie rozmiłowawszy się w jej nadzwyczajnej piękności. Wzdychał do niej równie z wielu innymi, mając więcej niż inni zręczności zalecania się, ale wszystkie jego zabiegi, starania, wdzięczenie się nie potrafiły mu zjednać dziewczyny, dla której był zanadto ograniczonym. Posługiwała się nim, ale zbliżyć się do siebie nie dopuszczała. Na próżno matka, która dla syna była słabą, starała się go popierać. Dosia zaloty w śmiech obracała.

— Wiadomo wszystkim — mówiła Żalińskiej — że jestem podrzutkiem, do którego się nikt przyznać nie chce, za mąż iść nie myślę, boby mi mąż mógł wypominać, zem mu nic, nawet pocziwego szlacheckiego imienia nie przyniosła!

Żalińska rachowała jednak na swoją potęgę, wpływ na Annę, jej pośrednictwo i sieroctwo Dosi. Z powodu syna też nie występowała tak przeciwko niej, jakby nieraz mogła, znajdując ją na zawadzie. Zagłobianka nie cierpiała Żalińskiej, jasno widząc jej zamiary względem królowej. Nie tała się z nimi ochmistrzyni, mówiła otwarcie.

— Ma lat blisko pięćdziesiąt, co jej się tam śni, że jeszcze za mąż wyjść może. Po co jej to! Weźmie po bracie dosyć grosza, wyposażą ją panowie i dadzą oprawę czy na Mazowszu, czy gdzie indziej, i będzie Pana Boga chwalić, a my przy niej spokojnie żyć i używać. Ja dla niej na ochmistrza syna wychowałam, ja i on, byle głupich podszeptów nie słuchała, wystarczym, aby wszystko w porządku otrzymać.

Teraz się ze śmiercią króla wszystko tak składało, że Żalińska poczyniała być niespokojną. Słyszała dokoła mówiących o tym, iż na przypadek zgonu jego, gdy nowego króla obierać będą, pewnie mu Annę za żonę nastreczą. Nie obawiała się odprawy Żalińska, znając dobre serce pani, ale przewidywała, że i syn, i ona zniść musieli na stronę i już jej tak opanować by nie mogli, jak ona sobie ułożyła.

Wśród tej gromadki zastępujący ochmistrza Koniecki z wielką powagą obracał się sądząc, że nadzwyczaj jest czynnym, a w istocie nie widząc nic i nie robiąc nic wcale. Pilnował porządku, chodził, pytał, wydawał rozkazy, których nie słuchano, zapominał o tym, co mówił, a zresztą gorliwie zawsze narzucał się pani do wszystkiego, choć nigdy go prawie nie używano

do niczego. Konieckiemu starczyło, gdy go służba i dworacy czcili tytułem ochmistrza i drwiąco mu się kłaniali.

Odjazd Zygmunta Augusta, którego królowna ostatniego dnia dopiero widziała i znalazła niemal dogorywającym, zrodził niepokój wielki. Zostawała sama na tym pustym zamku, nie będąc nawet pewną, czy o zdrowiu brata mieć będzie wieści. Nikt się o to nie troszczył. Jeden starosta Wolski mógł jej w tym posłużyć. Czarnkowski referendarz miał się znaleźć też przy królu i na tego rachowała, że listem ją zawiadomić może.

Wyzdrowienia zaledwie się można było spodziewać, a doktor Czecher zapytany odpowiedział, że choć się cuda dzieją, ale tam, gdzie baby i czary doktorom robotę psują, niewielką w nich nadzieję pokładać należy. Opowiadano wówczas wszędzie, że zaniedbana przez króla czas jakiś Zajączkowska co tydzień wieczorem dnia jednego z jakimiś obrzędami groch na ogień ciskała przeklinając, aby się tak rozpuknął ten, co jej wiernym być nie chce. Inne czarownice myły i naparzały chorego, odrywały strzępki jego szat, aby go mieć w swej mocy. Jedna z nich dała królowi prostą obrączkę, którą on jak najkosztowniej pierścień nosił. Było zawsze około króla tych bab z Wilna i z różnych stron przywożonych dosyć. Cóż potem mogli doktorowie?

W parę dni po odjeździe króla dowiedziała się Żalińska i przyniosła to królownie zaraz, że po drodze z Warszawy do Knyszyna Barbara Giżanka czekała na Augusta w Ostrowie⁹⁸. Nie było temu końca! Któż mógł przewidzieć, co czekało króla w Knyszynie i co z nim poczynąć mieli ulubieńcy, na których łaskę był zdany?

W niedzielę dnia 6 lipca zmierzało, gdy starosta tykociński Łukasz Górnicki⁹⁹, wysiadłszy z wozu przede dworem, pieszo przyszedł do drzwi budynku, w którym król leżał w Knyszynie, dowiadując się z obawą o zdrowie pańskie. Z twarzy ludzi, którzy stali w gankach i na podwórzu, z cisy, jaka tu panowała, chociaż ruch był niespokojny, mógł wnieść, że się tu źle święciło.

Poznawszy mimo mroku starostę, wyszedł naprzeciw niemu dworzanin Lissowski¹⁰⁰ i szepnął, że król kilka razy słabym głosem pytał, czy nie przybył, a nakazał go natychmiast, gdy się zjawi, puścić do siebie, choćby odpoczywał i drzemał. Szedł więc już, nie zatrzymując się, starosta, a tu go w pierwszej komnacie spotkał referendarz Czarnkowski, który u okna siedział z rękami złożonymi, jakby się modlił, i ujrzawszy Górnickiego, ku niemu powstał.

— Idźcie do króla, idźcie — szepnął, zniżając głos — pragnął mówić z wami. Źle się ma. Duchowni go do pojednania z Bogiem i przyjęcia sakramentów już przygotowują. Życia pozostało niewiele.

Gdy to mówił, z drugiej izby wystąpił Jakub Zaleski, starosta piaseczyński, i ujrzawszy Górnickiego, pośpieszył ku niemu mówiąc:

— Król na was czeka.

Nie wdając się więc już w pytania, Górnicki pośpieszył za Zaleskim, który go do sypialni prowadził. W izbach, przez które przechodzili, cisza panowała i smutny mrok wieczora je zalegał. Powietrze ciężkie było i parne. U drzwi sypialni, gdy z cicha zapukali, zjawił się

⁹⁸ O s t r ó w M a z o w i e c k i — miasto powiatowe mniej więcej w połowie drogi między Warszawą a Białymstokiem

⁹⁹ Ł u k a s z G ó r n i c k i — (1527—1603), znakomity pisarz XVI w., był od r. 1559 sekretarzem i bibliotekarzem króla Zygmunta Augusta, następnie starostą tykocińskim. Najważniejszymi dziełami Górnickiego są: *Dworzanin Polski* oraz *Dzieje w Koronie Polskiej... od r. 1538 aż do roku 1572*.

¹⁰⁰ L i s s o w s k i — postać autentyczna, tak samo wymieniony nieco niżej Jakub Zaleski

Kniaźnik, który już się zabierał ofuknąć, aby panu nie przerywano spoczynku, gdy zabaczywszy starostę, podniósł zasłonę i wpuścił go prędko, nie pytając.

W izbie było przyciemno też, tylko w kątku osłonięta gorzała lampka mała, a że okno nie było całkiem zamknięte, płomień jej poruszał się i migotał. W głębi, na szerokim, niskim łożu, osłoniętym pawilonem szkarłatnym, spoczywał król, drzemiąc chorobliwie i marząc, cały w bieliźnie, z nogami tylko okrytymi jedwabną kołderką. Żółtą, wychudłą twarz jego widać było na białych poduszkach leżącą z oczyma zamkniętymi. Ręce białe, kościste, złożone trzymał na piersiach.

Pomimo że starosta jak najciszej wniósł się starał, Zygmunt August posłyszał czy przeczuł jego przybycie, powolnie ciężkie podniosły się powieki i poruszyły usta blade. Górnicki przejęty widokiem umierającego stał jak wryty i oczy mu się zwilżyły.

Chwilę trwało milczenie, słaby głos dał się słyszeć od łoża.

— A to ty... nareście... czekałem...

Ręka jedna z trudnością podniosła się nieco i skinął, aby przystąpił. Górnicki posłuszny zbliżył się na palcach powoli. Oczy króla, które były zapadły, podniosły się ku niemu i usta drgnęły. Starosta, który od tak dawna i dobrze króla znał, a widywał go w różnych ducha usposobieniach, przerażony został zmianą jego twarzy. Było to zawsze toż samo, poważne, jagiellońskie oblicze, wiekuistym jakimś obleczone smutkiem, lecz teraz zbliżający się zgon nadawał mu wyraz uroczysty, jeszcze bardziej majestatyczny i namaszczony. Nie był to już człowiek na ziemi żyjący i ziemskimi sprawami przejęty, lecz duchem na poły na świecie innym. Starosta pytania żadnego zadać mu nie śmiał, stał, z boleścią w duszy wpatrując się w niego, i ręce załamał.

Słysząc było oddech w piersiach ciężki i chrzęszczenie. Parę razy powieki trochę się poruszyły i opadły.

— Koniec, koniec się zbliża — odezwał się po cichu po długiej chwili oczekiwania. — Żyłem za długo, za długo, cierpiałem wiele... zostawiam was sierotami.

Górnicki ledwie mógł stłumić płacz, który mimo męstw pierś mu i oczy napelniał.

— Miłościwy Panie — rzekł — życie, Bóg łaskaw, zdrowie wam przywróci.

Na ustach króla widać było jakby uśmiech nie dokończony.

— Ani dla siebie, ani dla was tego nie życzyć — odezwał się cichym bardzo głosem. — Walczyłem próżno, z dołą walczyć nadaremnie, nikt swego nie uniknie losu.

Zatrzymał się król, jakby mu tchu zabrakło, spojrzał na Górnickiego i szeptął znowu:

— Całe życie, całe stoi przede mną jak rozwinięta karta. Widzę je przed sobą. Pasma przeznaczeń. U kolebki, matka. tak, matka, która być miała mi prześladowcą i mojego szczęścia nieprzyjaciółką. Ojciec kochający a surowy... pochlebcy i kobiety... A! Te kobiety, te sokoły, które mi żywot zatruć miały. Przez nie ginę! A tak je kochałem?

Zamilkł znowu. Górnicki chciał powstrzymać go i szepnął, że mówienie rozdrażnia i męczy. August nie zdawał się słyszeć i rozumieć. Oddech stał się żywszym, powieki odkryły oczy wpadłe, ale jaśniejące blaskiem niezwykłym.

— Widziałeś Elżbietę, pierwszą moją... padła ofiarą, niewinna, biedna, anielska istota. Co ona zawiniła, że jej męczennicą być przeznaczono... Barbara... A, ukochana Basia moja, o którą z narodem walczyć, z matką wojnę prowadzić, z całym światem się poróżnić przyszło, ją i mnie żółcią i piołunem poił. I ta jak kwiat w mych oczach uwiedła... i ta...

Górnicki dostrzegł, jak dwie łzy dobyły się spod powiek powoli i nie otarte potoczyły się z wolna po twarzy, znikając gdzieś na bieliźnie, w którą wsiąkły.

I znowu było milczenie, król się podniósł nieco, uczynił wysiłek, lecz osłabłe ciało zmusiło opaść na pościel bezwładnie, oddychał coraz ciężej, ale oddech stawał się przyspieszony.

— Chcieli, bym żył z Katarzyną, to mi śmierć zadało. Nie mogłem się zwyciężyć. Przez to umrę bezpotomny, ostatni, ze mną do grobu pójdą Jagiellonowie. Bóg, los, przeznaczenie, fatalność, żelazne prawo zniszczenia.

Górnicki chciał coś wtrącić, aby smutne te myśli odwrócić, król mówić mu nie dał.

— Bezpotomnym! — rzekł. — To nic, ale zejść bez dobrego imienia, bez pociechy z wielkiego dzieła. Starosto, wszystkom chciał, nic nie mogłem. Litwa dotąd dąsa się na to, co jej przyszłość miało zapewnić. Na Unię pracowałem życie całe, dla niej praw się zrzekłem... oni jej nie chcą. Swobody ich szanowałem... plwali mi w oczy za to. Nie było nieszczęśliwszego nade mnie. Na Ruś zbierałem się iść, odzyskać zabrane... zawady mi stawili. Wrogów wszędzie, przyjaciół nie miałem nigdzie, nigdzie, nikogo.

— A! Miłościwy Panie — przerwał Górnicki — nie czyńcie nam, wiernym sługom swoim, krzywdy, myśmy cię cenili i miłowali!

— Wielu? Kto? — przerwał król. — Mój starosto, śmierć oczy przemysła i wzrok daje, co do głębi dusz sięga... widzę w każdym, co w sobie nosi, do szpiku kości. Przyjaciół dla łupieży, kochanek dla łask i darów jest wiele, a kto by kochał?... — Zamilkł nagle i z wolna w piersi się uderzył.

— Winienem, winienem — szeptał — przebac mi, Panie, winienem wiele, ale przejrzałem za późno. Starosto, pamiętajcie o tej sierocie, królewnej Annie, ja życie jej zatrąłem. Co z nią będzie? Maż ona do końca żywota łzami się obmywać?

— Miłościwy Panie — podchwycił Górnicki — naród nigdy panów swoich krwi nie odtrącił i nie zapomniał o niej. Nie trwożcie się o los królewnej.

— Za późno przyjdzie jej korona i małżeństwo — przerwał znowu ciszej król. — Katarzyna przecierpiała wiele, Zofia owdowiała¹⁰¹, sierota Anna na łasce waszej. A cóż z tym państwem?

Wstrzymał się król i milczał długo, spojrzał na starostę, jak gdyby go wyzywał.

— Wybierajcie ostrożnie, abyście za soczewicę¹⁰² praw swych nie pozbyli. Jest ich dosyć, co sięgną po koronę naszą.

— Cesarz pierwszy — podszepnął Górnicki.

— Cesarz? — zamruczał król. — Przez nich my straciliśmy Czechy i Węgrów, oba kraje Jagiellonom należały. Ojciec dał się im uwikłać i wyrzucić je sobie. Cesarz uczynił mnie bezpotomnym, cesarz zakuje was w niewolę!

Podniósł rękę, która opadła ciężko na posłanie.

— Litwa za carem ze strachu. Tyran jest. Katarzyna truchlała, by mu jej nie wydano; nie oddawajcie mu Anny, biednej Anny. Zabije ją.

Nie śmiał Górnicki wspomnieć o Francuzie, ale król sam szepnął:

— Francuskiego króla brat się swata, obcy nam, daleki, młody. Polska niczym dla niego, on na nic dla was. I dodał po namyśle.

— Pruski książę? Któż wie? Zechciecie go? Starosta słuchał z natężoną uwagą, lecz te myśli, przesuwające się z kolei rozmarzonemu po głowie, zdały mu się go dręczyć nadto; przerwał uspokajając:

— Miłościwy Panie, Bóg miłosierny. Jeśli osierocić zechce, opiekować się będzie! Po cóż trapić się za wcześniej?

— Tak! Przeznaczenia są nieuniknione, konieczność żelazna — westchnął. — Widzę przyszłość, widzę ją... smutna...

¹⁰¹ Książę brunświcki Henryk, mąż Zofii Jagiellonki, zmarł w r. 1569, po czym rządy prze-szły na jej pasierba Juliusza.

¹⁰² s o c z e w i c a — aluzja do powieści biblijnej o Ezawie, starszym synu Izaaka i Rebe-ki; Ezaw sprzedał młodszemu bratu, Jakubowi, prawo starszeństwa i pierworodztwa za miskę soczewicy

— Wasza Miłość — odezwał się Górnicki — zechcecie mi wydać jakie rozkazy. Rozkazaliście mnie przywołać. Król niespokojnie ręką powiodł po czole.

— Nie wiem już — rzekł — tak... potrzebowałem was... Chciałem mieć kogoś przy sobie... Oczy jego skierowały się na drzwi.

— Sokoły i sępy... chciwe... nikogo więcej... wszyscy czegoś żądają, nikt nic nie przynosi. Słowa pociechy... łzy pocziwej... Jaki to dzień? — zapytał nagle.

— Niedziela — szepnął Górnicki.

— Tak, byłoż to dziś rano? Czy wczoraj, czy miesiąc temu? Już nie wiem. Wszystko się zmieszało razem, cała przeszłość leży pogmatwana przede mną. Te sokoły...

— Zbyć by się ich, Miłościwy Panie — rzekł starosta.

— Płaczą — począł król — jak ojciec łez niewieścich znieść nie umiem. Giżanka ma córkę... dziecko moje jedyne. Zajączkowska... wiesz... żenić się z nią chciałem... czeka... świat zawiązany. Zuzię Orłowską aż tu przywieźli... i ta... A! Te sokoły!

Nie śmiał nic powiedzieć Górnicki, ale mu się zrobiło przykro, a gdy potem król zamilkł, odważył się podszeptać:

— Nie myśleć by o nich!

— Tak — po chwili dodał król — czarami mnie i napojami wzięły, a zdrowie i życie poszło. Te, którem kochał, los mi wydarł prędko... przemknęły mi przez życie moje jak cienie, tylko śnię teraz o nich. Widzę je jakby żywe były. Stają koło mnie... Elżbieta i Basia razem. Starosto — odezwał się żywiej — przywiozłeś mi z sobą ich wizerunki?

— Są w Tykocinie — odparł Górnicki.

— Jam je teraz chciał mieć... pocieszyć się nimi — rzekł król. — W Tykocinie! Jedźże po nie, proszę cię, jedź po nie, a śpiesz jutro do mnie z powrotem. Chcę je mieć, chcę je koniecznie mieć teraz, choćby do trumny.

Górnicki począł się tłumaczyć, dlaczego ich nie zabrał z sobą, lecz w myślach pogrążony już się go słuchać nie zdawał i powtórzył:

— Jutro — przywieź mi je jutro.

Wtem jakby sobie coś przypomniał.

— Bieliński — spytał — jest w Tykocinie na zamku?

— Nie odstępuję go na krok — rzekł Górnicki. — To człowiek, na którego spuścić się można, Miłościwy Panie.

— Dlatego go nad skarbem moim wszystkim postawił — słabnącym głosem dodał August. — Starej wiary to mąż, prawości starej. Mów mu, niech nikomu nie zdaje po mnie mienia, krom królewnej Anny... Ona siostr nie ukrzywdzi, a ja chcę, aby pokrzywdzoną nie została. Biedna Anna... Na jej sieroctwo spadnie korona! Kto wie? Wydrą jej może i mój spadek, i ją... z Jagiellonek ostatnią...

— Miłościwy Panie, nie może to być — przerwał starosta — myśli tych nawet nie przypuszczajcie; ludzie bywają niewdzięczni, naród się niewdzięcznością splamić nie może.

Zygmunta Augusta oblicze zmieniło się wyrazem szyderskim.

— Mylisz się, starosto, mylisz — odparł — przeciwnie, ludzi wdzięcznych znajdzie się coś może, narody zawsze niewdzięczne być muszą!

Na próżno chciał zaprotestować starosta tykociński, król głową potrząsał.

Lecz widać było wskutek długiej już rozmowy tej znużenie. Wśród niej Zygmunt August chwilami usypiać się zdawał. Słów mu brakło i wypełniało je mruczenie... Mruczenia przerywały mowę. Starosta nie śmiał ani się oddalić bez rozkazu, ani dłużej męczyć króla, ile razy go zobaczył, jakby pobudzony do mówienia usta otwierał i wkrótce wyczerpując się słabnął. Na ostatek sądząc, że się już nazbyt przedłużyło posłuchanie, zrobił parę kroków wstecz od królewskiego łoża, ale król posłyszał chód i oczy otworzył.

— Jedź — rzekł — zaraz, prędko... proszę cię... wizerunki, wiesz... dwa razem, Elżbiety i Barbary... przywieziesz mi je jutro.

— Natychmiast wyruszam spełnić rozkaz, Miłościwy Panie — odezwał się Górnicki odchodząc.

Król nie musiał już słyszeć odpowiedzi, gdyż starosta ujrzał go z otwartymi usty, uspio-
nym głęboko, oddech tylko ciężki i chrapanie piersi znużonych słyszeć było.

Gdy ostrożnie podniósłszy zasłonę, starosta tykociński znalazł się w izbie sypialnię poprzedzającej, w której pode drzwiami stał Książnik, Płat i Jakub cześnik na cichej jakiejś naradzie, potrzebował chwili dłuższej, aby przyjść do siebie, tak mu jeszcze w pamięci, w sercu brzmiało to, co z ust umierającego słyszał. Nie ulegało wątpliwości dla niego, iż król już z tego łoża boleści nie miał powstać, że to były ostatnie godziny i słowa ostatnie. Wzruszony do głębi duszy Górnicki usiłował zapanować nad sobą, lecz łkania powstrzymać nie mógł. Do stojącego nie opodal od progu zbliżył się Fogelweder i ujął go za rękę.

— Wszelka nadzieja stracona? — szepnął Górnicki. — Doktorze, macie wy jeszcze jaką?

Fogelweder potrząsnął głową.

Milczeli chwilę. Doktor ujął go za rękę i wywiódł z sobą do drugiej komnaty, w której oprócz referendarza Czarnkowskiego znajdował się chwilowo marszałek Radziwiłł¹⁰³. Na uboczu rozpytujący cicho Jakuba Zaleskiego o króla.

Zobaczywszy powracającego Górnickiego, Czarnkowski się zbliżył do niego.

— Mówiłeś z nim? — zapytał.

— Tak — rzekł starosta — i rozmowa była może dla chorego za długa. Zmęczyła go, ale odpuścić mnie nie chciał.

— Dał ci jakie rozkazy?

— Kazał mi jechać do Tykocina, abym mu jutro przywiózł dwa wizerunki: Elżbiety i Barbary, które zwykł był nosić przy sobie.

— Jutro! — podchwycił Czarnkowski smutnie. — Lecz któż wie, czyje jutro jest... Biedny pan! Nie wspomniał co o królownie?

— I owszem — odparł Górnicki — los jej go obchodzi wielce, troskę ma wielką o nią. Referendarz zamilkł.

— Doktorowie obaj — dodał po przestanku — żadnej już nadziei nie czynią. Jutro król na śmierć dysponować się będzie.

— Tym bardziej śpieszyć muszę do Tykocina — odezwał się starosta — abym ostatnią jego spełnił wolę i choć małą. przywiózł pociechę.

Otarł łzę, podali sobie ręce.

Noc już była, gdy Górnicki się znalazł w podwórzu dworu królewskiego, który choć ci-
chym był, niemniej ludzi go mnóstwo napępiało. Znając wszystkich, mógł starosta mimo ciemności rozpoznać tych, co się tu krzątali. Krajczy i podczaszy z Konarskim, któremu król wszystko zwierzał i klucz od pieniędzy oddawał, stali przy ładujących się wozach. Widocznym było, że się śpieszono, aby z zaborem przewidywany już zgon króla uprzedzić. Zaprzę-
gano konie, szeptali ludzie: ze śpichrzów wynoszono skrzynie i różny ładunek. Jakub, cześnik królewski, znany ze swej chciwości i bezwstydu, kręcił się także około wozów innych, z dworzanami: Platem, Kolfilskim i Kazanowskim¹⁰⁴. Niektórzy z nich wcale na starostę nie zda-
wali się uważać, drudzy zmieszali się, widząc go powoli przechodzącego podwórza i rozpa-
trującego się w tym, co się tu działo.

Łatwa do poznania po swej tuszy i zuchwałej postawie Zuzanna Orłowska, jedyna z daw-
nych miłośnic króla, która była przytomną w Knyszynie, chodziła także, pilnując rzeczy, któ-
re na gwałt tej nocy wyprawiano w świat, aby tylko z Knyszyna, obawiając się dnia następnego

¹⁰³ m a r s z a ł e k R a d z i w i ł ł — (zob. przypis 83)

¹⁰⁴ Wszystkie trzy postaci autentyczne.

go, gdyż biskup Krasiński, marszałek Radziwiłł i referendarz Czarnkowski mogli łupiestwo powstrzymać.

Zmieszany widokiem Górnickiego krajczy przybliżył się do niego pozdrawiając.

— W przykrym jestem położeniu — rzekł — król wydał rozkazy, aby niektóre rzeczy i pieniądze rozdane wysłać zaraz z Knyszyna. Muszę spełnić polecenie, a kto wie, jakie na mnie później spaść mogą potwarze. Nikt nie wie, że ja tu niczym nie rozporządzam, niczym.

— Tak — odparł Górnicki, starając się okazać obojętnym, choć się w nim krew burzyła, bo prędki był i do uniesienia się skłonny — dobrze by było, panie krajczy, oprócz podcaszego inne świadki mieć woli króla, bo w istocie przewidzieć łatwo, iż się o roztrwonienie mienia ludzie później upomną.

— Wszyszcę widzą — odparł krajczy butnie — co się tu dzieje, świadków dosyć jest.

— To źle, iż ci sami świadkowie obwinionymi będą — zaczął Górnicki — więc zeznania ich niewiele wzbudzą wiary.

Chciał, śpiesząc już, odejść starosta i oddalił się od Mniszcha, gdy od ganku ujrzał goniącego i dającego znaki referendarza Czarnkowskiego, który ująwszy go pod rękę, nie spojrzawszy nawet na krajczego, stojącego na drodze, wyprowadził za wrota.

— Widzieliście, co się dzieje! — zawołał, ręce łamiąc. — Gdy król oczy zamknie, nie będzie mu co dać do trumny. Dzisiejszej nocy rozgrabią resztę. Wiem, że Konarski, co było grosza, rozesłał na wsze strony, tak że z pieniędzy pożyczonych u gdańskich kupców grosza pono nie zostało. Giżanka z Orłowską i innymi rabusiami pozabierały klejnoty, jednego nawet z licznych pierścieni i łańcuchów nie zostało. Co było sukna, szkarłatu, jedwabiu, futer, znikło wszystko. Pustki, gdzie zajrzeć. Do rana dzięki takim, jakim Jakub cześnik, Kniaźnik, Pągowski¹⁰⁵, który dziś jeszcze sobie przywilej na Bronowice¹⁰⁶ zapieczętować kazał, nie mówię o innych i o wyżej stojących, do rana nie stanie u nas jednej misy srebrnej.

— Widziałem to — odezwał się starosta — ale radzić nie umiem, jeżeli wy nie potraficie, jeżeli ks. biskup Krasiński, marszałek Radziwiłł niemocni są temu się oprzeć. Krajczy i podczaszy jeszcze dosyć mają zachowania i łaski, aby nam wszystkim usta pozamykali.

— I dość bezwstydu, aby nawet śmierć ich nie powstrzymała od łupieży! — przerwał Czarnkowski zrozpaczony.

— Szczęściem — dodał Górnicki — król, jakby przewidywał ten rozbój, co miał kosztowniejszego i co zachowanym mieć pragnął, wysłał do Tykocina, gdzie pod dobrą strażą rotmistrza Bielińskiego nikt nie tknie skarbu. Król mi wyraźnie polecił, abym rotmistrzowi powtórzył, nie wydawać nikomu tykocińskich rzeczy krom królewnej Anny.

Czarnkowski ręce podniósł do góry.

— Daj, Boże, tylko — dodał — aby panowie litewscy i koronni nie zagarnęli siłą, co się słusznie jej należy...

Nazajutrz, gdy Górnicki do Knyszyna z wizerunkami żądanymi powrócił, zastał wszystkie okna otwarte, świece palące się około mar, a na nich ciało ostatniego z Jagiellonów. któremu do trumny pierścienia pożyczyc musiano¹⁰⁷.

Spodziewanym, przewidywanym był zgon króla, ludzie się przysposabiali zawczasu do obmyślenia mu następcy. a każdy więcej go dla siebie może wybierał niż dla Polski. mówiono o bliskiej śmierci, a jednak gdy z Knyszyna żałobna wieść: Król umarł! — rozeszła się po

¹⁰⁵ Pągowski (nazwisko pisane także: Pęgowski lub Pękowski) — sekretarz Zygmunta Augusta

¹⁰⁶ Bronowice — prawdopodobnie chodzi tu o wieś pod Krakowem

¹⁰⁷ Fakty te zaczerpnięte zostały przez autora ze źródeł.

kraju i we wszystkich kościołach uderzono we dzwony, gdy gońce się rozbieżeli po całym królestwie i Litwie zwiastując, że one pana nie miały, strach ogarnął niezmierny wszystkich. Uczuli się bezbronnymi, wydanymi na łup samowoli zuchwałych i silniejszych, nikt życia i mienia nie był pewien. Nie było króla, więc nie było sądów i sprawiedliwości, ustawała wszelka władza, płynąca od tronu.

Nie wiedzano w początku nawet, komu zastępczo, tymczasowo zwierzone być miało zwierzchnictwo, kto miał prawo rozkazywać, kogo należało słuchać. Nigdy za ludzkiej pamięci, nawet czasu wojen i napadów, tak powszechna trwoga nie objęła wszystkich; kraj stał otworem, bezbronny, na łasce nieprzyjaciół, a wewnątrz na samowoli wichrzycieli i możnych. Jak gdyby Tatarowie lub Moskwa wtargnąć miała, obwarowywano zamki, opatrywano w broń dwory. kościoły kryły swe kosztowności, strażę stawiano po nocach. Po kilku dniach sąsiad zaczął dopadać najbliższych swych.

— Radźmy, co tu poczynąć! Zjedźmy się. Nikt o nas nie myśli.

Ale kto miał zjazd zwoływać? Dokąd się trzeba było skupiać? Gromady zaczęły się zbierać do miasteczek, gwarzono, wykrzykiwano, tracono głowy, rozpaczano. Śmielsi docierali do grodów, do powiatów. Każda ziemia zaczęła zwoływać się osobno. Kraj, co przez długie wieki całość stanowił spójną, osieroceniem się znowu rozbił na gromadki. Małopolanie radzili o sobie, Wielkopolska u siebie, Litwa zamknęła się też w domu, Ruś w granicach, Mazowsze w swych lasach. Strach pędził i dyktował pierwsze środki dla zabezpieczenia pokoju wewnętrznego i uniknięcia zawichrzeń. Z gorącości wielkiej uchwalono drakońskie¹⁰⁸ prawa przeciwko tym, którzy by się ważyli z bezkrólewia korzystać. Chciano za najmniejsze wykroczenia karać śmiercią.

Oglądano się z niedowierzaniem na senatorów. Tam, w górze, wiadomość o śmierci króla może mniejsze uczyniła wrażenie, tylko to, co gorzało pod popiołem, poczęło pobłyskiwać jawnie. Z góry odzywały się głosy, iż prędko pana wybierać należało. Pana tego każdy miał gotowego w zapasie. ale kto, jak go wybierać mógł, kto okrzyknąć, nikt nie wiedział. Świeccy senatorowie radzi byli działać sami, najwyższy dostojnik Kościoła, będący zarazem na j pierwszym senatorem państwa, głową i naczelnikiem, pierwszeństwo niezaprzeczone miał za sobą. Szlachta nie chciała prawa wyboru ustąpić panom, panowie nie chcieli na tłum szlachty się zdać, zamieszanie w pojęciach praw tych panowało największe. Tradycja została zagubiona albo raczej nie było jej wcale. Wybory panujących zawsze dotąd wiązały się z prawami krwi i dziedzictwa — dziś spadkobiercy zabrakło. O królownie jako dziedzicze tronu w tej pierwszej chwili zamętu nikt nie pomyślał. Można śmiało powiedzieć, że pretendenci do tronu więcej się oglądali na królowną Annę niż senatorowie i duchowieństwo krajowe. Biskupi i panowie lękali się tylko, aby Anna nie była przeszkodą do wyboru, aby nie dochodziła praw, nie stworzyła sobie partii, nie związała im rąk. I jeśli pomyślano o królownie, to tylko, aby ją uczynić niewolnicą, odebrać jej wszelką możność działania, otoczyć ją strażą, nie dać się jej ruszyć i uczynić kroku. Obawiano się Anny. tej osieroconej i bezbronnej, jak gdyby ona w istocie była widmem Bony, groźbą i postrachem.

Królowna w trwodze o życie brata pędziła dnie smutne na zamku, nie mogąc nawet pewnych mieć wiadomości z Knyszyna, gdy goniec od referendarza Czarnkowskiego nadbiegł z listem, zwiastując żalobną nowinę:

„Król nie żył!”

Anna rzuciła się płacząc i mdlejąc na kolana, czuła, że w życiu jej przyszła godzina wielka, że powołaną być miała do piastowania tu sama, ona słaba, całej godności krwi swojej, że musiała stawać w obronie praw nie jej jednej, ale dynastii służących. Ale myśl ta przemknęła się

¹⁰⁸ D r a k o ŋ s k i — przesadnie surowy; nazwa pochodzi od prawodawcy ateńskiego Dra-kona, który około r. 621 przed n. e. przeprowadził spisanie prawa karnego; odznaczało się ono taką surowością, iż już w starożytności stało się przysłowiowym

jak błysk po skołatanej głowie, opłakać naprzód musiała brata i jedyne go opiekuna, ofiarę niecnym służalców.

Zakwefiona czarno poszła, podtrzymywana przez sługi swe, naprzód do zamkowego kościoła na pierwsze żałobne nabożeństwo. Tu padła na kolana, prosząc Boga o siły i natchnienie. Wśród tej modlitwy czuła, jakby promień z góry padł na nią, jakby siła jakaś zstąpiła z niebios, wołając ją do czynu.

„Jesteś ostatnią, wszyscy twoi przodkowie w tobie są i żyją, ich sławę i wielkość możesz albo pogrześć na wieki, lub ocalić i dać jej życie. Wstań, idź, działaj!”

Głos ten powtarzał się w jej duszy jako wołanie Boże, jako rozkaz przyniesiony przez aniołów. Broniła mu się słabością swą i płakała, a nieubłagane wołanie trwało ciągle; „Wstań, idź i działaj! Płakałaś długo bezsilna, dziś czas łez przeszedł, a nastał czas trudów i krwawych potów. Mężną być musisz i niezwyciężoną; z grobów dziadowie nakazują ci, nie wypuść berła ich z dłoni.”

Gdy po długiej modlitwie, czując się nią złamaną, powstała Anna, znalazła się zdumiona nagle silniejszą, niż była. Duch w nią wstąpił i ci, co widzieli do kościoła idącą z głową zwieszoną na piersi, chwiejącą się na nogach, zdumieli się, gdy powracała powoli z oczyma oschłymi, wyprostowana, z podniesionym czołem, w majestacie swego sieroctwa, jakby wiodła za sobą cały szereg zmarłych przodków. Łzy niekiedy wytryskały jeszcze spod powiek, lecz osychały natychmiast. Gdy w chwilę potem starosta Wolski wszedł z pokłonem i kondolencją, spojrzawszy na królowną, zdumiał się. Stała przed nim tak majestatyczna, pewna siebie, poważna, jaką nie widział jej nigdy.

— Stało się — rzekła do niego — kraj i ja sierotami jesteśmy, ale ja teraz dzieckiem się czuję tego państwa i pod jego opiekę oddaję z ufnością. Nie opuście mnie.

Sklonił się Wolski zapewniając, że wszyscy z miłością wielką przy swych panach stali zawsze i stać będą.

Anna zapytała go o szczegóły zgonu brata, o ostatnią godzinę, ale nikt więcej nad to nie wiedział, że skończył życie w Knyszynie, że tam nieład panował wielki w chwili zgonu i że ciało tymczasowo przeprowadzić miano do Tykocina. Popłoch jeszcze panował taki, że starosta co do pobytu królowej i przyszłego jej utrzymania nic nie umiał postanowić; nie rozkazywał nikt, nie wiedzano, kto miał rozkazywać. Anna po raz pierwszy ośmieliła się oświadczyć staroście, że co do osoby swej czuje się swobodną i wolną postąpić tak, jak uzna właściwym. Wolski się nie sprzeciwiał. Oczekiwano referendarza Czarnkowskiego, który przecież miał i wiadomości pewniejsze, i skazówki, jak postępować należało.

Następne dni królowna spędziła na nabożeństwie i rozmyślaniu, była milczącą i pograżoną w siebie, jakby już teraz przyszły plan określić chciała. Każdego dnia wstawano z nadzieją, że Czarnkowski nadbieży, oczekiwano na niego do wieczora na próżno, a gdy i listy nie nadchodziły, odkładano nadzieję do jutra. Następny ranek i wieczór tak samo upływał, a niecierpliwość rosła, Czarnkowskiego nie było.

Dnia jednego na ostatek, jak zawsze żywy, ruchawy, mówny, na oko szczery, otwarty, wylany, z twarzą, która co chwila inne jakieś wyrażała uczucie zbyt dobitnie, aby mogło być prawdziwym, przybiegł pan referendarz, cały w kirze i żałobie, i dramatycznie bardzo upadł przed królowną na kolana, ze łzami całując kraj jej szaty. Któż w tym wybuchu żalości mógł się domyślać pocałunku Judasza?

Referendarz głośno deklamował:

— Pani moja, królowo! Przybywam cały się oddać na twe usługi, stać w obronie twej, być twoim rzecznikiem! Rozkazuj mi!

Gdy powstał i z kolei rękę ucałował, i pohamowawszy zapał ten, począł ostygły mówić o zgonie króla, o stanie umysłów, o przyszłości, już wcale nie był tym człowiekiem, jakim wszedł przed chwilą. Królowna rada go była słuchać, bo miała w nim wiarę niezachwianą;

zdziwiło ją to tylko, że gdy ona czuła się powołaną do czynu, referendarz zalecał jej przeciwnie nadzwyczajną oględność, aby najmniejszym ruchem śmielszym nie obudziła obaw i nie ściągnęła podejrzeń. Według niego senatorowie obawiali się, aby sobie nie chciała za wcześnie zapewnić praw, których oznaczeniem oni sami mieli rozporządzać. Radził ostrożność, umiarkowanie, bierność.

Królewna słuchała go, nie śmiejąc się odzywać, ale serce jej biło, czego innego się spodziewała.

— Jeżeli ja całkiem zamilczę i o żadne prawa stać a przypominać ich nie będę — odważyła się przerwać — łącznie one zastaną zabyte i mogą być sponiewierane.

— A, nie — przerwał Czarnkowski — my stojemy na straży, my nie damy was pokrzywdzić ani zapomnieć o was. lecz panom senatorom narażać się nie należy.

Anna zamilkła; referendarz napomknął, iż nawet, zdaniem jego, należało się gdzieś królownie usunąć, aby nie znajdować się tam, gdzie tłumne zjazdy i narady szlachty i panów się obiecywały. Nie chciał, by pozostała w Warszawie. Musiał na twarzy królowej dostrzec przykre wrażenie, jakie ta rada uczyniła, gdyż natychmiast zrezygnował z rozmowy na przedmiot inny.

— Ja stoję na stronie i czynnie tylko o obronę spraw waszych, Miłościwa Pani, działać będę, do wczesnych zabiegów nie mięszam się, ale już ze wszech stron słyszę głosy i domysły o wyborze przyszłego pana.

Królewna rzuciła pytające wejrzenie.

— Największa część głosów — dodał referendarz — jest za cesarzem, a raczej za jednym z synów jego. Sprawa to kardynała, który potrafił na stronę swą nawrócić nawet tak zażartych, jak Firlej i Zebrzydowski, wrogów, którzy jeden przeciw drugiemu na złość iść mogli, a pójdą razem.

— Przejeżdżając przez miasta, wstępując do grodów — ciągnął dalej referendarz — miałem sposobność przekonać się, iż większość głosów jest za pośpiesznym wyborem i za Rakuszaninem. Strach wielki opanował umysły, boją się wszyscy bezkrólewia, radzi by jednej go dziny pana sobie dać, aby lada warchoł nie panował i nie wichrzył.

— Ale na żaden sposób rychło się to stać nie może — odparła Anna. — Obmyśleć muszą sposób, w jaki wybierać będą.

— Toteż śpieszą wszędzie ze zjazdami — dodał Czarnkowski. — Zaledwie jeden się rozszedł, zwołują drugi, myślą o trzecim. Zbiegali się po powiatach, zbiegają po ziemiach, a dalej chcą po prowincjach, dopóki wszyscy razem gdzieś się nie zbiorą z Litwą pewnie też.

Królewna słuchała, Czarnkowski mówił z zapalem, a co rozpoczął o innym kandydacie do korony, jakby mimo woli nawracał do cesarza. Przyszły na stół sprawy osobiste królowej. Miała ona testament brata i przekazaną znaczniejszą część skarbu po bracie, złożoną w Tykocinie pod strażą wiernego Bielińskiego¹⁰⁹, ale tego tknąć jeszcze nie było można. Tymczasem królowna żyć musiała, skarb był pusty, nie było komu nawet asygnować z niego, choćby się w nim co znajdowało.

— Nie wiem, co mam czynić, biedna sierota — odezwała się Anna, widząc się sam na sam z Czarnkowskim. — Pieniądzy mi nikt nie pożyczy tu, ostatek sreber zastawiłam, nie godzi mi się okazywać w takiej chwili biedną i zebrać posiłku. Referendarzu mój! Przyjacielu nasz, pisz do Zofii, u której masz zaufanie, wstaw się za mną. Nieuchronna jest potrzeba, aby mi przysłała pieniędzy. Winnam już jej, to prawda, ale łatwiej Zofii dostać niż mnie, a ja, da Bóg, wszystko jej wrócę z nawiązką.

Czarnkowski nie śmiał odmówić.

¹⁰⁹ W pierwodruku zaszła tu niewątpliwie omyłka: wydrukowano „Bielawskiego” zamiast „Bielińskiego”, co się prostuje obecnie

— Niech Wasza Miłość pisze od siebie — rzekł — ja też popierać będę, lecz pierwszy się odezwać nie mogę.

— Czyń, jak uznasz lepszym — mówiła Anna — pamiętaj, żebyś mnie zwłoką na wstyd nie naraził. Ostatkami gonię. Do skarbcza tykocińskiego sięgnąć nie mogę, dopóki testament ogłoszony i przyjęty nie będzie.

Załamala ręce.

— Ciężkie nad miarę położenie moje — dodała — lecz się pocieszam tym, że trwać ono nie może, że panowie senatorowie, myśląc o kraju, nie zapomną o mnie.

Z następnych zaraz słów Czarnkowskiego widać było, iż chciał mówić o czym innym. Zapewnił tylko, że do księżnej brunświckiej pisać nieomieszka. Anna chciała ślać umyślnego, aby jechał i powracał z pieniędzmi, ale do tego jeden Ryłski się nadawał, a o tym nie wiedziała, czy był ze Szwecji z powrotem. Po chwili znowu Czarnkowski jakby mimo woli o potędze cesarskiej i o mnogości przyjaciół Maksymiliana w Polsce mówić zaczął.

— Z tego, co ja tu słyszeć mogłam — przerwała Anna — powzięłam przekonanie, że wielu miał sobie bardzo niechętnych. Wiesz, jak Polacy o swobody swe są zazdrośni, obawiają się, aby on ich im nie ukrócił jak Węgrom i Czechom, co by mu tym łatwiej przyszło, że zaciężne wojska zawsze pogotowiu ma i nimi a siłą, co zechce, uczyni.

Czarnkowski śmiał się z tych obaw.

— Miłościwa Pani — rzekł — kto to wie, czyby cokolwiek Swobód nie należało ukrócić? Mamy ich może do zbytku, dlatego często nieład się wkrada i buta w prywatnych, gdy pan na tronie bezsilny. Ale ci, co tak są troskliwi o swe przywileje, mogą przecie dopilnować, aby ich zachowanie poprzysiężono uroczyście.

Królewna miała już na ustach, gdy potem Czarnkowski wierność cesarza dla Kościoła wynosić zaczął, iż niemniej gorliwym synem jego był dom panujący francuski, ale się zdradzić obawiała ze słabością swoją dla tego Henryka, którego wizerunek pełen młodzieńczego wdzięku ją oczarował.

Referendarz, dotąd wcale się tego nie domyślając, gdy napomknął o Henryku andegawieńskim, śmiać się począł z tego kandydata do korony, którego całe Niemcy od Polski przedziełały, a nimby on przybył tu, stronnictwo, co by cesarzewicza wybrało, miało czas sprowadzić i ukoronować swojego. Nazwał to mrzonką niemożliwą i śmieszną.

Królewna Anna zarumieniła się milcząca i nic nie odpowiedziała.

— A! Na kandydatach zbywać nie będzie, nie licząc cara moskiewskiego, którego Litwa chce niby prowadzić, ale kardynał i tam z głowy wybił Chodkiewiczowi i Radziwiłłowi dziką myśl poddania się człowiekowi, który ani ludzi i ich żywota, ani praw szanować nie był nawykłym. Mówią także o siedmiogrodzkim Stefanie Batorym, drudzy o Augustie, księciu saskim¹¹⁰, ale to są małe książątka, których u nas nikt nie zna. Za księciem pruskim nie ma także komu stanąć tak dalece ani za Janem szwedzkim.

Słuchała tego wszystkiego królewna, aż milczeniem uważnym zachęcony Czarnkowski przyszedł do Piastów, śmiejąc się z tych, co życzyli sobie wybrać kogo ze swoich, a wyrzekali się nowej siły, jaką mógł przynieść panujący obcy, bogaty, mający sojusze za sobą i rodzinę. Według niego, co łatwo było wyrozumieć, jeden cesarz miał największą pewność wyboru.

Anna posmutniała tym więcej, że referendarz, zapędziwszy się tak i zapomniawszy o niej, o jej interesach i prawach wcale nie wspomniał. Dopiero w końcu, pomiarkowawszy się, dorzucił Czarnkowski, iż młody Ernest ożenić się ofiarował, co na lice Anny rumieniec wywołało, ale jej wcale nie rozweseliło. Miała w myśli i sercu Henryka, ale to musiało pozostać

¹¹⁰ A u g u s t I — (1526—1586) został w r. 1553 elektorem saskim; był jednym z najznajomitszych książąt niemieckich w XVI w.

tajemnicą, z której nikomu a nikomu zwierzyć się nie mogła. Zdawało się jej, że — mimo wszystko — Bóg, który go przeznaczył, potrafi przyprowadzić.

Rozmowa z referendarzem, który rozpoczął ją i skończył zapewnieniami najuroczystszyymi swojego poświęcenia dla Anny i rodziny, nie pozostawiła po sobie wrażenia tak uspokajającego, jak się królowna spodziewała. Chciała jechać do Knyszyna, aby się znajdować przy przewiezieniu zwłok do Tykocina. Czarnkowski jej od razu oświadczył, że pewnie panowie senatorowie będą temu przeciwni, a drażnić ich nie potrzeba. Obawiali się, jak mówił, aby królowna zbyt i wybitnego nie zajęła stanowiska i samowolnie nie zażądała postępować sobie. Referendarz prosił o cierpliwość, o umiarkowanie w pierwszych dniach, a ręczył, że on nie da krzywdy uczynić. Z tych półsłówek trzeba się było domyślać, że dokoła królownej niewidzialne osnuwały się jakieś środki, aby nad każdym poruszeniem jej czuwać. Ulękła się nieco i zaniepokoiła. Czarnkowski, który wszystkim dworował, kim się albo posłużyć mógł, lub jaką korzyść wyciągnąć dla siebie, od królownej wyszedłszy, dał się pochwycić dawno sobie znajomej poufale Żalińskiej, która go do swojej izby zaprowadziła, po drodze już narzekając na panią, bo do tego tak już była nawykła, że się powstrzymać nie mogła.

A, panie referendarzu — mówiła, ręce podnosząc i wywijając nimi dramatycznie — a, zmiłuj się pan, wpłynę powagą swoją na królowną, aby się nie gryzła nadaremnie, nie rzucała tak, nie stękała, a czekała spokojnie, co panowie senatorowie zaradzą i postanowią. Mam z nią kłopot niewypowiedziany. Zrywa się jechać do ciała królewskiego, na pogrzeb, a tu powietrze, a tu na podróż pieniędzy nie ma. Dokoła nas intrygi i intryganci. Każdy jej coś podszeptuje, wszystkich słucha, nie wiedzieć, co jej po głowie chodzi, a mnie, starej, wiernej, doświadczonej piastunce nie chce wierzyć i zaufać Czarnkowski głową wahał.

— Wiele królownie przebaczyć należy — rzekł — zboląla jest, biedna, a ma przed sobą jeszcze niemało do przebycia. Waćpani ją staraj się uspokajać i wmawiać, aby bez porady starych przyjaciół nie czyniła nic, niech się nie porywa. Senatorowie i tak obawiają się jej.

Żalińska łamała ręce.

Zalecał referendarz jak największe umiarkowanie i cierpliwość, a gdy ochmistrzyni uskarżać się zaczęła na niedostatek, zaręczył, że prymas¹¹¹, życzliwy królownie, on i inni obmyślą dla niej teraz środki utrzymania odpowiednie.

W tym wszystkim, co tu przynosił Czarnkowski, było trochę prawdy, ale niecała. Królowna nie czuła jeszcze i nie widziała tego; jakimi ją strażami obstawiono, jak każdy krok jej był pilno badany. Panowie senatorowie, naówczas w Warszawie będący, w pierwszej chwili popłochu przewidywali że Anna zechce sobie nadać zbyt przeważną rolę, że może opanować owe skarby tykocińskie, na które i Litwa, i Korona zęby ostrzyły, otoczyć się partią, uchwycić przewagę, pokierować elekcją, narzucić im pana. Lękano się jej energii, chociaż dowodów jej nie dała jeszcze.

Pierwszy Talwosz, który biegał, podsłuchiwał, wywiady wał się, szpiegował, doszedł do tego, iż Annę chciano koniecznie tak ściśle otoczyć strażą i dozorem, aby kroku samowolnie uczynić nie mogła. Pierwszy też on przybiegł przelekkły donieść jej o tym.

— Miłościwa Pani — rzekł żywo — z pomocą referendarza, jeżeli on istotnie wiernym jest, trzeba się temu opierać a nie dać się uczynić niewolnicą. Wiem na pewno, że Miłość Wąszą chcą z Warszawy wyprowadzić, do jej boku dodać senatorów, którzy by z oka nie spuszczały; z Warszawy pod pozorem powietrza wysłać do Płocka lub do Łomży. Mówią, że nawet posłańców i listy będą przejmować, aby bez wiedzy senatorów nic z tych nie wyszło ani do Sztokholmu, ani do Brunświku.

¹¹¹ p r y m a s — mowa o Jakubie Uchańskim (1501—1581); był on kolejno sekretarzem królewskim (Zygmunta I), kanonikiem krakowskim, biskupem chełmskim, kujawskim, od r. 1562 arcybiskupem gnieźnieńskim; po śmierci Zygmunta Augusta odegrał wybitną rolę w życiu politycznym

Królewna zbladła słuchając, lecz tak bardzo teraz już zastraszyć się nie dała. Pomyślała chwilę.

— Spróbujemy — odezwała się — czy ja jeszcze wolną jestem lub nie. Każ waszmość kolebki i woźniki¹¹² przygotować, pojedę do Błonia. Wprawdzie dwór tam niezbyt wygodny, ale ja o to nie stoję wielce. Zobaczymy, czy mnie kto wstrzymać się pokusi.

Talwosz pobiegł wydać rozkazy.

Natychmiast dano o tym znać referendarzowi i innym senatorom, zrobił się ruch pewien, naradzano się, biegano, ale postanowiono nie trwożyć królewnej, stawiając jej przeszkody do wyjazdu. Nazajutrz jechała do Błonia.

Talwosz, który wił się i kręcił, aby coś pochwycić i przestrzec, dowiedział się tymczasem, że dwaj Francuzi, wysłani przez królową matkę z Paryża, starali się w sekrecie dostać do królewnej i u niej mieć posłuchanie. Wahał się, czy ma o tym oznajmić królewnej lub nie, i w niepewności tej nie wiedząc, jak sobie radzić, udał się do Dosi Zagłobianki. Nikt. ani nawet ona nie wiedziała stanowczo, kogo sobie życzyła Anna: cesarzewicza Ernesta czy francuskiego Henryka, ale przenikliwe oko kobiety odgadło, do czego się królewna nie przyznawała.

W Błoniu więc, gdy Talwosz odpoczywał, nimby się znowu na zwiady puścił do Warszawy, Dosia poszła do swej pani, tak się wyrachowawszy, aby jej Żalińska podsłuchać i przeszkodzić nie mogła.

— Królowo moja — rzekła, przyklękając przed nią i całując jej ręce — Talwosz przybył z Warszawy, ale to, co z sobą przywiózł, tylko Waszej Miłości może być wiadomym. Są posłowie z Francji od królowej matki do was, którzy by się potajemnie z Miłością Waszą widzieć i rozmówić potrzebowali.

Zagłobianka, spojrzawszy na swą panią, spostrzegła na jej licu tak żywe poruszenie, w którym mimo woli się radość przebijała, a razem taki przestach, iż ją to potwierdziło w domysłach.

— A! Na Boga! — odezwała się, głos zniżając, królewna i pochylając się do Dosi. — Ja o tym wiedzieć nie powinnam. Lękam się o nich. Gdybym nawet chciała i dozwoliła, niepodobna, ażeby potrafili się do mnie dostać nie postrzeżeń. Ty wiesz, żeśmy otoczone strażami.

Niespokojna wstała Anna.

— Co tu począć? Co począć? — zawołała. — Ja im nic, nic ułatwić nie mogę. Niech Talwosz strzeże się też, bo co on uczyni, to na mnie spadnie, ja odpowiadam za niego. Bez panów senatorów wiedzy mnie osobno nie wolno widzieć nikogo. z nikim się układać! Ty wiesz, że nawet do siostr listu przesłać mi nie dają i jeśli referendarz ich nie przekradnie, nawet do nich pisać nie mogę. Ale sąż pewnie ci posłowie?

— Talwosz nawet wiedział ich nazwiska — dodała Dosia. — Ostrożnie bardzo starali się tu przekraść, lecz widać, że mieli trudności, gdy dotąd się nie zgłosili.

Anna łamała ręce i rozważała, co ma czynić. Mówiła sama w sobie:

„Potrzeba tę niezmierną bojaźń senatorów ukołysać, choć na pozór będąc w początkach im posłuszną. Wyrzec się więc podróży na pogrzeb do Knyszyna, aby się nie obawiali tam pozyskania serc i skupienia wiernych nam koło mnie.”

Po namysłach królewna kazała zalecić Litwinowi, aby ostrożnym był i do niczego się nie mieszał czynnie, a wszystko miał na oku. Sprowadzono go wreszcie na chwilę do Anny, w chwili gdy się wtargnięcia i podsłuchania Żalińskiej nie obawiano.

— Talwoszu mój — odezwała się Anna — niech ci Bóg płaci za twoje serce dobre i wierne posługi; nie opuszczaj ty mnie, ale nie daj się złapać na żadnej niemilej senatorom imprezie. Musimy ich uspokoić. Widzisz, jak czuwają nade mną, jak gdybym nieprzyjacielem była!

¹¹² W pierwodruku niewątpliwie mylnie wydrukowano zamiast „woźniki”, czyli konie pociągowe — „mozaiki”, co nie miało sensu.

— Niech Miłość Wasza tylko — rzekł Talwosz — zbytniej im uległości nie ukazuje ani nadto posłuszeństwa. Swoją wolę powinna pani nasza mieć i swą godność zachować. Senatorowie dobrze czują, co znaczy dziś dziedziczka tronu ze krwi i dlatego się jej obawiają. Wasza Miłość masz potęgę wielką. Nie trzeba się dać krępować.

Słuchała królowa. Talwosz, ucałowawszy jej ręce, zawinął się i pod pozorem rzeczy potrzebnych, zapomnianych na zamku w Warszawie, puścił się zaraz z Błonia do Warszawy.

Nazajutrz przybywał Czarnkowski, zawsze jako przyjaciel i sługa najwierniejszy, chociaż los królowej nie tyle go obchodził, co własne rachuby na cesarza. Był on zręcznym posłem senatorów, kanclerza Dembińskiego¹¹³, wojewody Firleja i innych, chociaż utyskiwał na ich despotyzm i zbyt surowy nadzór nad Anną.

Królowa poskarżyła mu się naprzód, że listów jej do sióstr nawet nie było wolno wyprawić, że i nad tym czuwano. Oburzony Czarnkowski podjął się pośrednictwa, obiecywał jej potajemnie wysyłać¹¹⁴. Oprócz tego zapewnił, że senatorowie obiecywali opatrzenie, pieniądze, ludzi, dwór dla królowej stosowny, ale prosili, aby z okolic Warszawy dla powietrza usunęła się do Płocka. Nie przyznał się do tego, o czym wiedział dobrze, iż chciano królowę dlatego oddać, bo myślano o zwołaniu sejmu w Warszawie, a przytomność jej na nim nie była na rękę panom. Obawiali się uroku wspomnień, skupienia ludzi około niej, przewagi, jaką by ona uzyskać mogła.

Anna łatwo się tego domyśliła. Same okoliczności uczyły ją, co czynić miała. Instynkt wskazywał, aby to czyniła właśnie, czego jej zabraniali ci, których za nieprzyjaznych musiała mieć. Nawet z Czarnkowskim, któremu ufała całkiem, o tym, co najbardziej na sercu miała, nie mówiła wcale. O posłach francuskich referendarz albo nie wiedział, lub mówić nie chciał. Przestrzegł tylko królowę, ażeby ani nawet z cesarskimi wysłaneami bez wiedzy jego się nie zbliżała i nie wiązała niczym. Referendarzowi szło o to, aby cesarz jemu, nie komu innemu zawdzięczał pomyślny obrót swej sprawy. Pokrótce i niezbyt wiernie zdawszy sprawę Annie ze zjazdu w Łowiczu¹¹⁵, Czarnkowski powrócił nazad do Warszawy, oznajmiwszy tylko, że na wyjazd do Płocka nalegać będą.

Położenie tej osieroconej córki królów, która nigdy spraw ważniejszych w ciągu dość już długiego życia nie dotykała, a teraz sama sobie musiała radzić czując, że na nikim się bezpiecznie oprzeć nie zdoła, było zaprawdę trudnym. Można było, nie znając tego, ile czasem sił zamknięta dusza ludzka przyzbierać może w sobie, przewidywać, że się da złamać i nie podoła walce. Tymczasem w miarę trudności, jakie się rodziły, przeszkód, zawał, umysł się budził, rosła energia, instynkt dobywał z głębi.

Anna, dawniej płacząca, milcząca, modląca się, zajęta swoimi wychowankami, dobrymi uczynkami, ogródkiem, podarkami dla sióstr, drobnostkami życia niewieściego, nagle umiała zająć stanowisko, z którego jej cała siła gromady senatorów zepchnąć nie zdołała. Potrafiła milczeć, a w chwili stanowczego wyboru zawsze pójść w kierunku, który przyszłości nie zagradzał. Niezupełnie próżnymi okazały się obawy Firleja i Dembińskiego, którzy się w niej odrodzonej Bony lękali. Nie rozpoczynając walki, nie wypowiadając wojny, pozornie im nawet ulegając, Anna umiała tak swą godność i niezależność zachować, iż musieli ciągle się z nią rachować. Oni też przeciwko niej wystąpić jawnie nie mogli, opasali tylko żelaznym kołem.

¹¹³ W a l e n t y D e m b i ń s k i (pisany też: Dębiński) — (zm. w r. 1585) kolejno referendarz koronny, kasztelan biecki, sandecki, podskarbi koronny, od r. 1564 kanclerz w. koronny; był znakomitym mówcą

¹¹⁴ Czynił to istotnie.

¹¹⁵ Z j a z d w Ł o w i c z u odbył się z końcem lipca 1572 r. Zapadły tam m. in. postanowienia w przedmiocie bezpieczeństwa kraju, wysłano poselstwo do Litwy oraz wyznaczono termin przyszłego zjazdu w Knyszynie. Infantce przydano jako rodzaj opiekuna biskupa chełmskiego, Wojciecha ze Starożreb Sobiejuskiego (zm. w r. 1581)

Po kilku dniach Talwosz zjawił się znowu. Przywoził wiadomość, że posłowie francuscy kręcili się w okolicy, że trudno im było ważyć się do królowej, bo ich już wytropiono i śledzono, że może nawet nie dostaną się do niej, ale mieli być dobrej myśli i ufali, że ich królewicz pozyszcze sobie dosyć przyjaciół, aby uprzedzić i zwyciężyć cesarzewicza. Gdy to mówił, królowna obojętną udając, stała z oczyma spuszczoneymi, lekki rumieniec przebiegł po jej twarzy. Talwosz przewidywał, że senatorowie na wyjazd z Warszawy do Płocka nalegać będą, i zdawało mu się, że można ich było usłuchać. Kto wie, czy w Płocku Anna spokojniejszą i swobodniejszą być nie miała? Królowna nie odkryła się z tym, co myślała. Kazała jednak Talwoszewi, aby na wszelki wypadek dwór się gotował do podróży.

I znowu nadbiegł Czarnkowski, tym razem z przyjacielską i wiernego sługi radą, ażeby Anna usłuchała senatorów i jechała do Płocka.

Królowna wyraziście mu w oczy popatrzyła. — Nie będę się opierać — rzekła — jeżeli zechcą, pojedę; spodziewam się tam nareszcie spotkać z moją kochaną krajczyną Łaską, a tak mi dobrze czekać na jakiś koniec tam, jak tu.

— Powietrze zbliża się do Warszawy — dodał referendarz.

Uśmiechnęła się Anna.

— Panie mój — odparła — o ile ja wiem, równie ono grozi i w Płocku, ale wola Boża i opieka jego nade mną wszędzie jedna!

Westchnęła.

— Pojedziemy więc do Płocka.

Czarnkowski miał jeszcze coś do oznajmienia, z czym się wahał, bo chciał niemiłej nowinie nadać pozór, jakby była pomyślną.

— Panowie senatorowie — odezwał się — tak by radzi czuwać nad Miłością Waszą, tak chcą jej bezpieczeństwo zapewnić i wszelkim jej wymaganiom zadość uczynić, iż zamierzają pono do osoby jej dodać dla powagi i uświetnienia dworu dwu spomiędzy siebie, zacnego ks. biskupa chełmskiego Wojciecha ze Starożreb Sobiejuskiego i wojewodę płockiego Uchańskiego.

— A! — rozśmiała się królowna. — Straż tedy mi postawią, abym im nie zbiegła.

Poruszyła ramionami. Czarnkowski się zmięszał nieco.

— Ale Miłość Wasza swobodną będziesz przy tej straży, jak gdybyś żadnej nie miała — rzekł żywo — a oni przynajmniej czuwać muszą, aby jej i dworowi na niczym nie zbywało.

— Dziękuję za tę troskliwość — dodała wzdychając Anna. — Niech będzie, jak postanowią senatorowie. Widzisz, kochany referendarzu, iż powolniejszą nade mnie być niepodobna? Nieprawdaz?

Sklonił się Czarnkowski, usiłując zaraz czym innym zatrzeć wrażenie. Uprzedzał królowną, iż chodziły ciągle pogłoski o francuskich posłach, potajemnie się uwijających, a drudzy i o cesarskich też wysłańcach podobnych do królowej opowiadali.

— Ale Miłość Wasza — dodał referendarz bardzo żywo i gorąco — nie powinnaś ani jednym, ani drugim dać przystępu do siebie. Z godnością waszą się to nie zgadza, aby tajemniczym knowaniom podawać rękę!

— W tym macie zupełną słuszność — przerwała Anna — ani potrzebuję, ani chcę nic czynić sekretnie. Jedne tylko moje listy do sióstr muszą mi w ten sposób za pośrednictwem waszym przekradać, ale gdzie o stosunki między rodzeństwem chodzi, tam panowie senatorowie nosa wtykać prawa nie mają.

Czarnkowski, ręce na piersiach skrzyżowawszy, potakiwał. Słyszał on już coś o wysłańcu cesarza do Anny i lękał się, aby ona wprost się nie porozumiała z Maksymilianem, boby on naówczas i jego robota, za którą mu znaczne pieniądze obiecywano, na nic się nie przydała. Anna go zupełnie uspokoiła.

Dawno temu, za czasów, gdy żył jeszcze Zygmunt Stary i królowa Bona królowała, zjawilo się na dworze jej chłopię włoskiego pochodzenia, rodu jakoby znakomitego, ale podupa-
dłego, a zwano je Alfonsem Gastaldi. Na dworze Zygmunta wychowywał się ładny, żywy,
dowcipny, nad wiek swój rozumny a przebiegły ulubieniec starej królowej. Uczono go, piesz-
czono i bawiono się nim na dworze. Obok włoskiego języka Gastaldi nauczył się doskonale
po polsku. Zdawało się, że dorósłszy utrzyma się przy dworze i mając opiekę a łaski, wynieść
się potrafi i zająć każde stanowisko. Nagle stało się coś niezrozumiałego. Gastaldi z wielkich
faworów popadł w niełaskę, a wkrótce potem z listami polecającymi go zjawił się na dworze
cesarskim. Utalentowany młodzieniec, pięknej powierzchowności, zalecony dobrze, zyskał tu
posadę, umiał się podobać i stał się cesarskim sługą. Królowna Anna знаła go dobrze. Widy-
wała często, lubiła dosyć... Teraz, gdy do Polski potrzeba było ludzi, którzy by ją znali i wie-
dzieli, jak się tu obracać potrzeba, nastreczył się Gastaldi. Mógł jako na pół Polak, mający
pono nawet pewne prawo obywatelstwa, zjawić się tu, nie budząc podejrzeń, i jednać cesa-
rzowi przyjaciół. Charakter, temperament, natura czyniły go do tego bardzo sposobnym.

Czarnkowski, który o wszystkim, co spraw cesarza w Polsce się tyczyło, był doskonale
uwiadomionym, w Warszawie po wyjeździe królownej do Płocka otrzymał niepokojącą wia-
domość, że *signor*¹¹⁶ Alfonso Gastaldi był już w Polsce, a co gorzej, że miał polecenie pota-
jemnego widzenia się z królowną i zawarcia układów o małżeństwo jej z Ernestem. Przestra-
szył się niezmiernie referendarz; znaczyło to wyrwanie mu całej zasługi, że on na tron wpro-
wadził rakuskiego pana. Wiedział Czarnkowski, że nie był sam jeden w Polsce, któremu po-
wierzono sprawę elekcji, ale dotąd zdawało mu się, że on mógł być głównym czynnikiem.
Ułakł się, aby go nie podszedł Gastaldi.

Signor Alfonso był królownie dobrze znany, zabiegliwy i zręczny. Anna już była wyje-
chała do Płocka z dosyć licznym dworem wiernych sług swoich i dodanych jej wiernych sług
panów senatorów. Nie mogła się uskarżać teraz ani na brak czci, ani na małą troskliwość;
kłaniano się jej, posługiwano, lecz otaczano tak ściśle, tak szczelnie, iż nawet zręczny Tal-
wosz i przebiegła Dosia nie mogli ani świstka, ani rozkazu przenieść, nie będąc zaraz wysle-
dzeni. Zaopatrywano wszelkie potrzeby, ale czujne warty stały niewidzialne i nie dostrzeżone
dokoła.

Pan wojewoda Arnolf Uchański wyjechał naprzeciw królowej, czekał na nią łagodny,
uśmiechnięty biskup Wojciech, na zamku znalazła przygotowane na przyjęcie komnaty, spi-
żarnie zaopatrzone, lecz u wrót strażę i sługi nieznane, które się nastreczały do wszystkiego,
aby nic się bez nich nie działo.

W pierwszych chwilach przykre wrażenie niewoli zatarła radość z widzenia krajczyny Ła-
skiej, przyjaciółki serdecznej i żywej, czynnej, niezmordowanej do posług, szczerze do kró-
lewien przywiązanej. Z nią razem przybywała sierotka Zofia Łaska, dziewczę skromne i ła-
godne, którą Anna przyjęła serdecznie i chciała, aby przy niej została, widząc w niej „wielką
sierotę”, jak się wyrażała, a sama też ona była sierotą największą. Musiano się urządzać na
zamku, rozpatrywać we wszystkim, a nade wszystko Anna potrzebowała serce swe całe wylać
przed przyjaciółką krajczyną. Całe, aż do jednego tajemniczego zakątka, który pozostał za-
kryty nawet dla niej, bo się go odsłonić wstydziła. Tego, co czuła dla Henryka, swoich nadziei
na francuskim królewiczu pokładanych, nawet krajczynie zwierzyć nie mogła. Ludzie posą-
dzać ją, domyslać się, przeczuwać coś zdołali może, ona się przyznać nie chciała, aby nie
rumienić się potem, gdyby Bogu podobało się dotknąć ją nowym zawodem.

Z małymi odmianami ten sam dwór, ciż ludzie, co w Warszawie, otoczyli ją w Płocku, lecz
miała tu krajczynę jako tarczę i obronę od nieznośnej zawsze Żalińskiej i jej syna, Zosię sie-

¹¹⁶ . s i g n o r (wł.) — pan

rotkę, której Dosia Zagłobianka stała się towarzyszką i opiekunką. Troski o chleb powszechny nie tak były w Płocku dokuczliwe. Towarzystwo codzienne pomnożyło się przybyciem biskupa chełmskiego, który był gościem ciągłym, a prawie każdego też dnia zjawiał się wojewoda Uchański na pozór z uszanowaniem, w istocie dla zbadania, czy się tu co nie knuło potajemnie.

W parę dni po przybyciu do Płocka czynny Talwosz już się rozpatrzył, poznał z ludźmi, zyskał niektórych i obracał się tak swobodnie jak w Warszawie, a przez Dosię, bo mu to było najmielszym, zawiadamiał królowną, gdy dostał języka. Najgorzej na przesiedleniu wyszła Żalińska, która mniej się mogła narzucać i nie tak nieźnośnie zrządzić. Krajczyna w różny sposób zamykała jej usta, a pana Matiasza, następczącego się do posług, zbywała ostro. Oszczędzano królownie chwil nieprzyjemnych, choć trosk zawsze jej dosyć pozostawało.

W kilka dni Talwosz przyniósł wieczorem z miasta wiadomość, iż na pewno w okolicy znajdował się pan Alfons Gastaldi, który miał wszelkich środków użyć, aby się wkraść na zamek i dostać do królownej. Nie zdawało się to ulegać wątpliwości, chociaż razem z tą chodzącą wieścią, jakby przy nim przebrany znajdował się arcyksiążę Ernest, który osobiście chciał poznać i zalecić się królownie, wyglądała na bajeczkę. Dosia pobiegła o tym zaraz zwiastować swej pani sądząc, że może sprawi jej tym przyjemność, ale wzbudziła tylko przestraszonych wielki. Królowna Anna kazała natychmiast przywołać Talwosza.

— Cóż to za plotki przywiózł z miasta! — odezwała się, podchodząc ku niemu.

— O Gastaldim nie plotka — rzekł Litwin — ale najwierniejsza prawda. Nie wiem, czy on się tu dostanie, ale że po okolicy uwija się i o to stara, nie ma wątpliwości.

— Ja go widzieć nie chcę ani potrzebuję — przerwała Anna smutnie. — Wolałabym zapobiec temu, aby się do mnie nie dostał.

Talwosz nie umiał na to odpowiedzieć. Przynosił, co słyszał, lecz sam nie miał sposobu ani sprawdzić pogłoski, ani się zbliżyć do wysłańca cesarskiego. Był tu człowiekiem nowym, a Gastaldi, wedle wszelkiego podobieństwa, musiał się chyba posługiwać dawnymi swymi znajomościami na dworze.

Królowna przeszła się parę razy po komnacie zasępiona.

— Talwoszu mój — rzekła w końcu, obracając się do niego — pilnujcie wy, proszę, na zamku, aby się ludzie obcy i nieznajomi nie wciskali. Mam i tak dosyć kłopotu z panami senatorami, którzy mi nie dowierzają, podejrzewają. Nie chcę nic robić potajemnie, z nikim widzieć się, mówić, nie potrzebuję. Gastaldi jest bardzo zręczny i śmiały, trzeba się mieć na baczności.

Z tym wyszła Anna. Na zamku pilnowano się o tyle, o ile było można, aby obcych nie wpuszczać. Ale ludzie z miasta wchodzili ciągle, przywożono rzeczy różne, przybywali do urzędników zamkowych meldujący się nieznajomi, tak że dopilnować się było trudno. Królowna zamknęła się niespokojna w swoich komnatach z krajczyną i Zosią. Wychodziła tylko do biskupa i wojewody, oczekiwała na Czarnkowskiego, który był niezmiernie czynny. Miał w istocie wiele na głowie: musiał utrzymać się w łaskach i zaufaniu królowej, nie zaniedbywać księżnej Zofii i nie dać w podejrzenie senatorom, a oprócz tego i przede wszystkim służyć cesarzowi, po którym się najwięcej spodziewał.

W całym kraju wrzenie i niepokój nie ustawały. Na oko najsilniejsze było stronnictwo cesarskie i cesarz miał z dawna tu oddanych sobie, a bliskość granic Polski ułatwiała mu przygotowania do elekcji. Przez kardynała Commendoniego pewien był poparcia duchowieństwa. Wszystko więc zdawało się mówić za nim. Lecz pomimo zbliżenia się, jakie z niesłychaną zręcznością Commendoni umiał wyjednać u Firleja i Zborowskich, stara waśń i antagonizm pod popiołami gorzała. Można było przewidzieć, że gdy Firlej chwyci się jawnie cesarskiej strony, przeciwnicy pójdą za innym kandydatem.

Tegoż dnia, gdy Talwosz oznajmił królownie o Gastaldim, a ona oczekując na Czarnkowskiego, z trosk swoich nawet krajczynie się zwierzyć nie chcąc, zamilkła zafrasowana wielce, wieczorem przyszedł zwykły ból głowy, który często ją trapił. Pożegnawszy więc wcześniej niż zwykle obie Zofie, przywołała Dosię i poszła z nią do swej sypialni na spoczynek.

Zagłobianka niosła świece przed Anną, a że w komnacie była jak u siebie i wszystko tu własnymi rękami uporządkowywała, uderzył ją na stole spory zwitek papierów, który ukazała idącej za sobą królownie.

— Niech już Miłość Wasza — rzekła — da dziś pokój wszelkiemu czytaniu, a oczu i umysłu nie męczy.

— Ale cóż to być może? — zapytała Anna niespokojnie.

— Ja nie wiem — odparła Dosia — sądziłam, że Wasza Miłość samiście tu te papiery złożyli.

— Żadnych nie miałam dziś! — odparła królowna, zbliżając się do stolika.

Na wierzchu leżał półarkusz papieru, nieforemnie złożony, jeszcze gorzej przypieczętowany, który Anna niespokojnie rozerwała. Wewnątrz ręką jakąś niewprawną, czy nie chcąc się zdradzić, stało tylko słów kilka, które przeczytawszy, prędko obejrzała się królowna, palec położyła na ustach, dała znak Dosi, aby milczała, i szybko papiery schowała do stojącego u łóża stoliczka. Na licu jej malował się niepokój wielki. W milczeniu poczęła się królowna rozbierać, nie rozmawiając nawet z Dosią, bo się obawiała, aby Żalińska lub syn jej z bocznej komory nie podsłuchiwali. Zagłobianka rada była wiedzieć, skąd się tu wzięły te papiery tajemnicze, ale pytać się nie śmiała.

Weszła w tej chwili Żalińska, rzuciła okiem dokoła i zbliżyła się do Anny.

— Cóż to? Tak wcześnie do łóżka? — zapytała.

— Głowa, głowa mnie znowu boli — cicho i bojaźliwie odparła Anna.

— Jak nie ma boleć! — prawie szydersko poczęła stara, biorąc się w boki. — Kto cały dzień stęka, piszczy, narzeka jak wy, musi w końcu napytać biedy. Nie trzeba się tak pieścić.

— Żalińska moja — z wymówką odparła Anna — możesz ty mi to wyrzucać?

— Ależ bo w istocie, królewianko moja — wołała, ciągnąc dalej ochmistrzyni — sami już nie wiecie, czego chcecie.

— Na ten raz, Żalińsiu, chcę tylko odpocząć — odezwała się królowna. — Dosia posiedzi przy mnie. Dobranoc. Odprawiona tak ochmistrzyni usta zagryzła.

— Ja wiem, że moje usługi już teraz niemiłe i niepotrzebne — ciągnęła dalej — ani ja, ani Matiasz nie mamy łaski.

— Jesteś niesprawiedliwą — słabym głosem poczęła Anna — bądź pewną, że serca nie straciłam do ciebie, ale... proszę cię... w tej chwili daj mi spocząć... głowa boli bardzo.

Żalińska porwała się gniewna i niezrozumiałego coś mruczając, wybiegła szybko, stukając drzwiami za sobą, co królowna zniosła cierpliwie.

Tym sposobem uwolniwszy się od Żalińskiej, rozkazawszy Dosi opatrzyć drzwi, Anna w łóżku już poczęła rozpatrywać papiery, które znalazła na stoliku. Karta do nich przyłączona pisana była ręką Gastaldiego, a listy pochodziły od cesarza Maksymiliana, który wprost z królowną chciał się układać o zaślubienie z nią Ernesta i odziedziczenie tronu polskiego. Czytając je, serce biło gwałtownie, oczy zaszyły łzami, dziwne jakieś uczucie trwogi ogarnęło ją, smutek po straconych nadziejach. Miała niewysłowny wstręt do rakuskiego pretendenta i do tego domu, z którym związki nigdy dla Jagiellonów korzystnymi nie były, przynosiły z sobą zawsze zawody i smutki. Pod klucz schowawszy te niebezpieczne, a nie wiedzieć w jaki sposób podrzucone papiery, Anna długo odezwać się nie mogła słowa. Dosia z dala czekała w kątku na rozkazy. Skinęła na nią.

— Na Boga, Dosiu moja — szepnęła jej do ucha — o papierach tych nikomu ani słowa! Ale jeżeli się dowiedzieć możesz, dojść, dośledzić, kto je tu położył, jak się na stół mój do-

stały, a, będę ci bardzo wdzięczną. Powracaj do mnie, jeżeli się co dowiesz, ja spać nie będę. Połóż się tu u mnie, blisko. Drzę jeszcze cała.

Rozpłakała się królowna. Zagłobianka, kilku słowy uspokoiwszy ją nieco, wybiegła natychmiast na zwiady. Sama nie wiedziała, jak spełni rozkazania. Pierwszą spotkała Żalińską, która dla syna (choć nie lubiła Dosi) oszczędzać ją musiała.

— Cóż to się Annie stało? — poczęła ochmistrzyni. — Znowu głowa! Znowu nas będzie męczyć piskiem i udaną chorobą.

— Ja o niczym nie wiem — obojętność udając i namysławiając się, odparła Dosia. — Królowna, wchodząc do sypialni, postrzegła, że jej tam ktoś książki i papiery porozrzucił. To ją rozgniewało. Nie wiecie, kto tam w sypialni gospodarował?

Oburzyła się Żalińska.

— Kto, gdzie? W sypialni? A to mi się podoba! Nikt nie może się dostać do niej bez mojej wiedzy. Ja nie wychodziłam nigdzie. Śni się wam, nikt nie ruszył nic. Chyba ta nowa wychowanka, wojewodzianka Zosia, przewracała szukając.

— Ale nie — zaprzeczała Zagłobianka. — Ktoś obcy musiał się wkraść.

— Obcy? A ja tu od czego? — gniewnie oburzyła się Żalińska. — Oprócz stróża, który drewka na komin przynosił, żywej duszy nie było.

Zmilczała Dosia i urywając rozmowę, wybiegła do sieni. Szukała oczyma Talwosza, stał on, wypatrując jej właśnie, a zobaczywszy wychodzącą, domyślił się, że był potrzebnym. W kilku słowach opowiedziała mu Zagłobianka, o co chodziło. Litwin zrozumiał, dał znak, aby czekała na niego, i pobiegł na podwórze. Dosi nie było bardzo przyjemnie stać w antykamery, gdzie ją zaraz otaczano, bo nie było między dworzanami młodszymi jednego, który by się do niej nie zalecał, choć wszystkich wyśmiewała, lecz musiała. Z kolei, ilu ich było, przychodzili się nastroczać do posług i odprawieni usuwali się kwaśno. Jedno to ich mogło pocieszać, iż żaden z nich nie miał się czym pochwalić. Nawet poważny Koniecki, choć dostojęństwo swe ochmistrza nosił teraz jeszcze majestatyczniej w Płocku niż w Warszawie, przyszedł pięknej Dosi się pokłonić. Talwosza długo nie było, Zagłobianka już się miała cofnąć, nie doczekawszy go, gdy powrócił nareście, ale przy Konieckim mówić nie było można. Dosia wprowadziła go z sobą do przedpokoju.

Znalazłeś stróża?

— A jakże — odparł Talwosz — nie czyni on z tego tajemnicy, iż za biały grosz, który mu dał jakiś bardzo poważny pan, już niemłody, ofiarował się papiery, nikomu ich nie dając, położyć w sypialni królownej.

— Nie doszłście, kto to był? — spytała Zagłobianka.

— Stróż zaprzysięga się, że go pierwszy raz widział w życiu — mówił Telwosz — ale tak dostojnie wyglądał, iż czuł się w obowiązku usłuchać go, zwłaszcza gdy groszem poparł swoje żądanie. Poszedłem potem na zwiady po zamku, do wrótnych, czy kogo nie widzieli obcego wchodzącego na zamek; powiadają, że połowy tych, co tu teraz przybywają, nie znają i pierwszy raz ich widzą. Dojść bardzo trudno. Obawiam się tylko, abym dochodzeniem tym nie obudził niepotrzebnie uwagi tych, co nas tu na każdym kroku śledzą.

Z niewielką zdobyczą powróciła Dosia do królownej, którą znalazła z różańcem w ręku w łóżku, niespokojnie oczekującą na wiadomość. Jawnym było, że Gastaldi, nie mogąc tu zwieryć się nikomu, zuchwale i nieroztropnie papiery powierzył człowiekowi, który łatwo mógł niezręcznością się zdradzić. Cudem prawie listy cesarskie dostały się do rąk królownej. Co o nich i o tym wszystkim myślała Anna, Dosia tylko z zapłakanych oczu, z westchnień i smutku w twarzy dorozumiewać się mogła. Nie przyniosły one pociechy. Serce i nadzieje królownej były gdzie indziej.

Z rana przybywająca krajczyna znalazła królownę bledszą i smutniejszą niż zwykle, ale badana nie przyznała się do tego, co ją trwogą nabawiło. Zaledwie miała czas się ubrać Anna,

gdy Koniecki z powagą urzędową przyszedł oznajmić, iż ksiądz biskup chełmski przybył i o posłuchanie pilno się dopraszał. Ksiądz Wojciech ze Starożreb był łagodnym, uprzejmym, słodkim starowiną, do którego królowna zbytniego zaufania nie miała. Stał on tu na straży jako wysłaniec panów senatorów, którzy przy wszystkich zapewnieniach wierności i przywiązania coraz większą grozili królownie niewolą. Był więc nieprzyjacielem. Anna była dla niego uprzejmą, ale ostrożną. Ksiądz Wojciech pozdrowił ją bardzo uniżenie i serdecznie, zapytał, jak się miała, zasiadł na wskazanym krześle przy stole i ciężko westchnął.

— Przychodzę do Miłości Waszej z niemiłym zleceniem — rzekł — ale proszę wierzyć, że co się czyni tu, wszystko dla przyszłego dobra Miłości Waszej. Wiemy z pewnością, że Gastaldi jest tutaj, że się starał dostać na zamek i listy cesarskie, które miał z sobą, potrafił przesłać Miłości Waszej.

Królowna zaniemiała ze zdziwienia. Zbladła, nie wiedząc, co odpowiedzieć w początku. Nie mogła się zaprzecć, boby jej to uwłaczało, nie wiedziała, czy przyznać się wypadało.

Ksiądz Wojciech, nie odbierając odpowiedzi, dodał słodko:

— Z wielkim dla mnie smutkiem muszę o tym donieść panom senatorom, a strażę około Miłości Waszej podwoić. Nie mogą na to pozwolić panowie senatorowie, aby jakiegokolwiek układy bez ich wiedzy przychodziły do skutku.

W czasie, gdy biskup to mówił, Anna czas miała ochłonać i namyśleć się.

— Ojczy mój — odparła — czyńcie to, co wam polecono i co poczytujecie za swój obowiązek, nic nie mam przeciw temu, ale mnie, królewskiej córce, która nad sobą władzy nie uznaję innej nad Boga, wolno jest też czynić, co dla siebie poczytam lepszym. Niewolnicą nie jestem i nie będę. Dostyc już odjęliście mi swobody, nie dopuszczając do sióstr nawet pisać ani ludzi przyjmować, jakich bym potrzebowała. Znoszę to do czasu, ale wreszcie głos podniosę i słyszany on będzie; użalę się i znajdę przyjaciół, co staną w mojej obronie.

Wyrzekła to z taką godnością, z takim wzruszeniem, iż biskup musiał zamilknąć.

— Nie można panom senatorom brać tego za złe — odezwał się po przestanku. — Idzie tu o los przyszły państwa, nad którym czuwać muszą, bo są odpowiedzialni. Nie mogą dozwolić, aby bez ich wiedzy rozporządzano.

— A któż o tym myśli? — odparła dumnie królowna. — Ja się wcale nie porywam na to, ale oświadczam wam też, że nad sobą nie dopuszczę właści nikomu.

— Ale Miłości Waszej doręczono listy cesarskie? — rzekł ksiądz Wojciech.

— Nie widzę obowiązku tłumaczenia się z tego przed wami — spokojnie odezwała się królowna.

— Gastaldi zabiega, aby mógł się widzieć i mówić z Miłością Waszą.

— Anim go widziała, ani wiem o tym — mówiła królowna chłodno.

Biskup zdradził swą trwogę, załamał ręce.

— Powiadają, że z nim razem przebrany ma się znajdować Ernest, syn cesarski¹¹⁷.

— A wy, ojczy mój, wierzycie temu — zapytała królowna — i sądzicie, że ja zgodziłabym się na potajemne widzenie się z nim? Tym mi uwłaczacie.

Nigdy tak energiczną jeszcze biskup nie widział królownę, zdumiał się, ale własnemu, zbyt ostremu wystąpieniu począł to przypisywać. Złagodniał więc.

— Wasza Miłość przebaczy mi — dodał ciszej — ja jestem posłem tylko, czynię, co mi zlecono.

— A wy, ojczy, darujcie mi też, iż stoję w obronie godności nie mojej tylko — rzekła Anna — ale tych Jagiellonów, z których tu jestem ostatnią.

Biskup skłonił głowę milczący, nie wiedział już, co ma czynić dalej. Trwała cisza przez dobrą chwilę. Anna pierwsza ją przerwała.

¹¹⁷ Takie fałszywe pogłoski istotnie krążyły w Polsce

— Uciekłam z Warszawy przed powietrzem — rzekła — ale od kilku dni przynoszą i tu wieść, że się ono zbliża do Płocka. Nie wiem, co tam pomyślą sobie i powiedzą na to panowie senatorowie, ale jak skoro niebezpieczeństwo zagrozi, wyjadę stąd. Tego mi nikt nie zabroni.

Ksiądz Wojciech spojrział tylko na królowną, na licu jej widział postanowienie mocne.

— Ale dokądże stąd? — rzekł, ręce pobożnie składając. — Zaprawdę wybór trudny będzie. Wszędzie prawie po grodach i po większych miastach szlachta się tłumnie zjeżdża dla narad, a gdziekolwiek ciżba, tam większe niebezpieczeństwo.

— Wybierzemy kąt spokojny — odezwała się Anna — a zresztą i to wam powiedzieć przystoi zawczasu, że gdy panowie senatorowie tak się obawiają, abym ja bez nich o sobie nie postanowiła, ja też czuwać muszę nad tym, aby oni o mnie nie stanowili beze mnie i mej wiedzy. Zezwolą czy nie, gdzie mi się znajdować będzie potrzeba, pojedę. Nikt nie śmie królewskiej córki zatrzymać!

Mówiąc to wstała Anna, lecz jakby siły się jej wyczerpały, padła na krzesło, chustkę do oczu przyłożyła i siedziała, zachodząc się cichym płaczem.

Ksiądz biskup chełmski, którego wystąpienie doprowadziło do tak niepomyślnych następstw, siedział również zmieszany i zakłopotany. Z ust wrywały mu się wyrazy nie powiązane i niezrozumiałe, widział potrzebę uspokojenia rozdrażnionej królowej, która dotąd dosyć się łagodną i powolną radom jego okazywała. Z drugiej strony lękał się, aby nie ustąpił za wiele i nie naraził się w gorze.

Dochodziły już do Płocka odgródki szlachty, która na skarb tykociński zęby ostrzyła i mimo testamentu króla opanować go chciała na państwa potrzeby. Z drugiej strony Litwa także do tego skarbu równe sobie rościła prawa, a głośniej jeszcze zaprzeczała ważności rozporządzeniu króla i samowolnie już dobra domu Jagiellońskiego, należące do rodziny, zajeżdżała i zabierała. Takie przynajmniej wieści przynoszono z Litwy, gdzie Chodkiewicz się oświadczał, iż unieć zerwie.

Tak ze wszech stron spadały ciosy na ostatnią z Jagiellonek. Ale właśnie może wielkość niebezpieczeństwa, groza tego położenia, wydobywały ze słabej dotąd kobiety siły, jakich się w niej nikt nie spodziewał. Płakała jeszcze czasem, zamknąwszy się w sypialni, ale gdy tak, jak dziś potrzeba było w obronie swych praw wystąpić, znajdowała w sobie dosyć energii, aby nie ulec naciskowi i nie poddać się władzy, której nie uznawała.

Biskup chełmski ułagodziwszy, jak mógł i umiał, królowną, pożegnał ją, śpiesząc na naradę do wojewody Uchańskiego.

Królowna, do której prawie współcześnie z listami cesarskimi doszły zatrważające groźby Litwinów, już zagarniających jej majątności, wahała się jeszcze, jak sobie postąpić miała i kogo posłać tam, aby stanął w jej obronie. Talwosz, choć czynny i obeznany z ludźmi, nazbyt jej był tu potrzebnym. On sam czuł się za małym do podjęcia sprawy takiej wagi, a obawiał się dumy i gwałtowności Chodkiewicza. Czekać więc było potrzeba.

Tymczasem po zuchwałym podrzuceniu listów cesarskich, choć i biskup, i wojewoda płocki strzegli się rozjatrzać królową obawiając się, aby im z Płocka nie pierzchnęła, podwojono dokoła strażę pilne, zamek uczyniono niemal więzieniem. Za wychodzącymi i powracającymi sługami snuli się dodani im nadzorcy. Talwosz widział wszystko, oburzało go to, po cichu donosił Dosi, ale był on i ona tego zdania, że Annie o tym mówić nie należało.

Litwin uśmiechał się gorzko.

— Gdyby potrzeba była — mruczał po cichu — potrafilibyśmy ich wszystkich wywieść w pole, a w dodatku ich własnymi ludźmi się posłużyć... ano, potrzeba być cierpliwym aż do końca.

Dosia Zagłobianka mniej tu się swobodnie obracać mogła, lecz czuwała pilno nad panią swą, a musiała też i na Żalińską mieć oko, aby jej nie dopuścić znęcać się nad królową. Często bardzo ona sama padała ofiarą, łudząc po trosze rozkochanego Matiasza, który miał nad

matką przewagę, i czyniąc mu nadzieje, które się ziścić nie miały. Naówczas Talwosz, który był zazdrosny i którego oka nic nie uszło, rozpaczliwie patrzył na Zagłobiankę, a ta go sztyderstwy zbywała. Dla królowej jedyną pociechą było, że miała swą ukochaną krajczykę, z którą obie razem po całych dniach listy do księżnej brunświckiej układały, donosząc jej o najmniejszych, zachodzących tu wypadkach. Pisma te oczekiwały na referendarza, który je potajemnie miał przysyłać. Ksiądz biskup chełmski i wojewoda Uchański wiedzieli, że panie obie dużo pisały, domyślali się, że pisanie to musiało stąd gdzieś odpływać, ale na trop wpaść nie mogli. Referendarz umiał tak zręcznie chodzić, iż za sobą ślady zacierał.

O Gastaldim poszły doniesienia do panów senatorów, bo biskup lękał się o odpowiedzialność, a królowej Anny co dzień się więcej obawiano przekonywając się, że przy pozornej łagodności miała energię niepospolitą i lada czym się zrazić ani zastraszyć nie dawała. Ks. Wojciech, chociaż z obowiązku swego dozorował i donosił, nierad był się narazić królowinie, za każdym razem przybywając starał się łagodzić, pocieszać i dowodzić swej życzliwości. Miło mu też było, gdy wprost do niego przybył jednego ranku szlachcic z okolicy, niejaki Lesznowski, prosty sobie, zażywny, rumiany, opalony, człek w starodawnej mody wiejskim ubraniu, cale nie wyglądający na dworaka, kłaniający się do stóp, całujący po rękach, który mu oświadczył, że będąc żonaty z Litwinką, wielką miał miłość dla rodziny Jagiellońskiej, którą i jejmość jego podzielała, że oboje oni widzieli z kompasją¹¹⁸ osierocenie ostatniej z rodu pani, której by wedle przemożności chcieli się czymś przysłużyć.

— Ale — dodał naiwnie Lesznowski — powiadają, że na zamek do królowej nie puszczają bez wiadomości panów, więc się oznajmuję, że wóz zwierzyny dla pani naszej przywiózł na kuchnię.

Biskup się rozśmiał.

— No, to mnie się z niego też dziesięcina będzie należała?

— Ja o tym nie zapomniałem — rzekł, w rękę go całując, szlachcic — jest kozioł i dwanaście kuropatw dla pasterza.

— Więc czegoż chcecie? — zapytał się biskup.

— A oto bym ja pragnął mieć to szczęście sam do nóg upaść królowinie i ofiarę jej złożyć — otrzymał pozwolenie. Biskup wzruszył ramionami.

— Cóż bo wy znowu myślicie, że my królownę w niewoli trzymamy czy co? — odezwał się. — Każdemu do niej przystęp wolny, a jeśli się patrzy i ogląda, to dlatego, aby ją nie trapiły intryganci, którzy w mętnej wodzie radzi ryby łowią. Takim, jakim wy, nigdy drzwi nie są zamknięte.

Lesznowski, otrzymawszy pozwolenie biskupa, pojechał na zamek i nadzwyczaj mądrze zgłosił się tu do Talwosza, którego wziął na stronę.

— Ks. biskup chełmski pozwolił mi królowinie zwierzyny wóz ofiarować — rzekł do niego cicho — ale waszmości to ja powiedzieć mogę, że nie dla zwierzyny przybył, posłał mnie tu poufnie pan Chodkiewicz i trzeba mi się z królowną widzieć na cztery oczy, ale tak, aby z tego gadania nie było. Ludzie mają wiedzieć, że sarniny i ptactwa nabitego u mnie w lesie wóz do kuchni dostawił i tyle...

Spojrzeli sobie w oczy z Talwoszem. Litwin był nie dowierzający.

— A jak królowna nie zechce się widzieć z wami? — spytał.

— Uczyni źle — odezwał się Lesznowski — bo o jej sprawę idzie. Litwa sobie bez niej radę da, a ona bez Litwy... nie wiem. Powiedźcie, że od Chodkiewicza posłany; ona wie, co on znaczy i co może.

Poszedł tedy Talwosz, ale niełatwo było tak ułożyć posłuchanie, aby ani krajczyzna Łaska, ani nikt ze dworu nie był przytomnym, i żeby to nie zwróciło oczów. Żalińska, Koniecki zażdrośni byli i nieradzi, gdy ich pomijano. Udało się wszakże Talwoszowi uprosić królowę,

¹¹⁸ k o m p a s j a (z łac.) — współczucie

aby Lesznowskiego do komory osobnej wpuścić dozwoliła, od której drzwi do izby posłuchalnej miały stać otworem, a tu tylko jedna krajczyna się znajdowała.

Otrzymawszy pozwolenie, Lesznowski suknie ociągnął na sobie, pasa poprawił, czuprynę pogładził i wpadł tak śmiało i raźnie, jakby innym był cał człowiekiem, nie tym, który przed biskupem niuńkę¹¹⁹ udawał.

Królewna poczęła mu dziękować za pocziwą ofiarę jego, gdy on, nie tracąc czasu, zza żupana dobył list i pochyliwszy się, podał go królownie. Starosta żmudzki Chodkiewicz poświadczał w nim, że cokolwiek powie od niego Lesznowski, wiara mu być ma daną.

— Cóż mi przynosicie od pana starosty? — zapytała, ciekawie się zbliżając ku niemu, królewna.

— Naprzód czołobitność, jaka się swej pani należy — począł Lesznowski. — Starosta prosi pokornie Miłości Waszej, abyście nie zapominali, że ze krwi litewskiej idziecie, która od wieków panowała tym krajom. One też o tym dobrze pomną i ofiarują wprost, nie omawiając wiele i długo, Waszą Miłość na tron swój podnieść i ogłosić wielką księżną, a dozwolić, abyście sobie mężem obrali, kogo zechcecie.

Zarumieniała się Anna, a szlachcic mówił dalej, głos zniżając.

— Jedno to sobie waruje starosta, a z nim Litwa, aby jej kraje te, które do Korony oderwane zostały, były przywrócone, i chce być tak niezależną i sobą samą, jak była za dawnych czasów, aby jej Polacy praw nie dyktowali.

Gdy Lesznowski mówił, a Anna milczała i dumiała, Talwosz na straży stał i drzwi pilnował.

— Niedobrze rozumiem pana starostę — rzekła powoli królewna. — Litwa się tak połączyła od Horodła¹²⁰ począwszy aż do Lublina, gdzie unię przypieczętowano na wieki, iż się już ten węzeł jakby małżeński nigdy rozerwać nie może.

— Ale to się stało z wielką krzywdą i upokorzeniem Litwy, twierdzi pan starosta — dodał Lesznowski — i teraz pora odzyskać, co się straciło. Polacy o Waszej Miłości zapominają zupełnie, Litwa chce jej do tronu drogę otworzyć.

— Możeż to być — odezwiała się Anna — gdy ten sam pan Chodkiewicz mi dobra macierzyste zajeżdża i odbiera, praw do nich zaprzeczając?

— Wszystko Wasza Miłość odzyskacie i uczynicie po woli swej, oddając się Litwie — rzekł Lesznowski — ale unii on nie chce znać, unię poszarpać potrzeba, a Litwie wolę swą dać.

Po twarzy królownej bladość się rozpostarła, cofnęła się krok, jakby przestraszona, ręce zacisnęła, w których trzymała różaniec. Lesznowski wnioskować już mógł, że ofiara nie będzie przyjęta.

— Boże uchowaj — odezwiała się słabym głosem Anna — abym ja do tego rękę przyłożyć miała. Jego Królewska Mość, śp. brat mój, pracy wielkiej i zdrowia nie żałował, aby tę unię skleić, jakżebym ja miała ją rozrywać? Dziękuj waszmość staroście ode mnie, ale powiedz mu, nie uczynię tego.

Lesznowski stał milcząc, czekając, ażby się może inaczej namysliła, gdy królewna dodała:

— Co się kolwiek ze mną stać może, niech się stanie, Panu Bogu poruczam sieroctwo swe w opiekę Jego.

Postrzegł szlachcic, iż na razie więcej nie zyszcze, obejrzał się dokoła, pokłonił i szepnął, że w tak ważnej sprawie czas do namysłu potrzeba mieć, więc za kilka dni przybędzie, aby ostatnie słowo posłyszał. Chciała mu odpowiedzieć Anna, iż nie zmieni postanowienia, ale Lesznowski uwinął się żwawo, pokłonił i wymknął.

¹¹⁹ n i u ń k a — niewiniątko, niedolega

¹²⁰ H o r o d ł o — mowa o unii Polski z Litwą w Horodle w r. 1413; w dalszym ciągu mowa o unii lubelskiej w r. 1569.

Gdy po chwili królowa powróciła do krajczyny i Zosi, siedzących w posłuchalnej izbie przy krosnach, na których szyły antepedium¹²¹ do ołtarza, poznały zaraz po zmienionej twarzy jej, że wzruszoną była nad miarę. Zerwała się krajczyna niespokojna pytając, ale uspokajając otrzymała odpowiedź, że szlachcic swą ofiarami przywiązaniem tak serce jej przejął, a sieroctwo przypomniiał. Nie przyznała się, z jak wielką i ważną sprawą przybył i co mu odpowiedziała.

Trudno było potem Zosi szczebiotaniem, krajczynie czułościami i pieszczotami, Żalińskiej gderaniem, Dosi staraniami, jakimi ją otaczała, smutek głęboki Anny rozproszyć. Pozostała przez kilka dni ciągle milcząca, więcej niż kiedy zagłębiona w siebie, popłakując tajemnie, zdradzając cierpienie, do którego się przyznać nie chciała przed nikim. Szanowała nadto wielkie dzieło, jedyną dokonaną panowania brata sprawę główną, aby ją zniszczyć mogła dla swojego osobistego interesu. Kochała nadto oba kraje. Wydawało się jej zbrodnią targnąć się na ten związek, na który krwią i łzami blisko trzechset lat pracowano.

Lesznowski nie dał za wygraną. Czy potem widział się z panem starostą lub od niego otrzymał nowe zlecenia, z tego się nie tłumaczył, ale po dziesięciu dniach z nowym wozem zwierzyny przybył, łosia przywiózł do osolenia dla czeladzi na zimę, dla biskupa drugiego; oprócz tego mniejszej zwierzyny dość i całą kadt ryb. Znowu tedy na zamek się wprosił, Talwosza znalazł i posłuchania się domagał. Królowa z obawą i nie bardzo chętnie się zgodziła na nie. Wyszła ociągając się. Lesznowski pokłony od pana starosty przynosił, ale i coś więcej nad nie.

— Boleje Litwa — rzekł — że Waszą Miłość tu na zamku:, na wygnaniu pod strażami, jakby niewolnicę, trzymają Polacy. Uwłacza to godności jej i tej krwi, z której pochodzi Miłość Wasza. Pan starosta mi kazał oświadczyć, że gotów jest w pięć tysięcy koni przyjść, na zamek siłą wtargnąć i Miłość Waszą wyzwolić, a z triumfem prowadzić na stolicę.

Królowa aż krzyknęła, posłyszawszy to, z oburzenia i przestachu.

— Niech Bóg uchwata — zawołała — abym ja na to przyzwolenie dać miała! Niech się pan starosta czynić tego nie waży, gdyż wolę się wyrzec wszelkich praw moich niż zdradzić jednych dla drugih i być przyczyną zamieszania i wojny, podczas gdy zgoda i pokój najpotrzebniejsze. Kusicie mnie — dodała — jak zły duch Chrystusa Pana przed męczeństwem Jego. Słabą jestem niewiastą, lecz z drogi moich powinności sprowadzić się nie dam. Powiedźcie panu staroście, iż mu wdzięczną jestem za dobrą wolę przeciw mnie, lecz co innego w sercu mam i na ofiarę gotowa jestem, a nie bym z chwili zamieszania korzystała. Od czego niech Bóg mnie uchwata.

Postrzegł szlachcic, że tu już nic do czynienia nie miał i nadziei żadnej, aby się powiodły tajemne zabiegi. Spuścił głowę i zamilkł.

— A proszę was — dodała Anna — abyście więcej mnie podobnymi nie nachodzili ofiarami, których sumienie przyjąć się wzbrania.

I skłoniwszy głowę, królowa¹²² wyszła natychmiast z komory do krajczyny, która czekała na nią.

Wkrótce potem postanowiła królowa, nie chcąc osób, które się przy niej znajdowały, narażać na niebezpieczeństwo, gdy powietrze ku Płockowi zbliżać się zdawało, przenieść się do Łomży. Ks. biskupowi chełmskiemu¹²³ wprost o tym doniosła jako o rzeczy, która konieczną była i na którą pozwolenia nie potrzebowała. Nie chciała się bowiem poddać rozkazom i władzy panów senatorów.

— Dozoru nade mną — mówiła krajczynie — wzbronić i przeszkodzić sprawowaniu go, opierać się nie mogę, ale się krępować nie pozwolę.

¹²¹ a n t e p e d i u m (łac.) — zasłona ołtarza, od stołu do stopni

¹²² W pierwodruku błędnie „królowa”, co zostało w tekście poprawione.

¹²³ W pierwodruku błędnie „chełmińskiemu”, co w tekście poprawiono.

Czekała tylko na Czarnkowskiego, któremu zlecić miała, ażeby na zjazdach szlachty, które wszędzie się zbierały na niespokojne narady, sprawę jej i praw należnych popierał.

Referendarz przybył jak zawsze pełen wylania się, gotów w słowach na wszystko, przede wszystkim bacząc na to, aby cesarskie interesa i swoje przy tym upiekl. Królowna się wcale nie domyślała tej wielkiej miłości jego dla Maksymiliana i Ernesta, z którą niezupełnie się wydawał. Tym razem jednak próbował Czarnkowski poruszyć strunę, chcąc się dźwiękowi jej przysłuchać. Zagaił o Erneście — królowna pozostała chłodną i nie dozwoliła się wyrozumieć; słuchała o nim, nie odpowiadając. Referendarz mimo całej przebiegłości swej nic więcej nie dowiedział się nad to, że była obojętną i zimną. Ze swą sympatią dla Henryka Anna wcale się też nie wydała. Była to jedna z tych tajemnic, które w najgłębszym serca zakątku zachowała jako skarb swój najdroższy. Mówiło jej coś, że nadzieje na niczym nie oparte, śmieszne prawie, mimo ludzi, mimo przeszkód, mimo wszystko ziścić się miały. Zostawszy sama, bawiła się obrazem wymarzonego szczęścia swojego.

— Bóg mi długo na nie czekać kazał, ale mnie z jasnych chwil nie wydziedziczył!

I modliła się po cichu.

Dla wszystkich w istocie marzenie to królowej pozostało tajemnicą z wyjątkiem Dosi Zagłobianki. Długim pobytem przy Annie nauczona ją odgadywać, wnikać w jej duszę, Dosia jakąś intuicją miłości dla pani swej wyczytała w niej, co wszystkim było zakryte. Była prawie pewna, że królowna o tyle sobie życzyła Henryka, o ile Ernesta obawiała. Śledząc każdy krok, poruszenie, wrażenia Anny, Dosia dopatrzyła, gdy Krassowski przywiózł i pozostawił wizerunki francuskie, jak ciekawie królowna wpatrywała się w nie, chowała, a będąc sama wydobywała, nie mogąc nasycić przyglądaniem się miniaturze Henryka. Jedna Zagłobianka tylko wiedziała o tym, a raz wpadłszy na trop, później z tysiącnych małych oznak utwierdziła się w swym przekonaniu. Nigdy by nie śmiała dać poznać Annie, że to, co ona skrywała i tała tak skrzętnie, odgadnąć potrafiła, ale przez przywiązanie swe dla pani łamała sobie głowę, jakby mogła dopomóc, usłużyć, zapobiec, aby się coś przeciwnego nie złożyło. Pomimo całej swej zuchwałości, przebiegłości, cóż mogło biedne dziewczę? Nic lub tak jak nic. Przeszkadzała tylko temu wszystkiemu, co tu cesarzowi i Ernestowi posługiwać chciało, i z pociechą się przekonała, że Anna z tego rada była.

Nie wiedział o tym nikt, nawet królowna, że śmiała Zagłobianka, napadłszy raz w sypialni królowej podrzucony przez kogoś, niewidomą ręką, wizerunek Ernesta, natychmiast go zniszczyła. Nie mogła zapobiec, aby Gastaldi nie wsunął tu listów cesarskich, ale to były pierwsze i ostatnie. Dosia poprzysięgła, że choćby się narazić miała, wszelkie późniejsze dopilnuje i zniszczy. Dotrzymała też danego sobie samej słowa i spaliła znalezione później w sypialni wiadomości z cesarstwa.

Istota to była dziwna to dziewczę, na pół dzikie, nic nie mające do stracenia, żyjące całe przywiązaniem dla swej pani. W jej sercu obok tej miłości żadna inna się obudzić nie mogła. Młoda, piękna, otoczona pochlebcami, którzy szaleli za nią, wyśmiewała się ze wszystkich, widziała w nich tylko ich przywary i słabości. Jeden może Talwosz miał u niej jeżeli nie łaskę, to trochę pobłażania, bo on najgoręcej także służył królownie i był w tej służbie najrzeczniejszym. Ale i on nie mógł pochwalić się tym, aby mu Dosia najmniejszą uczyniła nadzieję, że łaskawiej spojrzy na niego. Gdy szło o posługę, używała go, szukała, naradzała się; jak tylko o swym sercu mówić zaczynał, wyśmiewała i odpychała go bez litości. Jedynym węzłem, co łączył ich, było to przywiązanie do królowej. Talwosz nie mógł jak ona odgadnąć, co się działo w sercu Anny, ale to wiedział i domyślał się, że cesarzewicza sobie nie bardzo życzyła.

Dosia wahała się jeszcze, czy mu się ma zwierzyć ze swych domysłów i czy się to na co przydać mogło, gdy Litwin jednego wieczora w rozmowie z nią, niewielką do tego przywiązując wagę, rzekł śmiejąc się:

— Mnie się zdaje, że królowna by już Francuza wołała niż cesarzewicza.

Dosia spojrzała mu w oczy wyraziście, nie mówiąc nic długo.

— Skądże to macie?

— Albo ja wiem? — odezwał się Talwosz. — Panna Dorota musi przecie znać to, że kogo się miłuje, tego się odgaduje. A co panna na to?

— Ja? — zawołała Dosia wesoło. — Ja? Powiem, że mogłoby to być, ale naszej królownej odgadnąć trudno. Smutek na człowieku jest jak piasek na mogile, kogo on przysypie, niełatwo odkopać, a pani nasza wiele na sobie smutków dźwiga. Ale gdyby to przypadkiem prawda była, że jej Francuzik lepiej do serca przypada, co w takim razie poczynąć? Za cesarzem wszyscy, a ten Czarnkowski, którego królowna i lubi, i wierzy mu, przysięgnę, że za nim też ciągnie.

— To pewna! — potwierdził Talwosz. — Ale mocniejszy Pan Bóg od pana Czarnkowskiego — dodał Litwin, przysłowie stare przerobiwszy¹²⁴. Gdyby to prawdą być miało, że królowna w tamtą stronę oczy zwraca, czy nie warto by się lepiej dowiedzieć i rozśłuchać, co stamtąd od Francji wieje?

— A to jak? — zapytała niedowierzająco Dosia.

— Nie wiem — odrzekł Talwosz — myślę sobie tylko, gdyby potrzeba życie ważyć, jechać, rozwiadywać się, przeglądać, choćby na kraj świata, jam pierwszy gotów!

Zagłobianka wdzięcznie mu się uśmiechnęła.

— Któż to wie? — odrzekła zadumana. — Może jeszcze waszmości wezmę za słowo.

Ale nie śmiała mówić więcej, skinęła główką i odeszła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

¹²⁴ Aluzja do przysłowia: „Większy Pan Bóg niż pan Rymsza”. Ignacy Rymsza, oboźny nowogrodzki, prowadził długotrwały proces z klasztorem dominikanów; proces ostatecznie przegrał i wtedy wyraził się słowami, które stały się przysłowiem. O tym słynnym procesie wspomina Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” (księga XI, ww. 332—334).

TOM DRUGI

KSIĘGA DRUGA

MARZENIA

Ksiądz biskup chełmski zwykły był co dzień z rana przybywać na zamek, pełniąc bardzo gorliwie swe obowiązki stróża, chociaż od czasu, jak je na niego włożono, znacznie był złagodniał dla królewnej. Krajczyna znajdowała, że dobry, uprzejmy, ale trochę bojaźliwy ksiądz Wojciech coraz więcej się akomodował¹²⁵ i ustępstwo czynił Annie. Działo się to bezwiednie. Królowna coraz stawiała się energiczniejszą, biskup walczyć z nią nie mógł. Narzekał on na to przed wojewodą Uchańskim, ale oba razem bezsilni się czuli wobec Anny Jagiellonki, która z krwią zimną, ale z żelazną wytrwałością szła, gdzie sama zamierzyła, niełatwo słuchając kogo. Rosła w ich oczach ta pani niedawno jeszcze zapomniana, lekceważona przez brata i zalewająca się łzami. Naówczas ulegała ona choremu królowi, teraz, sama się czuła tu pierwszą i nie ustępowała nikomu.

Jednego poranku jesiennego przybył ksiądz Starożrebski jak zwykle na zamek i zdziwił się mocno widząc, że podwórca część zajmowały powyciągane z szop wozy, paki i skrzynie; że tuż w improwizowanej kuźni konie przekowywano, a ludzi mnóstwo kręciło się, pośpieszając tak, jakby im bardzo było pilno. Wyglądało to na przygotowanie do podróży. Biskup o żadnej nie wiedział.

Talwosz, którego w niedostatku innego tytułu nazywano sekretarzem królewnej, stał właśnie, wydając rozkazy; biskup, wysiadłszy z kolebki, powołał go do siebie.

— Cóż się to tak przygotowujecie? — zapytał. — Co się u was dzieje?

— Królowna wydała rozkazy, aby się gotowano do podróży — odparł sucho Talwosz.

— Gdzie? Dokąd? Do jakiej? — żywo przerwał biskup. — Ale ja o niczym nie wiem! Na rany Pańskie! Ja tu przecie stróżem jestem!

Litwin słuchał obojętnie księdza biskupa i rzekł również zimno:

— Ja spełniam, co mi przykazano, do mnie nie należy więcej nad to.

— Ale dokądże jechać myślicie? — zawołał biskup coraz bardziej poruszony.

Talwosz ruszył ramionami.

— Królowna się przede mną tłumaczyć nie potrzebowała — rzekł — a ja pytać nie śmiałem. Wiem tylko, że jedziemy.

Ksiądz biskup stał z załamanymi rękami; pocziwa jego twarz łagodna zmieniła się, zasepiła, posmutniała, widać było, że go to wiele kosztowało, iż zmuszonym został królownie czynić wyrzuty. Zmieszany nie śpieszył na zamek, aby się rozpytać, bo chciał z pierwszego

¹²⁵ a k o m o d o w a ć się (z łac.) — stosować, naginać się do kogo

wrażenia ochłonać, lękając się narazić zbyt żywymi wyrzuty królownie, a był do nich obowiązany. Panowie senatorowie postawili go tu na straży; królowna nie powinna była kroku uczynić bez ich wiedzy i przyzwolenia; biskup nie słyszał o żadnej podróży, a tu już czyniono, nie pytając, przygotowania do niej.

Talwosz pokłonił mu się i odszedł.

Ksiądz Wojciech, postawszy chwilę jeszcze, zakłopotany powolnym krokiem wsunął się na pokoje Anny. W posłuchalnym, w którym go zwykle przyjmowano, pusto było. Dosia tylko sprzątała po stolikach i przyszła księdza w rękę pocałować. Nie śmiał się biskup jej pytać. Wtem ze drzwi bocznych wyjrzała krajczyna i znikła, a po chwili królowna Anna ukazała się w progu i weszła powolnym krokiem. Biskup ją przywitał milczący, badając oczyma; w twarzy nie znalazł żadnej zmiany — spokojną była zupełnie i nie zdawała się zakłopotaną, gdy ksiądz Wojciech zmięszany był niezmiernie.

— Widzę na zamku jakieś przygotowania — odezwał się nieśmiało — tak jak gdyby do podróży. Czy Wasza Miłość odebrała jakieś wiadomości od panów senatorów?

— Żadnych — odparła Anna — ale powietrze się zbliża co dzień do Płocka i ja tu na nie czekać nie myślę. Muszę szukać bezpieczniejszego schronienia.

— Ale to nie może nastąpić bez wiedzy panów senatorów — przerwał biskup.

— To wasza rzecz, mój ojczy, z nimi się o to porozumieć — rzekła spokojnie królowna — co do mnie ja niczych rozkazów czekać nie potrzebuję, jestem przecież wolną.

Biskupowi pot z czoła spadał kroplisty, ocierał go ruchem gorączkowym rąk obu.

— Tak jest, tak jest — pośpieszył potwierdzić — lecz niemniej bez ich wiedzy by nie wypadało. I dokądże Wasza Miłość chcesz jechać?

— Sądzę, że w Łomży będę najbezpieczniejszą — chłodno, po krótkim namyśle, odezwała się królowna.

Biskup ręce łamał, przyszło mu na pamięć, że z Łomży łatwiej było z Litwinami się porozumieć, że stamtąd też królowna może miała jakie umówione drogi i posłów na zjazdy, które się zapowiadały.

— Potrzeba więc chyba natychmiast o tej woli Waszej Miłości dać wiedzieć arcybiskupowi, panu marszałkowi i wojewodom — mówił ks. chełmski i w ustach mu zasychało, a głos jego coraz był słabszy.

— Nic nie mam przeciwko temu — odparła Anna Jagiellonka — ale za późno będzie o tym ich uwiadomić, gdy ja czekać na odpowiedź nie mogę. Pojedziemy jutro lub pojutrze.

— Jestże to stałe postanowienie? — przerwał ksiądz Wojciech łagodnie. — Ja bym się ośmielił Miłości Waszej uczynić uwagę, że panów senatorów drażnić i zniechęcać nie należałoby.

— Ale ani też im się poddawać i uniząć — odpowiedziała Anna — boby ze mnie lalkę jakąś uczynili, którą ja być nie mogę, znając krwi mej prawa i dostojęństwo. Chcę właśnie okazać, iż się nie uważam niewolnicą i podległą rozkazom niczym. Rady chętnie słucham, ale więcej nic. Jeśli się ona nie zgodzi z moim przekonaniem, odrzucić ją muszę.

Biskup ręce podniósł do góry.

— Ale Wasza Miłość nie widzisz chyba, że to wypowiedzenie wojny, że to opór jest przeciw woli narodu.

— Szanuję ją, ale jej swojej poświęcić nie mogę — rzekła królowna. — Wy, ojczy kochany, nie przekonacie mnie. Myślałam długo, wzywałam Ducha świętego, a com postanowiła, to uczynię i będzie, co Bóg da! Pojadę do Łomży.

Biskup milczał, królowna dodała łagodnie:

— Wy ze mną, nieprawdaż?

— Muszę — rzekł ksiądz Wojciech z cicha — choć zaprawdę przeciwko tej podróży samowolnej protestuję.

— Nie sędzę, abyście wy, mój ojczcie, albo pan wojewoda Uchański wstrzymywać mnie gwałtem zamierzali. Wy donieście, co ja czynię, a ja postąpię, jak mi lepiej.

— Powietrze jeszcze daleko! W Płocku o nim nie słysząc! — odezwał się biskup.

— Nie czas będzie wyjeżdżać, gdy nadejdzie — sucho rzekła Anna.

Ksiądz chełmski nie odpowiedział, szukał w głowie, co mogło spowodować to nagłe wyjazdu postanowienie; domyśleć mu się było trudno czegoś prócz łatwiejszych z Litwą układów, gubił się w przypuszczeniach. Cesarskich wysłańców czy francuskich może królowna tam bezpieczniej myślała przyjmować?

Anna przechadzała się po komnacie, nie okazując najmniejszego wzruszenia. Weszła w tej chwili jedna z kobiet, dopytując o jakieś rozporządzenie do podróży, które Anna wydała głosem śmiałym i bez namysłu, jakby od dawna je już miała w myśli przygotowane.

Biskup chełmski spróbował jeszcze na różny sposób królownę skłonić jeśli nie do zmiany postanowienia, to do zatrzymania się z wykonaniem, dopóki by on nie odebrał odpowiedzi, ale musiał się w końcu przekonać, że królowna nie da się zachwiać, westchnął, pożegnał się i poszedł co prędzej do pana wojewody, który szczęściem znajdował się w Płocku.

Uchański o niczym dotychczas nie wiedział i jak biskup zdumiał się wielce, ale on także nie śmiał nawet ważyć się pomyśleć o tym, aby królownę siłą zatrzymać na zamku i nie dopuścić wyjazdu.

— Królowna ma wielu przyjaciół — rzekł — wszyscy się nad jej sieroctwem litują, uchowaj Boże, rozterki z nią, pójdzie po świecie wieść, że ją krępują i w niewolę zaprzęgają senatorowie, szlachta się zburzy. Następstwa mogą być smutne. Litwa tylko szuka przyczepki, gotowa się ująć za nią. Ślij wasza przewielebność doniesienie, ale jeśli jechać się uprze, niech jedzie, nam władzy nie dano, abyśmy ją zamykali, tylko dozór i czuwanie.

Rozmawiali tak jeszcze, gdy nadszedł referendarz Czarnkowski z pożegnaniem do wojewody. Wyjeżdżał i on jako wysłaniec od królowej wraz z księdzem Janem Borakowskim, proboszczem łączyckim, do prymasa i na zjazdu w sprawie tykocińskich skarbów i innych ważnych interesów. Biskup i wojewoda znali dobrze referendarza jako oddanego sercem i duszą nie tylko Annie, ale trzem Jagiellonom wszystkim, wpadli więc na niego z góry, żądając tłumaczenia: co znaczyło nagłe postanowienie.

Czarnkowski, który dotąd bezpiecznie na kilku stołkach siedział, służąc Annie, zaprzysięgając wierność Zofii, a nade wszystko pilnując sprawy cesarskiej, od niejakiego czasu poczynił wielce zdumiony dostrzegać, że co się spodziewał kierować królowną, zmuszony był jej ulegać i spełniać, co mu polecała. W oczach jego zmieniała się ta płacząca niegdyś i słaba kobieta w śmiałą, nie odsłaniającą całej swej myśli, energiczną panią. Czarnkowski jej nie poznawał. Na domiar zawodu znajdował, że wcale się ku cesarzowi i cesarzowiczowi dziewiętnastoletniemu nie skłaniała. Uczyniła nawet uwagę referendarzowi, że młodzik taki dla niej nie przystał. Na nieszczęście francuski kandydat o kilka lat był starszy. Królowna nie mówiła o nim nic, ale Czarnkowski przeczuwał, że bodaj tam się jej serce pochylało. Przyprowadzało go to do rozpacz! Wszystkie naówczas piękne obietnice cesarza wniwecz by się obróciły.

Gdy biskup i wojewoda napadli na niego jako na prawą rękę królowej, Czarnkowski poruszył ramionami, dłonie podniósł do góry i zawołał:

— Ale ja tak dobrze jak miłości wasze do wczorajszego dnia nie wiedziałem o niczym! Królowna się nikogo nie radzi, nie słucha nikogo. Jestem jej sługą, nie mentorem, bo tych ona nie potrzebuje i nie przyjmuje.

Uchański i Starożrebski spojrzeli po sobie.

— Ale wy, panie referendarzu — odezwał się biskup — powinniście królownie przedstawić, na co się naraża. Co by miała sobie panów senatorów pozyskać, zraża ich i nieprzyjaciółmi czyni!

— Wierzcie mi, ojciec przewielebny — odparł Czarnkowski — iż królowna Anna do zastraszenia łatwą nie jest. *Hic mulier*¹²⁶! Gdy co raz powie, nie ustąpi, a i wymową z nią walczyć niełatwo. Zawsze była ze wszystkich siostr najmądrzejszą i na swadzie jej nie zbywa. Jeżeli wydała rozkazy do wyjazdu, nie cofnie ich dlatego choćby, ażeby ludzie nie sądzili, że się komuś powoduje. Ani ja, ani wy, księżu biskupie, nie poradzimy nic. Trzeba się do Łomży gotować i po wszystkim, a gdy potem zażąda z Łomży do Warszawy, choćby czasu konwokacji¹²⁷, choćby natenczas, gdy jej tam najmniej sobie życzyć będą, pojedzie, nie pytając nikogo.

Westchnął biedny biskup.

— Wszystka wina spadnie na nas — zamruczał.

Uchański dodał z uśmiechem:

— Ile nas jest, cośmy niegdyś widywali królownę, kiedy Mniszchowie ją z bratem poróżnili, a, ona, oczy wypłakując, zносиła wszystko, nawet gdy jej Zajączkowską z jej pokojów gwałtem brano, omyliliśmy się na niej dużo. Ulegała bratu i królowi, lecz nikomu więcej się nie podda... Czuje się królową.

— Tak jest, niewątpliwie — potwierdził Czarnkowski. — Ja poświadczyć to mogę. Sądziłem niegdyś, iż mojej rady potrzebować będzie i iść za nią, a teraz jej słuchać muszę. Kto tam u niej ma posłuch, kto przewagę, trudno dociec; pono wszyscy muszą się jej submitować¹²⁸ i czynić, co rozkaże.

Krótko tu zabawiwszy, biskup musiał pośpieszać gotować się też do podróży nieuniknionej i natychmiast gońce wyprawiać do senatorów z oznajmieniem. Czarnkowski z Borakowskim jechali do prymasa.

Na zamku wszystko szło raz przez królownę wykreślonym trybem. Mianowany ochmistrem Koniecki, który przy małej głowie nadawać sobie chciał wielką wagę i znaczenie, spróbował także reflektować królownę, która go zbyła kilku słowami i słuchać nie chciała. Żalińska, bo i tej z Płocka nie było dogodnie ruszać się do Łomży, wpadła z narzekaniem i fukiem. Anna dała jej się wygadać, ale nie zmieniła rozporządzeń, odprawivszy łagodnym ponowieniem rozkazów.

Tą mocą charakteru cieszył się Talwosz najwięcej może, bo do pewnego stopnia przypisywał sobie nakłonienie królownej, aby się nie oglądała na ludzi i śmieiej poczyniała. On i Dosia znajdowali, że królowna teraz dopiero mogła być pewną, iż pokrzywdzoną nie zostanie.

W chwili gdy królowna i cały jej dwór z Płocka wybierali się do Łomży, Talwosz jednego dnia nagle z dwojgiem służby siadł na koń i pojechał w świat. Był on tak czynnym i ruchawym, że gdy go nie stało, wszyscy to zaraz dostrzegli. Niektórym może lżej nawet bez niego było, ale ciekawym był każdy, dokąd ruszył tak, nie opowiadając się nikomu. Ochmistrz Koniecki, kręcąc węża powiadał, że za zezwoleniem królownej Talwosz pojechał krewnych na Litwie odwiedzić.

— Nie bójcie się mrucał ironicznie — powróci on rychło, będziemy go mieli do syta.

Nie lubiono pocziwego Talwosza, bo u królownej łaskę miał, a ruchawością i rzutkością w posługach innych przechodził.

Dosia Zagłobianka, którą też badano o Litwiną, bo się około niej nieustannie kręcił, mówiła obojętnie, że kędyś na Litwę jechał. Być może, że i on sam przed wszystkimi się tak ze swej wycieczki wytłumaczył, lecz inny ona cel miała. Dla niego i dla Zagłobianki nie ulegało

¹²⁶ *h i c m u l i e r* (łac.) — dosłownie: ten kobieta; zwrot humorystyczny na oznaczenie kobiety energicznej i despotycznej, o charakterze męskim

¹²⁷ *k o n w o k a c j a* (z łac.) — zwołanie czegoś; w dawnej Polsce oznaczano tą nazwą sejm (tzw. sejm konwokacyjny), który zbierał się w czasie bezkrólewia dla załatwienia pilnych spraw i przygotowania elekcji króla

¹²⁸ *s u b m i t o w a ć s i ę* (z łac.) — poddawać się, ulegać

wątpliwości, iż królowna więcej sprzyjała Henrykowi francuskiemu, że marzyła o nim. Talwosz, który służyć jej chciał po myśli, czy z jej przyzwoleniem, czy *proprio motu*¹²⁹, ruszył na zwiady ku posłom, którzy już w Polsce znajdować się mieli.

Sprawa wyboru Henryka nie stała tak źle, jak się czasami referendarzowi Czarnkowskiemu zdawało. Firlej się z tym nie taił, że cesarzewicza prowadził, więc Zborowski¹³⁰, choć Com-mendoniemu także przyrzekł za cesarzem być, na złość i przekorę Francuza chciał popierać. Czynił to potajemnie, ale skutecznie. Nie mógł też los lepiej Walezjuszowi usłużyć, jak nastreczając mu za pierwszego sprawy jego rzecznika w Polsce Montluca¹³¹, biskupa Walencji¹³². Był to człowiek stworzony na dyplomatę owych czasów, przewrotny, rozumny, bystry, nie przebierający w środkach, gładki i słodki, w towarzystwie uprzejmy, znający ludzi i umiejący się do nich zastosować. Ci, co z nim przybyli z Francji i otaczali go, doskonale mu pomagali. Montluc u dawniej sobie znajomego Stanisława Wysockiego, kasztelana łędzkiego¹³³, pod Koninem¹³⁴, znalazłszy gościnne przyjęcie, siedząc na wsi, jak pająk rozrzucał sieci niewidzialne dokoła, w które się ludzie łapali.

Zyskiwał Montluc, kogo chciał i kto mu się nastreczył, bo obiecywał, co tylko kto żądać mógł. Nie kosztowało go to bynajmniej, gotów był zobowiązania podpisywać na krocie, chociaż grosza przy duszy nie miał i żył podobno pożyczkami, ciągle się pieniędzy z Francji spodziewając. Obejście się jego z Polakami było całkiem różne niż posłów i agentów cesarskich. Słodyczą jednał ich, a nawet różnowierców, choć sam duchowny i biskup, przyciągał głośno objawioną tolerancją. On i Bazin¹³⁵, przy nim będący podówczas, nie gardzili zdobyczą najmniejszej muszki, przymilali się szlachcie, jednali ludzi drobnych i małego znaczenia, dobi-jali się popularności. Cesarscy posłowie zabiegali po cichu i tajemnie, oni działali otwarcie, mówili głośno.

Przybywającym do kasztelana Wysockiego w gościnę pokazywano dwa wizerunki księcia andegaweńskiego, uśmiechniętego łagodnie, wyświeconego, spoglądającego z serdecznością wiele obiecującą, z wyrazem dobroci ujmującej. Ponieważ w cesarzu obawiano się nieprzyja-ciela swobód, Montluc zaręczał, że Henryk gotów je jeszcze rozszerzyć i zobowiązać się do zachowania dawnych nie tkniętymi. Różnowiercom zapewniano swobodę sumienia; wszystkim najszcześliwsze, błogie, obfitujące w złoto panowanie, mlekiem i miodem płynące. Młody pan lubił się bawić, nie obce mu były też sprawy rycerskie i żołnierzem być miał mężnym, wodzem rozumnym. Dla wielu już to za nim mówiło, że Niemcem nie był; inni podnosili siłę i znaczenie Francji, która w przymierzu z Polską w szachu mogła trzymać cesarstwo. Każdy od Montluca wyjeżdżał rozmarzony, upojony, gorącym zwolennikiem Francuza. Głoszono też po cichu, że królowna Anna, z którą Henryk miał się żenić, była za nim, a nie życzyła sobie

¹²⁹ *proprio motu* (łac.) — z własnego popędu

¹³⁰ P i o t r Z b o r o w s k i — kasztelan wojnicki, następnie wojewoda sandomierski, w końcu krakowski; będąc głową możnej rodziny Zborowskich, odegrał poważną rolę w obu elekcjach po śmierci Zygmunta Augusta (zm. w r. 1581)

¹³¹ J e a n (J a n) M o n t l u c — 1508—1579) biskup w Valence, zaznaczył się jako wy-bitny dyplomata w licznych poselstwach, przede wszystkim popierając z pomyślnym wynikiem kandydaturę Henryka Walezkiego na tron polski

¹³² W a l e n c j a — spolszczona nazwa miasta Valence we Francji, nad rzeką Rodanem

¹³³ S t a n i s ł a w W y s o c k i — kasztelan biechowski, później łędzki (od miejscowości Łąd, położonej nad Wartą w powiecie słupeckim)

¹³⁴ K o n i n — miejscowość nad Wartą, obecnie miasto powiatowe w woj. łódzkim

¹³⁵ J a n B a z i n — (1538—1592), słynny polityk i dyplomata francuski; obok Montluca rozwinął w okresie elekcji po śmierci Zygmunta Augusta ożywioną działalność na korzyść kandydata francuskiego

zbyt młodego cesarzewicza, bo z rakuskim domem połączenie zawsze nieszczęście na Jagiellonów sprowadzało.

Po kraju chodziły wieści o tajemnych wysłanach cesarskich, do których i Gastaldi należał; obudzało to obawy w panach senatorach, gdy ze strony Francuzów, postępujących jawnie, niczego się obawiać nie potrzebowano. Wiele też przypisać było można staraniom i zabiegom Zborowskich, którzy nie odsłaniając się, różnowierców i cały obóz własny na stronę Francuza przerzucili.

Talwosz, znikłszy ostatnich dni pobytu w Płocku, nie znalazł się, aż gdy królowna w Łomży już mieszkała. Trafił na niezmiernie zburzenie umysłów, niepokój i trwogę. Jak ksiądz biskup chełmski przewidywał, wyjazd samowolny z Płocka niesłychanym na senatorów rzucił popłochem. Sądziło w najlepszej wierze, iż królownę opanowali, że nią kierować będą, że uczynią z nią, co zechcą. Wszystko to nagle okazywało się złudzeniem, Anna nie myślała ich słuchać i szła swoją drogą, wcale się nie oglądając na senatorów. Posadzono ją więc, że potajemnie musiała układać się i frymarzyć koroną, że mogła ją wydać cesarzowi, że gotową była związać się z Litwą przeciw Polsce. Najstraszliwsze widma trapiły przerażonych panów, którym z rąk się wyslizgiwała władza. Obawiano się głównie cesarza i rozgałęzionych jego zabiegów. W Osieku¹³⁶ na zjeździe polecono dwom panom posłom Słupeckiemu i Sienieńskiemu¹³⁷ do Płocka jechać i czuwać, aby cesarscy wysłańcy do królownej przystępu nie mieli i po kraju się nie kręcili bez dozoru.

W Osieku nie wiedzano wcale, że Anna już wyjechała do Łomży. Słupecki i Sienieński, nie zastawszy jej tutaj, pognali do Łomży, dając znać do Warszawy na zjazd, co się stało. Popłoch to wywołało większy jeszcze. Zarazem jednak ulękli się Mazurowie cesarza i posłali, zalecając swoim, aby szanowano cesarskich. Przybiegłszy do Łomży, panowie deputaci na przód do biskupa chełmskiego i do ochmistrza Konieckiego się udali, składając swe listy i domagając się widzenia natychmiast z królowną. Biskup począł się im tłumaczyć, że wyjazdu powstrzymać nie mógł, a Koniecki mu potakiwał. Trudno było mocą i gwałtem hamować.

Anna natychmiast dała tym ichmościom posłuchanie. Wyszła do nich z powagą wielką i majestatem, jakby z dawna przygotowana, spokojna, i sama zagaiła rozmowę.

— Dziękuję waszmościom panom, żeście mnie od panów senatorów nawiedzić raczyli, gdyż z dawna pragnęłam o wielu sprawach rozmówić się otwarcie, jako mnie i im przystało.

Słupecki, dosyć gorący człek, wnet chciał zacząć o wyjazd i o dalsze panów senatorów względem Anny starania, ale królowna przerwała mu.

— Dzisiaj o tym mówić nie będziemy, spocznijcie waszmoście, ja też niedawno z podróży, potrzebuję trochę wytchnąć. Wieczór bliski, czasu by nam dziś nie stało na wszystko, co omówić potrzeba, lepiej więc, gdy to odłożymy do jutra.

Słupecki i Sienieński, z którymi i biskup chełmski przybył razem, musieli ulec. Podano im wino i słodczyce, ile tam znaleźć było można w zapasach podróжных nieobfitych. Mówiono o drogach popsutych, o powietrzu po wszystkich ziemiach rozszerzającym się, o tym i owym, nie tykając nic ważniejszego.

Królowna, w ten sposób czas do namysłu pozyskawszy, zatrzymała u siebie biskupa chełmskiego i potrafiła tego dokazać, czego się ksiądz Starożrebski po sobie nie spodziewał i nie przypuszczał. Wmówiła mu bowiem, że senatorowie go jej do boku dodali nie dla dozoru, ale do pomocy.

— Wy, mój ojczy, i teraz, i zawsze macie moje sieroctwo na sumieniu, powinniście bronić mnie. Ufam, że jutro, gdy do rozmowy przyjdzie, na was rachować mogę. Przemówicie za mną, proszę o to.

¹³⁶ O s i e k — miejscowość w pobliżu Sandomierza

¹³⁷ S t a n i s ł a w S ł u p e c k i z K o n a r był kasztelanem lubelskim, Jan Sienieński — kasztelanem żarnowskim

Biskup chełmski zdumiał się w początku, nie zrozumiał, zamilczał, lecz w końcu i litością zdjęty, i przekonany prostymi, ale serdecznymi słowy królownej, z owego strasznego Argusa¹³⁸ zmienił się na rzecznika. Łzy miał w oczach. Przeszedł, sam nie wiedział jak, do obozu Anny. Zwycięstwo to prawie nic ją nie kosztowało. Drugiego dnia rano biskup chełmski uprzedził posłów, czekał na nich, i gdy królowna wyszła, w jej imieniu przemówił z wielkim namaszczeniem, użalając się, że jest zupełnie opuszczoną i zabytą przez panów rad koronnych, że w tym swoim sierocym stanie nawet od nich żadnego dowodu troskliwości i współczucia nie otrzymała dotąd.

Słupecki i Sienieński, którzy wczoraj biskupa innym widzieli, słuchali go zdziwieni, gdy królowna sama dodała w końcu:

— Miałam pradiada, dziada, stryja i brata królami polskimi, których dobrodziejstw wasze miłoście doznawaliście dosyć, a ja dziś po nich sierota nie mam dowodu, abyście to mieli we wdzięcznej pamięci. Ja w tej żałości mej, opuszczeniu i niedoli, niedostatek we wszem cierpiąc, zwątpiłam już o sercach ludzi.

Słupecki, który śmielszym był, zaledwie rozpocząć zdołał wymówki, iż panowie to złym okiem widzieli, jako królowna poza ich wiedzą się z cesarzem zносиła, gdy mu przerwała:

— Na Boga miłosiernego! Czyż mi to może za złe być poczytany, że mi cesarz, powinowaty mój, słowa pociechy przez swych posłów przysłał, a nawet że do mnie siostry, a ja do sióstr pisywałam! Wszakże wszystkie te listy i pisma, jakiegokolwiek one były, dawałam czytać panu referendarzowi i tajemnic w nich żadnych nie kryłam. Żadnych praktyk pokątnych mi waszmoście nie możecie zarzucić, bo ksiądz biskup chełmski wie, co się tu dzieje.

Słupecki, który ciągle oratora¹³⁹ na siebie urząd przyjmował, począł tłumaczyć, iż panowie senatorowie wcale o tym nie wiedzieli, iż ksiądz arcybiskup zaniedbał po zgonie króla uroczyście pozdrowić królownę. Złożył tedy winę na prymasa i natychmiast, co najpilniejsza była, imieniem panów rad domagać się począł, aby królowna do siebie przystępu wzbroniła wszelkim obcym posłom i ludziom, o konszachty podejrzanym, a ze dworu swego oddaliła tych, co im dopomagają. Mieli posłowie na myśli Gastaldiego, posądzając, iż się z królowną widywał. Słupecki się coraz bardziej rozgorączkował, gdy mu Anna usta zamknęła.

— Cesarz JMć dobrze mi życzy, a za jego dobrą wolę dla mnie ja mu nie mogę zniewagą posłów jego odpłacać. Na moim dworze nie dopuszczę jej, możecie waszmoście gdzie indziej ich szukać i ścigać.

Zbity na chwilę z tropu Słupecki wnet znowu do Gastaldiego powrócił i począł z jakichś listów jego przytaczać urywki, dowodząc niebezpiecznych praktyk. Dała mu się królowna wygadać z pełną, lecz w końcu zimno i surowo, z powagą zamknęła:

— Praktyk ja żadnych nie czyniłam i nie czynię, świadkiem mi ksiądz biskup chełmski, więc i posądzaną o nie być nie dopuszczę. Za radą waszmościów gotowam iść — dodała — ale w niewolę się zaprząć nie dam.

Ostatnie słowa dodała tak dobitnie, iż Słupecki zamilknąć musiał. Chcąc naprawić, co on popsuł, Sienieński rzekł łagodnie, że Rzeczpospolita jak zawsze panów swych krew i osoby do rodziny należące szanowała, a miała o nich pilne staranie, tak i o królownie zapomnieć nie chce i czuwać nad nią nie przestanie.

— Daj, Boże, aby się to ziściło, co powiadacie — odparła Anna — a przede wszystkim proszę, abyście panom senatorom położenie moje i co się tu koło mnie dzieje opisali i zdali sprawę wierną.

Słupecki też łagodniejszych słów kilka dorzucił.

¹³⁸ A r g u s — w mitologii greckiej olbrzym o stu oczach, który był strażnikiem pięknej Io, zamienionej w jałówkę przez boginię Herę, zazdrosną o względy jej męża; Argusa zabił bóg Hermes

¹³⁹ o r a t o r (łac.) — mówca

— Nie dziwujcie się waszmość — przerwała mu królowa — iż się uskarżam przed wami, gdyż godności mojej i krwi tej uwłacza, w jakim stanie po dziś dzień ja sierota i dwór mój ubogi. W podróży wstyd mi moich kolebek i woźników. Co było ślepych i chromych szkap, to mi wydzielono, choć w Knyszynie kilkaset koni król zostawił. Nieboszczyk inaczej tym chciał rozporządzić. Co za dziwo! Ci sami ludzie, którzy za króla starali się, abym pokrzywdzoną i zapomnianą była, po śmierci też woleli rozszarpać między siebie, co zostało, niż mnie jako należne powrócić. Podzielili się tym łupieżce. Czasu swojego zdam sprawę z tego, co się działo, aby na jaw wyszło wszystko. Trzymam to o panach senatorach, że i tego, co ze mną uczyniono, i gwałtu, jaki się stał ostatniej woli królewskiej, nie pochwała.

Miała królowa przy sobie przygotowane już listy księdza Krasieńskiego i wojewody Firleja, które położyła przed posłami, żałując się na nie, iż bez należytego poszanowania pisane były i domagały się więcej, niż przystało. Słupecki listów tych kopie miał i nie potrzebując czytać, rzekł, iż tego samego, co one zawierały, i im się domagać kazano od królowej.

Anna przerwała mu, skarżąc się na to też, że jej do Knyszyna, do ciała brata nie dopuszczono, gdy je do Tykocina miano przeprowadzać. Sienieński złożył to na powietrze, na zamieszanie, jakie w pierwszych chwilach po zgonie Augusta panowało, i wszczęła się poufalsza rozmowa, w której Anna wszystko, co raz już zarzucała senatorom, utrzymać się starała, zwłaszcza co do testamentu brata, iż go nie poszanowano. A ponieważ testamentu tego miała wierzytelną kopię, w Warszawie sobie przez brata oddaną, wniosła, ażeby był odczytany. Słupecki i Sienieński nie sprzeciwili się temu i ksiądz biskup chełmski zasiadł do odczytania testamentu.

Zaledwie go jednak rozpoczął, gdy kapelan biskupa, Ruszczyk, zapukał do drzwi, chociaż rady nikomu nie wolno było przerywać. Z twarzy jego, gdy wszedł, dorozumiał się wielce już i bez tego utrapiony ksiądz Starożrebski, iż coś niedobrego przynosił. Szeptał mu coś do ucha. Posłowie czekali ciekawi, królowa też, gdy ksiądz biskup odezwał się pomieszany:

— Gastaldi przybył tu do Łomży!

Nie była już więc pora ani testament czytać dalej, ani z królową rozprawiać. Słupecki chwycił za kołpak i począł wołać, że go stąd natychmiast uprzątnąć potrzeba.

— Nie zapominajcie przecie — odezwała się Anna do niego — iż posłem cesarza jest, którego drażnić nie przystało. Spadnie to na panów senatorów, nie na mnie.

Biskup nieśmiało wyraził radę, żeby królowa odpowiedź cesarzowi na listy jego natychmiast dała Gastaldiemu i sama go odprawiła. Godzili się na to posłowie.

Królowa im przerwała.

— Posłem cesarskim jest Gastaldi, to prawda, ale się chował na dworze ojca mojego i niejako Polakiem przez to się mieni, więc mu pobytu w kraju zabronić nie można.

— Indigena¹⁴⁰ przez to nie został — odparł Słupecki — choćby na dworze naszym jak długo chleb jadł; a pod ten czas my cudzoziemców u siebie cierpieć nie możemy.

Wszczęły się tedy spory, jak Gastaldiego odprawić, co mówić z nim, jak się go pozbywać, do których królowa prawie się nie mieszając, to tylko sobie zastrzegała, aby od niej się żadna obelżywość cesarskiemu posłowi nie stała.

— A co ichmoście uczynicie — dokończyła, żegnając ich — to na ich odpowiedzialność niech spadnie.

Słupecki tedy i Sienieński natychmiast ruszyli szukać Gastaldiego, reszty zabywszy. Gdy już ksiądz biskup chełmski razem z nimi się oddalał, bo go z sobą mieć chcieli, Anna szepnęła mu, iż wiedzieć pragnie, jak się z Gastaldim sprawa zakończy.

Ze dwojga — panów posłów i królowej sądząc, łatwo potem rokować¹⁴¹ było, iż choć przybyli, aby Annie w jej położeniu swobody uszczuplić i przykrość uczynić, na końcu sami

¹⁴⁰ i n d i g e n a (łac.) — krajowiec

¹⁴¹ r o k o w a ć — wnosić, wnioskować

nie wiedzieli, co dalej poczynać, i nic nie zyskawszy, myśleli o odwrocie. Widział to i ksiądz biskup chełmski, który teraz coraz więcej brał stronę królewnej.

Do utrudnienia panom posłom ich zadania przyczynił się też i Gastaldi, który wcale im ustępować i zastraszyć się dać nie myślał. Stał przed nimi jako dbały o cześć własną człek rycerski i poseł cesarski, z godnością wielką i gotowością choćby gardło dać, a poczciwości obronić. W końcu żwawych rozpraw, jak opowiadał biskup, Gastaldi w istocie rękę na gardło położył i rzekł do Słupeckiego:

— Com powiedział, tego dokonać muszę, poczciwość moja w tym i gardło. Życie gotów jestem położyć raczej, niż się stąd ruszyć bez wiadomości cesarza.

I Sienieński, i Słupecki równie u królewnej, jak u niego mało co wskórawszy, uradzili wieczorem nie czekać dalej i nazajutrz wracać do senatorów z doniesieniem i listem królewnej, który wieczorem został przygotowany. Tak z wielkiej chmury deszczu było mało i Anna, co miała utracić na przybyciu posłów, zyskała utrzymawszy się przy swoim, a zjednawszy sobie biskupa chełmskiego. Zaledwie posłowie z Łomży wyruszyli, gdy zapobiegając wszystkiemu, co drażnić mogło, Anna posłała po Gastaldiego, prosząc go, aby się nie upierając dłużej, z listem, który mu dała do cesarza, nazad do niego powracał. Musiał się na to zgodzić tym łatwiej, że inni posłowie cesarscy znajdowali się, jawnie już tu przybywszy, i tymczasowo zatrzymali się w Dziekanowie pod Warszawą.

Po wyjeździe Słupeckiego królowa tym, że zwycięsko im czoło stawiała i nie dała się zastraszyć ani przekonać, przy swoim stojąc, zyskała na energii i postanowiła niezłomnie trwać przy tym, aby prawa jej poszanowane były. Do sypialni czasem powracając wprawdzie, gdy jej nikt nie widział oprócz Dosi, modląc się zapłakała, lecz gdy trzeba było do obcych, a szczególnie do niechętnych wyjść, nie brakło jej nigdy na mocy, na wymowie i na męskim prawdziwie charakterze. Cudem to prawie nazwać było można, co się z nią i w duszy jej działo. W oczach ludzkich rosła i potężniała. Ksiądz biskup chełmski patrzył na nią z poszanowaniem i szeptał, że to było sprawą Bożą.

Co się potem działo w Warszawie za powrotem posłów i jak senatorowie przyjęli sprawozdanie a list królewnej, opowiedzieć trudno. Inaczej jak popłochem nazwać tego nie było można, lecz strach łączył się z gniewem wielkim, z odgrózkami, z przemyślaniami nad tym, jak tę biedną królową, sierotę będącą na łasce narodu, zmusić do posłuszeństwa i poddania się.

Tymczasem zwołany był zjazd szlachty do Kask¹⁴², na który Anna wysłała listy od siebie, a w nich oświadczyła, wprawdzie domagając się zezwolenia, lecz razem stałe objawiając postanowienie przybycia na sejm do Warszawy! To dopełniło miary! Senatorowie strwożyli się mocniej jeszcze. Przybycie na sejm oznaczało zajęcie należnego stanowiska, pozyskanie ludzi, zdobycie wpływu na sprawę, którą kraj sam chciał rozstrzygnąć. Potrzeba więc było królową zatrwożyć, zagrozić jej, zmusić do posłuszeństwa. Radzono nad tym.

Sprawa Henryka i Francuzów dotąd mniej głośno, lecz daleko szczęśliwiej się zdawała rozwijać niż cesarska. Montluc zyskiwał z dniem każdym serca; Zborowscy potajemnie szerzyli propagandę, która szła tym lepiej, że i katolików zaspokajała, a po cichu mówiono, iż papież ją popierał. Wszystko tedy zdawało się iść jak najszybciej dla Francuzów, gdy jak piorun nadbiegła wieść o rzezi św. Bartłomieja¹⁴³. Na odgłos o niej, z Niemiec tu przyniesio-

¹⁴² K a s k i — miejscowość koło Rawy, miasta powiatowego w woj. warszawskim

¹⁴³ W nocy św. Bartłomieja, tj. z 24 na 25 sierpnia 1572 r., dokonano w Paryżu strasznej rzezi hugonotów (zob. przypis 78); zginęło wtedy około 2000 osób. Rzeź rozszerzyła się na całą Francję, ogółem wymordowano wtedy około 20 000 ludzi. Rzeź nastąpiła z inicjatywy

ny, wszyscy innowiercy na raz odpadli z oburzeniem i Montluc znalazł się opuszczonym. Sprawa się wydawała już przegrana.

Królewna odebrała o tym wiadomość w Łomży i poszła się zamknąć ze łzami swymi, aby nie okazać, jak ją okrutnie dotknęła.

W całym kraju jedno się powtarzało, iż nikt nie zechce kata zbroczonego krwią widzieć na tronie. Obwiniano nie tylko Karola IX, ale królową matkę i księcia andegaweńskiego. Cesarz mógł się radować, gdyż najniebezpieczniejszy ze współzawodników zdawał się unicestwionym. Na zjazdach szlachty, wszędzie, gdziekolwiek doszły relacje o rzezi, a były i przesadzone, i namiętne, zaprzysięgano Francuza odpychać i nie dać się z nim odzywać nawet jego stronnikom.

Zborowscy też w początkach umilkli przybici; lecz nie darmo biskup Walencji był wysłanym do Polski, a jeden z najzdolniejszych owego czasu pisarzy¹⁴⁴ w pomoc mu był dodany. Zaczął od tego Montluc, iż napadających na niego o cierpliwość prosił, dopóki by z Francji nie odebrał wiadomości wiarogodnych. Zapewniał z uśmiechem, że przeczuwa potwarze i złośliwości, iż król i królowa matka oczyścić się potrafią z zarzutu mordowania własnych poddanych. Pibrac już przygotowywał swój list do Elwidiusa¹⁴⁵, pisano memoriały¹⁴⁶, mające wręczyć nadejść do Polski, w których dowiedzionym było, że król wcale winien się nie czuł. Owszem, okazał największą litość dla ranionego admirała Coligny¹⁴⁷, gdy się dowiedział, iż on i hugonoci na życie jego sprzysięgli się i tejże nocy na Luwr¹⁴⁸ napaść mieli. Musiał się więc król bronić i dozwolił Gwizjuszom¹⁴⁹ uprzedzić spiskowych. A potem — potem sam lud, ujmując się za pana swojego, oszalały dokonał reszty. Winnymi więc byli sami hugonoci, którzy na życie rodziny królewskiej czyhali. Wszystko to jasne było, jawne, dowiedzione jak na dłoni.

Tysiącami relacyj tych nowych o rzezi św. Bartłomieja rozsypano natychmiast w całej Polsce. Drukowano je w Niemczech i w Krakowie.

Montluc pokazywał słodko uśmiechnięty wizerunek Henryka, pytając, czy młodzieniec tak śliczny, tak łagodny posądzonym być mógł nawet o okrucieństwo.

— Oprócz tego owa rzeź — dodawał biskup Walencji — była w ustach niechętnych przesadzoną, powiększoną, padli tylko winni i zdrajcy¹⁵⁰.

Na gorętszych różnowiercach pisma Pibraca, opowiadania Montluca, szczegóły, które przynosili jedni za drugimi przybywający z Francji wysłańcy, nie czyniły zrazu wrażenia. Nie

królowej matki, Katarzyny de Medici, która wymogła zezwolenie na nią ze strony Karola IX. Król wziął czynny udział w rzezi, strzelając z zamku do hugonotów.

¹⁴⁴ Pisarzem owym był wymieniony zaraz niżej w powieści Guy du Faur seigneur de Pibrac (1529—1586), dyplomata francuski, który towarzyszył Henrykowi Walezemu w podróży do Polski. Pibrac napisał kilka dzieł historycznych, rozpraw i poematów (zob. przypis 145).

¹⁴⁵ Tytuł tego dzieła Pibraca brzmi: *Ornatissimi cuiusdam viri de rebus gallicis ad Stanislaum Elvidium epistola* (List wielce szanownego pewnego męża w sprawach francuskich do Stanisława Elwidiusza). Rzecz ta wyszła w Paryżu w r. 1573. Nazwisko Elwidiusza jest zmyślone.

¹⁴⁶ m e m o r i a ł y (z łac.) — pisma w sprawach publicznych, wykazujące stan jakiejś sprawy

¹⁴⁷ G a s p a r d C o l i g n y d e C h à t i l l o n — (1518—1672), waleczny admirał francuski, zginął zamordowany jako wybitny hugonota w czasie rzezi w noc św. Bartłomieja

¹⁴⁸ L u w r (L o u v r e) — pałac królów francuskich w Paryżu

¹⁴⁹ G w i z j u s z e (G u i s e) — książęca rodzina lotaryńska; Henryk Guise był jednym ze sprawców rzezi w noc św. Bartłomieja

¹⁵⁰ Przedstawienie przez Kraszewskiego roli Montluca w zatarciu złego wrażenia, które w Polsce wywołały wieści o rzezi w noc św. Bartłomieja, jest zgodne z historią.

wierzono im, wołano: Precz z Francuzem! Lecz tu, jak zawsze i wszędzie, tłumy się dały ciągnąć przywódcom, a Zborowski, przeciwko Firleja stojąc, gotów był raczej swoje różnowierstwo narazić, niż ustąpić mu i uznać się pobitym. Począł dowodzić, że od wszelkiego prześladowania różnowiercy się zabezpieczyć potrafią, przysięgę wymóc, prawo postanowić. Gwałtowne wrzenie z wolna łagodzić się i ostygąć zaczęło.

Królewna, oplakawszy zrazu pogrzeb swych tajemnych nadziei i marzeń, czekała niecierpliwie wieści z Francji. Przysłano i do Łomży owe listy Pibraca i mnogie inne objaśnienia, które w zupełnie nowym świetle ukazywały tę straszną rzeź nocy św. Bartłomieja. Król był do niej zmuszonym w obronie własnego życia, a lud — lud wszędzie jest okrutnym. Skłonna do uwierzenia wszystkiemu, co nadzieje jej żywić mogło, królewna z wdzięcznością Opatrzności przyjęła tę wiadomość pocieszającą. Zdawało się jej to prawdziwym, niewątpliwym. Chmurne czoło wypogodziło się znowu. Nie zwykła była ona nigdy odzywać się z własnym zdaniem; gdy mówiono o cesarskich i francuskich kandydatach, milczała i słuchała, lecz poznać mogli otaczający ją, że się radowała oczyszczeniem od zarzutów rodziny panującej we Francji.

Talwosz i Dosia, którzy usiłowali z twarzy jej czytać, aby odgadnąć myśli i wedle niej postępować, utwierdzili się w przekonaniu, że królewna sprzyjała Henrykowi. Litwin biegał, poszukując świstków i relacyj, które by uspokoić mogły.

Anna, nie mająca dotąd wprost od panów rad wiadomości o tym, co postanowić chcieli względem niej, wiedziała tylko przez pilno rozwiadującego się Talwosza, a po trosze i przez pozyskanego sobie biskupa chełmskiego, że się na nią groza i burza gotowały. Uprzedzano ją, że panowie nie tylko do Warszawy dozwolili jej nie chcą przybyć, ale myślą gdzieś dalej od granic, od stolic wyznaczyć rodzaj więzienia. Przebąkiwano o Łęczycy, o Krasnymstawie.

Gdy jej o tym napomknął ksiądz Starożrebski, nie spostrzegł najmniejszej zmiany w twarzy; odpowiedziała mu zimno, ale stanowczo:

— Nie pojadę tam, przeniosę się, gdy zechcę i gdzie zechcę. Gwałtu mi uczynić nie mogą, a ja do niewolniczego posłuszeństwa nie jestem obowiązana.

Starcie z panami rad zdawało się nieuchronne.

Siedziano w Łomży, ale Talwosz miał wydane rozkazy, aby do podróży, na wszelki wypadek, gotowość była zawsze. Ponieważ odgróзки i warczenie przeciw królewnie z Kask dochodziło, gdzie miano coś postanowić, aby wiedzieć, czemu się i jak opierać, Anna wyprawiła potajemnie Talwosza, języka potrzebując. Człowiek to był do wszystkiego, który zniknął i powracał cudownie, odbywał podróże z pośpiechem niesłychanym, docierał wszędzie, umiał się dowiedzieć tajemnic i nigdy z próżnymi nie wracał rękami. Królewna, którą wielu zawiodło; miała w nim nieograniczone zaufanie, a gdy Zagłobianka podjęła się pośrednictwa i zaniósła mu rozkazy, Anna pewną być mogła, iż pójdzie w ogień i w wodę.

Sprawił się i tym razem Talwosz żywo, a nie wrócił z niczym; ale złe przywiózł wiadomości, których przed Anną ukrywać nie było można. Wiedział on o tym, że chciała być o wszystkim zawiadomioną bez oszczędzania strapień, aby zawczasu do oporu przygotować się mogła. Talwosz ze smutkiem przyznać musiał, że się tak bardzo sierzono i odgrażano tam na królewnę, że postanowiono ją wysłać do Łęczycy lub Krasnegostawu, a do Tykocina wyprawić dla zagarnięcia skarbów, które testamentem do niej i do sióstr należały, o czym senatorowie słuchać nie chcieli.

Wszystkie te pogróżki i posądzania, że królewna z Gastaldim potajemnie i cesarzem miała jakieś układy, że samowolnie coś poczyniała — gdy Talwosz jej przyniósł — wysłuchała ich bardzo cierpliwie, jakby zawczasu przygotowana, podziękowała mu za gorliwość i odeszła, słowa nie rzekłszy, ale nie okazując, aby się tym zakłopotowała.

Talwosz nie śmiał powtórzyć Annie, co mu powiadano jako niepewne jeszcze, że senatorowie mieli żądać wydania kluczków od tykocińskich skarbów i że dla pilniejszego dozoru nad

osobą królowej wyznaczeni byli w Krasnymstawie oprócz biskupa chełmskiego pan Andrzej z Tęczyna, kasztelan bełski, a w Łęczycy Andrzej Dembowski, kasztelan sieradzki. Talwosz powiadał Dosi, że natychmiast chciano Annę z Łomży wyprawić.

Wszystko się to sprawdziło wkrótce i jednego dnia dano znać królownie, już na wszystko przygotowanej, że posłowie od panów senatorów, biskup kujawski Karnkowski¹⁵¹ i wojewoda łęczycki Jan z Bogusławic Sierakowski¹⁵², do Łomży zawitali. Pobiegł na spotkanie ich biskup chełmski. Wybór tych posłów wskazywał, że chciano powagą ich większy nacisk na wymagania położyć i zapobiec wszelkiemu ze strony królowej oporowi. Rozumem i dostojnością odznaczał się Karnkowski, nie ustępował mu Sierakowski, zręczniejszy i żywszy od niego.

Wiadomość o przyjeździe ich nie tylko że nie przstraszyła Anny, ale zdawała się jej wielce pożądaną. Biskupowi chełmskiemu dała wiedzieć natychmiast, że przyjmie biskupa i pana wojewodę, jak tylko odwiedzić ją zechcą. W kilka godzin też potem Karnkowski z wojewodą przyszliz powitać Annę, która przyjęła ich z wielkim majestatem, ale nader zimno i obojętnie.

Na zapytanie, z czymby do niej wysłani byli, biskup kujawski oświadczył naprzód tylko, że żądano, aby królowna z Łomży wyjechała natychmiast do Krasnegostawu lub do Łęczycy.

— Dlaczegoż po mnie tego wymagacie? — spytała zimno.

— Otwarcie powiem — przerwał Sierakowski — iż, niesłusznie pewnie, boją się panowie senatorowie, aby tu Litwa nie zabiegła i nie starała się skłonić Miłość Waszą do działania na zerwanie unii.

Anna uśmiechnęła się ironicznie i poruszyła ramionami.

— Posądzenie to dla mnie obelżywe jest — rzekła — ale ja przebaczyć muszę. Co się tyczy Krasnegostawu lub Łęczycy — dodała — stanowczo wam oświadczyć muszę, że ani do jednego, ani do drugiego mi wyznaczonego miejsca nie po—ja—dę. Tak, nie pojedę. Wybiorę się tam, gdzie mi się zda znajdować, bo niewolnicą uczynić się nie dam.

Wojewoda zbladł, biskup spuścił głowę, nie odezwali się już ani słowa. Sam ton, jakim wyrzeczone były wyrazy te przez Annę, nie pozostawiał wątpliwości, iż się skłonić nie da do posłuszeństwa bezwarunkowego. Uzbrojona była do walki z senatorami. Dnia tego biskup Karnkowski już nawet nie rozpoczynał nalegania i krótko zabawiwszy, pożegnał królownę. Powrócili do niej nazajutrz z wojewodą. Karnkowski na nowo oświadczył, iż z Łomży oddalić się Anna musi, bo panowie senatorowie mają wiadomość o tym, iż Litwa zmierza do zerwania unii i będzie się starała nakłonić ją ku sobie. Sama więc królowna dla spokoju własnego powinna była uniknąć nacisków, którym może by się oprzeć nie potrafiła. Nie przyznała się Anna, iż Chodkiewicz ją już kusił wyborem na w. księstwo, ale odpowiedziała zimno, że niesłusznie ją posądzano, jakoby bez rady panów mogła i chciała jakieś z Litwą czynić układy. Wtem wojewoda, chcąc od razu pozbyć się wszystkiego, co najcięższe mu było, dodał, że kazano im się domagać kluczków od skarbów tykocińskich, w których skrzyniach znajdowały się też przywileje koronne. Anna spojrzała z góry na niego.

— Pojedziemy więc razem do Tykocina — rzekła — i przy mnie otworzym skrzynie, aby szukać przywilejów, o których ja wiem tylko tyle, że ich tam nie ma!

¹⁵¹ S t a n i s ł a w K a r n k o w s k i — (1525—1603) kształcił się we Włoszech, następnie został kolejno kanonikiem gnieźnieńskim, sekretarzem w. kor., referendarzem, biskupem kujawskim (1567), wreszcie po śmierci Uchańskiego arcybiskupem gnieźnieńskim (1576); po ucieczce Henryka Walezego z Polski najdłużej bronił jego praw, następnie gorliwie popierał kandydaturę Stefana Batorego

¹⁵² J a n S i e r a k o w s k i — (1498—1589) był słynnym mówcą, w r. 1548 marszałkiem izby poselskiej; Zygmunt August mianował go kasztelanem kaliskim, następnie wojewodą łęczyckim

Sierakowski i Karnkowski zaniemieli, królowna siedziała naprzeciw nich majestatycznie, dumnie, po królewsku zbywając się natrętów. Biskupowi zrobiło się nad wyraz przykro, widział się w konieczności wytoczenia wojny ze słabą niewiastą, do której przygotowanym nie był. Niemylimu mu było stawić się nieprzyjacielem tej ostatniej gałęzi jagiellońskiego szczepu. Począł więc po chwili milczenia i namysłu z goryczą i żalem wywodzić, do jak wielu posług go Rzeczpospolita zażywała, jak je sprawiał zawsze ochotnie i szczęśliwie, jak i teraz z chęcią i wolą dobrą jechał tu do królowej dla porozumienia się bez sporu dla dobra obustronnego. Nie zbywało na wymowie biskupowi, a gdy raz rozpoczął, niełatwo się powstrzymać mógł, mówił więc długo, z uczuciem. Tłumaczył, dlaczego wyjazdu domagano się, gdyż przejęto listy Litwinów i wiadano o ich intrygach. Łatwo było się domyśleć, że odmówienie kluczków i wydania przywilejów, tak dobitne, strwożyło też księdza Karnkowskiego. Z niezmiernym zapalem, w uniesieniu zbytelnym może, przypuszczając, że zabiegi jakieś są na opanowanie gwałtowne tronu z pomocą i za wiedzą Anny, zawołał:

— Jako senator i jeden z rady koronnej obowiązany jestem Miłości Waszej oświadczyć uroczyście, że cudzoziemcy na próżno tu przebywają w Polsce i różne starania czynią; ani W. Kr. Mość, ani nikt w świecie tego nie dokona, aby nam przeciw woli naszej pana narzucił. Pierwej ciała i szaty nasze krwią się opłuczą, niż my tego dopuścimy!

Uniósł się jeszcze więcej biskup i nierozważnie dodał:

— O tym W. Kr. Mość myśl i my się o to starać będziemy, co jest z wolą Bożą zgodą powszechną, ale tego nie dokażesz ani praktykami, ani dumą swą i zginiesz... z żałością to mówię i z płaczem.

Królowna słuchała blada i poważna, a Karnkowski, raz za daleko się posunąwszy, nie wiedział teraz, jak złagodzić wrażenie swych gróźb; mówił więc ciągle, nie mogąc poprzestać, o przejętych skryptach, o praktykach tajemnych, o tych, których Anna do pomocy używała... i skonkludował, iż w Łomży dłużej pozostać nie mogła.

— Słuchaj W. Kr. Miłość nas, zaufaj nam — mówił — Bogu na chwałę, a sobie i nam na pożytek. Miejsce tu ku mieszkaniu niebezpieczne jest, obrony nie masz, zawarcia żadnego, ludzi około Miłości Waszej niewiele. Obcy przybiegają, wciskają się, stąd niebezpieczeństwo i podejrzenia, i złe mowy. Księżę lignicki¹⁵³ przejeżdża się po kraju, księżę pruski pomoc cesarzowi obiecuje.

Powtórzył wreszcie biskup wymagania wyjazdu i wydania przywilejów koronnych z Tykocina. Zdało się jemu i wojewodzie, że wymową tą, zakłęciami, groźbami pokonał Annę, lecz okazało się, że trwała niewzruszona przy swoim. Na próżno zeszło godzin kilka i posłowie, nic nie dokonawszy, odejść musieli. Dostało się tedy księdzu biskupowi chełmskiemu, a potem ochmistrzowi Konieckiemu za to, że musieli dopuszczać do Anny ludzi, którzy ją podburzali, utrzymywali w oporze, bo nie mogli przypuścić, aby tę siłę charakteru sama z siebie brała. Wygadał się z tym Karnkowski przed ochmistrzem, który Bogu ducha był winien, że Litwa jakoby chciała się pozbyć Anny, osadzając ją na księstwie Baru we Włoszech, a Korona lepiej o niej myślała.

Trwało parę dni naleganie i stateczny opór królowej, która oświadczyła ponownie, iż ani do Krasnegostawu, ani do Łęczycy nie myśli i nie pojedzie, choćby dlatego, iż potrzeba było przebywać w podróży zapowietrzzone jawnie okolice. Zgadzała się zaś na to, aby w bliskości Warszawy osiąść tym czasowo w Piasecznie, choć tam odpowiedniego pomieszczenia spodziewać się nie mogła.

Biskup i wojewoda, którym jadąc zdało się, że z jedną osieroconą niewiastą łącznie trafią do końca, pracowali nadaremnie kilka dni i musieli się uznać pokonanymi. Miała tę wyższość osobiwą nad wymownym biskupem Anna, że mówiła i odpowiadała spokojnie, bez namiet-

¹⁵³ k s i ą ż ę l i g n i c k i — mowa tu o Henryku (z rodu Piastów), księciu lignickim, który zabiegał o tron polski nie dla siebie, lecz dla brata swego Fryderyka

ności, bez gniewu, nie unosząc się, ale nie dając się złamać. Nie brała za złe Karnkowskiemu jego występów gwałtownych, odzywała się, jak przystało do duchownego, z pokorą, łagodnie, lecz nie ustępując ani na włos z tego, co postanowiła. Biskup i wojewoda zgodzili się, radzi nieradzi, na Piaseczno. Było to jedno, co zyskali u królowej, i wyjeżdżając musieli powiedzieć sobie, iż powracali tak jak z niczym. Jagiellonka odniosła zwycięstwo, choć radości zbytniej z tego nie okazywała.

Miała wiele innych powodów do trosk i smutku. Ta Litwa, którą posądzano, iż w spisku z nią była, odgrażała się, że wcale testamentu króla uznawać nie chce i nie myśli, że jego spadkobiercami nie rodzeństwo, ale kraj być powinien. Panowie koronni, równie łaknący grosza dla opróżnionego skarbu, gotowi byli na wspólnie z Litwinami przystąpić do podziału. Zgodzono się obejrzyć i sprawdzić, co i jak się tam w Tykocinie znajdowało.

Wiemy już z opowiadania tego, iż król powierzył straż skarbów tykocińskich rotmistrzowi Bielińskiemu, którego wierności ufał, a kazał mu powiedzieć i wymógł na to przysięgę, że kluczków nikomu nie da ani przystępu oprócz królowej Anny. Gdy do Łomży doszła wiadomość, że się Litwini i panowie koronni wybierali do Tykocina, pobiegł zaraz Talwosz rotmistrza Bielińskiego od królowej zakłąć, iżby zaufania w nim położonego nie zawiódł.

Poselstwo to wcale nie było potrzebnym. Gdy Talwosz nadbiegł, już po wszystkim znalazł, a Bielińskiego tak spokojnego, jakby wcale mu nic nie zagrażało. Stary wojak był jednym z tych ludzi, którym ani wojewodowie, kasztelanowie, ani biskupi powagą swą senatorską imponować nie mogli. Cześć swą i słowo rycerskie stawiał tak wysoko, iż za nie gotów był dać życie. Z zimną krwią zdał relację Talwoszowi, iż w istocie z Litwy wyznaczeni starosta żmudzki¹⁵⁴ i Wojna, pisarz litewski, wraz z wojewodą sandomierskim¹⁵⁵ i kasztelanem gnieźnieńskim¹⁵⁶ przyjechali byli do Tykocina w zamiarze opatrywania owych skarbów. Tym zaraz na wstępie bez ogródki oświadczył Bieliński:

— Obejrzyjcie waszmościowie, czy jest należyty porządek około ciała królewskiego i około sklepów¹⁵⁷ opieczętowanych, ale nie żądajcie ode mnie, abym złamał słowo. Jestem człowiekiem sędziwym i rycerskim, nieboszczykowi królowi przysięgałem. a prędzej życie stracę, niż przysięgę moją naruszę.

Panowie tedy zażądali, aby on i wszyscy na zamku w Tykocinie nową przysięgę złożyli Koronie i Litwie — Bieliński się oparł. Poswarek się stał i zamieszanie z tego powodu, rotmistrz stał przy swoim nieporuszony. Grożono mu pozwaniem do Warszawy, nie pomogło i to. Gwałtu popełnić nie ośmielono się i sklepy zostały nienaruszone. Talwosz przywiózł pocieszającą tę nowinę w chwili, gdy już się wybierano do Piaseczna.

W ten sposób królowna szczęśliwie się przy swym utrzymała i miała się zbliżyć do Warszawy, do której chciała się dostać, choćby to panom senatorom nie bardzo miłym być miało. Wśród zimy, po najgorszych drogach, z niewygodami wielkimi puściła się królowna w tę podróż, do której była na pozór zmuszoną, a w istocie odpowiadała ona jej życzeniom, zbliżała ją do miejsca, gdzie zjazdy odbywać się miały, i czynną być mogła.

Dotąd wiodło się wszystko, choć zdobywać musiała przebojem stanowisko, które zająć potrzebowała. Od śmierci króla owa sierota bezsilna już doszła do tego, iż straszną się stała i swoją wolę mieć mogła. Panowie musieli się z nią rachować.

Co się tam działo w duszy jej, jak potrafiła utrzymać się na zdobytym stanowisku, nie mając pomocników oprócz maluczkich sług wiernych, jeden Bóg wiedział.

¹⁵⁴ s t a r o s t a ż m u d z k i — tj. Jan Chodkiewicz (zob. przypis 82)

¹⁵⁵ w o j e w o d a s a n d o m i e r s k i — tj. Piotr Zborowski (zob. przypis 130)

¹⁵⁶ k a s z t e l a n g n i e ż n i e ń s k i — mowa o Janie Tomickim; był on następnie członkiem poselstwa, które z aktem elekcji Henryka Walezego udało się do Paryża

¹⁵⁷ s k l e p y — lochy, piwnice

Widząc ją tak śmiało kroczącą coraz dalej, nie dającą się zastraszyć ani zbić z raz wyznaczonej drogi, panowie nie pojmowali, aby tę siłę w sobie samej czerpała; roilo się im, że była w zмовie z cesarzem i że im chciała pana narzucić, nie dopuszczając elekcji. Więc poprzysięgano się, zaklinano się, że nie dozwolą, aby im panował, kogo sami nie wybiorą. Ponieważ ani głupawego Konieckiego ochmistrza niepodobna było posądzać o posiłkowanie królownie do tych urojonych spisków, ani biskupa chełmskiego, ani Czarnkowskiego, który za sobą zacierał tropy, na Talwosza się zwrócili oczy, jemu przypisywano wszystko: opór, konszachty potajemne. Żądano od Anny, aby go oddaliła. Królowna w chwili wielkiego zburzenia umysłów sama nie wiedziała co począć i potajemnie kazała Litwina przywołać, który już o wszystkim wiedział. Nic mu to nie zachmurzyło czoła, choć ode dworu królownej odejść nie-rad był dla Dosi.

— Co ja pocznę, Talwoszu mój — odezwiała się do niego Anna, wzdychając — oczy mi tobą wykałają.

— Jeżeli W. Kr. Miłość dla mnie mizernego służki swojego cierpieć masz — rzekł Talwosz kłaniając się — proszę usilnie, rozkażcie mi precz iść, ja niemniej gorliwie służyć będę.

Łza się zakręciła królownie w oczach.

— Uspokoić potrzeba panów senatorów — dodała — ale się nie oddalajcie z Warszawy. Da—li Bóg, ja wierne służby nagrodzę.

Jaka nagroda najmiłszą mu była, nie powiedział Talwosz, odszedł na wszystko gotowy. Nazajutrz Anna przy biskupie chełmskim przywołać go kazała i oświadczyła, że dla spokoju i nalegania panów żąda, aby od niej odjechał.

— Stanie się po woli Miłości Waszej — odpowiedział kłaniając się Litwin — dziękuję za wszystkie łaski, jakich doświadczyłem, i odchodzę życząc tylko, aby Miłości Waszej drudzy równie wiernie jak ja służyli.

Urzędownie tedy Talwosz został odprawiony. Wesoło jednak poszedł do towarzysza Boboli.

— A co, druhu miły! — rzekł. — Mnie kazano precz! Wyście szczęśliwi, że panowie senatorowie was w posądzeniu nie mieli i zostajecie.

Bobola uszom nie dowierzał. Zdawało się nie tylko jemu, ale nawet Konieckiemu, Żalińskiej nawet, która go nie lubiła, niepodobieństwem, ażeby się na dworze bez Talwosza obejść mogli. Teraz dopiero okazało się, jaką on tu niepokązną, cichą a czynną był wszystkiego sprężyną. Nigdy z tego chluby nie szukał, nie wynosił się, łaskami nie chwalił, wpływem nie nadymał, ale wszędzie go było pełno, każdemu dobrą radę dał, karku chętnie nastawił, a gdy niejasno w czym było, on najlepiej dojrzał drogi. Dla królownej był to służka nieopłacony, nieoszacowany, ale wyrzekając się go, wiedziała, że nie straci.

Z dobrą miną tegoż dnia przyszedł Talwosz na pożegnanie do dobrego, łagodnego księdza biskupa chełmskiego, który go też lubił i miał tęsknić po nim.

— Przyszedłem najprzewielebniejszego ojca pożegnać — rzekł, całując w rękę — pędzą mnie stąd, nie ma rady. Kiedy już Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie być ma przez Talwosza, trzeba ją ratować! Więc choćby głową w przerebłę.

Biskup stał zafrasowany.

— Kochanku — rzekł — wierzaj mnie, jam temu nie winien nic. Ochmistrzowi Konieckiemu byłeś solą w oku, ten na ciebie zrzucił wszystko.

Śmiał się Talwosz.

— Gdy ja pójde precz — rzekł — nic przeto on więcej tu znaczyć będzie.

Ksiądz biskup westchnął powtórnie.

— Dokądże ty? Na Litwę? — spytał.

— Bóg jeden wiedzieć raczy — odparł Talwosz. — Człowiek czasem, swobodę odzyskawszy, nie wie, co z nią robić, tak i ja. Na wsi mi się nie chce siedzieć. Siła jest panów, do

których dworów człowiek się zda, ale nie do każdego rad pociągnie. Czas jakiś pewnie zostanie w Warszawie.

Pobłogosławił go ksiądz Wojciech i tak się rozstali.

Koniecki ochmistrz, gdy z nim przyszło się żegnać, z kolei poprzysięgał, iż on wcale przyczyną nie był odprawy, że złe języki mogły to składać na niego, ale się czuł niewinnym.

— Albo ja miłość waszą winuję? — odezwał się Talwosz. — Boże mnie uchwaj! Przyszedłem tylko z przestrogą, że co dziś mnie, jutro może miłość waszą spotkać. Nie stanie Talwosza, a zrobi się co nie po myśli, zrzuca teraz na ochmistrza.

Zasepił się Koniecki, ale nadto ufał wysokiemu urzędowi. swojemu, ażeby się uląkł bardzo. Nosił się z godnością tą, pewien będąc, że nawet złe języki dosięgnąć nie mogły wyżyny, na której się znajdował.

Żalińska gderliwa tym czulszą chciała się okazać dla Talwosza, im się w duszy cieszyła więcej z tego, że się go pozbędzie. Miała nadzieję, że syn jej skorzysta z tego i zbliży się swobodniej do Zagłobianki, która patrzeć nań nie chciała.

Najcięższe było pożegnanie z Dosią. Talwosz nie mógł dotąd zbadać dziewczęcia i na przemiany to nadziejami najśłodszymi się łudził, to rozpaczał. Dosi ani on, ani nikt w świecie zrozumieć nie mógł. Dumna, zimna, szydersko obchodziła się ze wszystkimi mężczyznami tak, jakby z nich żadnego siebie godnym nie uznawała. Spotykało to Talwosza, co innych. Czasami słuchała go cierpliwiej, okazywała przyjacielską, ale zaledwie z tego zapragnął skorzystać, aby się zbliżyć i spoufalić, natychmiast oblekała się dumą i stawiała nieprzystępną. O miłości ani mówić nie dozwalała... Talwosz, zamożny po rodzicach szlachcic, pięknego imienia, był dla niej pożądanym mężem, ale o wyjściu za mąż słuchać nie chciała.

Korzystając z tego, iż pożegnać ją miał, Litwin postanowił raz jeszcze spróbować rozmówić się z nią stanowczo.

Dosia, która pierwsza wiedziała tu wszystko, tak iż powiedzieć było można, iż myśli królowej odgadywała, o odprawie. Talwosza była uwiadomioną wcześniej. Nie zdziwiła się, gdy wypatrzwszy chwilę, samą ją w komorze królowej zastał i oświadczył, że przyszedł z pożegnaniem. Zagłobianka, która około krosien jakichś zajęta była, rzuciła je i podeszła ku niemu.

— Panno Doroto — odezwał się Talwosz — serce mi się kraje. Mało mi nieraz było raz lub dwa widzieć ją we dnie, a teraz Bóg wie, czy raz w tydzień mnie to szczęście spotka.

A gdy Dosia milczała, dodał:

— Niechże choć przy tym rozstaniu wolno mi będzie raz jeszcze powtórzyć, żem ja sługą jej wiernym do grobowej deski, a siebie i co mam u nóg waszych składam.

Zagłobianka się cofnęła, twarzyczka jej zbladła i brwi się ściągnęły.

— Dalibyście pokój temu — odpowiedziała. — Wszyscy wy mężczyźni, gdy się liczko podoba, toż samo oświadczenie i mówicie... ano na łodzie nie budować.

— Jam tedy niewart więcej niż drudzy w oczach waszych, panno Doroto? — zapytał smutnie Talwosz.

— Nie mniej nad innych, ale pono i nie więcej — powtórzyła Zagłobianka. — Albo waszmość znasz sam siebie? Ja to tylko wiem, że pókim młoda a krasa trochę jest, ona za wszystko płaci, nie stanie jej, pocznie się wypominanie, żem ani mienia, ni imienia nie przyniosła, a ja na to się narażać nie chcę i za mąż iść nie myślę.

Talwosz głową zawahał.

— Mnie się zda, że gdzie wielka miłość jest, tam ani imienia, ani mienia nie potrzeba.

— Tak to się waszmosci zda — rozśmiała się z przymusem Dosia — a nie dosyć was, rodzinę macie, ojca, matkę, braci, siostry, powinowatych, ci oczy sierocie by wykałali. Proszę więc, nie mówmy o tym.

— Jeżeli drugim tak samo jak mnie odpowiadać będziecie — odezwał się Talwosz — gotówem czekać, aż się o wiernej miłości mej przekonacie.

Zaglobianka zwróciła rozmowę.

— Więc was odprawiono — rzekła — ale wy się odprawiać od królowej nie powinniście.

— Ani też myślę — odparł Talwosz. — Zostanę w Warszawie. Z Piaseczna niedaleko do mnie będzie, gdybym się miał zdać na co. Zresztą widzi mi się, że i królowa rychło do Warszawy się przeniesie. Gdybyście mnie na co potrzebowali — dodał w końcu — każcie szukać w gospodzie Pod Białym Koniem u Barwinka, za Krakowską Bramą.

Ponieważ Zaglobianka nie odchodziła, wniósł Talwosz, że mu ma jeszcze coś do powiedzenia; czekał rad, iż się rozmowa przedłużyła. Dosia cichym głosem poczęła:

— Nieprawdaż? Mnie się zdaje, że choć panowie senatorowie naszą panią posądzają o to, iż z cesarzem jest w potajemnej zмовie i z nim spiskuje, myślą się bardzo. Więcej ona sprzyja Francuzowi.

Talwosz głową dał znak potwierdzający.

— Najlepszym dowodem tego było — dodała Dosia — gdy wiadomości nadeszły o tej rzezi okrutnej; zgryzła się tak, że po całych dniach słowa od niej dopytać nie było można. A potem, jak począł biskup Walencji rozsyłać pisma, które oczyszczały króla i królowę, naczyć się ich nie mogła. Kazała mi sobie po nocach raz i drugi odczytywać i tłumaczyć.

Spojrzała na Talwosza.

— Jam też domyślił się, że z cesarzem nasza pani dlatego tylko umyślnie zdawała się na dobrej stopie, aby strachu senatorom napędzić i nie dopuścić lekceważenia.

— No to powinniście, jeżeli tak mniemacie — wtrąciła Dosia — powinniście wiedzieć, co czynić. Królowa znaku nie da, ażeby Francuza popierano, bo się wstydzi, ale przyjaciele jej, odgadłszy myśl, starać się powinni podług niej się sprawiać.

— Ani słowa — odparł Talwosz — tylko tacy przyjaciele a słudzy, jak ja, niewiele mogą.

— Nieprawda — przerwała Dosia gorąco — kto chce, ten może wiele, a mali ludzie czasem nieznacznie sprawy wielkie popierają skutecznie, tyle tylko, że potem ich robota na cudzy idzie rachunek.

— A ja się też chwalić i korzyści z niej dla siebie ciągnąć nie myślę — odpowiedział Talwosz. — Byle naszej pani usłużyć, zapłaty ani chwalby z tego nie szukam.

— Bóg wam to nagrodi — dodała Dosia uprzejmie. — Wiecie więc, co czynić... róbcie.

— Nie omieszkać — rzekł, kłaniając się zabierającej do odejścia, Talwosz. — Pozwolicie, abym gdy potrzeba się okaże, zgłosił się do was?

— Czemuż nie? — cicho szepnęło dziewczę. — Ale o tym zapominać nie trzeba, że ludzie mnie i was będą szpiegowali. Ostrożnym musisz być. Bóg z wami.

Talwosz skłonił się raz jeszcze.

— A, jak wy, panno Doroto, nielitościwi jesteście! Położyła palec na ustach piękna Zaglobianka, twarz jej posmutniała.

— Ani słowa! I odeszła żywo.

Królowna mieszkała w Piasecznie. Ze wszystkich tych pustych zamków i dworów, które dotąd od śmierci brata zajmowała czasowo, dwór tutejszy najnędzniejszym był. Królowna musiała zajmować izby nie opatrzone, zimne, wiejące, w których pieców brakło, ław i stołów, a nie wszędzie tokowisko¹⁵⁸ zastępowały podłogi. Dla niej i dla kilku osób ze dworu jako tako pozatykano ściany i okna, ale reszta służby gorzej niż na obozowisku cierpiała, a zima była ostra. Żaden z tych panów senatorów, którzy ją tu siedzieć zmuszali, nie byłby wytrzymał w takiej obrzydłej dziurze. Królowna znosiła, nie uskarżając się, a gdy Żalińska i Zaglobianka lub Koniecki poczynali pisać, zamykała im usta. Miała w tym myśl jakąś. Właśnie to

¹⁵⁸ t o k o w i s k o — klepisko, ziemia ubita

nędzne pomieszczenie posłużyć jej najlepiej mogło dla wytłumaczenia przeniesienia się do Warszawy. Nie pytając o pozwolenie, już razy kilka z Piaseczna jeździła do miasta, zatrzymywała się tu po dniu i więcej. Za każdym razem przyjazd jej popłoch obudzał, lecz w końcu ludzie się z tym oswoili, a królowna obracała się swobodnie. Dosia spostrzegła, iż miała wielką ochotę przenieść się stale na zamek, ale się jeszcze wahała, jakby sposobnej wyczekując chwili. Nie zwierzała się ze swych zamiarów nikomu.

Sprawami cesarskich posłów i innymi, o które ją posądzano, że się nimi porała, nie zdawała się bynajmniej zajmować. Cała jej troska i staranie zwrócone było na most na Wiśle pod Warszawą. Było to wielkie, ulubione dzieło Zygmunta Augusta, które on rozpoczął z gorącym pragnieniem widzenia jeszcze za żywota ukończonym. Leżało mu ono na sercu dopytywał o nie na śmiertelnym łożu, dawał na to pieniądze ze swej szkatuły, a powierzwszy dokonanie staroście warszawskiemu Wolskiemu, do ostatniej godziny troszczył się o nie. Na owe czasy było to dzieło trudne, kosztowne, wielkie. Most ten, który był jakoby wcieleniem idei unii dwóch narodów, mający połączyć dwie połowy Rzeczypospolitej i ułatwić wymianę ludzi i zasobów, rozpoczęty został jeszcze w roku 1568, 25 czerwca, gdy pierwszy pał pod niego wbito. Król okupił dwoma wioskami, Przekorą i Dobrą Wolą prawo przewozu od Jeżowskich, spłacił dzierżawcę przewozów Erazma z Zakroczymia i jemu powierzył budowę stałego mostu, który miał się oprzeć i wylewom, i lodom, łącząc stale dwa brzegi. Kilkadziesiąt ogromnych baszt drewnianych, z prastarych, niezmiernej grubości belek wznoszonych, miało go bronić rozbijając kry i lody. Drzewo spuszczano z królewskich lasów, z Korony i Litwy; nieustannie pracowali nad nim cieśle w wielkiej liczbie i budowa, mająca 1150 kroków długości, już bliską była dokończenia. Starosta Wolski przejął gorąco myśl króla i dokończenie przyspieszał, a Anna się nią zajmowała tak pilnie, iż za każdą wycieczką do Warszawy jeździła na miejsce, kazała sobie pokazywać, ile roboty postąpiły, zagrzewała do nich, na ostatek ze swych bardzo szczupłych zapasów pieniądze dawała na opłatę robotnika. Wolski, który najlepiej wiedział, że królownie o pieniądze było trudno, bo z Tykocina nic jej nie dawano wziąć dotąd oprócz pary srebrnych lichtarzy, nierad przyjmował, zmuszała go przecież Anna, aby dokonanie mostu przyspieszyć.

Wiadomym było, że tu się Litwa i Korona dla narad nad przyszłym wyborem króla zjechać miały.

Starosta warszawski rad też był temu, aby wiekopomne owe dzieło doprowadzić do skutku, a królowna jeszcze animuszu mu dodawała. Ze swymi basztami już teraz prawie gotowymi, most oparty na niezmiernej grubości palach, związanych z takich belek, jakich dziś już nasze lasy nie mają, ukrzepiony mnogimi klamrami żelaznymi, które go spajały, przedstawiał widok wspaniały. Królowna dla pamięci brata była nim dumną, cieszyła się i patrząc nań, płakała. Wolski pysznił się też, że jemu danym było ostatnią rękę przyłożyć do budowy jedynej wówczas w kraju. Za każdą podróżą do Warszawy jechała Anna na brzeg w towarzystwie starosty, kazała sobie ukazywać wszystko i nagliła o wykończenie.

Podróże te w porę zimową, na którą nie zważała królowna, a bardziej podobno pobyt w Piasecznie, gdzie nocami woda w pokojach zamarzała, wilgotno było i niewygodnie, poczynił już na zdrowie wpływać. Anna była cierpiąca na ból głowy, oczów i miewała gorączkę często, ale nie zważała na nią wcale. Czas było nareście z Piaseczna mimo panów senatorów przenieść się do Warszawy, choć przewidzieć było łatwo, jaką to wrzawę wywoła.

Panowie senatorowie jeszcze się byli po długich naradach nie rozjechali z Warszawy, gdy w piątek przed zapustami (23 stycznia), wcale się nie oznajmiwszy im, nie pytając o pozwolenie, królowna z całym dworem i taborem w biały dzień wprost zajechała na zamek. Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie. Był jeszcze w Warszawie prymas Uchański, biskupów siła, był Firlej, marszałek koronny, i inni senatorowie świeccy. Zmiarkowali oni, że zamiast walkę rozpoczynać, która się dotąd nie wiodła, należało królownę przyjąć ze czcią jej

należną. Pospieszył więc Uchański, okazując wielkie poszanowanie dla krwi królewskiej, Firlej, biskupi i świeccy panowie na powitanie uroczyste.

Królewna wyszła bynajmniej nieustraszona, z pogodną twarzą i wszystko się odbyło jak najuroczyściej, najspokojniej, bez wymówek, bez żalów. Witał prymas, przemawiał wojewoda krakowski, dziękowała sama Anna, odzywali się inni z wiernością swą i przywiązaniem dla rodu królewskiego. Nikt nie śmiał ani spytać Anny, jak się ważyła na krok tak samowolny, ani jej wyrzucał, iż lekceważyła radę. Królewna w kilku słowach napomknęła o tym, jak pobyt w Piasecznie był niemożliwym.

Rozgospodarowano się więc na zamku na dobre, widocznie już nie myśląc stąd dać się wyrugować. Koniecki, który teraz sam jako ochmistrz na zamku rozkazywał, nabrał jeszcze większej powagi i pewności siebie.

Działo się to w piątek. Ponieważ Uchański i Firlej już na wyjeździe byli i pośpieszyli z powitaniem, nie mogli wszystkim oznajmić o tym i wielu się do nich przyłączyć nie mogło. Litwini, którzy po odrzuceniu przez Annę ich ofiar, do rozerwania unii dążących, najnieprzyjaźniejsi się dla niej okazywali, godzili na testament króla i na prawa Anny, nie pokazali się dnia tego. Nie przyszedł też przeciwnik Firleja Zborowski, może dlatego, iż z nim razem nie chciał się tu znajdować. Dotąd stawał on także dosyć nieprzyjaźnie względem królewnej.

W sobotę potem zdziwiła się ona wielce, gdy z rana Koniecki jej przyszedł oznajmić, iż pan wojewoda sandomierski o posłuchanie prosił. Nie zawahała się ani na chwilę z przyjęciem tego, który się głosił jej nieprzyjacielem.

Wielki a dumny pan, Zborowski, różnił się od tych ówczesnych czynnych w Rzeczpospolitej magnatów, jak Firlej, którzy z myślami i zamiarami swymi ukrywać się starali nie zrécznie i sądzili, że świat oszukają. Zborowski, większy frant od nich, mówił głośno, co myślał, udawał otwartego i namiętnego, krzyczał i unosił się, chociaż przy tym wszystkim doskonale pamiętał, z czym się mógł wydać, a co miał utaić. Z nim i sprawa, i rozmowa szła inaczej, nie politykował on jak Uchański, nie kłaniał się jak Firlej, rubaszenie tłumaczył, chciał, aby mniemano, że nic do ukrywania nie miał. W istocie obok przebiegłości wielkiej temperament gwałtowny nie dozwalał mu całkiem się powściągać. Puszczając więc wodze sobie, mówił wiele, obchodził się z ludźmi rzeško.

Królewna Anna po wczorajszym powitaniu prymasa i wojewody nie wiedziała, czego się ma spodziewać od Zborowskiego, który się nie tał z tym dawniej, że przeciw niej godził. Wyszła naprzeciw niego z małym dworem, przywołał kazawszy biskupa chełmskiego. Zdumienie było wielkie, gdy wojewoda, zobaczywszy ją wychodzącą, bardzo grzecznie, uprzejmie i z poszanowaniem należnym zaczął witać nie tylko imieniem swym, ale i innych panów, którzy przybyć tu nie mogli. Co więcej, ofiarował jej pokorne służby swe, przypominając, jako przodkowie jego wiele z łaski Jagiellonów dobrodziejstw otrzymali. Nie przepominał i ubolewania nad tym, co królewna za życia i po śmierci brata ucierpiała, obiecując na przyszłość pomoc czynną i opiekę, itp.

Mowa Zborowskiego była tak niespodziewaną, a tak pocieszającą, że na królewnie uczyniła wrażenie jakiegoś cudu. Rozjaśniło się jej oblicze. Zbliżyła się, dziękując wojewodzie z wyrazem takiego przejęcia i rozrzewnienia, że Zborowski poruszył się więcej jeszcze. wymieniono słów kilka uprzejmych i Anna uczuła się zniewoloną pana wojewodę prosić, aby z nią obiadował przyszedł. Zborowski przyjął wezwanie ochoczo.

Jaką myśl miała Anna rozkazawszy Konieckiemu do stołu swojego zaprosić jawnie sobie też nieprzyjanych Litwinów, Ostafiego Wołowicza¹⁵⁹ i Pawła Paca¹⁶⁰, trudno było księdzu

¹⁵⁹ E u s t a c h y (O s t a f i e j) W o ł ł o w i c z — w r. 1573 był kasztelanem trockim; za życia Zygmunta Augusta cieszył się tegoż zaufaniem, król używał go do załatwiania najważniejszych zleceń; w r. 1579 został kanclerzem w. litewskim i kasztelanem wileńskim; zm. w r. 1584

biskupowi chełmskiemu zgadnąć. On i pan Zygmunt Wolski mieli się także u stołu znajdować.

Tak owa prześladowana, pędzana z miejsca na miejsce córka królewska, która miała pod ścisłym dozorem siedzieć w Łęczycy lub Krasnymstawie — teraz, dzięki energii swej i silnej woli, przyjmowała na zamku królewskim nieprzyjaciół, którzy się jej kłaniali nisko i oświadczali z pomocą i służbami wiernymi.

W Zborowskim domyślać się można już naówczas powziętej myśli użycia Anny w pomoc do elekcji Henryka. Mówiło mu coś, że cesarzowi nie była tak oddaną, jak głoszą. Być może, iż oznakę jakąś uchwycił i nie omieszkął z tego korzystać.

Zeszli się wszyscy na obiad tak dobrej myśli, tak pokorni i ochotni, że przy stole rozmowa żartobliwy i wesoły obrót wzięła.

Zborowski miał to w naturze swojej, iż mówił niby otwarcie, co myślał, śmiało, chociaż nigdy nadto się nie zdradził. Królowa, znając to, iż ludzie przy kieliszkach radzi się otwórzyszymi stają, nalewać kazała, a Koniecki do picia zapraszał i nagił, czego pan wojewoda nie potrzebował zresztą, bo pił zwykle dużo i wcale go obecność królowej nie hamowała. Usta mu się czy pozornie, czy rzeczywiście szeroko bardzo rozwiązały. Przyszło do tego, że śmiejąc się wyznał przed Anną, iż pogłoski chodziły, jakoby ona zamiar miała struć kazać księdza Krasińskiego, biskupa krakowskiego. Firleja i jego. Mówił to w sposób żartobliwy niby, lecz powtarzał, co wieść roznosiła przez tych szerzona, którzy w Annie chcieli widzieć drugą Bonę.

— Wojewodo mój — odparła zimno a smutnie — na nic by się nie zdało do takich środków uciekać przeciwko wam, a Bóg mi świadek, iż nikomu, nawet nieprzyjaciółom źle nie życzę. Ludziom na rękę różnić nas, mnie czernić, aby w mętnej wodzie swą rybę łowić. Gdybyście lepiej mnie znali, śmielibyście się z tych potwarzy, a ja nimi gardzę. Zborowski podchwycił gorąco, iż on by się nie ważył powtarzać baśni złośliwych, gdyby do nich przywiązywał wagę. Królowa tedy, choć ciężko jej mówić było, dodała:

— Wierzcie mi, panie wojewodo, iż przed własnym interesem moim kraju tego dobro w sercu przoduje. Nie pragnę dla siebie nic, tylko co dla Rzeczypospolitej z korzyścią jest i sławą. Nie upominam się, jeno o to, coście wy sami sobie winni i godności waszej. Obwiniono mnie o jakieś spiski z cesarzem, o których nie myślałam nigdy, o chęć narzucenia wam pana, gdym ja nad sobą najcięższego ucisku doznawała.

Panowie litewscy, którzy przewidywali, iż się na rozerwanie unii zwrócić może królowa, nie chcieli dopuścić tego i przerwali zapewnieniami przywiązania do panów swoich. Zborowski, już dobrze napity czy też napitego udający, aby się tym szczerzym wydawał, począł, z kielichem przyklękając przed królową, przy czym go z dwu stron przytrzymywać musiano, poprzysięgać, iż na przyszłość w zgodzie z nią będą działali dla dobra wspólnego.

Dziękowała Anna, przyklaskiwali wszyscy. Zborowski kielich po kielichu wychylał, język mu się plątał, ale serca okazywał coraz więcej i tak obiad się skończył przy powszechnym rozrzewnieniu. Biskup chełmski, starowina, płakał także. Litwa, więcej milcząca, wtórowała tym wynurzeniom miłości i przywiązania dla królowej. Na klęczkach tedy ucałowywawszy podaną sobie rękę królowej, gdy ta z pokojów wyszła, bo czas było myśleć, jak Zborowskiemu odwrót zapewnić, Koniecki z Ryłskim musieli pod rękę go wziąć, aby ze wschodów prowadzić, gdyż chodzić już nie mógł. A że konia też dosiąść nie było o czym myśleć, kolebki zaś nie miał pogotowiu wojewoda, musiano go z zamku końmi królowej odesłać.

Wróciwszy do swojej sypialni Anna we łzach się rozlała. Wszystko wprawdzie obracało się na dobre — na pozór wychodziła zwycięsko, ale to były dopiero początki, a przyszłość stawiała się przed jej oczyma z całą swą grozą niepewności. Wspomnienie trucizny, potwarze te, które ją czyniły w oczach narodu poczwara jakąś, gotową nieprzyjaciół pozbywać się

¹⁶⁰ P a w e ł P a c był w r. 1573 kasztelanem witebskim

wszelkimi środkami, zabołały mocno. Musiała wejść w siebie, azali jej postępowanie nie usprawiedliwiała tych domysłów i przypuszczeń. Stała twardo przy prawach swych, ale one razem były prawami sióstr jej i krwi tej, które ona jedna tu reprezentowała. Nie mogła się dać zgnieść i usunąć, a zasłonić — nie dla siebie, ale dla krwi, jaka w jej żyłach płynęła.

W chwili tej wszelkie marzenia, jakie karmiła potajemnie w głębi duszy, rozwiały się i rozpierzchnęły. Nie szło jej już o siebie i szczęście własne, ale o pamięć przodków, o ich sławę i cześć. Każde słowo i myśl Zborowskiego rozpamiętywała i rozbierała badając, co się w nich kryło. Upojenie owo i mniemane wylanie się pana wojewody wcale jej nie uwodziło, czuła, że człowiek ten, choć się na nogach nie trzymał, na wodzy miał myśli swoje. Co znaczył ten nagły zwrot jego, czułość, wylanie się, obietnice?... Wiedziała, że Firlej potajemnie sprzyjał i prowadził cesarzewicza. Commendoni zaręczał, że Zborowski zgodnie z nim miał także prowadzić Ernesta.

Na te łzy weszła Zagłobianka i przyklękła przed panią swoją. Wiedziała już ona przez Ryłskiego, co się przy obiedzie działo, ale więcej też od innych. Z rana Talwosz przyszedł oznajmić jej, że z najbliższymi powiernikami Zborowskich zawarł ścisłe stosunki i wiedział na pewno, że wojewoda pozornie cesarzewicza zalecając, pilno się starał o pomożenie Francuzom, że sam słał do Francji, Montlucowi pieniędzmi pomagał i nawet wrazenie rzezi św. Bartłomieja zatrzeć się starał. Z tą wiadomością przybywszy, Dosia szepnęła ją Annie, aby postępowanie Zborowskiego wytłumaczyć. Nie godziło się jej okazywać, że potajemne życzenia pani swej odgadywała — mówiła więc o tym obojętnie, jako o wiadomości tylko, którą Talwosz jej przyniósł i za pewność zaręczał.

Anna słuchała ciekawie. W istocie tłumaczyło to postępowanie Zborowskiego, niezrozumiałe z początku. Gdy prymas Uchański i Firlej w piątek pośpieszyli uprzejmie witać królownę, nie mógł Zborowski dać się im zatrzeć i pozostać obojętnym na stronie. Pośpieszył więc w sobotę do Anny. Zważył, że w królownie była jakaś siła i prawo, którego lekceważyć nie należało. Stąd jego wylanie się, oświadczenia i zaręczenia opieki na przyszłość.

O wyjeździe z Warszawy już potem mowy nie było. Nikt nawet nie śmiał zagaić o tym. Koniecki i przybyły świeżo, wylany dla Jagiellonek, pocciwy sługa ich Ryłski z resztą dworu poczęli się rozmieszczać na zamku tak, aby za długo doznawane niewygody pobyt terazniejszy wynagrodził. W pomoc im przychodził Wolski, a i pomniejszych, chętnych sług nie brakło.

Królowna rozpoczęła tu toż samo życie, jakie dotąd prowadziła. Dnie całe schodziły na pisanie listów, szczególnie do Zofii brunświckiej, którą w pomoc sobie sprowadzić chciała koniecznie. Siostry się dosyć kochały, szczególnie Anna wylaną była dla Zofii i Katarzyny, one zaś, odpłacając jej wzajemnością, więcej jednak myślały o sobie, o spadku, o wspólnych interesach, niż o sprawie biednej, osieroconej i osamotnionej siostry.

Polepszyło się jej położenie na pozór, wszyscy, nie wyjmując najnieprzyjaźniejszej Litwy, czuli, że miała pewne prawo i reprezentowała siłę, którą się posłużyć mogli; kłaniali się więc, ale szczerze, serdecznie mało kto myślał pomagać. Litwa dla siebie, cesarscy zwolennicy sobie, Montluc dla Francji chcieli się nią posłużyć.

Stała na świeczniku, a nie miała biedna czym świecić! Pieniądzy ciągle brakło, dwór należało pomnożyć. Urzędników przybywało, fraucymer musiał się dla okazałości zwiększyć, gości trzeba było przyjmować, nie mając sreber stołowych, opieczetowanych w Tykocinie. Podskarbi nie dawał pieniędzy, bo skarb był wyczerpany, pożyczyć było trudno. Królowna po cichu gryzła się i martwiła, pisała do Zofii, prosząc o zasiłki nadaremnie, użalała się przed bliższymi na próżno. Przywiązani do niej biegali, starali się i najczęściej wracali z jakąś nie znaczącą kropelką, która wsiąkała w najniezbędniejsze życia powszedniego potrzeby. Tyle trosk i niepewność przyszłości, doznane niewygody, pomieszczenie w Piasecznie, oddziaływały

też na zdrowie tak, że Anna chorzeć zaczęła. Gdyby nie krajczyna, nie miałyby nawet około siebie litościwego serca prócz Dosi, bo Żalińska w chorobie stawiała się zgryźliwszą jeszcze.

To, co zdobyła sobie siłą charakteru Anna, było jeszcze małym w stosunku do tego, co zostawało do zdobycia. Zbliżał się ów sejm elekcyjny, który o losach kraju miał rozstrzygnąć; umysły się przygotowywały do niego. Annie nie wzbraniano wprawdzie pobytu w Warszawie, przekonawszy się, że ona sobie nie da rozkazywać, ale panowie trwali w nadzorze pilnym nad nią, wymagali, aby bez ich wiedzy nie przyjmowała nikogo, nie czyniła nic. Wprawdzie umocowany przez nich dobry i łagodny biskup chełmski nie stawał tak dalece na zawadzie i łatwo go było wyminąć, ale musiała się królowna mieć na baczności. Każdy krok, każde słowo trzeba było obrachować, wyważyć, a nawet z przyjacielem domu, z tym wylanym i zaklinającym się, że gotów był na wszelkie ofiary, Czarnkowskim królowna dysymulować¹⁶¹ wiele, przemilczać i taić musiała.

W miejscu referendarza zjawił się teraz jako doradca na dworze Solikowski¹⁶², zdolny, ambitny, zręczny, umiejący się przypodobać, odgadujący usposobienia, człowiek, który wiele obiecywał i dla siebie też spodziewał się wiele. Solikowski, który się od pierwszego widzenia podobał królownie z taktu, powagi i z pewnej zgodności pojęć, widział w Annie ostatnią spadkobierczynię dynastii i, zdaje się, że przeceniał nawet wpływ, jaki ona mogła mieć w przyszłości. Ofiarował on usługi swe królownie, która że potrzebowała kanclerza dla siebie, zrobiła mu wkrótce nadzieję, iż miejsce to będzie mógł zająć. W istocie szukała ona kogoś, co by jej zastąpił referendarza, którego daleko lepiej przeniknęła, niż on się domyślał. Poznała, że był ciałem i duszą oddany cesarzowi, a miała wstręt od wszelkiego związku z domem ruskim.

Solikowski w pierwszych zaraz chwilach zdradził się z tym, że sprzyjał wyborowi Henryka. Anna, nie wydając się ze skłonnością i marzeniem o nim, dla tego jednego dała pierwszeństwo Solikowskiemu, który się stał domownikiem i doradcą pożądanym.

Młody jeszcze, żywego temperamentu, pragnący wywyższenia, Solikowski nie mógł się nawet stawić w jednym szeregu z ks. biskupem chełmskim, dobrodusznym, łagodnym, ale krótkowidzącym. W miarę, jak na zamku więcej się spoufalał i częściej stawał Solikowski, Czarnkowski mniej się tu okazywał. Miał nadzwyczaj wiele do czynienia, razem z innymi gotując ową elekcję cesarską, od której większość szlachty wstręt miała. Popierali ją magnaci, złudzeni obietnicami, kupieni lub wzięci na pochlebstwa; ogół się obawiał już ukrócenia swobód.

Kandydatury pomnażały się, nie licząc główniejszych i oddalonych a niemożliwych, jak szwedzkiego króla i cara moskiewskiego. Kielkowała myśl wybrania jakiegoś Piasta, a nim niby miał być wielkiego rodu, bogaty, spokrewniony świetnie Rosenberg¹⁶³, Czech, nie Polak. Obok niego stawały mało znane postacie różne, aż do śmiesznego Słupskiego Bandury¹⁶⁴, którego przezwisko samo pobudzało do szyderstwa. Jedni mówili za Piastem, a tych było bardzo niewiele, drudzy oburzali się na myśl, aby wczoraj równemu sobie kłaniać się i posłuszeństwo poprzysięgać mieli.

¹⁶¹ d y s y m u l o w a ć (z łac.) — taić, udawać

¹⁶² J a n D y m i t r S o l i k o w s k i — (1539—1603) był sekretarzem Zygmunta Augusta, następnie kanclerzem Anny Jagiellonki, sekretarzem Stefana Batorego, wreszcie od r. 1583 arcybiskupem lwowskim

¹⁶³ W i l h e l m R o s e n b e r g — (1535—1592), potomek jednej z najznakomitszych rodzin czeskich, był posłem do Polski w latach 1572, 1576 i 1589; w czasie pierwszej elekcji prosił, by na sejmie nie wymieniano jego nazwiska jako kandydata na króla, pomimo to wpisano go jako Piasta

¹⁶⁴ W o j c i e c h S ł u p s k i — (posiadał przydomek „Bandura”, o którym mało kto wiedział) — był sędzią wschowskim

Na prowincjach rozlegały się najrozmaitsze echa stolic i grodów. W Wielkopolsce i wielu innych województwach chciano wybierać samą Annę, a mężowi jej potem dać koronę, którą by ona mu przyniosła. Myśl ta miała zwolenników wielu.

Cesarz¹⁶⁵ głosił przez usta swych posłów, że syn jego Annę zaślubi, Montluc i Francuzi co do tego drażliwego punktu milczeli, ani przyrzekając, ani się opierając. Mówili dwuznacznie, dawali się domyślać, nie chcieli zobowiązywać.

Biskup Walencji, Pibrac i wszyscy Francuzi, znający rozpustnego Henryka, kochającego się w piękności, strojącego jak lalka, wybierającego sobie i najładniejszych chłopców na przyjaciół, i najpiękniejsze panie na kochanki, wiedzieli dobrze, że ożenić go z niemłodą, poważną, smutną polską królową byłoby nadzwyczaj trudnym. Zdawało się im, że Annie zapewniając stanowisko, dochody, poszanowanie, stawiając ją obok tronu, niekoniecznie Henryk żenić się potrzebował. Była to zawada, nieprzyjemna przeszkoda, lecz z czasem dająca się usunąć i uprzątnąć.

Po miastach nigdy może jak tej zimy nie zjeżdżano się tłumnie i nie naradzano wrzawliwiej. Szlachta polska naówczas nie grzeszyła zbytnią znajomością stosunków europejskich, a nawet krajów o granicę położonych. Przyjaciele cesarza rozpowiadali o jego potędze i środkach, jakich mógł użyć dla zdobycia Korony, o Erneście (Rdeście, mówiła szlachta) chodziły też baśnie różne, a coś dopiero o Henryku, o carze, o Janie Szwedzie i kilkoletnim synku jego, o wszystkich innych aż do Słupskiego Bandury!

Cesarscy, choć nieobficie, po troszę pieniędzmi, rozdawanymi cicho, zyskiwali sobie, Francuzi więcej obietnicami i zobowiązaniami na piśmie, w których stały złote góry. Montluc dawał na papierze, co kto chciał. Na całe województwo często potrzeba było jednego tylko wygadanego a żwawego szlachcica, aby za sobą tłum poprowadził i skuteczną szerzył propagandę. Mówca taki na zjeździe, na odpuszcie, czasu jarmarku często kawał kraju usposabiał do przyszłego głosowania. Tam, gdzie się dwa wpływy ścierały, rzadko cesarz zwyciężał liczbą. Miewał za sobą magnatów, mniejsi się go lękali i nie dowierzali. Duchowieństwo wahało się między Henrykiem a Ernestem. Różnowiercy szli za Zborowskim, pomimo rzezi św. Bartłomieja, choć gorętsi się go wyrzekali i ani słuchać nie chcieli o nim.

Taki rozerwany był stan umysłów w przededniu zwołania sejmu elekcyjnego, którego następstwa nikt przewidzieć nie mógł. Pobożni rachowali na Opatrzność i Ducha św., a w istocie tam, gdzie tłumy głosować miały pod wpływem namietności i rozdrażnień chwilowych, żaden rozum w świecie odgadnąć by nie umiał, kto się utrzyma. Jeden wykrzyk nierozumny, gwałtowny, mógł wszystko zachwiać albo niespodziane wywołać skutki.

Nie dziw też, że ludzie poważniejsi, których los kraju obchodził, chodzili zasepieni, z trwogą wyglądając godziny ostatniej.

W chwili zwołania sejmu, gdy się już Mazury ściągać poczęli do Warszawy, a za nimi i z dalszych ziem i województw zjeżdżała szlachta i senatorowie, nasz Talwosz od dawna był na stanowisku. Nie mieszkał on na zamku, aby się nie narażać tym, co go stąd wywołali, a bardziej dlatego, ażeby królownie nie przysparzać troski; ale nie było dnia, żeby się tu nie znajdował, nie widział z Dosią i nie dostał języka. Anna wiedziała o nim, może go czasem potajemnie przypuszczała do siebie, ale nie wspominała i obchodziła się bez usługi. Jako sekretarz zastępował go inny, jako kanclerz tymczasowy był ks. Solikowski. Niemniej Litwin był niesłuchanie czynnym, a że Dosia i on przekonani byli, iż Anna sobie życzyła wyboru Henryka, chociaż się z tym odzywać nie mogła, Talwosz biegał, jednając mu zwolenników.

¹⁶⁵ W pierwodruku oczywisty błąd: „Cesarzewicz”, co poprawiono.

Ponieważ pierwsi stawili się na placu Mazurowie, Talwosz poznawał się z nimi i puścił pomiędzy nich hasło, że trzeba było głosować za Francuzem, cicho dodając, iż to było życzenie, rozkaz raczej królowej. Podawano to sobie z ust do ust jako tajemnicę, ale wszyscy bardzo rychło się nią podzielili. Mazury widywali częściej Annę, polubili ją, żalowali, chcieli pomóc i pójść za jej myślą. Gdziekolwiek się ich gromadka zebrała, Talwosz znalazł się pewnie między nimi i nie było rozmowy, która by się nie skończyła na tym, że wedle woli Anny na Francuza głosować potrzeba.

Nie był też bez wpływu ten wikary od P. Marii, ks. Stępek, któregośmy już widzieli, gdy o zastaw sreber chodziło. Talwosz z łatwością go pozyskał dla osieroconej pani, której pobożność, dobroczynność, prostotę obyczaju i zacność Stępek znał od dawna. Widział ją cierpiącą i upokorzoną za życia króla i tego starczyło, aby dla niej współczucie gorące wyrobić w wikarym. A przy tym Henryk, jak wiedziało duchowieństwo, był wiernym synem Kościoła. Słowo ks. Stępka znaczyło wiele, bo mówiło do serc w imię Boga.

Mazurowie zaledwie się powoli tu ściągać zaczęli, już hasło było dane, a nowo przybywający przejmowali je z łatwością. Obok Henryka szeptano imię Anny. Szły one razem.

Nadchodząca wiosna, piękna, ciepła, dla szczęśliwych wesoła, na zamku zapowiadała się smutną. Królowna leżała prawie ciągle chora, zmuszona nie wstawać z łóżka dla febry, która przez dzień ją trzęsła, a niczym się pokonać nie dawała. Miała tyle siły, że wolna od paroksyzmów¹⁶⁶ wstawała, wychodziła, przyjmowała, zajmowała się sprawami bieżącymi, lecz z każdym dniem wyczerpywał się zapas życia, a choroba przeciągała się uparcie. Ani lekarze, ani sławione leki starych bab, ani modlitwy nie pomagały. Do bliskiego już nawet kościoła pobożna pani, która nawykła była wstawać na jutrznię i iść modlić się, nie mogła już chodzić i mszy słuchać. Choroba, niby niegroźna, z czasem jednak wycieńczyła straszliwie. Cera żółkła, oczy zapadłe świadczyły o cierpieniach. Dosia, Zosia Łaska, krajczyna i inne panie mieniały się u łóżka królowej, służąc jej; obiecywano sobie polepszenie ciągle, ale ono nie przychodziło.

W dniach wolnych, gdy się zjawił Czarnkowski, gdy przyszedł ks. Solikowski, gdy oznajmiono szlachtę lub panów chcących się pokłonić swej pani, musiała osłabiona zwlec się z łóżka, odziać żałobnie (bo dotąd dwór i ona w kirze chodziła) i przyjmować przybywających, i uśmiechać się, aby nie stękać przed nimi.

Oprócz tego trudu miała królowna niezbyt, a codzienny starania się o pieniądze, zaciągania pożyczek, ratowania tymczasowo wszelkimi środkami od sponiewierania i głodu. W tym pomagał usłużny i pocziwy, a niezmordowany Ryłski, który gotów był każdego dnia jechać na koniec świata, byle się to na co przydało, klócić się, walczyć i zdobywać posiłki dla biednej swej pani. On i starosta Wolski, ks. Solikowski, po trosze biskup chełmski dopomagali Annie całym sercem, ale trosk jej odjąć nie mogli.

Królowna, pomimo choroby i znużenia, spraw pilnych zaniedbywać nie chciała. Zrywała się z gorączką, z bólem głowy, aby potem osłabła, podtrzymywana przez Dosię, powrócić do łóżka. Pocięgą jedyną dla niej było to, że wszyscy zdawali się nawracać ku niej i do niej garnąć. Talwosz świadczył o tym.

Stał on już teraz gospodą nie pod Białym Koniem u Barwinka, bo tam tak było pełno dostojniejszych, że on się docisnąć nie mógł, ale na mieście u rzemieślnika, u którego izbę zajmował. Na pozór nie miał żadnego zajęcia, był zupełnie swobodnym, ale od rana biegał, kręcił się, podsłuchiwał, naprawiał, co gdzie zepsutym znalazł, a w godzinie wieczornej przeciskał się na zamek, gdzie miał swoich starych przyjaciół i prawie co dzień widywał z Zagłobianką. Nie przychodził do niej z próżnymi rękami nigdy, coś miał zawsze do doniesienia lub ostrzeżenia. Na pozór próżniacze jego życie całe schodziło na usługach sprawie królowej.

¹⁶⁶ p a r o k s y z m (z grec. wzgl. łac.) — tu w znaczeniu: atak choroby (np. febry)

On pierwszy, powziąwszy wątpliwość o szczerości Czarnkowskiego, ostrzegł o tym Annę i zapobiegł, aby mu się nie zwierzała.

Talwosz umiał bardzo zręcznie odegrywać różne role, wystąpić jako możny szlachcic i półpanek, bo był w istocie nim, lub jako skromny szaraczek. Bywał u pana starosty Wolskiego, u niektórych senatorów, a gdzie się Mazurowie ubodzy skupili przy dzbanku na gawędę, gdy się czuł potrzebnym, znalazł się także. Wieczorem przy kaganku lub łojówce, a często do późnej nocy siedział za stołem w swej izdebce i przepisywał pilno chodzące po rękach listy, odezwy, paszkwile¹⁶⁷, które później rozdawał między ludźmi, a oni je rozrywali, bo każdy się czegoś chciał nauczyć o Rdeście i o Francuzie, o Rosenbergu i Bandurze. Czasem musiał przedsiębrać wycieczki, bo poselstwa różne zbliżać się zaczęły i zjeżdżać. Niespracowanym był i niezmordowanym, chociaż piękna Dosia, wychwalając go przed królowną, oddając mu sprawiedliwość należną, sama go wynagrodzić za te trudy wcale nie myślała. Dopóki jej mówił o tym, co zrobił, czego się dowiedział, słuchała go z zajęciem, uśmiechała mu się uprzejmie; jak tylko zaczął wzdychać i zagaił o swej miłości dla niej, odwracała się zasepiona i zamykała mu usta. Potrzeba było i człowieka tak cierpliwego, i miłości tak uporczywej, aby się tym nie zrazić, nie ostygnąć i nie wyrzec nadziei.

— Panna Dorota w końcu się przekona — mówił często, gdy go odprawiała z niczym — że na takie pocziwe przywiązanie, jak moje, rachować można i polegać na nim, ale panna nie ma ani litości, ani serca.

Dosia czasem odwracała się z uśmiechem dziwnym i odpowiadała mu gorzko:

— Serca ja może nie mam! Nie wiem... albo mi go Bóg nie dał, lub za młodu wyszło. Cóż począć na to? Głowa mi się nie zawraca.

— Ale kiedyś przyjdzie pora, że się serce odezwie — mówił Talwosz — tylko nie dla mnie może, ale dla jakiegoś Żalińskiego albo jemu podobnego gołowasa.

— Bądź waszmość spokojny — odpowiadała Dosia. — Nie dam się ja wziąć łatwo.

— A cóż będzie później... później?

— Na starość? — przerwała Zagłobianka. — A cóż ma być? Posiwieję i będę pani mojej służyła jako dziś.

— Ale królowna, Boże, nam ją uchowaj, nie wieczna — mówił Talwosz.

— Albo to klasztorów nie ma dla takich jak ja, co rodziny nie mają? Pan Bóg im ojcem, a klauzura domem i przytułkiem.

Tak się najczęściej kończyły niefortunne zaloty Talwosza, który wzdychał, ale kochać nie przestawał. Dosia coraz mu się wydawała piękniejszą, nawet w tej żalobie niewdzięcznej, która oprócz grubego kiru okrywała dwór rodzajem płaszczów z płótna zgrzebnego szarego, obyczajem z dawna przyjętym. Okrycia te płócienne, nieforemne, doprowadzały do rozpaczki kobiety dworu, więcej dbające o swe wdzięki; lecz musiały brać je co dzień, bo i królowna się tak przyodziewała, do gości szczególnie. Litwin się zaklinał, że Zagłobiance nawet w tym worze, jak on go nazywał, było cudnie do twarzy.

Biedny rozmiłowany Talwosz, nieczułości dla siebie pięknego dziewczęcia szukając przyczyn, wpadał na tę myśl ciągle, iż kogoś innego kochać musiała. W razie, gdyby się o tym przekonał, może by był zalotów zaprzestał, ale z równą zręcznością szpiegując Dosię, jak cesarskich pomocników, nie potrafił dotąd nawet pozoru znaleźć do posądzenia jej.

Zagłobianka spędzała dni całe na usługach królowej, a jeśli nic do czynienia nie miała, chwytiała książki, których była chciwą tak, że ją z tego wyśmiewano.

Niewiele naówczas kobiet zwykły były zabawiać się czytaniem, a jeśli z nich która miała w nim upodobanie, zatapiała się w książkach pobożnych. Zagłobianka zaś czytała wszystko, co się jej do rąk dostało, nie czyniła wyboru i mądrzejszą też była od innych. Czy przez to szczęśliwszą, rzeczą jest bardzo wątpliwą. Nauka jest jak napój, który obudza coraz większe

¹⁶⁷ p a s z k w i l (z włos.) — zjadliwe pismo potwarcze lub ośmieszające kogoś

pragnienie i rodzi niepokój nienasycony. Nie ma jej końca; więc kto raz wszedł do tego labiryntu, już po nim życie całe błądzić może, nie znajdując spoczynku.

Dla Dosi była ona jedyną rozrywką, a odrywała ją od świata i stawiała, jak naówczas, zupełnie osamotnioną, bo z bardzo małym wyjątkiem, na dworze nawet o tym, co ją zajmowało, mówić z kim nie miała. Duchowni, gdy który z nich przypadkiem słowo jakie z niej wyciągnął, dostrzegłszy w niej niepokoju ducha, karcili tylko i zdrożną ciekawość umysłu naganiali. Zamykała się więc w sobie.

Czy się jej serce nigdy nie odezwało, a przywiązanie Talwosza nie czyniło w istocie na niej żadnego wrażenia, trudno było odgadnąć. Jeśli miała dla niego uczucie jakie, kryła się z nim jak najtroskliwiej, nie chcąc mu zawiązywać świata. Czuła się sierotą, a miała nadto dumy, aby nic nie przynosząc oprócz serca, zgodzić się na ofiarę szczęścia i losu, których wedle swego przekonania nie miała czym opłacić.

To pewna, że gdy czasem Talwosz w wycieczkach swych opóźnił się z powrotem, gdy wieczorem go nie było na zamku, gdy go długo nie widziała, tęskniła za nim żywiej, zarumieniona podawała mu rękę trochę drżącą, witała głosem poruszonym, uradowana widocznie.

Pierwszych dni kwietnia Warszawa już była przepelniona, każdy dom niemal miał gości. Tam, gdzie dla panów nie było izb wygodnych, cisnęła się liczna ich służba, a wozy i kolebki, które się pod szopami i w podwórcach pomieścić nie mogły, koczowały pod domostwami na ulicach. Sypiała na nich czeladź, bo i tej nie było gdzie się schronić.

Nigdzie próżnego nie znaleźć było kąta, a gwar i ruch dniem i nocą nie ustawał. Za liczną gawiedzią, dworami, panami ze wszech miast znaczniejszych w Koronie, z bliskiego Szląska, z sąsiednich Niemiec pozwlekała się liczba niezmierna kupców, przekupniów, ludu różnego, na tłum rachującego, który nie znalazłszy miejsca w sklepach miejskich, na furach i pod szalasami w rynkach na prędcie skleconymi frymarczył różną kupią¹⁶⁸.

Klasztory musiały też swym dobrodziejom otworzyć gościnne wrota. W niektórych mieścili się biskupi z dworami swymi, w innych senatorowie świeccy, którzy lepszych gospód znaleźć nie mogli.

Tacy jak Firlej, jak Zborowscy panowie nie tylko dwór, czeladź z sobą ciągnęli bardzo liczną, ale zbrojnych ludzi siłą, niektórzy nawet jak na wojnę działka i moździerze prowadzili.

Obraz, jaki naówczas przedstawiały targowiska i ulice miasta, przedmieścia i okolice, był niezmiernie malowniczy i ożywiony. Każdy orszak inaczej z cudzoziemska strojny był i zbrojny. Niektórzy z brunświcka, inni z włoska, po tatarsku, po staropolsku, po rusku byli poubierani i orężem różnym opatrzeni. Każde niemal województwo można było odróżnić, a cóż dopiero Litwę, Podole, Wołyń, Ruś Czerwoną, Krakowskie i Sandomierskie albo ziemie pruskie. W mowie też było odmian wiele, bo Kaszuby, Mazury, śpiewająca Litwa, Małopola- nie, każdy po swojemu kłął i śpiewał.

W gospodach nie mogli nastarczyć piwa, miodu i różnych napojów, które pod wystawami w ulicach wprost z beczek toczono tłoczącym się gościom. Tak samo jadło w kotłach po podwórkach gotowano i tuż na stołach, ławami obstawionych, na prostych misach przynoszono łaknącym. Łyżkę za pasem naówczas nosił każdy i na nożu nikomu nie zbywało. Gdzieniegdzie płachty na drogach porozwieszane zastępowały namioty, bo kwietniowa aura¹⁶⁹ niepewna, nieraz dokuczała szronem, deszczem i krupami.

¹⁶⁸ k u p i a — tu w znaczeniu: towar

¹⁶⁹ a u r a (łac.) — pogoda

Wieczorem po szynkach grały gdzieniegdzie popijającym muzyki niewylworne, kobzarze, skrzypki, gęśle, serby¹⁷⁰, którym śpiewami wtórowano.

Lecz w mieście stali tylko wielcy panowie i ich dwory, dokoła pola elekcyjnego mieściła się pod namiotami najrozmaitszymi, szałasami i budkami szlachta ziem różnych, które się każda z osobna kupy trzymały. Olbrzymich rozmiarów namiot, tak zwany królewski, który stał pośrodku, a przeznaczony był dla senatorów na główne i uroczyste narady, mógł w sobie pięć do sześciu tysięcy głów pomieścić. Dokoła niego stały cztery mniejsze jakoby baszty, połączone z sobą drewnianą zagrodą i opasane rowem głębokim. Dalej województwo każde miało dla narad namiot osobny, przy którym chorągiew jego powiewała. Dalej jeszcze niezliczona moc małych różnej barwy namiotów zalegała szeroką równinę. Było się tam napatrzyć wszystkiego, poczynawszy od najkosztowniejszych namiotów wschodnich aż do bitych z wojłoków, zszywanych z płótna i sukna, łatanych ze zgrzebna i przystrajanych kobiercami.

Czeladzie sobie, kuchnie w ziemi wykopawszy, doły na ogniska przyrządzały, inni klecili z opilków i tarcic, z dranic i kłoców budy i szopy. Byli i tacy, co się na wcale schludne domostwa wysadzali, w których nawet okien z błonami nie brakło, ale takich tu znajdowało się niewiele.

Jak się konie biedne mieściły, smutno pomyśleć, żal było patrzeć, bo ani żłobów, ani pokrycia nad sobą nie miała część ich większa, tyle tylko, że je derami osłaniano i stawiano tak, aby wiatr nie dokuczał im bardzo.

Pomimo wszystkich tych niewygód a przewidywania, że i sejm, i elekcja musiały się długo przeciągnąć, ludzi tylu razem w kupie, czując się między swymi gromadą, wesoło i ochoczo się zabawiali. Piosnka i śmiech rozlegały się po obozie, chyba tylko kłótnią i brzękiem, a szcękami szabel przerywane. Ścinano się niejedną raz i krew pocięła często, ale gdy się rana założyła pajęczyną, chlebem i hubą, a zawiązała szmatką, ochota i zgoda powracały.

Wpółśród tej różnobarwnej szlachty, liczbą i ubożuchną, prostą powierzchownością swą, strojem niewykwintnym, szabelkami niepoczesnymi, które u wielu kije zastępowały, odznaczała się szlachta mazowiecka. Było jej tu za to, na własnych śmieciach, daleko więcej niż z innych województw. Mogły się z nich śmiać drugie ziemie, którym butniej stały kołnierze, ale Mazury przez to nie traciły poczucia swej siły i gospodarzyły tu jak w domu, a mieli to do siebie, że się jak jeden trzymali kupy. Najuboższego zaczepiwszy, zaraz ich cały rój się złatywał, aby się ująć za niego, a dziesięć kijów starczyło za kilka szabli. Wywijali nimi młyńce dzielnie i tłukli bez miłosierdzia. Mazowsze, można powiedzieć, było już wówczas gniazdem szlachty, która rozrodziwszy się, po wszystkich ziemiach aż do kresów słała kolonistów i mało gdzie powinowatych nie miała. Szaraczki te za pan brat potem z karmazynami¹⁷¹ spokrewnionymi chodziły, niewiele do serca biorąc ich szkarłaty, a swoje ubóstwo. Zaczepić też Mazura nie było bezpiecznie, choć się małym wydawał.

W mazowieckim obozie, z wyjątkiem kilku namiotów pokaźniejszych, nie było zbytku — konie i ludzie nie bili w oczy. Znaczniejsza część koczowała przy wozach i na nich spędzała noce lub pod nimi. Czasu posiłku zbierali się do większych kociołków, do beczek i przekarmiali kosztem zamożniejszych. Każdy z nich czuł, że gdyby więcej miał, tak samo by brata przyjmował i do misy swej zapraszał, jak się teraz do niej garnął. Z czapką na bakier, przeżegnawszy się, zasiadano do jaglanej kaszy i klusek. Wielkim festynem było, gdy się gdzie na drążku baran przed ogniem obracał, którego potem do białych kostek ogryzano. Piwa nastarczyć nie mogły browary warszawskie, więc go i ze Szląska, i z innych miast siła przywożono.

Tu, pomiędzy Mazurami, znajomy nam Talwosz był jak u siebie. Wiedzano, że królownie służył, że myśli jej znał, i słuchano go tak, jakby ona sama przez usta jego słała rozkazy. Za-

¹⁷⁰ s e r b y — instrument muzyczny, gęśle serbskie

¹⁷¹ k a r m a z y n (wyraz pochodzenia arabskiego) — szlachcic polski starożytnego rodu, ubierający się zwyczajowo w odzież barwy karmazynowej (ciemnoczerwonej)

wczasu tu Henryk Francuz, którego tytuł andegaweński srodze przekręcano, był jednomyślnym hasłem, ale do czasu każdy go za pazuchą trzymał.

Obozowisko to ogromne, po obu brzegach Wisły, łączył most nowy, wspaniały, na którym królewna pięćdziesiąt straży zbrojnej postawić musiała dla utrzymania porządku, gdyż dzień i noc precysnąć się było trudno wśród wozów, konnych i pieszych.

W tym tłumie, którego tło stanowiła gawiedź pospolita, zawsze najliczniejsza, od czasu do czasu zjawiały się poczty jakby na okaz, które sobie palcami okazywano. Wyjeżdżała bogatsza młodzież postrojona i uzbrojona jakby do popisu, na koniach najpiękniejszych w rzędach najbogatszych, z mieczami w pochwach wysadzanych, z tarczami malownymi u siodeł, łukami złożonymi, kołczanami szytymi bogato. I było na co patrzeć, gdy taki panek ciągnął z czeladzią z cudzoziemską przystrojoną, w jednej barwie, który często i psy pstre, osobliwe z sobą prowadził, i sokoły nieść kazał. Każdy się rad był pochwalić z tym, co miał najlepszego, a innym patrzeć było miło na swoich, że tak występowali, nie dając się cudzoziemcom w kamyś¹⁷² zapędzić. Tłumy zbiegały się też przyglądać, gdy posłowie różni w początku sejmu ścierać się zaczęli.

Cesarscy posłowie prześcigali innych wspaniałością orszaku i liczbą dworu. Oprócz Rosenberga i Pernsteina¹⁷³, a stu dwudziestu szlachty za nimi, mieli z sobą posła Filipa Drugiego¹⁷⁴ i deputowanych miast Imperium¹⁷⁵, ale im wspanialej wyglądało poselstwo, tym większą obudzało trwogę. Szlachta się lękała Rakuszan.

Francuscy posłowie odznaczali się mniejszym orszakiem, ale wielką wykwinnością strojów i szlachetnością postaci, na których widać było wiekową cywilizację, która ludzi wydelikacila i po troszę zniewiesciła, zarazem czyniąc piękniejszymi i miłszymi nad innych. Montluc, Poix de Sechelles, dwaj opaci towarzyszący biskupowi Walencji, kawalerowie do poselstwa należący wyglądali jak postrojone laleczki, na które patrzeć brała ochota. A nie było ludzi, co by się ładniej, niżej, uprzejmiej kłaniali i uśmiechali słodziej, i kochali wszystkich łatwiej i serdeczniej. Czarowali oni każdego, co się zbliżył do nich.

Inne poselstwa przy tych dwu daleko mniej na siebie zwracały oczy i równać się z nimi nie mogły. Było wszakże na co patrzeć, gdy przybył kardynał Commendoni w towarzystwie towarzyszącego mu uroczyscie duchowieństwa, posłowie szwedzcy, wysłańcy pruscy itp.

Pomimo ogólnie wesołego usposobienia, na twarzach senatorów, od których zdawały się zależeć losy Rzeczypospolitej, widać było zadumę i niepokój o przyszłość.

Jedno słowo wymowne Jana Zamojskiego¹⁷⁶, młodego naówczas wychowanka włoskich humanistów¹⁷⁷, rozstrzygnęło o sposobie wybierania królów. Nie powierzono elekcji wyborowi najdoświadczeńszych i najwykształceńszych panów, ale zdano na okrzyk tłumów, z tą wiarą niezmierną w natchnienie Boże, w Ducha Świętego, która pobożność głęboką znamio-

¹⁷² k a m y s z, raczej k o m y s z (wyraz pochodzenia tureckiego) — gęstwina, krzaki

¹⁷³ W r a t y s ł a w P e r n s t e i n — pan czeski, był po Wilhelmie Rosenbergu główną osobą w poselstwie cesarskim

¹⁷⁴ F i l i p II — (1527—1598), król hiszpański, syn cesarza Karola V, panował od r. 1555

¹⁷⁵ i m p e r i u m (łac.) — cesarstwo

¹⁷⁶ J a n Z a m o j s k i — (1542—1605), był wybitnym mężem stanu, kanclerzem (od r. 1577) i hetmanem w. koronnym (od r. 1580); kształcił się przeważnie za granicą; w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta Zamojski wystąpił z wnioskiem głoszącym, że każdy szlachcic winien mieć prawo głosu w obiorze króla; zasada ta przyjęła się; do największego znaczenia doszedł za Stefana Batorego

¹⁷⁷ h u m a n i ś c i — zwolennicy humanizmu; humanizm był prądem kulturalno—oświatowym, który rozpoczął się około XIV w. we Włoszech i stopniowo rozszerzył się na inne kraje, dochodząc do rozkwitu w w. XV i XVI; humanizm miał na celu w oparciu o literaturę starożytną wyzwolenie umysłu ludzkiego od ciasnego światopoglądu średniowiecza

nowała. Tłumy te prowadzić, kierować nimi, mógł sobie pochlebiać tylko ten chyba, który nigdy z nimi do czynienia nie miał. Na placu, w gwarze, wśród rozstroju, można było dopiero zważyć, że elekcja zdana była na Opatrzność w istocie, bo nikt w świecie ani pokierować nią, ani pewnym być nie mógł jej wypadku. Ci, co jak przebiegły referendarz Czarnkowski chcieli zbadać przyszłość, wyrozumieć następstwa, odchodzili z placu zmuszeni powiedzieć sobie, iż w tym wrzątku nic dojrzeć nie było podobna. Jedne Mazury tylko cicho siedziały, wiedząc zawczasu, co czynić mają i o drugich się nie troszcząc, gdy po innych województwach i ziemiach starszyzna jeszcze kazania prawila i nawracała.

Pilno bardzo Talwosz co dzień ogromne obozowisko po obu brzegach rzeki objeżdżał, zaglądając to do Mazurów, to do swojej Litwy, to po innych kątach. Martwiło go to długo, iż starosta Chodkiewicz w początkach stawał przeciwko królownie, potem się na nią dąsał, że unii zrywać nie chciała, ale umiejętnie chodząc około tej sprawy potrafił to, że pani starościna żmudzka, z domu Zborowska, przybyła do Warszawy. że królowna Anna posłała ją przywitać, czym ujęła sobie Chodkiewiczową. Musiała na zamek podziękować królownie, a tu się przyjazne zawiązały stosunki i żona męża za sobą pociągnęła. Przyczynili się do tego może i Zborowscy, którzy za Henrykiem byli, a Anny usposobienie dla niego przeczuwali. Litwa teraz garnęła się do królowej.

Chora pani miała do czynienia dosyć, bo żadne poselstwo przybyć ani odjechać nie mogło, nie powitawszy jej i nie żegnając. Występowała naówczas uboga sierota królewska w swej żałobie zgrzebnej z dwudziestu czterema pannami, z biskupem chełmskim, z ochmistrem, z Solikowskim, z paniami towarzyszkami uroczyście, aby słuchać grzeczności i przez usta swoich odpowiadać na nie. Posłowie na próżno, wpatrując się w jej lica, badali wyraz twarzy, starali się odgadnąć uczucia i myśli. Anna miała nad sobą mocy tyle, iż się nigdy nie zdradziła. Z równą uprzejmością przyjmowała cesarskich posłów, Montluca i Francuzów, Szwedów i ile się tam na zamek przyciągnęło.

Pomimo to referendarz Czarnkowski, który często na zamku przebywał teraz, usiłując trochę ostyglą królownę znowu, sobie pozyskać, był niespokojny. Zdawało mu się, że Rosenbergowi nie dosyć okazywała uprzejmości, a Montlucowi zanadto.

Montluc oprócz tego pozyskał sobie panów wielu nadzwyczajną powolnością w zastoso-
waniu się do ich żądań, w uprzedzaniu życzeń, gotów będąc jechać, zostać, oddalić się, czekać, gdzie i jakby mu wyznaczono, gdy cesarscy, dumą i potęgą pana swego przejęci, stawili się butnie, a zniechęcali pokątnymi intrygami, które się co chwila zdradzały.

Trzy pierwsze tygodnie zeszły na przygotowaniach, rozmowach z posłami, na usposobieniu umysłów, a wszystkim pono stronnictwom zdawało się, że sobie grunt przysposabiały, gdy w istocie pozostał on, czym był — zamkniętym placem, na którym jakiś Leszek¹⁷⁸ nowy miał trafem swych współzawodników prześcignąć.

Gromadząc się na zjazd, szlachta rachowała, że juści do Świątek pana sobie obierze i spokojnie się po domach rozjechać będzie mogła. Tymczasem upływało trzy tygodnie, nie uczyniono tak jak nic. Obozującym przykrzyć się zaczynało. Firlej, na którego naciskano, aby do głosowania przystępować, zwlekał z dnia na dzień. Zdawało mu się, że dla cesarza, którego pożywał, dotąd za mało zrobiono. Odezwał się kto za nim, natychmiast go zakrzyczano zaw-

¹⁷⁸ Aluzja do bajecznego Leszka II. Wedle legendy, po śmierci jednego z władców Polski postanowiono, że rządy obejmie ten, kto będzie pierwszym w wyścigu konnym. Jeden z zawodników użył podstęp: wysypał drogę gonitwy ćwiekami, które pokrył piaskiem. Konie współzawodników pokaleczyły się o ćwieki, autor zaś podstęp, który zostawił dla siebie wolne od ćwieków przejście, byłby wyścig wygrał, gdyby nie to, że inny zawodnik odkrył przypadkiem podstęp i owym wolnym przejściem sam popędził, wygrywając wyścig, po czym został władcą jako Leszek II. Wspomina o tej legendzie m. in. Jan Kochanowski (*Pieśni*, księga I, 10).

sze jednym, że swobody odbierze i w kajdany zakuje. Firlej rachował już tylko na to, że gdy się na innych nie zgodzą, rozdwoją ci, co Francuza jedni, drudzy Piasta prowadzić chcieli. Cesarz potem wygra na złość jednym i drugim.

Powszechnemu więc domaganiu się czyniąc zadość, Firlej w niedzielę przy trąbach po mieście i przedmieściach kazał obwołać, że nazajutrz głosowanie się ma poczynać. Radość była niezmierna! Okrzyki, wystrzały, bębny, trąby rozlegały się dokoła. Na ostatek dobiegano do pożądanego końca.

Talwosz wpadł na zamek pierwszy z tą nowiną, która tu więcej pono trwogi niż radości obudziła. Królowna z krajczyną Łaską poszła się modlić.

Nazajutrz, trzeciego maja, obozy na polu inną postać, uroczystsza jakąś przybrały. Wszyscy czuli chwilę stanowczą, w której losy ojczyzny rozstrzygać się miały.

Talwosz, który od rana już biegał między Mazurami i Litwą, trafił pod namiotami ich na nabożeństwo. Wszyscy, jakby jedną myślą natchnieni, dzień ten rozpocząć chcieli modlitwą. Było w tym coś tak uroczystego, wielkiego, iż na wszelkie płochy tłumy tego płaciło, który padał na kolana, losy swe składając w ręce Boże. Talwosz kląkł razem z Mazurami, pokrzepiony tą oznaką pocieszającą. Księża czytali modlitwy, wzywające Ducha Świętego, indziej śpiewano *Veni Creator Spiritus*¹⁷⁹. W chwili gdy każdy miał prawo podnieść głos, ulękli się wszyscy doniosłości jego. Nigdy pole cichszym nie było, a ludzie spokojniejszymi. Po ukończeniu modlitw długi czas żadne województwo poczynać nawet nie chciało. Oglądały się jedne na drugie. Czas upływał na takim rozsluchiwaniu się i rozpatrywaniu.

Czarnkowski, który około marszałka się kręcił, dostał od niego języka, iż lepiej się było nie spieszyć z cesarzem, a na koniec go zostawić, gdy wszyscy inni odejdą z niczym. Wysłani na wywiady od namiotu do namiotu ludzie przysłuchiwali się na próżno. Szeptano wszędzie i naradzano się po cichu. W królewskim namiocie też mowy tylko prawiono rozwlekłe, których konkluzji nie mogąc się doczekać, szlachta odchodziła znudzona.

— A co? — pytał Talwosz, stojący przy Mazurach.

— Wodę warzą panowie! — odparł powracający szlachcic. Wtem, a było to już pod wieczór, Mazurowie, poszeptawszy między sobą, zebrali się do gromady i dosyć nieśmiało głosy poczęli wołać: Henryk! Henryk!

Na głos ten zewsząd się zbiegali ciekawi, ale nikt nie poszedł za nim, przebrzmiał bezskutecznie i szaraczki zawstydzeni, że się tak wyrwali nadaremnie, zamilkli. W innych ziemiach i województwach dnia tego nie odezwno się z nikim jeszcze. Umysły były zaniepokojone i niepewne tego, co czynić. Nie udało się Mazurom wprowadzić, ale wcale tego do serca nie wzięli. Owszem, wesoło im było, że uprzedzili innych. Jeden do drugiego mówił:

— Jutro hukniemy głośnie. Niech drudzy kogo chcą obwołują, my przy swoim zostaniemy. Królowna tak rozkazała.

Na zaniku wiedziano zaraz o wypadku dnia tego. Królowna wyszła do Talwosza, który przybiegł zdyszany, rozgorączkowany, upadający na siłach, ale wesół; wysłuchała relacji, ale na bladej twarzy jej nic poznać nie było można, tak nad sobą panowała. Nie odezwała się ani słowa, chociaż pani krajczyna i inne panie zaczęły zaraz rozpytywać, wykrzykiwać, cieszyć się i niepokoić. Widząc Litwina niezmiernie znużonym, ocierającym pot z czoła i śpieszącym na powrót do obozu, bo i nocą musiał pracować na jutro, kazała mu podać kubek wina Dosi, podziękowała za wiadomość i zadumana, wolnym krokiem odeszła do sypialni, gdyż godzina paroksyzmu się zbliżała.

Ledwie Talwosz zniknął, zostawiając po sobie nadzwyczajnie poruszone umysły całego dworu, gdyż nie wszyscy byli wtajemniczeni w to, czego sobie życzyła Anna, gdy referendarz

¹⁷⁹ *Veni Creator Spiritus* (łac.) — Przybądź, Stworzycielu Duchu — początkowe słowa znanego hymnu kościelnego

Czarnkowski zjawił się chmurny jak noc i znalazłszy krajczyńę w izbie samą, natarczywie się dopraszać zaczął, aby z Anną mógł widzieć i mówić, dodając, że pilno mu tego było potrzeba.

— Ale królowna nasza bodaj już w łóżku i ta nieszczęsna febra lada chwila nadejdzie.

Czarnkowski począł dowodzić, że był sługą domu i że królowna, bodaj leżąc, przyjąć go mogła. Pobiegła więc dać znać Zosia Łaska, bo krajczyzna nie odstępowała referendarza, chcąc z niego więcej coś dobyć niż z Talwosza.

Czarnkowski był widocznie zgryziony i zafrasowany, tak że nie zawsze odpowiadał do rzeczy. Przyczyną troski było, iż kręcąc się dnia tego po elekcyjnym polu, tu i owdzie, między Mazurami też, języka gdzieś pochwycił, iż za rozkazem królownej na Francuza głosy dawać miano. Inne też oznaki zaczynały mu teraz wyjaśniać, że Anna dla Ernesta, którego on prowadził, niezbyt była życzliwą. Chciał wiedzieć, jak istotnie rzeczy stały. Miało to dla niego tym większą wagę, iż mogło mu dowieść, że on, który sobie pochlebiał, iż miał całe zaufanie królowej, w istocie je już utracił. Chytry i przebiegły człeczek postanowił przed dniem jutrzejszym wiedzieć, jak stoi, i wedle tego zastosować dalsze swe postępowanie. Nie myślał dla królowej poświęcić Ernesta, bo cesarzowi był zaprzędanym, ale zmienić taktykę musiał i iść ostrożniej.

Zosia Łaska, która pobiegła do sypialni za królowną, znalazła ją jeszcze nie rozebraną i gdy jej o Czarnkowskim znać dała, Anna, choć nie bardzo chętnie, zwróciła się ku posłuchalnej komnacie nazad, aby z referendarzem zobaczyć. Zastała go roztargnionego, znużonego, narzekającego na ciężki trud i niepewność, ale razem sypiącego czułościami i zaręczeniami usług wiernych itp. Anna podziękowała zimno.

Czarnkowski wtrącił zaraz o „ślepych”¹⁸⁰, jak ich zwał pogardliwie, Mazurach, że się pierwsi wyrywali; narzekał na wszystkich panów, iż sobie ze szlachtą rady dać nie umieli, dając zakrzyczeć, i skończył na zwrocie ku Ernestowi, o którym mówiąc, oczy miał ciągle w królownę wlepione. Słuchała go cierpliwie, ale nic więcej; twarz najmniejszej nawet nie zdradzała ciekawości.

Krajczyzna, Zosia Łaska i inne panie, nie chcąc poufałej rozmowie być na zawadzie, usunęły się do drugiej komnaty, tak że królowna sam na sam z referendarzem pozostała.

Coraz żywszym głosem i w tonie napastliwszym Czarnkowski swój panegiryk¹⁸¹ wygłaszał, ale bez najmniejszego skutku. Na ostatek, gdy już tak dobre ćwierć godziny prawił, włożył rękę za żupan i szukać tam czegoś począł.

— Nie wiem, czy Miłość Wasza — dodał — widzieliście nawet, jak rakuski Ernest wygląda. Śliczny młodzieniec, znać w szlachetnych jego rysach krew, która w żyłach płynie. Tak pięknego księcia nie ma drugiego Europa. Właśnie oto nadesłano mi wizerunek udatny z Wiednia i gdybyś Miłość Wasza zezwoliła, mógłbym go tu jej zostawić.

Usłyszawszy to, Anna cofnęła się jak przestraszona.

— Panie referendarzu — zawołała żywo — bardzo proszę, ani mi go pokazujcie, ani myślcie, abym ciekawą była i mogła go zatrzymać. Nie przystało mi to i nie uczynię tego.

Czarnkowski, który już z pugilaesu zamkniętą w nim miniaturę dobywał, zatrzymał się i spojrzał. Anna miała surowo zaciśnięte usta.

— Ale cóż by w tym było zdrożnego — począł dalej — gdybyś Miłość Wasza chciała lepiej się mu przypatrzyć, ja w tym nie widzę nic.

— Nie chciałam innych wizerunków przyjmować i nie byłam ich ciekawą — odparła królowna — dlaczegóż bym Ernesta miała czynić wyjątkiem?

¹⁸⁰ S a m u e l A d a l b e r g (Księga przysłów... Warszawa 1889—1894, s. 293) przytacza kilka przysłów o „ślepych Mazurach”, np. „Mazury ślepaki, niezdarne jak raki” — „Ślepy Mazur do dziewiątego dnia, ale jak przejrzy, to wszystkich oszuka” — „Ślepy Mazur od ciemnej gwiazdy” — „Ślepy jak Mazur”.

¹⁸¹ p a n e g i r y k (z grec.) — tu w znaczeniu: przesadna pochwała jakiejś osoby

Referendarz uparcie trzymał w ręku przyniesiony wizerunek i badał twarz królowej, która się wielką oblekła powagą. Zamilkł chwilę.

— Przecież — dodał — znasz mnie W. Kr. Mość, wiernym sługą jestem. Zostałoby to między nami, a zaprawdę nie wadziłoby lepiej poznać i przypatrzeć się Ernestowi, boć gdy go obiorą, on się przyrzeka żenić, gdy Francuz o tym milczy.

Zarumieniała się Anna.

— Nie pora o tym mówić — odrzekła cicho. — Proszę was, nie namawiajcie mnie do tego, czemu się bronić muszę. A po chwili dorzuciła:

— Sądziecie więc, że Ernest ma widoki jakie, że się powiedzie cesarskim?

Z głosu referendarz nie mógł się domyślać, czy pytanie było natchnione trwogą, czy nadzieją, ale coś mu mówiło teraz, że jego Ernestowi tu nie sprzyjano bardzo. Dla lepszego więc wybadania królowej dorzucił:

— Sądzę na pewno, że cesarscy innych przeważą. Kupa Mazurów, która się dziś wyrwała, nie poparta, nie dokaże sama nic, a co było niepewnego, widząc, że Francuz pada, do cesarza się obróci.

Czarnkowski mówił to bez przekonania, bo troskę miał wielką. Popatrzał na królowę, która rzekła zimno:

— Tak wnosicie?

— I zdaje mi się, że się nie omylę — dodał referendarz — dopiero gdy się pole z lada jakich kandydatów oczyści, cesarscy górę wezmą. Szlachta znużona, cztery niemal niedziele stoi w polu, a nic nie zrobiono. Rozstrój dziś w umysłach większy, niż był; w końcu wezmą choćby Bandurę, aby raz do domu powrócić.

Posmutniała jakoś królowa.

Czarnkowski raz jeszcze żartobliwie napomknął o wizerunku, że warto by go zachować, choćby dla nasycenia ciekawości fraucymeru, lecz królowa mówić mu nie dała. Kilka więc słów jeszcze dorzuciwszy na pożegnanie, pokłonił się Czarnkowski nierad z tego, co wynosił od królowej, i z niczym szedł do marszałka Firleja.

U niego i u Zborowskich mało nie przez całą tę noc przy kubkach radzono i słuchano, co przynosili na zwiady wysłani. Nikt z panów nie był pewien, że swojego elekta przeprowadzi, troskę czytać było można z każdego czoła. Firlej zwłaszcza niecierpliwił się i niepokoił, twierdząc, że cesarscy nie umieli sobie poczynać, a nadto ufali w swą siłę.

U Zborowskiego znowu panowie dysydenci¹⁸², którzy się zgodzili na wybór Francuza, objawili wielki niepokój o to, aby się w Polsce rzeź św. Bartłomieja nie powtórzyła. Wojewoda poprzysięgał, że takimi artykułami zwiąże elekta, iż mu pęta nałoży i nie dopuści tknąć wolności sumienia.

Nazajutrz daleko spokojniej niż dnia pierwszego szlachta się do namiotów swoich pościagała, czuć było wydane rozkazy, rachuby, jakieś wyczekiwanie, politykę. Mazury tylko, jak wczoraj wołali za Henrykiem, tak hałaśliwie, tłumnie, uparcie domagali się go znowu. Płoczanie i szlachta rawska przyłączyła się do pierwszych. Jednogłośnie tu głosowano za Francuzem. Czarnkowski, który się wsunął ku namiotowi, dopytując, czego by się tak spieszenie przed innymi wyrywali, otrzymał na ucho odpowiedź, iż to było hasło z zamku im dane, któremu posłuszni być chcieli.

Jednego tylko biskupa płockiego¹⁸³ potrafił referendarz skłonić, spodziewając się, że to może na Mazurów oddziała, ażeby w głos i otwarcie przemówił za Ernestem i za nim wotował. Dłgiej mowie jego szlachta z początku cierpliwie się przysłuchiwała, potem niektórzy

¹⁸² d y s y d e n c i (z łac.) — różniący się (w wierze) — tą nazwą określano w dawnej Polsce innowierców

¹⁸³ b i s k u p p ł o c k i — mowa o Piotrze Myszkowskim, późniejszym biskupie krakowskim

nie wyspani głośno ziewać zaczęli i krzyże sobie na ustach pisać, wszczął się szmer i mało już kto zwracał na biskupa uwagę. Poparł biskupa tylko podkomorzy warszawski Grzybowski, ale we dwu nie pociągnęli nikogo więcej za sobą. Rawianie z biedy, jeżeli nie Henryka, woleli już Szweda.

Dzień ten spełził na niczym.

Mało które województwo zgodziło się na jednego, jak Mazury; panowie przemawiali każdy za innym kandydatem i do głosowania nie przychodziło. Zdawało się, że czas zamiast skupiać i jednać, coraz silniej rozdwajał i rozstrajał. W niektórych województwach głosy się tak gwałtownie odzywały, że niemal boju się można było spodziewać. Szlachta się lżyła i do szabel rwała. Rdest, Szwed, Piast Bandura, Piast Rosenberg, Francuz mieli zwolenników tu i owdzie; kto ich miał największą liczbę, trudno było policzyć, a Czarnkowski z boleścią widział, iż cesarska sprawa stała we czwartek gorzej niż w poniedziałek, gdy Henrykowa zdawała się polepszać. Prostoduszne Mazury stali przy swym, wołali Henryka kupą, głos się ich rozlegał i miał jakąś siłę pociągającą. Zaczynały i inne ziemie za Francuzem się ogłaszać.

Czas było kończyć!

Czarnkowski widząc, co się święci, obrachował, że trzeba zamęt wzniecić; dał swoim znak, aby głosowano na Piastą. Sam zaś on głosił się za Szwedem.

We czwartek tedy na polu było, jak się wyrażali niektórzy, istne piekło. Ryk, krzyk, wrzask, przekleństwa, kupa przeciwko kupie. Niektórzy kije, inni szable, nie dobywając ich, z pochwami podnosili do góry, popychano się, naciskano. Przejeżdżających panów obstępowały tłumy. — A pókiż to tego będzie? — Złośliwsi wołali, że siano niezgodę umyślnie, aby w mętnej wodzie łowić i bodaj siłą narzucić despotę. Wieści chodziły najdziwniejsze. Wzięli się niektórzy mówić, iż cesarz orężnie i zbrojne chciał wtargnąć; że cesarscy chcą szlachtę rozpędzić itp. Wielkopolanie dla ładu, którego nie było, spisać kazali wszystkich kandydatów, bo ich się namnożyła moc wielka pod imieniem Piastów. Zaczęto czytać głośno wszystkich po kolei, nad każdym złośliwie czyniąc komentarze, które jak z samopałów strzelały z kup otaczających. Gdy na ostatku ktoś wykrzyknął jako kandydata Słupskiego Bandurę, buchnęły śmiechy i zaraźliwie poszły po całym polu, że ich przeszło godzinę utamować nie było można. Poczciwy i zacny Wojciech Słupski pogrzebał wszystkich Piastów z sobą.

Nadszedł nareszcie piątek już, a króla jeszcze nie było. Znużenie i niecierpliwość malowały się szczególnie na twarzach wodzów. Firlej burzył się z gniewu, Zborowski po troszę szydersko uśmiechał się, ale wcale nie tracił animuszu. Pilno było i jemu, ale stał tak, że z omyłek cesarskich korzystać i na nich budować musiał. W piątek wszyscy niemal panowie senatorowie zgromadzili się pod wielkim namiotem królewskim, który obstąpili wysłani od województw deputaci. Przewidywano dnia tego stanowczą walkę, jako też mowy się rozpoczęły zawczasu.

Jakim sposobem pocziwe Mazury Henrykowe i ich sprzymierzeńcy w przemagającej liczbie, bo ich rachowano do trzech tysięcy, obiegli nieznacznie dokoła namiot wielki, to tylko by może niewidocznie tacy sprawcy, jak Talwosz, wytłumaczyć umieli. Drobną szlachtą, zawczasu dobrze nakarmioną, ze wszech stron spływała jakby przypadkiem i ustawiała się jak od niechcienia, ale w końcu żelaznym obręczem objęła panów senatorów i stała sobie spokojnie. Ale działy się rzeczy osobliwe. Gdy który z panów senatorów przemawiał za Francuzem, cisza była taka, jak mak siał; począł inny o Erneście, o Szwedzie, wszczął się szmer, ze szmeru wrzawa, hałas, gwar, iż słowa nikt usłyszeć nie mógł. Przychodziło to niby trafem i przypadkiem, lecz zwalczyć nie było podobna losu.

Wtem podniósł się do głosu starosta Chodkiewicz, którego cesarz, jak wiemy, z dawna pewien był i z nim też całej Litwy, bo on głową jej się stał. Nie wątpili Firlej, Czarnkowski i cesarscy, że za Ernestem da głos, gdy — o cudo — oświadczył się pan starosta za Henrykiem, dodając:

— Henryk się ożeni z królową Anną, a tak i krwi naszej stanie się zadość.

Jeszcze nie skończył Chodkiewicz, gdy Podole wołać zaczęło:

— Henryk z Anną! Henryk z Anną!

Pierwszy raz tak jawnie wystąpiło życzenie narodu, aby ostatnia szczepu gałązka marnie nie uschła. Przemówiło to do serc. Wprawdzie Ernest także mógł i obiecywał się ożenić z Anną, ale ten Niemcem był, a bądź co bądź w każdym Niemcu starego widziano nieprzyjaciela.

Głos Chodkiewicza uderzył jak grom na cesarskich i szalę przeważył. Gdy raz prąd się wziął za Francuzem głosować, Podole i Braclawszczyzna zrobiła po Litwie początek, dalej poszły za nimi łączyckie, lubelskie, bełskie, pruskie województwa, znaczna część Krakowian, Sandomierzan, Sieradzan. Wielkopolska głosowała za Anną samą. Jawnym i oczywistym było, że Francuz weźmie górę.

Już była noc, gdy wszyscy znużeni rozplęwać się poczęli; Czarnkowski głowę tracił, rękami w powietrzu młyńce kręcił zrozpaczony i wołał, że Francuzi Litwę przekupili, że ogromnymi jurgeltami¹⁸⁴ przyobiecany panom zyskali ich sobie.

Na zamku dnia tego na próżno jego i Talwosza do późna oczekiwano; królowa się musiała do łóżka położyć, gdy Litwin nadbiegł z radością na twarzy i przywitał wychodzącą naprzeciw Dosię ręką podniesioną do góry.

— Francuz tak jak wybrany!

Królowa w ciągu dnia odbierała już wiadomości o tym, co się pod wielkim namiotem działo, ale spełna nikt sprawy nie zdał; dopiero Talwosz przyniósł lepszą wiadomość, a to, samo, że Czarnkowski się dnia tego nie pokazywał, miało wielkie znaczenie. W milczeniu przyjęła to królowa i teraz jeszcze nie objawiając radości, ale otaczający ją zmiarkować mogli z rozbudzenia żywszego, iż rada być musiała. Talwosz przy drzwiach stał.

— Kiedyż się to skończy? — słabym głosem spytała Anna.

— Bogu wiadomo, bo opór jest silny — rzekł Litwin — więc gdy przeszkodzić nie mogą, przeciągnąć radzi, a nuż coś im z nieba spadnie. Ale wszystko to próżne, mądrzy oni, my też nie obrani z rozumu.

U Firleja całą noc niemal jedni drugim czynili wyrzuty, kto był winien, że się Ernestowi nie powiodło; dociec nie mogli. Jeden na drugiego zrzucał, ale skutek był ten, że Francuz wziął górę. Przy znużeniu wielkim przewidzieć było łatwo, że ci, co się wahali, przystaną dla dobicia się rychlejszego do końca. Marszałek Firlej bąkał gniewny o użyciu siły, o rozpędzeniu tłumów, wyrwały mu się wyrazy nieopatrzone; ale on sam nie wierzył pewnie w to, ażeby przemocą można co dokazać. Tymczasem słowo nieostrożne, raz wyrzeczone, w świat poleciało. Szeptano sobie do ucha, że pójda działa i moździerz na namiot, i poczty zbrojne się gotują.

W sobotę przed Świątkami namiot znowu był oblężony, od rana mowy głoszone jedno po drugim, ale ich tak jak nikt nie słuchał.

Prymas po cichu szeptał wzdychając:

— Vox populi, vox Dei¹⁸⁵.

Już tylko pięć województw i kawałek Prus opierał się jednomyślności, reszta jednogłośnie się Henryka domagała.

Senatorowie, oblężeni w namiocie, pod wieczór zażądali, aby szlachta się rozeszła i osobno województwami głosowała; ale nic to nie pomogło. Zborowscy i wszyscy Henrykowi zaczęli na prymasa nacierać, aby króla ogłosił, gdyż jawnym było, za kim stała i kogo chciała większość narodu. Cesarskim zostawała jedyna nadzieja w niedzieli, która narady przerwać miała uroczystością, bo w Zielone Świąta nikt o niczym prócz nabożeństwa myśleć nie mógł.

¹⁸⁴ j u r g e l t (z niem.) — płaca roczna, zapłata, nagroda

¹⁸⁵ V o x p o p u l i, v o x D e i (łac.) — Głos ludu, głos Boga.

Wszystkie namioty już były w zieleń postrojone, w mieście kościoły woniały młodą brzezią, każdy dom zdobił się w drzewka i gałęzie. Była to jakby przepowiednia szczęśliwego końca, błogich lat pokoju i pomyślności.

Z obu stron nalegano na prymasa, jedni, aby okrzyknął króla, drudzy, aby się wstrzymał dla nocy, bo pod namiotem ciemno już było. Uchański niepewien, co ma czynić, skłonił się do odłożenia ogłoszenia na po Świątkach.

Na drugi dzień, w poniedziałek, w ostatek miało się wszystko rozstrzygnąć. Jak? Nie było prawie wątpliwości. Cesarscy chodzili pogrążeni w smutku, gniewni, zrozwyczajeni. Nie było ratunku. „Firlej — wołali niektórzy — powinien był niesforne rozpędzić tłumy!” Lecz łatwiej to powiedzieć, niż się ważyć na to...

Noc była wesoła! Święto każde u nas prowadzi za sobą zawieszenie wszelkich czynności, a nawet troski wszelkiej na kołku. Pana Boga chwalić i dobrej myśli zażywać potrzeba. Mało komu, szczególnie z bliższych Warszawy, żony z domu nie przysłały na Świątki kołaczów, placków, mięsiwa, kielbas, jaj i beczulek. Było się więc czym posilać i na co sąsiadów prosić. Odżywało ciało i duch się krzepił.

Kościoły pełne były przez dzień cały. Modlił się każdy, a szlachta, spotykając się, pocieszała tym, że króla tak jak miała.

— Bogu dzięki! Do domu człek pojedzie, żonę i dzieciśka uściska. A, pora!

Z południa zjawił się referendarz na zamku, ale królowa chora leżała i widzieć się z nim nie mogła. Wylał swe żale przed panią krajczyną. Uciśnioną była wolność, przemocą Zborowscy prowadzili Henryka. Lękali się cesarza różnowiercy, religia była zagrożona. Dysydenci teraz mieli wziąć górę, kościoły zabierać, duchowieństwo obdzierać, ojczyznę zgubić.

Łaska starała się go tym uspokoić na próżno, iż Francuz przecież panem katolickim był i nie mógł dopuścić, aby wiara święta uciśniętą została. Referendarz nie dawał się pocieszyć. Był to koniec świata! Wszystko zgubę zapowiadało. Z tym wyszedł nieszczęśliwy.

Nazajutrz rano ściągali się wszyscy pewni tego, że już tylko ogłoszenia króla słuchać będą, gdy pod namiotem na nowo mowy się rozpoczęły. Wszystkie swe boleści wylewali cesarscy.

Gdy się to działo pod królewskim namiotem, Pan Bóg wie, kto puścił wieść:

„Wojewoda Firlej z działami, ze zbrojną siłą ciągnie na pole i wszystko chce w niwecz obrócić.”

Co się w tej chwili stało nagle, opisać niepodobna. Jakby grom w ten tłum uderzył, ruszyło, co żyło, ze wrzawą, hasło dając do oręża! Ulękli się panowie senatorowie, nie umiejąc sobie wytłumaczyć, co się stało.

Tymczasem zawrzało okrutnie dokoła. Henrykowi wszyscy rozbiegli się po oręż i niebawem uzbrojeni namiot otaczać poczęli. Widok był osobliwy, jakby się na bitwę zanosilo: błysły broje na piersiach, podniosły się samopasy, hakownice, przyciągano moździerze, dobywano szable, dźwigano dzidy. Nie upłynęła godzina, gdy kilka tysięcy koni uszykowało się na równinie, piechota przy nich. stając w obronie namiotu, którego nikt napadać nie myślał. Od pocztu do pocztu biegali konni, roznosząc rozkazy, rozstawiając ludzi, wysuwając jednych naprzód, drugim cofać się każąc.

Wojewoda Firlej i zastęp jego przyjaciół nawet tym okazem siły nie dał się zwyciężyć. Rozprawiano, krzyczano, opierali się cesarscy. Niektórzy, rozpaczliwie wyrzekając, zjechali w końcu precz, inni pozostali protestując. Zgody nie było. Czarnkowski ochrypl, dowodząc przemocy.

Zbliżał się wieczór. Zborowscy poczęli na prymasa nalegać, aby znowu wahaniem się, nie dawszy nocy nadejść, nie zwłóknął niepotrzebnie tego, czemu już zapobiec nie było podobna. Zmierzchało, gdy prymas złamany w końcu, mimo oporu Firleja, mimo wołania Czarnkowskich, wstał i donośnym głosem Henryka, księżę andegaweńskie, królem polskim i wielkim księciem Litwy okrzyknął.

Gdy otaczający namiot usłyszeli to, w mgnieniu oka cała równina rozległa się jakby jednym wielkim głosem, który przebiegłszy ją, wcisnął się do miasta i brzmiał długo ponad stolicą Mazowsza. Na polu radość była niezmierna, wielka, nie do opisania; ale też rozpacz i gniewów Firleja i Czarnkowskich wyrazić niepodobna. Referendarz stał jak zdrętwiały, słuchając okrzyku prymasa. Pięść zaciskał, usta się krzywiły.

— Nie koniec jeszcze — mruknął.

Co myślał i z czym późno potem z pola zszedł, ciągnąc do Warszawy, on tylko i kupka, co mu towarzyszyła, wiedziała.

Nim Talwosz mógł królownie przybiec zwiastować szczęśliwą nowinę, na zamku już wiadano o niej. Przyniósł ją naprzód ten okrzyk, który zamek otoczył i aż do komnat jego się wcisnął, potem mnodzy dworzanie, znajdujący się w mieście, poczęli wbiegać, każdy sądząc, iż pierwszym był.

Królowna odmawiała wieczorne pacierze, gdy krajczyna przypadła, niosąc jej do kolan, wieść o Henryku. Serce Anny już przeczuło ją wprzód; lecz nawet przed krajczyną swą nie mogła się z tym wydać, jak ono biło i jaka je radość, nadzieja, marzenia przyszłości przepełniały.

— Bogu dzięki — odparła Anna po chwili — kraj odżyje w spokoju, a ja odetchnę i zwłoki króla nareszcie dostaną się na to miejsce wiecznego spoczynku, na które dotąd czekają. Imię Pańskie niech będzie błogosławione!

Doba ta w życiu Anny Jagiellonki, która nigdy szczęśliwą nie była, może się nazwać istną męczeńską kroniką. Cierpieć ona musi za grzechy ojców, za słabość sióstr swych, za rodzinę, za kraj i za siebie. Obok niej stoją tylko pomocnicy serca dobrego, a bezsilni, i tacy jak Czarnkowski, przekupnie frymarczący sumieniem, którzy sobie, nie jej radzą, o sobie, nie o niej myślą. Ona jedna pamiętną jest wielkiego dostojenstwa swojego, krwi, która w żyłach jej płynie; ona jedna, gdy idzie o zerwanie unii, powiada, że woli zginąć, niż dzieło brata nadwyrężyć, a gdy ją chcą ze spadku po zmarłym wyposażyć, siostrom zatrzymując ich działy, woli cierpieć ubóstwo, niedostatek, niż je skrzywdzić dla siebie. Całe jej postępowanie nacechowane jest najwyższą szlachetnością. Leje łzy, bo jest kobietą; ale znosi upokorzenie, ucisk, zawody, nie dając się złamać.

Kraj cały okazywał wstręt do domu rakuskiego, który jej obiecywał oswobodzenie i zamęście; odrzuciła je, stosując się do życzeń ogółu. Myśl i serce jej przywiązało się naówczas do Henryka, jako do wybranego przez Opatrzność dla niej wybawiciela. Jest to jedną, jedyną słabością tej wielkiej duszy, że marzyła chwilę o szczęściu z Henrykiem, nie znając go, wyobrażając sobie dobrym, łagodnym, szczerym, takim, jakim go ludzie jej starali się przedstawić. Kochające to serce widziało w nim rodzinę, podporę, choćby błysk jakiś krótki szczęścia, którego ona nigdy nie doznała. Nadzieja przebija się w tej chwili życia jak słońce przez chmury, zdradza mimowolnie, ale Anna stara się ją utrzymać w sobie, zamknąć w głębi duszy. Zaledwie mgnienie oka ma trwać to złudzenie i wkrótce w jednym z tych boleściwych listów do siostry, które świadczą, co wycierpiała, wyraża się z przejmującą goryczą:

„O szczęśliwe a błogosławione siostry moje, że tego nie doczekały, czegom ja nieszczęśliwa dożyła”.

Moment, w którym ten wykrzyk miał się wyrwać z jej piersi, nie nadszedł jeszcze. Anna łądzi się Henrykiem jako przyszłym małżonkiem, obiecuje sobie odetchnąć, marzy. Wszystko, co jej ludzie i pisma przynoszą o tym narzeczonym z Opatrzności, chwytą chciwie. Głosy są zgodne, pochwalne. Na wizerunku ten zepsuty i rozpieszczony syn przewrotnej matki wy-

gląda tak łagodnym, tak miłym, jak był w istocie chytrym i zwodnikiem. Między nim a nią są podobieństwa losów, pochodzenia. Bona Sforza przypomina Katarzynę Medycejską.

Czasem Anna wyrzucać sobie musi te marzenia spóźnione; licząc lata swoje i jego, wątpienie i rozpacz ją ogarnia. Miałaby i ta ostatnia zawieść nadzieja? Co naówczas? Gdzie się schroni? Jaką pochwycić nadzieję zbawienia? Z potrzeby kochania myśl jej leci za morze do kolebki siostrzana Zygmunta. Rada by go przybrać za syna, jemu by chciała tron zapewnić. Jak? — Nie wie. Pomiedzy Henrykiem a tym Zysiem drogim ciągle kołysze się biedne serce starzejącej królowej, której Bóg odmówił rodziny, macierzyństwa, przywiązania i dał jej tak nędznie usychać na lodydze. Kobieta walczy w niej teraz z królowną.

Nadchodzi chwila stanowcza, Henryk wybrany. Warunek ożenienia został wciśnięty mimo posłów oporu. Anna w niepewności wyczekuje, jak ten narzeczony znajdzie się względem niej? Odepchnie ją czy przyjmie? Pozna się na sercu czy odrzuci smutną niewiastę?

Od dnia do dnia zwlekała Anna wyjazd za ciałem brata z Warszawy do Krakowa. Chciała mu towarzyszyć koniecznie, uważała za obowiązek stanąć przy tej trumnie, gdy więcej nikogo z rodziny nie było. Tymczasem słabość pół roku ją trzymała przykutą na zamku warszawskim. Z dnia na dzień wyjazd się odkłada, aż do stycznia 1574. Ten pochód żałobny, za którym infantka jedzie z całym swym dworem, ma przesunąć się przez znaczną część kraju, musi więc być uroczystym, ostatnim królewskim pochodem. Króla zmarłego pożegnać powinni raz ostatni wszyscy, co go kochali. Jagiełłów ród z nim schodzi do grobu. Ona za trumną, to przypomnienie tego, co kraj winien jest jej. Na podróż potrzeba pożyczać pieniędzy, królowej brak ich ciągle, panowie niechętnie dają, podskarbi nie zawsze może. Pożyczać potrzeba na most, na podróż, na pogrzeb, na chleb powszedni.

Na ostatek zwlekać już dłużej nie było podobna; Henryk oznajmywał, że przybywa, a pieszczony i przesądny nie chciał zaczynać panowania od pogrzebu, wysłał więc zastępców za siebie, aby uniknąć żałoby.

Królowna z ogromnym pocztem dworzan, którzy się zbiegali zewsząd, aby ostatnią oddać panu posługę, wyjeżdżała z Warszawy. Z nią ciągnęli dworscy, komornicy, urzędnicy z ogromnymi pocztami, słudzy króla z chorągwią jego, drabanci¹⁸⁶. Zwłoki wieziono na okrytym wozie żałobnym, za którym tłumy ubogiego ludu ciągnęły, obdarzane kosztem skarbu jałmużną i strawą.

Wszystkie naprzód stanowiska były wyznaczone; na każdym zamku i dworcu, w którym się zatrzymywano, czekała izba obita kirem. Przed nią zatrzymywał się wóz, nie zdejmowano ciała. Na trumnie kładziono koronę, berło, jabłko i miecz, zapalano świece i pochodnie, stawiano straż z dwu komorników, ośmiu drabantów, dwóch dworzan i dwóch jurgeltników¹⁸⁷ złożoną, i kapelani przez całą noc śpiewali psalmy.

Nazajutrz, po mszy żałobnej w kościele, na którą szła Anna ze swym dworem, ruszano dalej ku Krakowu. Droga szła na Radom i Miechów i zabrała dni jedenaście. Wszędzie na spotkanie ciała wychodziły procesje, bito w dzwony, dworzanie zsiadali z koni, nakładali kaptury, oznakę żałoby, brali świece i przeprowadzali przez każdą wieś i miasto zwłoki, idąc przy nich pieszo. Toż samo często czyniła Anna z dworem swoim, jeżeli przykra roku pora dozwalała. Z Warszawy, co żyło, wszystko się przyłączyło do swej pani, która miała w Krakowie zająć wyznaczone sobie mieszkanie starej królowej Bony i być przyjętą ze czcią należną.

W oczekiwaniu pogrzebu i koronacji jedna część panów i szlachty już zapelniała starą stolicę, inni gotowali się na granicy państwa witać przybywającego monarchę.

¹⁸⁶ d r a b a n c i (wyraz pochodzenia franc. lub włos.) — żołnierze ze straży przybocznej z halabardą, gwardzista

¹⁸⁷ j u r g e l t n i c y (z niem.) — najemnicy

Poprzedzony przez mnogich posłów, przez sługi swe, niezliczonych Francuzów, których nowy kraj pociągał ku sobie, jechał Henryk przez Niemcy, nie śmiejące mu wzbronić przejazdu. Z dobrą czy niedobrą wolą przyjmowano go jak króla.

Tymczasem w Krakowie i wszędzie, gdzie się Francuzi pokazali, zbiegano się do nich, usiłując odgadnąć pana ze sług. Znajdowano ich zabawnymi, grzecznymi, ale razem tak czasem lekceważącymi krajowców, tak nie umiejącymi się do ich obyczajów zastosować, tak dumnymi, gdy co miłość własną podrażniło, iż u wielu szlachty rodziły się już niesmaki. Najwzględniejsi nawet z Francuzów zdawali się dawać do zrozumienia Polakom, że sobie powinni byli winszować, a Henrykowi wdzięczni być, iż raczył przyjąć koronę.

Otwarta, szczerza, wesoła rubasznosc polska odbijała jaskrawo obok galanterii chytrej, ironicznej, pogardliwej Francuzów, którzy się kłaniali szydząc i zdawali drwić ze wszystkiego. Ani jadłem, ani napojem dogodzić im nie było podobna, prychali na wszystko, dziwili się rzeczom najprostszy, a szwargotu ich ani nawet łaciny nikt prawie nie rozumiał¹⁸⁸.

Biednym zimno tu było, głodno i smutno; na twarzach zsiniałych malowało się więcej podziwienia, zdumienia niż radości.

Z tych wszystkich wrażeń, jakie czynili Francuzi przybywający, nie spowiadano się szczerze przed królową. Dwór jej, szcędząc biedną panią, przynosił tylko to, co ją pocieszać mogło. Naprawdę szlachta kręciła węża i myślała w duchu, że lepszym by był może jaki taki Piast albo i Szwed nareście. Ale potęga Francji coś też znaczyła. Zapal dla Henryka, gdy się o Francuzów ocierać zaczęto, ostygł znacznie.

Dla królowej Anny podróż żałobna, zimna, powolna, smutna, będąca niemal jednym nieprzerwanym nabożeństwem za duszę brata, była męczarnią tym większą, że prowadziła do miejsca, gdzie się jakieś nowe, nie dające obrachować życie rozpocząć miało. O małżeństwie natychmiastowym, które by koronację poprzedziło, mowy nawet nie było. Zostawało ono w cieniu i mrokach jakiejś niepewności, odłożone do nie oznaczonego terminu. Mówiono o nim tylko półgębkiem. Anna nie wiedziała sama, czy ma się go spodziewać, czy wyrzec i całą miłość przenieść na siostrzeńca, na tego Zysia (Zygmunta), którego myślą za morzami szukała czasem, pragnąc mu zostać matką.

W Miechowie, w kościele Bożogrobców¹⁸⁹ złożono zwłoki, które nazajutrz uroczystie wiodła siostra na Prądnik¹⁹⁰ do biskupiego dworu, gdzie przez dzień cały spoczywały.

W Krakowie przygotowywano pogrzeb wielce wspaniały. Od Henryka miał się na nim marszałek de Retz¹⁹¹ znajdować razem z dawniejszym posłem panem Rambouillet¹⁹².

¹⁸⁸ Znajomość łaciny była szeroko rozpowszechniona w Polsce w owych czasach, a Francuzów mówiących po łacinie dlatego trudno było zrozumieć, gdyż Francuzi wymawiają wyrazy łacińskie w specjalny sposób, z francuska.

¹⁸⁹ b o ż o g r o b c y (tj. stróże grobu Chrystusa, co było ich pierwotnym obowiązkiem) — zakonnicy sprowadzeni do Polski w r. 1162 przez Jakśę Gryfa; główną ich siedzibą był Miechów, stąd zwano też ich miechowitami; zasadniczym obowiązkiem bożogrobców było usługiwanie chorym pielgrzymom i doglądanie ich; zakon rozwiązano w r. 1819

¹⁹⁰ P r ą d n i k — mowa o Prądniku Białym, miejscowości położonej o 5 km na północ od Krakowa; istniał tu niegdyś piękny pałac biskupów krakowskich; w r. 1574 witano w Prądniku Białym Henryka Walezego

¹⁹¹ m a r s z a ł e k d e R e t z — pierwotne nazwisko jego brzmiało: Albert de Gondy, był synem bankiera w Lyonie, skutkiem małżeństwa z Klaudią de Clerment otrzymał ziemię i tytuł hrabiego Retz; w r. 1573 został marszałkiem Francji, towarzyszył Henrykowi Walezemu do Polski i dopomógł mu stąd uciec; był człowiekiem miernych zdolności i chciwym; zmarł w r. 1602

¹⁹² M i k o ł a j d e A n g e n n e s R a m b o u i l l e t — rotmistrz gwardii króla francuskiego, przybył do Polski po wyborze Henryka Walezego jako poseł z mandatami od tegoż

Pomimo ostrej pory roku uroczystość, wedle tradycyjnych form, odbyła się z wystawą i przepychem nadzwyczajnym. Na Kleparzu, przed kościołem św. Floriana, czekali na wóz żałobny posłowie: cesarski, francuski, węgierski, szwedzki, wenecki, ferrarski, brandenburski, brunświcki, pruski i pomorski.

Gdy po nabożeństwie odbytym tu ruszył pochód, końca mu nie było. Poprzedzało go duchowieństwo, studenci szkół różnych, zakony, tłumy ubogich i ludu. Szli dalej arcybiskup i biskupi, pontyfikalnie¹⁹³ ubrani, za nimi przeszło tysiąc ludzi w czarnych kapach i kapturach z zapalonymi świecami. Chorążowie wszystkich ziem i województw jechali z chorągwiami i pocztami. Królewską niósł wielką Maciejowski, chorąży nadworny. Trzydzieści koni w kapach czarnych jedwabnych poprzedzało trzydzieści mar okrytych jedwabnymi oponami, złotem szytymi. Za nimi ten, któremu Anna przebaczyła, a kraj darować nie mógł ostatnich chwil króla, krajczy koronny¹⁹⁴ na koniu pięknym, we zbroi pańskiej, miał szczęście przedstawiać Persone¹⁹⁵, to jest widmo jakby króla samego. Za nim jadący Garnysz¹⁹⁶ był w szatach króla, drugim takim osoby zmarłego wizerunkiem żywym. Senatorowie szli za nimi pieszo, a za nimi oznaki królewskiego majestatu. Zborowski, wojewoda sandomierski¹⁹⁷, niósł miecz, Piotr Zborowski jabłko, Firlej, wojewoda krakowski, berło. Po obu stronach wozu, na którym spoczywały zwłoki, szło po piętnastu dworzan króla ze świecami. Następowali cudzoziemscy posłowie i przez posłów cesarskiego i francuskiego wiedziona Anna infantka, a za nią szereg długi pań i panien.

Ten dzień po złożeniu zwłok w kościele św. Stanisława na Wawelu był tylko jakby początkiem obrzędu pogrzebowego. Nazajutrz takim samym porządkiem obchodzono inne kościoły.

Nie poetyczniejszego, majestatyczniejszego wyobrazić sobie nie można nad te pogrzeby królewskie dawne, które stworzyło poszanowanie dla swych panów, miłość dla nich i boleść po stracie. Te masy zapelniające kościół, ten katafalk okryty koroną, przy których z kolei kruszono wszystko, co służyło zmarłemu: miecz, tarczę, hełm, włócznię, pieczęcie, laski, na ostatek rycerz konny przedstawiający króla, zapadający się w ziemię u stóp trumny, wywoływały płacz i jęki. Nie można było wyrazić, dobitniej ukazać znikomości wszech ludzkich rzeczy, potęgi wszelkiej i niezblaganego losu skazującego na śmierć wszystko, co żyje.

Potrzebaż mówić, ile siły ducha musiała mieć Anna, aby przybywszy z pogrzebem, dotrzeć do tego ostatniego aktu, gdy widmo brata zapadło się w ziemię w jej oczach, a z nim cała przeszłość? Jutro stało przed nią mgliste, niepewne, straszne, a choć przyjaciele i przyjaciółki dodawali jej otuchy, bić musiało serce obawą i przeczuciem. Godność tylko infantki w Krakowie poszanowaną została. Wyznaczono jej pokoje Bony i dworu dla licznych fraucymmeru, sześć tysięcy nadwornego wojska miała przy sobie, postarano się o to, aby na zamku sreber i sprzętu nie brakło.

¹⁹³ p o n t y f i k a l n i e (z łac.) — tu w znaczeniu: uroczyście

¹⁹⁴ k r a j c z y k o r o n n y — tj. Jerzy Mniszech (zob. przypis 23)

¹⁹⁵ p e r s o n ę (z łac.) — osobę

¹⁹⁶ G a r n y s z — postać rzeczywista, dworzanin królewski

¹⁹⁷ W ustępie tym zaszła pomyłka autora: najpierw wymienił Zborowskiego, wojewodę sandomierskiego (który niósł miecz), tj. Piotra Zborowskiego, bo on był wówczas wojewodą sandomierskim, następnie tego samego Piotra Zborowskiego wymienił powtórnie jako niosącego jabłko. W istocie najpierw Andrzej Zborowski niósł miecz, Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski — jabłko, Jan Firlej, wojewoda krakowski — berło. — Andrzej Zborowski (zm. około r. 1590) był marszałkiem nadwornym i miecznikiem kor.; po śmierci Stefana Batorego jako uczestnik bitwy pod Byczyną po stronie arcyksięcia Maksymiliana dostał się do niewoli, następnie utracił marszałkostwo nadworne.

Łaska i Świdnicka, starsze panie, uśmiechając się, napomykały, iż zawczasu po francusku uczyć się zacząć było potrzeba. Nie wątpiły one, iż Henryk przybywa, ażeby Annę poślubić. Znaczna część panów była tego przekonania, że dla utwierdzenia się na tronie będzie musiał to spełnić.

Ze dworu i fraucymeru Anny z tym językiem przyszłego króla jedna tylko Dosia była obeznaną. Chorobliwe jej niemal pragnienie uczenia się ciągle czegoś nowego skłoniło ją dawniej do obeznania się z mową, która teraz cudownie okazała się dogodną. Anna miała w niej gotowego tłumacza, na którego rachować mogła. Wprawdzie syn Włoszki, jak ona, Henryk musiał z macierzystą mową oswojonym być od kolebki; zaręczano, że po włosku umiał, ale jeden z posłów wygadał się nieopatrznie, iż nie bardzo wprawnie mową tą władał. Na dworze zaś jego większa część nawet najwykształceńszych Francuzów oprócz własnego żadnego innego nie umiała języka. W Polsce, gdzie łaciński tak był naówczas pospolitym, iż cudzoziemcy znajdowali woźniców, z którymi się po łacinie rozmówić mogli, wydawało się to również dziwnym, jak we Francji, iż posłowie polscy wszyscy prawie kilku językami władali¹⁹⁸.

Dosia, biedny Talwosz to znajdował, zmieniała się jakoś w oczach. Zawsze była dumną i nieprzystępną; teraz, gdy poselstwu francuskiemu parę razy za tłumacza służyła, a z Francuzami, zachwyconymi jej pięknnością, spotykać się zaczynała coraz częściej, piękna główka jej się zawracała. Czuła tu wyższość swoją, siłę i choć się z tym nie wydawała, posadzić było można, że zabierała się z tego korzystać. Od pierwszych Francuzów Montluca do ostatnich marszałka de Retz i pana Rambouillet Dosia po kolei wszystkich sobie ujęła i podbiła. Mówiono o niej jak o gwiazdce dworu infantki; zachwycano się nie tylko jej wdziękami, ale rozumem, umiejętnością języka, wyższością nad innymi niewiastami. Przy niej gościł nawet majestat królowej.

Którejże by kobiety oddawana jej cześć nie upoiła?

Francuzi, którzy tylko na migi z innymi rozmawiać mogli, oblegali to zjawisko z zapalem, z uwielbieniem właściwym ich temperamentowi. Zbiegali się, aby ją widzieć, kłaniali do ziemi, wyprzedzali w usługach. Tracili głowy. Śmiała się niby Zagłobianka z tych hołdów, lecz kadziło takie z czasem zawsze działać musi.

Talwosz pierwszy spostrzegł, że w obejściu się z nim przybrała ten ton nowy, z jakim do Francuzów występowała. Patrzała nań z góry. Dotknęło go to mocno, uczuł coś na kształt politowania, pierwszy raz w tym bóstwie dopytawszy słabostki ludzkiej, ale milczał.

W Krakowie Dosia stała się tak nadzwyczaj potrzebną, iż się na chwilę bez niej obejść nie można było. Wołano ją do tłumaczenia kartek, pism, do porozumiewania się z nadjeżdżającymi Francuzami.

Obok niej zjawiał się tu jako pośrednik karzeł Krassowski, który poprzedził króla i ofiarował usługi swoje infantce. Przyczyniwszy się, jak przyznawali wszyscy, do zalecania Polsce Henryka i do jego wyboru, Krassowski dumny był z tego, a teraz cały się chciał Annie poświęcić. Co dzień prawie przychodził na pokoje, zawsze prawie go przypuszczano i słuchano z zajęciem opowiadającego o Henryku. Na sercu mu leżało równie jego zalecić Annie i Polakom, jak ją i ich jemu w najlepszym przedstawić świetle. Żywy, gorący, dowcipny, na pół Polak, pół obyczajem i długim pobytem we Francji Francuz, Krassowski najlepiej rozumiał, jak wiele tu ostrych kantów potrzeba było zaokrąglić, aby bez szkody zetknąć się mogły. Każdy niemal dzień nowe sprowadzał trudności i zadania dla niego. Skarżyli się przybywający Francuzi, żalili przyjmujący ich Polacy. Krassowski, jak mógł i umiał, szczepił porozumienie i zgodę.

Niczym były te drobnostki obok tego, co posłowie po króla wyprawieni do Paryża mieli tam do przebycia, nim na artykuły i wymagania ich zgodzili się doradcy Henryka. Dochodziły

¹⁹⁸ Posłowie polscy, którzy przybyli do Paryża w celu wręczenia Henrykowi Walezemu aktu elekcji, zadziwili Francuzów znajomością języków obcych.

o tym głuche tylko wieści, a ostatecznie wiadano, iż król podpisał, przyrzekł, przyjął, czego żądano, i choć się z podróżą ociągał, choć mu bardzo żal było Francję porzucać, nareszcie do granic Polski się zbliżał.

Ogromny zastęp wszystkiej szlachty najzamożniejszej, najświetniejszej, mogącej wystąpić z niesłychaną świetnością i przepychem, oczekiwał na niego w Międzyrzeczu¹⁹⁹. Piętnaście tysięcy jezdnych, rozstawionych po otaczających pagórkach, wybór i czoło rycerstwa polskiego, witało młodego króla.

Henryk, któremu niezbyt okazałych trzy tysiące Niemców towarzyszyło aż tutaj, stanął niemal osłupiały widokiem, jaki się oczom jego przedstawiał. Obok tych żołnierzy na koniach ciężkich, odzianych czarno i szaro, nie odznaczających się niczym, rycerstwo polskie wydało się idealnym jakimś obrazem. Największa różnorodność uzbrojeń, strojów, barw oręża, kosztowne i najpiękniejsze w świecie konie, rzędy świecące klejnotami, okrycia szyte złotem, skrzydła u ramion jeźdźców, malowane ich tarcze, kołczany, pióropusze kosztowne składały się na zachwycającą barwami i wspaniałością całość. Taż sama różnorodność twarzy, nakryć głowy, postawy, bród i wąsów, siwe włosy obok puklów młodzieńczych zdawały się mówić, że cały kraj wysłał tu na spotkanie, co miał najlepszego.

Król, który niemal całą podróż odbył z uśmiechem szyderskim i znudzonym na ustach, nie kryjąc się przed Pibrakiem i innymi ulubieńcami, iż wszystko to niepospolicie go nużyło, po raz pierwszy wykrzyknął, okazując szczerze zdumienie i zachwycenie. Powtarzano, iż miał się wyrazić zapewne mimowolnie:

— Po raz pierwszy w tej chwili uczułem się królem w istocie!²⁰⁰

Nie mniejsze wrażenie mogło na nim uczynić poselstwo panów senatorów, od którego przemawiał tu do niego poważny Karnkowski. Na łacinę jego zmieszany król, kilku słowami włoskimi odpowiedziałwszy, zdał resztę na Pibraka.

Na zamku w Międzyrzeczu, potem w parę dni w Poznaniu przyjęcie było ochocze, głośnie, wesołe, a tak radosne i szczerze po polsku, iż Francuzom niemal zanadto się serdecznym wydało. Po polsku też zasypano króla mowami długimi, których on ani ocenić, ani na nie odpowiadać nie umiał.

Z Kórnika²⁰¹ na Częstochowę, wszędzie przyjmowany równie serdecznie i huczno, wprost przybył król 14 lutego do Balic pod Krakowem.

Tegoż dnia wiadano o tym na zamku i królowna, do której krajczyna przybiegła z oznajmieniem, iż nazajutrz ujrzy Henryka w Krakowie, potrzebowała się zeprzeć na krześle stojącym blisko, tak słabą się uczuła i strwożoną. Słów jej zabrakło, chustkę przyłożywszy do ust, objęła Łaską i na jej ramionach złożyła głowę, ukryła oczy.

— A! co nam przyszłość gotuje! — szepnęła łkając.

A po chwili dodała:

— Ja jutro tego wszystkiego widzieć nawet nie będę mogła! Jak mu się wyda ta nasza biedna Polska po Francji!

Krajczyna wiele czasu potrzebowała na to, aby z wolna uspokoić Annę i dodać jej odwagi, a wlać w nią to przekonanie, iż Opatrzność nie darmo zrządziła cudowny wybór Henryka, który z sobą Polsce i jej szczęście przyniesie. Anna chwilami zdawała się mieć tę nadzieję, ale wprędce doznane zawody, długie cierpienia odbierały jej ją i szeptała krajczynie:

— Może się Bogu podobało dlatego tylko dać mi teraz otuchy trochę, abym tracąc ją, ucierpiała boleśniej.

¹⁹⁹ M i ę d z y r z e c z — miasto nad rzeką Obrą, około 100 km na zachód od Poznania

²⁰⁰ Opis w powieści przyjęcia króla w Międzyrzeczu na podstawie Gratianiego, wedle którego król wówczas wyraził się: „Dziś dopiero widzę się prawdziwym królem”.

²⁰¹ K ó r n i k — miasto w woj. poznańskim (powiat śremski), znane ze słynnej biblioteki, założonej z początkiem XIX w.

Co moment teraz przybywał ktoś na zamek albo z Balic, lub co młodego pana w podróży widział, i opisywał jego dwór, znajdowanie się Francuzów, ich stroje itp. Rozumie się, iż do królowej nie dochodziły te wrażenia, które by ją zawczasu mogły zasmucić. Nie dopuszczały ich otaczające ją panie. Tego wieczora obficie było gości, opowiadań i sprzecznych poglądów.

W mieście panowało poruszenie nie do opisania, gorączka popisu, radość razem i niepokój. Nazajutrz na powitanie króla występowało, co żyło, z okazałością niesłychaną.

Królowna Anna parękroć wyraziła po cichu żal swój nad tym, iż nic widzieć nie będzie mogła oprócz ostatniego aktu, przybycia na zamek, na którego podwórce ani część nawet pocztów i zbrojnych orszaków dopuszczoną być nie miała. Dosia, która była przy rozbieraniu królowej, westchnęła także nad tym.

— Gdybym choć ja, za pozwoleniem Miłości Waszej, widzieć to wszystko mogła, potrafiłabym opisać najlepiej — odezwała się. — Niech mi tylko Miłość Wasza pozwoli.

— Co ci mam pozwolić? — zapytała królowna.

— Proszę o uwolnienie mnie na dzień jutrzejszy — dodała Zagłobianka z uśmiechem — o nic więcej. Zresztą dam już sobie radę.

Zawahała się nieco Anna, lecz ulubienica tak nagle, prosić i po rękach całować zaczęła, że w końcu milczące przyzwolenie otrzymała.

Godzina już była późna, gdy wybiegłszy z sypialni, śmiała dziewczyna posłała po Talwosza, którego zawsze wiedziała, gdzie szukać miała. Litwin, chociaż dotknięty tym, iż się Dosia nadto Francuzami zajmowała i dozwalała im stroić zaloty, przybiegł natychmiast. Dziewczę odezwało się tonem rozkazującym, nim miał czas otworzyć usta.

— Patrz wpan, abyś mi na jutro do dnia ułatwił wszystko. Przebiorę się po męsku i muszę od rana widzieć wszystko, abym królownie doniosła, jak się odbyło.

— Po męsku! — wykrzyknął Talwosz. — Ależ noc nadchodzi! Sukni nie mamy, przygotowanego nic, a o tym nie myśli panna Dorota, że ją choćby z pięknego lica wszyscy poznają.

— To moja rzecz! — odparła Zagłobianka dumnie. — Czyń wpan, co do niego należy, albo chcesz, abym się zwróciła ku komu innemu?

Talwosz się rzucił.

— Zrobię przez noc, co będzie można — rzekł — lecz mało powiedzieć: przebiorę się po męsku. Musicie sobie strój wybrać i oznaczyć.

Dosia krótko się namyślała.

— Włoski strój mnie przysposóbcie — rzekła.

— A z włosami co będzie?

— Nie potrzebuję nakrycia z głowy zdejmować przed nikim, beret lub kapelusz okryje włosy.

Jakim sposobem potrafił Talwosz nazajutrz rano całe ubranie dostarczyć Dosi, która na koniu, po męsku jechać z nim się ofiarowała, nie tłumaczył się z tego. Strój był piękny, choć w oczy nie bijący, a na wierzch jego płaszczyka z futrem nie brakło. Koń spokojny był przysposobiony. Posłuszny Litwin dostarczył wszystkiego, lecz pomimo to wielce był niespokojny i wyprawę tę odradzał jeszcze, tylko że z Dosią rozprawiać i przekonać ją, gdy się uparła, było trudno.

W godzinę po dostarczeniu jej stroju Zagłobianka wyszła przebrana, jaśniejąca pięknnością, którą męski strój podnosił jeszcze, wyglądająca tak uroczo, że wszystkich oczy ściągnąć na siebie musiała. Ubiór ten, którego dotąd nie nosiła nigdy, tak jej dobrze przystawał, tak się umiała do niego w ruchach i postawie zastosować, że Talwosz osłupiał.

— Panno Doroto — zawołał — raz jeszcze pozwól mi powtórzyć sobie, że ja za ten krok jej nie biorę na siebie odpowiedzialności. Odradzałem i odradzam. Ściągnięcie oczy... Francuzi...

Nie dała mu dokończyć. Męstwem zuchwałym twarz jej pałała.

— Na koń! — zawołała. — Dość gadania.

Co się z biednym Litwinem działo, on jeden wiedział. Cierpiał okrutnie, bo i obawa o dziewczę, i zazdrość go dręczyła, a stało się to, co przewidywał, iż Zagłobianka, która się wcale z sobą nie ukrywała, oczy ciekawe zwracała na siebie. Domyślano się w niej czy nie przebranej kobiety? — Nie wiadomo, ale szlachetna postawa, nadzwyczajna piękność rysów twarzy kazały się w niej domniemywać jakiejś niepospolitej osobistości.

Zagłobianka uparła się szukać sobie takiego miejsca, z którego by mogła widzieć wszystkich i wszystko. Talwosz jej musiał przebojem często torować drogę, bronić stanowiska, aż do miecza się zrywając.

Oddziały pańskie, które wyciągnęły na powitanie Henryka, miały co najmniej każdy po trzystu ludzi, a było ich przeszło trzydzieści, jedne nad drugie okazalszych. Tak samo jak niegdyś na powitanie Elżbiety rakuskiej sadzili się senatorowie na wspaniałość i wytworność, na przesadzenie jedni drugich fantazją, którą tylko upodobanie ich i możliwość ograniczały. Oddziały niektóre były przystrojone na sposób francuski, włoski, brunświcki, węgierski, ruski.

Na Francuzach największe wrażenie zdawały się czynić poczty węgierskie w hełmach, w kolczugach²⁰², z długimi tarczami, tak okrywającymi ludzi, iż głowy ich tylko zza nich wystawały, z ogromnymi dzidami malowanymi i złocnymi; okrycia koni skórami niedźwiedzi i lampartów, przy których poczepiane były dzwonki i skrzydła w złoconych osadach. Stawali, wlepiając oczy w te postacie, które się im widziadłami jakimiś wydawały. Stroje kozackie i ruskie nowymi też dla nich były zarówno z tatarskimi. Iście polska fantazja nawet niedźwiedzie żywe w kagańcach posadzała na konie dla popisu. Króla przeciągającego przed oddziałami witały one Wystrzałami z organków na wozach stojących, które się obracały i mieściły, gdzie im było potrzeba. Trąby i kotły wiezione na koniach, huk wystrzałów, okrzyków na cześć przybywającego dosłyszeć nie dawały.

Pierwszy z pocztów, który witał Henryka, był arcybiskupa gnieźnieńskiego, przybrany z węgierska w aksamit czarny ze złotem. Prymas jechał w kolebce szkarłatnej, sześcią końmi ciągnionej, po obu stronach mając biskupów poznańskiego i plockiego. Za nim ciągnął arcybiskup lwowski, kamieniecki, krakowski z ludźmi po włosku ustrojonymi, w futrach kosztownych; dalej inni biskupi i senatorowie. Na czele ich jechał krakowski pan²⁰³ z oddziałem Tatarów i Węgrów w zbrojach lśniących. Żaden z tych pocztów nie był do drugiego podobny; barwy, szycia, złoto, srebro, futra, zbroje, skrzydła, coraz inaczej się mieniły spojone, coraz dziwniej podobierane. Wśród tego oślepiającego przepychu odznaczał się Albert Łaski²⁰⁴ swymi Tatarami i Węgrami, których konie, rynsztunek, uzbrojenie rwały oczy. Za Polską ciągnęła Litwa z Radziwiłłem na czele i jego ludźmi w szkarłatach, Chodkiewicz i mnoga drużyna, nie dająca się bogactwem zaćmić ani liczbą. Któż policzy idące za nimi poczty senatorów Wapowskiego, Tarnowskich, Opalińskich, Zamoyskich, Rejów, których skarbcie i odwieczne skrzynie na ten dzień uroczysty się wypróżniły?

Gdy się te szeregi ustawiły na równinie pod miastem samym, widok był, od którego Henrykowi serce po wtóry raz mogło uderzyć, jak gdy go na granicy witano.

Biskup plocki wystąpił w bramie triumfalnej z mową, na którą znowu Pibrak tylko odpowiadał. Naturalnie dopytywano o niego, co zaczął być i jak się zwał, a nazwisko z ust do ust sobie ludzie podając przekręcili na Psibrat i ono mu pozostało.

Spoglądano na króla, wszystkim się wydał cienkim, małym, delikatnym jakimś, a chude nóżki, w obcisłym stroju, szlachcie bociana przypominały. Ona wolałaby była szerokich ramion, pięści silnej, zbudowanego od siekiery żołnierza i wodza — los jej dawał pieszczonogo

²⁰² k o l c z u g a — pancerz

²⁰³ k r a k o w s k i p a n — kasztelan krakowski

²⁰⁴ A l b e r t Ł a s k i — (1533 — ok. 1597) był wojewodą sieradzkim od r. 1565

dzieciaka, laleczkę strojną jak do wertepu²⁰⁵. Niektórzy ciekawsi dopatrzyli się u uszów przywieszonych kolczyków i nawet mówić o tym nie śmiano, tak się to poczwarnym wydało i nie do wiary.

Noc już była, gdy Henryk wjechał do oświetlonego miasta. Tu na wąskich ulicach ci, co bliżej szli, lepiej mu się mogli przyglądać.

Dosia, której zuchwalstwu dziwnie się szczęściło, wybiegła naprzód, aby miejsce zająć takie, z którego by Henrykowi długo i bacznie przypatrywać się mogła. Ukazał się jej w końcu; pod baldachimem ze złotogłowu, niesionym przez panów radnych stolicy, otoczony halabardnikami szwajcarskimi i arkebuzjerami²⁰⁶ gaskońskimi, na pięknym białym koniu, z rzędem wspaniałym, cały czarno, w futrze sobolowym, w toku na głowie opasanym sznurem szmaragdów, z ogromną spinką diamentową nad czołem.

Dosia stanęła tak, iż się z nim oko w oko spotkać musiała.

Jechał błady i zmęczony, z twarzą, na której nuda mimowolnie się wypiętnowała, dopiero gdy oczy jego, błądząc po tłumie, trafiły na uroczą twarzyczkę Zagłobianki, która zuchwale wzrok w niego wlepiała, drgnął i dopóki tylko mógł ją oczyma ścigać, nie spuścił ich z tego oblicza, które widocznie go pociągało pięknnością niewieścią ku sobie. Żaden z wymokłych minionów²⁰⁷ towarzyszących Henrykowi z tym tajemniczym młodzieńcem równać się nie mógł.

Co sobie oczyma powiedzieli dumna dziewczyna i zniewieściały Francuz, Talwosz nie umiał odgadnąć, widział tylko, że na twarz Dosi wypłynął krwawy rumieniec.

Zagłobianka, ledwie już okiem rzuciwszy na książąt Nevers i Mayenne²⁰⁸, na resztę orszaku wiedzonego przez wojewodów i kasztelanów nie czekając, aż powolny pochód przeciągnie przez wszystkie bramy, którymi droga do zamku była poprzecinana, dała znak Talwoszowi, iż chce uprzedzić na zamek Henryka. Znowu się więc przedzierać z nią musiał przez zbite tłumy i z niemałą trudnością potrafił ją na Wawel odprowadzić. Cały dzień przebywszy na mrozie i na koniu, Zagłobianka, bynajmniej nie okazując znużenia, dała się zсадzić z siodła i nie podziękowawszy nawet Litwinowi, uciekła się przebrać, aby królownie zdać ze wszystkiego sprawę.

Wkrótce potem dzwony kościelne oznajmiły, iż król się znajdował w katedrze, z której *Te Deum*²⁰⁹ rozlegało się dziękczynne.

Z okien swoich pokoiów widzieć mogła Anna, jak go nareście już nocą na zamek wprowadzono, gdzie króla i panów, posłów obcych i dostojniejszych gości uczta na dole oczekiwała.

Tak dzień się ten skończył nużący dla wszystkich, a może najtrudniejszy do przebycia dla Anny, która z trwogą coraz rosnącą oczekiwała widzenia człowieka znanego jej dotąd z wizerunków i pochwał, równie jak one upiększających. Z okien przemknął się jej tylko szczupły, drobny, dziecinnie jakoś wyglądający chłopaczek. Postawiła go w myśli przy sobie i zasmuciła się. Paziem jej... byłby bardzo miłym — na towarzysza życia poważnej Jagiellonki zdawał się niedorosłym jeszcze. Westchnęła. Zjawiającą się Dosię, której twarz od zimna i od doznanych wrażeń pałała, królowna i panie obstały z ciekawością niezmierną. Widziała wszystko, przypatrzyła się królowi, mogła lepiej niż drudzy opisać go, odgadnąć.

²⁰⁵ w e r t e p — szopka

²⁰⁶ a r k e b u z j e r — żołnierz uzbrojony w arkabuz (arkebuz), tj. hakownicę (broń ręczną palną). W pierwodruku błąd drukarski „arkubzjerami”, co poprawiono.

²⁰⁷ minion (wyraz urobiony z franc. *mignon*) — pieszczoszek

²⁰⁸ K s i ą ż ę N e v e r s i K a r o ł k s i ą ż ę M a y e n n e istotnie towarzyszyli Henrykowi Walezemu do Polski.

²⁰⁹ T e D e u m (łac.) — Ciebie, Boże (chwalimy...); początkowe słowa hymnu dziękczynnego

Zawiodły jednak nadzieje, Zagłobianka weszła zmieszana, a znużenie, może teraz się dopiero czuć dające, nie dozwalało jej opowiedzieć tego, co widziała.

Król... król wydał się jej pięknym jak wizerunki, które pokazywał karzeł Krassowski, ale Dosia znajdowała, że męskiego w nim niewiele było, chociaż wdzięk w sobie miał wielki i siłę potężną we wzroku. Nie opatrzyła się zdradzając, iż ten wzrok spotkać musiała i na sobie go doświadczyć. Dopiero gdy się to z ust wyrwało, usiłowała wytłumaczyć tym, co słyszała od ludzi.

Zagłobianka mówiła jeszcze, gdy nadbiegł Krassowski, który na dole króla do stołu idącego czas miał pochwycić i kilka słów z nim zamienić. Karzeł, ręce na piersiach krzyżując, zaręczał, iż Henryk był wszystkim zachwycony, że Polska przeszła jego oczekiwania, a wspałałość przyjęcia Francuzów w osłupienie wprawiała.

— Nie nowina dla nich — mówił, śpiesząc się jak zawsze i syjąc słowami, jakby się lękał, by mu ich nie odjęto — nie nowina dla Francuzów przepych, złoto i srebro, ale takiej fantazji cudnej, takiego wymysłu i rozmaitości, takiego kunsztu w barbarzyńskiej Polsce nigdy się nie spodziewali.

Krassowski nie mówił może wszystkiego, co słyszał, lecz rokował jak najlepiej o przyszłości. Orzeł, który stał na bramie w rynku, wesoło witając pana nowego, skrzydłami trzepotał²¹⁰. Wśród tysięcy ludzi żadnego nie zgnieciono, nikt się nie poskarżył, nikt nie zginął.

Anna słuchała smutna trochę i zadumana.

W tym dniu o niej wcale mowy nie było, jakby nie istniała. Kiedy przybyły miał ją powitać? Nie śmiała pytać nawet.

Nazajutrz z równym przepychem wedle starego obrzędu odbyć się miała koronacja, lecz noc, która ją poprzedziła, burzę się gotować zdawała. Ci, którzy Henryka wyborowi przeciwni byli, podszeptali dysydem, iż przy składaniu przysięgi wolność wyznań i sumienia pominęta być miała. Nie było jej w prastarych formułach, bo wiara żadną reformą zagrożoną nie została, teraz zawarowano sobie w Paryżu dodatkowo przysiężenie dobitne zachowania praw wyznań od katolickiego się różniących. Artykuł ten stał w wydanych przez króla poręczeniach i paktach, ale duchowieństwo katolickie chciało go pominąć milczeniem.

Kto podszeptał Firlejowi, iż się to stać mogło i groziło? Kto wieść tę puścił z wieczora pomiędzy wodzów dysydem i poburzył nią umysły? Na zamku już wieczorem przy uczcie różnowiercy się tym obeszali. Nieprzyjaciele nieprzejednani Firlej i Zborowski, który króla na tron prowadził, zgodni w tym byli, że Henryk swobody dysydem poprzysiąc musiał.

Katolickie duchowieństwo wcale o tym nie zdawało się zawczasu uwiadomionym. Arcybiśkup naturalnym znajdował trzymać się dawnej formy przysięgi, która mogła przejść nie postrzeżona. Na przyszłość Henryk miał ręce swobodne, sumienie nie związane niczym.

Szeptano już dokoła stołu, gotując się na dzień jutrzejszy, gdy król, Francuzi i duchowieństwo nie miało najmniejszego przeczucia tego, co się gotowało na ostatnią chwilę najuroczystsza.

Kościół był przepelniony od rana, a ci, którym szło o to, aby wystąpić mogli z głosem i protestem, zawczasu sobie miejsce zabezpieczyli.

Król przywiedziony uroczystie do katedry zasiadł na przygotowanym tronie, królowna Anna zajęła ze swym dworem łóżę jej przeznaczoną, z której raz pierwszy lepiej przypatrzeć się mogła temu, który dotąd zdawał się dla niej przeznaczonym małżonkiem. Z obawą zwróciła wzrok ku niemu, patrzyła długo, zbłądła i ukląkszy z zakrytą rękami twarzą, modlić się zaczęła.

²¹⁰ Nawet ten drobny szczegół jest historyczny.

Rozpoczął się powolnie, uroczyście, śpiewami i modlitwami przerywany obrzęd koronacyjny. Cisza panowała w kościele, królowna modliła się ciągle, a krajczyna, klęcząc za nią, leżąc na jej oczach domyślała. Nagle przzerwano śpiewy. Prymas stał przed wielkim ołtarzem i odmawiał modlitwę, król klęczał, oczekując na przysięgę, którą miał złożyć. Jeszcze chwila i wszystko by przeszło spokojnie. Wtem wśród momentu milczenia grobowego głos podniósł Firlej i wezwał króla, aby w przysiędze pokój dysydyntom zapewnił.

Duchowieństwo z arcybiskupem stało milczące. Na twarzach biskupów widać było przerażenie, jeden prymas pozostał na oko obojętnym. Niektórzy z pasterzów, oczyma się porozumiewawszy, poczęli szeptać i coraz głośniejsze odzywać, iż stara forma zachowana być powinna. Za nimi głos podniósł Chodkiewicz. Kościół, o zgrozo, zmienił się jakby w salę obrad namietnych. Spośród tłumu wyrwały się coraz krzykliwsze:

— *Pacem inter disidentes!*²¹¹

Za Firlejem teraz wstał Mikołaj Radziwiłł, a nawet wojewoda sandomierski Zborowski.

Królowna w łożu klęcząca, przerażona, osłabła, odchyliła się od okna, nie chcąc widzieć ni słyszeć, co się działo. Dochodziło do niej głuche jakby warczenie z głębi tłumu, który napełniał kościół. Namietne wykrzyki, spór, kłótnie odbijały się o sklepienia kościelne. Cizba ciekawa cisnęła się ku wielkiemu ołtarzowi i kołysała jak fala burzą podjęta. Ponad nią widać było ręce podnoszące się do góry. Groźby warczały w powietrzu:

— Przysięgać musi!

Francuzi obecni temu, wcale nie przygotowani do tej sceny, nie mogąc przewidzieć końca, zgorzeli wybuchem, stali przerażeni, dopytując; niektórzy z nich, widząc w tym spisek i zasadzkę, chwyтали już za szpady.

Obraz był rzadki w dziejach. Sędziwy arcybiskup, klęczący w oczekiwaniu król, duchowieństwo nieposzanowaniem kościoła oburzone, dysydenci tym zuchwalsi, iż się czuli mniejszością, pobożni strwożeni, bojaźliwi przewidujący skalanie miejsca poświęconego; wszystko to zmieszane razem, w tłumie ściśniętym walki na gorące słowa, ruch przy cizbie gniotącej słabych, mogło najśmielszych widzów zastraszyć.

Dwukroć biskup chciał przystąpić do króla z dawną formą przysięgi, a krzyki namietne nie dopuściły go. Protestowano głośno:

— Nie przysięże pokoju, nie damy korony. Około wielkiego ołtarza było samo ognisko tego boju. Oczy pały, drżały ręce, szeptano, naradzano się. Henryk podnosił błagające oczy ku arcybiskupowi, zwracał je ku Zborowskiemu, ale Zborowscy też domagali się zaprzysiężenia pokoju. Opór był tak gwałtowny, iż ulec mu stawało się koniecznością. Henryk szeptał do stojących przy sobie, iż gotów jest na wszystko. Niepodobna było przerwać w sposób tak gorszący rozpoczętego już obrzędu.

Arcybiskup uległ woli jego. Jeszcze w głębi kościoła trwały gorące utarczki między katolikami a dysydyntami, nie uspokoił się tłum, gdy król wyrzekł głośno owe żądane:

— *Pacem inter dissidentes de religione tuebor et manutenebo*²¹².

Firlej, który stał najbliżej, podniósł się na stopień ołtarza i zawołał głosem donośnym:

— Senatorowie i posłowie, król złożył przysięgę żadaną, chcecie, aby był ukoronowany?

— Przysięgł na pokój dysydyntom? — poczęła wołać szlachta niespokojnie.

— Przysięgł — odparł Firlej.

— Niech będzie ukoronowany! *Vivat rex! Vivat!*²¹³ Arcybiskup włożył mu na skroń koronę Chrobrego, a w kościele długo jeszcze wrzawa się ukołysać całkiem nie dała. Królownę

²¹¹ *Pacem inter dissidentes!* (łac.) — Pokój między dysydyntami!

²¹² *Pacem itd.* (łac.) — Pokoju religijnego między dysydyntami będę strzegł i utrzymam go. — Wyraz „manutenere” pochodzi z łaciny średniowiecznej.

²¹³ *Vivat rex! Vivat!* (łac.) — Niech żyje król! Niech żyje!

Annę osłabłą wyprowadzono z łoża na zamek. Zwycięstwo zostało przy różnowiercach, z wielką goryczą i upokorzeniem katolików.

Na chwilę zażegnane było niebezpieczeństwo, przywrócony pokój pozorny, ale chwile takiej gorączki zawsze zostawiają po sobie nie zagojone blizny. Ci, co się ścierali w kościele, pozostali wrogami; rozejm chwilowo zawarty zapowiadał wojnę długą, a pierwsze odniesione zwycięstwo wcale nie ręczyło za ostateczne następstwa w przyszłości. W kościele wszyscy pozostali ze zburzonymi umysłami, z krwią zaognioną, z na pół w ustach przeciętymi wyrzuty wzajemnymi, które gdzie indziej wysypać się miały. Nikt nie był uspokojony, a duchowieństwo wrzało niechęcią przeciwko burzycielom powszechnego pokoju, chociaż oni należeli do najwyższych kraju dostojników.

Gdy po zasiadzeniu na tronie i odebraniu przysięg od senatorów król w stroju swym obywatelskim zasiadł z nimi razem do stołu, na twarzy jego i Francuzów widać było nie tajoną już ich niechęć ku Polakom i nieprzejednany wstręt, który się łączył z obawą. Chwila ta rozstrzygnęła o dalszych stosunkach między obcym panem i garstką jego dworu a krajem, któremu przybywał panować.

Henryk doskonale udawać umiał uprzejmość, przejednanie, wdzięczność, lecz w sercu jego była odraza do tych burzliwych poddanych, którym wcale już nie ufał. Francuzi otaczający go szli dalej jeszcze, milczeli z zaciętymi ustami, ale nieprzejednana nienawiść się w nich zrodziła. Spodziewali się tu uległości, znajdowali nieugięty opór. Sądząc się o wiele wyżej niż od Polaków, nie mogli im tych wymagań przebaczyć.

Otaczający króla Polacy starali się dnia tego jeszcze zatrzeć wrażenie smutnej sceny koronacyjnej. Katolicy zrzucili całą winę na bezwstydną zuchwalstwo dysydentów, Zborowscy starali się króla przekonać, iż chciano jego i ich oszukać.

Wśród tych uroczystości, które mało królowi zostawiały czasu dla zbliżenia się do infantki, zwrócono wręcz jego uwagę, że powinien był ją powitać. Czas i godzina wyznaczone zostały.

Z bijącym sercem Anna przygotowała się do tego spotkania. Ona i dwór jej musiały wystąpić z przepychem i wykwinnością, od których od dawna były odwykły.

Henryk, który w czasie tym właśnie krwią pisał listy do pozostałych w Paryżu kochanek²¹⁴, dla kobiet zawsze z nawyknięcia był niesłychanie grzecznym. Natura i wychowanie czyniły go zalotnym, chciał się podobać i te nawet zdobywać serca, o które nie dbał wcale. Ubrany jak laleczka, okryty klejnotami, woniejący, strojny, zręczny, mimo zużycia wczesnego ujmujący wdziękiem młodości, stanął przed poważną królową, starając się widocznie pozyskać ją sobie. Jakoż ujął ją i oczarował nie tylko słodkimi słowy, jakimi ją przywitał, ale samym dźwiękiem głosu, uśmiechem i obejściem się pełnym pieśczętliwości jakiejś, która zachwyciła Annę. Całą tę komedię zalotów wzięła ona za szczerą prawdę. Henryk wydał się jej niezrównanie pięknym, niewypowiedzianie łagodnym i miłym. Twarz jej mówiła mu, jak wdzięcznie i serdecznie go przyjmowała. Rozmowa toczyła się po włosku, bo Anna mówiła doskonale tym językiem, Francuz zaledwie znośnie, ale umiał się ratować tak zręcznie uśmiechami i gestami, że się mało zdradził z tą niewprawą we włoszczyznę.

W czasie tych pierwszych odwiedzin, które dla zbyt zajętych godzin trwały zaledwie kwadrans, król, który rozmawiał więcej oczyma niż usty z królową, miał nadto czas przebiec nimi fraucymer, który jej towarzyszył, i znalazłszy wśród niego tę samą twarzyczkę cudownie jaśniejącą pięknnością, która go w męskim stroju w czasie wjazdu uderzyła mocno, dał poznać Dosi, jak wielkie na nim zrobiła wrażenie.

Po wyjściu Francuzów i Anna, i Łaska, i inne panie wybuchnęły z pochwałami dla niego, unosząc się nad tą galanterią w Polsce niewidzianą, grzecznością, słodyczą, obejściem, które upoiły wszystkie panie. Nie tała się królowa, że podzielała to ich zdanie o królu, i na chwilę

²¹⁴ Król istotnie pisywał krwią listy do księżniczki de Conde.

także rozmarzyła się, dała uwieść nadziei. Zdawało się jej, że i ona musiała na nim toż samo uczynić wrażenie, a towarzyszki potwierdzały to i radość dnia tego była powszechna.

Nazajutrz powtórzone odwiedziny, równie krótkie, w ciągu których król z większą poufałością, żartobliwie, wesoło starał się zabawiać Annę opowiadaniem o tym, jak go nowi dla niego ludzie, obyczaj, stroje zachwycaly — potwierdziły i podniosły jeszcze dnia pierwszego uczynione wrażenie. Anna modliła się, dziękując Bogu i prosząc Go tylko, aby ten początek szczęśliwy nie prowadził do smutnego rozczarowania i zawodu. Nie miała dotąd Henrykowi nic do wyrzucenia, był tak niesłychanie zajęty, umęczony, porywany, iż więcej czasu poświęcić jej nie mógł.

O ożenieniu, które miało być włożone w pakta i poręczone, jakoś dotąd nie mówiono wcale, nie ukazywało się ono nawet na bardzo odległym horyzoncie. Milczeli wszyscy, ale honory oddawane infantce, znalezienie się króla, zdawały poręczać za nie. Rzeczywiście zaś nikt dotąd ani słowem o tym nie śmiał napomknąć Henrykowi, a on umiejętnie bardzo uprzejmością zwłokę starał się osłodzić. Anna za siebie upomnieć się nie mogła. Bliżsi jej zdawali się pewni szczęśliwego końca. Biskup chełmski, pani Łaska, Chodkiewiczowa i inne przypuszczane do królowej, ciągle zmuszały ją rumienić się, czyniąc aluzję do małżeństwa i domniemywając się, iż Anna bardzo życzliwą była dla przyszłego pana. Było to powszechnie uznanym i przyjętym; chodziły gadki po dworze całym, że królowa sprzyjała wielce Henrykowi, że on się jej podobał, że była nim zachwyconą. O nim nie mówiono wcale.

Tymczasem uroczystości, turnieje następowały jedne po drugich... król musiał występować wszędzie. Anna także ukazywała się tam chętnie. Zamieniano ukłony i uśmiechy. Gdy się z dała spotykali z sobą, a Henryk zobaczył królową, pozdrawiał ją publicznie z największym poszanowaniem i uprzejmością, Anna rumieniła się jak młode dziewczę. Coraz żywiej zajmował ją widocznie, trudno to ukryć było — dwór oczarowany wtórował jej gorąco. Z najmniejszej drobnostki wyciągano wnioski, tłumaczono słowa, nadawano znaczenie wejrzeniom, ruchom i starano się w królowie uczucie rodzające się ożywić.

W ostatni wtorek Anna wraz z królem znajdować się miała na weselu u Zborowskich, którzy opóźniwszy się na wjazd, teraz z całym przepychem pańskim swojego domu występowali sami jedni.

Do dworu Henryka przyplątał się był od dni kilku Włoch, który dowcipem, maszkarami, odgrywanymi małymi scenami, figlami różnymi króla i panów zabawiał. O tym signorze Paolo Magnifico²¹⁵, którego poufalej zwano Mago, zdania były podzielone. Jedni mieli go za prostego trefnisia i kuglarza, który za zarobkiem gonił, drudzy podejrzewali nie bez przyczyny, iż był szpiegiem książąt włoskich (toskańskich), którzy radzi byli wiedzieć, jaki obrót na dworze polskim miały nadać okoliczności stosunkom Henryka i infantki. Wszyscy jednomyślnie sławili Włocha jako niesłychanie zręcznego, śmiałego dowcipnisia, który śpiewał doskonale, błaznował, głosy różne udawał, na cytrze grał, tańcował, maski w rozmowy improwizowane wprowadzał i sam z nimi sceny zabawne odegrywał, tak że najsmutniejszych mógł do wesołości zmusić. Śmieli się z niego nawet ci, co go nie rozumieli, tak wiele i dobitnie sama twarz jego mówiła. Mężczyzna był urody pięknej, gibki, zręczny, mający talent Włochom łatwo przychodzącej mimiki, rozwinięty do wysokiego stopnia, a szczególnie zdumiewający śmiałością i rzutkością słowa. Półtrefniś Mago, korzystając ze swej roli, pozwalał też sobie wiele.

Miano dawać do stołu, królowa otoczona paniami swymi wyszła tylko co na pokoje, gdy jej oznajmiono Włocha Mago, jako posła od króla, a wnet za paziem wpadł signor Paolo z ukłonami do ziemi, ze śmiechem, z potokiem słów, który całe towarzystwo do zapustnej wesołości nastroił.

²¹⁵ P a o l o M a g n i f i c o — postać rzeczywista

— Miłościwa królewno — zawołał od progu — jestem posłem nie tylko króla, ale wesela! Za mną idą w ślad śmiechy i pustota! Są to dni, w których Kościół pozwala figle stroić, nim głowy popiołem posypie, a Najjaśniejszy król polski rad by ani jednej posepnej twarzy nie widzieć w całym swym państwie. Przynoszę pozdrowienie od stęsknionego pana, którego senatorowie nudzą, aż mu uszy od mów bolą. Sam nie mógł przybyć, niestety...

Królewna przyjęła go z uprzejmym uśmiechem.

— Jakże się wam Polska wydała po Włoszech? — spytała.

— Cudownie — rzekł Mago — ale więcej w niej złota niż słońca i futra niż gorąca. Naród rycerski, a śmieje się bardzo ładnie. Króla dziś — dodał — w Rynku miasto przyjmuje, gdyby napalić choć kazali. Prawda, że tu w złotych dzbanach płynny ogień leje się obficie.

Misy już na stół podawać zaczęto i panie stanęły przy swych krzesłach, a królewna z Włochem rozmawiając i słuchając dowcipów jego, nie myślała siadać. Sądziła może, iż go rychło odprawić potrafi. Włoch chciał dłużej pozostać i rachował zapewne na przypuszczenie do stołu.

— Miłościwa Pani — odezwał się ciszej — polewka stygnie, a wy nie spieszycie do niej? Miałoby być powodem tego zadumania, że wczoraj król dotknął jej ręki?²¹⁶

Zarumieniła się niezmiernie Anna, usłyszawszy śmiały ten wykrzyk, ale może nie było jej przykrym, że upatrywano między nią a Henrykiem zawiązujące się bliższe stosunki. Kazała stolik nakryć przy sobie dla Włocha, który nie przestał prześladować ją Henrykiem, dając do zrozumienia, iż i on zajęty jest infantką.

Od trefnisia trzeba to było przyjąć bez gniewu. Mago razem jadł, pił za zdrowie króla i ośmielił się prosić Anny, aby i ona razem to drogie wychyliła zdrowie, czemu się ona wcale nie opierała. Zmusił potem wszystkie panie, aby i one za pomyślność tak pięknego, młodego i tak dziwnie dobrego króla wychyliły kubki.

Naprzeciw niego w końcu stołu siedziała Dosia, którą Włoch tak jakoś ścigał oczyma napastliwie, jakby do niej też miał szczególne poselstwo. Nie przeszkadzało mu to bawić infantki, rzucać dowcipami, odegrywać razem rolę starych, młodych, dzieci i pań, których głosy przybierał z kolei.

Ze wszystkich siedzących u stołu tylko królewna, dwie panie cokolwiek i Zagłobianka rozumiała dobrze po włosku. Parę też razy wmięszała się do rozmowy bardzo zręcznie, co Włocha jeszcze więcej ożywiło. Rzucił jej przez stół parę komplementów, które zapłaciła śmiałym wejrzeniem.

Pod koniec obiadu, dosyć nadworowawszy przy królewnej, coraz coś nowego wymyślając dla zabawy, Mago począł biegać około stołu i z mimiką przedstawiać razem dwu kłócących się z sobą o piękną panią młodzieńców. Zmieniał tak twarz, postawę i głosy, że w istocie z dała zdawać się mogło, iż nie on jeden, ale dwu innych było ludzi. W tej wędrówce około stołu, skończywszy scenę wybornie odgrywaną, za którą królewna podarek kilkadziesiąt skudów²¹⁷ wartujący przynieść mu kazała, Mago znalazł sposobność rozmówić się z pięknym dziewczęciem, tak że nikt nie spostrzegł tego.

— Signorina!²¹⁸ — rzekł żywo. — Klnę się na piękne oczy twoje, iż mam do was polecenie, ważniejsze może niż to, które królewnej przyniosłem.

— Do mnie? Od kogo? — przerwała dumnie Dosia.

— A, nie marszczcie brwi tak groźnie! Cześć wam to przynosi — zawołał Mago. — Król sam rozmiłowany jest w was.

— Czy to żart zapustny? — odparła Zagłobianka.

²¹⁶ Opis obiadu, nawet powyższe zdanie, wypowiedziane przez Włocha Pawła, przezwanego Magnifico czy Mago, są autentyczne.

²¹⁷ s k u d (z wł.) — moneta dawna złota lub srebrna o różnej wartości w różnych krajach

²¹⁸ S i g n o r i n a! (wł.) — Pani!

— Nie, najrzetelniejsza prawda! Gdym odchodził, szepnął mi, abym przy podanej zręczności odniósł wam westchnienia od niego.

— A was wybrał na posła, was, co śmiech, nie westchnienia nosić zwykliście?

— Jak gdyby westchnienie w radość i szczęście się zmienić nie mogło? — rzekł Mago śpiesznie. — Mnie zlecono tylko odnieść, że jesteście bosko piękna czy równie okrutna?

— Zgadliście — rozśmiała się Dosia — mężczyźni nie wierzą żadnemu.

— Ani królowi?

— Mniej niż innym, bo dla nich ludzie zabawkami.

Włoch więcej mówić nie mógł.

Po obiedzie trwała jeszcze rozmowa ożywiona bardzo z godzinę, a królowa, z początku dosyć milcząca, powoli tak jakoś dała się Włochowi ożywić, iż z ust jej uśmiech nie schodził.

Mago, który może nie bez przyczyny przypisywał to częstemu przypominaniu Henryka i zręcznemu prześladowaniu królowej, nie przestawał mówić o nim, wynosząc dobroć, słodycz i szczodropliwość jego pod niebiosy. Nie wiadomo, jak długo by Mago pozostał tu ujęty łańcuchem, który mu Łaska przyniosła, gdyby dwóch królewskich posłańców nie przybiegło po niego. Czas nadchodził, gdy Henryk wprost z Rynku, na którym przyjmował hołd miasta Krakowa, miał się udać na wesele do Zborowskich. Królowa być tam miała także.

— Poprzedzę W. Kr. Mość — odezwał się żegnając Włoch — i wiem, że będę dobrze przyjętym, gdy przyniosę wesołą nowinę, iż król widzieć was tam będzie.

Odmłodzona, odżywiona Anna poszła się stroić, i co nigdy nie bywało, troszczyła się o swe ubranie, pytając Łaskiej, jak ma włosy utrefić, co włożyć na głowę i jaka suknia najlepiej przystanie jej tam, gdzie się jako królowa odznaczyć czymś musiała. Ze skąpo pozostawionych córkom przez Bonę klejnotów, które na od jeźdźnym niechętnie im wydzieliła, musiano dobyć najpiękniejsze, najdroższe, bo Henryk zawsze najwytworniej był przybrany, z niewieścią elegancją, a kolczyki jego z dużych pereł w jednych podziwienie, u drugich śmiech pobudzały.

Nie lada to było wesele panów Zborowskich, na którym król i królowa znajdować się mieli. Rodzina, która się tym szczyciła, że ona tron polski dała Henrykowi, zawsze ze krwi i ducha była butną i nikomu nad sobą przewodzić nie dała. Powodzenie, jakiego doznała czasu elekcji, pokonawszy cesarskich i cesarza, wbijało ją w tym większą dumę. Zdało się panom Zborowskim, że oni teraz w tym królestwie obok Tarnowskich, Tęczyńskich, Melsztyńskich i najstarszych rodów zając miejsce byli powinni. Jastrzębiec nie wydawał się im gorszym od Topora i Leliwy²¹⁹.

Mniej dotąd na widoku ród panów Zborowskich i w dostatki urósł, i w dumę z nich a siły swej niezmierną. Obok niej mieli Zborowscy to, co ją podwaja: śmiałość, odwagę, powiedzmy, zuchwalstwo ogromne. Wszyscy ludzie rycerscy, silni, odważni, nieuleknieni, mieli temperamenta warcholów, którzy gdy nie mogą bić się i walczyć, tęskno im, a gotowi szukać powodu, aby dobyć szabli i ująć za toporek. Tam, gdzie kilku Zborowskich głos podniosło, nikogo już więcej słyhać nie było, tak nawet spokojnymi będąc, wykrzykiwali. Wszyscy lubili błyszczeć, popisywać się, przodem iść, nikomu przed sobą nie dać wziąć kroku. Mówiono, że na wjazd królewski spóźnili się nie przez winę, że się źle obrachowali, ale umyślnie, aby teraz sami, występując z rycerstwem nadwornym okrytym stalowymi kolczugami, błyszczącymi jak srebro, popisać się mogli.

Na wesele to, które król i co było najprzedniejszego w królestwie zaszczycić mieli swą przytomnością, nie żałowano nic. Nie tylko gości, ale gawieź miejską, która kamienicę oblegała, karmiono i pojono kosztem nowożeńca. Stawiano jej beczki po beczkach, aby wiwaty

²¹⁹ J a s t r z ę b i e c — herb Zborowskich, T o p ó r — herb Tęczyńskich, L e l i w a — herb Tarnowskich

pod oknami wykrzykiwała. Dwór i służba, w szkarłatach od srebra i złota, z królewską mogła iść o lepszą. Wesele to Kraków miał długo pamiętać, bo podobnego mu nie widział od dawna.

Wprost z Rynku, gdzie na majestacie zasiadał, Henryk poszedł do kamienicy Zborowskich, zaledwie strój uroczysty zamieniwszy na nieco lżejszy. Towarzyszyli mu wszyscy jego Francuzi, Pibrak, który był nieodstępnym, bo zawsze prawie za króla głos zabierał, księżęta i panowie z podziwieniem, ale z niezbyt ukrywaną ironią przypatrujący się polskim obyczajom, wydającym się im dziwnymi trochę. Raził ich jaskrawy przepych polskich panów, serdeczna otwartość, swoboda i rubaszość słowa, ta szczerość wielka, z jaką tu miłość i nienawiść się wyrażała, na nic nie oglądając.

Oni umieli doskonale przymilać się nienawidząc, uśmiechać, gdy gryźć chcieli, kłamać usty, oczyma, słowem i postawą, gdy tu wszystko leżało jak na dłoni. Nie napadano po kryjomu i po ciemku, nie zabijano po kątach, ale co dzień i na ulicach, i po domach zrywano się do szabel, a potem często ludzie sobie padali w objęcia i przyjaźń poprzysięgali. Francuzom się to wydawało śmiesznym i zbyt prostodusznym. Scena w czasie koronacji w kościele zostawiła po sobie w początku i kwasy, i obawy, które się powoli zacierać i łagodzić zaczynały. Francuzi jednak pozostali nieufni, podejrzliwi i niechętni.

Po królu, który lepiej od innych komedię grać umiał, trudno było poznać, co się w duszy jego działo. Przed Polakami zaręczał, że zapomniał o wielkiej doznanej przykrości, do której powodu nie dał. Dwór jego milczał grzecznie i unikał o tym wzmianki. Na twarzach, gdy cokolwiek się zapomnieli Francuzi, widać było niepokój i obawy. Wielu z tych, którzy tu pozostać obiecywali przy królu, zaczynało pod rozmaitymi pozory wybierać się do Francji. Stosunki z nią, pomimo dosyć utrudnionych przez Niemcy podróży, były niezmiernie ożywione.

Mówiono, że król wszystkie wolne chwile spędzał na pisaniu listów do matki i kochanek. Co dzień przybiegali posłańcy, co dzień stąd wyprawiano zaledwie wypoczętych. Czuć było, że Henryk całą duszą i sercem był nad brzegami Sekwany i że stokroć go więcej obchodziło to, co tam, niż co w Polsce i Krakowie się działo. Gdy listy przywożono, gdziekolwiek się król znajdował, natychmiast mu je przynosić musiano, a gdy dnia którego brak ich było, tęsknił i niepokoił się.

Panowie senatorowie widzieli dobrze, iż Henryk dotąd ze sprawami polskimi wcale się nie obeznał i nie brał ich do serca, ale obiecywali sobie, iż się to z czasem zmienić musiało. Zabawiano go, rozrywano, czynił każdy, co mógł, ażeby król się nie nudził i nie tęsknił po Paryżu.

Do Zborowskich, oprócz liczego dworu polskiego, wszyscy Francuzi zaproszeni tłumnie się zebrali. Zdawało się, że od koronacji dali sobie słowo na chwilę pana swego nie opuszczać i czuwać nad nim, jakby się obawiali Polaków. O ile sam król był grzecznym i uprzejmym dla wszystkich, towarzyszący mu księżęta i dwornia jego butą i lekceważeniem zrażała Polaków. A że się z nimi trudno było porozumieć, bo języka nie rozumieli, a nie wszyscy łacinę znali, nieustannie stąd wynikały nieporozumienia.

Gdy króla wprowadzono na pokoje, a państwo młodzi i rodzina ich otoczyła go, zaczęto obnosić wino i słodycze, odezwała się muzyka, młodzież zabierała się do tańca, ale król oświadczył, że potrzebuje spocząć nieco. Posadzono go więc na przygotowanym tronie w głębi sali i koło niego co było przedniejszych osób zbierać się zaczęły. Henryk udawał ożywionego, wesołego, wszystko niepomniernie wychwalając.

Trochę późno ukazała się ze swoim fraucymerem wybranym, z Zosią Łaską, z Dosią Zagłobianką, z krajczyną i z kilku starszymi paniami poważna królowna Anna. Weszła na pokoje wprowadzona przez gospodarzy, zmieszana nieco, a król z uprzedzającą grzecznością natychmiast zbliżył się, aby ją powitać. Z boku stojący mogli wnosić z jego postawy, iż wielce pragnął ująć sobie infantkę, a na jej też twarzy widać było radość z tego i rozpromienienie.

Pomimo tej dobrej zgody dwojga, jak sądzono powszechnie, przyszłych małżonków, jedno spojrzenie na nich ogromną różnicę ich wieku dostrzec dawało. Świeża jeszcze, ale resztkami tylko młodości kwitnąca Jagiellonka, obok Henryka wydawała się starszą, on przy niej wyrostkiem zaledwie. Strój obcisły, elegancki, ale wyszukany po niewieściemu, wstążki, koronki, klejnoty, utrefienie włosów odmładzały go jeszcze. Ironiczny uśmiech mógł uchodzić za serdeczność i dobroć, Anna się nim łudziła, lecz starsi ludzie, patrząc z dala, potrząsali głowami.

Rozmowa z infantką wśród tłumu ciekawie się jej przypatrującego, bo podsłuchać dla gwaru i muzyki było trudno, zdawała się obrachowana nie tylko na ujęcie jej, ale na okazanie wszystkim, iż Henryk myślał o spełnieniu swych zobowiązań — o ożenieniu. W myśli Henryka i Francuzów było to tylko fortelem potrzebnym dla pozyskania czasu. Wiedzieli, choć z krótkiego doświadczenia, że w Polsce brano wszystko za dobrą monetę.

Odprowadziwszy Annę na miejsce, dla niej i pań przeznaczone, Henryk z Francuzami w tłum się wmixsał, z przyjemnością widoczną przypatrując pięknym twarzyczkom dziewcząt i pań polskich, których ciekawe oczy ku niemu skierowane były.

Z wszystkich jednak Dosia najwięcej Henryka ku sobie pociągała może tym, że ją naprzód w ulicy widział w męskim stroju. Dworacy już się dla niego dowiedzieli o jej sieroctwie, charakterze, niepospolitym wykształceniu, umiejętności języków i Villèquier²²⁰, ulubieniec pański, szczególnie sprawami serca i miłostkami króla zajęty, powtarzał, że to była losem dla niego wyznaczona kochanka. Wcale Francuzów nie zdawało się zrażać, gdy im zaręczono, że panna była dumną i nieprzystępną.

Wśród tańców, przeznaczone dla zabawiania gości na różny sposób maskary różne przybawać zaczęły i miewając się z tłumem, figle wyprawiać, dowcipnymi słówkami drażnić. Domyślano się pomiędzy tymi maskami Maga i jego towarzyszy, o których król wiedział i życzył sobie, ażeby się tu znajdowali dla rozbawienia towarzystwa, lecz oprócz Włochów, których liczba była wiadomą, masek daleko więcej znalazło się wkrótce. Pibrak, Bellieyre (poseł francuski)²²¹, Villèquier, Souvray²²² i inni mieli bacność na pana, aby nie każdemu dozwolić się do niego docisnąć, lecz nie mogli od następujących masek obronić.

Jedna szczególnie, zdająca się młodym chłopakiem, zręczna, gibka, przeciskała się przez najciaśniejsze gromadki, wślizgała między stojących szczelnie i długo tak przewijając, potrafiła w końcu dostać do Henryka. Zręczna ta figurka wprzód już musiała na siebie zwrócić jego uwagę i wydać mu się nie straszną, gdyż zbliżającą się zaczepił. Król zmieszonym tu był posługiwać się językiem włoskim, który daleko więcej osób rozumiało niż francuski. Na zapytanie rzucone, za kim goił i kogo szukał, zagadnięty odparł po francusku.

— Ciebie, Najjaśniejszy Panie.

Dźwięk mowy był tak czysty, jakby nie z ust cudzoziemca wychodził.

— Masz co do mnie? — zapytał król.

— Bardzo wiele, gdyby po temu czas i miejsce było! — zawołał zamaskowany.

Henryk popatrzył bacznie, maska, wesoło podrygując, mówiła dalej:

— Żal mi was, Najjaśniejszy Panie!

— Mnie?

²²⁰ René de Villèquier — podkomorzy i gubernator Andegawenii, marszałek dworu, towarzyszył Henrykowi Walezemu do Polski, następnie doradzał mu ucieczkę z Polski

²²¹ Pomponne de Bellièvre — (1529—1607) biegły dyplomata francuski, był posłem Karola IX w Polskę, dopomógł Henrykowi Walezemu do ucieczki z Polski; w r. 1599 został we Francji kanclerzem.

²²² Gilles de Souvray — Souvré — (1542—1626), marszałek Francji, towarzyszył Henrykowi Walezemu do Polski

— A, tak! Grozi ci tu więcej niebezpieczeństw, niż twoi przewidują, niż ty sam domyślać się możesz. Henryk spoważniał.

— Chcesz mnie nastraszyć — rzekł — ale wiesz, że to nielatwo.

— Wiem, że masz męstwo — poczęła maska — ale nie dosyć odwagi, potrzeba ostrożności. Widzisz tę kobietę, którą ci jak na szyderstwo przeznaczają za żonę, gdy ona matką by ci być mogła. Wiesz, jaką była jej matka i co ona po niej wzięła w spuściznę? Bona wojowała trucizną i czarami, a to nieodrodna jej córka. Całemu światu wiadomo, że ona otruła brata, aby po nim skarby odziedziczyć; wszyscy wiedzą, że czarownicą jest, że czaruje niepochwyconymi sposobami.

Henryk pobladł, zwrócił oczy na maskę, ale nic nie odpowiedział.

— Strzeż się jej, nie zbliżaj! Pamiętaj... Usidli cię, opanuje...

Pierwszy to raz do uszu Henryka dochodziły te potwarze i nie dziw, że na nim głębokie uczyniły wrażenie, tak że odpowiedzieć nie umiał i nim się zebrał na słowo, maska wysłiznęła się szybko, wmięszała w tłum, znikła. Villèquier stał niedaleko, Henryk szepnął mu, aby się starał uchodzącego zatrzymać i dowiedzieć, kto był, lecz nim Francuz zdołał się za nim przecisnąć, maski nie było już śladu, a dopytywani o nią wszyscy się tym składali, że nie znaną im była.

Henryk nie wziął może bardzo na serio tych ostrzeżeń ani im dał wiarę, chociaż powodów i celu takiego oszczerstwa trudno mu było dociec, zawsze jednak śmiała ta potwarz utkwiała w jego pamięci. Rzucił wzrokiem na poważną Annę i myślał, że czarownicą i trucicielką być może, inaczej mu teraz wyraz twarzy jej tłumaczyła. Niczego naówczas nie lękano się tak jak czarów i uroków, tych tajemniczych środków pozbywania ludzi, przyciągania ich ku sobie, władania nimi, które znane być miały adeptom²²³ czarnego kunsztu.

Musiał jednak król, którego wkrótce otoczyli panowie, przybrać znów wesołe oblicze i nie dawać poznać po sobie, iż trwogę miał w sercu. Nie zbliżył się już do Anny, natomiast Villèquier, wypatrzywszy chwilę, gdy Dosie Zagłobiankę do tańca wzięto, podprowadził tak Henryka, aby mógł z nią zawiązać rozmowę. Nikogo ona dziwić nie była powinna, bo wiadano, że Dosia jedna prawie z kobiet umiała po francusku, a to starczyło, aby króla sobie pociągnąć mogła, Zagłobianka widziała, że się ku niej Henryk przybliżał, udawała jednak, iż się tego nie domyśla, i gdy Henryk zagadnął ją tym, że czasu wjazdu widział po męsku przebraną, odparła zarumieniona:

— Wiadomo światu, że kobiety są bardzo ciekawe.

— Cieszę się z tego — odparł król — bom miał sposobność widzieć najpiękniejszą z kobiet w najlepiej jej służącym stroju.

Dosia spuściła oczy.

— Nie powinna bym się przyznawać do popełnionej winy — rzekła — ale mam nadzieję, że W. Kr. Mość ani mnie karać, ani wyśmiewać nie zechcesz.

— Ja? — zawołał król. — Przeciwnie, na wszystko bym pozwolił, byle łaskę pozyskać.

— Łaskę? — rozśmiała się Dosia, kryjąc twarzyczkę wachlarzem, a z ukosa spoglądając na króla.

— Wiercie mi — pośpiesznie, korzystając z czasu, dodał Henryk — że mi wielce o to chodzi. Wy tu jesteście jedyną, na którą by po dniach całych patrzeć się chciało.

To mówiąc król, któremu Villèquier dawał znaki, aby rozmowy nie przedłużał, pochylił się jeszcze do Dosi, szybko coś szeptać jej zaczął i oddalił się żywo, bo już oczy na nich się zwracały. Nie zdziwiło to przecież tak bardzo nikogo, iż król do ładnego dziewczęcia przemówił słów parę, zwłaszcza że naprawiając to, zwrócił się do kilku innych pań z grzecznościami, aby dane pierwszeństwo jednej nie raziło.

²²³ a d e p t (z łac.) — człowiek wtajemniczony w jakąś sztukę, specjalność

Poza tańczącymi stał nieszczęśliwy Talwosz. Inaczej go teraz nazwać nie było można, istotnie był nieszczęśliwym. Kochał Dosię całą siłą serca, a nie szło mu nawet o to, aby ją dla siebie pozyskał — trwożył się, ażeby ona nie upadła i w oczach jego nie została zrównaną z tymi, ponad które on ją tak wysoko wynosił. Czuł i przewidywał, że się jej główka zawrócić mogła, a Zagłobiance słowa powiedzieć nie było można, tak siebie pewna szła, nie zważając na nic. Na próżno chciał sobie tłumaczyć Talwosz jej powolność dla króla tym, że dla Anny u niego pożyteczną być zamierzała. W oczach jej, w wyrazie twarzy czytał jakiś poczynający się szal, jakąś zapowiedź zapomnienia i rzucenia w przepaście. Od Francuzów łatwo się było dopytać, jakie życie i obyczaje panowały we Francji, sami się oni z tym zdradzali. Talwosz wiedział, że kobiety były płochę, a mężczyźni w stosunkach z nimi zuchwali. Drżał z obawy o Dosię.

Jak tylko mógł później zbliżyć się do niej, nie strzymał tego, co mu serce przepełniało.

— Panno Doroto — rzekł — winszować czy boleć, nie wiem, ale król widocznie za wami goni. Jemu się nie dziwuję, ale dla was...

Odwróciła się gniewna.

— Cóż dla mnie? — odparła szydersko. — Sądziecie, że zaszkodzić mi to może, gdy kto spojrzy na mnie?

— Jest taki wzrok, co zabija, powiadają — odezwał się Talwosz — to wzrok bazyliuszka²²⁴, ale jest i taki, co plami.

Oburzona zmarszczyła się dziewczyna.

— Wstąp wpan do klasztoru, abyś miał prawo na weselach prawić kazania! — rzekła śmiejąc się, ale gniewnie. — Narzucasz mi się za opiekuna, nie mogąc być czym innym.

— Przyjacielem byłem i będę, choćbyście na mnie kamieniem rzucali — rzekł kłaniając się Litwin — od was przyjmę wszystko, kiedyś poznać mnie lepiej.

Zagłobianka zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. Talwosz milczał i usunął się.

Zabawa nadzwyczaj ochocza coraz się stawała bardziej ożywioną, ale król pod pozorem znużenia dłużej zabawić tu nie chciał. Poszedł pożegnać królową, chociaż nie zbliżył się już do niej i uklonem tylko uprzejmym uszanował. Zaraz potem w towarzystwie swoich Francuzów i Tęczyńskiego młodego²²⁵, przeprowadzony przez Zborowskich, wsunął się do oczekującej kolebki.

Wiedzieli już panowie Zborowscy, iż Tęczyński ten przez króla miał być do osoby jego przywiązany i marszałkiem lub podkomorzym mianowanym, co w nich zazdrość obudzało. Stary ten ród, zajmujący znowu stanowisko najbliższe króla, był solą w oku Zborowskim, którzy sobie pierwsze prawa rościli do otoczenia Henryka i zawładania nim.

Samuel²²⁶, który odwiódłszy do kolebki króla pozostał chwilę z braćmi u drzwi, nasrożył się okrutnie.

²²⁴ b a z y l i s z e k (z grec.) — legendarny potwór, który wylęł się z jaja zniesionego przez koguta, miał mieć ogon węża, skrzydła nietoperza, resztę ciała koguta z dziobem haczykowatym; wzrok bazyliuszka miał zabijać

²²⁵ J a n T ę c z y ń s k i — kasztelan wojnicki, następnie podkomorzy w. koronny, starosta lubelski itd.; zmarł w r. 1593

²²⁶ S a m u e l Z b o r o w s k i — jeden z głównych przedstawicieli magnackiej rodziny Zborowskich. Odznaczał się męstwem, ale też gwałtownością i warcholstwem. Po zabójstwie Wapowskiego (sprawa ta będzie przedstawiona w powieści zgodnie z prawdą historyczną) skazany na wygnanie, przebywał jakiś czas między Kozakami na Niżu. Popierał kandydaturę Stefana Batorego i za tegoż panowania wrócił samowolnie do kraju, brał nawet udział w wyprawie moskiewskiej w r. 1580, w której się odznaczył. Następnie zaczął występować przeciw królowi i Zamojskiemu, odgrażał się otwarciem na życie króla. Schwyty w Piekarach, został ścięty jako banita, który samowolnie wrócił do kraju, w r. 1584 w Krakowie.

— Patrzcie no ich! Ledwieśmy parę dni zaspali, już się wcisnąć, przypochlebić i uprzedzić nas potrafili! Lecz, na Boga, mylą się sądząc, że oni nas zepchnąć potrafią poza siebie. Wiemy, co nam należy, a nie zechce król czynić, co powinien, dla nas, damy mu się lepiej we znaki niż na koronacji. Daliśmy mu koronę, to ją zdjąć też potrafimy.

Wrzał pan Samuel, starano się go powściągnąć, bo wielu ludzi słuchało, ale na to on baczenia mieć nie chciał.

— Wszystko to sprawy są katolików — przerwał któryś z dysydentów — nie o panów Zborowskich chodzi, ale o ujarzmienie sumień naszych i o wprowadzenie inkwizycji²²⁷ albo o rzeź taką, jaką w Paryżu zarządzili! Król przysiągł, ale go z przysięgi papież rozwiąże, byle się pozbyć nienawistnych.

Ani pora, ani miejsce było do podobnej rozprawy, którą dochodząca otwartymi drzwiami wesoła muzyka głużyła. Nie odpowiedział więc pan Samuel, ale na twarzy jego namiętne widać było poruszenie. Wszedł z braćmi na powrót do izb przepełnionych jeszcze wesołymi gośćmi, którzy nie zdawali się zważać na to, iż północ nadchodziła, a z nią Post Wielki się rozpoczynał. Z pewną ostentacją chciano tańcami przeciwko surowemu zachowywaniu katolickiej powściągliwości protestować.

Na dzień następny w zamku miasto innych zabaw rano był turniej zapowiedziany, a król sam obiecywał wziąć w nim udział, biegając do pierścienia i chcąc w tym zręczność swą okazać.

Samuel Zborowski spodziewał się znaleźć przeciwnika godnego siebie i zetrzeć się z nim w turnieju.

Noc popielcowa, która wesołe krakowskie zamykała zapusty, mało komu zasnąć i spocząć dozwoliła. Jedni potrzebowali rozprawić się z przeszłością i ocenić to, co przeżyli, drudzy obmyśleć, co mieli jutro poczynać.

Od pierwszych dni to uważano, że młody król i jego towarzysze Francuzi z niecierpliwością wyglądali zawsze chwili, gdy mogli sami z sobą pozostać. Jeżeli choćby jeden Polak, nawet tak miły królowi i zaufany, jak Jan z Tęczyna, był z nimi, Francuzi wstrzymywali się, miarkowali, na pół przegryzali słowa, spoglądali na siebie i zamykali ostrożnie. Chwalili wszystko. Dopiero gdy pozostali sami, gdy Henryk miał tylko około siebie swą wierną służbę przywiezioną z Paryża, straż pilnowała drzwi i w pokojach królewskich rozpoczynały się żwawe rozprawy, śmiechy, swawole, a niekiedy wrzaskliwe rozmowy, w których podsłuchujący pode drzwiami pięknych i ciekawych rzeczy mógł się o Polakach dowiedzieć. Prawda, że nie lepszych może o Francuzach by się nasłuchiwał tam, gdzie Polacy sami byli, a obyczaj ich i sprawy przyszło im sądzić.

Król, który już po owej burzliwej koronacji ręczył, że zapomniał o wszystkim i przebaczył, co doznał, w rzeczy zachował na dnie serca żal i pragnienie odwetu. Chwila ta wpoila w niego dla narodu, któremu miał panować, niechęć i odrazę do niego niepokonaną. Dworacy nie tylko mu wtórowali, ale szli daleko dalej od niego. Pomiedzy nimi nie było ani jednego, który by się starał pojednać, złagodzić, wytłumaczyć, wszyscy obwiniali. Czuli oni i Henryk, że długo tu wyżyć nie potrafią.

Tęsknota za Francją rosła razem z nowinami odbieranymi, które donosiły o złym stanie zdrowia Karola IX, a nie było wątpliwości, że królowa matka w razie katastrofy, choć odda-

²²⁷ i n k w i z y c j a (z łac.) — tu w znaczeniu sądy duchowne w Kościele Katolickim, które miały za zadanie zwalczanie heretyków (chrześcijan niekatolików); zaprowadzone przez synod laterański w r. 1215, przetrwały do połowy XIX w. (najdłużej utrzymały się w państwie kościelnym); ofiarą inkwizycji padły dziesiątki tysięcy ludzi

lonego, będzie się starała na tron wprowadzić Henryka. Błysk tej, choć jeszcze oddalanej nadziei, czynił Polskę i koronę czymś tak mało znaczącym i tymczasowym, że tu na przyszłość wcale pracować nie chciano. Szło tylko o to żeby przeżyć jako tako, a dworacy króla starali się mu ten czas pokuty uczynić znośnym. Z Francuzów, kto tylko mógł i znalazł najmniejszy pozór, wymykał się nazad do Francji, nie zapominając z sobą zabrać prezentów, jakimi go w Polsce obsypano. Odjeżdżającemu zazdrościli pozostający.

Króla nazywano po cichu męczennikiem. Henryk tęsknił za kochankami opuszczonymi, do których krwią wyklutą z palca pisał listy, wzdychał do porzuconych nad Sekwaną faworytów, wzdrygał się na piwo polskie, które czasem brał do ust dla przypodobania się panom i szlachcie, i był najniezwyklejszy.

O zameściu z Anną ani mowy być nie mogło. Gdyby mu nawet nie podszeptano, że była czarownicą i że otrula brata, sam widok niemłodej, smutnej, poważnej kobiety dla płochego pana był wstrętnym. Lecz właśnie dlatego, iż się wcale żenić nie myślał, musiał być dla niej niezmiernie uprzejmym, postanowił nadskakiwać, chciał ją tym uspić. Później spodziewał się z tą garstką panów, która małżeństwo widziała również niepolitycznym, bo chciała ożenienia, które by dynastię zapewnić mogło, uwolnić się z więzów przyrzeczenia, a Annie zapewnić byt spokojny.

W pierwszej tej chwili nagle nie godziło się wystąpić, Henryk więc wyrachowanie musiał tak się obchodzić z infantką, jakby w istocie o ożenieniu z nią myślał. Nic dziwnego, iż się tym nie tylko królowna złudzić, ale dwór jej dał zupełnie obalać. Panie wszystkie prorokowały ożenienie i szczęście wielkie. Anna uśmiechała się milcząca. Czasem ją ostrzegało to, co przeżyła, iż ludzi się nie powinna była, ale marzenie zbyt było słodkim, aby mu się nie poddać. Donoszono jej skrzętnie o wszystkim, co mogło dowieść, iż Henryk się nią zajmował; krajczyna nie wątpiła, że musi się żenić. Wielu panów senatorów było tego najmocniejszego przekonania. Stał przecie gdzieś ten warunek w podpisanych zobowiązaniach.

Po weselu u Zborowskich król, powróciwszy na zamek, pod pozorem wielkiego znużenia natychmiast panów polskich odprawił, nawet Tęczyńskiego, Francuzi z nim pozostali sami; był to moment dla nich, w którym dopiero się rozpasać i usta śmiało otworzyć mogli.

O obrzędzie hołdu w Rynku niewiele się dało mówić: był świetny i nużący; za to wesele, wcale różne od francuskich, o wiele rubaszniejsze, dziwiło razem i śmieszyło. Stroje pań podstarzałych wedle krajowej mody, niektóre czółka²²⁸ wysadzone, jeszcze z XV wieku pochodzące, suknie kosztowne, nie terażniejszym krojem, wszystko aż do form tańca i muzyki dla Francuzów dziwacznym i śmiesznym się wydawało. Zborowskich jaskrawy przepych, popis z bogactwy, zuchwałe ich mowy i obejście się, mowa krzykliwa ulegały krytyce. Villèquier nie mógł się wydziwić niezmierniej ilości piwa, jaką Polacy w siebie wlewali i przyprawom potraw, których dla piękących korzennych sosów w usta wziąć nie mógł.

— A! — zawołał król, który już się nie potrzebował pomiędzy swoimi ze zdaniem kryć i wszystko chwalić. — Powinińście sobie panowie powiedzieć, iż jesteśmy w kraju niedźwiedzi i nie dziwić się już niczemu. W czasie wjazdu widzieliście przecie wśród pacholków, nie wiem którego wojewody, niedźwiedzia na koniu z tarczą w łapach, był to obraz kraju i jego mieszkańców najwierniejszy.

— Ba! — przerwał niemłody już, siwiejący, ale żywy i ruchliwy doktor królewski Miron²²⁹. — Bądź co bądź, kraj to ciekawy. Spomiędzy panów mało który nie zna i obcych państw, i cudzych języków, wszyscy wiele widzieli i uczyli się, a żadnego z nich to nie przemieniło. Klimat ich chyba takimi czyni.

²²⁸ c z ó ł k a — opaski na czoło u kobiet albo ubiory głowy kobiecej

²²⁹ M a r e k M i r o n — lekarz, pochodził ze słynnej rodziny lekarzy francuskich; towarzyszył Henrykowi Walezemu do Polski w r. 1573; zostawszy królem Francji, Henryk zamianował go swoim lekarzem osobistym; Miron zmarł w r. 1608

Król stał zadumany.

— Kobiet pięknych jest dużo! — rzekł cicho.

— A! — przerwał Villèquier. — Cóż po tym, wszystko to zimne, nieokrzesane, naiwne aż do śmieszności, a galanteria, słodkie słowa dla nich stracone. Paryska mieszcanka więcej ma dowcipu niż te panie najświetniejszych imion.

— Wyjątek musicie uczynić — odezwał się król — dla tej panienki z fraucymeru Anny, która paryżanką i księżniczką by być potrafiła, nie tylko piękną, ale dowcipem.

— Tak — zamruczał Villèquier — ale zuchwalstwo i odwagę ma czysto polską, a niewieściego mało.

— Dziwnie piękną się wydawała — odparł Henryk — gdy czasu wjazdu po męsku była przebrana.

Souvray, jeden z ulubieńców króla, rozśmiał się.

— Lękam się wielce o tę piękność — rzekł — chociaż broni ją to, że do infantki należy.

Do pokoju króla wszedł w tej chwili młody Jourdain, który się liczył do najmilszej królowi garstki jego towarzyszków.

— Na jutro gotuje się nam bodaj dramatyczny turniej — rzekł złośliwie. — Samuel Zborowski zatknął na placu swoją włócznię i postawił tarczę, ofiarując się na cześć króla z równym sobie stoczyć bój.

— To będzie igraszka — odparł Henryk. — Zmówią się z kimś pewnie, aby sobie zbytniej nie zrzadzili szkody.

— Nie wiem — dodał Jourdain — ale zdaje mi się, że jeśli było co ułożonego, to się nie powiodło. Wieczorem prosty służalec hrabi z Tęczyna, jakiś Kroata, porwał podobno włócznię i uniósł ją z sobą, wyzywając Zborowskiego. Mówią że pan Samuel, dowiedziawszy się o tym, wściekły się odgrażał na Tęczyńskiego, utrzymując, że namówiony sługa afront mu ten uczynił. Naturalnie z podłym Kroatą bić się nie będzie, ale wyzwie jego pana.

— Miałaby istotnie tę złośliwą intencję Tęczyński? — zapytał król. — Nie spodziewam się. Waśni i tak jest dosyć.

— Nie wiem — mówił Jourdain — sądzą o tym różnie, ale są ludzie, którzy utrzymują, że między Zborowskim a Tęczyńskimi nienawiść jest stara i że to ją na nowo rozjatrzy.

— Niepodobna — przerwał król — aby mi tu chcieli uroczystości zawichrzyć i trudności przymnożyć; potrzeba o tym mówić z Tęczyńskim, jest to człowiek łagodny i spokojny.

— Tak, ale z raz podrażnionym Zborowskim trudniej będzie — rzekł Villèquier. — Wszyscy oni, ile ich jest, stworzeni się zdają, aby nikomu pokoju nie dali i sami go nie mieli nigdy. Walka jest ich żywiołem.

— Mogą ją na później odłożyć — odparł król. — Proszę was, starajcie się, aby do żadnego wybuchu nie przyszło.

— Zborowskim wiele król winien, to rzecz niezaprzeczona — wtrącił Pibrak, który się dotąd do rozmowy nie mieszał — co tylko można, uczynić potrzeba, aby urażonymi nie byli.

— Ale i Tęczyński jest mi miłym — rzekł król, zwracając się ku niemu. — Jest to charakter szlachetny, człek rycerski i daleko mi sympatyczniejszy od tych krzykliwych Zborowskich.

— Mówią powszechnie — dodał Pibrak, krzywiąc się — że ich dom to istne osie gniazdo. Nie ma tam nigdy spokoju. Żołnierze dobrzy, odwaga w nich nieustraszone, ale duma niesłychana i charaktery nie unoszone.

— Pibrak, proszę cię — dorzucił Henryk — ty, coś tyle razy umysły zburzone umiał ukłócić i tyle kłamstw ich przełknąć zmusiłeś bez zakrzuszenia się, weź to na siebie.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł przebiegły Francuz — jeżeli tylko nie za późno.

Rozmowa zwróciła się znowu na wesele, na ucztę, na nieskończone mowy, którymi króla częstowano, a Pibrak musiał na wszystkie odpowiadać.

— Mają straszliwszą łatwość mówienia po łacinie — odezwał się Pibrak — i spotrzebowania dziesięć razy tylu słów, ilu w istocie ograniczyć by się mogli. Jest to naród Liwiuszów²³⁰.

Villèquier począł opisywać panie, nieśmiało ich wejrzenia a osobliwe ukłony i śmieszki. Utrzymywał, że po kątach całowano się serdecznie.

Król byłby może się rozchmurzył i w swawolniejszą dał wciągnąć rozmowę, gdyby mu przestroga maski nie tkwiła w pamięci. Nie chciał z początku mówić o tym nikomu, wziął potem Pibraka na stronę i przyznał mu się do tego, co od maski słyszał.

— Nic nowego dla mnie — odparł Pibrak. — Nasłuchałem się i ja podobnych baśni o infantce, ale im nie wierzę. Powabną nie jest, młodą także, po ścisłym obrachunku, choć może nie wygląda na więcej niż lat czterdzieści, zbliża się do pięćdziesięciu. Ludzie pamiętni tego, co tu dokazywała jej matka, która była w istocie straszną niewiastą, chcą w niej widzieć charakter Bony. Ci, co bliżej ją znają, mówią jako o pobożnej, zacnej, życiem nieszczęśliwym znękanej, może dumnej, ale szlachetnego charakteru kobiecie. Nie jest to żona dla W. Kr. Mości — dodał Pibrak. — Pardieu!²³¹ Spodziewam się, że nam jej nie narzuca, ale trucizny się obawiać nie należy.

— Skądże to, że struła brata? — zapytał Henryk.

— Obiło mi się o uszy — mówił Pibrak — że przed śmiercią brata była z nim poróżnioną o jakąś panienkę, którą dla niego z dworu jej wykradziono. Pojednali się jednak potem i wszystko jej zapisał.

— Wiem — odparł śmiejąc się Henryk — zapisał jej wszystko, a panowie senatorowie nie dać nie chcą.

— Tak, i podobno tak skąpo na potrzeby swej infantki dostarczają, że ciągle pożyczanymi pieniędzmi żyć musi.

Rozmowa w pokojach króla, nawet gdy już się rozebrał i w łóżko położył, które faworyci obstarpi, przeciągnęła się bardzo długo.

Niemniej żywo po powrocie z wesela u królowej wszystko rozbierano, cokolwiek się tego wieczoru przytrafiło. Pani krajczyna szczególnie widziała w młodym królu co chwila zdradzający się afekt dla Anny. Gdy nie mógł do niej się zbliżyć, ścigał ją oczyma. Rokowano jak najlepiej na przyszłość, ale król teraz tak niesłuchanie był zajęty, godziny jego policzone tak skrętnie, iż więcej dowodów uczucia wymagać nie było podobna.

— Uroczystości koronacyjne — mówiła — przecież kiedyś się skończyć muszą. Naówczas nieochybnie bliżej się zechce król poznać z Anną, byle te narady sejmowe raz także doszły do końca.

Wiedziano i u królowej o turnieju nazajutrz, na który Anna z okien swojego mieszkania patrzeć miała i widzieć sobie obiecywała, choćby dlatego, że razem i króla zobaczyć mogła, który w swej łoży miał zasiąść, a potem biegać sam do pierścienia. Panie wiedziały też, że Henryk, który był niezrównanym tancerzem i miał w wolcie²³² celować, w igrzyskach zręczności, w popisach rycerskich nie ustępował nikomu.

Wszystkim tym pochwałam, jakie mu dawano, Anna się przysłuchiwała chciwie, żądną ich była, ale rzadko do nich coś dorzuciła od siebie. Wstyd jej było wydać się z tym, co w sercu miała. Jej także Henryk wydawał się stokroć piękniejszym od innych, a postać jego i wyraz twarzy pełne szlachetności i wdzięku. Rozpamiętywała w sobie, co jej przyniósł Włoch Mago, który był tylko echem tego, co musiało powszechnie być przyjętym. W czasie wesela u

²³⁰ T y t u s L i w i u s z — (59 p. n. e. — 17 n. e.) znany historyk rzymski, napisał bardzo obszerną historię Rzymu w 142 księgach, z których większość zaginęła; historię swą przeplatał rozwlekłymi mowami i charakterystykami osób

²³¹ P a r d i e u! (zakłęcie francuskie) — Dalibóg!

²³² w o l t a (z franc.) — nazwa modnego w XVI w. we Francji tańca

Zborowskich i on, i wielu innych z panów polskich przynosili jej coś ciągle o Henryku. Jego krótka rozmowa z Dosią przeszła prawie nie dostrzeżoną i nikt na nią nie zwrócił uwagi. Wszystkie jednak starsze Anny towarzyszki uważały to, że Dosia od czasu koronacji bardzo była zmienioną, zadumaną, roztargnioną i że ona jedna o królu unikała wszelkiej rozmowy. Miano jej to za złe, nie domniemywając się wcale, iż i ona się zdradzić obawiała.

Dziewczę dotąd nieprzystępne, dumne, dzikie, trochę upojone było kadzidłem, które ku niej spłynęło od króla. Z tego, co czytała o Francji, a chwytiała chciwie, co stamtąd przychodziło, przekonywała się, że królewskie kochanki wysoko się podnieść mogły. To sieroctwo, które dawniej nie dopuszczało jej narzucać się Talwoszowi, teraz przy nowym zwrocie uczuć i myśli zdawało się jej rękojmą swobody. Nie miała rodziny i imienia, przed którymi by rachunek z życia składać potrzebowała. Rodziło się w niej jakieś pragnienie świata, używania, zabawy, które ją napępiało niepokojem. Surowo wychowała się sama, nie dopuszczając mazureń do siebie, teraz one tłumnie, gwałtownie rzucały się na nią i odepchnąć ich nie miała siły.

Gdy się to działo na zamku, a u panów Zborowskich weselono się do białego rana, pan Samuel nie położył się nawet spocząć, tak mu już pilno było powetować na Tęczyńskim obelgi, którą przypisywał jemu. Janasz Kroata, prosty jurgieltnik, wedle niego nigdy by się nie mógł ośmielić wyrwać kopii, przy której tarcza Zborowskich stała, gdyby mu to rozkazany nie było. Z Tęczyńskimi od dawna byli nieprzejeźdanymi; stare Topory sądzeni się czymś daleko lepszym od Jastrzębców, bo wprzód trochę siedli około tronu. Chciano właśnie teraz przed królem upokorzyć Zborowskiego. Tak on mniemał. Prawdą zaś było, iż Kroata, dzielny szermierz, pijanym pono z zamku na miasto powracał, gdy mu przyszło plac turniejowy przejeżdżać i przez zbytnictwo jakieś pochwycił kopię i zabrał ją z sobą, o czym pan Tęczyński, którego on był sługą, nie wiedział wcale. Zborowscy w tym spisek widzieli. Gniew przeciwko Tęczyńskiemu pomnażało, że go mianowano już jako przyszłego urzędnika dworu króla, a Zborowscy sądzeni, iż na j pierwsi prawo mieli otoczyć tego, którego na tronie posadzili. Przypisywali to sobie.

Król nie zaprzeczał, łaskaw był dla nich, chociaż w sercu za koronacyjny występ żał miał do nich. Połączyli się oni w kościele z dysydentami i nalegali głośno na przysięgę. Oprócz tego w sercu Henryka nienawiść dla hugonotów francuskich w Polsce się przelała na różnowierców. Czynny w czasie rzezi św. Bartłomieja, był krwią przelaną związanym ściślej jeszcze ze sprawą katolików. Zborowscy stawali mu się przeciwnikami.

Zaledwie dzień poczynąło, gdy pan Samuel zbroję, konia i cały swój do turnieju, choćby na ostre, ryszstunek już gotował, a towarzyszków sobie dobierał gromadę, która by tym samym animuszem co on ożywioną była. W turnieju, wiedział dobrze, mało kto się z nim mógł mierzyć. Miał siłę, zręczność, ale nad wszystko tę furję bojową, która przeciwnikowi tchnąć i opamiętać się nie daje.

Królowna Anna z rana poszła ze swym dworem na popiół do kościoła, a po mszy wracając, zastała tu dawną swą przyjaciółkę i dobrą znajomą, którą pamiętała jeszcze panną Katarzyną Maciejowską, a która dziś nosiła imię Wapowskiej²³³. Przyszła ona wprost ze mszy pokłonić się Annie i przywiodła jej synaczka swego. Dwu takich miała.

Piękną i dziwnie spokojną a łagodną twarzą odznaczała się pani Wapowska. Dziewczęciem słynęła ona z pobożności, tak iż posadzano ją o zamiar wstąpienia do klasztoru. Później, wydana za Wapowskiego Andrzeja²³⁴, który jej był godzien, szczęśliwa z nim nie zapominała

²³³ K a t a r z y n a z M a c i e j o w s k i c h W a p o w s k a wyszła za mąż w 17 roku życia; po tragicznej śmierci męża (zob. przypis 234) ślubowała nie wyjść więcej za mąż, czego dotrzymała, choć miała wielu konkurentów

²³⁴ A n d r z e j W a p o w s k i — kasztelan przemyski, zmarł w r. 1574 skutkiem niebezpiecznego zranienia go przez Samuela Zborowskiego (o czym szczegółowo niżej w powieści)

o Bogu. Słysnęła i teraz z wielkiej gorliwości religijnej, z przykładu, jaki dawała spełnianiem obowiązków.

Mile widzianą na dworze Anny była ta pani i królowa ją powitała serdecznym okrzykiem, bo dawno nie widziały się z sobą. Wapowscy ze swych Radochonic²³⁵ dopiero na koronację przybyli.

Wapowska przed królową chciała się synaczkiem pochwalić. Był on właśnie tego wieku, co syn Katarzyny, królowej szwedzkiej, Zygmunt, dla którego Anna wielką miłość miała — przypomniawszy jej szwedzkiego królewicza. Schyliła się ku niemu królowa, całując go i błogosławiąc, a mimowolne wspomnienie Zysia poruszyło ją mocno. Często, często już przychodziło jej na myśl, że umierając bezdzietną, tego siostrzana sobie za własne dziecko przybierze i jemu po sobie zostawi spuściznę. Nadzieje teraz płocze, sama je sobie wyrzucała, zatarły nieco Zygmusia, a oto los jakby przynosił jej przestrożę i wskazówkę, gdzie serce swe zwrócić miała, ażeby nie doznało zawodu. Schylona nad główką małego Wapowskiego, sama nie wiedziała czemu, jak zrosiła je łzami. Pani Wapowska tymczasem o swym szczęściu mówiła, o mężu, o dzieciach, o życiu, jakie spokojnie wiodła na wsi.

— Mężowi — mówiła do infantki — towarzyszyć musiałam, bo mu się należy posłuszeństwo, a mieć mnie chciał z sobą, ale jakże mnie ta wrzawa i ten zgłęb ludzi, i te obce twarze przerażają niemal. Z radością do Radochonic powrócę.

— A ja — rzekła smutnie królowa — widzisz, moja Kasiu, wśród tej wrzawy i zgłębku żyć muszę.

— Brat mój Bernard²³⁶ mawiał — odezwała się Wapowska — że Bóg każdemu stanowi szczególne daje łaski. Wy, miłościwa królowo moja (Anna się zarumieniła), przeznaczeni jesteście żyć w tym ogniu i Bóg wam da wytrwałość salamandry²³⁷.

— Kasiu moja — westchnęła Anna — wierzaj mi, i ja się nie czuję stworzoną do tego życia. Cięży mi ono.

— Dopóki się szczęśliwie nie uwieńczy małżeństwem i koroną — przerwała pani Wapowska. — Wszyscy widzą, że się to inaczej skończyć nie powinno i nie może.

Anna spuściła oczy, wargi jej zadrżały, nie odpowiedziała nic.

Z dala tylko widziała pani Wapowska króla, ale go chwalić zaczęła, na co zapewne wpływała przyjaźń męża z Tęczyńskimi, którzy na dworze byli dobrze widzianymi, co Zborowskich tak gniewało.

Po odwiedzinach pani kasztelanowej nastąpiły inne, przyszedł biskup chełmski, zjawił się Solikowski, a potem wierny sługa Ryłski. Każdy z gości przynosił wiadomość jakąś o królu, oznajmując, co robił, gdzie był i jaki program dnia tego został ułożony.

Na zamku dnia tego dla pilnych spraw była narada panów senatorów, której Henryk musiał być niemy i znudzonym świadkiem. Obowiązek ten dla płochego młodzika należał do najcięższych. Nie wszyscy senatorowie mogli i chcieli mówić po łacinie, a i tego języka Henryk nie był wielce świadomym; rozprawy żywsze toczyły się po polsku, a tych mu treść ktoś po włosku lub francusku szeptać musiał. Pomimo wysiłku, aby okazać, że to go niesłuchanie zajmowało, król siedział zadumany, znużony, niemal drzemający, a widocznie tak kwaśny i chmurny, że się tego nawet ukryć nie starał, bo to przechodziło siły jego. Spoglądano ku tro-

²³⁵ R a d o c h o n i c e (R a d o c h o Ń c e) — wieś w pobliżu Mościsk; Mościska — miasto około 30 km na wschód od Przemyśla

²³⁶ B e r n a r d M a c i e j o w s k i — brat Katarzyny z Maciejowskich Wapowskiej, był kasztelanem lubelskim

²³⁷ s a l a m a n d r a (j a s z c z u r) — należy do płazów ogoniastych (szereg gatunków); salamandry posiadają na skórze szereg gruczołów, które wydzielają sok gryzący; położona na rozżarzonych węglach salamandra może owym sokiem węgle zagasić, stąd poszło mniemanie, że salamandra może żyć w ogniu

nowi, a mniej dobrze usposobieni dla Francuza uśmiechali się z tej męczarni, która była zarazem i smutną, i pocieszną. Bądź co bądź jednak król siedzieć musiał i dosiadywać do końca.

W izbie senatorskiej tymczasem wśród najpoważniejszych narad nad stanem kraju i bieżącymi sprawami nie dawało się ukryć poruszenie jakieś, które nie miało żadnego z nimi związku. Przyczyną jego był burzliwy pan Samuel Zborowski, który nie chciał czekać obrad końca i wyzywał Tęczyńskiego gwałtem, aby się z nim stawiał w szranki. Uwiadomiony o tym pan z Tęczyna wybiegł z izby natychmiast, otoczony przyjaciółmi, którzy się lękali napaści ze strony Zborowskiego. Ten cały już uzbrojony, gotów do walki, wrzący z gniewu, nie hamując głosu, biegł po antykameryze, wywołując Tęczyńskiego i sromocąc go obelżywymi wyrazami, iż się przed nim jako tchórz ukrywał. Wybiegł Tęczyński wprost z izby senatorów ku niemu w towarzystwie Wapowskiego i kilku innych przyjaciół.

Zaledwie zobaczywszy go, rzucił się krzycząc Samuel:

— Znieważyleś mnie, nasyłając twego służalca Janasza, aby kopię moją wyrwał, ja ci tego nie mogę darować.

— Świadczę się wszystkimi, co od wczoraj są ze mną — odparł spokojnie pan Jan z Tęczyna — zem ani myślał wyzywać, ani chciał znieważać. Głupi opilec uczynił to z własnego zuchwalstwa.

— Ludzie widzieli! Człowiek twój! To dosyć! — wrzeszczał Zborowski, nie dając się pohamować. — Krwią twoją muszę zmyć obelgę.

— Panie Samuelu — przerwał Wapowski — nie zapominaj, żeśmy na zamku, pod bokiem króla i że tu nie miejsce do walki i kłótni.

— Ja czekać nie mogę! Ja odkładać nie chcę! Ani na czas, ani na miejsce zważać nie myślę. Należy się zadośćuczynienie! — wołał, coraz się rozpalając, Zborowski.

Drudzy go próżno hamować chcieli, szalał.

— Skoro tak jest — zawołał spokojnie Tęczyński — chcesz się bić ze mną, zgoda! Nikomu nie odmawiał, ani tobie też ustąpię. Daj mi zbroję wdziać i druha do boju poszukać. Potrzebuję tyle czasu, abym na Podwale do domu się dostał, zbroję na siebie wdział. Jesteś uzbrojony, ja nie.

Zborowski rwał się ciągle i kilka razy za miecz chwytał, którego zdobycia na zamku pod bytność króla śmiercią karało prawo. Ledwie go przyjaciele mogli pohamować.

— Daj mi się uzbroić! Staję! — wołał Tęczyński, któremu drzwi zastępowano.

Ledwie nieledwie zmuszono Zborowskiego, aby niechętnie podawszy Tęczyńskiemu rękę, puścił go do domu.

— Śpiesz, bo mnie gniew i złość spali! — wołał za odchodzącym.

Zdawała się rzecz cała ubita i na dobrą wprowadzona drogę, szło tylko o to, aby Zborowskiego strzymać, ukoić do czasu i nie dać mu wrzeszczeć, bo wołanie jego aż do izby senatorskiej dochodziło. Zaledwie go posadzono, zrywał się, kłął, wściekał i łajał; na ławie usiedzieć nie mogąc, biegał po izbie, w której go trzymano, ażby Tęczyński z domu dosyć oddalonego na Podwalu powrócił. Każda chwila upływająca na oczekiwaniu coraz go na nowo rozjątrzała. Zdawało mu się, że Tęczyński wymknął się, aby uniknąć walki, że nie miał i nie chciał powrócić. Na próżno go starano się do rozumu przyprowadzić.

W końcu przyjaciele, aby mu się czas nie tak długim wydawał, umyślili Moszczyńskiego, sługę Zborowskich, który się miał potykać z tym nieszczęsnym Janaszem Kroatą, wyprawić w szranki i choć tym bojem pragnienie zemsty pana Samuela zażegnać. Dano znać, że Moszczyński stał gotowy na placu, a i Kroata był także — czekali tylko, aby im znak dano. Porządek wymagał tego, aby król dał znak do turniejów, a ten siedział jeszcze w senacie.

Zborowski już i na niego zważać nie chciał, tak mu pilno było, gdy na wschodach ukazał się Henryk i przyskakującemu do siebie jednemu z dworzan odparł obojętnie, iż przeciwnicy

zmierzyć się mogą z sobą. Pan Samuel pobiegł z tym sam i siadł też na konia, a z nim ci, co mu towarzyszyli. Zbliżył się do Moszczyńskiego, który kopię układał właśnie, i krzyknął mu:

— A pamiętaj, abyś go rozumu nauczył, bo ci nie daruję.

Moszczyński głową tylko potrząsł.

Spojrzawszy na nich obu, choć Polak ów, Zborowskich sługa, krzepki się wydawał i zręczny, można mu było przepowiedzieć, że Kroacie, ogromnemu jak dąb, nadzwyczajnej siły i zaprawionemu do gonitw podobnych, nie dostoi. Sam Moszczyński pono, dopiero na placu zobaczywszy przeciwnika, którego nie znał wprzód, trochę się zawahał, ale się cofnąć wstyd było. Oczu zbyt wiele patrzyło, król sam zatrzymał się, ze wschodów zszedłszy. Podworce dokoła, wały, krużganki, galerie, okna napełnione były tłumem ciekawym.

Moszczyński, ufając w siłę niepospolitą, kopię tak ułożył, aby tarczę Kroaty rozbić, bo mu się lekką wydała. Z wielkim rozpędem koni uderzyli się i zwarli. W istocie kopia Moszczyńskiego na wylot przeszła tarczę, ale Kroata, z siodła chcąc wysadzić przeciwnika, nagle swoją włócznię pochylił i siodło rozdarłszy, w lędźwie go zranił, a nie tracąc czasu, już spod kolana koncerz dobywszy, zamierzył się ciąć okrutnie Moszczyńskiego i byłby go okaleczył, gdyby ogromny krzyk tuż stojących Węgrów, powtórzony przez tłumy, nie zmieszał go i nie powstrzymał. Rzucili się niektórzy do Kroaty, który posłuszny miecz oddał i odjechał cały, gdy Moszczyńskiego rannego musiano z siodła zsadzać.

Zborowski kłął i łajał na cały głos i sam chciał biec na Kroatę, rwąc się tak, iż go musiano gwałtem hamować. Czekan²³⁸ porwawszy, już się nad głową jego zamierzył, wydobywszy się z rąk przyjaciół, gdy drudzy przypadli i odciągnęli go precz.

Trwała tu jeszcze wrzawa, gdy od króla, strwożonego tym zgiełkiem i krzykami, nadbiegł marszałek z rozkazem, aby natychmiast się wszyscy z zamku wynosili. Zborowski albo nie słyszał rozkazu, lub wściekły nie chciał nań zważać i gonił za Kroatą, aż go marszałek zamkowym ludziom porwać i uprowadzić kazał. Otrąbiono, aby wszyscy podwórza oczyszczali i wychodzili; tłum powoli począł wyciągać, a straż zamkowa pędziła pozostałych, ale do Zborowskiego, który ze złości szalał, przystąpić nikt nie śmiał.

Chciał do króla, ale drzwi były pozamykane, wołał, że na Tęczyńskiego czekać musi — nie ustępował. Tak prawie do wieczora na próżno go łagodzano, namawiano, przychodziły posły jedno po drugich — nie ustępował. Zmuszono go nieco ustąpić ku wrotom, gdy zaledwie się to stało, wybuch nowy jakiś zwracał go na plac gonitw ku zamkowi. Lżył ciągle Tęczyńskiego, obwołując go tchórzem i beczelnym, łajał Kroatę, kłął Moszczyńskiego, dostawało się wrześnie i królowi, którego zwał lalką i babą.

Ledwie nieledwie, gdy już zmierzchało, a pan Samuel prawie pod wrotami był, zatętniało. W cwał śpiesząc, nadbiegł uzbrojony Jan z Tęczyna i Wpadł na samą tę wściekłość przeciwnika, który pohamować się nie dając, wprost bez żadnego przygotowania do miecza się rwąc, łajał i lżył Tęczyńskiego i jego towarzysów.

Zaczęto z obu stron wielkimi głosami wołać: Na plac! Na plac!

Zakipiała krew w Tęczyńskim, Samuel był jak bezprzytomny. Nim przybyli na miejsce wyznaczone, Zborowski chciał się rzucić na Jana. Wtem z boku stojący Wapowski, także zbrojny i lamparcią skórę na ramieniu mający, widząc, że mieczów dobywano, uląkł się i skoczył pomiędzy nich. Żadna już siła Zborowskiego nie mogła powstrzymać, nie słyszał nic, nic nie widział, a może Wapowskiego ujrawszy, którego wrogiem był, jeszcze bardziej zajadły, czekan podniósł i z sił całych dwa razy nim ciał go w głowę, tak że krew mu natychmiast twarz zalała.

Wszyscy naówczas pamięć stracili, ci, co żyli z Tęczyńskim, i ci, co towarzyszyli Zborowskiemu, chwycili, co kto miał pod ręką, krzyk, zamieszanie i gwałt powstał straszliwy...

²³⁸ c z e k a n (z węg.) — broń w kształcie obucha, z młotkiem na końcu

Piechota, którą z sobą Tęczyński prowadził, dała ognia z kilku rusznic. Wszystko się zmieszało, zbiło w jedną kupkę. Dopiero teraz przyjaciółom Samuela udało się człowieka oszalałego, któremu kula nogę zadrasnęła, pochwycić i kupą z nim popędzić do wrót, do których tłum z miasta nadbiegający szturmował. Ale rozkazy były dane, aby nikogo nie Wpuszczać na zamek.

Król Henryk, a bardziej jeszcze Francuzi z nim będący zlekli się tak tego tumultu i strzałów, że całą sprawę wzięli za spisek przeciwko nim wymierzony. Gdy w podwórzu odegrywała się ta krwawa scena, na zamku, co żyło Francuzów, zwołało się, zbroiło i w niezmiernej trwodze, przeklinając Polskę, zabierało się do rozpaczliwej obrony. Wprawdzie Pibrak i kilku roztropniejszych wszystko to składali na swarliwość i butę Polaków, ale strach ma wielkie oczy.

Henryk blady, zamknięty w najdalszej komnacie, otoczony sprowadzoną gwardią, czekał następstw wypadków, a każdy szmer i krzyk wystraszonych jego ludzi miotał ku drzwiom i na obronę przeciw domniemanej napaści.

Można sobie wystawić też, co się u infantki działo, która dopóki się nie ściemniło, z okien swojego mieszkania wszystko widzieć mogła, nie wiedząc, co było przyczyną zamieszania na zamku. Kobiety klęczały i modliły się; służba zbiegała po wiadomość i nie powracała.

Po wyjściu Zborowskiego za wrota pozostały Tęczyński zajął się ranionym przyjacielem, który wprawdzie przytomności nie stracił, ale chwiał się na nogach i co prędzej potrzeba było ratować go. Kasztelan wojnicki czując, że i na niego spadnie wina tego boju, którego nie poczynął, ale się musiał bronić od napaści i miecza dobyć tam, gdzie go obnażać nie było wolno, chciał koniecznie z rozbitą głową Wapowskiego stawić przed królem. On też sam żądał tego. Pociągnęli wszyscy, prowadząc z sobą kasztelana, którego skóra lamparcia cała krwią była złana, ku drzwiom zamkowym. Wszystkie były pozamykane. Musiano bić i kołatać, a hałas ten Francuzów utwierdził w przekonaniu, że na nich napaść chciano.

Wiele więc czasu upłynęło i Wapowski osłabł znacznie, nim nareście Francuzi się ośmielili po parlamentowaniu nudnym otworzyć Tęczyńskiemu. Wprowadzono rannego do sali, a tu znowu nierychło król blady i pomieszany, otoczony całym swoim dworem, ukazał się, nie mogąc słowa przemówić.

Tęczyński przypadł do niego, domagając się sprawiedliwości, kary, pomsty nad warcholę, który nic nie poszanował, nawet majestatu królewskiego. Sam Wapowski mógł jeszcze przemówić, żaląc się, że bezbronny Samuel jak zbójca raził.

Henryk cichym głosem przyrzekał sprawiedliwość, rzucając błędnymi oczyma dokoła. Pibrak pobiegł po Mirona, lekarza królewskiego, aby ranę tymczasem opatrzył i obwiązał. Wszyscy razem Francuzom jęli opowiadać, co i jak się stało. Dopiero teraz ochłonęli oni nieco z przestachu. Miron, posadziwszy kasztelana na ławie, obmył zaledwie ranę i przewiązał głowę, nie powiedział nic — tylko, że opatrzenia lepszego w domu potrzebowała. Na zapytanie ciche króla szepnął mu:

— Czaszka haniebnie strzaskana... mózg odkryty... życie ocalić będzie trudno.

Z zamku już na noszach do nieszczęśliwej żony musiano prowadzić kasztelana, który padł ofiarą swej przyjaźni dla Tęczyńskich i nienawiści Zborowskiego.

Ledwie się to stało na zamku, a z wrót potem wyniesiono Wapowskiego i po mieście się rozeszła wiadomość o tej walce, zawrzało i wzburzyło się wszystko w niewypowiedziany sposób. Wina Samuela Zborowskiego była tak jawna i wielka, że go nawet przyjaciele nie mogli bronić, starali się tylko zmniejszyć ją tym, iż Kroata go znieważył. Ale ci, co byli świadkiem starcia, szalu Samuela niczym w świecie usprawiedliwić nie pozwalali. Znano zresztą cały ten ród niepohamowany w namiętnościach i nie mogący nigdy wytrwać w pokoju. Tego rodzaju Samuel był na j straszniejszym z dzieci i sami bracia się go lękali, tak w gniewie zmysły tracił.

Gdy go jeszcze się miotającego i szarpiącego odprowadzono do kamienicy, w której wczoraj obchodzono wesele, wszyscy nań padli z wyrzutami, iż sobie i rodzinie nieszczęście ścigać, a gardło dać będzie musiał. Ale co takiemu człowiekowi popędliwemu znaczyło w tej godzinie namiętnego porywu życie stracić i drugich o śmierć i zgubę przyprowadzić. Rwałby był, kasał i siekł, nie patrząc kogo, i sam się dał posiekać na kawały, byle zadość namiętności uczynić. Krew, która go zboczyła, zdawała się jeszcze nie nasycone zemsty wzmacniać pragnienie. Drżał cały i śmiał się dziko.

Starsi ze Zborowskich chcieli natychmiast biec na zamek do króla, ale nie było najmniejszej nadziei, aby ich tam wpuszczono.

Dziwnym zwrotem w tym wypadku było, iż w mieście winę jego składano już na króla. Wszystkiemu byli winni Francuzi. Jak, tego nikt nie umiał wytłumaczyć; lecz jak na zamku narzekano tej nocy na Polaków i większa część wylekłych Francuzów uznawała pobyt tu niemożliwym, tak w mieście króla obwoływano niezdarnym, niewieściuchem, słabizną. Niechęć wzajemna zrodziła się tak, prawie bez powodu, bo wprzód już przygotowaną była wielką różnicą obyczajów i usposobień. Nie takiego z pewnością króla w tej chwili potrzebowała Polska. Po ulicach, po browarach i piwnicach przybiegali z zamku i pobliza, niby lepiej uwiadomieni, opowiadając androny, tłumacząc zająście tym, że król Zborowskim dlatego, że mu do korony pomagali, pobłażał i wszystko pozwalał. — Gdyby kto inny królewski zamek zakrwawił, ścięto by go pod Dorotką²³⁹, a jemu nie będzie nic.

Niechęć ku Zborowskim, żal do nich były powszechne, Jeżeli takie rzeczy poczynają panowanie, a miały uchodzić bezkarnie, czegoż się było na przyszłość spodziewać?

Pomiędzy posłami i senatorami też niepokój był ogromny... i noc upłynęła na naradach burzliwych. Zborowscy i ich przyjaciele łatwo się przekonać mogli, iż większość przeciwko nim była. Domagano się kary śmierci na gwałciciela pokoju pod bokiem króla.

Królowna Anna modliła się i płakała. Przeczucie jakieś wskazywało jej, że przyszłość, tak się zwiastująca groźnie, szczęśliwą być nie mogła. Losy Henryka ciągnęły za sobą jej dole niefortunna.

Gdy popłoch pierwszy przebiegł zamek, a z niewiast około królowej będących żadna się nie ośmieliła za drzwi wychylić dla powzięcia wiadomości, jedna Zagłobianka nie wahała się iść wprost do dworzan króla, ale zastała ich w takiej trwodze, tak rozpierzchłych i wylekłych, że nieledwie odwagi im dodawać musiała. Krzyczeli i wołali jedno, iż spisek uknuty być musiał przeciw nim i królowi, i rozpaczliwie biegali, ścigając broń, której by nawet użyć w tej chwili nie potrafili.

Zagłobianka zdołała wyszukać Talwosza aż gdzieś na dole, od niego się dowiedziała o wszystkim i pierwsza przyniosła królowie smutną prawdę. Zdawało się jednak, że biedny Wapowski, który przed królem jeszcze mówić mógł przytomnie, był tylko ciężko rannym, a życiu jego żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Opłakiwano i człowieka powszechnie szanowanego, i losy rodziny Zborowskich, która za Samuela pokutować miała. Anna wprawdzie nie miłowała ich bardzo, lecz im winna będąc wybór Henryka, co się starali nieustannie przypominać, klęskę Zborowskich skłonna była uważać za porażkę króla, do którego obozu oni się liczyli.

Jak dzień, wysłała Dosia swojego podwładnego do pani Wapowskiej, aby się o zdrowiu kasztelana dowiedzieć. Talwosz, który się ledwie mógł docisnąć tam, zwiastował smutnie, że

²³⁹ D o r o t k a — według Zygmunta Glogera (*Encyklopedia staropolska*, t. II, s. 29) przysłowie „Słodko Dorotko, ale gorzko niebogo” stosować się musiało do jakiejś występnej Dorotki która odsiadywała karę w jednym z zamków krakowskich i od której loch jej więzienny poczęto wołać „Dorotką”; później w każdym zamku loch więzienny podobnie nazywano. Możliwe też, że nazwa pochodzi od św. Doroty (1340—1384), która ostatnich 14 miesięcy życia spędziła w dobrowolnym więzieniu, kazawszy zamurować się w celi.

ranny żył wprawdzie, ale lekarze, którzy głowę opatrywali i kości potrzaskane czekaniem wyjmowali z niej, rozpaczali, aby go uratować mogli.

W dniu tym życie całe jakby zahamowane zostało zburzeniem umysłów, które wypadek wczorajszy obudzał. Zbierano się tłumnie, radzono... Senatorowie szli na zamek, posłowie gromadzili się, gdzie mogli, na narady. Zborowscy obsyłali swoich niespokojni. Trafili na-przód do Pibraka. Byli z nim najlepiej i najbliżej, mieli i innych przyjaciół u boku króla. Henryk milczał, z drugiej strony Tęczyńscy i za nimi ogromna większość wołała przykładowej kary i sprawiedliwości.

Król okazał się niepewnym, wahającym i przybitym aż do zupełnego obezwładnienia. Dawał mówić jednym i drugim, oskarżającym i obrońcom, potakiwał jednym i drugim. Ani on, ani rozumny i przebiegły Pibrak nie wiedzieli, na którą się przechylić stronę. Jawnym już było jednak pierwszego dnia, że całkowicie bezkarnie ująć przestępstwo nie może.

Zależało wiele na tym, czy Wapowski żyć miał lub umierać. O tym nikt wyrokować nie umiał, począwszy od Mirona, a kończąc na najuczeńszych lekarzach krakowskich. Jedni spodziewali się go ocalić, drudzy widzieli niemożność utrzymania przy życiu. Wapowski stracił przytomność. Siły się wyczerpywały. U łoża klęczała modląc się spłakana żona z dwojgiem dzieci; po wszystkich kościołach odbywały się nabożeństwa uroczyste. W ulicy stał tłum, patrząc na zapuszczone okna, podслуchując pod ścianami, chwytając wychodzących którzy zapytania, milcząc smutnie, zbywali.

Na zamku też niepewność ta, czy Wapowski żyć będzie, sprawę w zawieszeniu trzymała. Szóstego dnia wreszcie nadzieja była straconą, poczęło się powolne konanie...

Z męstwem, które tylko taka wiara głęboka, jaką miała Wapowska, dać może, odmawiała ona modlitwy za konających u łoża męża, którego powieki już się prawie nie podnosiły. Dawno stracił był przytomność; wyrazy, które mu się z ust wyrzywały, były albo ułamkami modlitw, lub jakimiś marzeniami i snami o niebiesiech. Przebaczył wszystkim — ale mężna niewiasta, która klęczała przy nim, mówiła w duszy, iż pomsty za krew niewinnie przelaną szukać będzie... Morderca niech da głowę!

Siódmego dnia otwarto okiennice. Wapowski leżał na katafalku, otoczony światłem, z obnażoną głową strzaskaną, na której żółtej skórze krew zaschła czarna. Wapowska w czerni z dziećmi w nogach płakała na ziemi.

Gdy we wszystkich kościołach uderzono w dzwony żałobne, wiedziano w Krakowie, kto życie zakończył, a gawiedź uliczna pod domem Zborowskich wołała:

- Samuelowi na śmierć dzwonią. Zborowski stał w oknie i mruczał:
- Niedoczekanie! Śmierć jemu, który króla na tronie posadził?

Nazajutrz ze dworu Wapowskich wyciągnął kondukt żałobny. W czerni, w kirach seciny ludzi, panowie i służba, wozy czarne, konie w kapach, zakonnicy z pochodniami, księża śpiewający psalmy przodem. Za trumną w czarnej sukni i zasłonie, z synaczkiem starszym przy sobie, Wapowska błada, z suchymi oczyma, widmo domagające się krwi za krew. Przy niej Maciejowscy, Wapowscy, Tęczyńscy, rodzina, przyjaciele, powinowaci, wszyscy wrogowie Zborowskich. Kondukt nie idzie ani do kościoła, ani na cmentarz — na zamek, na Wawel, do króla domagać się sprawiedliwości wobec zwłok zamordowanego.

Kto powziął tę myśl zuchwałą i przerażającą? Kto ją poddał? Nikt. Wapowska wstała od trumny i ona głosem śmiałym wskazała:

— Na zamek przed króla z jego zwłokami i nie odejdziemy, aż nam sprawiedliwość wymierzona zostanie.

Rozkaz dreszczem przejął wszystkich, ale jak ogień zapłonął potem w sercach przyjaciół.

— Na zamek ze zwłokami! Na zamek! — oczy połyskiwały od łez i ognia... spoglądano na siebie. Orszak przy śpiewie powolnym psalmów ciągnął noga zam, nogą, aby lud widział zamordowanego, aby trup obudził zemstę, a wdowa politowanie. I zbiegły się tłumy, i szli, jak kto stał, za pochodem aż do wrót zamkowych, a kto się mógł wcisnąć, wewnątrz na podwórze.

— Król jak piorunem został rażony, widząc ten długi szereg ludu w czerni, uroczyście podciągający pod krużganki, z tą wdową i sierotą. Henryk zbladł, Francuzi zmieszali się przestraszeni, Tęczyński wdowę wiódł do króla, służba wzięła na ramiona trumnę, chcąc ją nieść do sali, gdy szmer się zrobił i król pospieszył wyjść cały drżący jeszcze, z odkrytą głową, smutny, a w duszy gniewny. Czyniono go wobec narodu winnym. Trup ten oskarżał o nieudolność, o opóźnienie wymiaru sprawiedliwości. Zborowski chodził dotąd wolny i urągał się w tym swej ofierze.

Wystąpił przed zwłoki Stanisław Maciejowski²⁴⁰ z mową bolesną, żałościwą, poruszającą. Jęk i płacze słyszeć się dały.

Zabrała głos wdowa, do nóg przypadając panu i błagając o pomstę za tę ofiarę niewinną. Mówił potem Tęczyński.

Król zmieszany kładł rękę na sercu, bełkotał coś niezrozumiałego, przyrzekał. Twarz mu bladła, to czerwieniała, nogi pod nim dygotały. Widok tego żółtego trupa przejmował go zgrozą, nie śmiał spojrzeć nań.

Z dzieciną przy sobie, zaledwie król się wymknął, poszła kasztelanowa do Anny. Królowa na naprzeciw niej już wystąpiła i na ramionach wdowy położywszy ręce, zachodziła się od płaczu. Serce jej mówiło, że może z Wapowskim i własne szczęścia nadzieje pogrzebać miała. Stały tak długo, milcząc i łkając, aż Tęczyński z Maciejowskim ujęli pod ręce osłabłą i nazad przeprowadzili do kolebek, których siedem towarzyszyło wdowie na zamek. Po chwili w milczeniu trup i pochód zawrócił od krużganków nazad.

Tęczyński chciał kondukt skierować do kościoła, w którym czekał na zwłoki przygotowany katafalk.

— Nie — odezwała się Wapowska — do domu. Niech zwłoki leżą nie pogrzebione, aż król sprawiedliwość wymierzy.

Rozbolałej niewieście nikt się nie śmiał sprzeciwić. Dano rozkazy, pochód nazad sunął się ulicami do dworu Wapowskich i trumna stanęła na marach w dolnej sali, a duchowieństwo rozpoczęło na nowo śpiewać psalmy nad zwłokami.

Na zamku u króla przerażenie było ogromne, radzono, nie mogąc postanowić. Do Henryka, który nie wiedział, co ma uczynić, do Pibraka, który nie śmiał powiedzieć, co myślał, przybiegali po kolei Zborowscy, domagając się zuchwale wypłaty długu za elekcję, a więc bezkarności, i Tęczyńscy a Wapowscy, żądający sprawiedliwości.

— Tęczyński też miecza dobył na zamku — wołali Zborowscy — niech więc i on ukarany zostanie. Król milczał — dnie schodziły.

Dowiedział się kasztelan wojnicki, że go obwiniano.

— Dam więc i ja gardło! Gotówem — zawołał, poszedłszy do króla — ale niech ze mną morderca ukarany zostanie. Pójdę sam do więzienia, położę głowę na pieńku!

Król zimny — ani Tęczyńskiego stracić, ani Zborowskich sobie narażać nie chciał — milczał. Dokoła niego wiły się jak nici niewidzialnej pajęczyny intrygi, na jedną i drugą usiłujące go pociągnąć stronę.

Szlachta tymczasem warczała groźnie, zbierała się tłumnie, wołała senatorom:

— Czyńcie powinność waszą.

²⁴⁰ S t a n i s ł a w M a c i e j o w s k i — brat Katarzyny z Maciejowskich Wapowskiej, kolejno kasztelan sandomierski, marszałek dworu królowej Barbary, kasztelan wojnicki, marszałek nadworny koronny; był wierszopisem i mówcą

Posłano referendarza Czarnkowskiego do senatu z domaganiem się, aby on króla skłonił do wyroku. Wyrok się ociągał. Dwa dni upłynęły, w mieście najróżniejsze chodziły wieści, sama zwłoka dowodziła, że Zborowscy mieli na dworze obrońców... oburzenie wzrastało.

Wapowska, która dnie i noce klęczała, modląc się u zwłok męża, wstała. Nie mówiła nic, głos zasechł jej w ustach, wskazała ręką. Pochód żałobny ciągnął na zamek raz wtóry.

— Na zamek?

— Tak, do króla.

Ale tu już go poprzedziła wieść o drugim wystąpieniu. Pibrak był gniewem przejęty, Henryk zaciął blade usta.

Chciano zamknąć bramy. Rozmyślił się król jednak. Gdy Wapowska zbliżyła się do krążanków, wyszedł z głową odkrytą, ale na twarzy jego tym razem więcej było zniecierpliwienia i gniewu niż litości i postrachu. Poszeptał i oddalił się szybko.

Wdowa jak pierwszym razem szła z sierotą do królowej.

Padła jej do nóg, składając ręce, i zawołała tylko:

— Sprawiedliwości!

Anna z nią płakała. Zapomniała się chwilę, przejęta tą żałobą i rozpaczą.

— Sprawiedliwości! — odezwała się głosem złamanym. — Kasiu moja, ale gdzie sprawiedliwość jest na tym świecie! Tobie ją ociągają, ja jej dla siebie doprosić się nie mogę...

Sprawiedliwość tam!

I podniosła rękę ku niebu.

Po raz wtóry odciągnęły zwłoki od zamku. Sądzone, że teraz już pogrzeb nastąpi. Wapowska odprowadziła je do dworu i złożyła na katafalku, przy którym uklękała.

W mieście zburzenie rosło.

Zborowscy chodzili porażeni i wściekli; ten trup, wędrujący i domagający się pomsty na nich, mężnych nawet i zuchwałych przejmował trwogą. Z trupem razem naród cały zaczynał naciskać na króla i naglić o przykładne ukaranie.

A pan Samuel naumyślnie wychodził z kamienicy w Rynek i stawał, jakby urągając się, z twarzą swą zuchwałą szyderską, mówiąc wbrew tłumom:

„Oto mnie macie! Nie będziecie śmieli uczynić mi nic.” Dwa dni naradzano się na zamku i wyrok król zatrzymał. Nie chciał nikogo sobie narazić, a obojga stron zaspokoić nie mógł. Większość Francuzów za Zborowskimi głosowała. Pibrak ich bronił, król w sercu gotów był przebaczyć. Cóż go obchodził zabity Wapowski? Tęczyńskiego za to chciał zrobić podkomorzym swym i przywιάzać do swej osoby.

Niepokonana w swej żalości Wapowska po raz trzeci przyciągnęła na zamek ze zwłokami. Król nie ukazał się już.

Szła do królowej ze łzami i z tym jednym zawsze wołaniem:

— Sprawiedliwości!

Potem płakały obie i kondukt raz jeszcze odciągnął do dworu, a zwłoki stanęły na katafalku, a modlitwy i śpiewy brzmiały znowu we dnie i w nocy. Król nie śmiał ogłosić wyroku.

Ścierały się ciągle wpływy i rano jedne, wieczorem drugie górę brały. Pibrak dowodził, że Zborowscy odepchnięci, ukarani w osobie Samuela, pół kraju odejmą królowi. Senatorowie byli za sądem surowym i bezwzględny. Firleje i nieprzyjaciele Zborowskich wołali o karę śmierci. Tęczyński dla pomsty nad Samuelem swoją głowę ofiarował.

Tak panowanie, rozpoczęte zuchwałym wykrzykiem Firleja: *Si non jurabis, non regnabis!*²⁴¹ — miało się otworzyć krwawym wyrokiem i toporem kata; pierwsze słowo młodego króla miało być: śmierć temu, kto mnie do tronu podnosił.

²⁴¹ *S i n o n j u r a b i s, n o n r e g n a b i s!* (łac.) — Jeżeli nie przysięgniesz, nie będziesz panował!

Raz czwarty jeszcze nadaremnie Wapowska do wrót zamkniętych zamku przyszła ze zwłokami męża. Nie wpuszczona do króla, przywlokła się do Anny z narzekaniem. Płakały razem.

Na ostatek te zwłoki, które się nie mogły doczekać spoczynku, obudziły litość w biednej żonie. Mąż śnił się jej domagający, aby go pochowano.

„Bóg za mnie sprawiedliwość domierzy — mówił do żony we śnie — morderca zginie z ręki kata!”

Nazajutrz po tym śnie, oblanym nowymi łzami, Wapowska zakrytą trumnę odprowadziła do kościoła. Nieprzeliczone tłumy jej towarzyszyły, tysiące otaczały świątynię, napępiały cmentarz. Płacz i łkanie rozlegały się wszędzie, a gdy wymowny dominikanin przemówił słowem natchnionym z kazalnicy, nie było oka suchego i piersi, którą by nie poruszyła żalność straszna.

I z kazalnicy znowu ozwał się ten sam głos, to słowo, które powtarzały usta Wapowskiej — sprawiedliwości — ale kaznodzieja w Bogu wskazywał wielkiego Sędziego nad sędzie, który karze nawet to, co ludzkie sądy bezkarnym uznają.

Nazajutrz po pogrzebie spodziewano się wyroku, ale na zamku, w senacie, wszędzie aż do sypialni królewskiej sprzeczano się dotąd, nie mogąc postanowić nic. Król na karę śmierci wprost nie chciał się zgodzić, powiedział to wyraźnie.

Zborowskim mało było tego, oni żądali zupełnego oczyszczenia, w ich przekonaniu Tęczyński winien był tylko, bo jego Kroata włócznie Zborowskiego wyrwawszy, zelżył dumnego panka. Uniewinnienie całkowite Samuela jednakże nawet przyjacielowi ich Pibrakowi wydawało się niemożliwe. Głos ludu znaczył coś, a ten się domagał kary. Rozprawiano, a tymczasem oburzenie przeciwko królowi i jego doradcom rosło.

Pomiędzy Francuzami a Polakami ta krew Wapowskiego jakby przepaść jakąś wyłobiła. Zamiast się zbliżyć i jednać, stanęli przeciwko sobie w bojowym szyku. Polacy jawnie, Francuzi ze swą garstką milczący, upokorzeni i tym wścieklejsi, że się słabymi czuli. Z więcej wystraszonych, który mógł tylko, gońcem się wypraszał do Paryża, zabierając z sobą podarki, którymi króla obsypywano, a te szły zaraz wyprawiane nad Sekwanę. Tak przynajmniej utrzymywano w mieście, gdzie niechęć do króla, do P s i b r a t a, do wszystkich tych wymuszanych lalek z cienkimi nóżkami rosła z każdą godziną. Francuzi już sami z trudnością się mogli pokazać na miasto, rzadko schodzili z Wawelu, a gdy chcieli spocząć gdzieś w Rynku i zabawić się, musieli wymykać się nocą i szukać sobie osobnego kąta, gdzie by ich palcami nie wytykano i nie wyśmiewano.

Niewesoło było u królowej Anny. Tu zdało się, jakby wieczór w kamienicy Zborowskich, spędzony razem z Henrykiem, był ostatnim błyskiem nadziei, a początkiem rozczarowania. Anna widziała jeszcze tego, którego za narzeczonego uważała, uśmiechającego się jej uprzejmie i słodko, obracającego się wesoło wśród ludzi, którzy mu miłość i poszanowanie okazywali. Nazajutrz razem z popiołem na czoła spadł smutek, niechęci, waśnie i zawikłania, którym nie było końca. Henryk znękany zaledwie się ukazywał królownie. Została na stronie zaniedbaną, zapomnianą.

Sprawa spadku po bracie leżała odłogiem, nikt jej podnosić nie chciał, nikt bronić nie śmiał. Anna musiała pożyczać pieniądze na utrzymanie siebie i dworu, a jej wołanie przez Czarnkowskiego, przez Ryłskiego, rozbijało się i tonęło we wrzawie sprawy Zborowskich.

Dwa razy na krótko król przychodził powitać królową, która sama mu o sobie i swym położeniu mówić nie śmiała. Zamieniali kilka słów chłodnych, ceremonialnych, Henryk skarżył się, że nie miał czasu, i uciekał, zaledwie się pokłoniwszy. Wejrzenie jego nawet zdawało się ostyglym, bojaźliwym, niepewnym, bez wyrazu. Anna się łudzić już nie mogła, ale wszystko zamykała w sobie. Na cóż się zdało skarżyć?

Łaska i inne. panie widziały zawsze jeszcze wielkie nadzieje, były pewne, że się to weselem skończyć musi. Potajemnie panny królowej dostały rysunki herbów francuskich i lilie szyły na sukniach przeznaczonych w ich mniemaniu na wyprawę królowej.

Tymczasem o weselu głucho było i żaden żyw człowiek na dworze o nim nie myślał. Francuzi śmieli się między sobą, gdy który z nich o tym, jak o poczarnej groźbie, napomknął. Nie dziw, że skłonna zawsze do smutku i łez królowa, nie sprzecząc się z Łaską, gdy ta jej swoje marzenia powtarzała zawsze jedne, słuchała ich roztargniona, nie odpowiadając ani słowa.

Znowu teraz częściej dobywała królowa listy swej siostry, królowej szwedzkiej, i odczytywała w nich wiadomości o małym Zygmuncie, który po polsku mówił dobrze, przy ks. Warszawickim²⁴² modlił się w tym języku i bardzo był pobożnym. Serce biednej Anny zwracało się ku niemu, przysposabiając go sobie.

Do wielu innych zawodów, które spotykały królową, dodać było potrzeba i zmianę, jaka zaszła w jej ulubienicy Zagłobiance. Służyła ona z równą na pozór gorliwością ukochanej pani, miewała dla niej wybuchy czułości i po dawnemu przypadała do nóg, całując je, a czasem oblewając łzami; ale nie była to już Dosia, żyjąca tylko swą panią.

Talwosz pożółkł i wybladł, śledząc jej kroki, nie śmiejąc czynić wymówek, nie dowierając oczom własnym, co dzień mocniej przekonany, iż ktoś z Francuzów głowę biednej dziewczynie zawrócił.

Zręczna bardzo, nie dająca się nigdy złapać na uczynku, a pochwycona na czymś dwuznacznym, umiając się zawsze uniewinnić, Dosia wymykała się często, niknęła z oczów Talwoszowi i Żalińskiej, powracała zarumieniona, pomieszana.

Żalińska, która ją dla syna mieć chciała, bo ten zawsze szalał za nią, doszła, że jakieś podarki kosztowne znajdowały się pomiędzy rzeczami Zagłobianki. Skąd one pochodzić mogły?

Talwosz nie miał prawa o nie zapytać ani wymówek czynić. Niekiedy, jakby ogólnie o Francuzach się wyrażając, malował ich płocność i niestałość i zwracał na to uwagę, jak mało im zawierać było można. Naówczas Zagłobianka z wielkim zapalem brała ich w obronę i dowodziła mu, że nie znał wcale tych, których sądził. Ona widziała w nich wszystko dobre, a dla króla była z niewypowiedzianym uwielbieniem. Z rozmaitych poszlak domyślać się musiał Talwosz, iż Dosia przestrzegała o wielu rzeczach Francuzów i donosiła im o tym, co się na dworze Anny działo i mówiło.

Dawniej Zagłobianka z niezmierną gwałtownością sobie właściwą dowodziła, że Henryk musiał i niechybnie miał się żenić z królową. Talwosz teraz na próbę umyślnie wznowił o tym rozmowę z Dosią. Spojrzała na niego bystro i długo, zagryzłszy usta, milczała.

— Juściż — rzekła w końcu — miał się żenić i przyrzekł, to pewna, ale kto kocha królową naszą, nie wiem, czy tego dla niej życzyć powinien.

— Panna Dorota więc chyba teraz inaczej przejrzała! — rzekł szydersko Talwosz.

— Ani się tego myślę zapierać — odparła dumna dziewczyna. — Głupi tylko ludzie widzieć nie chcą i gdy się omylili, do błędu przyznać nie mogą. Królowa ma właśnie dwoje tyle lat, co on. Za kilka lat będzie zupełnie starą, a on ledwie zmężnieje.

— Więc lepiej, żeby się nie żenił? — zapytał Talwosz.

— Co to do mnie należy? — szorstko przerwało dziewczę. — Dlaczego wpan mnie pytasz o to? Mnie się zdaje, że sama pani nasza tego nie zechce, gdy się rozmyśli.

Litwin począł głową potrząsać, dziewczę się zarumieniło mocno i pogniewało.

— Kto królową kocha jak ja — dodała gorąco — kto jej dobra pragnie, ten nie powinien życzyć, aby się to małżeństwo skleiło.

²⁴² S t a n i s ł a w W a r s z e w i c k i — (1527—1591) wybitny teolog, był sekretarzem Zygmunta Augusta; dopiero w r. 1578 został nauczycielem królewicza Zygmunta (anachronizm w powieści); od r. 1583 był rektorem w Lublinie

— Zapewne — wtrącił Talwosz szydersko — jeżeli, jak teraz, z Francji ma sobie dziewczęta sprowadzać. Dosia wybuchnęła zapalczywie.

— Kto to wpanu powiedział? — zawołała. — To fałsz!

— A dla kogoż to tę pannę przywieziono, co ją u Karła Sederyna w Rynku, w Starej Mynicy trzymają — odezwał się Talwosz, pewien swego — i do kogo ona wieczorami stamtąd na zamek przybywa.

Zagłobiance paliła się twarzyczka.

— Kłamstwo! Potwarz! — poczęła wołać. — Mało Francuzów jest na zamku przy królu, żeby to na jego składać rachunek? Dostyc tu ich przecie, co do żadnej z naszych kobiet przemówić nie mogą, bo żadna z nich po francusku nie umie.

— Oprócz panny Doroty! — dorzucił złośliwie Talwosz. Na moment zamilkła zmieszana Dosia, lecz wnet zuchwale przystąpiła z wyzywającym, gniewnym wzrokiem do Talwosza.

— Ja to od niejakiego czasu już widzę — wykrzyknęła — że waszmość sobie pozwalasz śledzić wszystkie moje kroki.

Nie masz do tego prawa i bardzo proszę, abyś przestał się mną opiekować.

Zbity tak Litwin smutnie spuścił głowę, podniósł głos nie już oburzony i gniewny, ale pełen żalości.

— A, panno Doroto — rzekł — gdybyś wiedziała, jak dobrym i braterskim sercem ja to czynię, za co się gniewasz tak na mnie! Wierz mi, nie dla siebie, nie przez urojenie, że mnie mogłabyś pokochać i miłością moją pocziwają nie gardzić, ale przez szczerą przyjaźń dla was, prawda... śledzę kroki wasze i smucę się.

Dosia spuściła oczy; wyraz, z jakim to mówił, dotknął ją, uczuła się poruszona.

— Dość tego — rzekła ciszej i nie śmiejąc mu spojrzeć w oczy — jestem wpanu wdzięczna, ale (tu wzrok łzawy podniosła), ale co komu przeznaczone, tego nie uniknąć nigdy. Ja w kolebce może na zatracenie byłam poświęcona. Nie chciał mnie nikt, wyparli się swoi.

— A królowa? — przerwał Talwosz.

— Nie sądz, abym była niewdzięczną — przerwała Zagłobianka. — Bóg widzi, dla niej bym życie dać gotowa, ale gdybym je dała nawet, to jej nie przyczynię tego, co dla niej też... nie przeznaczone, czego ona nigdy mieć nie będzie.

— Czego? — zapytał Talwosz.

— Takiego człowieka, co by ją pokochać umiał i ocenić, jak ona warta, nie znajdzie. Za późno! — westchnęła Dosia. — Za późno!

I przestała mówić nagle. Talwosz dał jej milczeć chwilę zatopionej w sobie.

— Mówmy lepiej o pannie Dorocie — dodał, korzystając z tego, iż zdawała się złagodzoną. — Prawdą jest, że ja pannę śledzę, bo się boję... Panna wierzy Francuzom, a to są ludzie bez czci i wiary, gdy o kobiety chodzi. Oni sobie z ich łez nic nie czynią!

— Gdzieżeś to ich tak poznał? — szydersko przerwała Zagłobianka.

— Ano, dosyć było patrzeć od czasu, jak tu są — rzekł Talwosz.

Spojrzała na niego z góry dziewczyna.

— Wy ani ich języka nie rozumiecie, ani obyczaju — rzekła — nie wiecie, jak oni miłować umieją. U was wszystko od siekiery, nawet miłość.

— Tak, panno Doroto — rzekł Talwosz — ale od siekiery wyciosane trwa cały żywot, a ich piórka wiatry zdmucha.

Zagłobianka nic nie odpowiedziała.

Ta rozmowa i kilka podobnych wcale nie wpłynęły na sposób jej postępowania. Zdawała się lekceważyć Talwosza szpiegowanie, pewną będąc, że on jej nie zdradzi. Umiała się nim nawet posługiwać, gdy było potrzeba, a nieszczęśliwa ofiara ta szła posłuszna, choć serce pękało.

Żalińska wzięła na siebie szepnąć o tym Annie, iż lęka się, aby który z Francuzów Dosi nie bałamucił. Królowna się mocno oburzyła na to przypuszczenie.

— Ale co ci w głowie, moja Żalińsiu! — zawołała. — Dosia! Ona! To nie może być! Ja się nią posługuję, gdy mi potrzeba co od Francuzów się dowiedzieć, ale to dziewczyna stateczna! A głowa się jej tak łatwo nie zawróci! Miała dosyć chłopców, co się koło niej kręcili, nie chciała żadnego.

— Ale ona strasznie często biega do nich i po kątach szeptu a schadzki ma ciągle — dodała Żalińska.

— To ja wiem — odparła królowna. — Może być, że niepotrzebnie ją narażam, będę na to miała baczność.

— Aby nie było za późno — szepnęła Żalińska. Na tym się skończyło, bo gdy Anna wieczorem coś o tym szepnęła Dosi, ta jej do nóg upadła, poczęła ścisnąć za kolana, tłumaczyć się, płakać i nazajutrz tak biegała jak przedtem. Żalińską tylko, posądzwszy o doniesienie, gniewnie odprawiała, gdy się zbliżyła do niej, a pana Matiasza gorzej jeszcze.

Pomimo całej swej przebiegłości w kunszcie podpatrywania i podsłuchiwania, w którym Talwosz z dawna był mistrzem, nie udało mu się dośledzić, z kim właściwie Dosia ze dworu Henryka była w najbliższych stosunkach. Znali ją tu wszyscy, kłaniali się jej i witali, rękę kładnąc na sercu, bawili ją dowcipami, usługiwali ochoczo, ale ona żadnemu nie zdawała się dawać pierwszeństwa i wszystkich zbywała dumnie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

TOM TRZECI

KSIĘGA TRZECIA

ZAWODY

*Gdzież one złote góry nieprzebrane?
Gdzie Gaskonowie i wojska ubrane?
W co poszły działa i nasze turnieje?
Wiatrem nadziane puknęły nadzieje.*

J. Kochanowski²⁴³

Znało całe miasto Karła (Karola) Sederyna, który trzymał kamienicę w Rynku, zwaną Starą Mynicą. Kupiec był zamożny, co się zowie, bo oprócz tej posiadłości i kilku pomniejszych placów i dworów posiadał wieś Zielonki pod Krakowem.

Kupcem się zwał i w istocie kupczył, ale jakim towarem, niełatwo powiedzieć było, raczej czym nie handlował. Sklepu nigdy żadnego nie miał, chociaż w domu u siebie różne rzeczy sprzedawał, ale szopy i składy pełne kupii wszelakiej. Sprowadzał miedź, żelazo, ołów, kruszec różny, wywoził futra, miał pełne wina piwnice; na składzie trzymał sukno i różne tkaniny, których na łokcie nie dawał, chyba przyjaciołom, ale je hurtem sprzedawał. Gdzie się kolwiek okazała albo potrzeba czegoś, lub nadzieja zysku, tam pan Sederyn pierwszy był i drugich prześcigał. Nie znaczyło dla niego nic, czy wodą, czy lądem ściągać kupię, a najdalej podróże go nie zastraszały. On sam, gdy tego była potrzeba, dobrze zbrojny i z ludźmi pewnymi puszczał się w podróż, a miał oprócz tego kilku sprawnych pomocników, których na wszystkie strony rozsyłał.

Ludzie mu naówczas przepowiadali, że dojdzie do takiego znaczenia i majątności jak Wierzynek²⁴⁴ i Bonery²⁴⁵ — ale los później inaczej zrządził.

²⁴³ Przytoczony czterowiersz pochodzi z *Pieśni* Jana Kochanowskiego (księga II, 8, wiersze 13—16). Pieśń tę Kochanowski napisał w czasie bezkrólewia po ucieczce Henryka Walezego. W powyższym czterowierszu są aluzje do „złotych gór”, tj. nie spełnionych obietnic francuskich, w szczególności obiecanych przez Henryka czterech tysięcy Gaskończyków (Gaskonia — prowincja we Francji), których król przyrzekł trzymać w Polsce, oraz dział.

²⁴⁴ M i k o ł a j W i e r z y n e k — bogaty mieszczanin krakowski w czasach Kazimierza Wielkiego; od r. 1341 był generalnym zarządcą dworu królewskiego, był też doradcą królew-

Sederyn też nie starał się nigdy o to, aby u dworu znaczenie miał i do urzędów żadnych się nie cisnął. Miał bez tego wiele do czynienia. Pieniądz u niego wszystko znaczył, o resztę się nie troszczył i z mieniem, jak to drudzy umięją, nie popisywał i nie pysznił. Gdy z rana w kozuchu, długich butach i czapce baraniej prostej po składach chodził, ludzi doglądał, sprawdzał towar przywieziony, nikt by go za możnego kupca nie wziął, tak wyglądał niepocześnie i skromnie. Miał też tę naturę, że zamiast się chwalić z dostatkiem, pisał i rad się był czynić ubogim, choć się z tego śmiano. Ludzie rozpowiadali, że dla oszukania — pieniędzy pożyczał, choć ich nie potrzebował, aby myślano, że dostatku wielkiego nie ma. Tymczasem świadomi rzeczy twierdzili, że żelazne skrzynie w lochu trzymał pełne pieniędzy.

Od dawna już Sederyn z Zachodu, z Włoch i z Francji różny towar sprowadzał i miał tam mnogie stosunki. Sam jeżdżąc w interesach, języków się nauczył i po włosku a po francusku mówił dobrze.

Gdy Henryk się począł starać o polską koronę, Sederyn nie wiadomo naprzd przez kogo użyty został dla wywiedzenia się o wielu rzeczach w Paryżu, potem do ułatwienia stosunków z Francją, przesyłania listów i pieniędzy. Na ostatek się tak złożyło, że Francuzi przybywający do Krakowa niemal sobie gospodę założyli u niego. Był ich sługą. Musiał na tym nieźle wychodzić, bo pilno i serdecznie brał każdą ich sprawę. Cały teraz dom niemal, Stara Mynica, otworem dla Francuzów stała. Tu się oni zbierali, naradzali, miewali schadzki i zabawy, które na zamku zbyt by oczy zwracały.

Na dole niejaki Beraldi otworzył był tymi czasy winiarnię pod Złotym Gronem, do której przeważnie uczęszczali dworzanie Henrykowi i cudzoziemscy. Gospodarz był z południowej Francji gdzieś rodem, otyły, osmalony, a gorący, jak żywe srebro ruchawy człek, krzykacz i zuchwalec. Ten gotował dla swoich ziomeków potrawy, do których nawykli, poił ich winami, jakie lubili, i dostarczał wszystkiego, czego z nich który zażądał.

Gdy mieszczanin albo szlachcic przypadkiem pod to Złote Grono zabłądził na lampkę wina, prędko się przekonywał, że to nie było miejsce dla niego; przyjmowano go tu zimno, częstowano, jakby się zbyć chciało. Francuzi, oprócz izby przystępnej dla wszystkich, mieli tylko dla siebie pozostawione, w których się zamykali.

Stara Mynica była w istocie jedną z najdawniejszych kamienic murowanych i pomimo odnawiania znać to po niej było. Mury miała ogromnie grube, okna wąskie, izby sklepione, niskie, a że nie od razu powstała i lepiono ją a przerabiano, więc przejść, kurytarzy, wschodów, skrytek, ciupek, komórek było w niej bez miary. Obcy człowiek w biały dzień tu sobie rady nie dał w tym labiryncie. Oprócz połaci od Rynku, wielki podwórzec jeden i drugi dokoła był osławiony budowlami różnych rozmiarów. Ponad pierwszym wznosiło się drugie piętro, a nad nim w części kamienicy i trzecie. Z dawnej budowy krągła baszta stała w podwórzu, która nad dachy całego rozległego domostwa górowała.

Na piętrze Sederyn zajmował sam dosyć izb dla siebie, służby i na składy, ale i próżnych stało wiele na wszelki wypadek, które teraz Francuzi najczęściej zamieszkiwali, a nawet Francuzki, bo i tych się coś zaraz do Krakowa przywlekło.

Czy kto z Paryża przybywał, czy odjeżdżał tam nazad, bez Sederyna się nie obszedł i o niego zawadzić musiał. O każdym on wiedział, dostarczał koni, wozów, przewodników, listów. U niego składano, co na zamku nie mogło się pomieścić, od niego brano, czego stamtąd pożyczać nie chciało. Począwszy od Pibraka, od posła francuskiego pana de Bellièvre, aż do najmniejszego pacholika królewskiego i czeladzi, nie było, kto by go nie znał i kogo by on nie

skim; w roku 1363 w czasie wesela wnuczki Kazimierza Wielkiego gościł w swym domu monarchów zagranicznych; zmarł w r. 1368

²⁴⁵ J a n B o n e r (B o n a r) — zamożny kupiec szwajcarski, osiedlił się w Krakowie; za Zygmunta I został burgrabią i żupnikiem krakowskim, nadał mu też król starostwa rabsztyńskie i oświęcimskie; zmarł w r. 1523

mógł nazwać. Wszyscy szli do niego jak w dym. Karł Sederyn był człowiek niemłody, posiwiały w trudach, ale rumiany i krzepki. Twarz jego okrągła, puciołowata, oczy małe nie mówiły nic; wydawał się pospolitym człowiekiem, a mowa nie zdradzała też w nim żadnych szczególnych darów, jąkał się nawet czasami, a jednak był to najpraktyczniejszy z ludzi, bystrego oka, zręczny, odgadujący i cudownie umiejący milczeć.

Wymowa jest niezaprzeczenie darem bardzo wielkim, ale milczenie rozumne, rzadsze jeszcze, prawdziwym skarbem. Człowiek, który milczeć umie, a myśleć nie przestaje, więcej zdoła czasem niż najpotężniejszy retor²⁴⁶. Dowodem tego był Sederyn, który przegadać siebie dawał każdemu, ale co zrobił milcząc, to było więcej warte niż najpiękniejsza oracja²⁴⁷.

Wprost Starej Mynicy, w której wiadomo było, że się Francuzi zbierali, a czasem, choć okiennice zamykano i okna zawieszano, po całych nocach się tam świeciło i gwar słychać było, znajdował się jeden z najsłynniejszych ówczesnych browarów i szynków piwa u Grocika. Tu już pewno Francuza nigdy nikt ani na lekarstwo nie znalazł, ale za to mieszczan, rzemieślników zamożniejszych, nawet szlachty z okolicy zawsze bywało pełno. U Grocika, kto się chciał dowiedzieć, co się w mieście działo, skąd wiatr wiał, jakie chodziły wieści, kogo wieszano, wyświęcano, a komu kadzidła palono, dostał najprędzej języka.

Przychodzili tu i Niemcy, ale gospoda była polska i oni tu silili się mówić, jak mogli, językiem polskim. Piwo było doskonałe, marzec najlepszy, a przekąsić też znalazło się czym; usługi zaś sam Grocik pilnował.

Francuzi ze Starej Mynicy mogli wygodnie patrzeć na browar polski, a od Grocika na Sederyna kamienicę także wyglądać mógł, kto chciał.

W początkach czasem tu jaki Francuz, pod boki się wzięwszy z Polakiem, zabłądził, próbowali piwa, braterstwo się przy nim zawiązywało, ale od zabójstwa Wapowskiego i początku postu, jak nożem uciął. Żaden Francuz już w ulicy się nie pokazał z Polakiem i dwór królewski stanął jakby wyłączony, osobno. Patrzyć zaczęto na siebie z ukosa, krzywić się wzajemnie, nawet zaczepiać i z każdym dniem ten rozdział widoczniejszym się stawał.

Na zamku po cichu mówiono, że czasami, gdy się król zamknął ze swoimi faworytami, najwyższych urzędników nawet do niego nie dopuszczano, a obchodzono się z nimi tak zuchwale, że kanclerz koronny Dembiński, gdy mu Francuzina jakiś burknął, pięścią go skarcił i trochę zębów nadwerekzył, aby pamiętał, z kim miał do czynienia.

Wielkie braterstwo i serdeczna przyjaźń dwóch narodów, na którą się niby zanosilo, zmieniły się jak liche wino w ocet kwaśny. Unikali jedni drugich, aby swaru nie mnożyć — obchodzono się po ulicach, A nie było, pomimo to, dnia, żeby jakieś starcie na zamku lub na mieście nie potrzebowało załatania.

Francuzi, których garść była mniejsza, choć króla mieli po sobie, cicho się sprawowali i starali się nie wywoływać walki, ale czasem który nie strzymał. Co się tyczy szlachty polskiej, ta nie nawykła się poskramiać, a zawsze na języku mająca to, co w sercu było, wykrzykiwała głośno, drwiła jawnie, niemal wyzywała.

W ulicach poczęli się pokazywać umyślnie poprzebierani po francusku, na śmiech lada jacy trefnisie, w opiętych spodenkach, jak królewski dwór, za którymi gawieź, szydząc i rychocząc, biegała. Po murach tu i owdzie malowano na laskowatych nogach poczwarki i podpisywano je nieprzystojnymi wyrazami.

W senacie jeszcze ciągnął się proces Zborowskiego, przeciw któremu jedni instygowali²⁴⁸, drudzy go bronili, gdy te symptomata wzajemnych niechęci i rozdrażnienia pokazywać się zaczęły.

²⁴⁶ r e t o r (z łac.) — mówca

²⁴⁷ o r a c j a (z łac.) — mowa

²⁴⁸ i n s t y g o w a ć (z łac.) — podburzać na kogo

Prawda, że choć w ulicach Francuzi nie dawali powodów do waśni, a nie pokazywali się nawet we dnie, za to na zamku to, co spotkało kanclerza Dembińskiego, trafiało się innym co dzień.

Król zamykał się, jak mógł najszczelniej, odosabniał ze swoimi i po całych nocach z nimi się zabawiał przy drzwiach zapartych. Nawet podkomorzy musiał odchodzić, a wtenczas dopiero poczynały się śpiewy, śmiechy, wieczerzanie, bankiet i gra w karty. Nazajutrz rano wygrane konie, sprzęty, srebro przenosiły się do Sederyna.

Noc tak przesiedziawszy król na dzień zasypiał. Senatorowie stali, czekając na niego próżno, a gdy się pokazał jak z krzyża zdjęty, blady, nie wyspany, zmęczony, ziewający, znudzony, albo ich prędko zbywał, lub spał czasu narady.

Wszystkie sprawy zalegały, a najpilniejsza Zborowskich wlokła się bez końca. Pani Wapowska czekała dekretu, nie ruszając się z Krakowa. Chodziła do królowej, płakały z nią razem. Król u Anny prawie się nie pokazywał już i prośby jej o zakończenie sprawy spadku po królu a opatrzenia królowej tak samo nie skutkowały, jak płacz i naleganie kasztelanowej. Królowa Anna, która broniła długo Henryka, nareście sama się przekonała, że na niego wcale rachować nie było można. Obiecywał, zapominał — nic go nie obchodziło. Na ostatek już naleganie stało się tak gwałtowne, że dekretu królewskiego lada dzień się można było spodziewać.

Samuel Zborowski, snadź nie lękając się tego, co go spotkać miało, i pewien bezkarności chodził jawnie i nie chciał się ukrywać. Czyniono już wnioski z tego.

Wieczorem ku końcowi postu u Sederyna na górze zebrała się gromadka Francuzów bardzo późno. Sederyn zdawał się czekać na tych gości. Na dole już było pośledniejszej czeladzi dosyć, a do niego przychodzili tylko znaczniejsi. Posyłał razy kilka dowiadywać się tam, lecz Villèquier i Jourdain, których się spodziewał, nie przychodzili. Późno w noc nareście otworzyły się drzwi i drzemiący przy stole Sederyn pośpieszył na ich powitanie. Villèquier szedł szybko ku niemu.

— A co? — zapytał Sederyn.

— Dekret podpisany — rzekł Francuz. Spojrzeli na siebie, ciągnął dalej:

— Król nie mógł inaczej, musiał skazać go na wygnanie, ale przez szpary się patrzeć będzie, choćby granicę przekroczył, a po jakimś czasie ułaskawi.

Sederyn otarł czoło i coś zamruczał.

— Krzyczeć będą okrutnie — rzekł, wykrzywiając usta.

— Niech krzyczą — rozśmiał się Villèquier. — Król musiał jednych i drugich oszczędzać, nikogo nie zrażać sobie.

Dajcie znać panu Samuelowi.

— Niech mu kto chce o tym oznajmi — odparł kupiec — ja się nie podejmuję. Znacnie mnie, siedzę tu w Polsce z dawna, za tutejszego się liczę, ale Polakiem nie jestem. Wiem ich naturę, szaleńcy są, wszyscy, pan Zborowski nie lepszy.

Machnął ręką.

Villèquier się zwrócił do stojącego Jourdaina, który wąsika bardzo młodziutkiego pokręcał.

— Idź ty do Zborowskiego. Sederyn da ci przewodnika.

Król życzył. sobie, aby mu o tym dziś oznajmiono.

Jourdain również ochoty nie objawiał wielkiej do tego poselstwa. Stali trochę milczący. Gospodarz, korzystając z chwili, nalewał kubki, które były przygotowane.

— Za późno do Zborowskiego — odezwał się Jourdain w końcu — a moim zdaniem pilnego nie ma nic.

Villèquier nie nalegał — usiedli. Sederyn wzdychał.

— Żle, źle, moi panowie — zaczął mówić, głowę z ramienia na ramię przechylając. — Co tam u was na zamku... u nas w mieście! Strach! Umysły poburzone... w ulicach co wyśpiewują, co przylepiają! Po rynkach i szynkach co prawią, uszy więdną!

Jourdain, który kubak wychylił od razu, uderzył nim o stół.

— A, nieszczęśliwa to była godzina i najfatalniejszy pomysł Henryka tu na to okropne wyprawić wygnanie! Tu żyć niepodobna.

— Tak — przerwał Villèquier — ale któż mógł przewidzieć, gdy pierwsze poselstwo do Paryża przybyło, tak świetne, tak lśniące, ludzie tak wymowni, twarze tak łagodne, umysły tak pozornie prostoduszne, że tu w Polsce natrafimy na jeże i na osy. Tam się zdawali do całowania stworzeni, a tu do nich przystąpić nie można. Myśleliśmy, że nas na rękach nosić będą, a...

— A... daliśmy się wam okłamać — wyrwał się Jourdain. — Wszyscy, co do nas przyjeżdżali, choć było do rany przyłożyć, chwalono ich.

Sederyn milczał.

— Dziś już za późno narzekać na to, co się stało — rzekł po chwili.

— Król zrażony, zniechęcony — dodał Villèquier — boję się o jego zdrowie. Miron powiada, że nie wyżyje ani w tym klimacie, w tej atmosferze, ani między tymi ludźmi. Władzy nie ma żadnej. Senatorowie burczą, szlachta się odgraża, nie szanują go.

— Wiesz pan — odezwał się Sederyn zimno — że jest francuskie przysłowie: wino utożone, trzeba go wypić²⁴⁹. Francuzi, uśmiechając się, spojrzeli po sobie.

— Wątpię, żebyśmy je wysączyli do końca — wolimy resztę wam zostawić — rzekł Villèquier. — Dla was, panie Sederyn — dodał — nie będę czynił z tego tajemnicy. My tu nie, wytrzymamy.

— Na dobitkę — przerwał Jourdain — senatorowie niektórzy chcą jeszcze uprzyjemnić życie królowi, dając mu starą babę za żonę.

— Ale... ba! Tego już za wiele.

Śmieli się oba, Sederyn spojrzał z ukosa.

— A po cóż się zobowiązał? — spytał.

— Co znaczy takie zobowiązanie? — gwałtownie zawołał Villèquier. — Jest to wprost rzecz poczwarna, niemożliwa.

— Jakże się to skończy? — szepnął niespokojny trochę kupiec.

— Na Boga, nie wiem — wyrwał się Villèquier — lecz sądzę, że chyba smutnie i tragicznie. Zawiedziono króla i nas, obiecywano nam wcale inny stan rzeczy. Gratiani²⁵⁰, z którym się pan nasz widział po drodze, zapewniał go, iż władzę monarchiczną w pełni uzyska, a znalazło się, że żadnej nie ma.

— Można by ją uzyskać — rzekł, oglądając się, Sederyn — ale...

Położył palec na ustach.

Villèquier chodził po izbie, głowę to podnosząc ku sklepieniowi, to ją spuszczać na pierś.

— A przy tym — zaczął — to życie, te nudy, to towarzystwo, ten język! Wprost piekło. Jedyne lepsze godziny, gdy się panowie Polacy porozchodzą, drzwi na rygiel spuścimy i sami zostaniemy z sobą. Naówczas choć myślą i wspomnieniami przenosimy się nad brzegi Sekwany, przypominamy lepsze czasy.

Sederyn okazywał niepokój.

²⁴⁹ W języku francuskim przysłowie to brzmi: *Le vin est tiré, il faut le boire*.

²⁵⁰ Antoni Maria Gratiani był sekretarzem nuncjusza papieskiego Commendoniego w czasie jego drugiego poselstwa w Polsce w latach 1572—1573, po czym powrócił do Włoch; napisał biografię Commendoniego

— Panowie moi — przerwał — wszystko to prawda być może, ale ostatecznie, com powiedział o utoczonym winie, to powtórzę. Henryk jest królem z łaski bożej, usiadł na tronie, objął rządy, należy mu je ułatwiać, nie zrażać od nich. Choćby się musiał ze starą królową ożenić, nikt mu młodych mieć nie zabroni. Panowie polscy nauczają się od was grzeczności, a wy...

— Nie wymagajcie od nas, abyśmy się od nich czegokolwiek uczyli — wtrącił Jourdain. — To zwierzęta, nie ludzie!

Sederyn syknął.

— Zlitujcie się — zawołał — nuż kto podsłucha! Już i tak dom mój podejrzanym jest bardzo.

Francuzi obejrżeli się i zamilkli. Villèquier nalał sobie wina, a gospodarz pośpieszył napłynąć kubek Jourdaina.

— A, ten karzeł przekłety! — zawołał Villèquier. — On temu wszystkiemu winien. I bezwstydnym jest do tego stopnia, iż się ciągle nam około nóg płacze, jakby chwalić chciał dziełem swoim. Król go już znieść nie może.

Pijąc westchnęli Francuzi.

— Wpadliśmy w pułapkę okrutną — zaczął z kolei Jourdain. — Co do mnie, mam nadzieję przy pierwszej sposobności uprosić pana, aby mnie wysłał choćby z listami do Francji. Położę się tam w łóżko i więcej nie wrócę.

— A, to by było bardzo ładnie! — odparł Villèquier. — Tego samego, co wam, zachciewa się mnie i drugim, ale mamyż biednego króla samego tu na pastwę zostawić?

Wtem kroki i głosy słyszeć się dały pode drzwiami, Sederyn pośpieszył ku nim, właśnie gdy się otwierały i dwie. — Siedzimy na zamku jak w więzieniu, choć nocą wyrwać się potrzeba.

Sederyn przybyłych gości uprzejmie częstował, dobywszy nowe dwa kubki. Byli to dwaj ulubieńcy króla, woniejący jakimiś zapachami, postrojeni w atłasy jak dziewczęta, z rączkami białymi, zalotne robiący minki i przybierający ruchy ufryzowane głowy ostrożnie się z nich pokazały. Byli to dwaj młodzieniaszkowie królewscy z dołu, którzy się zapewne lepszego towarzystwa domyślając na piętrze, wbiegli z wesołymi śmiechami, dowodzącymi, iż czasu w winiarni nie tracili.

— Patrzcie! Villèquier. ! Jourdain. Któż został przy królu? — zawołał jeden.

— A, jest ich tam dosyć — odparł Jourdain dziwnie, niewieście.

— Cóż król robi? — zapytał jeden z nich.

— Gra w karty — rzekł Villèquier — zostawiliśmy go z Pibrakiem, Souvrayem i p. Bel-lièvre, któremu dziś nadzwyczajnie szczęście służy.

— Wszystkim oprócz królowi — przerwał jeden z młodzieniaszków. — Gdybyż się choć to sprawdziło, że kto nie ma szczęścia w karty, temu za to miłość płaci!

— A! — przerwał Jourdain z miną poważną. — Cóż chcecie, królowa Anna szalenie w nim zakochana. To wiadomo.

Ogromnym śmiechem powitano ten żarcik. Zaczęli szeptać coś między sobą, a Sederyn cofnął się kilka kroków przez grzeczność.

— Gdyby się nareście sejm ten skończył — głośno odezwał się Villèquier — moglibyśmy stąd wyjechać gdzieś na stronę trochę, gdzie byśmy tak bardzo na oku nie byli. Tu ze wszystkim się kryć i zamykać potrzeba.

Jeden z młodszych nagle spytał:

— A gdzież jest Naneta?

Sederyn, do którego po części było zwrócone pytanie, rzekł bardzo cicho:

— Od dawna na zamku.

— Jakże się przekradła, żeby ją nie widziano na mieście? — rzekł drugi młodzieniaszek.
— Bo wiem, że ciekawi podglądają.

— Jak zwykle, ubrana po męsku — dodał gospodarz. — Nikt by jej wśród waćpanów nie rozróżnił od nich.

Śmiech stłumiony mu odpowiedział.

Chłopcy, wypiwszy wino, posiadali na ławach ziewając.

Wtem Villèquier z kieszeni płaszczyka, który miał na ramionach, dobył karty. Wszyscy chcieli rzucić się ku niemu i na nie. Sederynowi nie pozostało już nic, tylko światło przybliżyć i z dala się grze przypatrywać.

Gdy się tak u niego zabawiano, naprzeciw w browarze też gwarno było i pełno — ale w izbie wielkiej pospolita się gawiedź zabawiała, a *honoratoires*²⁵¹ mieli osobną, do których Grocik tylko swoich wybranych, chcąc ich uczyć, dopuszczał.

W pierwszej, jak giełda ogromnej, można się było dowiedzieć, co myślała i mówiła ulica i rynek, w drugiej, co na ratuszu i w wyższych mieszczaństwa kołach myślano i zamierzano. Z zamku przychodzili tu także nieliczni polscy króla słudzy i dworzanie, przynosząc, co się im pochwycić udało. Musieli jednak nadrabiać domysłami, bo Francuzi coraz się bardziej odosobniali i nie dopuszczali do siebie nikogo. Polakami radzi się posługiwali, gdzie mogli w pracy wyręczyć, w poufalsze nie wchodząc stosunki. Nie dowierzano sobie wzajemnie, a że Francuzi przy królu śmielszymi się czuli i kupą stali, nie bardzo ukrywali się z tą nieufnością i niechęcią.

Wyjątek stanowiła piękna Dosia, która jako kobieta, nie uważana za niebezpieczną, a pięknnością swą pozyskując płochych młodzików, obracała się tu swobodnie. Musiała mieć wysoką protekcję, bo jej słuchali wszyscy.

Talwosz tylko do progu komnat królewskich mógł ją ścigać, dalej nie wolno mu się było cisnąć. Nienawidził też Francuzów coraz więcej. Kilka razy już przychodziło do poswarków — tylko ostrożny Litwin dopuścić nie chciał do żadnego wybuchu, bo się z gawiedzią tą obcą zadawać nie chciał. Z szlachcicem się poważnie i ścierać było chlebem powszednim, z cudzoziemcem, który plebejuszem mógł być, nikt sobie nie życzył.

W pierwszej izbie u Grocika dla późnej godziny przersedzać się zaczynało. Kilku upartych gromadkami małymi po kątach marce dopijało, ciszej między sobą rozmawiając.

W bocznej komorze za to gwarniej było, bo się nie obawiano podsłuchania.

Dwóch panów radnych, ławnik jeden i kupców dwu żywo sobie rozpowiadali, co ich w ciągu dnia doszło. Obchodziła i mieszczańska sprawa Zborowskich, a wielu interesa króla. Miasto i kupiectwo potrzebowało spokoju, rozruchy handlowi nie szły na użytek, bezkrólewie nie było dobre. Wzdychano, aby lepsze czasy nadeszły.

— Jak ono było, to było — mówił Kaczer do Smolika — za nieboszczyka króla, ale życie płynęło jak rzeka wybitym korytem i każdy wiedział, jak po nim żeglować, a teraz człek nie zgadnie, gdzie się ma obrócić.

— I wątpię — przerwał Smolik — aby z tym panem kiedy nam lepiej było... co dzień gorzej. Francuzi się osobno trzymają, Polacy osobno. Ile razy gdzie się zetną z sobą, pewna waśń i guzy. Król młody i o panowaniu nie myśli. Gry tylko coraz nowe i zabawy wynajdują, dziewcząt mu szukają, a co ma i czego nie ma, faworytom rozdarowuje. Rzuca pieniędzmi jak plewami.

— Ja — rzekł ławnik — nie uwierzę w to, żeby on nam panować miał, póki się z królową nie ożeni.

— Na zamku powiadają, że jemu to ani w głowie — odparł Kaczer. — Rozpustnik jest, a ta ani młoda, ani ładna.

²⁵¹ *honoratoires* (łac.) — znakomitości; ludzie najgodniejsi szacunku

Na tak rozpoczętą rozmowę wszedł, krocząc powoli, Talwosz, który tu czasem się przywlekał dla powzięcia języka. Dwóch starszych znali go i grzecznie pozdrawiając, zbliżyli się zaraz, bo ich ciekawość piekła, czy nie przynosił nowiny jakiej.

— A cóż, miłościwy panie — spytał Kaczer — będzie kiedy koniec tej sprawie Zborowskiego? Talwosz się obejrzał dokoła.

— Zdaje się — odparł — że ona lada chwila się rozstrzygnie.

— Na czyją stronę? — wtrącił Smolik. — To ciekawa. Talwosz ramionami poruszył i smutnie się uśmiechnął.

— Łatwo to odgadnąć — rzekł — król zechce, aby i wilk był syty, i koza cała... a nie dogodzi ni jednemu, ni drugiemu. Głowy Zborowskiemu nie zdejmą.

Panowie mieszczenie popatrzyli na siebie. — Prawda — odezwał się jeden — że Francuz Zborowskim wiele winien.

Milczał Talwosz i poprosiwszy o piwo, siadł za stół. Obrócili się ku niemu wszyscy.

— Jutro — rzekł nie pytany tym razem — dekret pono ogłosić mają.

Słuchano w milczeniu.

— Królowi on przyjaciół nie zjedna — ciągnął dalej Litwin.

— Sam sobie winien — przerwał Smolik — a więcej niż on Francuzy te jego, które w gościnę do nas przybywszy, chcieli nam na własnych naszych śmieciach przewodzić. Straż miejska musi za nimi chodzić i czuwać, bo gawieź Francuzów nie cierpi. Szczęście, że oni języka nie rozumieją, bo co po murach na nich piszą i malują, to strach. U mnie na kamienicy dziś z rana szorować musiałem kazać króla, tak mi go szpetnie ktoś z rana nabazgrał na ścianie. I żeby się nikt nie omylił, dopisał mu Gaweńskiego i koronę sążnistą z oślimi uszami włożył na głowę.

— Moi ludzie — przerwał Kaczer — ledwie wychodzącego od Sederyna napitego Francuza czeladzi z rąk wyrwali, bo goniła go i chciała wybatożyć. Co dzień się to po ulicach trafia.

— Sederynowi nie zazdroszczę — dodał inny mieszczanin. — Bądź co bądź, poszanowanie to Francuzów kiedyś się skończy, a nie będzie długie, widzi mi się, tymczasem on cały się im oddał.

— Dla miłego grosza — dodał Kaczer. — On tylko o zarobek dba; zdaje mi się, że rodzono ojca by przehandlował, gdyby na nim mógł zarobić.

Talwosz słuchał chwilę.

— Dekret więc jutro posłyszemy — rzekł ławnik. — Ciekawym! Pani Wapowska ma przyjaciół wielu. Prezentowała zwłoki tak długo, że i obojętni ludzie żal w sobie poczuli, będzie *larum*²⁵² niemałe, jeżeli kary przykładowej nie wymierzy.

— Śmiercią powinien karany być — odparł Kaczer. — Ubił niewinnego człowieka. Gdzie? Na zamku, a prawo gardłem na dobycie miecza przy królu karze.

— Dobyłże go i pan Tęczyński — odezwał się drugi.

— Ale w obronie życia, zmuszony — mówił Kaczer. — To całkiem co innego, a mówią, że on gotów też gardło dać, byle Zborowskiemu nie przebaczone.

— My z Tęczyńskimi — wtrącił Smolik — z dawna nie jesteśmy w zgodzie. Dali się oni nam we znaki, ale Jan winien nie jest.

— Zborowscy wszyscy wicherzyciele i zbóje! To wiadoma — odezwał się ławnik. — Jakby jednemu łeb ucięto...

— Ha, drudzy by się za niego mścili — wtrącił Smolik.

— Nie — dokończył ławnik — musieliby siedzieć cicho. Samuel, jeśli życie uniesie, będzie czekał dogodnej chwili i zawichrzy nam znowu.

Chwilę jeszcze trwała ta rozmowa u Grocika i zgromadzeni się rozchodzić poczęli, gdy pomimo późnej pory szybkim krokiem, zadyszany, wsunął się, jakby pośpieszając, przestra-

²⁵² l a r u m (łac.) — wrzawa, krzyk

szony drab, jak żerdź długi i chudy, czarno odziany, ni klecha, ni pacholek, mizerny i chudy. Obejrzał się po przytomnych, szukając kogoś oczyma, spostrzegł Kaczera, zbliżył się do niego i coś mu, tkając papier w rękę, poufnie rozpowiadać zaczął.

Na twarzy mieszczanina pomieszanie widać było, obejrzał się bojaźliwie. Przybyły, jakiś pisarz sądowy, usunął się zaraz na bok. Kaczer poszedł do kaganka i pochylony nad nim z trudnością z papieru coś odczytywać zaczął. Na twarzy jego widać było podziwienie i przestach. Wszyscy z ciekawością spoglądali, co mu pisarz mógł przynieść, gdy Kaczer, raz jeszcze po przytomnych się obejrzawszy, rzekł stłumionym głosem:

— Otóż jak po mieście króla i Francuzów opiewają! A to dopiero początek. Gdy się jeden taki głos odezwie, to jak w błocie żaby, zaraz za nim tysiące kwakać zacznie.

Skupili się wszyscy około trzymającego papier w drżących rękach mieszczanina.

— Niech Franek przeczyta — odezwał się ławnik — on przyniósł, to go też dobrze musiał wysylabizować. Tuśmy wszyscy swoi, czytajcie.

Talwosz wstał i zbliżając się dodał:

— Czytajcie, co to jest.

— Paskwilusz straszny²⁵³! — odparł Kaczer.

Franek, ów pijaczyna chudy, któremu pismo w ręce wetknięto, przysunął się do kaganka i na głos, ale niezbyt go podnosząc, począł:

R a d a s k u t e c z n a.

Nim krawcowi dasz sukno, a skórę szewcowi,
Patrzaj, czy zna rzemieślnik to, o czym ci mówi,
Bo kurdyban²⁵⁴ i sukno zaprzepaści marnie,
Kiedy je lada partacz pokraje niezdarnie.
I dla Polaków taka potrzebna nauka,
Co się dali okłamać przez zdrajcę Mamluka*,
Gaweńskiemu książęciu* wkładając koronę...

A ten nie wie, na którą obrócić się stronę.
Łątka na cienkich pałkach, ni z pierza, ni z mięsa,
Tańcuje i gra w karty, rozumu ni kęsa...
Bodajżeście przepadli tacy gospodarze,
Henryku z Mamlukiem i Psubratem* w parze.
Francuska sprawiedliwość! Winien pan z Zborowa,
A Wapowskiego za to pokutuje głowa²⁵⁵.

²⁵³ p a s k w i l u s z — paszkwil (zob. przypis 167)

²⁵⁴ k u r d y b a n — skóra kozłowa; nazwa pochodzi od miasta hiszpańskiego Corduby (Kordowy)

* M a m l u k — Montluc (przypis Autora)

* K s i ą ż ę A n d e g a w e ń s k i (przypis Autora)

* P i b r a k — (przypis Autora)

²⁵⁵ Pomimo usilnych poszukiwań nie udało mi się odnaleźć, skąd Kraszewski zaczerpnął tekst powyższego wiersza. Jednakże jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że wiersz wyszedł spod pióra samego Kraszewskiego. Szereg momentów (w szczególności nie wchodzę) zdaje się wskazywać, że wiersz nie powstał w w. XVI, ale oczywiście trudno wypowiedzieć ostateczne słowo w tej sprawie.

Wiersz, choć go Franek wyjąkał niezręcznie, uczynił na wszystkich wielkie wrażenie. Stali milczący, okazując tylko ruchami, iż rzecz była smutna i znacząca.

— Zniszczyć by to — szepnął ławnik.

— Mnie dajcie — rzekł, rękę wyciągając, Talwosz — ja nikomu nie okażę, a jutro pewnie po mieście tego będzie dosyć.

Zwrócili się do Franka, pytając, skąd dostał. Pisarz zaręczał, że na wielu kamienicach, na wrotach²⁵⁶ nalepione to czytał i sam w ulicy św. Anny spisał to około kościoła.

— Ano — dodał — są i inne.

Pokiwano głowami — mieszczanie się poczęli do czapek brać, Talwosz też, piwa dopiwszy i papier za suknię wetknąwszy, gotował się z powrotem na zamek. Wszystkim twarze sposepniały.

— Źle się dzieje — skonkludował Kaczer — kiedy na mieście strzelają, to się wprędce skończy, ale jak papiery pójdą między ludzi, zbierze się na długą burzę.

Nazajutrz w istocie po długim wahaniu wyrok być miał ogłoszony. Oznajmiono o tym zawczasu; senatorów i posłów liczba nie miała od rana się ściągać zaczęła.

Miała przyjaciół dosyć wdowa Wapowska i jej też dano znać o tym. Postanowiła natychmiast nazajutrz znajdować się sama z synaczką przy ogłoszeniu dekretu. Do dnia więc, aby ją to nie minęło, była już w kościele św. Stanisława, gdzie mszy świętej wysłuchawszy, że jeszcze sala była zamknięta, do królowej szła, aby u niej czekać, aż jej znać dadzą, iż się wszyscy zebrali. Żałobnie ubrana, w grubym kirze, dziecko też odziewszy czarno i w suknię z kapturkiem, chociaż już pierwszą boleść swą przemogła i wypłakała, czyniła wrażenie męczennicy, która rozpacz w sobie tłumi, a nad siły cierpi. Gdy szła, ludzie jej z poszanowaniem z drogi ustępowali, taki majestat boleści miała na pięknej bladej twarzy.

Na zamku ruch od rana panował ogromny, cisnęli się, kto gdzie mógł, a kogo nie puszczano, ten w podwórzu stał czekając, aby się prędzej dowiedzieć o wyroku.

Dopiero późno na dzień oznajmiono Wapowskiej, że mogła być do sali wpuszczoną. Szła tedy sama, z dzieckiem tylko, a gdy się ukazała, choć tłok był wielki na sali, wszyscy się jej zaraz rozstąpili i miejsce uczynili.

Zabierali głos senatorowie, dla formy tylko, bo dekret już przygotowany był, o czym wiadzano.

Cisza zapanowała straszna, gdy z rozkazu króla czytać poczęto wyrok. W krótkich słowach był on ujęty. Król mocą swą, zdania widząc podzielone, gdy jedni się na starszych, drudzy na nowszych prawach opierali, zabójstwo osądziwszy przypadkowym, Samuela Zborowskiego skazywał na wygnanie z państwa i ziem jemu podległych, bez utraty czci i sławy. Ciszą długą przyjęto wyrok, na niektórych tylko twarzach znać było oburzenie, które nawet i na innych, mniej zrazu wyrazistych, malować się zaczęło.

Wapowska stała jak skamieniała, słuchając. Podniosła głowę, oczy wszystkich zwróciły się na nią. Chwyciła synaczka za rękę i z wolna od tronu się oddalając, z twarzą i wzrokiem ku niebu wzniesionym, odezwała się głośno:

— Jeżeli taka twoja na mężobójców sprawiedliwość, niech ten twój pierwszy wyrok będzie ostatnim. A po chwili, łkając, dodała:

— Bodaj Bóg tobie też nie przeznaczył paść mężobójcy ofiarą.

Proroczych tych słów nikt, oprócz bliższych, nie słyszał.

Wzięto pod rękę rozplakaną i uprowadzono z sali, a król, jakby się wstydził wyroku swojego, widząc, czym go przyjęto, natychmiast salę opuścił.

²⁵⁶ Poprawiłem tu błąd w pierwodruku, gdzie zamiast „wrotach” wydrukowano „wartach”. Zaznaczam, że nieco niżej Kraszewski pisze, że wizerunki poczarne króla spotykano na wrotach i ścianach.

Tu dopiero oburzenie większości objawiło się z gwałtownością całą. Wyrzekano głośno, a prymas objawił zdziwienie swe, że sprawę kryminalną, prostą cywilną uczyniono. Było i innych naigrowań i ucinków dosyć, których Francuzi już nie słyszeli, bo razem z Henrykiem natychmiast się wynieśli.

Wapowska we łzach szła na górę do królowej, która już o dekrete zawiadomiona płakała też, choć wcale okrutną dla Zborowskich być nie chciała. Wedle ówczesnych jednak pojęć ząb za ząb, krew za krew były ścisłym tylko wymiarem sprawiedliwości.

Z sali wprost przyjaciele Samuela biegli na miasto, gdzie Samuel, na schwał pijąc i łajac, czekał, co mu zwiastować będą. Nie spodziewał się on wcale, aby go na gardle sądzono, wszelako konie mu bracia trzymali pogotowiu, aby natychmiast zbiec mógł, gdyby niebezpieczeństwo zagrażało. Bracia Samuelowi mieli na zamku umówiony znak, który im Francuzi na chorągwi wielkiej królewskiej, wywieszanej na wieży, dać mieli — białą lub czerwoną chustą. Wiedzieli więc zawczasu, iż dekret życie salwował. Przybiegli z tym do niego.

— Biała chusta powiewa!

Samuel się nie radował, nie rzekł nic, czekał na posła. Spodziewał się wyjść całe bezkarne.

Wtem wpadł komornik jego, niosąc papier, który mu na sali wetknęto, a stał na nim dekret, jako brzmiał. Z brwiami ściągniętymi odczytał go Zborowski i na stół cisnął z przekleństwem. Bracia stali zmięszani, lecz okazując radość, bo się im banicja wiekuistą nie wydawała.

Wybuchnął zaraz Samuel:

— Taka jest królów wdzięczność! Jam mu królestwo dał, a on mnie ojczyzny pozbawia... Głupim był i słuszne ukaranie!

Uderzył w stół pięścią, aż wszystko na nim zadrżało; głowa mu opadła na piersi i zadumał się. Zbliżyli się do niego pocieszając powinowaci, których odpychał, słuchać nie chcąc.

— Poznają mnie — zawołał — zem wygnany może niebezpieczniejszy dla nich niż tutaj. Schronić się znajdę gdzie, przyjmą mnie otwartymi rękami. I zwróciwszy się ku zamkowi, grożąc pięścią zawarczał:

— Pilnuj się dobrze, laskonogi, abyś ze stolca twego nie zleciał.

Pić potem zaczął znowu i śpiewał, a namarszczona brew świadczyła, że się rozmyślał, co czynić. Przytomni występowali z radami. Według nich łatwo było znaleźć poczesne przyjęcie u książąt niemieckich w Saksonii, u tych, którzy protestantyzm wyznawali. Samuel głową potrząsał.

— Za daleko to dla mnie — przerwał — ja im pod bokięm siadę, aby mnie każdego czasu czuli i drżeli.

Nagle, jakby mu myśl przyszła szczęśliwa, wstał i krzyknął:

— Na Niż! Na Niż! Do Kozaków! Hetmanic im będę!

I przy tej myśli swej pozostawszy, natychmiast zwoływać począł swoich, kto mu chciał towarzyszyć.

Po mieście wionęło tym duchem, jaki z izby senatorskiej buchnął. Jeden był głos, że król pobłążył mordercy. Krzyczeli przeciwko Henrykowi przyjaciele Zborowskich, bo chcieli go mieć bezkarnym, a całą winę widzieć złożoną na Kroatę i Tęczyńskiego; więcej jeszcze wyrzucali mu Wapowskiego i Tęczyńskiego zwolennicy dowodząc, że Zborowski pierwszy dobył miecza i przelał krew.

Francuzi rychło spostrzegli, gdy Pibrak wkrótce potem wyszedł po języki, że nikogo wyrok nie zaspokoił. Gwałtowne mu czyniono wymówki, wróżąc, że po całej Polsce pójdzie odgłos, który królowi serca odejmie.

Henrykowi, jak się zdaje, niewiele już o to chodziło, czy go tu miłować będą lub nie. Duchem i myślą był gdzie indziej. Prawie co dzień przybiegali gońce od królowej matki, a gdy

listy przyniesiono z Francji, żadna siła Henryka utrzymać nie mogła, choćby senatorami otoczony był, choćby najważniejsze toczyły się sprawy, rzucał wszystko, zamykał się i czytał, a odpisywał. Francja go stokroć więcej obchodziła niż Polska, dla której obojętności i niechęci nie ukrywał.

Z królową, dla której zawsze jeszcze pewne okazywał uszanowanie, obejście się było dziwne i nierówne. Czasami sam sobie ją przypominał i jakby ukołysać pragnął, szedł do niej. Nie bawił tu nigdy długo, rzadko usiadł, ale uśmiechał się, wdzięczył, obiecywał bez miary, czego tylko zapragnęła — i na kilka dni ją nakarmił nadzieją. Gdy potem Anna wysyłała Solikowskiego lub uproszonego Czarnkowskiego, aby się upominał o to, co było przyrzeczone, nic nie mogli wyprosić, odprawiano ich z niczym, odkładano. Anna, na przemiany łudzona i zawiedziona, w końcu chciała już zrzec się wszelkich nadziei. Ale kobiety ją otaczające nie dopuszczały. Pani Łaska i wszystkie, ile ich było, upierały się przy tym, że Henryk żenić się powinien był i musiał. A że łatwo jest wmówić, czego serce pragnie, biedna królowa, gdy już rozczarowana przygotowywała się do zawodu i rezygnacji, wracała znowu do próżnych i zawodnych nadziei.

Tak dzień tu jeden do drugiego nie był podobnym. Przychodziły jedne z przesadzonymi widokami szczęśliwej przyszłości, a zaraz po nich inne, czarne, smutne i łzami oblewane. Łaska i panie a panny upierały się szyć francuskie lilie na sukniach, które królowa sprawiała, krajczyna mówiła o weselu ciągle...

Czarnkowski triumfował, choć ostrożnym był, bo jeszcze nie widział dosyć jasno przyszłości. Coraz mocniej jednak przekonywał się, że panowanie Francuza może być nietrwałym, a w takim razie jego kandydat Ernest tym razem, jak się spodziewał, wszystkich za sobą pociągnąć był powinien. Sam na sam z królową powtarzał jej:

— Jam się po nim nigdy nic dobrego nie spodziewał. Płochy i zepsuty jest, a o nas nie dba. Jeżeli się nie mylę, królowa matka, której on najulubieńszym jest, tron dla niego francuski gotuje. Karol IX dzieci nie ma i pono ich mieć nie będzie, a Francuzi się z tym zdradzają, iż ciągle chory jest i nie pożyje długo.

Królowa słuchała, co jej pan referendarz przynosił, ale strzegła się z czymkolwiek przed Ozarkowskim zdradzić. Nikt naówczas przewidywać nie mógł rychłej śmierci króla Francji. Anna, jak tylko mogła, trzymała się ostatniej nadziei jakiegoś szczęścia, które się jej nie wydawało niepodobnym.

Sama ona nie mogła, bo niewieścia skromność jej nie dozwalała, upominać się o spełnienie przyrzeczeń Henryka ani pobudzić senatorów, ażeby oni je przypominali, ale krajczyna, inne panie i ks. biskup chełmski od czasu do czasu próbowali przyjaźniejszych królowie panów skłonić do przemawiania za nią. Niektórzy z nich przyrzekali to uczynić, próbowali może, lecz przypomnienie to tak zimno przyjmowali senatorowie, tak je lekceważyli, że niepodobna było sprawy na stół wprowadzić. Najgorliwsi nawet odkładali ją — było tyle pilniejszych do załatwienia.

Nadzwyczaj zręcznie postępował sobie Henryk, unikając rozwiązania, przeciągając, a razem okazując się uprzejmym bardzo dla królowej. Tylko uporczywe jej dopominanie się o uregulowanie spadku jej i siostr po bracie szło także w odwłokę.

Anna pozbawiona dochodów, zapomniana, gdy się u Stanów²⁵⁷ domagała wyznaczenia utrzymania stanowi odpowiedniego, najczęściej wywoływała tym przykrości i upokorzenia. Potrzeba było łzami oblewać opiekę senatorów, którzy zsyłali komisarzy dla rozpatrzenia się w wydatkach, a ci nawet kuchni królowej nie przepuszczali, chleby, mięso, przyprawy obliczając i wyrzucając marnotrawstwo. Tak, obok troski o przyszłość, biedna pani musiała każdy kawałek chleba powszedniego oblewać łzami. Wpadała Żalińska z narzekaniem, przychodził

²⁵⁷ s t a n y — tu w znaczeniu: kraj ze swoim rządem, Rzeczpospolita

ochmistrz Koniecki skarżąc się, że mu skąpe wyznaczenie obcinano. Solikowski wysłany z biskupem chełmskim szli ze skargami i dnia spokojnego nie było.

Nadchodziła powoli wiosna, a położenie ani się wyjaśniało, ni polepszyło.

Król albo się nie pokazywał, lub grzecznie przesunawszy, zamykał i zapominał, co przyrzekł. Życie jego w początkach umiające się pokrywać pozorami pewnej przyzwoitości, pod jednym dachem z królową, wkrótce dla większej części dworu jej nie miało tajemnic. Wiedzano o nocnych biesiadach, o tańcach przy drzwiach zamkniętych, o szalonej grze w karty, która króla оголаcała ze wszystkiego. Niepodobna było ukryć tego, że Francuzi przywłaszczali sobie konie, srebro, opony, futra królewskie i natychmiast je do Francji wysyłali. Szczodroblliwość ta Henryka przechodziła miarę wszelką, gorszyła zaś szczególnie tych, co z niej nie korzystali.

Talwosz należał teraz do tych, którzy na j gwałtowniej przeciw królowi i Francuzom się oświadczała. Nie mógł on im przebaczyć swej Dosi, która z najpocziwszego dziewczęcia stała jakby oszalałą jakąś istotą... Dopilnować jej nie było podobna, a dla Litwina jawnym się stało, że albo król, lub ktoś z jego przybocznych serce jej zajął i głowę zawrócił. Miłość nawet dla królowej wiele na tym ucierpiała, a przyjaźń dla Talwosza w nienawiść się zmieniła. Ile razy się spotkali, spór był nieuchronny; sam widok Litwina jak wyrzut sumienia twarz jej okrywał rumieńcem i do gniewu pobudzał. Talwosz znosił cierpliwie, ale przez litość z oka jej nie spuszczał.

„Żle się to skończy — mówił w duchu — naówczas próżno szukać będzie przyjaciela i obrońcy. Kolej przyjdzie na mnie, gdy wszyscy odstąpią. Francuzi pierwsi zdradzą.”

Gdy z Francji przywieziono piękną Nanetę, która u Sederyna się ukrywała, a wieczorami po męsku przebrana na zamek się wkradała, Dosia przez czas jakiś zdawała się tym oburzoną i zniechęconą. Chodziła z oczami zapłakanymi, ale gdy się przekonała, że jej tamta w drodze nie stanęła, wszystko znów powróciło do dawnego porządku. We dnie i wieczorami nikła często Dosia, a gdy ją dopytywano, co robiła, odpięła dumnie, że miała dosyć spraw królowej na głowie i że za tymi nieustannie biegać musiała.

Talwosz uśmiechał się i głową potrząsał, a te jego uśmiechy gniew dziewczęcia podwajały.

Sejm tymczasem obradował nadaremnie, a Francuzi się z tym nie taili, że końca jego z upragnieniem wyglądali. Dwór potem miał na czas jakiś do Niepołomic²⁵⁸ się udać i tam dopiero swobodnie się wywczasowywać. Czyniono nawet powoli przygotowania do tej podróży i do pomieszczenia króla w zameczku pod pozorem łowów. Sederyn już po kilkakroć wysyłany był w tym celu. Sejm tymczasem ciągnął się dalej, nie bez różnych epizodów, które i infantkę dotykały, przypominając boleśnie, co przecierpiała.

Sławna owa Basia Giżanka, której pobyt na zamku warszawskim, pod jednym dachem z Anną, tyle lez królowie wycisnął, dobrze wyposażona dla córeczki, którą nazywano królewskim dzieckiem, zaraz po śmierci Augusta wyszła była za Woronieckiego, który posłem na sejm został wybrany. Wiedziała o tym szlachta i tak samo, jak Kościeleccy brata wykluczyli za ożenienie z Telniczanką²⁵⁹, Woronieckiego z izby poselskiej wyrugowano sromotnie za Giżankę. Głośna to była sprawa. Przebaczyła Anna Mniszchom²⁶⁰ i zapomniano ich nadskakiwanie królowi, ale Giżance nie przebaczone ani mężowi jej. Tak samo Anna Zajączkowska po śmierci króla wyszła prędko za Krzysztofa Dunina i z mężem do Krakowa przybywszy, chciała u królowej przebaczenia prosić, ale Anna się oparła wszelkiemu zbliżeniu.

²⁵⁸ N i e p o ł o m i c e — miasteczko w pobliżu Krakowa, ulubione miejsce wczasów i łowów królów polskich, zwłaszcza Zygmunta I i Zygmunta Augusta

²⁵⁹ Mowa tu o Jędrzeju Kościeleckim, kasztelan wojnickim, podskarbin w. koronnym, zmarłym w r. 1515.

²⁶⁰ Należy sprostować, że Anna Mniszchom nigdy nie przebaczyła, nie chciała jedynie z uwagi na pamięć brata publicznego przeciw nim postępowania.

— Przebaczam jej — kazała powiedzieć przez Żalińską, która pośredniczyła — ale niech mi się nie pokazuje na oczy.

Rana jeszcze się nie zabił.

Właśnie gdy Zajączkowska przyjechała do Krakowa, przytrafiło się coś, co ją mogło przypomnieć, jeżeli nie królowie, to podejrzliwemu Talwoszowi. Nie wiadomo skąd zjawił się nagle jakiś szlachcic Zagłoba, który do stryjostwa Dosi się przyznawał, po owym drewnianym krzyżyku ją jakoby synowicą swą mianował i chciał królowej prosić, aby mu ją oddała, gdyż dzieci własnych nie miał. W początkach się ta wieść głucho rozeszła i nie wierzono jej. Talwosz się wielce zaniepokoił. Nie mógł strzymać, żeby panny Doroty samej o to, zszedłszy się z nią zniecka (co teraz się rzadko trafiało, bo ona go unikała), nie zagadnął.

— Ludzie plotą — rzekł, zastępując jej drogę — że stryj panny Doroty o nią się upomina. Skądże on się wziął, przez tyle lat o niej zapomniawszy?

Panna stała mocno zarumieniona.

— Cóż w tym dziwnego? — spytała. — Albo ja stryja mieć nie mogę?

— Ale tak długo się nie zgłaszał? — zapytał Talwosz.

— Albo człowieka sumienie ruszyć nie może? — chmurno odparła Dosi. — Dopóki miał własne dzieci, nie dbał o synowicę, teraz, gdy mu je Pan Bóg odebrał...

Litwin głową potrząsał.

— I panna Dorota opuścić zechce królowę — rzekł z trochę ironii — a oprócz tego, mnie się zdaje, że i Krakowa by żał było, gdy dosyć zaczyna być wesołym. Francuzi sobie bez panny Doroty rady nie dadzą.

— Wpan mnie męczysz tym prześladowaniem Francuzami! — zakrzyknęła dziewczę. — Raz na zawsze, powiadam wam, nie opiekujcie się mną.

— Więc i pytać nie wolno? — przerwał Talwosz. — Ja w tego stryja wierzyć nie chciałem, a panna Dorota nie stworzona do tego, aby gdzieś na kresach w lichym dworze z dziewczętami kądziel przędła.

Zmarszczyła się Zagłobianka,

— Wolę tam kądziel praść, niż tu być na potwarze i posadzenie wystawioną! — zawołała.

Tak się rozeszli, ale Talwosz się nie uspokoił. Ponieważ co dzień chodził wieczorami do królowej, której donosił o tym, co słyszał, i rozkazy od niej odbierał, pierwszego dnia zaraz zapytał o Dorotę. Królowa Anna zaszepczała.

— Prawda to jest, że się stryj o nią upomina, a co gorzej, że ona sama się temu nie opiera, aby z nim jechać, ale mnie ona tak potrzebna.

Przeszła się po komnacie królowa i dodała cicho:

— Od czasu, jak mnie tak niepoczciwie oszukano z tą Hanną Zajączkowską, nikomu już nie wierzę. Nie wiem, czemu ona mi na myśl przychodzi, ale Dosi była bardzo stateczną.

— Panna Dorota — odważył się szepnąć Talwosz — od przybycia Francuzów bardzo się nam jakoś zmieniła.

Anna odwróciła się od niego.

— Nie sędzę — rzekła żywo — ja jej zmuszoną jestem używać często, aby wiedzieć, co się tam dzieje. Jeżeli kto winien, to ja, co ją narażam, ale dla tej francuszczyzny nie ma się kim posłużyć, a ona sobie z nią doskonale rady daje. Śmiała jest. Ufam, że jej to ani głowy zawrócić, ani popsuć nie może.

— Dałby Bóg — westchnął Litwin. — Tym bardziej w tej chwili szkoda by było ją stryjowi dawać na kresy, gdy tu Miłości Waszej potrzebna.

Królowa przeszła się zamyślona parę razy po komnacie i odprawiła Talwosza.

— Mój Talwoszu, a dowiedz ty mi się o tego Zagłobę, skąd on się tu wziął! Co za jeden? Może go kto zna? Nie chciałabym Dosi dać nie wiedzieć komu, na przepadłe imię, na koniec świata.

Tego tylko było potrzeba Talwoszowi, który zaraz nazajutrz puścił się na zwiady. Wiemy, że miał w tym niepospolitą biegłość i tropić, co się kryło, umiał i lubił. Tu jednak rozbił się jak o mur o owego Zagłobę. Żywa dusza nie znała tego człowieka, a ów zdala śledzony nadto dobrze zdawał się obeznany z Krakowem i tutejszymi stosunkami, jak na człowieka, co dopiero z kresów przybywał. Nie dając mu się poznać, przypiął się do niego Talwosz, zagadując go o Podole, o Ukrainę, o kresy, o napady tatarskie, bo to wszystko musiał szlachcic najlepiej znać, gdy z tamtych stron przybywał. Tymczasem Zagłoba, jakby mu gębę zamałował, o kresach nic mówić nie umiał; z rozmowy zaś dłuższej wydał się dworakowi Podlasiakiem raczej niż Podolakiem. Włócząc się za nim i podpatrując go, doszedł Talwosz, że po nocy Zagłoba do Sederyna zaglądał. Wszystko to dawało do myślenia, ale na prostych podejrzeniach oprzeć się nie mógł Litwin; postanowił dalej śledzić, nuż go nie przyłapie na czym, a tu jakby ostrzeżony stary szlachcic zupełnie mu z oczu zniknął.

Odniośł Litwin królownie niewiele — nie tając tego, iż bez pewnej poręki Dosi mu się oddawać nie godziło.

— Ona sama rozum ma — odparła królowna — a ja jej znowu dla mojej dogodności szczęścia i losu zawiązywać nie myślę. Stryj jej dwie wsie obiecuje pono posagu, może ją dobrze wydać za mąż.

— Ano to święte słowa były W. Król. Mości — odezwał się Talwosz — gdyście Zajączkowską przypomnieli. Dziś takie czasy, iż nikomu wierzyć nie można.

— Ale Dorota łatwowierną nie jest — zamknęła królowna.

Zląkł się nie pomału Litwin, gdy potem Żalińska i Koniecki powiedzieli mu z goryczą wielką oboje, że Zagłobianka na nic nie bacząc, gotową była ze stryjem jechać, a królownę, dobrodziejkę swą, opuścić. Spotykał ją poruszoną, z zapłakanymi oczyma, jakąś nieswoją i milczącą.

Królowna, gdy się spytał, co będzie z panną Dorotą, powiedziała mu:

— Widzisz sam, jak ja jestem ubogą, krupy mi panowie senatorowie mierzą, abym ich nadto nie zjadła. Zagłobianki wyposażyć nie będę miała czym; jeżeli się jej trafia rodzina. co ją przyjmie i chce wyposażyć, jak świat zawiązywać?

— Ja bym tylko ośmielił się powiedzieć, żeby odłożyć koniec, aż się szlachcic wywiedzie, co ma i kim jest — rzekł Talwosz. — Pannie Dorocie o męża trudno nie będzie.

Anna się uśmiechnęła, bo od dawna wiedziała, iż Talwosz kochał się w niej i starał o nią.

Dosia musiała domyślać się lub wiedzieć, że jej Litwin u królownej mięszał szyki, i za pierwszym spotkaniem napadła na niego gwałtownie. Zburczała go bezlitośnie.

— Panno Doroto — rzekł obrażony Talwosz — proszę mi wierzyć, że ja o sobie nie myślę, gdy waćpannę ratuję. Wiem, że mnie nie chcesz, a serca nie mając, do ręki bym się nie dobił. Mnie waćpanny żal.

Przez krótką chwilę zdawało się, jakoby ta mowa na niej jakieś czyniła wrażenie — stała niema, spuściwszy oczy, potem szybko, dumnie podniosła je i odburknęła:

— Bóg zapłać — alem ja nie dziecko.

— Wolno pannie Dorocie czynić, co się jej podoba — począł Talwosz — ale czegoż się śpieszyć? Panna czekała kilkanaście lat na stryja, niech stryj choć rok na nią poczeka. Będzie czas się dowiedzieć, kto on taki. Na kresach różnych ludzi pełno, to wiadomo, choćby Zagłobą i stryjem był, może być nie takim, jakby go pannie życzyć trzeba. Królowna potrzebuje dziś i pociechy, i posługi.

Dosia popatrzyła na Litwina.

— Masz mnie za niewdzięczną — zawołała żywiej. — Przecież widziałeś, że ja siebie dla niej nie oszczędzała, ale w końcu przychodzi na każdego chwila taka, iż musi o sobie pomyśleć.

Łzy się jej kręciły w oczach. Litwin miękkiego serca, szczególnie, gdy ze łzami miał do czynienia, nie śmiał już się jej sprzeciwiać.

— Niech mi panna Dorota dozwoli choćby, abym ja tego szlachcica wziął na spytki i o nim się starał dowiedzieć.

Zagłobianka rzuciła się jak oparzona.

— Jeżeliś mi wpan kiedy życzył dobrze, a słowo moje u niego coś waży — poczęła — zaklinam i proszę, ani badaj, ani śledź, ani pytaj. Wiem, dlaczego tego żądam. Daj mi słowo.

Poczęła naglić mocno, zdumiał się Talwosz i języka w gębie zapomniał.

— Ale cóż to pannie Dorocie szkodzić może? — spytał.

— Nie chcę tego i po wszystkim — odezwała się — śmiertelnie się pogniewam.

Przeszkodził im ktoś, bo rozmowa się w kurytarzu toczyła, musiała odejść Dosia, Talwosz odszedł też, ale więcej podrażniony niż zrażony. Zamiast puścić Zagłobę i zapomnieć o nim, nie tylko sam, ale swoich pomocników też wyprawił, aby go śledzili.

Szlachcic na takiego kresowego człowieka, który długie lata przebył wśród ludzi innego obyczaju i języka, nie miał w sobie nic, co by go od sandomierskiej lub podlaskiej drobnej szlachty różniło, a jak na dziedzica dwóch wsi w żyznej ziemi, z obszarami wielkimi, chudo wyglądał. Nie wiedzieć, jak nawet mógł synowicę zabrać, gdy woza żadnego nie miał, dwoje czeladzi, konie liche i chude.

Wszystko to były zagadki, które Talwosza trapiły i spokoju mu nie dawały. Biegając tak skłopotany, chwycił gdzieś złego powietrza i zachorował. W początkach zdawała się ta niemoc małym czymś i leczył ją ciepłym winem z korzeniami, ale gorączka przypadła i dziesięć dni bezprzytomny leżał, aż Anna mu doktora swego posłać musiała. Gdy do siebie potem przychodzić zaczął, pierwszą rzeczą, o którą spytał, było:

— Co się z Zagłobianką dzieje?

— A co ma się dziać? — odparł chłopak, który mu posługiwał. — Królowna, jak mogła, ją wyposażyła, a stryj ją zabrał i wywiózł kędyś na kresy.

Talwosz ręce załamał. Przeklinał teraz chorobę swoją dwakroć więcej, bo był przekonany, iż zdrow nie dopuściłby takiego pośpiechu. Jak się tylko zwlec mógł biedny i stawić na dworze, poszedł do królownej; lecz nim ją zobaczył, zabiegła mu drogę Żalińska desperująca, iż Zagłobianki dla syna nie mogła pozyskać. Baba zła była, podejrzliwa, swarliwa. Nachyliła się do ucha Litwinowi.

— Wspomnisz moje słowo — wołała zapalczywie — to druga Zajączkowska. Stryj kłamanym, wszystko to komedia niecna. Nadużyto dobrej wiary naszej pani. To francuska sprawa.

Talwosz się oburzył zrazu.

— Ale jakimże sposobem? To nie może być!

— Albo ją dla króla zwerbowali, albo dla tego duka²⁶¹, co przy nim jest (Nevers), albo dla Pibraka. Dla kogo, nie wiem, ale przysięgnę, że się zbałamucić dała.

Litwin stał tak pogrążony i przybity tą wiadomością, która mu się zdała poczwarna, iż mówić nie mógł.

— Pani Żalińska wie — rzekł w końcu — jak ona była dumna i nieprzystępna. Nigdy najmniejszej nie dopuściła się płochości.

— Królowie nie takich cudów dokazywali — odparła, śmiejąc się złośliwie, Żalińska. — Wpan myślisz, że Zajączkowska inna była? Kubek w kubek... ani do niej było przystąpić, a przecie ją dla króla dostali.

— Ale Dosia! Z tym rozumem! — rzekł Talwosz.

— Głupi to rozum był — zakończyła Żalińska.

— Skądże pani masz to podejrzenie? — zapytał Talwosz.

²⁶¹ d u k (z franc.) — książę

— Mam ja swoje drogi! Mam ludzi — odparła Żalińska. — Dowiemy się później, gdzie to Podole, do którego Dosię zawieźli. Lękam się bardzo, aby ono dalej Niepołomic nie było.

Król się do Niepołomic właśnie wybierał. Talwosz, nikomu nie mówiąc nic, jak tylko cokolwiek do sił powrócił, siadł na konia i sam jeden ruszył, gdzie mu wskazano.

Trzy dni go na zamku nie było, a gdy wrócił i pokazał się znowu, czy z choroby, czy ze zmęczenia, czy z wielkiej boleści tak był zmieniony, zestarzały, iż litość brała patrzeć na niego. Kazała go do siebie przywołać królowna, ale w rozmowie z nią o Dosi wzmianki żadnej nie było. On nie wspomniał o niej, Anna też czy umyślnie, czy zajęta innymi sprawami, nie mówiła wcale o utraconej służce. Wychodzącego od królownej zaczęła Żalińska.

— Gdzieś waćpan bywał?

— Jeździłem na wieś, sądząc, że mi powietrze inne pomoże — rzekł.

Nie przyznał się nawet, że był w Niepołomicach. Nigdy on od lepszego rozpatrzenia się we Francuzach nie był ich przyjacielem, ale od tej chwili stał się im wrogiem najzaciętszym. Gdzie tylko na nich psy wieszano i odgrażano się, Talwosz tam pewnie był i nigdy nie przyszedł z próżnymi rękami. Wiedział najlepiej o srogiej rozpuszczeniu na zamku, o nocnych króla zabawach, o jego służkach, Włochach i Francuzach, o kochankach, które z Paryża tu przysyłano. Wiedział więcej niż wszyscy, bo twierdził, że król francuski nie pożyje długo, bo mu w sosie do szczupaka truciznę zadano taką, która go powoli ze świata zgładzić musi.

Nie minął tydzień, aż Talwosz, na zamku z Jourdainem się przymówiwszy, na rękę go wyzwiał, ale tu się bić nie było można. Wyjechali więc za miasto. Litwin jeszcze po chorobie niewiele siły miał, ale wściekły był i Francuzowi, nim się złożyli, łeb szpetnie rozplątał. Nastawił się drugi, mszcząc za niego, i temu się dostało — dali mu pokój.

Nie mógł potem pokazywać się na zamku, bo inni się odgrażali, ale w mieście spotykał się z nimi i już go tam nie zaczepiano.

Nie ma pono straszniejszej dla serca męczarni, jak gdy ono, między nadzieją szczęścia a zwątpieniem rzucane jak łódka burzą w głębiny ciskana i unoszona falami do góry, na przemianę ludzi się i rozpacza. Tak żyła teraz biedna królowna Anna, która w początkach dała się słodkimi słowy, obejściem się nader uprzejmym, nadskakującym ująć za serce; a z każdym dniem musiała ostygać i przychodzić do przekonania, że z nią jak z innymi odegrano komedię tylko.

Krajobytna Łaska i inne panie dotąd były zaślepione, nie przypuszczały nawet, aby król mógł złamać słowo dane krajowi; trwały więc w tej myśli i wpajały ją w królownę, że żenić się musiał. Czyniono nawet przygotowania do tego.

Anna słuchała, nie śmiejąc przeczyć, zaledwie czasem rzucając zimniejsze, obojętne słowo, ale Łaska i towarzyszek jej natychmiast głośno, gorąco protestowały.

Król wprawdzie nie był częstym gościem u tej mniemanej narzeczonej swej, co się tłumaczyło zajęciem sejmowym, troskami rządzenia, lecz ilekroć się zjawiał, mógł w istocie utrzymać w błędzie, tak się silił na okazywanie niezmierniej; czułości dla królownej. Uśmiechał się, dowcipkował, jak zalotne dziewczę starał podobać, wyrывały mu się dwuznaczne słowa, wychodził potem rad z siebie i nikt, oprócz jego minionów, nie wiedział, iż sam szydził z tych zalotów, że potem smutną twarz i postawę Anny przedrzeźniał, mowę jej i westchnienia naśladował, co dworaków pobudzało do śmiechu.

Po takich odwiedzinach królowna jakiś czas żyła nimi, rozweselała się, tłumaczyła sama sobie obawy jako płonne, to, co o Henryku mówiono, jako złośliwe potwarze.

Z jednej strony Łaska i kobiety jej przemawiały za narzeczoną, z drugiej Czarnkowski i biskup chełmski nie oszczędzali go. Rodzaj życia, jaki król prowadził, choć się starano je po-

kryć, choć nawet najlepiej u Henryka położony podkomorzy Jaśko z Tęczyna nie był ani przypuszczany, ani wtajemniczony w nocne zabawy, nie mógł pozostać tajemnicą. Gawiedź zamkowa umiała podpatrywać, odgadywać, rozumieć. Wiedziano, że Naneta od Sederyna po męsku przebrana przychodziła na zamek i bawiła tu do dnia białego. Oprócz niej były inne. Ani młodość, ani krewkość nie mogły wytłumaczyć jawnego zgorszenia, jakie król dawał. Duchowieństwo, wiele przebaczać nawykłe w ostatnich latach panowania Augusta, w tym życiu coś jeszcze poczwarniejszego widziało. Krzyczano na Sodomę i Gomorę!

Gdy któremu z Francuzów, szczególnie Pibrakowi, delikatne dawano przestrogi, oburzał się przeciw potwarzom, nie dawał mówić, oskarżał Polaków o dzikość i barbarzyństwo. Król i tak dosyć był umęczony, osamotniony, żeby mu nawet rozerwać się z młodzieżą swą nie dopuszczano. Na próżno biskupi, szczególnie Pibrakowi, rozpowiadali, jak w kraju panowało straszne przeciw królowi oburzenie, jakie chodziły paszkwile.

W istocie nigdy pewnie w Polsce takiego nie bywało rozpasania słowa i odgrózek. Szlachta na zjazdach wołała otwarcie, iż elekcja nic nie była warta, że to był król ślepych Mazurów, którego oni sobie okrzyknęli. Mówiono, że go precz pozbyć się potrzeba. Sprawa Zborowskich była pozorem; w istocie pod tym ruchem kryły się intrygi przyjaciół cesarza i partyzantów Ernesta.

Posługiwano się wszystkim. Infantka, którą senatorowie sami chcieli wprzód obezwładnić i usunąć na stronę, teraz w oczach nieprzyjaciół króla rosła ze swymi prawami. Wyrzucano mu, że się z nią nie żenił, i zadawano to jako złamanie paktów. Dzięki temu Anna stawała coraz wyżej w miarę, jak Henryk spadał.

Francuzi na mieście prawie się pokazywać nie mogli; drwiono z nich, urągano, zaczepiano, ścigano. Na wrotach i ścianach spotykali się z wizerunkami poczwarnymi króla i napisami obelżywymi.

Król o tym wiedział czy nie, ale wcale go to nie zdawało się obchodzić. Obowiązki swe pełnił przymuszony, niechętnie, wrywał się, jak tylko mógł, z rady, zamykał w swoich pokojach i dostukać się już do niego nie było można. Z tych izb zamkniętych szczelnie i strzeżonych przez Gaskończyków dochodziły śmiechy, muzyka, okrzyki, brzęk naczyń... a Polacy tylko zza drzwi przysłuchiwać się mogli tej wesołej myśli.

Jedną tylko miał dla nich dobrą stronę król — rozsypywał, co miał, z rozrzutnością niesłychaną. Znaną była owa jagiellońska szczodroblowość tradycyjna Władysława, Aleksandra, Olbrachta, ale Francuz dawał tak, jakby do niczego najmniejszej ceny nie przywiązywał.

W ogóle tego, co się tu z nim i koło niego działo, nie brał na serio. Przy tym największy w świecie nieład panował na tym dworze, jakby na popasie w gospodzie.

Przyjmowano posłów tak, iż zdumieni wychodzili tym monarchą, który się im jakimś pażiem wydawał, tak nie po królewsku występował. Urzędnicy dworscy musieli zastępować króla, gdy posłów traktować należało, bo na stół królewski często i naczynia, i potraw brakło. Tęczyński, podkomorzym uczyniony, głowę tracił. Co było przygotowanym na dzień jutrzejszy, zjadano w nocy, rano nikt w porę nie wydał rozkazów — i na obiad jeść nie było co. Książę Nevers, Pibrak, rządził, kto chciał, dysponował pierwszy lepszy, rozkazy się krzyżowały — a senatorowie przed obcymi wstydzić musieli. Po posłuchaniu u króla moskiewski poseł na obiedzie u jednego z panów bez ogródki powiedział, iż szkoda było narodu dla takiego króla, który wcale do potężnego monarchy podobnym nie był.

Kółczyki u uszów królewskich, obcisłe spodenki, białe rączki, trefione włosy raziły i śmieszyły.

Starsi panowie boleli, pocieszając się tym, iż z czasem wszystko się zmienić musi, król z językiem i obyczajem się oswoi, Francuzi powoli do domu powrócą, otoczą go Polacy i przerobą na lepszego. Francuzów w samej rzeczy ubywało. Bito ich, pędzano i tak im było w końcu niewygodnie, iż się jeden po drugim wypraszał. Niektórzy po prostu uciekali.

Z tych, co bliżej Henryka stali, Jan z Tęczyna, mianowany podkomorzym, przypuszczony do większej zażyłości, dał się ująć i bronił króla gorąco. Widział i on wady jego, ale je przepisywał młodości, chwalił dobre serce i łagodność. Henryk, umiający się przypodobać, gdy chciał, pozyskał go sobie.

Wielu też z senatorów było za tym, aby króla do małżeństwa nie zmuszać, punkt ten faktów pokryć milczeniem i zapomnieć o warunku, który mógł odstręczyć młodego pana. Zborowscy, Tęczyński, Opaliński²⁶², Górkowie, Kostka²⁶³ i wielu innych byli za tym. Biskupi kujawski i płocki popierali to zdanie. Nie rozprawiano o tym głośno, ale samo milczenie i nienaglenie o małżeństwo mówiło wiele.

Właśnie dlatego, iż żenić się wcale nie myślał, a on i dwór królową „starą czarownicą” między sobą nazywali, Henryk, ile razy się z nią spotykał, starał się ją uspić grzecznością, okłamać uprzejmością nadzwyczajną. Jedyny to był talent młodego pana, iż nikt zrzęczniejszej serdeczności zmyśleć nie umiał nad niego, gdy w duszy nie kochał nikogo.

Naówczas już z pewnością przychodziło na myśl to, co później starał się na próżno wykonać: chciał powrócić do Francji, gdzie na niego po bracie korona czekała, a Polskę, na wzór Ludwika Węgierskiego, zdać wielkorządom. Zresztą lekko sobie ważył tę koronę.

Gdy sejm nareszcie się skończył, a wiosna zbliżała, myślano tylko o wycieczkach, zabawach, turniejach, o rozrywkach dla wielce znudzonego pana, a młodzież polska, zachęcona przez Jana z Tęczyna, gotowała się do turniejów, do tańców, do uczt, w których uciekających Francuzów zastąpić miała.

Wybierając się już do Niepołomic, Henryk, który od dawna nie był u Anny, oznajmił się jej na pożegnanie. Była tak słabą, że znowu z radością przyjęła ten dowód pamięci o sobie. Ubrała się staranniej i czekała na zapowiedzianego. Henryk nadzwyczaj wyelegantowany, woniejący, przybył z jednym tylko swoim *grand prévôt*²⁶⁴, Villèquierem i sekretarzem Beaulieu. Od progu przywdział maseczkę nadzwyczaj wesołą, zobaczywszy stojącą i oczekującą na siebie Annę, która stała smutna i blada.

— Nieprawdaż — rzekł, biorąc ją za rękę, którą przytrzymał chwilę — iż mi za złe nie macie, tak długiego zapomnienia? Lecz wyraz to niewłaściwy. Pamiętałem, smuciłem się, wybierałem i nie dopuszczono mnie do was. Panowie senatorowie polscy są prawdziwymi tyranami i nie ja nad nimi, ale oni panują nade mną! Trzymano mnie często głodnego do nocy.

Henryk śmiał się.

— Ale nareście ten sejm się raz zakończy i wszyscy, oni i ja, odetchniemy swobodniej. Jąde do tego zameczku w lasach, który i W. Król. Mości znajomym być musi, bo mi mówią, że tam ojciec jej zwykł był polować.

— I ja byłem tam wiele razy — odparła, ożywiając się powoli, Anna. — Nie spodziewaj się jednak W. Król. Mość ani wiele przyjemności, ani wygod w Niepołomicach. Miejsce jest odosobnione i dzikie.

— Tym swobodniej tam odetchnę — rzekł król — aby potem do Krakowa powrócić odświeżony i wypoczęty. A Wasza Król. Mość co postanowiliście?

— Ja? — spytała nieco zdumiona Anna. — Ja? Jak W. Król. Mości wiadomym być musi, wcale dotąd mej woli nie mam. Panowie senatorowie panują daleko despotyczniej nade mną. Dotąd nic się od nich doczekać nie mogłam, ani uregulowania sprawy spadku mojego i siostr po bracie, ani opatrzenia mnie na przyszłość. Wiele dóbr macierzystych mi pozabierano...

²⁶² Andrzej Opaliński — (1540—1593) był marszałkiem nadwornym kor.; Henryk Walezy mianował go marszałkiem wielkim koronnym

²⁶³ Jan Kostka — od r. 1574 wojewoda sandomierski; był kandydatem do tronu po ucieczce Henryka Walezego; zmarł w roku 1581

²⁶⁴ *grand prévôt* (franc.) — wielki przełożony (dworu)

Anna już parę razy wprzód napomykała o tym królowi — podniosła ku niemu oczy. Henryk się zarumienił, zapomniał zupełnie o tym, co jej przyrzekał.

— A, proszę wierzyć — przerwał żywo, rękę kładnąc na piersiach — nie moja wina! Zawsze pp. senatorów. Co do mnie, gotówem wszystko po myśli i wedle życzenia waszego rozstrzygnąć, podpisać.

— Uczynicie to, W. Król. Mość — odparła Anna — bo niepewność jest przykra, a oprócz tego siostrą odpowiedzialną się czuję za zwłokę. Ja tu jedna bronię sprawy królowej szwedzkiej i księżnej brunświckiej.

Król słuchał już jednym uchem tylko, co najprędzej pragnąc się wymknąć, ale Anna dodała jeszcze:

— Proszę bardzo W. Kr. Mość o rozstrzygnięcie. Moje nalegania niewiele znaczą, słuchać mnie nie chcą. W. Kr. Mość masz prawo.

Król się kłaniał i przymrużał oczy, a usteczka krzywił zalotnie.

— Ale możesz W. Kr. Mość być pewną, że co do mnie — rzekł — ja z oczyma zamkniętymi podpiszę wszystko, co może jej spokojność zapewnić. Chętnie uczyniłbym ofiarę nawet.

— Ja żadnej ani bym przyjęła, ni potrzebuję wymagać — odezwała się Anna — żądam tylko sprawiedliwości. Dotąd nie obmyślono dla mnie nic, a nawet do własności swojej przyjść nie mogę.

— A! — przerwał nagle Henryk. — Ta nieszczęśliwa sprawa tego biednego kasztelana ze Zborowskimi! Ile nam ona czasu zabrała, jak zawichrzyła wszystkim! Dzięki Bogu skończona raz, chociaż miałem to nieszczęście, że chcąc wszystkich zaspokoić, nie podobałem się nikomu. Zborowscy sądzą mnie nazbyt okrutnym, pani Wapowska zbyt pobłażającym.

Nie widać było z tonu i dźwięku mowy, aby to wszystko wielce króla obchodziło. Lekko się wyrażał, a uśmiech sarkastyczny, dwuznaczny, do którego był nawykłym, nie przestawał bładzić mu po ustach. Czasem roztargniony, spoglądając na panny fraucymeru królowej, stojące za nią, jedno oko przymrużał.

Królowna, podziękowawszy za obietnice, dodała, iż polega na nich i będzie czekać spełnienia.

— Chociaż jadę do Niepołomic — dodał król — nie dadzą mi i tam spokoju i będę pamiętał, aby nic nie zalegało, a sprawa W. Kr. Mości będzie dla mnie najpilniejszą.

Wprędce potem król, jakby się tym chciał przypodobać Annie, począł chwalić polską wiosnę.

— Obiecują mi polowanie piękne, lasy mają być wspaniałe.

— I dawniej zwierza były pełne — przerwała Anna — a że tam nikt polować nie miał prawa, dziś też obfitować muszą we wszystko.

Zapytała jeszcze królowna o wiadomości z Francji i zdrowie królowej matki, na co posmutniawszy odpowiedział Henryk, że od trzech dni listów nie miał, co go wielce niepokoiło.

— O zdrowie matki mniej jestem niespokojny — dodał — więcej się troszczę o najukochańszego brata, który już cierpi od dawna, a swojego doktora Ambrożego Paré²⁶⁵ słuchać nie chce, poluje nadto i zrywa piersi, ucząc się grać na trąbce myśliwskiej.

Królowna szepnęła, iż słyszała, jakoby wiersze też pisywał²⁶⁶, na co się Henryk uśmiechnął.

— Tak mówią — rzekł szydersko — ale ma przy tym tyle rozsądku, że się z tym nie chwali. Królowie mają zbyt wiele do czynienia, aby poezją się zajmowali. A potem, od czegoż Ronsard²⁶⁷?

²⁶⁵ A m b r o z y P a r é (1510—1590) — zwany ojcem francuskiej chirurgii, był pierwszym chirurgiem króla Karola IX, a następnie Henryka III Walezego

²⁶⁶ Karol IX istotnie pisywał poezję; m. in. znany jest jego poemat *La chasse royale* (Łowy królewskie).

Królowi zdawało się, że nad zwykle jej rozmiary przedłużywszy rozmowę z królowną, musiał ją już uszczęśliwić i na długo nakarmić; zakreślił się, kłaniając grzecznie, uśmiechnął zalotnie i wesoło, elastycznym krokiem tancerza poszedł ku drzwiom.

Wszystkie panie patrzyły za nim zachwycone, tak zręcznym był, gibkim i młodzieńczo się wydawał. Łaską cieszyło to dla Anny.

— Takiego mieć będzie ślicznego męża!

Nie wątpiła bowiem, iż mieć go będzie.

Królowna po wyjściu Henryka natychmiast usunęła się do sypialni, aby tam chwilę prze-marzyć.

Jak uczeń wypuszczony ze szkoły, młody król śpieszył do swych apartamentów. Tu go wielka spotkała radość. D'Enragues²⁶⁸, którego lubił bardzo, rówieśnik, przyjaciel, przybywał z listami z Francji.

Czekali wprawdzie od dawna na króla Opaliński, Zebrzydowski, świeżo mianowany wojewoda²⁶⁹, i biskup płocki, ale d'Enragues przywoził tak upragnione z Francji nowiny — nic nie mogło równoważyć się z nimi. Pibrak pobiegł przeproszać, składając się²⁷⁰ listami od matki, i panowie senatorowie raz jeszcze z niczym odejść musieli.

D'Enragues nie miał nawet czasu zrzucić butów, w których podróż konno, pośpiesznie odbywał; wprowadzono go do gabinetu, którego drzwi natychmiast na rygiel spuszczone zostały. Gdy się znaleźli sami, Henryk, zrzucając z ramion płaszczyk i kapelusz z głowy, westchnął głęboko.

— A, przyjacielu! — zawołał, ręce łamiąc. — Kiedyż ja z tej niewoli babilońskiej wyswobodzonym zostanę? Nie wiesz, na szczęście twe, co to jest siedzieć tu na ciężkiej pokucie w kraju niedźwiedzi, piwa i szabel krzywych, gdzie ludzie się po całych dniach kłócą, godzą, zabijają, a kłótnie i zgodę zapijają beczkami tego narodowego napoju. Wzdrygnął się.

— D'Enragues, co ty mi przywozisz? Matka? Król? D'Alençon²⁷¹? Co się u was dzieje? D'Enragues dobywał listy.

²⁶⁷ P i o t r d e R o n s a r d — (1525—1585) wybitny poeta francuski, stworzył kierunek w literaturze, który stawiał sobie za wzór autorów starożytnych; Ronsard naśladował też Petrarke, wprowadził do Francji formę sonetu

²⁶⁸ D ' E n t r a g u e s — prawdopodobnie chodzi tu o Franciszka de Balzac d'Enragues, późniejszego namiestnika (*gouverneur*) Orleanu; D' Enragues poślubił w r. 1578 Marię Touchet (zob. przypis 272).

²⁶⁹ Mowa tu o Kasprze Zebrzydowskim (zm. w r. 1582), wojewodzie kaliskim, który jednak został mianowany nie — jak podaje autor — „świeżo”, lecz jeszcze w r. 1573. Za Henryka Walezego żaden z Zebrzydowskich nie został wojewodą.

²⁷⁰ s k ł a d a j ą c s i ę — tu w znaczeniu: usprawiedliwiając się

²⁷¹ F r a n c i s z e k d ' A l e n ç o n k s i ą ż ę — (1554—1584) był synem Henryka II i Katarzyny de Medici, a młodszym bratem Henryka Walezego. Po rzezi w noc św. Bartłomieja stał się głową partii „polityków”, która jednoczyła w sobie hugonotów i niezadowolonych katolików. Swoimi ustawicznymi spiskami przeciw Karolowi IX, a następnie Henrykowi III (po objęciu przez tegoż tronu francuskiego) wywoływał często zamieszki. D'Alençon pozostawał w związku z królem Nawarry Henrykiem (który po zamordowaniu Henryka III w r. 1589 wstąpił na tron francuski jako Henryk IV — zamordowany w r. 1610) oraz z ks. Condé (Kondeuszem), obok d'Alençona najwybitniejszym z „polityków”. Przyjaciółmi i stronnikami ks. d'Alençon byli m. in. (wymienieni niżej w powieści) Turenne i Wilhelm Thoré. Dalej współdziałał z d'Alençonem ks. Henryk Montmorency, marszałek Francji, brat Thorégo a kuzyn Turenne'a; z innych wybitniejszych „polityków” należy wymienić hr. de Cossé, La Molle'a (Molé) i Coconasa. Na krótko przed śmiercią Karola IX, w kwietniu 1574 odkryto spisek d'Alençona, którego celem było osadzenie go na tronie francuskim po śmierci Karola

— Dowiedzie się trochę z tego, co pisze królowa, chociaż poleciła mi, abym to dopełnił tym, co mi ustnie zwierzyła... Król coraz jest gorzej.

Henryk spojrział bystro.

— Co mówi Paré?

— Milczy, to najgorzej — odparł spytany. — Król wcale się oszczędzać nie chce, a łóżka nie cierpi. Choroba się wzmacnia widocznie.

— Groźną jest? — szepnął Henryk.

— Przynajmniej się nią wydaje — mówił d'Entraques — nam wszystkim i królowej matce, która wcześniej zapobiegać musi, aby w razie nieszczęścia d'Alençon, król Nawarry, a z nimi Condé, Turenne i ich przyjaciele nie pochwycili regencji.

Brwi Henryka się ściągnęły, listy, które trzymał w ręku, ścisnął konwulsyjnym ruchem.

— Zdaje mi się — rzekł stłumionym głosem, w którym namiętne poruszenie czuć było — zdaje mi się, iż królowa ma dosyć środków, aby ich nieszkodliwymi uczynić i nie spuszczać ich z oka. Regencja jej jednej należy; źle by było, gdyby ją miał d'Alençon pochwycić. Zapobiec temu potrzeba.

— Sądzę, że zapobieżono — odparł żywo d'Entraques — królowa ma na sercu sprawę W. Kr. Mości, jak swą własną.

— Bo ona też jest wspólną naszą — przerwał Henryk. — Potrzeba mieć oko nie tylko na brata mego i na tego chytrego króla Nawarry, który tak dobrze umie, gdy potrzeba, dobrodusznego udawać. Kondesuz, Montmorency, de Cossé, Turenne i Thoré są niebezpieczni.

Uśmiechnął się d'Entraques.

— Wszyscy oni są tak dobrze jak w ręku naszym — rzekł — o to W. Kr. Mość możesz być spokojnym. Wątpię, ażeby czas mieli do ucieczki, a najmniejszy ruch podejrzany swobody ich pozbawi.

— Do Bastylii — zamruczał Henryk.

— Trudniej będzie z d'Alençonem i królem Nawarry — ciągnął dalej przybyły — ale ci się na żaden krok stanowczy bez pomocników ważyć nie będą.

Henryk podniósł ręce do góry.

— I trzeba, ażeby mnie los nieszczęśliwy zaniósł tu na drugi koniec świata i związał, abym tylko z daleka musiał niepokoić się i trwożyć.

— A! W. Kr. Mość możesz być zupełnie spokojnym — dodał d'Entraques. — Królowa czuwa, nic zaniedbanego nie ma.

— Mów mi jeszcze o Karolu — przerwał Henryk. — Jestże on w istocie tak źle?

— Wnosząc z twarzy — szepnął przybyły — zdaje się, że choroba z każdym dniem się staje groźniejszą. Pomimo starań lekarzy wychudł strasznie, gorączka go trawi. Paré powiada przed tymi, którym ufa, iż w tym wieku, w jakim król jest, choroba groźniejsza niż w starości.

— Zmienił życie? — zapytał Henryk.

— Bynajmniej.

— A królowa młoda? — tu spojrział bystro w oczy przyjacielowi, który go rozumiał.

— Nie ma o to obawy — szepnął d'Entraques — jedynym potomkiem zostanie dziecie Marii Touchet²⁷².

IX z pominięciem Henryka Walezego. La Molle i Coconas zostali po odbytych procesie straceni, Turenne i Thoré zbiegli. Montmorency i de Cossé znaleźli się przejściowo w Bastylii (słynne więzienie paryskie). Księcia d'Alençon i króla Nawarry pilnie obserwowano. Dalsze życie ks. d'Alençon było również bardzo burzliwe; przejściowo ogłosił się królem Niderlandów (1582).

²⁷² M a r i a T o u c h e t — (1549—1638) była kochanką króla Karola IX, z którym miała dwóch synów: jeden zmarł w młodym wieku, drugim był Karol, książę Angoulême; Maria Touchet poślubiła w r. 1578 Franciszka de Balzac d'Entraques (zob. przypis 268)

Henryk uśmiechnął się.

— To nikomu przeszkadzać nie będzie — odparł, rzucając się na krzesło. — Musisz być straszliwie zmęczony, d'Enragues? — dodał. — Ale ja ciebie nawet dla zrzucenia butów tych puścić nie mogę, póki mi nie powiesz wszystkiego. Tak chciwy jestem nowin z Paryża, tak stęskniony za wami! A, co za kraj! Co za ludzie! I na końcu jak miecz Damoklesa²⁷³ wisi nad mną straszna ostateczność ożenienia się z kobietą, która matką być by mi mogła, a mówią o niej, że jest czarownicą, że struła brata własnego i odziedziczyła po matce wszystkie przymioty, które tu pamięć jej czynią odrażającą.

D'Enragues spojrzał na niego.

— To małżeństwo... — począł.

— A, to małżeństwo — nie dając mówić, dorzucił król — to małżeństwo byłoby śmiercią dla mnie! Czymś jeszcze gorszym od śmierci, męczarnią...

— Nie naglą W. Kr. Mości?

— Wywijam się, jak mogę — począł Henryk żywo. — Łudzę, zwlekam, nie daję im mówić o tym nawet. Część senatorów jest za mną, spodziewam się przez nich resztę pozyskać.

Sparty na rękę mówił z oczyma spuszczoneymi i podniósł głowę nagle.

— Miałebym tu do tych łodów przykuty pozostać na zawsze? — zawołał. — D'Enragues! Wy na to nie pozwolicie, ja nie wytrzymam!

Wstał z krzesła.

— Dopókiż tak mój los pozostanie nie rozstrzygnięty? — zawołał.

— Nie powinno to potrwać długo — rzekł d'Enragues. — Wiem, że królowa matka tak sądzi. Dlatego czyni wszelkie przygotowania, aby katastrofa nie zastała ją nieczujną.

— Jestże ona nieuniknioną? — cicho, jakby sam się tego obawiał, co miał wyrzec, szepnął Henryk.

— Tak się zdaje — potwierdził d'Enragues. Nastąpiły mnogie pytania o szczegóły, o powrót d'Alençona i króla Henryka, o Kondeusza, o tych, których król za najniebezpieczniejszych uważał. Poseł królowej matki upewniał, że pamiętano o wszystkich, że nikt nie mógł nic przedsięwziąć, czemu by baczna królowa nie zapobiegła zawczasu.

Na ostatek d'Enragues został wypuszczony z gabinetu, a Henryk listy przywiezione przez niego czytać zaczął.

Cały potem wieczór oblegano przybyłego z Paryża, bo każdy miał pytać o kogo, ale d'Enragues, otwarty z królem, przed innymi skąpy był w słowa. Składał się niewiadomością.

Nie przeszkodziło przybycie tego posła postanowionej do Niepołomic wycieczce, dokąd od dawna kredensa, kuchnia, służba, łowcze przybory wyprawione zostały. Zabrano Francuza ze sobą. Tu na ustroniu król czuł się swobodniejszym daleko, nie tyle oczu na niego patrzyło. Przybywających panów pojono tak, aby nie wszystko, co się tu działo, widzieli. Henryk mógł zapomnieć o paszkwilach i usposobieniu niechętnym dla siebie, bo tu mu o nich nie donoszono.

W Krakowie tymczasem nawet pobytowi temu nie przebaczone, rozpowiadając o nim rzeczy straszne. Wiedzano, ile Francuzi z sobą przyjaciółek zabrali, że Nanetę Sederyn po męsku, przebraną we własnej wyprawili kolebce. Zmniejszyła się liczba Francuzów, ale nienawiść dla nich urosła.

²⁷³ D a m o k l e s był ulubieńcem tyrana Syrakuz Dionizjusza Starszego (który panował w latach 406—367 p. n. e.). Kiedy Damokles nazwał raz Dionizjusza najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, tenże kazał go posadzić przy bogato zastawionym stole, ale nad głową Damoklesa zawieszono na końskim włosie miecz, grożący w każdej chwili zerwaniem się. Wtedy Damokles poprosił o uwolnienie go od takiego szczęścia.

W gospodzie u Grocika poczwarne o zabawach nocnych na zamku krążyły plotki. Zamek, choć zamknięty, nie miał tajemnic, zdradzała je czeladź, a najmniejsza rzecz starczyła złym językom, aby z niej straszną potwarz skleić. Gawiedź krakowska zresztą w tym oburzeniu swoim była wyrazem tego uczucia, jakie w wyższych kołach się odzywało.

Chciano mieć króla, który by majestat swój blaskiem cnoty uczynił wielkim; ostatnie lata życia Augusta dosyć już zgorszeń i goryczy przyniosły. Natomiast płoche chłopię wiodło za sobą srom i upokorzenie. Wstydić się za nie trzeba było przed posłami obcymi, przed ludem, przed światem. Ludzie wywozili z Krakowa tylko powieści o rozpucie i nieładzie. Niejeden raz odzywały się już głosy, że króla takiego cierpieć się nie godzi; ale ślub monarchy z krajem wydawał się tak nierozzerwalnym, jak pasterza z owczarnią, jak męża z życia towarzyszką. Rozwód był niepodobnym. Wymyślano więc różne środki, jakimi by na inną drogę młodego pana wyprowadzić, a ożenienie stosowne wydawało się wielu jednym z najskuteczniejszych. Dysydenci chcieli niemieckiej księżniczki, katolicy bodaj rakuskiej. Anna miała być uposażoną i skazaną na wieczne osamotnienie.

Wyzdrowiawszy Talwosz, który chodził jak błędny długo, przysłuchując się temu, co mówiono, podburzając przeciwko Francuzom, trawiony jakimś niepokojem, po wyjeździe króla począł się także gdzieś wybierać. Nie zwierzał się nikomu. Podróż to postanawiał, to odkładał, niepewien, co pocnie. Jednego dnia w końcu oglądano się za nim u Grocika, gdzie często bywał, rozmowom i plotkom się przysłuchując, a na zapytanie o niego odparł ktoś, iż go z rana widziano jadącego konno za miasto.

Talwosz w istocie ruszył do Niepołomic. Nikomu się on z niczego nie spowiadał, zdawało się jednak, iż historia Zagłoby i wyjazdu z nim Doroty były mu podejrzone. Posądzal piękną Dosię, że gdzieś się dla kogoś ukrywać musiała. Jak wpadł na myśl, że w Niepołomicach być mogła? Któż to odgadnie?²⁷⁴

Mieścinę tak zastał pełną, iż konia postawić, a sobie zapewnić noclegu było trudno. Zjazd był wielki. Bawili przy królu senatorowie niektórzy, urzędnicy niezbędni, wszyscy Francuzi ulubieni i mnogo się przemykało proszących, którzy na szczodroблиwość Henryka rachowali.

Litwin znalazł sobie niepoczesny dworek mieszczanina, w którym go przyjęto. Postawiwszy konia, następnego dnia, ubrany tak, aby oczu na siebie nie zwracał, poszedł z innymi krążyć około zamku i patrzeć na to, co się tam działo.

Życie było bardzo huczne. Tuż około zamku plac obwiedziony służył za miejsce popisów dla biegających do pierścienia, którym i król się czasem zabawiał, lub na turnieje, chociaż one gorzko jeszcze zawsze nieszczęśliwą sprawę Wapowskiego przypominały.

Za gośćmi ściągnęło do Niepołomic mnóstwo różnych przekupniów, spodziewających się z nich korzystać. Bezpiecznie więc w tym różnorodnym tłumie obracać się mógł Talwosz, nie będąc śledzonym i poznanym. Zwracał on oko baczne na wszystkich wchodzących i wychodzących, na służbę, na tych, co zamek zajmowali. Miał nawet przyjemność widzieć tego dnia sławną Nanetę, którą mu tak dobrze opisano, iż ją poznał od razu. Oprócz niej było kobiet kilka.

Talwoszowi na tę samą myśl, iż w podobnym towarzystwie zmuszonym był szukać swej Zagłobianki, serce się krajało, krew zalewała twarz.

— A, nie — mówił sam do siebie — to urojenie, to być nie może.

Jakaś śmieszna, chorobliwa ciekawość przytrzymywała go tu aż do późnego wieczora, gdy wszystkie okna zapłonęły światłem i król, po powrocie z łowów, do stołu miał siadać. O mroku cały jego dwór zaczął się swobodniej poruszać.

Talwosz już miał zamek opuścić, gdy postać jakaś mężczyzny młodego ruchami nieśmiały mi zwróciła jego oczy. Sam nie wiedział, dlaczego na widok jej serce mu bić zaczęło. Stał

²⁷⁴ Przeoczenie autora, który poprzednio wspomniał, iż Żalińska w rozmowie z Talwoszem wysunęła przypuszczenie o pobycie Dosi w Niepołomicach.

tak, że idący tuż około niego przechodzić musiał. Im się bardziej zbliżał, tym straszniejsza bladość okrywała twarz smutną i wynędzniałą nieszczęśliwego Talwosza.

W tym zręcznym, ale bojaźliwie się przesuwającym chłopaku poznał Dosię Zagłobiankę. W pierwszej chwili taka boleść go przejęła, tak uczuł się nieszczęśliwym, że zdrętwiały pozostał w miejscu. Wymineła go, idąc ku bramie. Lecz w tymże momencie oprzytomniawszy, Litwin biegł już za nią i śmiało w ciemnych wrotach za rękę pochwycił.

Twary jego dojrzyć nie mogąc, Zagłobianka odepchnęła silnie śmiałego napastnika, który zawołał:

— Panno Doroto! Ja to jestem! Na Boga! Mamże oczom Wierzyć moim! Wy! W tym ubraniu! W tym miejscu! A tak... Zagłobianka stała niema, nie próbowała nawet uciekać.

— Tak — odezwała się zuchwale — ja to jestem; czego chcesz ode mnie? Jakie masz prawo?...

Głos jej zamarł w ustach.

— Prawo! — krzyknął Talwosz, idąc za nią, gdyż poczęła bramę mijać, jakby na zewnętrzne podwórze wyjść chciała. — Mam takie prawo, jak człowiek, który tonącego ratuje. Dorota, wyszedłszy na podwórzec, stanęła, założyła dumnie ręce na piersi.

— Według was ja już jestem trupem — rzekła szydersko — nie masz więc już obowiązku mnie wyciągać!

— Wy! Wy! Mogliście upaść tak straszliwie, tak nisko? — począł Talwosz z uniesieniem.

Widzicie — odezwała się zimno dziewczyna. — Przyszliście za późno.

Rozśmiała się niewesoło. Talwoszowi, mimo oburzenia, na płacz się zbierało.

— I to — zawołał — koniec waszych wszystkich nauk, owoc książek i czytania, mądrości, której byłeś tak chciwą!

Zagłobianka, nic nie odpowiadając, ruszyła ramionami.

— Nie, to nie koniec — odparła po przestanku — a jaki on będzie, ja nie wiem. To pewna, że nie wrócę tam, skąd przyszłam, ale pójdę dalej.

— Na zgubę! — zawołał Talwosz.

— Może — zimno znowu szepnęła Dorota — ale do czego się to zdało wszystko, że mnie waszmość gonisz, szpiegujesz i narzucasz mi swoje nauki i opiekę? Widzisz, że zrobiłam, com chciała! Zawracać się ani mogę, ani myślę. Chcesz się mścić i prześladować mnie za to?

Talwosz się rzucił oburzony.

— Panno Doroto — zawołał — tak to mnie znasz, iż możesz o zemstę i prześladowanie posądzać? Widzę cię ginącą, płakać mi się chce. Mylisz się sądząc, że zawrócić nie można. Zawsze czas.

— Nie — odparła Dorota, która znacznie zdawała się ostygła. — Nie. Za późno już.

Ponieważ ludzi się wiele około bramy kręciło, którzy podsłuchiwać mogli, Zagłobianka zaczęła powoli iść dalej, prowadząc za sobą Talwosza. Stanęli wśród placu dzielącego od miasteczka. Zagłobianka się zatrzymała. Szła dotąd z głową spuszczoną, zadumana, podniosła ją, spoglądając na Litwina, który włókł się za nią cały przejęty i drżący.

— Talwosz — rzekła, zbliżywszy się nieco ku niemu. — Prośbę do ciebie mam.

Nie było odpowiedzi, pogrążony w myślach, zgryziony Litwin milczał.

— Trzymaj o mnie, co chcesz — rzekła — ale nie zdradź przed królowną i tymi, którzy dawniej mnie znali.

— Wstydzisz się więc sama? — przerwał Talwosz.

— Wstydzę, gryzę się, jestem nieszczęśliwa — rzekła Dosia. — Nie wiem, jak do tego doszło, co się stało ze mną. Winnam ja, winien mój los, przeznaczenie... lecz co się stało, powtarzam, odstać się nie może. Lituj się, łaj, ale nie czerń mnie przed ludźmi! Ty kiedyś może przebacysz albo przeklniesz mnie...

Nie mogła dokończyć. Talwosz słuchał z politowaniem.

— Nie powiem nikomu nic — odparł — na co by się to przydało? Francuzów i tak nienawidzą wszyscy, ale jakże wy, wy z rozumem waszym mogliście dać się tak uwieść nikczemnie, tak upaść?

— Człowiek nie zawsze rozum ma — rzekła po chwili. — Nie pytaj.

— Jakaż przyszłość? — spytał Litwin.

Dosia poruszyła ramionami.

— Żadnej, ja nie myślę już o niej.

Zamilkli; Litwin ani jej porzucić nie mógł, ani tak rozmowy skończyć.

— Wszystko to dla mnie zagadka i tajemnica — dodał po chwili. — Niech choć wiem, dla kogo poświęciliście tak wszystko?

Dosia podniosła oczy i długo na niego patrzyła.

— Na co ci się to wiedzieć zdało — odparła. — Wart czy niewart, była godzina, żem go sądziła godnym tego. Może dziś myślę inaczej — westchnęła — ale dziś...

Powtórzyła rozpaczliwym niemal głosem:

— Za późno! Za późno!

Talwosz nie odchodził jeszcze.

— Panno Doroto — rzekł — słówko. Francuzi się u nas nie osiedzą, o samym królu nawet nie wiem, czy my z nim, a on z nami wyżyć potrafi. Przyjdzie może godzina; gdy wam pomoc będzie potrzebna. Wiecie, gdzie mnie szukać. Dorota podała mu rękę i szepnęła smutnie:

— Bóg zapłać.

A wnet, zmieniając rozmowę, dodała:

— Co robi królowna?

— Płaczę czasem, niekiedy się łudzi — odpowiedział Talwosz. — Krajczyna i jej przyjaciółki utrzymują i żywią nadzieję, że król się z nią ożeni.

Rozśmiała się Zagłobianka.

— A! — przerwała. — Kto jej dobrze życzy, ten myśli podobne wybić z głowy powinien. Król się wzdryga na wspomnienie o niej samo. Nie ożeni się nigdy, może ani z nią, ani z żadną inną. Ludzie mu odmalowali królownę jako niebezpieczną trucicielkę i czarownicę. Wie, że ma lat blisko pięćdziesięciu, a on...

Rzuciła ręką w powietrzu.

— Zawczasu ją przygotujcie do tego, ażeby się nie uwodziła — dodała Dosia. — Wyposaż ją i wyprawia kędyś na Mazowsze, nikt się ani ujmie za nią. Biedna sierota. Siostry, brat, kraj, opiekunowie, wszyscy ją opuszczają.

— Mówmy o pannie, nie o niej — przerwał Talwosz, który przewidywał, że się rozstać będzie musiał z Dosią. — Dwór zawsze w Niepołomicach zostać nie może, powróci w końcu maja do Krakowa, panna się tam pokazać nie możesz, cóż zrobisz z sobą?

Zagłobianka obojętnie ramionami potrząsnęła.

— Jak gdyby w tym dużym Krakowie — rzekła — albo na przedmieściach nie było dla mnie kąta? Skryję się gdzieś od ludzkich oczów.

— A cóż to będzie za życie? — spytał Litwin.

— Spytaj, jakie ono teraz jest? — przerwała mu Dosia, której mowa, słowa, dźwięk głosu powiadały, że wcale szczęśliwą nie była.

Obejrzała się po nocnym niebie, na którym jasne gwiazdy świeciły. Chłodna, spokojna noc wiosenna ciszą jakąś niezupełną świat do snu kołysała. Z dala słyszeć było rzechotanie żab, jakieś szelesty tajemnicze lasu, jakieś szepotanie wiatru i stłumione szczebiotanie ptasząt.

Dosia objęła oczyma widnokrąg, podała rękę Talwoszowi.

— Bądź zdrow! — szepnęła niewyraźnym głosem. — Nie myśl o mnie. — I pobiegła naza-
d ku zamkowi.

Wiedziano bardzo dobrze w Krakowie, co się w Niepołomicach działo, co dzień prawie ktoś tam jechał lub stamtąd przybywał, ale do królowej Anny dochodziły tylko te wiadomości, które troskliwy o nią dwór jej dopuszczał. Nikt z tych, co jak Solikowski lub biskup chełmski jaśniej widzieli położenie, nie śmiał rozczarować Anny i przynosić jej wieści, które by ją zasmucić musiały. Wszyscy widzieli, że owo małżeństwo, którym się jeszcze łudzono, gdyby nawet możliwym było, bardzo nieszczęśliwym by być musiało. Poznawano coraz lepiej owego księcia andegaweńskiego, który z dala się wydawał rycerskim panięciem, a z bliska był zepsutym chłopakiem, który sobie żartował ze wszystkiego, a sam potrzebował tylko zabawy i roztargnienia. Tych tu trudno mu było dostarczyć.

Francuzów ubywało, gdyż pobyt w Polsce stawał się dla nich coraz trudniejszym; zapominając o panu uciekali, gdy tylko mogli; z Polakami ani się rozmówić, ani zrozumieć, ni do ich obyczajów nie mógł Henryk nawyknąć.

Tęczyński, najbliższy króla, najmilszy mu może, był za szlachetnym, zanadto zacnym młodzieńcem, aby z nim mógł on przestawać na stopie zupełnego zaufania. Z zaślepieniem i prostotą jakąś dziecinną prawie podkomorzy króla daleko innym, lepszym sobie wyobrażał i czynił, niż był w istocie. Ile razy król się z czym niezdarnym mimo woli zdradził, Tęczyński nie brał tego na serio, a poważniejąc, zmuszał Henryka do zwrotu. Z tym swoim podkomorzym król był, jak ze wszystkimi Polakami, nie dowierającym i ostrożnym. Kłamał po prostu, aby się od niego uwolnić i wydawać jemu innym, niż był. Dlatego też Tęczyński, ilekroć mowa była o królu, gorąco go brał w obronę, wynosił jego przymioty, ujmował się, tłumaczył go, ręczył za niego.

Wieczorami podkomorzy odprowadzał zwykle aż do łóżka, król się przy nim rozbierał, kładł do snu. Tęczyński siedział, aż usnął, zasuwiał firanki królewskiego łóża i odchodził spokojny. Po wyjściu jego, gdy obawy nie było, ażeby powrócił, Henryk wstawał, ubierał się na nowo, przybiegali Francuzi, zapalano światła, przynoszono karty, zbierali się faworyci, ryglowano drzwi i zaczynały się nocne orgie, bankiety, zabawy, o których jeden pan podkomorzy nie wiedział. Zdradził ktoś je przed Tęczyńskim, ale ten nie chciał uwierzyć, ażeby król mógł brać udział w nocnych rozrywkach — składał to na płochą młodzież. A że nad nią władzy żadnej nie miał, nic na to poradzić nie mógł.

Działo się to pod bokiem prawie królowej na zamku, która również nieświadomą była rodzaju życia, jaki prowadził narzeczoną. Wiedziała tylko, że kochał bardzo matkę, że do niej pisywał często i miewał od niej wiadomości, że się dla tej korespondencji zamykał, że tęsknił trochę za Francją.

Gościem częstym zarówno u króla, jak u królowej bywał ów karzeł Krassowski, któremu przypisywano, iż on pierwszy Katarzynie Medycejskiej poddał myśl starania się o tron Polski dla syna. Krassowski dumny był tym i pozostał w Polsce, aby to swoje dzieło doprowadzić do końca. Marzył on o ożenieniu Henryka, znajdując, że to go na tronie utwierdzić mogło.

Roztropny, żywy, dowcipny Krassowski, któremu nie zbywało na towarzyskich przymiotach, nie widział nic jasno, okłamywał sam siebie. To, czego pragnął, wydawało mu się możliwym, łudził się, a na ostatek zdawało mu się, że on jeszcze tu czynnym powinien być i może, aby co rozpoczął, dokończyć. Nieustannie więc prawie krążył pomiędzy królem a Anną, jemu donosząc, co się działo u niej, jej, co widział na dworze Henryka.

Dosyć przebiegły król, aby karła ocenić i umieć z tego skorzystać, posługiwał się Krassowskim i po prostu kłamał przed nim. Gdy mu potrzeba było co zanieść do Anny, jemu to powierzał; gdy się chciał o czym dowiedzieć, z niego dobywał. Krassowski w dobrej wierze sądząc, że służy swojej myśli, był narzędziem w ręku Henryka. Stawał mu się wielce uży-

tecznym, bo w dobrej wierze, co tylko posłyszał, donosił i wskazywał królowi, jak i od czego się miał bronić.

Częsty gość u królowej, Krassowski tu przyczyniał się wielce do utrzymania jej i pań przyjaciółek w złudzeniu tym, że małżeństwo nastąpić musi. A że mu prawie wszystko wolno było, często na króla nastawał, aby myślał o ożenieniu. Henryk nie chciał go wywodzić z błędu, nie odpowiadał wprost, zbywał dwuznacznikami.

— A ty nieznośny natręcie! — mówił do króla. — Czyż nie widzisz, żeśmy tu jeszcze tchnąć nie mieli czasu, a wcale o przygotowaniach do wesela myśleć nie mogli? Wszystko przychodzi w porze tym, co czekać umieją! — kończył, uśmiechając się.

Krassowski potem biegł do Anny, zasiadał z paniami, które go pieściły i bawiły się nim jak lalką, i rozповідаł im, jako z Henrykiem, którego znał dzieckiem, otwarcie mówił o ożenieniu i że król utyskiwał tylko, iż mu na to czasu nie dano. Słowa króla powtarzano królownie, a był on i zdawał się powagą, na słowach tych polegać było można. Przynosiły one i utrwały nadzieję.

Wcale inna była rola referendarza Czarnkowskiego, który nadto bystrym był i przezornym, ażeby się dał uwieść lada czym. Z wolna starał się przygotować Annę do jakiegoś przewrotu, zmiany, których się spodziewał. I on, i wielu z nim nie czuli, aby Francuz miał pewny grunt pod nogami. W powietrzu była jakaś katastrofa.

Biskup chełmski, który milczał, aby nie martwić, przejęty był zgrozą z powodu płochego życia króla. Cóż się po nim spodziewać było można? Katolicy wiedzieli, że w strasnej nocy św. Bartłomieja Henryk był czynnym, choć niezbyt jawnie — to obudzało w nich nadzieję, iż głównego nieprzyjaciela, dysydentów, zmoże i z wolna im cugli ukróci. To jedno pocieszało... obyczaje zrażały.

Na dworze trudno, aby się coś ukryć mogło, a sam Henryk, choćby był czasem chciał udawać surowszego, zdradzał się co dzień roztargnieniem i niezręcznością, Francuzi jego stokroć gorzej i więcej.

Królowna wśród tych wszystkich prądów i ludzi postawiona tak, że wielu rzeczy widzieć nie mogła, a wielu nie rozumiała, sprawy sobie jasno nie zdawała ze swojego położenia. Dni jasne nadziei mieniały się z szarymi dniami zwątpienia. Zupełnie się zwierzyć nie mogła nikomu, wstydziła się stan duszy odkrywać nawet przed krajczyną, którą kochała najmocniej. Do sióstr pisząc, choć się jej boleśne słowo wyrwało, nie mówiło wszystkiego.

Taka niepewność przyszłości nawet w młodszych latach jest brzemieniem do noszenia bardzo ciężkim — Anna ugięła się pod nim. Krajczyna czytała to w wychudłej i smutnej twarzy, starzejącej się w oczach, a że jej szło bardzo o to, aby Anna podobać się mogła, rozpadała się²⁷⁵, czuwała, pieściła ją, aby odżywić i odmłodzić.

Karzeł wyjechał był z królem do Niepołomic w początku, chciał się tam rozpatrzeć, aby opisać życie Henryka królownie. W tym gwarze jednak, gdzie sobie wszyscy daleko więcej pozwalali niż w Krakowie, wśród wrzaskliwych rozrywek, przybierających coraz bardziej męski charakter — gonitw, strzelania, ucztowania niepomiernego, Krassowski wprędce się uczuł znużonym, zniechęconym i postanowił do Krakowa powrócić. Zręczny dworak jednakże w drodze sobie powiedział, że młodości wiele przebaczyć potrzeba i że nie wszystko, co widział, należało opisywać królownie. Przybył więc z obrazkiem tak ułożonym, aby przyjemne uczynił wrażenie. Wiózł czy nie pokłony od króla, Krassowski je złożył u stóp Anny, zaręczył jej, że Henryk tęskni, że niebawem zapewne powróci do Krakowa, że o niej często wspomina.

Krajczyna nie posądzała go wcale o kłamstwo, a miała potem za złe biskupowi chełmskiemu, który tych nadziei świątecznych, marzeń o małżeństwie słuchając, milczał, wzdychał, nigdy ich niczym nie popierając. Prawda nie mogła z żadnej strony dojść do królowej.

²⁷⁵ r o z p a d a ł a s i ę — rozpływała się (w czułościach)

Henryk, im groźniejsze wiadomości przychodziły z Francji, które go powołać mogły do matki, zdawał się mocniej coraz chcieć sobie pozyskać miłość i zaufanie Polaków. Przybywający z Niepołomic wszyscy rozpowiadali, iż za powrotem do Krakowa Henryk, aby się lepiej poznać z ludźmi, spraszać ma panów i szlachtę z całego kraju, że się pragnie zalecić im, serca pozyskać, języka uczyć itp.

Królewna, która od tak dawna nie mogła się doprosić, aby Henryk ją uznał spadkobierczynią po bracie, doczekała się wreście dekretu, mogła objąć, co pozostało z tykocińskich skarbów, uczuła się zamożniejszą i swobodniejszą.

Dobre jej serce natychmiast pomyślało o podzieleniu się tym z siostrami. Chwila radości i nadziei rozjaśniła trochę widnokrąg.

— Królowo moja! — wołała uradowana Łaska, — Widzicie, król jest o was troskliwy, pamięta, czuwa, myśli... Senatorowie byliby jeszcze zwlekali, on sam rozstrzygnął nareście.

Po tej pierwszej radoszej nowinie Jaśko z Tęczyna, podkomorzy królewski, którego się z Niepołomic, jako niewygodnego świadka, pozbyć chciano, przybiegł do Krakowa i nazajutrz był u Anny. Ten też widział wszystko w jak najpiękniejszym świetle.

— Przybywam, aby tu wszystko przygotować na zamku na powrót królewski — mówił królewnie. — Mam rozkazy króla. Będziemy się bawili i z wielką okazałością przyjmowali. Miłościwy pan chce sobie serca pozyskać, a godzien jest tego, aby go kochano! Szlachetny, uprzejmy, dobry, bez złości w sercu, pragnie dobra wszystkich; przyszłość się obiecuje pod jego panowaniem szczęśliwa. Wszyscy się na to zgadzają, iż szczerobliwszego nie mieliśmy monarchy ani zdolniejszego nad niego. Dotąd on nas mało, my go wcale nie znamy, ale się to wszystko zmieni, ustaną niechęci, nienawiść musi być zwyciężoną.

Z uniesieniem prawił tak długo Tęczyński, a królewna w milczeniu słuchała go z bijącym sercem.

— Nie powinni ludzie mu wyrzucać — ciągnął dalej podkomorzy — iż się zabawia płocho. Czyni on to nie dla siebie, pragnie poznać i ująć tych, co go otaczają. Ten cel będą miały zabawy, uczty, turnieje, gonitwy, które ja w Krakowie i w ogrodzie pod Zwierzyńcem mam przygotować. Nie będziemy żałować na to.

Cieszył się tym zawczasu Tęczyński.

— Wasza Królewska Mość — dodał, do Anny się zwracając — z paniami swojego dworu musisz też być przygotowaną do uczestniczenia w zabawach. Król mi wyraźnie polecił ją o to prosić. Pań nam potrzeba jak najwięcej, a pięknych i mogących mu służyć do tańca. Król lubi stroje wytworne.

Krajczyna i wszystkie panie, usłyszawszy to z ust podkomorzego, zaraz po wyjściu jego zakrzętały się z niezmiernym pośpiechem, gotując suknie, ubiory, wszystko, co z jak największym zbytkiem i elegancją wystąpić im pomagało.

Królewna, nigdy bardzo o strój nie dbająca, choć najmniej się tym zajmowała, dała się wciągnąć, ulegała namowom, rzuciła czasem jakieś słowo. Parę razy przypomniła piękną Dosię.

— A! — mówiła do krajczynej. — Co to za szkoda, na te festyny że nam tego dziewczęcia braknie, mogła być ozdobą fraucymeru, a tak dobrym była tłumaczem. Odebrano nam ją, sama chciała, nie mogłam się sprzeciwić. Co gorzej, odciągnęła ode mnie Talwosza, który mi już jak dawniej nie służy. Zobojętniał wielce.

W istocie, chory, zrozpaczony Litwin po ostatnim widzeniu się z Zagłobianką niekiedy myślał o powrocie do matki, do Litwy. Tam by mu łatwiej było zapomnieć, stworzyć sobie jakieś życie nowe. Tu mu ją wszystko okrutnie przypominało. Lecz król miał powrócić! Ona też zapewne ze dworem tajemnie tu przybyć miała. Talwosz mówił sobie, że mógł jej być potrzebnym.

Dziwnie upartą w sercu jego była ta miłość bez nadziei, do której przyłączyła się litość. Nie obiecywał sobie dla niej nic dobrego, a więc zawsze w nieszczęściu się mógł przydać, bo wiedział, że ona też rachować musiała na niego.

Kto był sprawcą tego nieszczęścia biednej dziewczyny, Talwosz dotąd ani się dowiedzieć, ani mógł domyślać. Musiał to jednak być lub sam król, albo ktoś z tych dostojniejszych panów, co go otaczali. Zagłobianka nadto była dumna, aby łađa komu dała się opanować. Litwin obiecywał sobie, iż gdy się dwór przeniesie znowu do zamku, łatwiej mu będzie dośledzić czegoś tu, u Sederyna lub między Francuzami.

W czasie pobytu w Niepołomicach żywe z Francją stosunki trwały ciągle jak przedtem. Nie było dnia prawie, ażeby ktoś nie przyjechał do Krakowa i nie został odprowadzony do króla. Niekiedy dwóch posłów razem, dla pewności dwoma różnymi wyprawionymi traktami przez Niemcy, przybywali jeden po drugim. Nowiny być musiały ważne bardzo, gdyż Henryk oczekiwał ich z gorączkową niecierpliwością. Lecz tajemnicą było dla wszystkich, co przynoszono z Francji, król się nie zdradzał nawet pytany, dwór jego milczał. Z coraz większej tylko króla uprzejmości, coraz weselszej twarzy, coraz większego ożywienia wnosili panowie senatorowie, iż dobre musiał odbierać wiadomości.

Wcale się działo przeciwnie, lecz Henryk naprzód już był obrachował wszystko i gotował się do tego, co postanowił uczynić. Zdrowie Karola IX coraz było gorsze, coraz mniej utrzymania go przy życiu nadziei; matka pisała do Henryka, aby był gotów natychmiast, gdy zawoła, do Francji powracać.

Panowie polscy, z którymi król próbował bardzo ostrożnie mówić o tym, iż mógłby być zmuszonym na krótki czas pojechać może do Francji, tak jednogłośnie zaprotestowali przeciwko temu, iż raz dotknąwszy tej ewentualności, król już nigdy nie śmiał o tym ani napomknąć.

— N. Panie — wołał biskup płocki — nie puścimy was, ani ty nas możesz opuścić! We Francji będzie cię komu zastąpić, u nas jesteś potrzebnym niezbędnie. Jest to chwila, w której między tobą a krajem dopełnia się ślub i związek, jaki was łączyć ma na wieki. Wrażenie byłoby straszliwe. Przypuścić nawet takiego nieszczęścia nie możemy.

Henryk nie tylko przypuszczał je, ale miał już zawczasu stałe postanowienie porzucenia Polski. Wołała go Francja... tam było jego serce... wszystko. Matka w każdym liście przypominała mu, co jej był winien. Kazała być gotowym.

Lekarze nie czynili już najmniejszej nadziei, aby Karol IX mógł zdrowie odzyskać i żyć długo. Choroba się wzmagala i przybierała groźny charakter.

We dnie zabawiał się, jak mógł, chory, ale noce były straszne. Przychodziła gorączka, a z nią krwawe obrazy mordy, rzezi, zabójstw... jakby wspomnienie tej nocy, której wieki zapomnieć nie miały. Widma wszystkich poległych w tym boju nierównym, z admirałem Coligny na czele, cisnęły się do łóża, oblegały je, groziły mu, domagały się zemsty. Mówiono, że Karol naówczas potniał, a łóże jego pot ten krwią broczył. Przelana krew nieprzyjaciół mściła się na zboliałym. We dnie wszystko to wydawało mu się jakby snem, który już nie miał powrócić, a ciemności nocy niosły z sobą znowu te same męczarnie i tych samych upiórów.

Co dzień Karol podnosił się słabszym, piersi męczyły się oddychaniem... Kaszel je rozrywał. Matka przychodziła z politowaniem i użaleniem do łóża syna, który w jej oczach czytał nie miłość ku sobie, ale jakby niecierpliwość końca.

Pilnowano d'Alençona... do chorego nikt, oprócz wybranych, zbliżyć się nie miał prawa. Czekano już tylko na tę godzinę, która miała łađa dzień uderzyć i być ostatnią.

Przerażające te doniesienia przyjaciół swoich, pozostałych w Paryżu, król czytał z twarzą rozjaśnioną, z upragnieniem dzikim, bez najmniejszego wzruszenia, które by litości domyślać się kazało. Były to dla niego wieści pocieszające, szczęśliwe. Tron Francji okryty całunem miał czekać na niego.

Tym większą miłość potrzeba było okazać dla Polski, przywiązać ją do siebie, aby ją uwieść i nie stracić jej. Chociaż niewiele dbał w istocie o ten kraj niedźwiedzi, jak go młodzi paniczycy nazywali, na wszelki przypadek, gdyby się dwie korony udało utrzymać razem, i to nie było do pogardzenia. A przynajmniej rozstać się spokojnie i bez tragedii w ostatnim akcie. W Niepołomicach już rozpoczęło się to zdobywanie serc i ludzi, te uśmiechy zalotne, to zaprzysięganie się króla, iż czuł się tu najszcześliwszym, że postanowił sercem i duszą oddać się Polakom.

Jakkolwiek w myśliwskim zameczku dosyć było swobodnie i wesoło, na zawsze tu pozostać król nie mógł, brakło wiele rzeczy, ciasnota się uczuć dawała. Kuchmistrz pan Franciszek Allemani, Włoch, bo naówczas kunszt kulinarny najwyżej stał w Italii, krzywił się, że tu nie miał wszystkiego, co mu było potrzebnym do króla godnych bankietów. Stajnie ciasne były dla koni. Kobiety przybyłe za dworem zbyt tu jakoś jaskrawo się wydawały, gdy w Krakowie ich widać nie było.

I tak jednego z dni ostatnich maja powrót do Krakowa został postanowiony. Poprzedziły króla wozy kuchenne, stajnia, zbroje, część dworu. Krajczyna przybiegła do królowej z tą dobrą nowiną, iż król stęskniony za nią powracał.

Razem prawie z tym, posłem ze Szwecji przyjechał chwilowo ksiądz Warszawicki. Przywoził on listy od królowej niezbyt czule, ale stokroć nad nie miłszym było, co opowiadał o małym Zygmusiu, którego królowa Anna od dawna wybrała sobie, przyswoiła, chciała mieć jak własne dziecko, zlewając na niego wszystką miłość, jaką w sercu zachowała. Ks. Warszawicki opowiadał z rozrzewnieniem, jak chłopię modliło się ślicznie po polsku, jak mówiło dobrze tym macierzystym językiem, jak było pobożne, świątobliwe nad wiek i wiele obiecujące.

Anna, słuchając tych opowiadań o Zygmusiu, zapominała swych marzeń o Henryku, nie mała się ich wstydziła naówczas. Czuła, że bezpieczniej było kochać siostrzeńca i jemu się całkiem poświęcić, niż marzyć o niemożliwym zamążpójściu, które jej wmawiano i narzucano. Po tych opowiadaniach o Zygmusiu (królowa go w listach Zysiem nazywała) Anna była spokojną, szczęśliwą — gdy nadzieje na Henryku budziły w niej niepokój, rozdrażnienie, niesmak, ból jakiś. Lękała się złego, przeczuwała je.

Król przybył jednego wieczora i pusty zamek natychmiast się ożywił niezmiernie. Francuzi, którzy tylko czując króla za sobą, śmiały się, a w czasie jego niebytności cicho siedzieli, ruszali się teraz gwarno i wrzaskliwie. Z nimi razem przychodziły wieści i zapewnienia, że król postanowił się bawić sam i drugich zabawiać. Villèquier i Tęczyński mieli wydane rozkazy. Na zamku, w ogrodzie na Zwierzyńcu wieczorami muzykę i taniec zaprowadzić miano — król prześlicznie tańcował!

Tęczyński starał się zawczasu namówić królową, aby i ona raz lub dwa prosiła Henryka do siebie, czemu on pewnie rad będzie. Anna milczała jakoś niepewna, ale krajczyna natychmiast zakrzyczała, że koniecznie, dla samej godności królowej należało, aby ona u siebie też przyjmowała. Oddane do przechowania w skarbcu koronnym srebra miano wziąć dla wystąpienia wspaniale.

Królowa musiała, gdy król przybył, trochę znowu o swym ukochanym Zygmusiu zapomnieć, chociaż po opowiadaniu ks. Warszawickiego śnił się on jej tak, jak go później na obrazku sztychowano, klęczący pobożnie z różańcem w rękę i oczyma ku niebu zwróconymi.

Zaraz po powrocie swym na Wawel Henryk stawiał się do królowej z powitaniem, w towarzystwie sędziwego biskupa kujawskiego Karnkowskiego i Jana z Tęczyna.

Nigdy go Anna jeszcze nie widziała tak nadzwyczajnie ożywionym, wesołym, nadskakującym i miłym. Dla niej był on może zawsze nadto niewieście i pieszczono występującym młodzieniaszkiem, któremu powagi brakło, ale wdzięk i urok miał wielki. Tak doskonale odegrywał czułość, do której królowa nie była nawykłą, że nią chwycił za serce. Zdawała się

ona szczerza. Mogłaż przypuścić niewiasta dobrej wiary, aby kto tak umiejętnie, tak zdradliwie kłamać potrafił i świętokradzko uczucia wyrażał, których w sercu nie miał? Wesołość króla, pochwały, jakimi obsypywał wszystko i wszystkich, Annę też w dobry humor wprawiły. Oświadczyła się z gotowością podzielenia zabaw i dopomagania do nich.

— Jest to dla mnie niezbędnie potrzebnym — rzekł Henryk — bo bez pań, bez kobiet żadna w świecie zabawa nie może być wesołą, zawsze jej czegoś braknąć będzie. Towarzyszeki W. Kr. Mości są nam pożądane!

Od tego dnia poczęły się przygotowania. Zapowiedziano cały szereg uczt, wieczornych zabaw przy latarniach w ogrodzie, wyścigów, gier itp. Tęczyński ożywiony biegł, chcąc królowi okazać, iż Polska nie była tak barbarzyńską, jak ją Francuzi sądzili, że i tu także bawić się przyzwoicie umiano.

Wśród tych zaprzątnień czas nadzwyczaj szybko upływał; królowna dawała się porwać temu prądowi i trosk swych usiłowała zapomnieć.

Wtem jednego ranka, gdy Anna z Zosią Łaską w swym pokoju sypialnym spokojnie rozmawiała, radząc jej, jak się na przyszły wieczór ubrać miała, i ukazując jej klejnoty, w które ustroić ją chciała — wpadła Żalińska z twarzą zmienioną, jakby przeleżała, widocznie niosąc jakąś nowinę straszną. Ale że znaną była z gderliwości i dąsania się próżnego częstokroć, nie zrobiło to na królownie zbyt wielkiego wrażenia.

Żalińska, spostrzegłszy Zosię, już otwarte usta zamknęła i chciała się cofnąć, gdy na dany znak Anny Łaska prędko wybiegła do drugiej komnaty.

— Żalińsiu — poczęła królowna — widzę, że z jakąś skargą przychodzisz! Cóż się stało?

Starej ochmistrzyni ręce opadły załamane, łzy miała na oczach. W chwili, gdy się już mówić zabierała, odwagi jej zabrakło.

Anna wstała z krzesła, poruszona trochę, bo ta nieśmiałość Żalińskiej dowodziła, iż coś nadzwyczaj ważnego zająć musiało. Nie zwykła ona była cofać się przed lada czym.

— Żalińsiu moja, mów! Cóż to tam takiego? Ochmistrzyni potrząsała tylko głową.

— A, nieszczęśliwa ty moja sieroto — zawołała — której przeznaczeniem karmić zdradę i niewdzięczników chować na własny srom i zgubę!

— Mówże! Zaklinam cię — przerwała już naprawdę zaniepokojona królowna.

Żalińska się obejrzała dokoła, westchnęła i zbliżywszy się do Anny, półgłosem rzuciła jej w ucho:

— Jak mnie tu żywą widzicie, jak chcę mojego zbawienia... tak... oto przed godziną, tu, w Krakowie, przebraną za mężczyznę widziałam tę niepocziwą Dosię, którą my sądziliśmy już u stryja na Podolu... Ją Francuzi zbałamucili i wykradli tak jak przedtem Zajączkowską.

Oburzyła się królowna.

— Żalińska! Śni ci się! To być nie może... Dosia! Zagłobianka! Ona, ona? Boże miłosier-
ny!

— Tak ona, ta cnotliwa, ta dumna Dosia, która ani mojego syna nie chciała — poczęła Żalińska — ani tego szalonego Talwosza... nikogo.

— Oczy cię zawiodły — przerwała królowna. — Przebrana po męsku! Ona?...

Żalińska uspokoić się starała.

— Wcale mnie one nie zawiodły, a najlepszym dowodem tego — dodała Żalińska — że postrzegłszy mnie, natychmiast uciekła.

— Gdzież to było? — pytała Anna.

— Wysłałam dziś rano na miasto — mówiła ochmistrzyni — miałam różnych rzeczy kupić, bo ich teraz ciągle bez miary potrzeba. Wstąpiłam po drodze do Dominikanów... Kłęczała u ołtarza.

Anna milczała.

— To zagadka jakaś, jeżeli nie omyłka — odparła ostygając. — Zawsze wolę sądzić, żeś się omyliła, niż uwierzyć, że ta pocziwa dziewczyna...

Żalińskiej się usta rozwiązały.

— Ale ja się tego obawiałam od dawna! — zawołała. — Wyście jej nadto wierzyli, zbyt się nią posługiwali. Po całych dniach była w rozmowach i konszachtach z Francuzami. Latali za nią, a i ona za nimi. Któryś z nich jej głowę zawrócił.

Ochmistrzyni coraz się mocniej unosić zaczęła.

— Nieszczęśliwy to dzień i godzina, gdy ci Francuzi do nas zawitali, kłamcy, rozpustnicy, kuglarze. Ja zawsze przeczuwałam, że oni nam nic z sobą dobrego nie przyniosą.

— Zmiłuj się, król, król jest tak szlachetny, dobry — poczęła Anna.

Żalińska się cofnęła na krok i zamachnęła rękami.

— Nie gniewajcie się, królowno — rzekła — jam stara sługa. Tyle on wart, co oni wszyscy... przekonasz się o tym.

Anna odwróciła się, nic nie odpowiadając.

— Jeżeli się to sprawdzi — rzekła — wprost zaniosę skargę do króla, zobaczysz, że mi sprawiedliwość wymierzy. Tymczasem — dodała, uspokajając Żalińską — chociaż rada bym wierzyć, że cię oczy nie omyliły, Żalińska moja, pozwól, abym sprawdziła to, coś mi przyniosła.

— Jak? — przerwała ochmistrzyni ze zwykłą sobie śmiałością. — Tom ciekawa?

Królowna pomyślała trochę.

— Wspomniałaś tego pocziwego Talwosza — rzekła. — Wiesz, jak on w niej był rozmówany. Gdyby nas wszystkich oszukała, jego by nie potrafiła. Spytać go potrzeba, powiedzieć mu, on jeden prawdy dojść może.

Żalińska potrząsnęła głową.

— Mnie się zdaje, królowo moja, że właśnie taka miłość jak jego ślepa jest... ale... A gdzie teraz szukać Talwosza, który się rzadko kiedy pokazuje i odchorował ciężko, że mu Dosię wzięto.

— Każcie się o niego dowiedzieć — rzekła z westchnieniem królowna. — Nie chcę na próżno króla tym męczyć, lecz gdyby się okazało, że istotnie podejdę mi ją wzięto, musi przykładowo winowajców ukarać.

Żalińska powstała chwilę milcząca i szepnęła odchodząc:

— Kruk krukowi oka nie wykole.

— Proszę cię, Żalińska moja — dorzuciła smutnie królowna — o tym wszystkim ani słowa. Wstyd by mi było, a nuż oczy cię twoje zawiodły?

Ruszyła ramionami Żalińska i potrząsnęła głową.

Krajczyzna i przyjaciółki poznały po królownie, iż zmartwienie jakieś miała, lecz wiedziały, gdy się z niego nie zwierzała sama, że jej dopytywać i zmuszać do wyznań nie były powinny. One przyczyny nie umiały odgadnąć tego smutku, bo wszystko w ich przekonaniu składało się jak najpomyślniej.

Poszukiwania Talwosza nie były bezskuteczne, syn Żalińskiej znalazł go w mieście i powiedział mu, że królowna mówić z nim chciała. Nazajutrz rano stawił się Litwin blady, wymizerowany i jak z krzyża zdjęty. Królowna, która chciała otwarcie mu powiedzieć wszystko, widząc go tak zbolalym, zawahała się. Żał jej go było. Poczęła więc od rozpytywania o zdrowie, o zajęcie... a że kasztelan Talwosz²⁷⁶, stryj jego, właśnie był przyjechał do Krakowa, o niego też i o Litwę. Zbliżyła się na koniec i zniżając głos, rzekła:

²⁷⁶ M i k o ł a j T a l w o s z został w r. 1569 mińskim później żmudzkiem kasztelanem; w r. 1565 odznaczył się w czasie wojny w Inflantach, w r. 1570 posłował do Moskwy; zmarł w r. 1579. Przedstawienie autora, jakoby kasztelan Talwosz był stryjem nie znanego z imienia Talwosza, dworzanina Anny Jagiellonki, nie ma oparcia w źródłach.

— Co się to tej pocziwej mojej Żalińskiej przywidziało! Wyobraź sobie, iż wpadła tu do mnie z wiadomością, że Zagłobiankę za mężczyznę przebraną widziała wczoraj u Dominika-nów w kościele. Ale to być nie może!

Królewna spojrzała na Talwosza i jeszcze większy żal uczuła nad nim. Litwin stał blady jak trup, usta mu się trzęsły, oczy latały błędne, odpowiedzieć nie umiał.

— To nie może być — powtórzyła Anna — prawda, Talwoszu mój! Dosia? Ona? Nie! Żalińska Francuza jakiegoś, nie wiem kogo wzięła za nią.

Talwosz milczał, nie zebrał był myśli i nie wiedział, co miał odpowiedzieć. Zdradzić ją, czy ratować? Dał słowo, że jej nie oskarży, lecz gdy raz rzecz była odkryta, miałże kłamać? Dlatego wahał się z odpowiedzią. Przyznać się do tego, że i on wiedział o tym, widział ją, a nie doniósł królowi — nie mógł.

— Miłościwa Królowno — rzekł po bardzo długim namyśle — Miłościwa Królowno, prawdziwie nie wiem, co o tym trzymać. Żalińskiej się często niebywale przywidują rzeczy, lecz oczy ma dobre. Ludzie są źli, a ta gawiedź francuska, z którą ona przystawała...

Nie dokończył. Anna spojrzała na niego.

— Przypuszczasz więc, że mnie drugi raz tak jak z Zajączkowską oszukano? — spytała.

— Powiedziałem już — powtórzył Talwosz — że nie wiem, co o tym sądzić, ale któż to rozstrzygnie?

— Znalesz Dosię, ona... — dodała Anna.

— Miłościwa Pani — wyjąkał Litwin z boleścią. — Znałem ją, prawda, ale od przybycia Francuzów dziwnie się nam ona zmieniła. Przystawała ciągle z nimi. Jeżeli się co stało, nie ją, ale ich obwiniać należy. Dla nich nic świętego nie ma, a z niewiastami się obchodzą, jakby ani matek, ni siostr nie mieli.

Drgnęła królowna.

— Tak ich sądzisz? — przerwała. — Ależ król? Król jest szlachetny, dobry, wszyscy mu to przyznają.

Talwosz, na którego odpowiedź potwierdzającą długo czekała królowna, stał niemy.

— Jeżeli ci się zdaje, iż Żalińska nie zmyśliła — poczęła Anna — mój Talwoszu, postaraj się dosłedzić prawdy. Nie mogę opuścić tej, którą wychowałam od dziecka, a jeżeli jest na drodze zatracenia, ratować ją jestem obowiązana. Okaże się to prawdą, czemu ja wierzyć nie mogę i nie chcę, udam się na skargę do króla. On wymierzy surową sprawiedliwość i ukarze winnego.

Talwosz pomyślał: „Jak zabójcę Wapowskiego”, ale głośno powiedzieć tego nie śmiał. Podniósł oczy, nie rzekł nic. Królowna po namyśle dodała:

— Byłażby tak zuchwałą, tak nieroztropną, aby się tu jawnie w biały dzień pokazywała, gdzie ją zna osób tyle? Gdyby nawet przypuścić można najgorsze, sądzę, że wstyd i sromu choć trochę zachować musiała. Spodziewam się, mój Talwoszu, że ty potrafisz dojść, czy w tym jest co prawdy.

Litwin stał zamyślony.

— Miłościwa Pani — rzekł. — Gdyby się okazało, że niepocziwi ludzie ze słabości jej i łatwowierności korzystali, ja nie wiem, czy co na to poradzić dziś można. Zanieść skargę do króla, znaczyłoby ją okryć niesławą.

— Tego, co ją uwiódł, zmusimy, aby się z nią żenił — dodała królowna.

Skłonił się Talwosz i chciał odchodzić. Anna mu rękę podała do pocałowania.

— Biedni my jesteśmy, którzy w niegodziwości serca ludzkiego uwierzyć nie chcemy, aż one nam się czuć dadzą!

Pierwszych dni czerwca wieczorem król zapraszał na zabawę z tańcami do ogrodu przy Zwierzyńcu.

Mówiono już od dawna o tym festynie, na który i królowa ze swym dworem, i wiele pań, żon senatorów, i co było dostojniejszych w Krakowie gości wezwanych było. Ogród miał być wspaniale lampami oświetlony, muzyka przygrywać w zielonych, dla niej umyślnie pobudowanych szalasach. Dla pań i starszyny stały szeregami przygotowane ławy, kobiercami pokrywane. Stoły wśród starych lip i grabów ugięły się od sreber. Allemani z kuchnią pracowali od dwóch dni, bankiet gotując godny ust królewskich.

W całym mieście nie mówiono o niczym, tylko o tym wieczorze królewskim, a że i królowa się na nim znajdować miała, nadawano mu takie znaczenie, iż miał być wesela zapowiedzią. Nie inaczej go sobie tłumaczyły przyjaciółki królowej.

Przystęp do ogrodu nie dla wszystkich był wolnym, bo i płoty, i straż od nacisku gawiedzi broniły; pomimo to z miasta płynęli ciekawi gromadami, radzi się przypatrzeć choćby przejeżdżającym kolebkom i z dala oświetleniu ogrodu.

Wieczór obiecywał się piękny, a choć dzień czerwcowy był gorący dosyć, ku zachodowi słońca zapowiadając pogodę ochłodziło powietrze, lekki wietrzyk powiewał ze wschodu.

Wiosna była w całym swym blasku, z całym wdziękiem, jaki miewa w krajach ku północy posuniętych. Drzewa, trawy, kwiaty, wszystko śpieszyło z ciepła korzystać, rozwijając się bujnie, rozlewając wonie dokoła. Słowiki w krzewach niezliczone pieśniami swymi napępiały powietrze, które o tej godzinie przerywały krzyżujące się stada ptaków, gromady wesołych jaskółek, sznury ciągnących na noclegi kaczek i pojedyncze ptactwo wybiegłe z gniazd na żer wieczorny. Naprzeciw słońca, jak siatka złota, kręciły się w słupy zbite jednodniowe muszki, cieszące się życiem, które jutro utracić miały.

W mieście dzwoniono na pacierze wieczorne, ale nawet głos dzwonów w tej wiosennej atmosferze rozplątywał się z jakąś błogą tęsknotą, która w sobie miała pociechę i nadzieję.

Niebo wypogodzone, z jednej strony całe zdawało się złote, z drugiej ciemniało i przechodziło w barwę niebieskawą. Nie było na nim chmur, a kilka obłoczków białych, cudownie w oczach malejąc, nikły i roztopiały się na tym ognisku.

Z miasta pieszo po większej części śpieszyli ciekawi, nastroszeni tak wesoło, jak na ten dzień przystało. Witano się wołaniem, pozdrawiano, a gdy środkiem gościńca wiodącego ku Zwierzyńcowi pokazali się konni lub kolebka, wszystkich oczy zwracały się na królewskich gości. Ściągali się oni powoli, jak kto chciał, bo godzina wyznaczona nie nadeszła była jeszcze i ci, co się lepiej umieścić chcieli, wyprzedzali drugich. Spodziewano się ścisku. Gawiedź, między którą i majątniejszych mieszczan było wielu, miała na co patrzeć.

Nie lubiono Francuzów, wyśmiewano ich chętnie, staczano z nimi bójki, lecz przypatrywano się im ciekawie, bo i strojami, i obyczajami nie byli podobni nawet do Włochów, z którymi w Krakowie się dawno obyto.

Dwór Henryka cały odznaczał się nadzwyczajną elegancją, a charakter jej był niemęski i stroje zdawały się raczej dla kobiet niż dla mężczyzn powymyślane. Kaftany jedwabne z tkanin przetykanych złotem, szyte i pikowane tak, że do sukien i staników kobiecych były podobne, suknie pełne rozporków (*creves*), z których różnych barw bufowanie i wstążki wyglądały, opięte spodenki i pończochy, włosy niezmiernie kunsztownie trefione, bielizna i koronki, klejnoty i pióra, rycerzów wcale nie znamionowały.

Najmłodsi z ulubieńców króla szczególnie, którzy piersi mieli na pół odsłonięte i obnażone, a przybierali ruchy dziewczęce, obudzali u ludu śmiechy i wykrzyki zgrozy. Wszystko w nich aż do szpadek cienkich i nożyków u pasa wydawało się zamaszystym Polakom dziwacznym i śmiesznym. Pokazywano sobie lalki te palcami i nadawano im obelżywe nazwiska. Ale Francuzi byli tego dnia w tak wesołych humorach, tak hardzi sobą, że się tego albo nie domyślali, lub o to nie dbali.

Gdy po tych niewieściuchach ukazał się potem który z polskiej młodzieży po polsku lub z węgierska odziany, zdrów, silny, barczysty, w sukni świetnej, a okrywającej go tak, że piękna postać stawała się wydatną, okrzykiwano swoich wesoło. Polacy też w najrozmaitszych ubraniach się pokazywali, a na wytworności im nie zbywało. Począwszy od koni, do panów i czeladzi, niczego się nie można było powstydzić.

Kolebki pań wspaniale też wyglądały ze swym obiciem szkarłatnym, ze złożonymi słupkami, z zaprzęgami od złota, czubów i malowanych grzyw i ogonów. Czeladź towarzysząca godną była panów. A wszystko to rumiane, zażywne, zdrowe, gdy Francuzi przy nich wymogli wyglądali, bladzi i słabi.

Francuskich kobiet, choć o nich wiedziano w mieście, tu na okaz i porównanie nie było wcale, więc ich ze swymi porównywać nie mogli patrzący, ale własnymi się cieszyli, bo i matrony, i dziewczęta jaśniały powagą i krasą, a ubraniu ich chyba zbyt ni przepych zarzucić było można. Okryły się klejnotami, które pokolenia pokoleniom zostawiły w spadku, a i tkaniny sukien świeciły złotem, srebrem lub bogatym pereł naszywaniem.

Króla z zamku nie było jeszcze. Spóźniał się on zawsze, dziś zaś przybyły do Sederyna posłaniec z Paryża z listami pilnymi wstrzymać go musiał.

Tymczasem uprzedzając go, jechała z fraucymerem swym królowna Anna, a ludziska ją znajdowali wcale jeszcze przystojną i hożą, nie tak starą, jak jej lata mówiły. Jechała w złoto-głowie i klejnotach, z wianuszkim na czółku, ale taka smutna jakaś, gdyby nie na tańce, ale na pogrzeb siwe konie ją ciągnęły. Przy niej paziowie strojni, straż jej przyboczna, urzędnicy i cały wieniec panien, i cały zastęp poważnych matron.

Lud witał ostatnią z Jagiellonek, a ona mu pokłonami odpowiadała.

Na ostatek szmer z dala nadjeżdżającego króla zwiastował. Tłum z większą jeszcze może ciekawością podbiegł mu się przyglądać niż swej infantce, ale z usposobieniem wcale różnym. Śmiano się, pokazywano palcami, przedrzeźniano postawy i miny Francuzów, ich ruchy wymuszone. Wybuchy były śmiałe, poszanowania żadnego.

Henryk niewiele na to uważał, jechał wystrojony, w kapelusiku dziwnej formy, obwieszonym sznurem pereł, śmiejąc się do swych towarzyszków, przebierając rękami i okazując humor tak wyśmienity, jakby całe go nie obchodziło, co się wkoło niego działo. Nie mógł z pewnością nie wiedzieć, że lud pospolity drwi sobie z niego, bo towarzysze czuli to dobrze i niektórzy z nich złośliwie zaciskali usta i podnosili pięści.

Cała ta kawalkata²⁷⁷ przemknęła szybko i znikła, wjeżdżając do ogrodu, u którego bramy zatrzymały się kolebki i konie, i czeladź od powozów z nimi.

Wewnątrz przygrywały już muzyki skoczne tańce, których ich nauczono, po większej części włoskie, więc w Polsce znane od czasów Bony.

Ogród w miarę, jak się na dworze ściemniało, nabierał uroczego jakiegoś wdzięku, który mu nadawały fantastycznie rozrzucone światła i cienie, grupy malownicze mężczyzn w strojach najrozmaitszych, kobiet połyskujących od klejnotów i powiewnych tkanin. Wszyscy musieli to przyznać Francuzom, że zabawy pięknie dla oczu urządzać umieli i nie żalowali nic na to. Opony, kobierce, całe postawy drogiego sukna wyścielały ziemię, gdzie było potrzeba, oddzielały ścianami jedwabnymi, u gałęzi drzew poprzywieszanymi, jedne do tańca przeznaczone szranki od drugih. Nie brakło też masek i przygotowanych figur poprzebieranych za jakieś mitologiczne postacie.

Król wszedłszy zaraz, a dowiedziawszy się, iż go królowna poprzedziła, pośpieszył ją powitać jak zawsze z nadskakującą grzecznością i poszanowaniem. Poprowadził ją potem po ogrodzie, pokazując oświetlenie, które właśnie pośpiesznie zapalać kończono. Od jednych drzew do drugih sznury latarń błyskały różnobarwnymi światłami; były to jakby wieńce kwiatów jakichś, których kształt przybierały.

²⁷⁷ k a w a l k a t a (z wł.) — orszak konny

Muzyki odzywały się wśród zielonych gałęzi rozkwitłych czeremch.

Na jednej z najpiękniejszych łąk wśród ogrodu, otoczonej starymi drzewami, wznosiły się srebrami zastawione kredensy, całe połyskujące, a kilka ogromnych stołów czekały tu na gości. Włoska *colazione*²⁷⁸ była gotową.

Król naprzód na nią królownę i jej panie zaprosił, a inni Francuzi poszli resztę zaproszonych gości pozbierać. Z wyjątkiem duchownych, którzy nie przybyli na tę zabawę wieczorną, senatorowie znajdujący się w Krakowie w niewielkiej liczbie, dwóch panów Zborowskich między nimi, siła majątnej szlachty i urzędników, wszyscy stawili się na królewskie wezwanie.

Przy wieczerzy król był w tak nadzwyczaj wesołym humorze, tak ożywiony jak nigdy. Zdawał się szczęśliwym, a był tylko gorączkowo niespokojnym. Wiadomości z Francji odebrane upoiły go, poruszał się, śmiał, szalał, aby nie wydać z tym, co nosił w sobie.

Po wieczerzy miały rozpocząć się tańce. Francuskim obyczajem otworzyć je miał poważny, ceremonialny *pavanne*, który i królownie Annie był znany. Mogła go, nie naruszając powagi swej, przetańczyć z królem, a za nimi poszły inne pary. Prowadząc z wolna Annę, przyznał się jej Henryk, że lubił bardzo taniec, ale skoczniejszy i żywszy. Na co mu odpowiedziała, że dawno już z powodu żałoby i osamotnienia nie tańcząc, i zapomniała tych tańców, i nie mogła w nich uczestniczyć.

— Będę się przypatrywała — dodała królowna — a to mi zrobi wielką przyjemność. Proszę więc, abyś W. Kr. Mość zabawiał się wedle upodobania, wcale nie zważając na mnie.

Król zdawał się tylko czekać na to upoważnienie i po pawannie, odprowadziwszy Annę na miejsce, które wśród starszych pań zajęła, sam bardzo żwawo począł z Francuzikami następne tańce przygotowywać. Wszyscy ich byli ciekawi, bo ci, co króla z jego przyjaciółmi w posuflszych towarzystwach widywali popisującego się, wiele opowiadali o zręczności, gibkości i wdzięku, z jakim żaden się z jego dworu ani mógł równać. Po pawannie już pewne powziąć było można wyobrażenie o tym z odtąnczonego włoskiego *corrente*, znanego pod tym nazwiskiem na polskim dworze, którego Francuzi nazywali po swojemu *courante*, a Hiszpanie *segidyllą*. Brakło tylko Francuzom kobiet, które by im równą wprawę miały w tych skokach.

Henryk zdawał się całą duszą oddawać tej rozrywce, co na panach senatorach niemal przykre czyniło wrażenie. Było w tym coś majestatowi królewskiemu uwłaczającego.

Tańczący w chwilach wolnych uciekali się do kredensów, na których stały pełne ciagle, weneckiego szkła puchary, i wychylano je obficie. Król też pił dużo. Twarz mu się zarumieniła, oczy zaczęły przyświecać.

Po kurancie, w którym panny polskie nadto poważnie i skromnie się znajdowały, nie dając zbyt Francuzom rozbrykać, zażądał król cos weselszego, szaleńszego, a że panny przelekłe oświadczyły, iż tańców obcych nie umieją, nastąpiły narady, szept, śmieszki, bieganie poza krzewy, zwoływanie się i zamiast kobiet przybiegli młodzi paziowie Henryka, Francuzi, ale postrojeni tak, że nie wiedzieć, za co ich brać należało: za kobiety w strojach męskich czy mężczyzn, wpół na kobiety przerobionych. Chłopaki młodziuchne mieli włosy długie, trefione, w puklach puszczone na ramiona, piersi na pół obnażone, a kaftaniki ich i spodniki kroju były niezwykłego. Mieli oni zastąpić brak tancerek. Zmarszczyło się kilka poważniejszych twarzy, lecz była to fantazja królewska, czemu się nie miał zabawić?

Zagrała muzyka popularną farandolę, taniec z południowej Francji rodem. Miał on wszystkie cechy gorącego kraju, z którego pochodził, ruchy i figury trochę czasem nadto swobodne raziły, lecz jeszcze to uchodziło. Król dokazywał strasznie w farandoli, podskakiwał, wyginał się, tupał, rękami i mimiką nadrabiał. Śmiał się i jak dziecko tym bawił.

²⁷⁸ c o l a z i o n e (wyraz włoski, wydrukowany w pierwodruku mylnie przez dwa „l”) — śniadanie, podwieczorek; nie oznacza wieczerzy (kolacji)

Patrzyła królowna Anna zdumiona a smutna. Wesołości tej mimo woli podzielać nie mogła, niepokoiła ona ją. Spuszczała oczy niekiedy zawstydzona i wzdychała, lecz wkrótce ciekawość podnosiła powieki. Tłumaczyła sobie swą bojaźliwość przesadną, długim osamotnieniem zrodzoną. Wiodąc życie na pół klasztorne, nie dziw, że do takich zabaw swobodnych nie była nawykłą. Panie jej dworu odwracały oczy, nie śmiejąc się odzywać.

Farandola, coraz nabierając większego ognia, szaleńsza coraz ku końcowi, skończyła się nareście.

Noc już była nadeszła i gwiazdy na czarnym tle jej połyskiwały. W całym ogrodzie niezmiennie było wesoło, starsi pili i nucili, młodzież podzielona na grupy tańcowała. Muzyki najpocieszniej, z dala słyszane, sprzeczały się z sobą.

Chwilę ledwie odpoczynku dozwolono sobie po nużącej farandoli, a król naglił, ażeby czasu nie tracić. Tańczono spokojniej już nieco sarabandę dla spoczynku, ale głosy ożywione Francuzów domagały się *branles*, tańca, o którym powiadano, że bardzo rozmaicie bywał wykonywany, a wymagał wielkiej zręczności i siły. Domyślano się czegoś szalonego i królowna szeptała krajczynie, że mogłyby wstać a przejść się po ulicach. W istocie raziło ją to pospolitowanie się króla, jego trzpiotanie i ruchy, które się niezbyt przyzwoitymi wydawały... Wołała na to nie patrzeć.

Lecz zamiast tego straszego *branles* zaczęto grać i tańczyć znośnego i dosyć spokojnego gawota, a król, z pewną przesadzoną powagą, był w nim bardzo zabawny.

Zacna pani Łaska westchnęła i szepnęła:

— Ale kto by się domyślał, że to król!

I on sam, i ci, co z nim skakali, rzeczywiście zdawali się o tym zapominać.

Po gawocie Anna, która z przykrością się przypatrywała tańcom, szepnęła powtórnie towarzysze, iż chętnie by się przeszła, że za długo już siedziały. I w momencie, gdy następujący taniec się układał, królowna z towarzyszką i nieodstępnym ochmistrem Konieckim wstała po cichu, niepostrzeżenie wymykając się poza ściany jedwabne tego salonu, w którym król pozostał.

Długo nie mogły mówić nic i nie wiedząc dokąd, pustą uliczką, poczęły iść dalej, tam gdzie się druga muzyka odzywała. Obie z pewnością myśli miały jedne, lecz smutno dzielić się było nimi.

— Śliczny wieczór — odezwała się Łaska — a i festyn też, nie można powiedzieć, z królewską wspaniałością urządzony.

— Tylko — westchnęła Anna cicho — król nadto dobry i zbyt się z sobą spoufalać daje. Trudno mu potem będzie powagę swą utrzymać.

Łaska pomyślała chwilkę, musiała go bronić.

— Młody jest — rzekła — no i nie zawsze się może rozerwać. Co dziwnego! Spoważniej on rychło.

Szli tak dalej. Wśród drugiego koła drzew część Francuzów, której gorsza muzyka przygrywała kuranta, zwijała się ochoczo. Tu, oprócz tancerzy, kupa ludzi ciekawych przypatrywała się zabawiającym.

Królowna z Łaską, podszedłszy cicho, stanęły także nieco opodal w cieniu, skąd skaczące pary dobrze widać było. Nagle z piersi Anny wyrwał się okrzyk wpředce stłumiony, potrafiła jakby przestraszona krajczynę i nic nie mówiąc, ręką drżącą ukazała jej na prawo. Oczy pani Łaskiej, idąc w tym kierunku, zatrzymały się na młodziku stojącym niedaleko, który płaszczem otulony, w berecie z piórem na głowę ułożonym od niechcenia, przypatrywał się także tańczącym. Krajczyna, zobaczywszy go, o mało nie wykrzyknęła także. Nie chciała wierzyć oczom swoim.

Gdyby nie strój męski, powiedziała by, że miała przed sobą Dosię Zagłobiankę. Królowna, chwilę się tylko zawahawszy, już z krajczyną do tego zjawiska miała się zbliżyć, gdy Zagło-

bianka (ona to bowiem była) obejrzała się, poznała Annę, rzuciła się jak szalona w zarośle i znikła.

Królowna długo stała, nie mogąc się z miejsca poruszyć.

— Widziałas ją? — zapytała towarzyszki.

— Widziałam kogoś nadzwyczaj podobnego do Dosi — zawołała Łaska.

— Ale to ona sama — odparła, ręce załamując, królowna. — Nie ma wątpliwości! Posądziłam biedną Żalińską, że się jej to przywidziało. Niestety! Boże mój... ta dziewczyna biedna.

I Anna oczy sobie zakryła.

— Królowo moja — przerwała Łaska — byćże to może!

— Na świecie, na świecie — odpowiedziała królowna smutnie — wszystko, co złe, być może. Chodźmy stąd.

Krajobraz, widząc wielce rozżaloną panią, ani jej pocieszać już, ani chciała o tym przedłużyć rozmowy. Zawróciły się obie nazad tą samą drogą ku miejscu, z którego wyszły, i prawie milcząc, zbliżyły się ku niemu. Ale Anna nie myślała już zająć siedzenia i zatrzymała się nieco opodal, skąd króla mogła widzieć tańczącego.

Muzyka grała wolte, taniec włoski, który we Francji musiano inaczej jakoś i śmielej daleko, a mniej przystojnie wykonywać. Król, który już wprzód sobie bardzo swawolnych ruchów pozwalał, widząc, że królowna odeszła, i sądząc może, iż widzieć go nie będzie, a lekceważąc pozostałe starsze panie i panów, nie miał już wcale miary i zapomniał wszelkiej przyzwoitości.

Anna stała osłupiona tym, na co oczy jej padły. Henryk tańczył w parze z młodym chłopczkiem, zastępującym dziewczynę, i odegrywał z nim scenę miłosną tak bezwstydnie, tak zuchwale, tak rażąco, iż niektóre z kobiet porwały się z ławek, oczy sobie zakrywając i rozbiegając się na wszystkie strony. Jak skoro jedna się z nich ruszyła, na dany znak spłoszyły się inne, ławki wywracać zaczęto, krzyki się słyszeć dały. Uciekał, kto mógł.

Króla ani jego tancerzy wcale to nie powstrzymało, owszem, jakby na przekorę, z szalem jakimś dzikim, podśpiewując, zaczęli się obejmować, całować, ściskać i taniec przeszedł w nie dającą się opisać scenę, od której królowna też co żywiej uciekać poczęła, a nie uspokoiła się aż w bocznej uliczce, na której wiele pań z jej towarzystwa przestraszonych się znalazło. Serce jej biło, twarz oblewał wstyd i ból czuła niewypowiedziany.

— Łasiu moja — odezwała się głosem drżącym — proszę ja ciebie, gdzie jest Koniecki? Mnie słabo, czuję się niedobrze, wracajmy na zamek.

Koniecki był o kilka kroków.

— Żalińska z pannami, jeśli chcą, mogą pozostać dłużej, ja powrócę, głowa mnie boli; nie wiem, co mi jest. Możemy bocznymi uliczkami do powozów się dostać.

Z pomocą Konieckiego i dwóch dworzan, którzy się szczęśliwie znaleźli, królowna, unikając tych miejsc, w których brzmiała muzyka, przesunęła się nie postrzeżoną ku wrotom. Tu, oprócz niej, wiele pań także starszych podążyły już, zmieszane i skłopotane, dłużej się tym tańcom nie mogąc przypatrywać. Młodzież tylko przystała.

Widok Dosi, potem to szaleństwo króla, które tak boleśnie dotknęło królownę, przejęły ją i strapiły niezmiernie. Popłakując w milczeniu, razem z wdychającą krajobrazem dostały się do zamku.

Ale królewskiej zabawy ta ucieczka większej części pań nie przerwała. Francuzi oswobodzeni po odjeździe królownej rozpoczęli dopiero dokazywać, wcale się już nie troszcząc, co ludzie pomyślą i powiedzą. Henryk im do białego dnia dotrzymywał i dopiero prośby usilne Tęczyńskiego, który chodził skłopotany wielce, skłoniły go, że się udał na spoczynek, gdy już jasno było i słońce wstawać miało.

O tym wieczorze królowna mówić nie mogła i nie chciała, lecz z jej posępnego milczenia widać było, że go mocno wzięła do serca. Około południa, przypomniawszy sobie Dosię, kazała zawołać Talwosza. Litwin na wieczornej zabawie nie był, bo wszelkich takich gromadnych a hałaśliwych rozrywek unikał.

— Nie masz się już co trudzić — odezwała się, gdy przyszedł — ja wczoraj na moje oczy, sama widziałam po męsku przebraną Dosię. Nie myliła się Żalińska.

— Gdzie? — zawołał przerażony Talwosz, — A, na tym wieczorze w ogrodzie królewskim — odpowiedziała królowna. — Nie spodziewała się pewnie, ażebym ja tam się przechadzała. Spotkałam się z nią z bliska.

— Kiedy tak — rzekł Litwin po krótkim namyśle — nie mam i ja już co przed W. Kr. Mością ukrywać. Widziałem ją też i ja, a co więcej, mówiłem z nią.

— A! — zakrzyknęła Anna, zbliżając się ciekawie. — Mówiłeś z nią, powtórzże mi... co ci powiedziała?

— Nicem z niej nie wybadał — począł Talwosz — miarkuję tylko, że wcale szczęśliwą nie jest. Sama zeznaje, iż się zgubiła, ani chce się uniewinniać, ale ratować się nie daje. Płakać mi się chciało po tej z nią w Niepołomicach rozmowie.

— Ale któż winowajca? Kto? — przerwała żywo Anna. — Gdybym wiedziała, udałabym się do króla dla pozyskania sprawiedliwości.

To mówiąc, królowna przypomniała sobie wczorajszy wieczór, tego króla, w którego sprawiedliwości pokładała nadzieję — zarumieniała się i zamilkła.

— Nie mogłem się od niej o nikim dowiedzieć — odparł Talwosz — tyle tylko wiem, że w Niepołomicach mieszkała na zamczku, więc ktoś ją tam ze sług króla umieścić musiał.

Anna nie przeciągała tej rozmowy. Talwosz odszedł.

Zniknięcie prędkie królownej z ogrodu musiało króla uderzyć — wiedział czy nie, iż na tanciec jego patrzyła — ale nazajutrz wysłał do niej Tęczyńskiego z pozdrowieniem, a może dla wybadania. Królowna po rozmyśle znalazła właściwszym tak postąpić, jak gdyby świadkiem wybryków nie była. Krajczyna już z rana usiłowała niemal uniewinnić tym Henryka, że królownej nie widział, że może napił się trochę. Młodemu coś trzeba było przebaczyć. Anna musiała zamknąć w sobie, co czuła, i milczeć.

Tęczyński dopytywał królownej o zdrowie, o które król był troskliwy, i przypomniał w jego imieniu, że Anna przyobiecała zabawę jedną przynajmniej sprawić im na pokojach u siebie. Zmieszalo to żądanie Annę, która się namyślała długo.

— Powiedzcie N. Panu — odparła — iż rada bym go przyjąć u siebie, ale nie wiem, czy się u mnie tak ochoczo bawić będzie jak wczoraj. Rachuję się z czasem — dodała — i widzę, że przed czternastym tego miesiąca trudno mi będzie się przygotować. Na czternasty więc prosić będę.

Chciał już z tym oddalić się pan podkomorzy, gdy królowna po krótkim namyśle wstrzymała go.

— Mam do was prośbę, hrabio — rzekła, spuszczać oczy — ale to tak drażliwa i przykra okoliczność, że mi ciężko nawet powiedzieć i przyznać się do niej. Słyszeliście pewnie, jak za życia mojego brata niegodziwie z mojej dobroduszości korzystano, biorąc mi Handzię Zajączkowską. Powtórzyło się to, niestety, z małą odmianą. Miałam przy sobie wychowaną, do której sercem całym byłam przywiązana, Dosię Zagłobiankę. Śliczna była jak rozkwitła różyczka polna, a rozumna i stateczna na podziw. Któż by to był mógł przewidzieć? To dziecko któryś z Francuzów mi zbałamucił i w najniepoczciwszy sposób oszukano mnie, ją porwano. Ona jest tutaj. Kryje się, a tak niezręcznie, iż i moi słudzy, i ja nareście sama widziałam ją po męsku przebraną.

Tęczyński słuchał, okazując coraz większy frasunek.

— Muszę prosić króla o sprawiedliwość — dodała Anna. — Co się stało, niepodobna zmienić, lecz niech się winowajca żeni takiego zgorszenia nie można puścić bezkarnie.

Podkomorzy schylony, zadumany, zdawał się przemyślać nad odpowiedzią.

— Nie wiadomo, kto się tego dopuścił? — zapytał.

— Ja nie wiem — rzekła królowa — ale król z łatwością się potrafi dowiedzieć o tym.

— Lękam się — odparł cicho Tęczyński — aby winowajca nie był zbyt wysoko położony. Król wielu ze swoich Francuzów oszczędzać musi, nie nad wszystkimi ma władzę. Sprawa ta wymaga wielkiej oględności, ale mogę W. Kr. Mości zaręczyć, że się będę starał ją wyświecić.

W mowie pana podkomorzego czuć było, iż rad się chciał sianem wykręcić z tego, co mu narzucano.

Anna rozpoczęła skargi jeszcze, posłuchał ich cierpliwie i odszedł, ponawiając zapewnienie, że uczyni, co tylko będzie w mocy jego. Królowa wiedziała, że spełniła, co było jej obowiązkiem.

Po odejściu Tęczyńskiego natychmiast się trzeba było odwołać do Konieckiego, do Żalińskiej, do wszystkich sił dworu dla przygotowania wieczoru, naznaczonego na czternasty. Czasu stosunkowo nie pozostawało wiele, a Anna tak była mało przywykłą do przyjmowania licznych gości, do wystąpień wspaniałych, musiała tu tyle osób zapraszać, tyle uczynić przygotowań, iż w głowie się jej zawracało. Nadzwyczaj dbała o utrzymanie powagi swej i dostojności chciała wytwornością przyjęcia nie być upośledzoną i nie wstydzić się przed ludźmi. A ona sama, jej dwór tak z dawna byli przywykli do jak najprostszego życia, do oszczędności i skromności. Znowu więc ze skarbcza trzeba było srebra odbierać, opony zawieszać, kobierce ściągać, których oszczędzając, chowano je także. Służba też nie starczyła, a kuchmistrza musiała od króla pożyczyć, bo nie miała takiego, który by popsutym gębom pieszczonych Francuzów mógł dogodzić.

Zakłopotala się niemal do łez królowa.

Tymczasem krajczyna, która dotąd się nie chciała wyrzec nadziei ożenienia Henryka z Anną, uszczęśliwioną była tą nową oznaką jego... czułości. Tak ona to nazywała. Zbliżał się, starał widocznie o łaski, żywił tę myśl, która zresztą należała do zobowiązań. Łaska i inne panie, idące za jej przykładem, tak uparcie w tej wierze trwały, że niekiedy sama nawet królowa dawała się nią uwieść.

Pytała tylko siebie samej często, czy małżeństwo to dobrym by było, czyby szczęśliwym być mogło? Najczęściej łzy na to odpowiadały i niepewność wielka. Tak młody, tak płochy — można się było po nim przywiązania spodziewać? Im lepiej go poznawała, tym bardziej powątpiewała o tym. Wreście z rodzajem rezygnacji zrzekła się własnej woli, mówiła w duchu: „Stanie się, co Bóg da, co przeznaczył! Nie władam sobą, należę do kraju, każą mi do ołtarza iść z nim, pójdę. A potem... Stań się wola Twoja.”

Rzadko myśl weselsza rozjaśniła te ciemne obłoki przeczuć trwożnych; a pociechą najczęściej było wspomnienie Zygmunta, który wydawał się jej przybrany dziecięciem, jej jakby własnym. Dlaczego nie myślała przybrać sobie swojej imienniczki Anny, siostry jego? Cemu ona ją mniej daleko obchodziła? — Nie wiedziała sama. Z dala, za mgłami śnił się jej czasem tron Polski dla siostrzana. Dla niego byłaby się zrzekła chętnie praw swoich. On by krew jagiellońską znowu wprowadził tu na długie wieki.

We wtorek czternastego czerwca od rana biegano w zamku, przygotowując ów zapowiedziany wieczór u królowej. Cały fraucymer trefił włosy i przysposabiał stroje, służba była na nogach, Żalińska i Koniecki ochrypli oboje, a Anna siedziała w sypialni smutna, bo jej serce nic już sobie nie obiecywało w przyszłości. Krajczyna musiała dla niej sama obmyślać ubiór i na próżno dopytywała o zdanie, królowa uśmiechała się obojętnie.

— Wszystko to jedno — odpowiadała przyjaciółce — jakkolwiek się ubiorę, nie będę ani młodszą, ani piękniejszą. Nie troszcz się tak bardzo o mnie, a pomóż raczej, abyśmy wstydu nie zrobili pamięci moich rodziców, imieniowi królewskiemu. Francuzi są do wspaniałości i rozrzutności nawykli, nasz obyczaj prostszym był zawsze, lękam się, aby nas nie wyśmiewali!

Oburzała się Łaska na samo to przypuszczenie — jej wydawało się wszystko bardzo pięknym i smakownym.

Anna nalegała, ażeby niczego nie żałować, i gotową była, pomimo wielkich wydatków, wyłożyć ostatni grosz dla czci swojego domu.

Pokoje też królowej, która sprosiła i przyjaciół, i tych, co jej niechętnymi byli jawnie, jaśniały nad wieczór całym przepychem pozostałości po Bonie i Zygmuncie Auguście. Królowa matka, chociaż bardzo wiele wywiozła z sobą, uchodząc z Polski, pozostawiła jednak dużo sprzętu, którego zabrać było niepodobna. Zygmunt August kochał się w rzeczach pięknych, więc tkanin, kobierców, sreber nie brakło, a wspaniałe komnaty nadawały się do przystrojenia nimi.

Nie zbywało też na pięknych twarzach we fraucymerze królowej, i gdy wieczorem zebrano się całe grono gości, nie było się czego wstydzić — Anna mogła z dumą spojrzeć na swój dwór i grono ludzi najdostojniejszych, które ją otaczało.

Król nadszedł dosyć późno, z tą samą wdzięczną i wesołą twarzyczką, którą zawsze tu przynosił, starając się przypodobać królowi. Dlaczego tego dnia właśnie kłamany uśmiech i uprzejmość nie uczyniły miłego wrażenia na niej i ani na chwilę nie złudziły? Anna nie wiedziała sama. Od tego wieczora, gdy Henryka szalejącym w tańcu widziała, wstręt jakiś ku niemu czuła i obawę. Wydawał się jej tak fałszywym i przewrotnym, jak był w istocie. Wyrzucała to sobie, a powściągnąć się nie mogła.

Tańce, od których Anna chciała się zupełnie wymówić, tak przykre one obudzały w niej wspomnienia, musiała rozpocząć pawannem z Henrykiem, który, zdaje się umyślnie, starał utrzymać poważnym bardzo. W oczach tylko jego czasami błyski jakiejś ironii przelatowały jak ogniki błędne.

Od dalszych tańców stanowczo się wymówiwszy, królowa zajęła się swymi obowiązkami gospodyni, zasiadłszy pomiędzy starszymi paniami.

Król wielce ożywiony nie przestał skakać, wziął Zosię Łaskę, zapraszał inne panie do znanego im kuranta i gawota, ale znajdował się ciągle wstrzemięźliwie i nader przyzwoicie. Dnia tego nic mu zarzucić nie było można, a wdzięk, z jakim występował w tańcu, zwracał głowy, bo nie można było mu zaprzeczyć układności, zręczności ruchów i sztuki przypodobania się.

Do późna w noc przy odgłosach muzyki tańczono w salach jednych, w drugich biesiadowano i zabawiano się rozmową.

Nade dniem dopiero cofnął się król, uprowadzając z sobą Francuzów, i goście wszyscy rozjeżdżać się zaczęli.

Infantka Panu Bogu podziękowała, odchodząc ostatnia do sypialnej komnaty.

— Łasiu moja — mówiła do przyjaciółki — powiedz mi? Prawda? Wszystko się nam powiodło? Nie zabrakło nic? Nie potrzebujemy się wstydzić? Nieprawdaż?

— A, królowo moja — odparła krajczyna — żaden festyn się tak jak ten nie udał. Ludzie podobnego nie pamiętają. Król nazajutrz w dziedzińcu pod oknami naszymi — dodała uśmiechając się — ma biegać do pierścienia. Niechże królowa moja nie zapomni wyjść na galerię do łoża, aby się jego zręczności przypatrywać i przyklasnąć, boć to on dla was czyni.

Anna poruszyła ramionami i odparła:

— Poczniemy wieczorne modlitwy.

Piętnastego w istocie Henryk i inni Francuzi zapowiedzieli bieganie do pierścieni, ćwiczenie, w którym celowali. Uczyło ono celnego władania kopią, ale w Polsce zabawę tę mniej ceniono i jak mówił stary Bieliński, wolano silną niż wydelikacaną, a zręczną dłoń u rycerza.

Król jak zazwyczaj długo na dzień zasnął i nie wyszedł na pokój aż po dziesiątej.

Tęczyński, który się zaledwie zdrzemnął, był już na zawołanie od dawna. Ze wszystkich Polaków pan podkomorzy najmiłszy był królowi, a i on też króla uwielbiał; a przywiązał się do niego z zaślepieniem takim, że w nim samo dobre widział. Przy hrabi Janie królowi nie zarzucić nie było można, tak gorąco stawał w jego obronie i gotów był o najmniejszą obrazę cześci Henryka krew przelewać. Przez całe dni Tęczyński go nie odstępował, starając się przewidywać i uprzedzać wszelkie króla życzenia.

Przed dniami kilku podkomorzy miał przyjemność obdarzyć go bardzo pięknym koniem, wschodniej krwi, który się Henrykowi podobał. Jak z tym koniem, tak z każdą inną królewską zachcianką postępował, starając się ją zaspokoić bodaj największym kosztem.

Za tę miłość król wprawdzie płacił mu uprzejmością wielką, przywiązał go do swej osoby, dawał widoczne pierwszeństwo, ale wcale do swych tajemnic, do tego, co się w głębi serca działo, nie przypuszczał. Kłamał tak przed podkomorzym, jak przed innymi Polakami, a do swych zabaw z Francuzami nie zapraszał go, krył się z nimi.

Blady i zmęczony wyszedłszy z sypialni król powitał Tęczyńskiego pytaniem, czy kto nie przybył z Francji. Ostatnie przed dni dwoma odebrane wiadomości z Paryża kazały się co godzina spodziewać katastrofy. Henryk wiedział, że Karol leżał, w krwawych potach dogorywając, trapiiony widzeniami mordów i rzezi, i że matka nie spuszczała z oka księcia d'Alençon i Henryka króla Nawarry, a Montmorency i Cossé już byli do Bastylii odprowadzeni, Turenne i Thoré zbiegli, Molé i Coconnas pod sądem.

— Z Francji nie wiem o nikim — odparł Tęczyński — ale poseł cesarza Maksymiliana prosi o posłuchanie i czeka.

Był nim Andrzej Dudycz²⁷⁹, i natychmiast go wprowadzono. Król, który miał wejrzenie bystre, usiłował z jego twarzy odgadnąć, z czym przychodził. Dudycz nie okazał po sobie, ażeby niósł coś ważnego. Oznajmił tylko, że ma od cesarza własnoręczne pismo do króla z poleceniem, aby oddał je do własnych rąk jego.

W istocie na małym zwitku papieru, opatrzonym pierścieniową pieczęcią cesarza, poznał Henryk pismo Maksymiliana; domyślił się, że musiał list coś ważnego zawierać i nie rozpierzchłszy go, podziękował Dudyczowi. Cofnął się z nim do swojego gabinetu. Podkomorzy pozostał z Dudyczem sam i po krótkiej rozmowie odprowadził go do kolebki.

Król, zamknięty długo, nie powrócił na pokój.

List cesarza, w kilku słowach zawarty, donosił, że Karol IX dnia 30 maja zmarł na zamku w Vincennes²⁸⁰, regencję przekazując matce. Cała twarz Henryka zapłonęła ogniem, lecz trwało to mgnienie oka, zbladł, schował kartkę i po krótkim namyśle poszedł do zwierciadła, aby z pomocą jego twarz taką ułożyć, która by nic poznać nie dawała, ani radości, ani niepokoju. Musiał do czasu zachować tajemnicę. Wiadomość zresztą nadesłana przez cesarza nie była urzędową. Nie mógł król powątpiewać o jej prawdziwości, lecz potrzebowała potwierdzenia. Znał dosyć matkę swą i jej przywiązanie do siebie, by nie wątpić, że natychmiast goń-

²⁷⁹ A n d r z e j D u d y c z (D u d i t h) — (1533—1589) pochodził z rodziny węgierskiej; pierwotnie był biskupem, ale złożył ten urząd i przeszedł na protestantyzm. W r. 1565 posłował do Polski w celu pojednania Zygmunta Augusta z żoną (córką cesarza). W r. 1567 ożenił się z Polką i osiadł w Polsce. W czasie trzech kolejnych elekcji pracował na rzecz cesarza. Po elekcji Stefana Batorego opuścił Polskę na zawsze. Dudycz z ramienia cesarza pierwszy przybył do Henryka Walezego z wiadomością o śmierci Karola IX. Gońcy z Francji przybyli w kilka godzin później.

²⁸⁰ V i n c e n n e s — miasto z warownym zamkiem, obecnie przedmieście Paryża

ców po niego wysłać musiała. Rozmyślał jeszcze zamknięty, gdy jeden z paziów zapukał do drzwi bocznych.

— Goniec z Francji!

Henryk rzucił się naprzeciw niemu. Był to dworak królowej matki, młody de Chemerant, który nie otrząsnąwszy się z pyłu podróznego, śpieszył do Henryka, a gdy się drzwi zamknęły, przyklęknął przed nim, dobył list zza sukni i cicho zawołał:

— Vive le roi!²⁸¹

Król palec położył na ustach. Chemerant wstał.

— Wiem już! Zachowaj tajemnicę! Nikomu ani słowa, dopóki ci ust nie rozwiążę. Nikt wiedzieć o tym nie powinien.

Zdziwił się niezmiernie goniec, który pędził na złamanie karku, starając się, aby go nie wyprzedzono, gdy z ust króla posłyszał, iż ktoś spieszniej tu przybył od niego.

— Któż mógł przede mną tu przybyć? — zawołał smutnie.

Henryk uderzył go po ramieniu.

— Wyprzedził cię cesarz Maksymilian — rzekł żartobliwie i to mówiąc, zdjął kosztowny pierścień z palca, który oddał posłowi.

— Chemerant — dodał — idź, spocznij, ale nikomu słowa! Rozumiesz... Nie chcę nawet, abyś stał w gospodzie na mieście, niech ci dadzą mieszkanie w zamku.

To mówiąc, król z listem matki poszedł niespokojny do okna. Chemerant cofnął się zaraz.

Na twarzy Henryka nie mogąca się już ukryć i zamaskować radość promieniała. Był więc królem Francji! U celu życzeń. Spełniło się to, co matka przepowiadała mu i czego tak gorąco pragnęła, był panem tego pięknego kraju, w którym miał się bawić tak przedziwnie! Śmierć brata ani przez jedną sekundę nie zachmurzyła go smutkiem... Była upragnioną.

Rozpowiadano, że z czyjejs naprawy czarnoksiężnik Ruggieri²⁸² ulepił lalkę Karola IX i na niej tajemniczym sposobem spełnił morderstwo, które żywego życia pozbawiło²⁸³.

Aż do obiadu król siedział zamknięty u siebie. Sam jeden rozmyślał, co miał począć z Polską, w której był królem, ale razem w niej niewolnikiem. Wprzód, nim urzędowa wiadomość przyjść miała, chciał coś postanowić. Komu się zwierzyć? Kogo miał wezwać na pomoc?

W godzinie obiadu wyszedł, ale posepny i zafrasowany, a na zapytanie troskliwe Tęczyńskiego, czy wiadomości z Francji pomyślnie były, potrząsnął tylko głową dwuznacznie. Ten więcej dopytywać go nie śmiał. Obiad przeszedł w milczeniu.

Wszystko było gotowym do bieganina. Dostyć ludzi zgromadziło się dokoła placu. Przyszedł mu o tym oznajmić Tęczyński.

— Hrabio mój — odparł, oczy ku niemu podnosząc Henryk — widzisz sam, jak jestem zmęczony. Nie mogę biegać, potrzebuję spoczynku, chcę nawet dziś położyć się wcześniej. Niech kto chce się zabawia.

²⁸¹ V i v e l e r o i ! (franc.) — Niech żyje król! — We Francji istniał zwyczaj witania wiadomości o zgonie króla okrzykiem: *Le roi est mort, vive le roi!* t j.: Król (dawny) umarł, niech żyje król (nowy)!

²⁸² C o s i m o R u g g i e r i — astrolog rodem z Florencji; przybył do Francji na życzenie Katarzyny de Medici; zamieszany w proces La Molle'a i Coconasa (zob. przypis 271), został skazany na galery, ale wydobyła go stamtąd zabobonna królowa, która lękała się Ruggieriego jako rzekomego czarnoksiężnika; zmarł w r. 1615

²⁸³ W dawnych wiekach istotnie odbywały się praktyki tego rodzaju, o jakich wspomina Kraszewski, z lalkami wyobrażającymi pewne osoby; lalki te kłuto lub krajano, co rzekomo miało powodować chorobę a nawet śmierć osób, które lalki przedstawiały. Szerzej wspomina o tych sprawach m. in. znakomity znawca problemu czarnoksiężskiego, Stanisław Przybyszewski (*Moi współcześni. Wśród obcych*, Warszawa 1926, s. 248).

Tęczyński natychmiast poszedł spełnić rozkazy. Ani on, ani nikt na zamku nie domyślał się jeszcze niczego.

Wieczór się zbliżał, gdy Henryk sposobem, do którego Francuzi byli nawykli, dał znać najzaufańszym swoim, iż z nimi sam na sam naradzić się potrzebuje. Villèquier, Pibrak, Souvray i poseł francuski Bellieyre zostali w ten sposób powołani.

Na zamku tak wszyscy byli nawykli do częstych z Francji posłańców, iż nikogo nie zdziwił jeszcze jeden pod wieczór przybywający, de Neufvy. Wiózł on z sobą takie same listy, jakie z rana oddał Chemerant, ale oprócz tego ustnie miał wiele do powiedzenia o ostatnich króla godzinach i męczarniach, dla których Henryk okazał się obojętnym. Więcej daleko rozpytywał go o środki, jakie przedsięwzięła królowa matka, aby sobie zapewnić regencję aż do jego przybycia. Drugiemu posłowi temu nakazawszy tajemnicę, Henryk przywołał podkomorzego i zaraz po wieczerzy, skarżąc się przed nim na głowę, oświadczył, że idzie do łóżka. Ze zwykłą ceremonią odprowadził go Tęczyński, dwóch paziów posadził na straży u łóża, świece zapalono, drzwi zamknięto.

Podkomorzy zaledwie się miał czas oddalić z zamku do swojego dworu pod wałami, dosyć odlegle położonego, gdy król wstał żywo, paziów odprawił i wezwanych swych doradców wpuścić kazał. Stawili się oni wszyscy, niejedyn już raz tak do nocnych narad zapraszani, nie przewidując, co ich tu czekało. Villèquier i Bellieyre weszli pierwsi i zastali Henryka w długim czarnym płaszczu stojącego w gabinecie. Strój ten niezwykły miał już znaczenie.

— Brat mój umarł — odezwał się głosem stłumionym nieco i drżącą ręką dobywając listy, które na stół rzucił. — Królowa wzywa mnie, abym co najprędzej przybywał.

Souvray i Pibrak nadchodzili, gdy to mówił. Wszyscy oni powitali go jako króla, a Villèquier przykląkł do ucałowania jego ręki. Wiadomość, chociaż spodziewana, uczyniła tak wielkie wrażenie, iż przez chwilę żaden z nich przemówić nie mógł. Bellievre pierwszy uczynił uwagę, że poselstwo jego tu było tym samym skończone i że natychmiast powinien do Francji powrócić. Rzecz była tak małego znaczenia, iż nikt na nią nie zwrócił nawet uwagi.

— Królowa nagli, żąda, wymaga, abym przybywał niezwłocznie — począł mówić Henryk. — Nie ulega wątpliwości, iż im prędzej dostanę się do Paryża, tym dla mnie i dla Francji z tym będzie lepiej. Zapobieżono wszelkim pokuszeniom, d'Alençon i Henryk są strzeżeni, ale...

— Ale — przerwał Pibrak żywo — niemniej śpieszyć należy.

— Sądziecie — rzekł Henryk — iż mnie panowie senatorowie puszczą stąd tak łatwo? Spojrzeli po sobie wszyscy.

— Ba! — zawołał Pibrak. — Pomiędzy Polską a Francją wybór niewątpliwy. Z pierwszą stanie się... co zechce, a W. Kr. Mości do Paryża biec należy, jednej nie tracąc chwili.

— Sądziecie wy, Pibrak, co ich tu najlepiej znacie, że mi Karnkowski, Opalińscy, Tęczyńscy ułatwią wyjazd rychły? Nie będą się starali strzymać tutaj?

Obejrżeli się wszyscy po sobie. Pibrak z nich najlepiej znał Polskę, tak sobie przynajmniej pochlebiał, miał tu i serdecznych przyjaciół, i okrutnych wrogów. Na niego zwracały się oczy wszystkich.

— Senatorów w Krakowie jest niewielu — odparł Pibrak — nie wiem, czy oni na siebie wziąć zechcą odpowiedzialność i sami rozstrzygać. Mogą, co najprawdopodobniejsze, sejm zwołać. Jam o tej ewentualności mówił już z biskupem kujawskim. On sądzi, że bez sejmu się nie obędzie.

— A nim się sejm zbierze — tupiąc nogą, zawołał król, który się okręcił na niej niecierpliwie — nim się on zbierze i nim się wygardłują, upłyną miesiące.

— Kilka co najmniej — potwierdził Pibrak.

— Cóż tu robić? — wykrzyknął król, bijąc papierami po rękach.

— Ba! — przerwał Villèquier. — Rzec bardzo prosta, nie pytać o pozwolenie nikogo i jechać, gdy potrzeba.

— Przebojem? — zapytał Pibrak. — Nie mamy tu wojska na nieszczęście!

— Ale mamy doskonałe konie — rozśmiał się Villèquier — i wrota, gdy będziemy potrzebowali, potrafimy sobie otworzyć.

— Uciekać? — zapytał Pibrak. Król spojrzał na niego.

— Mój Guy — przerwał — można to nazwać inaczej, a przyznam ci się, że nawet ucieczka z tego kraju, przynajmniej w waszych oczach, powinna być usprawiedliwioną. Widzicie, jak ja tu żyję, co cierpię... na ostatek... (zżymnął się) grożą mi małżeństwem.

Souvray się głośno rozśmiał.

— N. Panie — rzekł — oni sami nie wierzą w nie.

— Ale królowa ciągle mi grozi, jak miecz Damoklesa — żywo począł król. — Widzieliście ją wczoraj, poważna to matrona, włożywszy jej czepiec, starszą się pewnie wyda od mojej matki, a nudną jest i smutną, i milczącą, a kwaśną tak, że nawet na mniskę wydaje się za ponurą, coś dopiero za żonę dla... dla...

Pibrak przerwał.

— A, to małżeństwo łatwo byśmy potrafili tak odkładać, ażby się nareszcie samo zerwało.

— Oprócz tego — zawołał król z przekąsem — mój Guy, nie znajdujesz, iż jest tysiąc innych trujących mi życie okoliczności, dla których ja tu pozostać nie mogę? Pomóżcie mi, abym się mógł stąd wyrwać; jak najcięższa niewola ciąży mi to moje królestwo. — Bellièvre stał nieco na uboczu, słuchając, trzej doradcy zbliżyli się do króla, wyprzedzając się z zapewnieniami, iż na wszystko, co każe, są gotowi.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał Villèquier. — Z tego, co nam mówił Pibrak, wnosić można, iż na pozwolenie czekać byłoby nedorzecznnością. Potrzeba o nie prosić, aby czas zyskać i czujność ich uspić, ale my musimy gotować się do... nazwijcie to, jak chcecie, chociażby ucieczką. Ja i Souvray bierzemy to na siebie. Chwili nie ma do stracenia.

Z wyrazu twarzy Henryka widać było, iż oświadczenie to przyjmował wdzięcznie.

— Myśl nie jest zła — rzekł. — Pibrak niech gorliwie pracuje nad wyrobieniem mi u panów senatorów łaskawego zezwolenia na rozporządzanie osobą moją, a my tymczasem starajmy się obejść bez pozwolenia.

Pibrak stał zadumany.

— O jedno mi idzie — odparł po chwili namysłu. — Ucieczka jest zawsze trochę niebezpieczną. Że się za nami w pogoń puszcza, nie ulega wątpliwości. A nuż króla na polskiej dogonią ziemi?

Villèquier się oburzył.

— Dogonić nas nie mogą — zawołał. — Rzec cała powinna się tak ułożyć, aby się nie postrzegli wprzód, nim my przekroczym granicę. Obmyślim do niej najkrótszą drogę... konie możemy rozstawić.

Henryk się uśmiechał.

— Nie mam obawy najmniejszej — odezwał się — jeżeli Villèquier i Souvray wezmą to na siebie. Wiele na to czasu potrzeba, ażeby wszystko przygotowane być mogło? — dodał, zwracając się do pierwszego.

— Dwa lub trzy dni starczą — rzekł Villèquier śmiało. — Ja i Souvray nie stracimy ani godziny. Dziś jeszcze w nocy pójdziemy do Sederyna.

— Patrzcie, abyście zawczasu nie uderzyli na alarm — zawołał Pibrak.

— Sederyn jest człowiek pewny — rzekł Villèquier — można polegać na nim.

— A na jego zrzeczności? — spytał król.

— Zarówno — rozśmiał się Souvray. — Patrząc na niego, nikt by o przebiegłość i rozum tego otłętego rzeźnika nie posądził, a jednak...

Bellièvre, który dotąd słuchał milczący, przybliżył się powolnymi krokami.

— A ty co mówisz na to? — zapytał król.

— Nic, oprócz iż dla mnie osoba W. Kr. Mości nadto jest drogą, abym się o nią nie lękał. Dlatego życzę rozpatrzyć wszystko dobrze i ważyć jak najmniej. Znam Polaków.

— Pochlebiam sobie, że i ja ich przynajmniej tak dobrze znam, jak wy — odezwał się Pibrak. — Są gwałtowni, obawiałbym się ich i ja, gdyby nie byli tak dobrodusznymi, tak łatwowiernymi, że ich zawsze na słowa z ręczne wziąć można. Spytajcie biskupa Walencji, co im wmawiał i przyrzekał. Są tak dziecinnie ufni, iż wierzą, co im kto powie.

— Ale zwiedzeni i oburzeni — dodał Bellièvre — w namiętności nie znają miary. Naówczas są to Zborowscy.

Reszta Francuzów milczała, ocenienie to charakteru polskiego w grubych rysach było dosyć trafne, nic mu zarzucić nie mógł żaden.

— Ucieczka króla, nie ma wątpliwości — dodał Bellièvre — przyprowadzi ich do rozpaczy. Mówmy prawdę, król ma już wielu nieprzyjaciół, pomnoży ona ich liczbę. Polskę potrzeba uważać za straconą.

Pibrak głową potrząsał.

— Może nie — rzekł krótko.

— A gdyby tak nawet być miało — odezwał się Villèquier — lepiejże ważyć utratę francuskiej korony?

— Tej nic nie grozi — przerwał Bellièvre — królowa matka, choćby rok cały regentką być miała, potrafi na wodzy utrzymać tych, których by się można obawiać. Radzę ostrożność — dokończył poseł — przez miłość moją dla pana.

Skłonił się nisko.

— Nie mówię o koronie polskiej — dodał — ale z tą gwałtownością Polaków, którzy o cześć swoją stoją wielce, ostrożnie poczynać trzeba. Osoby króla nie poszanują, gdy się obrażonymi uczują, a wątpliwości nie ulega, iż za obrazę wezmą pogardę ich kraju, korony i przysięgi im złożonej.

Henryk słuchał tych wywodów Bellièvre'a z widocznym zaniepokojeniem i niezadowoleniem. Poseł spostrzegł to w końcu i umilkł.

— Nie wiem — odezwał się kwaśno król — co postanowią senatorowie, ale mi to wszystko jedno. Jechać muszę, jechać chcę i pojadę. Proszę was tylko, panowie, aby o tym postanowieniu moim nikt nie wiedział. Souvray, Villèquier... pomogą mi.

Wtem król, jakby coś sobie przypomniawszy, wtrącił żywo, zwracając się do Villèquiera:

— Mówcie o tym z dowódcą mojej gwardii, z kapitanem Larchant.

Skłonił się Villèquier.

— A przede wszystkim muszę dziś jeszcze zobaczyć się z Sederynem — dodał. — Bez niego nie zrobimy nic, ani ja, ani Larchant, ani Souvray.

Po krótkim milczeniu król, oczyma obszedłszy przytomnych, rzekł jeszcze:

— Wyjazd więc mój jest postanowiony. To rozstrzygnięte. Według mnie, im on prędzej nastąpi, tym lepiej. Przy największym staraniu o zachowanie tajemnicy nie utrzyma się ona, gdy się przeciągnie.

Narada zdawała się skończoną, a jednak nikt odchodzić nie śmiał. Król biegał po pokoju zaniepokojony.

— Trzeba wszystko przewidzieć — rzekł cicho. — Polacy będą się gniewać na mnie... a w gniewie pomiarkowania nie mają. Gotowi mi nawet to, co mam, a pozostawię, zabrać; klejnoty, które przywozłem z sobą, byłyby stracone. Wiele z nich mają dla mnie wartość pamiątek.

— Potrzeba już teraz odesłać je do Francji — rzekł Villèquier.

— Ardier des Isoires — zawołał Souvray — wybierał się do Paryża od dawna, można mu je powierzyć. Król potwierdzająco skłonił głowę. Bellièvre się żegnał, chcąc odchodzić.

— Panowie moi — rzekł król, zwracając się do nich — pamiętajcie mi zachować tajemnicę. Rachuję na to.

Villèquier po krótkiej, cichej rozmowie z Souvrayem, który pozostał u króla, wybiegł natychmiast. Nie wstępując nawet do mieszkania, nie zmieniając sukni, zbiegł zaraz ze wschodów, aby się udać na miasto.

Wieczorami wrota na zamku, chociaż były zawczasu zapierane, ciągle dla Francuzów wychodzących i powracających, niemal przez całą noc, przez strażę otwierane być musiały. Nie było tajemnicą dla nikogo, że król sam nawet często nocą się udawał na miasto, a dopiero nad ranem powracał, że Francuzi rozmaite osoby z sobą przyprowadzali tu... i że ciemności nocne pokrywały swawolę. Spadała wina tych wybryków na młodzież, która królowi towarzyszyła, chociaż ona go tylko naśladowała.

Nie było trudno panu Villèquier wysunąć się z zamku, a że mu o pośpiech chodziło, siadł na pierwszego lepszego konia, jakiego w stajniach znalazł osiodłanego.

W Starej Mynicy u Sederyna świeciło się jeszcze, a dla ciepła zbytniego okna były po otwierane. Zabawiano się, spodziewając, że świeżo przybyli z Francji posłańcy zajądą tu i coś z Paryża przyniosą. Tymczasem ani Chemerant, ani de Neufvy nie pokazali się w gospodzie. Oba oni, wyprzedzając się, aby być pierwszymi u króla, złamani podróżą odpoczywali, przeklinając cesarza Maksymiliana, który obu ich z wiadomością tą wyprzedził.

Villèquier wprost pobiegł na górę, ale zamiast szukać Sederyna w izbie, w której gwar Francuzów zgromadzonych słyszał było, wywołał go z niej przez służbę. Sederyn wyszedł powolnym swym krokiem, nie domyślając się nic zbyt ważnego. Ponieważ Villèquier był w wielkich u króla łaskach, szanował go wielce i kłaniał mu się nisko właściciel Starej Mynicy. Zobaczywszy go i postrzegłszy na twarzy wyraz jakiegoś zniecierpliwienia, otworzył, nie pytając go, drzwi osobnej komory, w której zwykle narady wymagające czterech oczu załatwiał.

Izba była, istne kafarnaum²⁸⁴, pełna sepetów²⁸⁵, szaf, koszów, skrzynek, broni i rozmaitych rupieci do przechowania Sederynowi dawanych. Weszli do niej, nim przyniesiono światło, potracając o porozstawiane sprzęty... lecz tuż i chłopak wbiegł ze świecami. Villèquier rzucił na stół kapelusz. Sederyn stał, ręce w tył założywszy, przewidując, że szło o coś ważnego, ale czekał długo, nim Villèquier namyślił się i przemówił.

— Mości Sederynie — rzekł w końcu, zbliżywszy się do niego, stłumionym bardzo głosem — albo szczęście sobie możesz zapewnić (*votre fortune est faite*), albo możesz nas i siebie zgubić. Przychodzę do ciebie od króla w bardzo, bardzo ważnej sprawie.

Sederyn się skłonił. Nawykły do przesady w słowach Francuzów, którzy wszystko powiększali, nie przywiązywał nadzwyczajnej wagi do zapowiedzi tej Villèquiera.

— Jestem na rozkazy — rzekł chłodno. Wiecie, że służyć zawsze gotówem.

Villèquier palec położył na ustach.

— A naprzód, milczenie! Pod gardłem! Sederyn wciąż odpowiadał głową tylko. Villèquier namyślał się, marszczył i słów dobierał.

— Król prawdopodobnie w tych dniach, jak najrychlej, przypuśćmy najdalej za parę dni, musi jechać do Francji. Król, brat jego, umarł, korona francuska spada na niego. Musi stąd precz. Polacy go pewnie wypuścić nie zechcą, on czekać na ich pozwolenie nie może. Należy obmyśleć środki ucieczki... zwróciłem się o to do was. Kapitan Larchant wam pomoże.

²⁸⁴ k a f a r n a u m — wyrazu tego (pisanego przez małe „k”) nie wymieniają słowniki języka polskiego. Wyraz powyższy, urobiony od miasta Kafarnaum w Galilei (wspomnianego kilka razy w *Nowym Testamencie*, znanego jako ośrodek handlowy — składnice handlowe, celniczy), oznacza składnicę przeróżnych towarów.

²⁸⁵ s e p e t y (tur. lub pers.) — skrzynie, kufry

Z natężoną uwagą słuchał w początkach Sederyn, ale zrozumiawszy, o co szło, zbladł jak trup, ręce podniósł, pochwycił się za głowę — milczał długo.

Villèquier zląkł się tego milczenia.

— Panie Sederynie — zawołał — mów, nie mam czasu do stracenia. Król rachował na was.

Sederyn bełkotać zaczął, potniał i czoło ocierał.

— Panie hrabio — rzekł głosem zadławionym — panie hrabio, jestem cały oddany królowi, ale... znam Polaków i Polskę. Ważyć muszę nie tylko mój majątek, wszystko, co mam, ale zarazem życie, gardło. Jeżeli król potajemnie uciecze, ci, co mu pomogą, będą najsurowiej sążeni.

Na panu Villèquier nie robiło to wrażenia.

— Rzecz naturalna — rzekł obojętnie — iż życie swe ratować musisz, to wasza sprawa! Co się tyczy majątku, straty wam król francuski potrafi nagrodzić i zapłaci za polskiego króla.

Pomimo tego uspokajającego zapewnienia, Sederyn nie przestawał pot ocierać i stękać cicho. Zapatrzył się w podłogę.

— Tak prędko — zawołał — urządzić rzecz, tak trudną!

I ręce szeroko wyciągał.

— Albo prędko, póki nic się nikt nie domyśla, lub później wcale nie będzie można — dodał Villèquier.

Spoglądał na Sederyna, który jeszcze do siebie przyjść nie mógł. Zbliżył się potem i położył rękę na jego ramieniu.

— Królowi o to najmocniej chodzi, aby się co prędzej dostał do Francji — rzekł — powinienś to zrozumieć. Niech kosztuje, co chce. Wdzięczność będzie nieograniczona. Mówmy, jak i co pocniemy!

Sederyn jeszcze nie całkiem oprzytomniał.

— Nie dziwujcie się — odezwał się po długim przestanku — że mi niełatwo przychodzi zebrać myśli. Dom, handel, majątność, siebie, życie, wszystko stawić muszę. Stawka wielka.

— Ale wygrana pewna i stokroć ją przewyższająca — przerwał Villèquier.

Sederyn, jakby pokrzepienia lub czasu do namysłu potrzebował, wysunął się, obiecując natychmiast wrócić, i powrócił w istocie, niosąc kubki i wino. Jeden z nich sam wychylił. Zamyślony stał jeszcze trochę. Villèquier coraz to go budził.

— Cóż więc? Cóż więc?

Sederyn z oczyma w stół wlepionymi, po którym palcami przebierał, nie odpowiadał. Na ostatek, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, otworzył usta.

— Za królem niechybnie pogoń się puści — rzekł. — Potrzeba się zabezpieczyć, ażeby jak najpóźniej się opatrzone, a drogę tak oznaczyć, ażeby jak najprędzej można doścignąć granicy. Na polskiej ziemi jeżeli króla dogonią; nie puszczą go dalej.

Villèquier potakiwał.

— Któż to mógł przewidzieć — dodał Sederyn posepnie — że przyjdzie do potajemnej ucieczki? Nikt się nie gotował do tego... a tu pośpiechu potrzeba.

— Jak największego — potwierdził Villèquier.

— Konie przodem wysłać musimy, bo jedne nie starczą — mówił Sederyn. — Ile osób będzie przy królu?

— Gromadka niewielka, sądzę — odparł Villèquier. — ale nic jeszcze nie oznaczono. Konie może nam Larchant dostarczyć.

Rozpoczęli mówić o szczegółach, których się tyle nastroczało, iż Sederyn ręce łamał co chwila. Villèquier w imieniu króla na pośpiech i na tajemnicę nalegał. Nie dawał na przygotowania więcej nad dni trzy. Znał króla i jego temperament niecierpliwy.

W końcu Sederyn głosem znużonym zapytał:

— A cóż z Polską będzie? Nie odebrał na to odpowiedzi rychło.

— Nie wiem — rzekł w końcu Francuz obojętnie — to zależy od panów Polaków. Jeżeli się zgodzą na warunki króla Francji, mogą pozostać pod jego panowaniem. Spodziewam się, że to dla nich dosyć byłoby zaszczytnym... jeżeli się burzyć i wicherzyć będą...

Wskazał ręką, iż o to nie dbał, naturalnie król i on, Sederyn posmutniał.

— Nie znacie Polaków — odparł. — Wcale się oni choćby wobec i w porównaniu do Francji upośledzonymi nie czują. Jeżeli król lekceważeniem ich obrazi, zrzucą go... zrzucą. Przyjdzie tym łatwiej detronizacja, że dotąd go niektóre ziemie znać nie chcą i uznawać. Polska stracona! — zamknął Sederyn.

— Ja po niej płakać nie będę — odezwał się Villèquier — a sądę, że i król prędko się pocieszy.

— W pierwszej chwili rozżalenia i sromu doznanego — dodał Sederyn — na tych, których Polacy w rękach mieć będą, pomszczą się okrutnie. Pamiętajcie o tym. Nie mówię o sobie, choć ja pierwszym zgubionym zostanę, ale i o tych, których król tu zostawić musi, boć wszystkich nie zabierze, potrzeba myśleć.

— Mamy przecie i przyjaciół tutaj — przerwał Francuz. — Biskup kujawski, podkomorzy Tęczyński...

— Ci się wszyscy przeciw wam obrócą — mówił Sederyn — będą musieli bronić siebie, bo króla obraniać nie znajdą sposobu. Przysiągł Polakom.

Zmarszczył się mocno Villèquier.

— Zamiast być mi pomocą, zatrważasz mnie trudnościami! — zawołał gwałtownie. — Nie po to tu przyszedłem! Sederyn podszedł parę kroków, ujął jego rękę i w ramię go pocałował.

— Uspokójcie się — rzekł — trzeba przewidzieć wszystko.

— Ale nie tak widzieć czarno — sprzeciwił się Francuz. — Polacy pogniwają się, to pewnie, ale mi się zdaje, że ocenić też powinni tę cześć i korzyści, jakie pozyskają, gdy król Francji razem będzie ich królem.

Potrząsał głową Sederyn.

— Nie znacie ludzi — powtórzył.

— Mniejsza o to, gotujcie konie do granicy cesarskiej — zakończył. — Raz ją przekroczywszy, jesteśmy bezpieczni. Cesarz pierwszy dał dziś znać królowi o śmierci brata i niewątpliwie dalszą mu podróż ułatwi.

— Nie wątpię i ja o tym — rzekł, uśmiechając się Sederyn. — Cesarzowi to będzie na rękę, bo starał się o tron Polski, a przewiduje już, że opróżnionym zostanie. Dostarczy koni i ludzi!

Zmarszczył się Villèquier. Rozmawiali jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Larchant, którego Souvray przysyłał.

Larchant, średnich lat mężczyzna, żołnierz od dzieciństwa, odważny, zapamiętały, pełen próżności, samochwał wielki; wyglądał na zucha, który się musiał miłować w niebezpieczeństwach. Śpieszył on tu, bo awantura była dlań pożądaną, a nadzieja wydobywania się z Polski, gdzie mu się nie wiodło i kilka już razy nieprzyjemne zetknięcia się z rębaczami naprzykrzyły, wielce się uśmiechała. Larchant przychodził rozpromieniony.

Widząc go tak ochoczym do dzieła, gdy Sederyn chodził zafrasowany i przybity, Villèquier wskazał mu gospodarza.

— Weźże go, kapitanie, i otrząśnij ze złych myśli! Czasu nie mamy do stracenia.

— A farsę taką doskonałą do odegrania! — podchwycił, śmiejąc się, Larchant. — Proszę sobie wystawić tych drogich Polaków moich nazajutrz rano, gdy im króla zabraknie! A, cóż bym dał, aby na to patrzeć i pocieszyć się odwetem. Nadokuczali nam dosyć swoją butą nieznośną. Na nieszczęście ja tego nie zobaczę, bo królowi towarzyszyć muszę i inaczej go nie

puszczę. Koni potrzeba dobrych, to nie ulega wątpliwości — dokończył, nalewając sobie wina — ale i kilka silnych rąk nie zawadzi.

Podniósł krzepką pięść do góry. Sederyn stał ciągle chmurny.

— Mości Sederynie, *a nous deux!*²⁸⁶ — począł Larchant — obmyślajmy, liczymy, a żywo, a żywo!

— Tak — zamruczał Sederyn — wam by się chciało jak najprędzej stąd wyrwać, rozumiem, ale ja też myśleć muszę o tym, że mogę się zostać i wpaść w ręce zemsty chciwym.

Larchant mrugnął na Villèquiera i klapnął silnie po ramieniu gospodarza.

— Odwagi! Nic się wam nie stanie — zawołał. — Nie zdradzi was przecie król i nikt wie-dzieć nie będzie, kto nam pomagał.

Niedowierzająco potrząsł głową Sederyn, ale już Larchant, nie tracąc czasu, o liczbie koni i sposobie ich zebrania rozprawiać i badać zaczął. Żądał mieć zapaśne wierzchowce, chciał jak najwytrzymalszych i rączych. Roztrząsano potem, w ilu i jakich miejscach konie się po-stawić miały, kto mógł króla prowadzić po nocy, jaka droga była najbezpieczniejszą.

— Tego bądźcie pewni — dodał Sederyn po namyśle — że gdy się o ucieczce króla do-wiedzą, gdy alarm się zrobi, nie jeden ktoś, ale całe tłumy pobiegną na wszystkie drogi łapać i chwycić, że tym Francuzom i przyjaciółom króla, którzy pozostaną w rękach Polaków, nie-wygodnie będzie i ciężką chwilę przeżyć będą musieli.

Sederyn nie mógł się uspokoić.

Dniało już i Villèquier zabierał się na zamek powracać, bo przewidywał, że król też spać nie będzie i zawoła go rano, a Larchant jeszcze nieszczęśliwego Sederyna męczył, usiłując mu dodać męstwa.

Nie przyszło mu to łatwo. Kapitan gwardii rad był, iż powracał do swojej Francji z kraju piwa i niedźwiedzi, jak go nazywał, a Sederyn przewidywał, że Polskę, w której dorobił się mienia, majątek, dom, wszystko, porzucić będzie musiał, gardło w dodatku ważyć. Znał nadto dobrze tych, wśród których żył, by powątpiewać, iż mu zdrady nie przebaczą.

Królowi, bądź co bądź, nie mogli uczynić nic, jemu groziło co najmniej ubóstwo i włóczę-ga bezdomna, bo wiedział, że na wielką wdzięczność rachować było trudno.

Rzadko się trafiało, ażeby król sam zwoływał panów senatorów na radę, najczęściej oni sami prosić musieli o posłuchanie i rozwiązanie spraw pilnych. Niewielu ich znajdowało się naówczas w Krakowie i wszyscy we wtorek rano odebrawszy zaproszenie na zamek, mocno się temu zdziwili.

Łagodny i dobroduszny ks. biskup chełmski uradował się temu pomyślnemu symptomato-wi²⁸⁷.

— Dzięki Bogu — rzekł, ubierając się, aby na zamek pośpieszyć. — Dobry znak, zaczyna się poczuwać do królewskich swych obowiązków, które zaniedbywał po troszę. Łaska Boża!

Spotykający się już w podwórcach zamkowych Zborowski, wojewoda krakowski²⁸⁸, Tę-czyński, Pstrokoński²⁸⁹ witali się pytaniami:

— Nie wiecie, po co nas król wzywa?

Zwracano się szczególnie ku panu podkomorzemu, o którym wiedzieli wszyscy, iż miał króla zaufanie i łaskę. Tęczyński nie wiedział o niczym.

— Widziałem króla wczoraj wieczór — odparł — był zmęczony i smutny, ale o żadnej tak pilnej sprawie nie wspominał.

²⁸⁶ *a nous deux!* (franc.) — między nami dwoma!

²⁸⁷ *symptomat* (z grec.) — objaw

²⁸⁸ *Piotr Zborowski* został wojewodą krakowskim po Firleju, zmarłym w kwietniu 1574 r.; zmarł 1581 r.

²⁸⁹ *Jan Pstrokoński* — postać rzeczywista, był kasztelanem czerskim

— Znudziły go zabawy — przerwał szydersko nieco kasztelan czerski Pstrokoński — chce się rozerwać, słuchając polskich mów, których rozumieć nie będzie.

— Ręczę wam — stanął w obronie Tęczyński, który zawsze króla się starał osłaniać — że rad by mowy naszej się nauczyć.

— Nie ma na to lepszego sposobu — dodał Pstrokoński, gdy już na salę wchodzili — jak się z Polką ożenić. Niech ślub z infantką przyśpieszy. *Probatum est*²⁹⁰.

Sala senatorska, dosyć obszerna, ozdobna, wydawała się smutną i pustą. Kurz leżał na ławach i pomimo okien otwartych woń pustki nie zamieszkałej, pyłu i zapomnienia przejmowała powietrze.

Z wolna ściągali się panowie senatorowie, przewidując, iż liczba niewielką będzie. Wsunął się cicho marszałek Firlej²⁹¹ i zaledwie pozdrowiwszy tych, których zastał, zajął miejsce na stronie ku pierwszej ławie. Wszedł potem Ostafi Wołłowicz, trocki kasztelan, witając Zborowskiego, który jeszcze z Tęczyńskim rozmawiał, za nim zjawił się Żaliński, kasztelan gdański²⁹², dosyć pokorny i skromny. Niewielu więcej spodziewać się było można. Zapytywano na próżno o kilku, dowiadując się, że ich w mieście nie było. Ważniejszych narad nikt się nie spodziewał, a wiosna wyzywała wszystkich na wieś.

Król zwykle dość długo na siebie czekać dawał i tym razem nie spodziewano się go rychło. Panowie senatorowie chodzili i siedzieli, pobierawszy się w małe gromadki, gdy Tęczyński, wyszedłszy na chwilę, powrócił, oznajmując króla.

Drzwi otwarto szeroko. Henryk szedł, wiodąc za sobą Pibraka, jako tłumacza do pomocy. Spojrzenie na niego wskazywało, że przychodzi z czymś ważnym, twarz miał posępną i uroczystą. W dodatku strój niezwykajny oczy zwracał. Ubrany całkiem czarno, bez łańcucha nawet na szyi, król na ramionach miał ciężki płaszcz jakiś czarny, wlokący się za nim, jakiego nigdy nie nosił.

Zaledwie panowie senatorowie zajęli miejsca, gdy Henryk głosem wymuszonym, ponurym, mówić począł.

— Przychodzę się z wami, panowie senatorowie, podzielić boleścią moją. Doszła mnie od królowej matki wiadomość smutna, że najukochańszy brat mój, król Francji, żyć przestał. Nie wątpię, iż oddacie mu należną cześć, gdyż Polskę miłował równie jak Francję i był jej najżyczliwszym.

Chwilę się zaledwie zatrzymawszy, Henryk dał znak Pibrakowi, aby mu w pomoc przybył. Senatorowie spoglądali po sobie, siedząc w milczeniu, wszystkich ich ogarnęła jakaś trwoga i niepokój. Lecz Pibrak, już listy z Francji dobywszy, rozpoczął ich czytanie.

Przeczuwano, iż król domagać się będzie zapewne pozwolenia wyjazdu dla objęcia panowania, i senatorowie badali się oczyma, usiłując porozumieć, co czynić i jak odpowiadać mają, gdy król sam po Pibraku głos zabrał. Uderzał nadzwyczajny, prawie nienaturalny spokój i rezygnacja, z jaką mówić począł.

— Będę zmuszonym — rzekł — udać się do Francji, to niewątpliwa; tymczasem jednak rejencja jest w rękach mojej matki, w kraju panuje spokój, nic nie zagraża. Mam więc czas czekać, aż się mój wyjazd obmyśli i postanowi. Przede wszystkim — dodał, zwracając się ku tym, których sobie szczególniej pragnął pozyskać — przede wszystkim należy sprawy tego królestwa tak ułożyć, aby mu pokój i rząd dobry był zapewniony. Jest to moim obowiązkiem i pilno się tym zająć musimy.

²⁹⁰ *Probatum est* (łac.) — Rzecz dowiedziona.

²⁹¹ Przeoczenie autora. Firlej nie żył już w czerwcu 1574 r (zob. przypis 288).

²⁹² *Maciej Żaliński* (Żaliński) — podkomorzy za Zygmunta Augusta, został kasztelanem gdańskim w r. 1574 (zmarł w r. 1587); był on mężem występującej w powieści Żalińskiej, należącej do dworu Anny Jagiellonki

Wszystko, co mówił, było tak piękne, rozsądne, tak pochlebne, iż nikt z senatorów nie zebrał się na odpowiedź. Milczeli pod wrażeniem wiadomości, która ich wcale niespodzianie spotkała, a byli w tak małej liczbie, iż obawiali się rozstrzygać cokolwiek bądź.

Król westchnął.

— Mamy czas — powtórzył — nic dotąd nie nagli — rzekł po małym przestanku — jednakże nic przewidzieć niepodobna. Dla spraw królestwa mojego francuskiego mogę się stać potrzebnym, prosiłbym więc was, abyście zwołanie sejmików i sejmów przyspieszyli.

Po przemówieniu króla panowało milczenie, szeptano, naradzając się, kto odpowie. Przypadło to na Zborowskiego, który począł od wyrażenia żalu i współczucia dla króla.

— Miłościwy Panie — dodał — dozwolisz, abyśmy tak niespodzianie zaskoczeni naradzić się mogli. Sprawa wielkiej wagi, nas gromadka mała, a odpowiedzialność ciężka ważna.

Usłyszawszy to król, jakby rad był od dalszych rozpraw się uwolnić, powstał żywo i oświadczył przez Pibraka, iż pozostawia panów senatorów dla dalszego roztrząsania, co czynić mają, a sam zabrał się do wyjścia.

Zgromadzeni panowie, w milczeniu pożegnawszy Henryka, pozostali na swoich miejscach i po oddaleniu się jego siedzieli strwożeni, niepewni, co począć, jakby grom padł między nich. Na twarzach widać było pomieszanie. Karnkowski szczególnie, biskup kujawski, blade, drżący, zdawał się tą nowiną do rozpaczki przyprowadzony. Należał on do tych, co z Tęczyńskim króla popierali i największe na nim pokładali nadzieje. Sama myśl, iż Henryk mógłby się oddalić i zaniedbując polskie sprawy, poświęcić całą Francji, przerażała biskupa.

Wkrótce po wyjściu króla, zagotowało się od namiętnych rozpraw w sali senatorów i trzy godziny trwały głosy różne, utyskiwania, obawy, przewidywania, które się tym skończyły, od czego się rozpoczynały — potrzeba było co najrychlej zwołać panów, rozesłać listy do szlachty, zgromadzić naród, aby rozstrzygnął, czy może dopuścić nowo obranemu królowi swojemu wyjechać do Francji, gdzie mógł być narażonym na wojnę domową i na niebezpieczeństwo.

W chwili, gdy okryty płaszczem żałobnym król kroczył do sali oznajmić o śmierci brata zwołanej radzie, tajemnica dotąd zachowana o nadeszłych z Francji wiadomościach dłużej się już utrzymać nie mogła. Zdradzili ją Francuzi sami. Ochmistrz Koniecki, który właśnie szedł do infantki, spotkał w korytarzu Tęczyńskiego. Blade i pomieszany podkomorzy zatrzymał go i szepnął smutną nowinę. Koniecki, człowiek słaby i trwożliwy, zapytał, podnosząc ręce do góry:

— Panie hrabio! A cóż będzie z infantką? Z królem? Ze ślubem?

Tęczyński poruszył ramionami.

— Król do Francji chce jechać! — odparł, odchodząc śpiesznie. Nie mogąc od nikogo się o niczym więcej dowiedzieć, ochmistrz pośpieszył na górę do swej pani. Tu nie wiadano, nie domyślano się nic jeszcze. Donoszono tylko Annie, iż wczoraj kilku posłów przybiegło z Francji. Krajczyna z Zosią Łaską stały, oczekując na królownę, gdy Koniecki wpadł, ręce łamiąc.

— Król francuski umarł! — zawołał. — Wiadomość przyszła z Paryża. Nasz Henryk zmuszony, czy po dobrej woli wybiera się do Francji. Matka go powołuje.

Kończył te wyrazy, gdy weszła powolnym krokiem Anna, zbladła dosłyszawszy, co przyniósł, i Łaska musiała ją podtrzymywać, bo się zlekła, ażeby nie osłabła. Królowna, pobożna zawsze, zaledwie ochłonawszy, z rezygnacją ukłękła przy krześle najbliższym stojącym i poczęła modlitwę za duszę zmarłego. Za przykładem jej poszli wszyscy. Pragnęła dowiedzieć się szczegółów, bo Koniecki tak jak nic nie przyniósł, oprócz wiadomości o śmierci. Nie było kogo posłać, do kogo się zgłosić o szczegóły. Król, zanadto zajęty sobą, o infantce zapomniał.

Ochmistrz przypominał sobie dopiero teraz, iż kolebkę biskupa chełmskiego widział w podworcu i domyślił się, że musiał się w senacie znajdować; poszedł do niego. Wprędce powrócił z nim razem.

Biskup jak inni senatorowie był jeszcze pod wrażeniem trwogi, jaką obudziło w nich żądanie króla. Biskup kujawski właśnie był rozpoczął rozprawy od tego, iż należało zwołać co rychlej sejm, ale o ile możności starać się króla zatrzymać. Tęczyński i inni zdawali się obawiać, aby król, zwłoką zniecierpliwiony, nie postąpił samowolnie. Trzeba mu było ułatwić podróż. Biskup kujawski się temu sprzeciwiał, miał przeczucie, choć się z nim nie objawiał, że raz wyjechawszy z Polski, król do niej nie powróci.

Od biskupa chełmskiego niewiele się mogła dowiedzieć królowna, mówił tylko, że choć król zdawał się cierpliwie chcieć czekać na zezwolenie wyjazdu, widać było, iż go pilno potrzebował.

W duszy Anny razem z pierwszą wieścią o śmierci króla wstąpiło przekonanie, iż marzenie o Henryku, o małżeństwie, o przyszłości było skończone! Nie pozostawało jej nic już nad serce boleśnie ściśnięte ostatnim zawodem w życiu. Na powiekach kręciły się łzy, których nie chciała przed ludźmi pokazać, wstydząc się swojej słabości.

Z zamku odgłos o śmierci francuskiego króla, razem już o żądaniu wyjazdu Henryka, z szybkością błyskawicy przeszedł do miasta. Niepodobna odmalować wrażenia, jakie uczynił. Niechęć ku Francuzom była i tak już podniecona, wybuchła ona zaraz gwałtownie, bo wnet zaczęto, uprzedzając najmniejszą oznakę prawdopodobieństwa, wołać, że król niezawodnie Polskę opuści. Jedni się tym niemal cieszyli, drudzy chcieli gwałtem wstrzymywać Henryka! W jednej chwili na Rynku, po ulicach, w Sukiennicach, na Ratuszu ludzie się gromadzić, zbiegać, rozprawiać zaczęli, przybierając tak groźne postawy, jak gdyby już się coś stało albo natychmiast zagrażało. Ruch, który panował między Francuzami, a z tym się oni nie mogli ukryć, usprawiedliwiał poniekąd niepokój miasta. Oprócz tego z zamku, ze dworów senatorów, około południa zaczęto wyprawiać gońców, listy, posłańców na wszystkie strony.

Sederyn, postrzegłszy, co się dzieje, co najprędzej wyprawił na zamek, zaklinając Henryka, aby czynił, co tylko było w jego mocy, dla uśpienia podejrzeń, dla uspokojenia ludzi, którzy już odgadywali ucieczkę.

Co do osoby swej Henryk, nadzwyczaj umiejętnie panujący nad sobą, był pewnym, że się nie zdradzi; im niecierpliwym był, tym udawał spokojniejszego, ale Pibrak i inni nie umieli, choć się o to starali, ukryć gorączki, jaka ich paliła. Król musiał kazać natychmiast zwołać Larchanta i zalecić mu, aby we dnie najmniejszych przygotowań, najmniejszego krzątania się i ruchu nie było na zamku.

Krassowski karzeł, który naówczas w kamienicy Zborowskich mieszkał i tam się o śmierci Karola dowiedział, nim miał czas, ubrawszy się żałobnie, do króla z kondolencją pośpieszyć, z kilku różnych ust dowiedział się, jakoby za najpewniejsze, że Henryk jedzie do Francji, a jeżeli mu pozwolenia odmówią, gotów uciekać. Krassowskiemu, który lepiej niż inni znał Henryka, wydało się to prawdopodobnym, ale oburzyło go. On, tak samo jak biskup kujawski, jak Tęczyński, jak wszyscy przyjaciele króla, narażonym był srodze, odpowiedzialnym prawie, gdyby on, lekceważąc Polskę, miał ją opuścić. Krassowski pierwszego, co mu o tym powiedział, zgromił, ale nim się dostał do zamku, pięć czy sześć osób spotkanych po drodze powtórzyło mu, że Henryk niezawodnie uciekać myśli. Jeden z panów (był nim młody Radziwiłł Sierotka) szepnął na ucho karłowi, że przygotowania nawet pewne dostrzeżono na zamku i u Sederyna. Krassowski co najprędzej pognął na zamek, ale król właśnie po naradzie senatorów słuchał sprawozdania biskupa kujawskiego, dostąpić do niego nie było można...

Karnkowski zaklinał Henryka, aby miał cierpliwość, aby nie czynił nic bez zgody senatorów. Z uśmiechem jako odpowiedź uspokajającą Henryk, przewidując już potrzebę tego,

wskazał biskupowi świeżo przez Pibraka wygotowany akt, którym królowej matce dawał pełnomocnictwo do rejencji.

— Widzisz, ojciec mój — rzekł — że gdybym nie chciał pozostać i cierpliwie czekać, co postanowicie, nie potrzebowałbym wysłać matce tego aktu, który Bellièvre dziś z sobą zabiera. Proszę więc was, pokażcie to senatorom, uspokójcie ich, zapewnijcie, że nie uczynię żadnego kroku bez wiedzy waszej.

Karnkowski wyszedł, dziękując Bogu, iż król się okazał tak powolnym, gdy niemal gwałtem wtargnął na pokoje karzeł i padł Henrykowi do nóg. Począł od oplakiwania Karola, dla którego król łez nie miał już... zmarszczył się smutnie tylko.

— Najjaśniejszy Panie — dodał natychmiast karzeł, podskakując, aby się lepiej dać słyszeć. — Na Boga w Trójcy Jedynej, po całym mieście krąży pogłoska, że chcesz ujechać, ludzie mówią: uciekać! Zlituj się nad sobą i nad nami!

Łamał ręce zrozpaczony.

Henryk parsknął doskonale udanym śmiechem.

— Oszalałeś, *petit Jean*!²⁹³ — zawołał. — Oszalałeś! Jakże możesz ty, co mnie znasz od tak dawna, posądzić o cos podobnego? Ja? Uciekać? Godziż się, abyś ty to powtarzał! Na co uciekać mam, gdy mi niezawodnie jechać pozwolą, a sejm już dziś zwołują?

Król mówił z takim przekonaniem, z taką gorącością, tak oburzony razem, iż Krassowski, choć znał jego umiejętność oszukiwania ludzi, bo nieraz padł jej ofiarą, uwierzył mu i począł ręce białe całować.

— A, królu mój, panie mój — odezwał się z zapalem. — Nie wierzyłem temu, ale po całym mieście niegodziwi o tym trąbią, lud się rozgorączkowuje, nieprzyjaciele podpalają.

— Nic dziwnego, że głupia gawiedź takie nedorzeczości wymyśla — zawołał król — ale *petit Jean* nie powinien był ich powtarzać. Mój drogi, królowie nie uciekają, a ja nie mam żadnego powodu tak się na złamanie karku śpieszyć do Francji. Królowa matka mnie zastępuje, d'Alençon tak dobrze jak pod strażą, inni w Bastylli już lub w ucieczce. Nie obawiam się nikogo, mogę czekać.

Uspokoił się Krassowski.

— A, tak! — zawołał z zapalem. — Czekaj, królu mój, najpiękniejszy orszak Polaków będzie ci towarzyszył, zyskasz ich miłość, nie czyni im sromu.

Henryk śmiać się zaczął znowu.

— Proszę cię — przerwał — jak ja, śmieję się z tego... nie ma w tym sensu, co ludzie plotą!

Od króla rozgorączkowany karzeł biegł prosto do królowej. Obawiał się, aby do niej nie doszła wiadomość ta o zamyślanej ucieczce, śpieszył uspokoić Annę. Był tu pożądanym bardzo gościem, bo u królowej łąknęli wszyscy wieści, a nikt nie przychodził, czuła się opuszczoną. Kto żył, około króla i jego dworu szukał lepszego obeznania się z położeniem. Wszystkie panie i sama Anna wyszła do Krassowskiego, który ledwie dyszał ze zmęczenia.

— Wprost przychodzę od króla — począł żywo. — Niegodziwi ludzie rozpuścili już wieść, jakoby król uchodzić zamyślał, nie czekając zezwolenia na podróż od panów senatorów. Ale Henryk mój śmieje się z tego i ani myśli się stąd ruszać. To są potwarze.

Spytała królowna, czy mocno był zasmucony zgonem brata, boleścią, jakiej musiała doświadczyć matka, dotknięta tym zgonem. Na to naiwne pytanie karzeł nie umiał odpowiedzieć, tak dowodziło nieznanomości wielkiej stosunków rodziny. Objasnić zaś królownę, że matka nie kochała syna, że sama spiskowała przeciw niemu, że brat nie cierpiał brata i że się cieszyć mógł z jego zgonu... nie mógł Krassowski. Spuścił oczy i milczał.

Gdy się to działo u królowej, na dole u króla, w mieście nieustannie mieniali się przybywający i odjeżdżający. Francuzi jeden po drugim opuszczali Kraków. Panowała między nimi

²⁹³ *petit Jean* (franc.) — mały Janku (Krassowski miał na imię Jan)

jakby panika jakaś, która sprawiała, że jeden przed drugim prosili się, domagali, błagali, aby ich do Francji puszczono. Bellièvre pierwszy pożegnał króla, zabrał listy i jawnie, w biały dzień ruszył z pośpiechem wielkim, ale to się tłumaczyło potrzebą wysłania przez niego listów pełnomocniczych. W istocie zaś powierzonym mu było zapewnienie się, iż konie dla króla przysposobione zostaną na drodze. Na Sederyna i Larchanta nie można się było całkiem spuścić, bo król naglił, nie dając im czasu do przygotowania przepręgów. Bellièvre miał czekać Henryka u granicy. Tego nikt się nie domyślał. Wkrótce po nim potajemnie pozawijane w tłumoczki i skrzynki klejnoty, perły, łańcuchy, co Henryk miał najdroższego — obawiając się, aby mu tego nie zatrzymano — wyprawił, powierzwszy zaufanemu Ardier des Isoires, który dla bezpieczeństwa innym miał się udać gościńcem. Na ostatek pod wieczór de Neufvy wyprawiony został wprost do Wiednia, do cesarza, oznajmując mu o rychłym przybyciu króla.

W tym samym dniu, gdy panów senatorów łudził zapewnieniami, że nie potrzebuje się śpieszyć wcale, że czekać będzie cierpliwie, aż sejm postanowi o wyjeździe, król już stanowiąco się ważył na ucieczkę. Wszystkie do niej przygotowania były poczynione.

Z nadzwyczajnego ruchu i niepokoju na dworze można się było wprawdzie domyślać czegoś i ludzie podejrzewali Henryka, ale Tęczyński, biskup Karnkowski, Zborowski gromili tych, co śmieli przypuszczać nawet, ażeby miał tak sromotnie chcieć ich oszukiwać. Podkomorzy przysięgać za króla był gotów, gardło dawać za niego, łajał i sprzeczał się, gdy mu wspomniano o tym, że króla należało pilnować. Wielu w istocie było tego zdania. Tęczyński, który sam nigdy nie kłamał, którego rycerskie słowo nie było nigdy złamanym, porywał się do oręża za cześć królewską. Tak samo Krassowski teraz, pozyskany i przekonany, bronił Henryka.

Z twarzy Francuzów czytać można było, co kto chciał. Jedni z nich chodzili posępni jak noc, co zdawało się dowodzić, że nie spodziewają się rychło zobaczyć Paryża, drudzy biegali, śpiesząc się, niecierpliwiając, przygotowywać zdając do podróży. Lecz niektórzy z nich mogli bez króla być wysłani i w istocie wielu z nich za pozwoleniem, a kilku podobno bez wiadomości samowolnie się wymknęli.

U Sederyna teraz pełno ciągle było, a między Starą Mynicą i Wawelem jakby prąd płynął nie ustający. Sam tylko gospodarz, zdaje się naumyślnie, nastęczał się we wrotach oczom ciekawych, ażeby dowieść, iż nic nie robił i tak bardzo zajęty nie był. W ciągu dnia Villèquier i Souvray kilka razy przyjeżdżali do niego. Francuzom pomimo to zdawało się, że doskonale przygotowania były zatajone i nikt się niczego nie domyślał.

U królowej przez całą środę oczekiwano lub odwiedzin króla, albo wiadomości od niego. Koniecki jednak tłumaczył go, iż tak był z panami senatorami, z Francuzami odjeżdżającymi do Paryża zajęty, pisanie listów, naradami, odprawą, że ani chwili wolnej nie miał. Późnym wieczorem, gdy się już panie rozchodzić miały, a Annę krajczyna odprowadzić na spoczynek, oznajmiono Talwosza. Czekał on na królową bladej i smutnej jak zawsze. Wyszła sama do niego.

— Co mi tam przynosisz? — rzekła, zbliżając się. — Pewnie ani dobrego nic, a wątpię, by co nowego. Na zamku tu dziś sądny dzień.

— O, i na mieście nie lepiej — odparł Litwin — chyba gorzej, bo tu nikt by się tego nie ważył mówić, co w Rynka głośno krzyczą.

Królowna zbliżyła się z ciekawością, Talwosz głos zniżył.

— Nie ma wątplenia — rzekł — że król rychło nas porzuci.

— A, baśnie to są — przerwała Anna. — Był u mnie Krassowski, król się z tego śmieje i ani myśli śpieszyć.

— Wszystko to na oślepienie nasze się mówi i czyni — odezwał się Talwosz spokojnie. — Wolno W. Król. Mości wierzyć mi albo nie, ale wiem o tym najpewniej, że Sederyn królowi i jego towarzyszom konie gotuje i że jeżeli nie dziś, to jutro nocą się wymknie.

Oburzyła się mocno królowna Anna.

— Mój Talwoszu — zawołała — już ciż go takim oszustem i kłamcą nie godzi się czynić bez dowodu. Tego się on nie dopuści! To nie może być!

— Z pewnością się to stanie — rzekł Talwosz — ja wiem o tym najlepiej, a jedynym sposobem, aby temu zapobiec, królowi sromu a nam też oszczędzić boleści i wstydu, jest zawczasu dać znać panom senatorom. Ja za małym jestem człowiekiem, abym się ważył na to, lecz nie chcę mieć na sumieniu, iż wiedząc, choć W. Królewskiej Mości o tym nie oznajmiłem. Król uciecze...

Powtórnie zżymnęła się Anna.

— Nie mów mi takich rzeczy — odezwała się do Talwosza. — Z dawna to uważałam, że serca do niego nie masz, więc łatwo wierzysz złemu. Ludzie plotą...

Litwin się uśmiechnął.

— A gdy się sprawdzi? — spytał. Anna stała zamyślona czas jakiś.

— Gdyby się to sprawdziło, zaprawdę byłoby dla nas nieszczęściem wielkim, lecz Bóg wie, co czyni. Jemu ufajmy.

Ja już nic słuchać nie chcę — dodała, ręką mu dając znak pożegnania. — Zdrów bądź, mój Talwosz.

Skłonił się Litwin i odszedł.

Pomimo tego zgodzenia się z wolą Bożą, gdy królowna wróciła do krajczynej, wypieczone na jej twarzy rumieńce i oczy błyszczące jakby przestachem i niepokojem zdradzały, że dusza silnie poruszona została. Nie dowiedziała się od niej nic krajczyzna, gdyż uklękła zaraz na modlitwę.

We czwartek spokojniej było na zamku, po odjeździe kilku Francuzów, a żaden poseł nowy nie przybył. Król przestrzeżony przez cały dzień ten udawał bezczynnego i obojętnego, ruch około niego ustał, Francuzi siedzieli spokojnie, niektórzy z nich spali na zapas może, aby później bezsenność lepiej mogli wytrzymać.

Na mieście, pomimo to, raz rzucona wieść, że król uciekać chce, uporczywie się utrzymywała. Około domu Sederyna krążyli ciekawi, na zamek zaglądali inni, szukano pozorów, aby się tu dostać, podsłuchać i podpatrzeć coś. Larchant, kapitan straży, o ile mógł i umiał, nie dopuszczał tu gawiedzi.

Przez cały dzień ten Tęczyński prawie nie odstępował króla. Trwożył się jakoś, przeczuwał, czy go zaniepokojono, lecz okazywał się tak ciągle czujnym, nie dowierzającym, że król pod wieczór zaczął mu czynić wymówki.

— Mój hrabio — rzekł do niego — nieufność względem mnie innym być może przebaczoną, ale nie wam. Dałem wam tyle dowodów życzliwości mojej, iż mi trochę wierzyć powinniście. Skąd ten niepokój? Posądzacie mnie?

— N. Panie — zawołał Tęczyński — ja mam w was nieograniczoną ufność, słowo wasze dla mnie święte... lecz mimo woli ulegam temu, co mnie otacza. W mieście niewysłowiona panuje trwoga, senatorowie jej ulegli. Ślą do mnie, dowiadują się, niepokoją.

Król, który śmiechem — bo mu się łatwo zdobyć było na niego — zbywał najczęściej wszystko, rozśmiał się głośno.

— Co za dziwactwo! — zawołał.

Ale wnet rozmowa się zwróciła dziwnie.

Tęczyński niedawno przedtem darował był pięknego konia królowi.

— Bardzo żałuję, że go jeszcze nie mógł spróbować — rzekł Henryk — ale w tych dniach nie miałem ani godziny swobodnej. Wytrzymały on jest?

— Jak wszystkie nasze i wschodnie — zawołał Tęczyński — nie wymagają one zbyt wielu starań, a często niemal samą wodą żyć umieją. Nasi żołnierze, zmuszeni w stepach wyschłych ścigać Tatarów, zimą czynić wycieczki, gdy strzechami domostw konie żywić potrzeba, muszą mieć też pod sobą szkapy tak wytrzymałe jak oni.

Zawczasu król ziewać począł, skarżył się na znużenie i Tęczyński go do sypialni odprowadził. Tu już służba czekała na niego. Henryk położył się do łóżka. Podkomorzy tak był jeszcze niespokojny i strwożony, że dnia tego nie odjechał do domu i kazał sobie łada jaką pościel rzucić w zamku na dole. Do późnej nocy zasnąć nie mógł, zrywał się potem ze snu razy kilka i do dnia był na nogach. Lecz cała ta trwoga okazała się próżną. Król wstał o zwykłej godzinie — nic nie zwiastowało, aby podejrzenia były uzasadnione. Tęczyński znacznie się uspokoił. Inni panowie trwali i w podejrzeniach, i w obawie. Biskup Karnkowski, jak świt, przysłał na zamek do podkomorzego, domagając się wiadomości o królu.

Henryk wstał dnia tego z pogodniejszą twarzą, weselszy i widocznie usiłował zadać kłam rozsianym pogłoskom. Villèquier przyszedł rano zafrasowany.

— Wszystko przygotowane — rzekł do króla — ale pomimo naszych starań, abyśmy po sobie nie dali poznać, że się gotujemy uciekać, ktoś nas zdradzić musiał. Sederyn powiada, że senatorowie na noc domagają się straży przy zamku po wszystkich furtach. Tęczyńskiemu pokoju nie dają, czyniąc go odpowiedzialnym za wszystko. Lękam się...

— Bądź co bądź — przerwał król niecierpliwie — co postanowiono, trzeba spełnić. Dziś w nocy musimy uchodzić, jeden dzień dłużej, a wszystko się wyda. Błąd popełniliśmy, iż tej nocy nie uszedłem. Idź, gotujcie się, to moje ostatnie słowo. Dziś!

I król słuchać już nie chciał swego ulubieńca, który odszedł zmieszany.

Po Villèquier, Souvray przybył z tym samym doniesieniem i taką samą dostał odprawę. Henryk zagryzał usta gniewny.

Pora obiadowa nadeszła, król jadł sam, paziowie mu posługiwali. Zatopiony w myślach siedział, niewiele mogąc wziąć do ust, gdy usłyszał chrząkanie od progu.

We drzwiach stał w fartuchu białym, z twarzą niewiele od niego różniącą się barwą, kuchmistrz, którego król odziedziczył po Jagiellonach, pan Franciszek Allemani. Zjawienie się nie powołanego przed oblicze królewskie mogło zdziwić zaprawdę. Musiał bowiem wtargnąć przebojem mimo służby.

Król podniósł ciekawe oczy ku niemu. Sądził, że przychodzi z jaką skargą na Francuzów, bo te się często trafiały.

— Co ty tu robisz? — zapytał król, marszcząc się nieco. — Chcesz, bym ci za obiad podziękował, którego nie jadłem. Allemani dziwną twarz ułożył, bojaźliwie się oglądając dokoła.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się, przystępując bliżej. — Najjaśniejszy Panie, proszę o przebaczenie, sądzę, że obowiązkiem moim było przestrzec.

— O czym?

— Nie mówię o tym, że na mieście, ale w kuchni i po zamku wszyscy rozgadują, że W. Król. Mość masz dziś nocą ujść z Krakowa!

Zzymnął się król z początku i rzucił gniewnie, ale natychmiast przyszedł do siebie, spojrział ostro na kuchmistrza i śmiać się zaczął.

— Dziękuję ci za przestrogę — odparł, obojętność udając. — Tymczasem jednak proszę, abyś obiad na jutro przygotował jak zwykle.

Allemani, uspokojony czy nie, miał odchodzić, gdy choć to nie jego była godzina, wpadł Tęczyński.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał od proga — w mieście popłoch i żal okrutny. Wszyscy twierdzą, że chcesz nas porzucić i odjechać potajemnie. Trwoga niezmierna.

Król wstał od stołu posępny i z wyrzutem się zbliżył do podkomorzego.

— Mój hrabio — odezwał się poważnie — ludzie rozsądni jak wy nie mogą temu dawać wiary. Wiecie, co rada senatorów postanowiła. Co się tyczy głupiego tłumu gawiedzi, która nie wie, co plecie, dajcie jej pokój. Nie dbam o plotki, a idzie mi o dobre imię.

Tęczyński zdawał się uspokojonym i podziękował królowi.

— Bądź co bądź — rzekł — ponieważ pogłoski się szerzą, a umysły burzą, muszę iść upewnić i zabezpieczyć lękliwych.

— Idź, mój hrabio — rzekł król — powiedz, żeś się widział ze mną i co słyszałeś ode mnie.

Po wyjściu hrabiego nadszedł Villequier i Souvray, oba dosyć niespokojni, potwierdzając to, co mówił hrabia. W chwilę potem przyłączył się do nich Larchant z oznajmieniem, że około wrót i bram stawiano wszędzie strażę.

Król spojrział na niego.

— Niemniej — rzekł stanowczo — com postanowił, spełnić się musi.

Larchant skłonił głowę w milczeniu.

— Będziemy szukać środków — rzekł i wyszedł.

Nadchodził wieczór. Król niespokojny przebiegał komnaty, to jednego, to drugiego ze swych dworzan przywołując i wyprawiając z cichymi rozkazami.

Zmierzchało, gdy znowu powrócił Tęczyński, udając zupełnie uspokojonego, lecz nie mogąc zaprzeczyć się tego, iż drudzy senatorowie i miasto trwało w obawie.

— Ażeby raz was i wszystkich upewnić, że nie myślę wcale uchodzić — odezwał się król, ziewając — zdaje mi się, najlepiej uczynię, gdy przy was pójdę do łóżka. Możecie pozostać na straży, dopóki nie zasnę, a spodziewam się wprędce zasnąć, bo jestem tym wszystkim znużony i zmęczony.

Wkrótce potem wniesiono światło. Henryk kazał łóżko przygotować i w sypialni służbę zwykłą paziów postawić. Tymczasem spokojnie dość rozprawiał ze swym podkomorzym. Godzina do snu była za wczesna jeszcze, gdy na znak króla otworzono drzwi sypialni.

— Chodź ze mną — odezwał się do Tęczyńskiego. U królewskiego łóża, którego firanki były rozsunięte, stali paziowie, którzy w nocy czuwać tu mieli wedle zwyczaju. Król z gorączkową niecierpliwością, podżartowując sobie z bojaźni senatorów i Tęczyńskiego, zaczął się rozbierać i rzucił na łóże.

— Siadaj przy mnie — rzekł do hrabiego.

Mówili jeszcze chwilę o rzeczach obojętnych. Wtem wśród rozmowy, dosyć już ostygając, ujrzał Tęczyński, że król drzemać zaczął. Odegrzywał komedię z wielką sztuką. Przebąkiwał coś niewyraźnie, słowa mu zamierały na ustach; powieki kleiły się i podnosiły, nareście opadły, usta otworzyły jakby mimowolnie, lekkie chrapanie słychać się dało. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, król spał.

Zupełnie już uwiedziony i spokojny podkomorzy podniósł się cicho, jak najmniej czyniąc szelestu, z wolna zasunął firanki, kazał w zwykłym miejscu ustawić światło, dwóch paziów posadził na straży, a sam na palcach wymknął się z sypialni, z zamku i udał do miasta.

Na zamku najgłębsze panowało milczenie, światła pogasły; służba zabierała się do snu.

Jeden pan Franciszek Allemani, który odprawiony szyderstwem przez króla odszedł niezupełnie przekonany, a z natury był podejrzliwym, nie odszedł na spoczynek. Chodziło mu to po głowie, co w ciągu dnia widział i słyszał. Uderzyło go, że Villèquier, Souvray, Larchant, Miron i niejaki du Halle prosili wcześniej o wieczerzę, kazali ją sobie podać osobno, jedli i pili, ciągle coś szepcząc i naradzając się, a natychmiast po skończeniu jej w różne strony rozchodzić się zaczęli z pośpiechem. Ciekawy Allemani podglądał i niepokoił się wielce.

— Coś się święci — powtarzał w duchu — temu Francuzikowi dowierzać nie można. Wszyscy oni, poczynawszy od niego, kłamią bardzo zręcznie. Coś się gotuje.

Poszedł obejrzeć się około wrót i bramy. Wszędzie stały straże, ale dowiedział się razem, że Villèquier, Miron i wszyscy, oprócz Souvraya, wysunęli się za miasto. Allemaniemu zaręczał postawiony przez niego roztropny chłopak, że ci panowie nie musieli się w podróż wybierać, bo wyszli bez butów i bez ostróg.

— Jak gdyby butów i ostróg pod płaszczem nie można ukryć — zamruczał Allemani, który ciągle jeszcze nie mógł się dać przekonać, że król uciekać nie myśli.

Jakieś przeczucie trzymało go na nogach. Przypomniawszy sobie furtę niezbyt strzeżoną i mało znaczną, która na Kazimierz wychodziła. Poszedł sprawdzić, ale tu nie znalazł straży. Drzwi kute zaparte były drągiem i mocnym zamkiem obwarowane. Wiedział, że u burgrabiego były klucze. Świeciło jeszcze w oknie u niego. Allemani wszedł z pozdrowieniem. Nie chciał się zdradzić ze swym szpiegostwem, a pragnął czegoś dowiedzieć.

Burgrabia pacierze odmawiał, stojąc już w jednej koszuli. Pan Franciszek go pozdrowił, byli ze sobą bardzo przyjaźnie.

— Gdybyście byli łaskawi klucza mi dać od furtki na Kazimierz, mam sprawę do miasta — rzekł, kłaniając się, kuchmistrz.

Burgrabia przeżegnał się właśnie, kończąc pacierze.

— Ale ba! Gdybym miał klucz, dałbym go wam chętnie — odparł — lichy nadało, że mi ten rozpustnik Suwra, czy jak się on tam zowie, który przy królu jest, tylko co go wyprosił. Powiada, że go jakaś mieszcza na wieczerzę w cztery oczy zaprosiła! O, ci Francuzi!

Allemaniemu ciarki poszły po grzbiecie.

— Masz tobie! — zawołał — Suwra! Najpewniej dla króla.

Burgrabia jeszcze mu się uniewinniał i tłumaczył, gdy kuchmistrz, już o furtę niespokojny, żegnał go, wyszedł co prędzej i pośpieszył stanąć na straży.

Drąg założony na furtce dowodził, że Souvray nie korzystał jeszcze z klucza. Allemani postanowił ukryć się w ciemnym kurytarzyku, z którego furtę i drogę do niej przez podwórze prowadzącą dobrze widać było. Serce mu biło żywo. Nie lubił króla, a przywiązał się do Polski i dworu. Uciekać stąd wydawało mu się zbrodnią nieprzebaczoną.

W zamku panowała cisza, którą zaledwie dalekie powolne stąpanie straży przerywało. Od miasta dolatywały dźwięki bijących zegarów. Allemani godziny już pogubił. Noc była bardzo ciemna.

Stał już tu dosyć długo i zaczynał się namyślać, czy nie nadaremnie się trwożył, gdy ciche stąpanie kilku osób usłyszał. Ktoś szedł od zamku do furty. Allemani ustawił się tak, aby mógł widzieć jak najlepiej. Był pewien, że Souvray nadchodził i że nie był sam.

Z dala jak trzy cienie ukazały się niewyraźne trzy postacie. W jednej z nich łatwo było poznać barczystego i silnego Souvray; drugiej Allemani nie umiał nazwać, ale był pewien, że królem być nie mogła, trzecia...

Pomimo płaszcza, mimo niezwykłego okrycia głowy, wzrost, ruchy, wszystko tak nadzwyczaj podobne było do Henryka, że Allemani ręce załamał. Gdy idąc bardzo ostrożnie, oglądając się dokoła, zbliżyli więcej, kuchmistrz nie tylko poznał już króla, ale stłumiony głos jego mógł rozemnać.

On to był! Nie ulegało wątpliwości!

Trzy cienie z wielkimi ostrożnościami przysunęły się do furty, dwaj barczyści Francuzi odjęli drąg i bacznie, aby nie uczynić hałasu najmniejszego, złożyli go na ziemi. Souvray dobył klucz z kieszeni, z wolna okręcił nim w zamku, drzwi się otworzyły. Król pierwszy lekko i pośpiesznie próg przeskoczył. Allemani słyszał zamykającą się furtę, chodzący w zamku klucz. Wszystko było skończone.

Przez chwilę Allemani tak zburzony był, że chciał krzyknąć i rzucić się na uchodzących, co niezawodnie by życiem przypłacić musiał, lecz na myśl mu też przyszło, iż niekoniecznie wyjście z zamku nocne mogło oznaczać ucieczkę. Wiedzieli wszyscy, że król miał kochanki w mieście, że niejeden raz się do nich wymykał. Zrobić alarm nadaremny, króla sobie narazić było nierozumnym. Co teraz miał począć?

Pot kroplami spadał mu z czoła. Namyslił się. Miał na sobie suknie jeszcze, jak stał zwrócił się nazad do burgrabiego, który już do snu się zbierał.

— A wy tu jeszcze, *signor* Allemani? — zamruczał stary dosyć kwaśno.

— Jak widzicie, powracam do was — odparł kuchmistrz. — Bądź co bądź, potrzebuję na miasto, otwórzcie mi którąkolwiek furtę, dajcie klucz, jaki chcecie. Sprawa pilna, służba królewska.

Burgrabia na stole wśród mnóstwa rozrzuconych kluczy począł szukać pośpiesznie i na ostatek podał Allemaniemu ogromny klucz, który mu inną furtę boczną miał otworzyć.

— Ale, na miłość Bożą — dodał, odprowadzając go do progu — zamykajcie za sobą i nie wpuszczajcie ani wypuszczajcie nikogo.

Zaledwie coś odpowiedział, kuchmistrz śpiesznym krokiem podążył ku furcie wskazanej. Otworzył ją z łatwością, lecz gdy próg przestąpił, dwóch ludzi wyskoczyło z obu stron zza przymurków i zaparło mu drogę. Jeden z nich miał nawet latarkę przy sobie i ogromną halabardę w ręku.

— A wy tu co robicie? — zapytał kuchmistrz.

— Postawiono nas na straży!

— Ale mnie wyjść nie możecie wzbronić — zawołał kuchmistrz — idę w pilnej potrzebie.

Ludzie znali go, bo należeli do służby zamkowej, nie odpowiedzieli nic.

— Szkoda, że nie od furty Kazimirskiej was postavili — mruknął Allemani — tam byście się byli może na co przydali.

Spuściwszy się szybko do miasta, dopiero na drodze pomiarkował niespokojny kuchmistrz, iż nie wiedział, gdzie miał Tęczyńskiego szukać. Do domu jego na Podwalu spory był kawał drogi na stare nogi. Nie miał jednak innego sposobu dostania się tam, jak pieszo i dosyć powoli.

U podkomorzego spało wszystko, ledwie się mógł dostukać. Narobił jednak takiego hałasu, że Tęczyński, posłyszawszy go, w koszuli skoczył do okna, wołając:

— Kto tam? Czego?

Położył się do snu niespokojny i zaledwie drzemać zaczął gorączkowo, gdy Allemani go zbudził. Przeczuwał już coś złego.

— Allemani do miłości waszej! Sprawa pilna, wstawajcie!

Bez namysłu podkomorzy przerwał mu ogromnym krzykiem:

— Król!

— Król uciekł! — odparł kuchmistrz.

Nie odpowiadając mu, Tęczyński zbiegł na dół, otwarto drzwi, wszystka służba się zerwała.

— Koni, koni! — wołał podkomorzy, który szalał niemal.

Wybiegł w koszuli do Włocha.

— Możeż to być? — zawołał z rozpaczą.

— Widziałem na moje oczy króla wychodzącego furtą na Kaźmierz ze Souvrayem i drugim Francuzem — odparł Allemani.

— Ale onże był?

— On sam.

Tęczyński ubierał się już, rwąc na sobie odzienie, dawał rozkazy poplątane, bezprzytomny, ludziom swoim dosiąść polecił koni i iść za sobą zbrojnym. Sam pochwycił oręż, ale jeszcze

mu się wierzyć okropnej wieści nie chciało. Dla Allemaniego zaprzężono wózek, aby go odwieźć do zamku, bo stary ledwie dyszał.

Czwałem biegł na Wawel podkomorzy. Tu wszystko spało w najuroczystszej ciszy i spokoju. Tęczyński jak oszalały dopadł do ganku, pobudził służbę, kazał podać światło i z niejaką obawą zbliżył się do drzwi sypialni króla. Zapukał. Żadnej odpowiedzi.

Król mógł spać. Allemaniemu się przywidzieć mogło, budzić go postrachem po tak uroczystym poręczeniu nie śmiał Tęczyński. Wierzył królewskiemu słowu. Zamiast więc dobijać się do sypialni, zwrócił się do znajomego sobie mieszkania Villèquiera... Zastał je pustym. Nikogo!... A co więcej, wielu rzeczy brakło.

Villèquier, myślał jeszcze, mógł się wymknąć na miasto. Zwrócił się do Souvraya. Nie było go także. Coraz niespokojniejszy biegł już do Mirona; nie zastał i jego. Drzwi od mieszkania kapitana Larchant stały otworem, zajrzał tu, i jego nie było na zamku.

Tęczyński przekonany, iż Allemani mówił prawdę, nie potrzebował już nic oszczędzać, nie oglądać się na nikogo. Zrobił alarm, przywołując służbę, a sam pobiegł do sypialni. Drzwi jej zamknięte były wewnątrz. Na próżno silił się je wyłamać. Czasu nie chcąc tracić, okno w korytarz wychodzące wybić kazał i wpadł nareście do komnaty królewskiej. Tu zastał wszystko tak, jak odszedł, dwóch bladych paziów siedziało na swych miejscach u łoża na straży, paliły się świece. Rozsunął firanki. Łóżko było puste.

Paziowie rzucili się mu do nóg, bo był tak wściekłym, iż się o życie swoje ulękli. Tłumaczyli się rozkazem króla. Zakazano im otwierać, aż póki by dzień nie nadszedł.

W jednej chwili cały zamek roił się rozbudzonymi ludźmi. Co pozostało w nim Francuzów, z obawy, aby w pierwszej chwili szалу nie napadnięto na nich, pozabarykowali się w swoich mieszkaniach. Tłum dworzan i czeladzi polskiej napełniał wschody, sienie, pokoje, dziedzińce.

Tęczyński bezsilny, zrozpaczony, upadł na siedzenie, ledwie mając tyle przytomności, aby natychmiast rozesłać gońców do Zborowskich, marszałka i wojewody, do litewskiego marszałka, do biskupa kujawskiego, do wszystkich w mieście się znajdujących.

Noc była ciemna, konno porożsyłani ludzie pochwytili pochodnie i niosąc je zapalone, puścili się na miasto. Spotykanym ludziom, zapytującym z okien przestraszonym mieszkańcom krzyczeli:

— Król uszedł! Król uciekł!

Co się naówczas stało w mieście, jaki alarm poruszył je niewysłowioną trwogą i gniewem, tego opisać niepodobna. Wszystko się przyczyniało do powiększenia wrażenia, jakie ta wiadomość wyrzucić miała. Uspokojenie wrogie mieszczan, obawy od dni kilku już szerzące się, godzina nocna, wrzawa, która dochodziła z zamku, przelatujące po ulicach złowrogie pochodnie, wszystko mnożyło zamieszanie.

Mnóstwo ludzi, nie wiedząc ani jak, ani dokąd króla gonić mają, zrywało się iść w pogoń na wszystkie strony, chwycić zbiega i jako więźnia i wiarołomcę nazad przyprowadzić.

W kilku kościołach, domyślając się pożaru, nie wiedząc przyczyny alarmu i wrzawy, uderzono w dzwony.

Z panów senatorów, kto mógł tylko, na pół odziany przybywał na zamek. Nie chciano wierzyć wiadomości... rozpacz tych, którzy zamek zastali pustym, była okropna. Wszyscy ci, którzy dotąd króla bronili i opierali się przedsięwzięciu środków ostrożności, pokutowali teraz za zbytne swe zaufanie. Na biskupa kujawskiego, na Tęczyńskiego wpadli inni, wyrzucając im opieszałość, a nawet zdradę.

Tęczyński nie umiał się tłumaczyć, nie chciał się uniewinniać — ludzie czekali w podwórku, natychmiast puścił się w pogoń za królem. Łatwo się było domyśleć, że Henryk jak najkrótszą drogą do granicy cesarstwa wybierze.

Chciano przytrzymać Pibraka, którego nie bez przyczyny za współwinowajcę miano, lecz Guy już był ujechał także. Z Francuzów pozostali tylko ci, którzy pod rozkazami byli, a nigdy żadnych nie wydawali. Wszyscy króla ulubieńcy znikli.

Tęczyński z zamku wprost puścił się na miasto i pędził już ku przedmieściom, gdy ujrzał postać jakąś, jak mu się zdawało, niewieścią, z krzykiem zastępującą drogę. Wybiegła ona z kamienicy i zuchwale rzuciła się na konia jego, tak że podkomorzy, choć wrzący gniewem i zniecierpliwiony, zatrzymać się musiał. W istocie stała przed nim kobieta z rozpuszczonymi na ramiona włosami, w płaszczu białym, tak jak się z łóżka zerwała.

— Król! Król! Gdzie jest król? Co się stało z królem? — krzyczała, chwytając Tęczyńskiego i trzymając go zrozpaczona.

— Król uciekł! — odparł Tęczyński. — Puszczaj mnie! Puszczaj!

— Panie! Na Boga! — przeraźliwym głosem poczęła kobieta. — Weź mnie z sobą... Siadam na konia! Daj mi konia! Ja za nim muszę! Ja z nim muszę!

Odepchnął ją ze wzgardą i gniewem podkomorzy.

— Precz! Precz! Stratuję cię koniem! Ustąp!

W chwili gdy kobieta padła na ziemię, sobą mu zapierając drogę, koń Tęczyńskiego skoczył... Krzyk tylko dał się słyszeć. Tatarowie, których miał z sobą, popędzili z nim razem. Kobieta zemdlona pozostała na ulicy.

Królowna Anna, która i tego dnia jeszcze na próżno się spodziewała odwiedzin króla, odmówiwszy modlitwy z krajczyną, po smutnej z nią rozmowie udała się na spoczynek. Niepokój, który od dnia odebranej wiadomości o śmierci króla Francji opanował umysły, dał się też czuć Annie. Nadzieje jej powoli rozwiewały się, pełzły, niknęły. Na próżno przyjaciółki starały się ją w nich utrzymać; nie sprzeciwiała się, ale nie słuchała ich już prawie.

W pierwszym śnie królowna właśnie widziała przed sobą siostrę Katarzynę, wiodącą za rękę synaczka Zygmunta, który się jej uśmiechał, gdy wrzawa jakaś na zamku ją zbudziła. W ciemnych oknach przeleciały jakieś światła pasy, jakby w podwórcach z ogniem ludzie biegali.

Żalińska twardym snem spała obok w drugiej komnacie. Anna, zbudzona nagle, usłyszawszy wrzawę, uległa się pożaru. Pamiętała, że zamek kilkakroć palił się za ojca. Krzyknęła przestraszona.

Z dwu stron wbiegły ze świecami ochmistrzyni i krajczyna, która jeszcze ubrana była, bo ją alarm zastał nad listem od księżnej brunświckiej. Miała już czas wybiec na kurytarz i dowiedzieć się o pogłosce, iż król uszedł. Zdawało się to jednak krajczynie takim niepodobieństwem, tak niemożliwą i straszną rzeczą, że nie śmiała powtórzyć Annie, o czym ją uwiadomiono. Poczęła uspokajać tylko.

— Królowo moja — rzekła — już od dwóch dni plotą ludzie niechętni, nieprzyjaciele królewscy, że miał zamiar uciekać. Wiadomo, że mu się to ani śniło, ale zrobiono w nocy trwogę, wpadli senatorowie... Wszystko to się wyjaśni i za chwilę uspokoi.

Krajczyna w istocie uwierzyć prawdzie nie chciała. Anna z różańcem w ręku, drżąc, zwróciła się do Żalińskiej:

— Idź, proszę cię, niech wiem prawdę. Wśród nocy, w pierwszpy²⁹⁴, żeby się ważono na królewskim zamku na taką trwogę uderzyć! Niesłychana rzecz, powadze majestatu uwłaczająca.

Żalińska także do siebie przyjść nie mogła. Pośpieszyła się przyodziać. Krajczyna nie odstępowała już Anny, którą niepokój przejmował coraz większy. Chciała wstawać, ale Łaska jej nie dozwalała. Upierała się nie wierzyć.

Długimi wydały się te minut kilkanaście, które na powrót Żalińskiej oczekiwać musiano. Zeszła ona aż na dół i wpadła tam w taką ciżbę i zgiełk, iż się z początku nic dopytać nie mo-

²⁹⁴ p i e r w o s p y — pierwszy sen po udaniu się na spoczynek

gła. Znalazł się szczęściem nadbiegający już Koniecki, który był wszystkiego świadomy. Nie było wątpliwości. Ochmistrz widział sypialnię pustą, słyszał, co opowiadano o ucieczce, Al-lemani sam mu potwierdził, co powiadano.

Szli więc nazad do królowej, która się ubrała naprędce i otoczona całym dworem stała jak słup, nie mogąc jeszcze zebrać myśli. Kobiety jedne płakały, drugie starały się ją pocieszać, ale jednych ani drugich nie słyszała. Krajczyna głośniejsze nad inne powtarzała:

—Ale cóż znowu tak nadzwyczajnego! Nie chcieli króla wypuścić, pojechali i powróci. Korony tak, której poprzysiągł, nie porzuci i nie zrzecze się. Patrzyła w oczy Annie, która nie spojrzała na nią.

Tymczasem z dołu to ten, to ów przybiegał z wiadomością o senatorach, którzy się zbierali, o pogoni, która miała wyjść za królem. Wiedziano już, że Tęczyński się natychmiast wybierał pędzić za uciekającym.

Nikt już tej nocy nie pomyślał do łóżka powracać i rozedniało rychło, a dzień znalazł miasto w stanie takiego zburzenia, jak gdyby nieprzyjaciel mu zagrażał. Gawiedź coraz się okrutniej rozpalala przeciw królowi, przeciwko Francuzom.

Pierwszym skutkiem tego poruszenia było, że kupa czeladzi rzemieślniczej, prowadzona, jak się zdawało, przez kilku zamkowych dworaków, napadła na dom Sederyna, spodziewając się tam znaleźć Francuzów. Ale wrota znaleziono zamknięte i od dziedzińca mocno obwarowane, a okna żelaznymi okiennicami z wewnątrz pozabezpieczone. Nie pomogło to. Zaczęto z dragami żelaznymi zbiegać się, aby wrota podważyć i choćby mur rozbijać. W końcu, jak się łatwo było spodziewać, brama nie wytrzymała i pospólstwo się wdarło do Starej Mynicy.

Francuzi, jacy tu byli, czas mieli tyłami zbiec i schronić się na zamek, a Sederyn, także nie czując się bezpiecznym, zniknął.

Gawiedź rozsypała się po izbach i śpichrzach, plądrując, niszcząc, łamiąc i gruchocząc, co napadła. Z ludzi, oprócz miejscowej służby, nie znaleźli nikogo, na kim by mogli zemstę wywierać. Mienia też Francuzów pono tu już nie było i Sederynowe zapasy odpokutowały za jego miłość dla Francji.

Gdziekolwiek oprócz tego w mieście o Francuzach zasłyszano, gdzie się ich domyślano, wszędzie na domy napadano. Żadna siła ludzka tego zdziwałego od żalu i gniewu pospólstwa wstrzymać nie mogła. Dość powiedzieć, że konno jadący co prędzej na zamek Karnkowski referendarz ledwie z życiem uszedł, bo go znając przyjacielem Pibraka, lud kamieniami obrzucił i konia raniono. Biskup nawet w zamkniętej kolebce nie mógł się pokazać na miasto. Oblegały tłumy domy Zborowskich i innych osób znanych ze stosunków z Francuzami. Ci wszyscy niemal, przeczuwając, co ich czeka, w czas jedni na zamek, drudzy do Lippomana, posła weneckiego²⁹⁵, do Dudycza i innych obcych musieli się schronić, szukając u nich opieki.

Nie można było przewidzieć, aby się to rychło ukoilo, bo jak zawsze, gdy się lud zburzy, znaleźli się podżegacze, którzy go jętrzyli i podbudzali do gwałtów. Długo tajona niechęć do Francuzów teraz się swobodnie rozpasala. Po gromadach skupionych w Rynku słychać było mówców wykrzykujących, którzy na próżne beczki albo na przekupek stołki wdrapawszy się, na króla i senatorów wymyślali.

Naprzeciwko Panny Marii stał jeden, który gardło zrywał, dowodząc, że z tego Króla Nocy nic nigdy dobrego być nie mogło.

— Ślepe Mazury go po nocy królem okrzyknęły — mówił — po nocy go koronowano i nocą też uciekł. Nietoperz to, a nie król. Piasta nam potrzeba było, a nie takiego przybłądy zza morza, nieznajomym bełkocącego językiem. Czemu go zaraz nie ożenili panowie senatoro-

²⁹⁵ G i r o l a m o (H i e r o n i m) L i p p o m a n o był posłem weneckim w Polsce w czasach Henryka Walezego; później posłował do Turcji; oskarżony o zdradę, dostał się do więzienia, gdzie odebrał sobie życie (w r. 1591)

wie, którzy się dali pieniędzmi przekupić i krew jagiellońską mu sprzedali? Gdyby się był z królewną ożenił, byłaby go ona umiała utrzymać! Ją trzeba było obrać królową, a chciałby mieć koronę, niechby ją był wziął.

Dalej ku Ratuszowi gorzej było... Tam na stolnicy, którą na fasach ustawiono, czeladź rzeźnicza zrobiła sobie teatr. Występował na nim z cienkimi jak patyki nóżkami, w śmiesznym stroju z jakichś oberwanych sukna kawałków, niby król, Henryka przedrzeźniająca karykatura. Chłopiec udający go wywijał się, kłaniał, brał w boki, tańczył, a gawiedź śmiała się do rozpuku. Ta lalka tak się podobała, że do niej zaraz kilka innych się przyłączyło. Drugi udawał Psubrata (Pibraka), inny Souvraya. Znalazł się na ostatek grający rolę francuskiej dziewczyny, bez której się naturalnie obejść nie mogło.

Ale to było tylko zabawką, gorzej na bocznych ulicach się działo, gdzie do domostw szturmowano, domyślając się w nich schronienia Francuzów. Nie schwytano ludzi, bo ci przestraszeni życie ratowali ucieczką do zamku, po klasztorach i dworach posłów, ale mienia, już jak do wyjazdu poukładanego, rozchwymano dużo.

Wśród tego rozruchu, który ani panowie, ani burmistrze i starszyna nie mogli uspokoić, zmuszając tłumy, aby się rozeszły, znalazł się Talwosz zbudzony zawczasu. Równy z innymi miał do Francuzów i do króla niechęć wielką, ucieczka go napełniła gniewem, ale nie widział, do czego by mogło doprowadzić wicherzenie i krzyki uliczne. Próbował więc, przemawiając do najbardziej rozjątrzonych, nakłonić ich do uspokojenia. Nikt nie słuchał.

Błądził po ulicach, przypatrując się temu, co się gdzie działo, razem z kilku dawnymi towarzyszami i znajomymi, do służby królewskiej należącymi, gdy Tęczyński wyleciał jak piorun z zamku ze swymi Tatarami i służbą. Stanęli, aby się dowiedzieć, dokąd i po co tak śpieszył, gdy o kilkanaście kroków od Talwosza kobieta owa z krzykiem się rzuciła, chcąc podkomorzego zatrzymać.

Usłyszawszy głos jej, Talwosz zadrżał. Począł zaraz, rozpychając tłum, biec ku temu miejscu, w którym Tęczyński się zatrzymał, gdy padła na ziemię i cały oddział podążający za panem przeleciał za nim, czy tratując leżącą na ziemi, czy wymijając ją, tego nie mógł dostrzec Litwin. Litością zdjęty, gdy już w ulicy nie było przy leżącej kobiecie nikogo, nadbiegł, chcąc ją ratować. Chociaż noc była bardzo ciemna, pochyliwszy się nad zemdloną, Talwosz o mało nie krzyknął, poznając w niej Dosię Zagłobiankę. Leżała blada, martwa, tak jak bez życia... ale krwi i ran nie mógł dostrzec.

Drzwi domu, z którego wybiegła, zastępując drogę Tęczyńskiemu, stały otworem jeszcze, gdy inne wszystkie były pozamykane, bo właściciele kamienic obawiali się wszyscy zburzonego pospólstwa. Z pomocą dwóch towarzyszków, którzy nadeszli, Talwosz podniósł z ziemi nie dającą znaków życia dziewczynę i kazał szukać w otwartym domu jej mieszkania a światła. Wybiegli też zaraz gospodarze z kagankiem i Zagłobiankę, we trzech dźwigając zupełnie odrętwiałą i martwą po wschodach, zaniesiono do izb, które na piąterku zajmowała.

Gospodyni na próżno, oblewając ją wodą, ocucić chciała z omdlenia. Zdawało się, że życie z ostatnim krzykiem rozpaczy z niej uciekło. Talwosz jednak upierał się ratować i jednego z towarzyszków posłał po lekarza, a sam co tylko mógł wymyśleć, próbował dla przywrócenia jej zmysłów. Długo wszystkie te usiłowania były próżnymi, a wyprawiony po doktora tak długo nie wracał, iż drugiego przyjaciela za nim wysłać musiał Litwin, sam jeden z Dosią pozostając. On i zrozpaczona a rozplakana stara gospodyni pracowali tak dobrze około zemdlalej, iż w końcu życie jej powracać zaczęło. Konie leżącej wśród ulicy szczęściem nie zgmiotły, czego się Talwosz obawiał, omdlenie było skutkiem wzruszenia, jakiego doznała.

Zaledwie otworzywszy i oprzytomniawszy, Zagłobianka, gdy przypomniawszy sobie, co ją tak przeraziło, zerwała się z krzykiem z łóżka i padła na nie bezsilna. Talwosz począł ją, jak umiał, pocieszać i uspokajać. Rozlała się cała we łzy i jęki. Mówił jeszcze do niej, gdy się zerwała.

— Król? Król? Co się z królem stało? To nieprawda! Nie mógł ujsć!

Załamano ręce. Litwin nie wiedział sam, co miał odpowiadać. Przypadła do niego z rękami zaciśniętymi, błagając:

— Król? Powiedz mi, co się z nim stało? Ci źli ludzie, ci nieprzyjaciele jego, oni gotowi...

— Królowi się nie stać nie mogło — odparł Talwosz — bo uszedł z wieczora i już go ani Tęczyński, ani nikt nie dogoni. Dosia słuchała, patrząc osłupiałymi oczyma.

— Król, król uszedł? — przerwała. — Możeż to być?

— Cały zamek splądrowany, nie ma wątpliwości, nie znaleziono go nigdzie.

Zagłobianka oczy wlepiła w ziemię. Łkanie ustawało, bo gwałt sobie zadawała. Wargi potarzały, szepcząc: — Król... król uszedł... Ani słowa... ani znaku życia... Na zawsze.

Dla Litwina, któremu serce się krajało, nie ulegało wątpliwości, iż ze wszystkich Francuzów król jeden ją tylko obchodził. Poskromił się, aby jej próżnych nie czynić wyrzutów.

Po chwili wróciła, słaniając się, na łóżko i twarz kryjąc w poduszki, płakać zaczęła. Ponieważ wysłani po lekarza nie powracali i mało się ich powrotu mógł Talwosz spodziewać, powierzywszy dziewczę gospodyni, zdawało mu się, iż najlepiej uczyni, gdy ją samą zostawi. Po cichu wysunął się z izby i zszedł w ulicę znowu, myśląc się udać na zamek i zobaczyć, co się u królewnej działo. Zdawało mu się, że Dosia, raz pierwsze wrażenie zwyciężywszy, pozwoli do siebie przyjdzie i uspokoić się potrafi.

Przez Rynek i teraz jeszcze przebiec się nie było łatwo, spokój w mieście nie powracał, kupy ludu krążyły po nim z krzykami, odgrając się przeciwko Francuzom. Po drodze na zamek ciągle spotykał gromady takie rozjuszony, które kolebki senatorów zatrzymywały i żadnym słowem dobrym nie dawały się pohamować.

We wrotach zamku musiano silną straż postawić, aby cisnących się tam nie dopuszczała. Hamowano ciżbę tym, iż królewna na zamku była i ją poszanować należało. Jedno to imię teraz cokolwiek mogło rozbroić. Ci, co się do zamku dostać nie mogli, oblegali go zewnątrz, nie chcąc i nie dając się rozproszyć.

Talwosz, znajomy wszystkim, sam jeden się na zamek dostać potrafił. Na górze zastał królewne z dworem modlącą się. Koniecki uspokoił tym, że Anna wiadomość o ucieczce przyjęła, nie okazując wielkiego żalu, a troszczyła się o to tylko, aby Francuzom krzywdy nie czyniono. Ochmistrz, niezbyt bystrego umysłu człowiek, domyślał się z tego, iż królewna, może zawczasu wtajemniczona, o ucieczce wiedziała.

Litwin więc nie miał co tu robić i zszedł na dół, gdy Konrat, jeden z tych dwu, których posłał po lekarza dla Doroty, nadbiegł zdyszany i porwał go za rękę.

— Doktora nie napytałem nigdzie — krzyknął do Talwosza — ale bodaj go już nie będzie potrzeba. Byłem tam, aby wam oznajmić, iż żadnego nie znalazłem, a trafiłem na to, gdy ta twoja dziewczka właśnie, czyjaś szpadę porwawszy i utkwivszy ją przy ścianie, sama się nią przebiła. Leży krwią oblana i już nie wiem, czy żywa.

Ledwie dosłuchawszy, Talwosz wypadł, szukając konia; sam nie wiedział, komu go z rąk w podwórzu wychwycił i skoczywszy na siodło, czwałem popędził, aby przekonać się, czy jeszcze nieszczęśliwej ratować nie będzie można.

Na górze zastał tłok ludzi i zawodzące kobiety, podłogę całą krwią zbroczoną, a Dorotę na pościeli i przy niej doktora, którego przypadkiem z ulicy ściągnięto.

Pierś była pod żebrami głęboko przebita, rana straszna, wpływ krwi ogromny, ale dziewczę żyło jeszcze, a lekarz, mimo oporu jej, bo ręce kobiety musiały trzymać, tak się wyrywała, tamował już krew i zawiązywał ranę.

Talwosz w milczeniu stanął nad łóżem. Spojrzał pytająco na lekarza, który mu wątpliwym odpowiedział znakiem. Ponieważ człowiek był młody i nie znany, a z ubioru w nim Niemca poznał Litwin, dobył, co miał, pieniędzy i wcisnął mu je, zapewniając go, iż dobrze wynagrodzony zostanie, byle nie opuszczał nieszczęśliwej.

— Królowna Anna, której ona była sługą — poszepnął doktorowi — pewnie się zajmie jej losem. Ja powracam na zamek, aby się postarać o to, wy tymczasem róbcie, co można, aby jej ocalić życie.

Z pomocą gospodyni rozpędziwszy potem ciekawych, Talwosz powrócił do konia i pognął na zamek. U królowej zastał płaczącego biskupa chełmskiego. Poczciwy staruszek, gdy mocniej wzruszonym był, zawsze musiał ulżyć sobie rzewnymi łzami. Dał znak stary sługa królowej, iż chciał mówić z nią; wyszła zaraz do niego.

— Znalazłem Zagłobiankę — rzekł żywo — przychodzę dla niej prosić o opiekę i miłosierdzie. Biedna dziewczyna, dowiedziawszy się o ucieczce Francuzów, przebić się chciała... raniła się niebezpiecznie. Nie ma komu czuwać nad nią.

Spojrzał, królowna Anna złożone ręce trzymała przy ustach, słuchając go.

— Gdzie ona jest?

— Nie można jej na zamek przenieść? Lękam się, aby sama sobie zostawiona życia nie próbowała znowu odebrać.

— Gdzie ona jest? — powtórzyła Anna. Królowna powołała krajczykę.

— Róbcie, co można, ocalić potrzeba biedactwo! — zawołała, wskazując jej Talwosza.

Pani Łaska podzielała uczucia królowej i z gorącością wielką wzięła się do spełnienia jej rozkazów. Zaprzężono kolebkę, wybrała się zaraz z Litwinem do Dosi, ale przed nocą nie można było przez pełne tłumów ulice przewieźć jej na zamek. Najmniejsza rzecz drażniła gawieź, a ranna kobieta, w której by się ofiary Francuzów domyślano, mogła wywołać nową burzę. Dopiero więc ciemną nocą, małymi uliczkami mogła krajczyzna nie postrzeżona z chorą się dostać do zamku.

Doktor zaręczał, że życie jej ocalić może, jeśli nowym jakim porywem nie zaszkodzi sobie. Ale w komorze przy mieszkaniu królowej, w której Dorotę położono, Anna kazała straż pilną trzymać u łóża.

Po wyjeździe Tęczyńskiego długo żadnej pewnej wiadomości o królu nie było. Co godzina prawie ktoś inną i sprzeczną przywoził. Niepewność ta trzymała miasto i panów senatorów w gorączce, której nic ukoić nie mogło.

Z najrozmaitszych źródeł przybiegały wieści, które zdawały się prawdziwymi, dopóki nowe, a całe różne, nie nadeszły. Z rana opowiadano, iż Tęczyński zdołał króla pochwycić, uprosić czy zmusić do powrotu, że król był tak jak więźniem podkomorzego i z nim razem zbliżał się do Krakowa. W kilka godzin potem najpewniejsze posły przybiegały z nowiną, iż król zbiegł, a Pibranka tylko po drodze schwytano i odarto. Francuzów też kilku, którzy się ze strachu na różne strony porozbiegali, w pierwszej chwili popłochu, poobdzieranych, pieszo przyprowadzano po jednym do Krakowa zbiedzonych, głodnych i wściekłych.

Uspokojenie mściwe względem Henryka i Francuzów ten wywołało naprzód skutek, iż wszystkich oczy zwróciły się na królową Annę. Publicznie wyznawano błąd ten, iż ją, jak Jadwigę, nie wybrano królową, zobowiązując elekta, aby ją poślubił. Nie widziano teraz innego ratunku nad infantkę, w niej była wybawienia nadzieja.

Mówiono o tym głośno, tak głośno, iż ciągle na górę do Anny dochodziły te spóźnione żale, które ona smutnym, zrezygnowanym przyjmowała uśmiechem, chłodnym i obojętnym. Nie miała już żadnych nadziei, nie chciała ich mieć, aby potem nie opłakiwać, a powtarzając z rozrzewnieniem krajczynej te życzenia senatorów i szlachty odpowiadała, potrząsając głową w milczeniu.

Myślała o siostrzeńcu Zygmuncie. Dla siebie przestała marzyć o czymkolwiek bądź... dla krwi swej tylko tron utrzymać pragnęła. Zygmunt, Zygmunt modlący się po polsku stał przed jej oczyma. Gotową była zrzec się wszystkiego dla niego.

Pomiędzy senatorami zdania i przewidywania były bardzo różne. Jedni jeszcze się spodziewali porozumienia z Henrykiem i powrotu, drudzy natychmiast gotowi byli ogłosić tron opróżnionym i zwołać wybory nowe. Niektórzy obawiali się, aby lekkomyślny Francuz, roszczący sobie prawa do korony, chociaż sam ją porzucił tak haniebnie, nie chciał frymarzyć nią z cesarzem lub innym jakim księżciem. Wstrzymywano się jednak z wyrokowaniem o tym, co czynić należało, dopóki by Tęczyński nie powrócił.

Królowi Henrykowi po wymknięciu się jego furką Kazimirską nie bardzo się wiodło szczęśliwie, czemu się dziwić nie można, bo zuchwale i niezbyt starannie obmyślana była ucieczka.

Villèquier, Pibrak i inni Francuzi, mający królowi towarzyszyć, przodem się przed nim wymknęli i mieli na niego czekać po drodze. Wychodząc miał z sobą tylko Souvraya, Larchanta, Mirona i du Halle'a. Żaden z nich, choć tu już przebywali od kilku miesięcy, nie znał tak dobrze miasta i okolicy, aby wśród bardzo ciemnej nocy, przy pośpiechu i obawie pewnym był, iż nie zbłądzi. Król biegł niezmiernie żywo i nagił. Zaledwie uszli kilkanaście kroków, gdy tuż za sobą usłyszeli przyspieszonym biegiem idącego kogoś, który się zdawał w ślad iść za nimi. Henryk a z nim wszyscy dobyli szpady, gotowi się bronić; sądzili, że ich już Polacy gonią. Dosiadali właśnie koni. Wśród ciemności dopiero nadbiegającego już na nich poznali Francuza d'Ermenville, który chociaż nie wybrany do orszaku króla, przypadł, zaklinając i prosząc, aby go wziął z sobą.

Henryk właśnie dosiadać miał konia, który tak był gorący, kręcił się i spinał, iż po kilkakroć na próżno się chciał dostać do siodła.

— Nastraszyłeś nas — zawołał do nadchodzącego — siadaj na koń, a prędzej. Nie mamy czasu do stracenia.

Koń królewski tymczasem tak dokazywał, że Souvray musiał podać mu klacz świeżo подарowaną przez Tęczyńskiego! Los tak chciał, aby na niej zbiegł Henryk i zdradził tego, który mu ją ofiarował.

Villèquier, Pibrak i kilku innych z przewodnikami, których miał dać Sederyn, oczekiwali przy figurze nad drogą, u zrujnowanej kapliczki z obrazem Matki Boskiej. Ale ani Villèquier, ani Pibrak, a co gorzej, przewodnicy też się nie znaleźli na miejscu.

Czekać nie było podobieństwa, czas upływał, król pierwszy ofiarował się jechać na oślep w kierunku ku granicy, spodziewając się, że go albo napędzą, lub się gdzieś z nimi spotka. Noc chmurna i ciemna z trudnością nawet wybitą drogę znaleźć dozwalała. Kilkanaście zaledwie kroków ubiegłszy, król i towarzysze jego ugrzęźli w błocie, z którego ledwie się wydobyć potrafili. D'Ermenville pobiegł szukać gościńca i udało mu się go znaleźć. Puścili się cwałem, gnając konie bez miłosierdzia, a jazda ta szalona w milczeniu, wśród ciemności, około dwóch godzin trwała.

Las stał czarny przed nimi, a w nim dróg krzyżowało się kilka. Niepewność, którą obrać. Souvray najszerzej wybitą wskazał, ale ta prowadziła do porębu, z którego drzewo budulcowe wywożono. Nagle obalonych kilkanaście ogromnych sosen, kłody, pnie i gałęzie nagromadzone zaparły dalszą drogę.

Król zmęczony, podrażniony, zeskoczył z konia. Souvray i Larchant pieszo także poczęli błądzić, starając się wyszukać nową jakąś ścieżkę. Szczęściem natrafili na chałupkę węglarza; ale dosyć hałaśliwie i orężem pobrzękając gdy się do niej zbliżyli, strwożony biedaczysko skoczył na wyżki²⁹⁶, skrył się na nich i drabinę wciągnął za sobą. Larchant, aby się do niego dostać, musiał szturmem brać chałupę.

²⁹⁶ w y ż k i — rodzaj strychu, górka

Porwanego biedaka przyprowadzono przed króla, który mu obiecywał nagrodę znaczną, byle im dalszą pokazał drogę. D'Ermenville wziął na konia węglarza, wyjechał naprzód... pędzono czwałem znowu. Zaczynało dzień, gdy dzięki przewodnikowi dostali się do Zatora.

Wzruszenie, szybka jazda nocna, obawa pogoni nieustanna, niepewność, co począć dalej, brak przewodników, zabłąkanie się Pibraka, króla Henryka, rozpieszczonego i nienawykłego do takich wysiłków, tak znużyły i odjęły mu siły, że choć pośpiech był konieczny, zwątpili towarzyszący mu, czy dalej wydoła. Złamany jazdą konną, chociaż na pół omdlały, kazał sobie skronie natrzeć winem, napił się go trochę i musiał siadać, aby pędzić znowu, bo każda chwila niebezpieczeństwo zwiększała.

Droga do Oświęcimia, dniem i gościńcem większym, stosunkowo była już łatwiejszą. Tu na ostatek znaleźli się straceni Villèquier, Pibrak, Caylus, Beauvail i Nangis²⁹⁷, stanowiący resztę gromadki. Potrzebowali oni tu spocząć, gdyż przebyli także nocą przygód i utrapień wiele. Król, nie zatrzymując się dla nich, z Souvrayem, Larchantem i du Hallem popędził dalej natychmiast.

Wszystkie te zwłoki tyle czasu zabrały, że chociaż król o trzy godziny wyprzedzał Tęczyńskiego, pogon zbliżała się i groziła. Słyszano ją już nadciągającą. Villèquier i Pibrak ledwie mieli czas skoczyć na konie i ukryć się w pobliskim lesie; inni ruszyli doganiać króla, aby mu być pomocą.

Miron, jadący przodem, krzychał na całe gardło:

— Prędej! Prędej! — nie mogąc zdyszany nic więcej wymówić.

Souvray, który za królem jechał na ostatku, zatrzymał się, posłyszawszy wołanie, i począł pytać Mirona, co się stało. Przerażony doktor, nie zatrzymując się, krzyknął:

— Cała Polska goni za królem... nadjeżdżają... pędzą... Villèquier i Pibrak wzięci w niewolę.

Tymczasem król strwożony, nie zatrzymując się, z Larchantem i du Hallem pędził ciągle, co konie mogły wyskoczyć. Na drodze tuż za Oświęcimiem most na rzeczce Souvray kazał rozrzucić, ażeby goniących zatrzymać.

Zbliżał się tymczasem coraz Tęczyński, który z licznego orszaku po drodze zgubił część większą, wiele koni padło, inne ustały ze znużenia. Podkomorzy tylko z kilku po tatarsku ubranymi i uzbrojonymi ludźmi biegł, co chwila się zbliżając i zyskując pośpiechem na królu. Do Oświęcimia dobiegł właśnie, gdy oni wyjeżdżali z miasteczka. W Oświęcimiu Tęczyński zaalarmował ludność, kazał zawołać starostę i zażądał świeżych koni, gdyż te, które miał, już dalej iść nie mogły.

Podstarości, dowiedziawszy się, że uchodzącym był król, puścił się natychmiast na przełaj bez drogi i dopadł wkrótce do zburzonego mostu. Tuż za nim widać było uchodzących Francuzów. Sądząc, że pomiędzy nimi król się znajduje, puścił się wpław do rzeczki, wołając po łacinie:

— Najjaśniejszy Panie, czego uciekasz? (*Serenissima Majestas, cur fugis?*)²⁹⁸.

Król z daleka, widząc brodzącego w wodzie z łaciną szlachcica, pomimo trwogi i znużenia nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ale nie myśląc stanąć, biegł dalej. Granica już była niedaleko, tam czuł się bezpiecznym. Przed nimi widać było Pszczynę.

Tęczyński na złamanie karku gonił Henryka, chcąc koniecznie go ubiec; miał już przy sobie tylko czterech Tatarów z łukami i strzałami.

²⁹⁷ C a y l u s, B e a u v a i l (B e a u v a i s) i N a n g i s byli m. in. istotnie towarzyszami króla w ucieczce

²⁹⁸ Powyższy cytat łaciński oraz drugi łaciński, nieco niżej (słowa Bellièvre'a) pochodzi z rękopisu *O odjechaniu z Polski do Francji Henryka króla polskiego* (Teki Naruszewicza, u Noaillesa, t. III, s. 593).

Postrzegłszy go coraz się zbliżającego Bellièvre, który miał parę pistoletów w olstrach, jeden z nich dał Larchantowi, drugi Souvrayowi.

— Brońcie się, panowie — zawołał — mnie szpada wystarczy.

Wtem Francuz poznał dobrze sobie znanego podkomorzego.

— Jako przyjaciel, czy jako wróg przybywasz? — krzyknął do niego.

— Jako wierny sługa króla! — odparł Tęczyński.

— Każżę Tatarom łuki spuścić, bo do nas mierzą! — zawołał Bellièvre.

Podkomorzy krzyknął na Tatarów swoich, ale musiał im powtórzyć rozkaz, nim go zrozumieli i usłuchali.

— Souvray! — począł, zwracając się do niego — na Boga!

Muszę z królem mówić.

Henryk stanął, poznawszy Tęczyńskiego. Ten, chciał zsiść z konia, ale król mu kazał pozostać, jak był, i zbliżyć się.

Podkomorzy pomimo całego poszanowania, jakie miał dla króla, poruszonym tak był i zrozpaczonym ucieczką, iż nie bardzo mógł i umiał w początku ważyć słowa. Silił się na to, aby nie wybuchnąć, lecz mimo woli wyrwały mu się wyrażenia, które tylko położenie nadzwyczajne i rozpacz mogła tłumaczyć. Miłość, jaką miał dla króla, pokładane w nim zaufanie, odpowiedzialność za ucieczkę, jaka na nim ciążyła, Tęczyńskiego w szal niemal wprawiała.

— Najjaśniejszy Panie — począł drżącym głosem — panowie senatorowie wysłali mnie za W. Kr. Mością ogarnięci rozpaczą, iż nie zasłużyli na to, abyś im zaufał i kraj ten umiłował, który cię za pana obrał. Cześć nasza i W. Kr. Mości domaga się tego, abyś nas nie opuszczał, abyś powrócił. Wystawiasz nas na niebezpieczeństwo, na pośmiewisko. Pomnij na złożoną nam przysięgę, która cię wiąże. Jeżeli nas opuścisz, i tego, za czym gonisz, nie osiągniesz... królu... będziesz od ludzi wzgardzonym, brzydzić się tobą będą... jak p s e m.

Tęczyński mówił z namiętnością i sam może nie wiedział, jak mu z ust wyrwało się to pogardliwe słowo. Król zbladł straszliwie, ale milczał, tylko Bellièvre oburzony przerwał:

— Panie hrabio, król was zawsze miłował, a ty go za to psem zowiesz? (*Te rex amavit plurimum, et tu illum canem vocas!*).

— Bóg mi świadek — krzyknął Tęczyński rozgorączkowany — nie do króla to stosowałem, ale do postętku. Łzy mu stanęły w oczach i łkanie przerwało mowę.

— Najjaśniejszy Panie — wołał — ja jako podkomorzy, jako stróż osoby twojej, za ciebie odpowiadam. Ludzie mnie uczynią zdrajcą... a jam tym tylko zawinił, że ci ufał i wierzył słowu twojemu. Królu, zaklinam, błagam, wróć do nas. znajdziesz w tym kraju posłuszniejszych i wierniejszych ludzi niż w tym, dla którego nas chcesz porzucić.

Henryk bez gniewu wysłuchał popłątanej i pełnej goryczy mowy Tęczyńskiego, który rzucał się, poruszał, krzyczał, prawie nieprzytomny. On zachował teraz, pewnym będąc, że go Tęczyński zatrzymać nie może, całą krew zimną człowieka, który nie dba o nic, oprócz by dokonał, co zamierzył.

— Hrabio, przyjacielu mój — począł. — Jadę objąć to, co na mnie dziedzictwem spada, ale się nie wyrzekam kraju, który mnie obrał. Bóg łaskaw dozwoli, że zachować potrafię korony obie; ale Francja pierwsza ma prawo do mnie, krew moja wiąże mnie z nią i zmusza ratować. Tam są pierwsze obowiązki. Musiałem to uczynić, com zrobił. Condé z ośmiu tysiącami rajtarów od falcgrafa²⁹⁹ ciągnie do Francji. Matka mi pisze, że dwanaście tysięcy Helwetów³⁰⁰ czeka w Metz. Brat mój d'Alençon i król Nawarry spiskują.

²⁹⁹ f a l c g r a f — mowa o falcgrafie (palatynie nadreńskim) Fryderyku III (1515—1576), który panował w latach 1559—1576

³⁰⁰ H e l w e c i (z łac.) — Szwajcarzy

Henryk męszał się, tłumacząc i śpiesząc zakończyć rozmowę, gdyż Bellièvre i Souvray dawali mu znaki, obawiając się zdrady. Sądziło, że Tęczyński umyślnie przedłuża rozmowę, aby dać innym nadciągnąć i króla wziąć w niewolę.

Tęczyńskiemu rozżalonemu, zboląlemu, trudno było poprzestać mówić. Począł znowu króla zaklinać.

— Hrabio, przyjacielu — odparł Henryk — zaręczam i przyrzekam najuroczyściej, najdalej za trzy miesiące powrócę do was.

— Panowie senatorowie — przerwał podkomorzy — strwożeni są, abyś w Wiedniu nie był wystawionym na pokuszenia cesarza, który starał się o tę koronę i nieomieszka frymarczyć, aby ją dostać.

Z dobrze odegranym oburzeniem król dalej mówić mu nie dał.

— Korona ta jest mi równie droga, jak dziedziczna — zawołał — nie myślę się jej pozbywać, a czuję siłę, abym obie dźwignął.

Tęczyński raz jeszcze, składając ręce, nalegać począł.

— Najjaśniejszy Panie! Zlituj się, wróć! wróć! Senatorowie zgodzą się na wyjazd ciebie godny, będziemy ci towarzyszyli.

Wtem Henryk przerwał zniecierpliwiony nareście, głos podnosząc. — Panie hrabio, nadto już jestem daleko, abym się wracał.

Gdyby całe wasze siły polskie stanęły tu, nie cofnę się, a pierwszemu, co by mnie śmiał do tego nakłaniać, miecz bym w piersi utopił! Proszę was o jedno, zabierzcie ludzi waszych i jedźcie nazad, a miejcie staranie o tych sługach moich, którzy w Krakowie pozostali.

Rozpoczęła się tedy scena pożegnania, ze strony podkomorzego szczerza i łzawa, którą król co najprędzej chciał skończyć. Zbliżył się Tęczyński do Henryka, płacząc i dobywszy tuli-cha³⁰¹ z pasa, uderzył się nim w rękę, aż krew wytrysła, którą wyssał, przysięgając na nią, że królowi wiernym pozostanie.

Król też, który do zakłucia ręki był nawykłym, bo krwią listy do kochanek pisywał, odpłacił się Tęczyńskiemu wzajemnością.

Hrabia na pamiątkę ofiarował mu bransoletę z kamieni rzeźbionych, prosząc o jakiś mały upominek. Souvray co prędzej, chcąc to skończyć, zawołał, że nie lada jaka, ale jak najdroższa pamiątka należy podkomorzemu.

Henryk zdjął z palca pierścień z diamentem kosztownym (1200 talarów) i podał go Tęczyńskiemu, który ciągle łkając i płacząc, rękę całując jego, rozstał się nareście.

— Ode mnie, panie hrabio — dodał Souvray — przyjmijcie zbroję, którą zostawiłem w moim mieszkaniu na zamku w Krakowie.

Henryk skinął na swoich i natychmiast ruszył dalej ku granicy morawskiej, gdzie postawione przez Bellièvre'a konie i kolebki czekały.

Nie potrzebował śpieszyć z powrotem Tęczyński, wioząc smutną tylko odprawę, jaką mu dano.

Wszyscy ci, co po Tęczyńskim wyjechali także, chcąc napędzić króla: dwaj marszałkowie, koronny i litewski, starosta krakowski, kasztelanowie Czerski i gdański, wielu szlachty ochotników, razem kilka tysięcy koni, przekonawszy się, iż Henryka nie potrafią doścignąć, od Zatora i Oświęcimia popowracali.

Podkomorzy ciągnął nazad, wiedząc, co go w Krakowie czeka. On, biskup kujawski, Zborowski mieli wiele do zniesienia, im przypisywano wszystko złe. Zaledwie powróciwszy do Krakowa, podkomorzy musiał się udać na zamek, aby zdać sprawę królownie z rozmowy swej z królem, z jego uroczystych przyrzeczeń, którym teraz nikt wierzyć nie chciał. Sam Tęczyński, chociaż starał się Henryka bronić i uniewinniać, w duszy swej mało miał nadziei, aby na niego rachować można.

³⁰¹ t u l i c h — krótki mieczyk

Gdy króla nie stało teraz, a sprawy jego, tryb życia i postępowanie w Krakowie zaczęły na jaw wychodzić, charakter też Henryka odsłaniał się z całą przewrotnością, lekkomyślnością i zepsuciem. Tęczyński jednak milczeć musiał i choć dla własnej godności stawać w jego obronie.

Anna z ciekawością, której nie ukrywała, oczekiwała na podkomorzego. Nazajutrz po powrocie stawiał się u niej. Anna, pani krajczyna, kilka starszych pań wyszły naprzeciw niemu. Liczny fraucymer, nie mogąc do sali się wcisnąć, pozostał pode drzwiami.

Gorączka i rozdrażnienie jeszcze nie opuściły biednego Tęczyńskiego, łączył się z nimi tylko teraz wielki żal do króla. Na twarzy zwykle spokojnej i wesołej podkomorzego widać było znużenie podróżą i doznany zawodem.

— Na próżno puściłem się za królem — rzekł smutnie — tyle tylko, że go widziałem raz jeszcze, alem ani zakłęciami, ani prośbami, ani groźbą wymóc na nim nie potrafił, aby powrócił. Obiecał wprawdzie, że za trzy miesiące najdalej przyjedzie do Polski, ale...

Tęczyński spuścił głowę i nie dokończył; nie chciał przyznać, że już ani przyrzeczeniom, ni przysięgom nie wierzył. Zaczął potem opisywać szczegółowiej pogoń swą, w której z kilkudziesięciu towarzyszków ledwie czterech mu pozostało, gdy Henryka doznał. Powtórzył potem rozmowę swą, słowa króla i wspominał o tym, że w końcu napomknął mu o listach, które zostawił do panów senatorów. Zarumienił się, mówiąc to, Tęczyński, bo nie śmiał powiedzieć prawdy, że listów tych na próżno szukano we wszystkich pokojach i że je przypadkiem odkryto w małym wychodku³⁰², w czeluści pieca ukryte.

Królewna sądząc, że i do niej pismo powinien być zostawić, zarumieniła się mocno. Nie śmiała sama zapytać o to. Podkomorzy się domyślił pytania tego i, zręcznie odpowiedział na nie:

— Sądziłem — rzekł — że między listami, które nie bez trudności dobrze ukryte znaleźliśmy nareście, będzie i pisanie jakie do W. Kr. Mości, ale żadnego nie było.

Królewna przerwała głosem drżącym:

— Jam się żadnego nie spodziewała, a Henryk teraz nadto jest swoją francuską koroną zajęty, aby o polskiej mógł pamiętać. Bóg jeden wie przyszłość, mnie się zdaje, iż wmość na niego niewiele rachować możecie i że wprędce za nowym królem obejrzyć się będziecie musieli.

— Juści my go prawie jednozgodnie obrali — odezwał się podkomorzy. — Nauczeni pełnionym błędem powinniśmy byli W. Kr. Mość wybrać sobie, za czym by wszystko, przy błogosławieństwie Bożym, lepiej poszło.

— O mnie nie myślcie — rzekła z godnością — ale o tej osieroconej Rzeczypospolitej, która dziś tak jak wdową jest, bo ma króla, a pozostała bez niego. Ja wam z sobą nic przynieść nie mogę, a rychlej by oczy wasze zwrócić się powinny na tego, którego ja jak własne uważam dziecko, na małego Zygmunta, synaczka siostry mojej. Toć także jagiellońskiej, choć po kądzieli, krwi potomek, a z nim tak by wam Szwecja przyszła, jak z nami niegdyś Litwa.

— Mały jest jeszcze i nieletni — odparł Tęczyński — nam pilno, choćby dla wojny z Moskwą, dzielnego rycerza i wodza potrzeba, inaczej to, co nam już zabrano, przepadnie, a i dalszych zaborów nie unikniemy.

Mówili znowu o Henryku, a królewna z dobrego serca wspomniała o Francuzach, którzy w wielkim strachu napaściom rozżalonego ludu zaledwie się oprzeć mogli, prosząc, aby ich oszczędzano³⁰³.

³⁰² Zaszła tu pomyłka autora, który oparł się na pełnym błędów i nieścisłości przekładzie dzieła Orzelskiego w Zbiorze Niemcewicza (t. I, s. 276). W rzeczywistości listy znaleziono w sypialni, na wystającym murze przy piecu.

³⁰³ Anna Jagiellonka istotnie wystąpiła przeciw krzywdzeniu Francuzów pozostałych w Polsce.

— Król mi ich także polecił — rzekł Tęczyński — mieć będę o nich staranie, choć pospółstwu się dziwować nie mogę, bo i w naszych piersiach żal i ból zmysły nam miesza.

Odszedł, opowiedziawszy wszystko, podkomorzy, a gdy się za nim drzwi zamknęły, królowa długo siedziała sparta o stół, zadumana, nie mówiąc ani słowa. Żegnała się z marzeniami swymi, dziwiąc teraz, że je kiedykolwiek powziąć i tak długo trwać w nich mogła. Z tą samą siłą, z jaką w początku przywiązała się do Henryka, oddała całe serce swe siostrzeńcowi. Chciała mu być przybraną matką, opiekunką i wszystko poświęcić, aby jego, a nie kogo innego na tron wprowadzić.

Z posłuchalnej sali udała się powolnym krokiem do sypialni, padła przy klęczniku, złożyła ręce i rozplakawszy się, w duszy powtarzać zaczęła:

— Zygmun! Zygmun!

Ofiara dokonana została.

Co dzień teraz jakby na pokuszenie królowej odzywały się głośniejsze żądania wszystkich, aby nie kogo innego obrano, tylko Annę królową, a przyszłemu panu zaślubienie jej położono za warunek.

Pochlebiali to spóźnione praw jej uznanie Annie, ale po ciężkiej próbie, jaką przebyła, prawie obojętnie przyjmowała te dowody przywiązania do dynastii. Na myśli miała teraz Zygmunta. Mało kto się łudził powrotem Henryka, a stronnictwo rakuskie, nowe powziawszy nadzieje, krzątało się już czynnie, prawie pewne tego, iż większość mieć będzie za sobą. Cesarz nawet tak dalece był spokojny o to, tak się ubezpieczył, że zbytnich nie myślał czynić zabiegów. Obawiano się, aby Henryk wprost nie sprzedał praw swoich do korony księciu Ferrary³⁰⁴, o czym wkrótce potem poszły pogłoski, lub ich nie ustąpił bratu d'Alençonowi, którego rad się był pozbyć. Lecz w Polsce o takim frymarku słyszeć nie chciano.

Stronnictwo królowej potężniało i rosło, chociaż ona sama bynajmniej się o to nie starała.

W kilka miesięcy po ucieczce Henryka dwór i Anna wybierała się do Warszawy. Czyniono przygotowania do podróży.

Talwosz jednego dnia stanął, jak dawnych czasów, w progu królowej. Spojrzała na niego ze współczuciem. Przyniósł jej z sobą wspomnienia smutnych i ciężkich chwil, przeszłych bezpowrotnie.

— Cóż ty mi powiesz? — odezwała się, przystępując do niego. — Mówiono mi, że miałeś ochotę powrócić na Litwę?

— Sam nie wiem — cichym głosem rzekł Talwosz i westchnął. — Mam prośbę do W. Kr. Mości.

— Rada bym ci ją, nie słuchając nawet, uskuteczniła — odezwała się Anna.

Chwilkę namyślał się Litwin, jakby mu ciężko było się tłumaczyć.

— Wiadomo W. Kr. Mości — rzekł po namyśle — jak dawno i wiernie miłowałem Zagłobiankę. Nie poszczęściło mi się z nią, niestety! Taka była wola Boża! Dzięki opiece W. Kr. Mości panna Dorota przychodzi do zdrowia. Choć ja jej nie widuję, bo wiem, że widok mój przyjemności by jej nie uczynił, wiem od innych, że się ma lepiej.

Anna poruszyła rękami.

³⁰⁴ k s i ą ż ę F e r r a r y — mowa o Alfonsie II (1533—1597), księciu Ferrary i Modeny, który po ucieczce Henryka Walezego zabiegał o koronę polską.

— A, mój Talwoszu — rzekła — życie wprawdzie uchowało się, ale co się z nią stało biedną! Jak zmieniona na ciele i na duszy, jak upokorzona i znękana, tego ludzki język nie wypowie.

— Bądź co bądź — począł Litwin — ja trwam w moim dla niej przywiązaniu i właśnie ła-ski i pośrednictwa W. Kr. Mości, przychodzę prosić, bo pragnę ją poślubić. Pojedziemy na Litwę, tam jej nikt nie zna, nikt nie wie, co się stało, a ja tej przeszłości pamiętać nie będę.

Pokłonił się Talwosz.

— Przemówcie za mną — rzekł do królownej, która stała zamyślona.

— Uczynię to chętnie — odezwała się Anna — chociaż z góry przewiduję, że się to na nie nie przyda.

— Niech mi pozwoli chwilę rozmowy z sobą — dodał.

— Przyjdź jutro po odpowiedź.

Nazajutrz krajczyna przychodzącemu Litwinowi dała znać, że z Dorotą się widzieć może.

W ciągu tych kilku miesięcy Talwosz dowiadywał się tylko o nią, ale jej nie widział wcale. Wszedł do komnaty przyciemnionej z bijącym sercem.

Przed nim stała w ciemnej sukni jakby zakonnego kroju blada i zmieniona do niepoznania, jakby jej nagle lat dziesięć przybyło, Zagłobianka. Twarz miała przerażającą wyrazem jakiejś rezygnacji trupiej, ostygłej, obumarłej.

— Chcieliście widzieć się ze mną — poczęła pierwsza — a ja też wam za ocalenie życia pragnęłam podziękować. Jesteście dobroczyńcą moim, boście mi dali czas do pokuty.

— Panno Doroto — głosem przejętym uczuciem odezwał się Talwosz — nie mówmy o przeszłości. Ja przychodzę was prosić, abyście mi podali rękę do ołtarza.

Spojrzała na niego wejrzeniem długim Dosia i poczęła głową poruszać.

— Sądzisz, że przeszłość można zmazać i zapomnieć? Myślisz, że dosyć jest powiedzieć jej: Precz! — aby odeszła na zawsze? A, nie... nie... przyjacielu! Wsiąka ona w całą istotę naszą i przejmując do kości. Ja szczęśliwą nigdy być nie mogę, a tobie bym szczęścia nie przyniosła. Nie, nie...

— Panno Doroto, jeśli uznajecie, że wam wiernie i pocziwie służył — dodał Talwosz — należy mi się zapłata, bądźcie moją! Proszę was, błagam! Pojedziemy na Litwę, do matki mojej. Siądziemy w cichym zakątku; wiercie mi, nigdy słowem, niczym te nieszczęśliwe przebyte czasy się nie przypomną.

Przykląkł przed nią. Dosia, obie ręce wyciągnawszy, zmusiła, aby się podniósł.

— Nie mogę — rzekła — nie mogę. Serce mi wyszło! Nie wierzę w nic, nikomu, nie chcę się nic spodziewać. Łzy się jej z oczów puściły.

— Dlaczego wam o tym nie powiedziano — odezwała się, ocierając je — ja od dawna postanowiłam do klasztoru wstąpić, i gdy królowna do Warszawy, ja do Nowego Sącza pojedę. Dałam w duszy słowo Bogu i nie złamię go. Wierz mi, Talwoszu, tak lepiej, to był jeden koniec, który serce uspokoić może... grób!

Na próżno Litwin wszelkimi sposobami starał się ją sam i przez królowną nakłonić, aby postanowienie zmieniła. Dorota pozostała przy swoim ślubie niewzruszoną. W kilka dni potem krajczyna i Żalińska towarzyszyły jej do Nowego Sącza, gdzie królowna wychowawcy swej przyjęcie zapewniła.

Talwosz natychmiast potem ruszył na Litwę i tam się na wsi zagrzebał.

Annę Jagiellonkę czekały jeszcze w dziwnie wiążącym się życiu nowe nadzieje i zawody. Wybrana królową, zostawszy żoną Stefana Batorego, w czasie panowania jego żyła w ciszy, na ustroni, wśród małego kółka, jakie sobie stworzyła. Śmierć męża, nagła, przedwczesna, rozbudziła, odżywiła nadzieje wprowadzenia na tron siostrzeńca, do którego, nie znając go, coraz się mocniej przywiązywała.

Nie ma wątpliwości, że jej staraniom i zabiegom Zygmunt III wybór swój był winien. Przyjęła go przybywającego jak dziecko własne, on kochał ją i szanował jak matkę.

W tym złudzeniu macierzyństwa dożyła do końca i serce jej nareście znalazło kogoś, komu całe oddać się mogło.

Drezno, 1884.

KONIEC